ŚLADY ZBRODNI

JO NESBØ

Czy **Harry Hole** jest do kupienia?



KRWAWY KSIĘŻYC

JO NESBØ

KRWAWY KSIĘŻYC

Przełożyła z norweskiego
Iwona Zimnicka



WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

Zapraszamy na **www.publicat.pl**

Tytuł oryginału
Blodmåne

Projekt okładki
MARIUSZ BANACHOWICZ

Koordynacja projektu
KONRAD ZATYLNY

Redakcja
IWONA GAWRYŚ

Korekta
BOGUSŁAWA OTFINOWSKA

Redakcja techniczna
LOREM IPSUM – Radosław Fiedosichin

Copyright © Jo Nesbø 2022
Published by agreement with Salomonsson Agency

Polish edition © Publicat S.A. MMXXII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved

ISBN 978-83-271-6361-5

Konwersja: eLitera s.c.



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.
61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Spis treści

Karta redakcyjna

Książki Jo Nesbø

Motto

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Przypisy

POWIEŚCI Z HARRYM HOLE

CZŁOWIEK NIETOPERZ
KARALUCHY
CZERWONE GARDŁO
TRZECI KLUCZ
PENTAGRAM
WYBAWICIEL
PIERWSZY ŚNIEG
PANCERNE SERCE
UPIORY
POLICJA
PRAGNIENIE
NÓŻ
KRWAWY KSIĘŻYC

INNE KSIĄŻKI

ŁOWCY GŁÓW
KREW NA ŚNIEGU
WIĘCEJ KRWI
SYN
MACBETH
KRÓLESTWO
ZAZDROŚĆ
ZEMSTA

Słońce zmieni się w ciemność,
a księżyc w krew,
gdy przyjdzie dzień Pański,
dzień wielki i straszny.

Księga Joela, 3,4

PROLOG

– Oslo – powiedział mężczyzna, podnosząc do ust szklankę z whisky.

– To jest miejsce, które kochasz najbardziej? – spytała Lucille.

Zapatrzył się przed siebie, jakby musiał przemyśleć odpowiedź, zanim kiwnął głową. Obserwowała go, podczas gdy pił. Był wysoki, górował nad nią, nawet kiedy siedział obok niej przy barze. Musiał mieć co najmniej dziesięć albo nawet dwadzieścia lat mniej niż ona, siedemdziesięciodwulatka, chociaż u alkoholików trudno określić wiek. Twarz i ciało miał jakby wyrzeźbione w drewnie, chude, proporcjonalne i silne, skórę bladą, a na nosie rysowała się delikatna siateczka niebieskich żyłek, co wraz z przekrwionymi oczami o tęczówkach w kolorze spranego dżinsu świadczyło o tym, że żył mocno. Pił mocno. Upadał mocno. I może równie mocno kochał, bo w ciągu tego miesiąca, kiedy stał się nowym stałym gościem w Creatures, chwilami dostrzegała ból w jego spojrzeniu. Był niczym zbity pies, wykopany ze stada, zawsze sam, na końcu baru. Obok Bronco, mechanicznego byka, którego Ben, właściciel baru, zwinął z planu filmu *Miejski kowboj*, gdzie wcześniej pracował jako rekwizytor. Film okazał się gigantyczną klapą, a byk przypominał, że Los Angeles nie jest zbudowane na sukcesach filmowych, lecz na śmietnisku, na które trafiają finansowe i ludzkie plajty. Ponad osiemdziesiąt procent filmów kompletnie nie wypalało i przynosiło tylko straty, a miasto miało największą liczbę bezdomnych w całych Stanach, i to w takim zagęszczeniu, że aby znaleźć podobne, trzeba by jechać do takich metropolii jak Bombaj. Dusił je również ruch samochodowy; pozostawało jedynie pytanie, czy przestępczość, przemoc i narkotyki nie uprzedzą przypadkiem spalin. Ale słońce świeciło. Tak, przeklęta kalifornijska lampa, rozjarzona jak ta nad fotelem dentystycznym, nigdy nie gasła, tylko świeciła bezlitośnie, a w jej blasku cała sztuczna biżuteria w tym podrabianym mieście lśniła niczym prawdziwe diamenty, niczym rzeczywiste historie o sukcesie. Gdyby ludzie wiedzieli. Tak jak wiedziała ona, Lucille, która była na ekranie. I poza ekranem.

Mężczyzna siedzący obok niej zdecydowanie nigdy nie był na ekranie, bo takich rozpoznawała natychmiast. Ale nie wyglądał też na jednego z tych, którzy gapią się

na ekran z podziwem, nadzieją lub zazdrością. Wyglądał raczej na takiego, który wszystko olewa. Ma własne sprawy. Może muzyk? Ktoś w typie Franka Zappy, kto gdzieś tu, w Laurel Canyon, tworzy w piwnicy niedostępne dla publiczności dzieła i nigdy nie został – ani nie zostanie – odkryty?

Po pewnym czasie, odkąd ten nowy się tu pojawił, zaczęli z Lucille wymieniać skinienia głową i krótkie powitania, tak jak to robią przedpołudniowi goście w barze dla zaawansowanych pijaków, ale dziś po raz pierwszy przysiadła się do niego i postawiła mu drinka. To znaczy zapłaciła za drinka, którego już zdążył zamówić, gdy zobaczyła, że Ben oddaje mu kartę kredytową z miną mówiącą jasno, że konto jest puste.

– Ale czy Oslo kocha cię z wzajemnością? – rzuciła. – Oto jest pytanie.

– Raczej nie – odparł.

Kiedy przesunął dłonią po szczotce krótkich włosów barwy siwiejącego brudnego blondu, zauważyła, że zamiast środkowego palca ma metalową protezę. Nie był pięknym mężczyzną, a blizna koloru wątroby, ciągnąca się w kształcie litery J od kącika ust w stronę ucha, jakby był rybą złapaną na haczyk, w niczym nie polepszała sprawy. Ale miał coś w sobie, coś brzydko-ładnego i trochę niebezpiecznego, coś takiego, co mieli jej koledzy po fachu z tego miasta. Christopher Walken. Nick Nolte. No i te szerokie bary. Chociaż może tak się tylko wydawało, bo był taki chudy.

– No właśnie, a nam akurat na nich najbardziej zależy – stwierdziła Lucille. – Na tych, którzy nie odwzajemniają naszej miłości. Wydaje nam się, że nas pokochają, jeśli tylko troszkę bardziej się wysilimy.

– Czym się zajmujesz? – spytał.

– Piciem. – Wskazała na własną szklankę whisky. – I karmieniem kotów.

– Mhm.

– Ale raczej chciałeś spytać o to, kim jestem. A jestem... – Wypiła łyk, zastanawiając się, którą wersję mu przedstawić: tę na użytek towarzyski czy tę prawdziwą. Odstawiła szklankę i zdecydowała się na to ostatnie. Niech to szlag. – ...aktorką, która zagrała jedną dużą rolę: Julii. W ciągle najlepszej filmowej wersji *Romea i Julii*, której niestety już nikt nie pamięta. Może jedna duża rola nie brzmi zbyt imponująco, ale to i tak więcej niż to, na co może liczyć większość aktorek w tym mieście. Miałam trzech mężów, dwóch było bogatymi producentami

filmowymi, a rozstałam się z nimi po wynegocjowaniu korzystnych warunków rozwodu, czyli również osiągnęłam więcej niż to, na co może liczyć większość aktorek. Trzeciego, jako jedynego z nich, kochałam. Aktor, adonis bez grosza przy duszy, bez dyscypliny i bez sumienia. Wydał wszystkie moje pieniądze, a potem mnie zostawił. Nadal go kocham, oby się smażył w piekle.

Dopiła resztę drinka, odstawiła szklankę na bar i zasygnalizowała Benowi, że chce jeszcze jednego.

– No a ponieważ zawsze tracę głowę dla tego, czego nie mogę dostać, to postawiłam pieniądze, których nie mam, na projekt filmowy, kuszący wielką rolą dla starszej pani. Projekt z inteligentnym scenariuszem, aktorami, którzy naprawdę potrafią grać, i reżyserem, który chce dać widzom coś do refleksji. Krótko mówiąc, na projekt z góry skazany na niepowodzenie, co rozumieją wszyscy rozsądni ludzie. Taka więc jestem, przegrana marzycielka, typowa *Angeleno*.

Mężczyzna z blizną w kształcie litery J lekko się uśmiechnął.

– Okej, na tym moja autoironia się wyczerpała – powiedziała Lucille. – Jak ci na imię?

– Harry.

– Mało mówisz, Harry.

– Mhm.

– Szwed?

– Norweg.

– Uciekasz przed czymś?

– A tak wyglądam?

– Owszem. Widzę, że nosisz obrączkę. Jesteś żonaty?

– Żona nie żyje.

– Aha. Uciekasz od żałoby. – Lucille uniosła szklankę do toastu. – A chcesz wiedzieć, które miejsce ja kocham najmocniej? Właśnie to, Laurel Canyon, ale nie z czasów obecnych, tylko z końcówki lat sześćdziesiątych. Szkoda, że cię tu wtedy nie było, Harry. Jeśli już się urodziłeś.

– Tak, tyle zrozumiałem.

Wskazała na oprawione w ramki fotografie na ścianie za plecami Bena.

– Wszyscy ci muzycy, którzy się tu wtedy kręcili: Crosby, Stills, Nash i... Jak się nazywał ten ostatni?

Harry znów się uśmiechnął.

– The Mamas and the Papas – ciągnęła. – Carole King. James Taylor. Joni Mitchell. – Skrzywiła się. – Wyglądała i śpiewała jak dziewczynka ze szkółki niedzielnej, ale zadawała się z większością tych, których wymieniłam. Nawet Leonarda złapała w swoje szpony. Mieszkał tu z nią przez jakiś miesiąc. Wypożyczyła mi go na jedną noc.

– Leonarda Cohena?

– We własnej osobie. Świetny, kochany facet. Nauczył mnie czegoś o pisaniu rymowanych strofek. Mówił, że większość ludzi robi głupio, zaczynając od jednego dobrego zdania, a w następnym dopisując coś średniego z awaryjnym rymem. Tymczasem cała sztuka polega na umieszczeniu rymu awaryjnego właśnie w pierwszym zdaniu, bo wtedy nikt nie zwróci na to uwagi. Jeśli wpadnie ci do głowy takie piękne zdanie: *Your hair on the pillow like a sleepy golden storm*, a potem – żeby się rymowało – dopisujesz banalne: *We made love in the morning, our kisses deep and warm*, to wszystko popsułeś. Ale jeśli zmienisz kolejność i napiszesz: *We made love in the morning, our kisses deep and warm, your hair on the pillow like a sleepy golden storm*, to wtedy oba te zdania zyskują naturalną elegancję. Tak to słyszymy, bo wydaje nam się, że autor myśli w tej samej kolejności, co pisze. Nic dziwnego, bo jako ludzie jesteśmy przecież przekonani, że to, co się dzieje, jest konsekwencją tego, co wydarzyło się wcześniej, a nie odwrotnie.

– Mhm. Czyli że to, co się dzieje, jest konsekwencją tego, co dopiero się wydarzy.

– No właśnie, Harry! Rozumiesz?

– Nie jestem pewien. Masz jakieś przykłady?

– Jasne. – Dopiła drinka.

Musiał wychwycić coś w jej tonie, bo zauważyła, że uniósł brew i szybko przeskanował wzrokiem lokal.

– Teraz, w tej chwili, mówię ci, że zadłużyłam się na projekt filmowy – powiedziała, spoglądając na zakurzony parking przed barem, widoczny przez brudne okno z opuszczonymi do połowy roletami. – To nie przypadek, tylko

konsekwencja tego, co się wydarzy. Bo obok mojego samochodu stoi zaparkowany biały camaro.

– Z dwoma facetami w środku – uzupełnił Harry. – Stoi tak już od dwudziestu minut.

Pokiwała głową. Właśnie potwierdził, że nie pomyliła się co do jego profesji.

– Dziś rano zauważyłam ten wóz przed swoim domem na górze w Canyon. To nie był żaden szok. Już mnie ostrzegali, zapowiedzieli, że wyślą windykatorów. Oczywiście nie takich z certyfikatem. Bo ta pożyczka nie została wzięta w banku, że się tak wyrażę. Kiedy teraz wyjdę do samochodu, któryś z nich prawdopodobnie będzie miał mi coś do powiedzenia. Przypuszczam, że na tym poprzestaną. To znaczy na ostrzeżeniach i groźbach.

– Mhm. Dlaczego mi o tym mówisz?

– Bo jesteś policjantem.

Znów ta uniesiona brew.

– Tak?

– Mój ojciec był policjantem, a was najwyraźniej da się rozpoznać na całym świecie. Chodzi o to, że chcę cię prosić, żebyś mnie stąd obserwował. A gdyby ten gość zaczął krzyczeć i grozić, to chcę, żebyś wyszedł na zewnątrz i... no właśnie, wyglądał jak policjant, wtedy się odczepią. Chociaż jestem przekonana, że do niczego nie dojdzie, to jednak poczuję się trochę bezpieczniej, jeśli będziesz miał na mnie oko.

Harry obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

– Okej – powiedział po prostu.

Lucille była zaskoczona. Czy nie za łatwo dał się przekonać? Przy tym miał jednak w oczach coś solidnego, co sprawiało, że mu ufała. No ale z drugiej strony zaufała też adonisowi. Jak również reżyserowi i producentowi. No i w ogóle.

– Wobec tego idę – oświadczyła.

***

Harry Hole trzymał szklankę w ręku. Wsłuchiwał się w ledwie słyszalny syk topniejących kostek lodu. Nie pił. Był spłukany, dotarł do kresu drogi i zamierzał długo cieszyć się tym drinkiem. Zawiesił wzrok na zdjęciu za barem. Przedstawiało

Charlesa Bukowskiego, jednego z jego ulubionych pisarzy z lat młodzieńczych, na placyku przed Creatures. Ben mówił, że fotografię zrobiono w latach siedemdziesiątych. Bukowski stał, obejmując kumpla ramieniem, chyba o wschodzie słońca; obaj mieli hawajskie koszule, rozmyte spojrzenia, źrenice jak punkciki i triumfalne uśmiechy, jakby właśnie dotarli do bieguna północnego po wyjątkowo męczącej przeprawie.

Harry opuścił oczy na kartę kredytową, którą Ben rzucił przed nim na kontuar.

Pusta. Opróżniona. Nic więcej nie zostało. *Mission accomplished*. A misja polegała właśnie na tym, na piciu do czasu, aż nie zostanie już nic więcej. Nie będzie żadnych pieniędzy, żadnych dni, żadnej przyszłości. Pozostawało jedynie sprawdzić, czy jest dość odważny – albo dość tchórzliwy – ażeby to wszystko zakończyć. W jego pokoju w pensjonacie leżał pod materacem stary pistolet Beretta. Kupił go za dwadzieścia pięć dolarów od bezdomnych mieszkających w niebieskich namiotach w dzielnicy Skid Row. W środku były trzy kule. Ułożył kartę płasko w dłoni i zagiął wokół niej palce. Odwrócił się i wyjrzał przez okno. Patrzył na starszą panią, gdy wyszła na parking. Była taka drobna. Delikatna, krucha i silna jak wróbel. W beżowych spodniach i pasującym do nich kolorem krótkim żakiecie. Jej archaiczny, ale gustowny styl miał w sobie coś z lat osiemdziesiątych. Tak ubrana wpadała do baru codziennie przed południem. Robiła *entré*. Przed publicznością liczącą od dwóch do ośmiu osób.

„*Lucille is here!*” – obwieszczał zwykle Ben i nieproszony zaczynał szykować jej stałą truciznę, whisky sour.

Ale to nie sposób, w jaki Lucille szturmem zdobywała przestrzeń, kojarzył się Harry’emu z matką, która zmarła w Szpitalu Radowym, gdy miał piętnaście lat, pozostawiając w jego sercu pierwszą dziurę po kuli. Z matką kojarzyło mu się łagodne, śmiejące się, a jednocześnie smutne spojrzenie Lucille, takie jak u dobrej, ale zrezygnowanej duszy. Troska okazywana innym, gdy pytała o najświeższe wieści dotyczące dolegliwości zdrowotnych, życia uczuciowego i najbliższych. A także to, że pozwoliła Harry’emu w spokoju siedzieć przy barze w drugim końcu lokalu. Właśnie to kojarzyło mu się z matką, małomówną kobietą będącą wieżą kontrolną rodziny, jej ośrodkiem nerwowym, pociągającą za sznurki tak dyskretnie, że łatwo było uwierzyć, iż to ojciec o wszystkim decyduje. Z matką, która miała takie bezpieczne objęcia, która zawsze rozumiała, którą zawsze kochał ponad wszystko, przez co stała się również jego słabością. Tak jak wtedy, w drugiej

klasie, kiedy rozległo się ostrożne pukanie do drzwi i w progu stanęła matka z drugim śniadaniem, które Harry zapomniał zabrać z domu. Odruchowo rozpromienił się na jej widok, ale zaraz usłyszał śmiechy kolegów, wymaszerował więc do niej na korytarz i z wściekłością oznajmił, że przynosi mu wstyd i żeby zaraz stąd szła, a on nie musi jeść. Posłała mu tylko smutny uśmiech, wręczyła kanapki, pogładziła go po policzku i odeszła. Później już nigdy do tego nie wracała. Oczywiście zrozumiała, tak jak zawsze. A on, kiedy położył się wieczorem, także zrozumiał. Że to nie przez nią czuł się nieprzyjemnie, tylko dlatego, że wszyscy to widzieli. Jego miłość. Jego wrażliwość. W następnych latach wiele razy chciał ją za to przeprosić, ale chyba wyszłoby głupio.

Na wysypanym żwirem placyku podniosła się chmura kurzu, która na moment otoczyła Lucille przytrzymującą okulary przeciwsłoneczne. Drzwiczki po stronie pasażera się otworzyły, z białego camaro wysiadł mężczyzna w ciemnych okularach i czerwonej koszulce polo. Stanął przed samochodem, zagradzając Lucille drogę do jej auta.

Harry spodziewał się, że będzie obserwował rozmowę tych dwojga. Mężczyzna jednak zrobił krok do przodu, chwycił Lucille za ramię i zaczął ją ciągnąć w stronę camaro. Harry zobaczył, że pięty butów Lucille zapadają się w żwir. A teraz zauważył też, że tablice rejestracyjne camaro nie są amerykańskie. W jednej chwili poderwał się ze stołka. Podbiegł do drzwi, otworzył je łokciem i oślepiony blaskiem słońca o mało nie spadł z dwóch stopni. Uświadomił sobie, że daleko mu do trzeźwości. Obrócił się w stronę tamtych samochodów. Oczy stopniowo przywykały do światła. Za parkingiem, po drugiej stronie drogi wijącej się przez zielone zbocze wzgórza, znajdował się senny podmiejski sklep, Harry nie dostrzegł jednak nikogo oprócz tego mężczyzny i ciągniętej w stronę camaro Lucille.

– *Police!* – zawołał. – *Let her go!*

– *Please stay out of this, sir!* – odkrzyknął mężczyzna.

Harry doszedł do wniosku, że ten człowiek musi mieć taką samą przeszłość jak on, bo jedynie policjanci w podobnych sytuacjach wyrażają się równie uprzejmie. Wiedział także, że fizyczna interwencja jest nieunikniona, a w wypadku walki wręcz reguła numer jeden jest prosta: „Nie czekaj. Ten, kto atakuje jako pierwszy i z maksymalną agresją, wygrywa”. Dlatego się nie zatrzymał, a tamten drugi musiał pojąć jego zamiary, bo puścił Lucille, jednocześnie sięgając za plecy. Kiedy

znów wysunął rękę, zaciskał dłoń na błyszczącym pistolecie, który Harry natychmiast rozpoznał. Glock 17. Wycelowany teraz prosto w niego.

Harry zwolnił, ale dalej szedł w kierunku mężczyzny. Zza pistoletu widział jego celujące oko, a mimo warkotu przejeżdżającego drogą pick-upa usłyszał słowa:

– Niech pan wraca tam, skąd pan przyszedł. Natychmiast!

Ale Harry wciąż kierował się w jego stronę. Zorientował się, że w prawej ręce ciągle trzyma kartę kredytową. Czy właśnie tak miał skończyć? W palącym słońcu na zakurzonym parkingu w obcym kraju, jako lekko wstawiony bankrut? Usiłujący zrobić to, czego nie udało mu się zrobić dla matki ani dla nikogo spośród tych, na których kiedykolwiek mu zależało?

Przymknął oczy i zacisnął palce wokół karty, formując z dłoni dłuto.

Nagle rozbrzmiał mu w głowie tytuł piosenki Leonarda Cohena, której fragment błędnie zacytowała Lucille: *Hey, That’s No Way To Say Goodbye*.

Cholera, rzeczywiście.

1

Piątek

Była ósma wieczór, a od chwili gdy wrześniowe słońce zaszło nad Oslo, minęło pół godziny. Minęła też pora kładzenia się spać dla trzylatków.

Katrine Bratt westchnęła i szepnęła do telefonu:

– Nie możesz zasnąć, skarbie?

– Babcia bzydko śpiewa – odpowiedział jej dziecinny głosik, któremu towarzyszyło pociąganie nosem. – Dzie jesteś?

– Skarbie, musiałam iść do pracy, ale niedługo wrócę do domu. Chcesz, żeby mama ci zaśpiewała?

– Tak.

– Ale musisz zamknąć oczka.

– Dobze.

– *Koziołeczka*?

– Tak.

Katrine niskim, głębokim głosem zaczęła śpiewać melancholijną piosenkę: *Koziołeczku czarny mój, szuka cię pastuszek twój*.

Nie miała pojęcia, dlaczego dzieci od ponad stu lat chcą być lulane do snu historyjką o wystraszonym chłopcu, który się zastanawia, dlaczego jego ulubiony czarny koziołek nie wraca do domu z pastwiska, i boi się, że porwał go niedźwiedź, a teraz rozszarpany ulubieniec leży martwy gdzieś w górach.

A jednak już po jednej zwrotce usłyszała, że Gert oddycha równiej i głębiej, po następnej zaś w telefonie rozległ się szept teściowej:

– Zasnął.

– Dziękuję. – Katrine kucała tak długo, że teraz musiała podeprzeć się ręką. – Wrócę najszybciej, jak będę mogła.

– Nie spiesz się, moja droga. I to ja powinnam dziękować za to, że chcesz nas tutaj. Wiesz, kiedy śpi, jest taki podobny do Bjørna.

Katrine przełknęła ślinę. Jak zwykle nie zdołała odpowiedzieć na takie stwierdzenie. Nie dlatego, że nie tęskniła za Bjørnem, nie dlatego, że nie cieszyła się, że rodzice Bjørna widzą go w Gercie. To po prostu była nieprawda.

Skupiła się na tym, co miała przed sobą.

– Niezła kołysanka – stwierdził Sung-min Larsen, który podszedł i kucnął obok niej. – „Może martwy leżysz gdzieś”.

– Wiem, ale on nie chce nic innego – odparła Katrine.

– No to musisz ją śpiewać – rzekł z uśmiechem Sung-min.

Katrine pokiwała głową.

– Zastanawiałeś się kiedyś nad tym, że jako dzieci oczekujemy od rodziców bezwarunkowej miłości, nie dając im nic w zamian? Właściwie jesteśmy pasożytami. Potem dorastamy i wszystko totalnie się zmienia. Jak sądzisz, w którym dokładnie momencie tracimy wiarę w to, że możemy być kochani bezwarunkowo, tylko za to, że jesteśmy tacy, jacy jesteśmy?

– Kiedy ona tę wiarę straciła? O to pytasz?

– Tak.

Spoglądali na zwłoki młodej kobiety leżące na leśnym poszyciu. Spodnie i majtki miała ściągnięte aż do kostek, ale suwak cienkiej puchowej kurtki był zasunięty. W blasku ustawionych między drzewami reflektorów grupy pracującej na miejscu zdarzenia jej twarz, zwrócona ku gwiaździstemu niebu, wydawała się kredowobiała. Makijaż – który wyglądał tak, jakby kilkakrotnie się rozpływał i znów zastygał – ułożył się w smugi. Zbombardowane środkami chemicznymi blond włosy lepiły się do jednej strony twarzy. Wargi były wypchane silikonem, a sztuczne rzęsy sterczały jak okap nad jednym okiem, które się zapadło i martwo patrzyło gdzieś poza nich. Zwieszały się też nad drugim okiem, którego jednak nie było – został po nim tylko pusty oczodół. Może właśnie dzięki wszystkim tym prawie nierozkładalnym sztucznym substancjom zwłoki zdołały się zachować w miarę dobrze.

– Zakładam, że to Susanne Andersen – powiedział Sung-min.

– Ja też – potwierdziła Katrine.

Tych dwoje śledczych pracowało w różnych wydziałach policji: ona w Wydziale Zabójstw w Komendzie Okręgowej Policji w Oslo, on w KRIPOS. Zaginięcie dwudziestosześcioletniej Susanne Andersen zgłoszono siedemnaście dni wcześniej. Ostatni raz uchwyciła ją kamera monitoringu na stacji kolejki Skullerud w odległości około dwudziestu minut marszu od miejsca, w którym znajdowali się teraz. Jedynym śladem po drugiej z zaginionych kobiet, dwudziestosiedmioletniej Bertine Bertilsen, był jej samochód, który znaleziono pozostawiony na parkingu przy Grefsenkollen na terenie spacerowym w zupełnie innej części miasta. Leżąca przed nimi kobieta miała jasne włosy, co zgadzało się z zarejestrowanym przez kamerę wizerunkiem Susanne, podczas gdy Bertine – według krewnych i przyjaciół – ostatnio była brunetką. Ponadto denatka nie miała żadnych tatuaży na odsłoniętych częściach ciała, natomiast Bertine powinna mieć wytatuowane na kostce logo Louisa Vuittona.

Wrzesień był do tej pory stosunkowo chłodny i suchy, a przebarwienia skóry – niebieskie, fioletowe, żółte, brązowe – pasowały do przypuszczenia, że ciało leży tu już od blisko trzech tygodni. Świadczył o tym odór gazów tworzących się w zwłokach i po pewnym czasie wydobywających się ze wszystkich otworów ciała. Katrine zwróciła również uwagę na biały obszar cieniutkich włosków pod nozdrzami: pleśń. W dużej ranie na szyi roiły się żółtobiałe ślepe larwy much. Katrine widywała taki obrazek już na tyle często, że nie reagowała na to jakoś specjalnie. Muchy plujki są mimo wszystko – cytując Harry’ego – równie wierne jak kibice Liverpoolu. Pojawiają się bez względu na porę dnia, miejsce i pogodę już w ciągu godziny, przyciągane zapachem trisiarczku dimetylu, który ciało zaczyna wydzielać w momencie śmierci. Samice składają jaja, a wyklute z nich kilka dni później larwy żerują na gnijącym mięsie. Przepoczwarzają się, poczwarki przeobrażają się w muchy, które znów szukają zwłok, gdzie będą mogły złożyć jaja, a po miesiącu umierają. Tak wygląda cykl ich życia. Niewiele się różniący od naszego, pomyślała Katrine. A raczej od mojego.

Rozejrzała się. Ubrani na biało technicy kryminalistyczni poruszali się wśród drzew niczym bezszelestne duchy, wywołując straszne cienie za każdym razem, gdy rozbłyskały lampy ich aparatów. Las był duży. W zasadzie lasy Østmarka ciągnęły się całymi kilometrami aż do Szwecji. Na ciało natknął się biegacz, czy może raczej jego pies, który po spuszczeniu ze smyczy skręcił z wąskiej ścieżki między drzewa. Było już ciemno, więc mężczyzna, który biegał z czołówką, ruszył

za psem, nawołując, aż w końcu go znalazł, merdającego ogonem przy zwłokach. O tym merdaniu co prawda nie wspomniano, ale Katrine właśnie tak to sobie wyobrażała.

– Susanne Andersen – szepnęła, choć nie bardzo wiedziała do kogo. Może do zmarłej, w ramach pociechy i zapewnienia, że wreszcie została znaleziona i zidentyfikowana.

Przyczyna śmierci wydawała się oczywista. Cięcie, którym kobiecie poderżnięto gardło, biegło przez smukłą szyję niczym uśmiech. Z większością krwi rozprawiły się larwy, owady, a może i inne zwierzęta, lecz mimo to Katrine dostrzegła ślady rozbryzgu na krzewinkach i pniu drzewa.

– Zabito ją w tym miejscu – stwierdziła.

– Na to wygląda – przyznał Sung-min. – Myślisz, że została zgwałcona? Czy wykorzystana już po śmierci?

– Wykorzystana później. – Katrine oświetliła latarką dłonie Susanne. – Nie ma połamanych paznokci, żadnych śladów walki. Ale spróbuję namówić patologów, żeby przeprowadzili w weekend przynajmniej oględziny zewnętrzne, zobaczymy, co o tym myślą.

– Sekcja?

– Raczej nie wcześniej niż w poniedziałek, na nic innego nie można liczyć.

Sung-min westchnął.

– No tak. A odnalezienie gdzieś na Grefsenkollen Bertine Bertilsen, zgwałconej i z poderżniętym gardłem, pozostaje zapewne kwestią czasu.

Katrine pokiwała głową. Z Sung-minem poznali się lepiej w ciągu ostatniego roku. Potwierdziła się jego sława jednego z najlepszych śledczych z KRIPOS. Wiele osób uważało, że Sung-min przejmie funkcję szefa Wydziału Śledczego KRIPOS w dniu, gdy ze stanowiska ustąpi Ole Winter, i że będzie to zmiana na lepsze. Nie dało się tego wykluczyć, lecz znaleźli się również tacy, którzy wyrażali powątpiewanie w słuszność tego, by najlepszą jednostką śledczą w kraju kierował adoptowany w dzieciństwie z Korei Południowej gej, który w dodatku nosi się jak Anglik z wyższych sfer. Jego klasyczna myśliwska tweedowa kurtka i zamszowe buty pozostawały w silnym kontraście z lekką puchówką marki Patagonia i sportowymi butami z goreteksem Katrine. Bjørn mówił nieraz o trendzie gorpcore – międzynarodowym, jak zrozumiała Katrine, i polegającym na

chodzeniu do pubu w ubraniu odpowiednim na wyprawę w wysokie góry. Sama określała to jako dostosowanie się do życia w roli matki małego dziecka. Musiała jednak przyznać, że jej bardziej stonowany i praktyczny styl ubierania się wynikał także stąd, iż nie była już młodą, zbuntowaną, utalentowaną śledczą, tylko szefową Wydziału Zabójstw.

– Jak sądzisz, co to jest? – spytał Sung-min.

Wiedziała, że Larsen myśli tak samo jak ona. I że żadne z nich nie ma odwagi wymówić tych słów na głos. Jeszcze nie.

Katrine odchrząknęła.

– Najpierw musimy odnieść się do tego, co tu mamy, i zrozumieć, co się wydarzyło.

– Zgadzam się.

Miała nadzieję, że te słowa, „zgadzam się”, będzie w nadchodzącym czasie często słyszała od KRIPOS. Oczywiście cieszyła się z wszelkiej pomocy, jaką mogli otrzymać. KRIPOS zgłosiła swoją gotowość już od momentu, gdy równo tydzień po zaginięciu Susanne wpłynęło zawiadomienie o zaginięciu Bertine Bertilsen, i to w zaskakująco podobnych okolicznościach. Obie kobiety wyprawiły się gdzieś we wtorkowy wieczór, nie mówiąc żadnej z osób, z którymi rozmawiała policja, dokąd ani po co się wybierają, i nigdy więcej się nie pojawiły. Poza tym łączyło je też coś innego. Gdy wyszło to na jaw, policja porzuciła swoją główną teorię mówiącą, że Susanne uległa jakiemuś wypadkowi albo odebrała sobie życie.

– Świetnie, wobec tego tak robimy – zdecydowała Katrine, wstając. – Zaraz zamelduję szefowej.

Musiała chwilę postać, zanim odzyskała czucie w nogach. Musiała też przyświecać sobie latarką, aby wracać po śladach, które zostawili na drodze, idąc do miejsca znalezienia zwłok. Kiedy już znalazła się poza taśmami odgradzającymi, które rozpięto między drzewami, wstukała pierwsze litery imienia szefowej Biura Kryminalnego. Bodil Melling odebrała po trzecim dzwonku.

– Mówi Bratt. Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale wygląda na to, że znaleźliśmy jedną z tych dwóch zaginionych kobiet. Zamordowana. Ma poderżnięte gardło. Rozbryzg krwi jak po przecięciu tętnicy. Prawdopodobnie zgwałcona lub wykorzystana w inny sposób. To z dużym prawdopodobieństwem Susanne Andersen.

– Przykra sprawa – powiedziała Bodil Melling tonem tak obojętnym, że Katrine w tej samej chwili wyobraziła sobie jej pozbawioną wyrazu twarz, strój pozbawiony kolorów, pozbawioną temperamentu mowę ciała, z całą pewnością pozbawione konfliktów życie rodzinne oraz pozbawione napięcia życie seksualne.

Jak dotąd udało jej się stwierdzić, że jedyną rzeczą, która potrafi wyzwolić w świeżo mianowanej szefowej Biura Kryminalnego jakieś emocje, jest mający się wkrótce zwolnić gabinet komendanta okręgowego policji. Katrine wcale nie uważała, że Melling nie ma odpowiednich kwalifikacji na to stanowisko – szefowa była tylko po prostu nieznośnie nudna. Defensywna. Tchórzliwa.

– Zwołasz konferencję prasową? – spytała Melling.

– Tak. Czy ty...

– Nie. Dopóki to zwłoki, których identyfikacja nie została ostatecznie potwierdzona, ty się tym zajmiesz.

– Razem z KRIPOS, dobrze? Przysłali swoich ludzi na miejsce zdarzenia.

– Zgoda. Jeśli to już wszystko, kończmy, bo mam gości.

Podczas chwili milczenia Katrine usłyszała w tle ściszoną rozmowę. Brzmiało to jak dobroduszna wymiana opinii, taka przy pełnym konsensusie, w której druga strona jedynie potwierdza i rozwija to, co powiedziała pierwsza. Budowanie więzi społecznych – Bodil Melling właśnie tego sobie życzyła. Z całą pewnością by się zirytowała, gdyby Katrine znów poruszyła ten temat, propozycję, którą podsunęła zaraz po zaginięciu Bertine Bertilsen, kiedy pojawiło się podejrzenie, że te dwie kobiety mogły paść ofiarą tego samego sprawcy. Wiedziała, że i tak nic nie osiągnie: Melling wyraziła się jasno, a w zasadzie ucięła dyskusję. Katrine nie powinna więcej do tego wracać.

– Jeszcze tylko jedno – odezwała się mimo wszystko. Pozwoliła tym słowom zawisnąć na chwilę i odetchnęła głębiej.

Szefowa ją uprzedziła:

– Bratt, odpowiedź brzmi: nie.

– Ale on jest jedynym specjalistą w tej dziedzinie, jakiego mamy. Najlepszym.

– I najgorszym. Poza tym już go nie mamy. Na szczęście.

– Prasa będzie go poszukiwać. Pytać, dlaczego nie...

– Wtedy odpowiesz zgodnie z prawdą, że nie wiemy, gdzie jest. Zważywszy na to, co się stało z jego żoną, w powiązaniu z jego chwiejną naturą i ze skłonnością do rozmaitych używek, nie wyobrażam sobie, że byłby zdolny funkcjonować w tak poważnym śledztwie.

– Wydaje mi się, że wiem, gdzie go znaleźć.

– Daj spokój, Bratt. Jeśli zaczynasz się zwracać ku przebrzmiałym bohaterom, kiedy tylko sytuacja robi się nieco napięta, może to pośrednio świadczyć o twojej fatalnej ocenie ludzi, którymi dysponujesz w Wydziale Zabójstw. Jak by to wpłynęło na ich pewność siebie i motywację, gdybyś im powiedziała, że zamierzasz ściągnąć do pomocy zezłomowany wrak? Jak myślisz? Bratt, to się nazywa złe zarządzanie.

– W porządku. – Katrine z wysiłkiem przełknęła ślinę.

– Doceniam, że tak uważasz. No? Coś jeszcze?

Zastanowiła się. A więc Melling mimo wszystko dała się sprowokować i pokazała zęby. To dobrze. Popatrzyła na sierp księżyca wiszący nad koronami drzew. Wczoraj wieczorem Arne, młody człowiek, z którym spotykała się już od blisko miesiąca, powiedział, że za dwa tygodnie ma nastąpić zaćmienie Księżyca w pełni, tak zwany Krwawy Księżyc, i że powinni to uczcić. Katrine nie miała pojęcia, czym jest Krwawy Księżyc. Najwyraźniej zjawisko to występowało jedynie co dwa–trzy lata, a Arne był tym bardzo przejęty, więc nie miała serca mu powiedzieć, że może raczej nie powinni nic planować na przyszłość tak odległą, jak dwa tygodnie, bo przecież ledwie się znają. Nigdy nie bała się konfliktów ani mówienia wprost, co być może odziedziczyła po ojcu, policjancie z Bergen, który miał więcej wrogów niż miasto deszczowych dni, ale nauczyła się wybierać swoje bitwy i czas, w jakim miały się rozegrać. Teraz jednak po zastanowieniu zrozumiała, że o ile może odwlec konfrontację z mężczyzną, z którym jej przyszłość była bardzo niepewna, o tyle tę bitwę musi stoczyć. Raczej teraz niż później.

– Jeszcze tylko jedno – odparła. – Czy mogę w takim razie powiedzieć o tym na konferencji prasowej, jeśli ktoś spyta? Albo rodzicom następnej dziewczyny, która zostanie zamordowana?

– Powiedzieć o czym?

– Że Komenda Okręgowa Policji w Oslo odrzuca pomoc człowieka, który schwytał trzech seryjnych morderców w Oslo, ponieważ uważamy, że może to źle wpłynąć na samopoczucie niektórych kolegów.

Zapadła dłuższa cisza, a teraz Katrine nie słyszała już nawet rozmów w tle. Wreszcie Bodil Melling chrząknęła.

– Wiesz co, Katrine? Już długo i dużo pracujesz przy tej sprawie. Zorganizuj konferencję prasową, a w weekend się wyśpij. Porozmawiamy w poniedziałek.

Rozłączyły się i Katrine zadzwoniła do Instytutu Medycyny Sądowej. Zamiast iść drogą służbową, wolała załatwić rzecz, telefonując bezpośrednio do Alexandry Sturdzy, młodej techniczki, która nie miała narzeczonego czy dziecka ani też nie przestrzegała pilnie godzin pracy. I rzeczywiście, Sturdza potwierdziła, że razem z kolegą przeprowadzi wstępne oględziny zwłok już następnego dnia.

Później Katrine nadal stała, przyglądając się denatce. Faktem było, że ona sama w świecie mężczyzn doszła tam, gdzie się teraz znajdowała, bez niczyjej pomocy, i może dlatego nigdy nie potrafiła odepchnąć od siebie pogardy dla kobiet, które chętnie uzależniały się od mężczyzn. Okolicznością wiążącą Susanne i Bertine było nie tylko to, że obie żyły z mężczyzn. Dzieliły się także jednym z nich, baronem nieruchomości Markusem Røedem, ponad trzydzieści lat starszym od obu dziewczyn. Ich życie opierało się na tym, że inni ludzie – mężczyźni mający pracę i pieniądze, których te kobiety nie miały – po prostu je utrzymywali. One w zamian oddawały im swoje ciała, młodość i urodę. Ponadto wybrany przez nie żywiciel mógł – przynajmniej na tyle, na ile taki związek był eksponowany – napawać się zazdrością innych mężczyzn. Ale w przeciwieństwie do dziecka takie kobiety jak Susanne i Bertine musiały żyć ze świadomością, że ta miłość nie jest bezwarunkowa. Prędzej czy później żywiciel je porzucał, zmuszając do poszukiwania kolejnego żywiciela, na którym mogłyby pasożytować. Lub któremu mogłyby pozwolić pasożytować na sobie, w zależności od punktu widzenia. Czy to była miłość? A raczej czy to również była miłość? Czemu nie? Tylko dlatego, że myślenie o tym tak przygnębiało?

Między drzewami od strony ścieżki Katrine dostrzegła niebieskie błyski karetki, która nadjechała bezgłośnie. Pomyślała o Harrym Hole. Owszem, w kwietniu dostała od niego znak życia, ze wszystkich możliwych rzeczy widokówkę ze zdjęciem Venice Beach, nadaną w Los Angeles. To było jak piknięcie sonaru

z łodzi podwodnej w głębinie. Tekst był krótki: „Przyślij pieniądze”. Żart, co do którego nie miała pewności, czy jest tylko żartem. Od tamtej pory panowała cisza.

Zupełna cisza.

W uszach rozbrzmiała jej ostatnia zwrotka piosenki, ta, do której nie dotarła:

Koziołeczku, niech wśród drzew

znów dzwoneczka zabrzmi śpiew.

Koziołeczku, znak mi daj,

jeszcze mi nie umieraj.

2

Piątek. Inwestycja

Konferencja prasowa odbywała się jak zwykle w dużej sali konferencyjnej Budynku Policji. Gdy zegar na ścianie wskazał za trzy dziesiąta, Mona Daa, reporterka kryminalna z „VG”, wraz z innymi przybyłymi już czekała, aż przedstawiciele policji zajmą miejsca na podium. Stwierdziła, że stawiło się dużo ludzi, ponad dwudziestu dziennikarzy, i to w piątkowy wieczór. Wcześniej Mona odbyła ze swoim fotografem krótką dyskusję na temat tego, czy podwójne zabójstwa sprzedają się dwa razy lepiej niż pojedyncze, czy też raczej występuje zjawisko diminishing returns, prawo malejących przychodów. W opinii fotografa jakość stała wyżej od ilości, a fakt, że ofiarą była młoda etniczna Norweżka, w dodatku ponadprzeciętnie atrakcyjna, będzie skutkował większą liczbą kliknięć, niż gdyby chodziło na przykład o parę czterdziestokilkuletnich narkomanów z kryminalną przeszłością, czy też dwóch, a nawet trzech młodych imigrantów ze środowiska gangów.

Mona Daa nie protestowała. Na razie potwierdzono zabójstwo tylko jednej z zaginionych dziewczyn, lecz zdecydowanie kwestią czasu pozostawało obwieszczenie, że tę drugą spotkał taki sam los, a przy tym obie były młodymi, ładnymi etnicznymi Norweżkami. Czyli trudno o coś lepszego. Nie wiedziała, co o tym myśleć. Czy zainteresowanie opinii publicznej jest oznaką wyjątkowej troski o młode, niewinne i bardziej bezbronne osoby, czy też może rolę odgrywają inne czynniki, skutkujące zwykle zwiększoną liczbą kliknięć: seks, pieniądze i styl życia, jakich pragną czytelnicy.

À propos pragnienia czegoś, co mieli inni. Spojrzała na trzydziestokilkuletniego faceta siedzącego w rzędzie przed nią. Miał na sobie flanelową koszulę, obowiązkową w tym roku dla wszystkich hipsterów, i kapelusz typu pork pie, jaki Gene Hackman nosił we Francuskim łączniku. Był to Terry Våge z „Dagbladet”. Mona żałowała, że nie ma dostępu do jego źródeł. Odkąd wybuchła ta sprawa, Våge pozostawiał innych w tyle. Na przykład to on jako pierwszy napisał, że

Susanne Andersen i Bertine Bertilsen były na tej samej imprezie. Zacytował też źródło, które twierdziło, że obie dziewczyny mają wspólnego sugar daddy, a jest nim Markus Røed. Zirytowało to Monę z wielu powodów, innych niż to, że Terry pracował dla konkurencji. Irytująca była już sama jego obecność tutaj. A on jakby usłyszał jej myśli, odwrócił się i spojrzał wprost na nią. Uśmiechnął się szeroko i uniósł palec do ronda idiotycznego kapelusika.

– Podobasz mu się – stwierdził fotograf.

– Wiem – odparła krótko.

Zainteresowanie Vågego Moną zaczęło się po jego nieprawdopodobnym comebacku w roli reportera kryminalnego. Mona popełniła błąd i okazała mu względną uprzejmość podczas pewnego seminarium na temat – ni mniej, ni więcej – etyki prasowej, a ponieważ wszyscy inni dziennikarze unikali Vågego jak dżumy, jej postawa zapewne wydała mu się zapraszająca. Później kontaktował się z nią, żeby uzyskać „podpowiedzi i rady", jak to określał. Jak gdyby mogła ją interesować rola mentorki dla konkurencji – ba, jakby w ogóle chciała mieć do czynienia z takim człowiekiem jak Terry Våge. Przecież wszyscy wiedzieli, że w krążących o nim plotkach jest ziarno prawdy. Im bardziej jednak Mona była odpychająca, tym bardziej on stawał się natarczywy: przez telefon, w mediach społecznościowych, nawet w knajpach, w których pojawiał się niemalże znikąd. Jak zwykle musiało minąć trochę czasu, nim zrozumiała, że on naprawdę interesuje się nią samą. Mona nigdy nie była numerem jeden wśród chłopaków; miała krępą sylwetkę, szeroką twarz i włosy, jakie jej matka nazywała „smutnymi", a także wrodzoną wadę stawu biodrowego, w wyniku której poruszała się jak krab. Bóg jeden wie, czy chciała sobie coś skompensować – w każdym razie zaczęła trenować z ciężarami, przez co stała się jeszcze bardziej krępa, ale potrafiła podnieść w martwym ciągu sto dwadzieścia kilogramów i na krajowych mistrzostwach kulturystów zajęła trzecie miejsce. A ponieważ musiała się nauczyć, że człowiek – przynajmniej ona – niczego nie dostaje gratis, wykształciła w sobie nieodparty natarczywy urok, poczucie humoru i twardość, o jakich lalki Barbie mogły zapomnieć. Umożliwiło jej to zdobycie nieoficjalnej korony królowej spraw kryminalnych – oraz Andersa, przy czym Andersa ceniła bardziej. Okej, troszkę bardziej. W każdym razie chociaż zainteresowanie, jakie okazywał jej Våge, było dla niej czymś niezwykłym i bardzo jej schlebiało, jakiekolwiek zgłębianie tego zainteresowania absolutnie nie wchodziło w grę. W swoim przekonaniu nawet jeśli

nie powiedziała tego głośno i wyraźnie, to przynajmniej tonem i mową ciała jasno dała to Vågemu do zrozumienia. On jednak zdawał się widzieć i słyszeć to, co chciał. Czasami gdy patrzyła w jego szeroko otwarte, jakby gapiące się na nią oczy, zastanawiała się, czy on czegoś nie bierze, a może ma nierówno pod sufitem. Któregoś wieczoru pojawił się w pewnym barze, a kiedy Anders wyszedł do toalety, Våge powiedział do niej tak cicho, że nie przebiło się to przez grającą muzykę, lecz mimo wszystko dało się zrozumieć: „Jesteś moja”. Udała, że nie usłyszała, ale on dalej przed nią stał, spokojny i pewny siebie, z chytrym uśmieszkiem, jakby teraz połączyła ich jakaś tajemnica. Niech go wszyscy diabli. Nie miała sił na dramaty, dlatego też nie powiedziała nic Andersowi. Wiedziała wprawdzie, że dobrze by sobie z tym poradził, no ale nie powiedziała. Co ten Våge sobie wyobraża? Że jej zainteresowanie nim, nowym samcem alfa w ich małej sadzawce, musi być proporcjonalne do coraz silniejszej pozycji Terry’ego Våge jako reportera kryminalnego, który wyprzedza innych o krok? Bo tak właśnie było. I to bezdyskusyjnie. A więc tak. Jeśli pragnęła czegoś, co mieli inni, to właśnie tego. Znów prowadzić w tym wyścigu, a nie być zdegradowaną do członka stada, które gna za plecami Terry’ego Våge.

– Skąd on to bierze, jak sądzisz? – spytała szeptem fotografa.

Wzruszył ramionami.

– Może znowu coś zmyśla.

Mona pokręciła głową.

– Nie. To, co pisze, trzyma się kupy.

Markus Røed i Johan Krohn, jego adwokat, nawet nie próbowali zaprzeczać temu, co napisał Våge, i już samo to wystarczało za potwierdzenie.

Ale Våge nie zawsze był królem spraw kryminalnych. Pewna stara historia wciąż się za nim ciągnęła i miała z nim pozostać już na zawsze. Pseudonim artystyczny tamtej dziewczyny brzmiał Genie, grała retro glam rocka à la Suzi Quatro dla tych, którzy jeszcze ją pamiętali. Sprawa wydarzyła się przed pięcioma czy sześcioma laty, a najgorsze w niej było chyba nie to, że Våge wyprodukował i puścił do druku czyste wymysły na temat Genie, tylko plotka o tym, że na jakiejś imprezie dodał dziewczynie rohypnolu do drinka, żeby z nią, jeszcze nastolatką, uprawiać seks. W tamtym czasie pisał o muzyce do dużej bezpłatnej gazety i najwyraźniej zakochał się w Genie na zabój, lecz chociaż wychwalał ją w kolejnych recenzjach,

ona raz po raz go odrzucała. Ciągle jednak pojawiał się na koncertach i urządzanych później afterkach, aż do wieczoru, kiedy – o ile pogłoski były prawdziwe – nafaszerował jej drinka i zaniósł ją do swojego pokoju wynajętego w tym samym hotelu, w którym nocował zespół. Dalej opowieść głosiła, że chłopcy z bandu zorientowali się, co się dzieje, i wdarli się do pokoju, gdzie Genie, nieprzytomna i częściowo rozebrana, leżała w łóżku Terry'ego Våge. Sprawili Vågemu taki łomot, że doznał pęknięcia czaszki i parę miesięcy musiał spędzić w szpitalu. Najwyraźniej w opinii członków grupy i samej Genie Våge poniósł już dostateczną karę, a sam również nie chciał być o nic oskarżony, w każdym razie żadna ze stron nie zgłosiła sprawy na policję. Ale dobre recenzje się skończyły. Poza zjechaniem większości muzycznych poczynań Genie Terry Våge pisał o jej zdradach, nadużywaniu narkotyków, plagiatach, niepłaceniu muzykom z zespołu i podawaniu fałszywych informacji we wniosku o dofinansowanie tournée. Kiedy kilkanaście artykułów zaskarżono do komisji etyki dziennikarskiej i okazało się, że Våge w większości zmyślił te rewelacje, wywalono go z roboty i przez następnych pięć lat był w norweskiej prasie persona non grata. W jaki sposób zdołał ponownie wniknąć w to środowisko, pozostawało wielką tajemnicą. Choć właściwie nie. Våge zrozumiał, że jest skończony jako dziennikarz muzyczny. Prowadził jednak blog kryminalny, stale zyskujący czytelników, i wreszcie w „Dagbladet" stwierdzono, że nie można zabraniać wykonywania zawodu młodemu dziennikarzowi tylko dlatego, że zbłądził na początku kariery; przyjęto go więc jako freelancera, który obecnie zapełniał w gazecie więcej szpalt niż którykolwiek z etatowych reporterów.

Våge odwrócił się wreszcie od Mony, kiedy reprezentanci policji zajęli miejsca na podium. Dwie osoby z Komendy Okręgowej Policji w Oslo: Katrine Bratt, komisarz z Wydziału Zabójstw, oraz Kedzierski, rzecznik prasowy, mężczyzna z szopą kręconych włosów à la Bob Dylan. I dwie osoby z KRIPOS: przypominający teriera Ole Winter, szef Wydziału Śledczego we własnej osobie, i zawsze elegancko ubrany, świeżo ufryzowany Sung-min Larsen. Mona wyszła więc z założenia, że już postanowiono, iż śledztwo będą prowadzić wspólnie Wydział Zabójstw, który w tym kontekście można było przyrównać do samochodu Volvo, oraz KRIPOS jako auto Ferrari.

Większość dziennikarzy trzymała podniesione telefony, aby nagrywać nimi dźwięk i obraz, ale Mona Daa notowała ręcznie, robienie zdjęć pozostawiając

koledze.

Tak jak należało się spodziewać, nie dowiedzieli się dużo więcej oprócz tego, iż w rejonie Østmarka na obszarze turystycznym w obrębie Skullerud znaleziono zwłoki oraz że zostały one zidentyfikowane jako ciało zaginionej Susanne Andersen. Śledztwo toczyć się będzie w sprawie ewentualnego zabójstwa, ale na razie policja nie zna jeszcze żadnych szczegółów dotyczących przyczyny zgonu, przebiegu zdarzeń, podejrzanych i tak dalej, które mogłaby wyjawić.

Rozpoczął się zwyczajowy taniec, pytania dziennikarzy sypały się jak grad, natomiast osoby siedzące na podium, głównie Katrine Bratt, powtarzały swoje „bez komentarza” i „na to nie możemy udzielić odpowiedzi”.

Mona Daa ziewnęła. Planowali z Andersem późny obiad jako miły początek weekendu, ale się nie udało. Notowała słowa, które padały, odnosiła jednak wrażenie, że pisze sprawozdanie, takie samo jakie pisała już wcześniej.

Być może Terry Våge odczuwał podobnie. Wyglądało na to, że niczego nie notował ani nie nagrywał. Siedział tylko odchylony na krześle i obserwował wszystko z lekkim, może nawet triumfalnym uśmieszkiem. Nie zadawał żadnych pytań, jakby już znał odpowiedzi, które go interesowały. Innym kolegom też chyba skończyły się pomysły na pytania, więc kiedy Kedzierski zrobił taką minę, jakby miał zamiar nabrać oddechu, żeby zakończyć konferencję, Mona wystawiła do góry ołówek.

– Proszę, „VG” – powiedział rzecznik prasowy z wyrazem twarzy mówiącym, że Mona ma się streszczać, bo już weekend.

– Czy uważacie, że macie niezbędne kompetencje, jeśli okaże się, że chodzi o osobę z rodzaju tych, które zabijają ponownie, czyli o...

Katrine Bratt wychyliła się na krześle i jej przerwała:

– Tak jak mówiłam, na razie nie mamy wyraźnych punktów zaczepienia pozwalających wnioskować, że istnieje związek między tym zgonem a ewentualnymi innymi czynami przestępczymi. A co do połączonych kompetencji Wydziału Zabójstw i KRIPOS, to ośmielę się być zdania, że są one odpowiednie, zważywszy na to, co nam na razie wiadomo o tej sprawie.

Mona zanotowała sobie zastrzeżenie szefowej wydziału: „zważywszy na to, co nam na razie wiadomo”, oraz że Sung-min Larsen, który siedział obok Bratt, nie

pokiwał głową na potwierdzenie jej słów ani w żaden inny sposób nie zdradził, co sądzi na temat tych kompetencji.

Konferencję prasową zamknięto. Mona wraz z pozostałymi dziennikarzami wyszła na ciepłą jesienną noc.

– I co o tym myślisz? – spytał fotograf.

– Chyba się cieszą, że mają zwłoki – odparła Mona.

– Powiedziałaś, że się cieszą?

– Tak. Susanne Andersen i Bertine Bertilsen nie żyją, jedna od dwóch tygodni, druga od trzech. Policja o tym wie, ale do tej pory nie miała żadnego śladu, którym mogłaby pójść, oprócz tej imprezy u Røeda. Więc tak, uważam, że się cieszą: wchodzą w weekend, mając przynajmniej jedno ciało, które może im w czymś pomóc.

– Cholera, Daa, ale ty jesteś zimna.

Mona spojrzała na niego ze zdziwieniem. Zastanowiła się, smakując ten komentarz.

– Dzięki – rzuciła.

Było piętnaście po jedenastej wieczorem, gdy Johan Krohn wreszcie znalazł miejsce do zaparkowania swojego lexusa UX 300e na Thomas Heftyes gate, a następnie numer kamienicy, do której kazał mu przybyć jego klient Markus Røed. Pięćdziesięcioletni adwokat był wśród kolegów uważany za jednego z trzech, góra czterech najlepszych adwokatów w Oslo. A że często występował w mediach, opinia publiczna uważała go za niezaprzeczalnie najlepszego. Ponieważ z kilkoma nielicznymi wyjątkami był gwiazdą większą od swoich klientów, nie odwiedzał ich w domu – to oni przychodzili do niego, przeważnie do kancelarii spółki adwokackiej Krohn i Simonsen przy Rosenkrantz’ gate w zwykłych godzinach pracy. Chociaż niezupełnie w domu: to nie był adres zamieszkania Røeda; oficjalnie Røed mieszkał w dwustuseśćdziesięciometrowym penthousie na szczycie jednego z budynków w nowej, luksusowej dzielnicy Oslobukta.

Krohn, tak jak go poinstruowano przez telefon pół godziny wcześniej, wcisnął guzik z nazwą firmy Røeda: Nieruchomości Barbell.

– Johan? – dobiegł z głośnika zdyszany głos Markusa Røeda. – Czwarte piętro.

Rozległ się brzęczyk i Krohn pchnął drzwi.

Winda wyglądała na tyle podejrzanie, że adwokat wybrał schody. Szerokie, z dębowymi stopniami i żelazną poręczą ozdobioną ornamentami kojarzącymi się bardziej z Gaudim niż ze starą, ekskluzywną norweską kamienicą. Drzwi na czwartym piętrze były uchylone, ze środka dochodziły odgłosy sugerujące, że toczy się tam wojna, co okazało się prawdą, kiedy Krohn przekroczył próg i widząc niebieskawe światło, zajrzał do salonu. Przed olbrzymim, co najmniej stucalowym ekranem telewizora stali trzej mężczyźni odwróceni do Krohna tyłem. Najwyższy z nich, ten w środku, miał założone okulary VR i w każdej ręce trzymał kontroler do gry. Dwaj pozostali, dwudziestokilkulatkowie, byli najwyraźniej obserwatorami korzystającymi z telewizora jako monitora, aby widzieć to, co człowiek w okularach VR. Wojna na ekranie toczyła się w okopie z czasów pierwszej wojny światowej, jak ocenił Krohn po hełmach żołnierzy niemieckich, którzy nadbiegali tłumnie w ich stronę, a wielki facet z kontrolerami do nich strzelał.

– Yeah! – zawołał jeden z dwóch młodszych, kiedy głowa ostatniego Niemca eksplodowała w hełmie i żołnierz zwalił się na ziemię.

Ten wielki ściągnął okulary VR i odwrócił się do Krohna.

– No, przynajmniej tutaj mamy pozamiatane – stwierdził, z zadowoleniem szczerząc zęby.

Markus Røed, zważywszy na jego wiek, był przystojnym mężczyzną. Miał szeroką twarz, rozbawione spojrzenie, gładką, zawsze opaloną skórę, a zaczesane do tyłu lśniące czarne włosy gęste jak u dwudziestolatka. Co prawda trochę się rozrósł wszerz, ale był na tyle wysoki, by brzuch dało się uznać za dodający mu godności. Uwagę zwracały przede wszystkim oczy patrzące z niezwykłym ożywieniem, co sygnalizowało energię, która w pierwszej chwili oczarowywała większość rozmówców, następnie nużyła, aż w końcu bardzo męczyła. Do tego czasu jednak Markusowi Røedowi najprawdopodobniej udawało się od każdego uzyskać to, czego chciał, pozwalał więc ludziom spokojnie odejść. Ale poziom energii potrafił się zmieniać, podobnie jak humor Røeda. Krohn podejrzewał, że jedno i drugie ma związek z białym proszkiem, którego ślady dostrzegł teraz pod jedną dziurką w nosie Røeda. Z tego wszystkiego adwokat zdawał sobie sprawę, ale wytrzymywał. Nie tylko dlatego, że Røed się uparł, że zapłaci Krohnowi półtorej stawki godzinowej za – jak to nazwał – zagwarantowanie sobie jego niepodzielnej uwagi, lojalności oraz woli osiągnięcia właściwego rezultatu, lecz głównie dlatego, że Røed był wymarzonym klientem: człowiekiem bardzo znanym,

miliarderem o tak nieznośnym wizerunku, że Krohn, zgadzając się go reprezentować, paradoksalnie był postrzegany jako bardziej odważny i zasadniczy niż oportunistyczny. Dopóki więc ta sprawa trwała, musiał się godzić na wezwania w piątkowy wieczór.

Na sygnał dany przez Røeda dwaj młodsi mężczyźni opuścili pokój.

– Widziałeś War Remains, Johan? Nie? Cholernie dobra gra VR, ale nie możesz w niej nikogo zastrzelić. To jest coś w rodzaju kopii. Projektant chce, żebym w to zainwestował... – Røed skinieniem głowy wskazał ekran telewizora, jednocześnie sięgnął po karafkę i nalał brunatnego alkoholu do dwóch kryształowych szklanek. – Usiłują zachować magię War Remains, ale umożliwić... Jak to powiedzieć? Wpływ na bieg historii. Bo przecież właśnie tego pragniemy, prawda?

– Prowadzę. – Krohn uniósł dłoń zwróconą wnętrzem w stronę szklanki, którą podawał mu Røed.

Gospodarz przez chwilę patrzył na niego tak, jakby nie zrozumiał tej uwagi. W końcu głośno kichnął i opadł na skórzany fotel Barcelona, a obie szklanki postawił na stoliku przed sobą.

– Czyje to mieszkanie? – spytał Krohn, zajmując jeden z pozostałych foteli. W tej samej chwili pożałował swojego pytania. Adwokat, często dla własnego bezpieczeństwa, nie powinien wiedzieć więcej, niż musi.

– Moje – odparł Røed. – Korzystam z niego, kiedy... no wiesz, potrzebuję ciszy i spokoju.

Wzruszenie ramion i szelmowski chłopięcy uśmiech Markusa Røeda dopowiedziały Krohnowi resztę. Miał innych klientów z podobnymi mieszkaniami. A podczas jednej z własnych pozamałżeńskich przygód, która na szczęście skończyła się tym, że zrozumiał, co może stracić, sam zastanawiał się nad kupnem mieszkania – kolega nazywał je „kawalerką dla mężczyzn niebędących kawalerami”.

– Co teraz będzie? – zapytał Røed.

– Susanne została zidentyfikowana i stwierdzono, że doszło do zabójstwa, więc śledztwo wejdzie w nową fazę. Musisz być przygotowany, że wezwą cię na kolejne przesłuchania.

– Innymi słowy, padnie na mnie jeszcze mocniejsze światło reflektorów?

– Chyba że policja znajdzie na miejscu zdarzenia albo przy zwłokach coś, co cię wyeliminuje. Możemy mieć taką nadzieję.

– Przypuszczałem, że powiesz właśnie coś w tym rodzaju. Ale ja nie mogę dłużej siedzieć cicho i tylko mieć nadzieję, Johan. Wiesz, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni Barbell, moja firma, straciła trzy duże kontrakty? Wymówki są bardzo słabe, kontrahenci twierdzą, że chcą zaczekać na lepsze propozycje, i tak dalej. Nikt nie ma odwagi powiedzieć wprost, że to z powodu tych artykułów w „Dagbladet” o mnie i o dziewczynach. Że nie chcą, by ich kojarzono z ewentualnym mordercą, albo się boją, że mnie wsadzą i Barbell zbankrutuje. Jeśli mam biernie siedzieć i mieć nadzieję, że banda nieudaczników marnie opłacanych z państwowej kasy zrobi swoją robotę, to Barbell może wylądować w rowie na długo przedtem, nim znajdą coś, co pozwoli im się ode mnie odczepić. Musimy działać, Johan. Pokazać światu, że jestem niewinny. Albo przynajmniej, że w mojej opinii ujawnienie prawdy będzie dla mnie korzystne.

– Czyli?

– Musimy wynająć własnych śledczych. Bezkonkurencyjnych. W najlepszym razie znajdą mordercę. W prawie najlepszym – pokażę światu, że naprawdę staram się dociec prawdy.

Johan Krohn pokiwał głową.

– Pozwól mi, że wystąpię w roli, bez obrazy, adwokata diabła.

– No to mów. – Røed kichnął.

– Po pierwsze, najlepsi śledczy już pracują dla KRIPOS, bo tam płacą lepiej niż w Wydziale Zabójstw. Nawet gdyby zgodzili się zrezygnować z gwarantowanej kariery dla takiego krótkiego zlecenia, to i tak będzie ich obowiązywał trzymiesięczny okres wypowiedzenia plus konieczność dochowania tajemnicy w związku ze sprawą tych zaginięć, co w praktyce czyni ich kompletnie bezużytecznymi dla nas. Po drugie, takie śledztwo będzie wyglądało jak zamówienie złożone przez miliardera, więc pod tym względem wyświadczysz sam sobie niedźwiedzią przysługę. Jeśli twoi śledczy dotrą do tak zwanych faktów, które by cię oczyściły, zostaną one automatycznie podane w wątpliwość, co by się nie stało, gdyby odkryła je policja.

– Ach! – Røed się uśmiechnął i wytarł nos papierową chusteczką. – Uwielbiam dobrze zainwestowane pieniądze. Jesteś świetny, bo wskazałeś problemy. A teraz

pokaż, że jesteś najlepszy, i powiedz mi, jak je rozwiązać.

Johan Krohn wyprostował plecy.

– Dziękuję za zaufanie, ale to twardy orzech do zgryzienia.

– Ponieważ?

– Skoro wspominasz o najlepszych, to istnieje jeden człowiek, który chyba rzeczywiście jest najlepszy. W każdym razie wcześniej osiągał imponujące rezultaty.

– Ale?

– Ale już nie pracuje w policji.

– Z tego, co powiedziałeś przed chwilą, wynika, że to powinna być zaleta.

– Chodzi mi o to, że on już nie pracuje w policji z konkretnych powodów.

– Mianowicie?

– Od czego mam zacząć? Nielojalność. Ciężkie zaniedbania na służbie. Picie w pracy, ewidentny alkoholik. Wielokrotne stosowanie przemocy. Narkotyki. Zawinił śmierci co najmniej jednego z kolegów, chociaż nie został za to skazany. Krótko mówiąc, ma na sumieniu więcej przestępstw niż większość kryminalistów, których zapuszkował. A poza tym współpraca z nim to prawdziwe piekło.

– Rzeczywiście sporo. Czemu wobec tego w ogóle bierzesz go pod uwagę, skoro jest taki nieobliczalny?

– Ponieważ jest najlepszy. I ponieważ może się przydać w tej drugiej wspomnianej przez ciebie kwestii.

– Tak?

– Ze względu na rozwiązane sprawy jest jednym z niewielu śledczych, którzy mają coś w rodzaju twarzy publicznej. A poza tym wizerunek osoby bezkompromisowej, niezłomnej, „olewającej wszystko”. To oczywiście przesada, ale ludzie lubią takie mity. A taki wizerunek może stłumić podejrzenia, że prowadzone przez niego śledztwo jest kupione.

– Johanie Krohn, teraz jesteś wart każdej zainwestowanej korony. – Røed uśmiechnął się szeroko. – Angażujemy go!

– Problem...

– Nie! Po prostu podnoś stawkę, dopóki się nie zgodzi.

– ...polega na tym, że najwyraźniej nikt dokładnie nie wie, gdzie on teraz jest.

Røed sięgnął po szklankę z whisky, ale się nie napił. Zajrzał tylko do niej z dezaprobatą.

– Co masz na myśli, mówiąc „dokładnie”?

– Zdarza mi się spotykać służbowo z Katrine Bratt, szefową Wydziału Zabójstw, w którym on wcześniej pracował. Gdy o niego spytałem, powiedziała, że ostatni znak życia dał z wielkiego miasta, ale nie znała jego adresu i nie miała pojęcia, co on tam robi. W jej głosie nie było optymizmu związanego z jego przyszłością, że tak powiem.

– Hej, Johan, nie wycofuj się teraz, kiedy już mi go sprzedałeś! Musimy go mieć, czuję to. Więc go znajdź.

Krohn westchnął. Znów pożałował. Będąc żądnym chwały karierowiczem, oczywiście dał się złapać w klasyczną pułapkę „pokaż, że jesteś najlepszy”, jaką Markus Røed prawdopodobnie zastawiał co drugi dzień. Ale z jedną nogą w potrzasku było już za późno na odwrót. Będzie musiał wykonać sporo telefonów. Spróbował obliczyć różnicę czasu. Okej, trzeba zacząć od razu.

3

Sobota

Alexandra Sturdza, myjąc ręce wyćwiczonymi ruchami, tak starannymi, jakby miała wkrótce dotykać żywej osoby, a nie zwłok, uważnie przyglądała się odbiciu własnej twarzy w lustrze nad umywalką. Ta twarz była twarda, naznaczona bliznami po ospie. Włosy – mocno ściągnięte do tyłu i spięte w kok – kruczoczarne, lecz Alexandra czekała już na pierwsze siwe pasma – u jej matki Rumunki pojawiły się zaraz po trzydziestce. Mężczyźni w Norwegii mówili, że z jej piwnych oczu strzelają błyskawice, zwłaszcza gdy któryś usiłował naśladować jej prawie niezauważalny akcent. A gdy żartowali sobie z jej ojczyzny – niektórzy uważali ten kraj za jeden wielki żart – opowiadała, że pochodzi z Timişoary, pierwszego europejskiego miasta, w którym elektryczne oświetlenie ulic założono już w roku 1884, dwa pokolenia wcześniej niż w Oslo. Kiedy jako dwudziestolatka przyjechała do Norwegii, nauczyła się języka w ciągu sześciu miesięcy, dodatkowo pracując w trzech miejscach. Zeszła do dwóch, kiedy studiowała chemię na Norweskim Uniwersytecie Naukowo-Technicznym, a teraz pracowała tylko w Instytucie Medycyny Sądowej, ale jednocześnie pisała pracę doktorską na temat analizy DNA. Od czasu do czasu – niezbyt często – zadawała sobie pytanie, co sprawia, że jest tak atrakcyjna dla mężczyzn. Nie mogło chodzić o jej twarz i bardzo bezpośredni, a niekiedy wręcz brutalny sposób bycia. Ani o jej intelekt i CV, które mężczyźni postrzegali chyba raczej jako groźne niż podniecające. Westchnęła. Pewien facet powiedział kiedyś, że jej ciało jest jak skrzyżowanie tygrysa z lamborghini. Dziwne, że taki idiotyczny komentarz potrafi zabrzmieć bardzo źle albo być w pełni do zaakceptowania, ba, wręcz przyjemny, w zależności od tego, z czyich padł ust. Zakręciła kran i przeszła do sali sekcyjnej.

Helgego zastała już na miejscu. Dwa lata od niej młodszy technik sekcyjny był bystry i skłonny do śmiechu, a Alexandra jedno i drugie uważała za wielką zaletę w pracy przy zmarłych, kiedy zadanie polega na wyciągnięciu ze zwłok tajemnic wyjaśniających, w jaki sposób doszło do zgonu. Helge był bioinżynierem,

a Alexandra inżynierem chemikiem i oboje posiadali kwalifikacje do przeprowadzania oględzin zwłok, ale nie do pełnych sekcji. Mimo to niektórzy patolodzy usiłowali podkreślić swoją rangę, nazywając techników sekcyjnych Diener, czyli służącymi, co było spadkiem po niemieckich patologach starej szkoły. Helge się tym nie przejmował, Alexandra musiała jednak przyznać, że od czasu do czasu ją to irytowało. Zwłaszcza w dni takie jak ten, kiedy stawiała się do pracy i robiła wszystko to, co podczas wstępnego badania zwłok zrobiłby patolog – i tak samo dobrze. Helge był jej ulubieńcem w Instytucie Medycyny Sądowej. Zawsze przychodził, gdy go o to poprosiła, a nie każdego Norwega dało się na to namówić w sobotę. Albo po szesnastej w dzień powszedni. Od czasu do czasu zastanawiała się, w którym miejscu na skali standardu życia znajdowałby się ten stroniący od pracy kraj, gdyby Amerykanie nie znaleźli ropy na jego szelfie kontynentalnym.

Podkręciła moc lampy wiszącej nad nagim ciałem młodej kobiety na stole. Zapach zwłok zależał od wielu czynników: wieku, przyczyny śmierci, zażywanych leków, diety i oczywiście od tego, jak daleko posunął się proces rozkładu. Alexandra nie miała żadnych problemów z odorem gnicia, ekskrementów i uryny. Radziła sobie nawet z gazami wytwarzanymi w procesie gnilnym, które ciało od czasu do czasu wypuszczało z siebie z przeciągłym sykiem. Pokonywały ją jednak płyny żołądkowe, fetor wymiocin, żółci i rozmaitych kwasów. Pod tym względem Susanne Andersen nie wyglądała aż tak źle, nawet po trzech tygodniach na dworze.

– Nie ma larw? – spytała Alexandra.

– Usunąłem. – Helge podniósł butelkę z octem, z którego korzystali.

– Ale je zachowałeś?

– Owszem. – Pokazał na szklany pojemnik z kilkunastoma białymi larwami. Zatrzymywali je, ponieważ ich wielkość ujawniała, jak długo żywiły się zwłokami, a zatem kiedy się wykluły; ergo mogły zdradzić czas zgonu, chociaż liczony nie w godzinach, ale w dniach lub tygodniach.

– Powinniśmy szybko się z tym uporać – stwierdziła Alexandra. – Wydział Zabójstw chce tylko określenia prawdopodobnej przyczyny zgonu. I oględzin zewnętrznych. Pobrania próbki krwi, moczu, płynów ciała. W poniedziałek patolog przeprowadzi pełną sekcję. Masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór? Tutaj...

Helge sfotografował wskazane przez nią miejsce.

– Myślałem o tym, żeby obejrzeć jakiś film – odparł.

– A co powiesz na pójście ze mną do klubu gejowskiego, żeby potańczyć?

Zrobiła notatki na formularzu i znów pokazała palcem.

– Tutaj.

– Nie umiem tańczyć.

– Bzdura! Wszyscy geje umieją tańczyć. Widzisz tę ranę na szyi? Zaczyna się od lewej strony, potem się pogłębia i znów jest płytsza z prawej. To wskazuje na praworęcznego zabójcę, który przytrzymywał ofiarę, stojąc za jej plecami. Któryś z patologów opowiadał zresztą o ranie wyglądającej właśnie tak, więc zakładano zabójstwo, a okazało się, że facet sam sobie poderżnął gardło. Trzeba być bardzo zdecydowanym, żeby to zrobić. No i co, pójdziesz potańczyć z gejami?

– A jeśli nie jestem gejem?

– No to – Alexandra zrobiła notatkę – już w ogóle nigdzie się z tobą nie wybiorę.

Roześmiał się głośno i pstryknął kolejne zdjęcie.

– Ponieważ...?

– Ponieważ wtedy blokujesz drogę innym facetom. Dobry skrzydłowy musi być gejem.

– Mogę udawać, że jestem.

– To tak nie działa. Mężczyźni wyczuwają zapach testosteronu i od razu się wycofują. Jak myślisz, co to może być?

Przytrzymała szkło powiększające tuż pod brodawką piersi Susanne Andersen.

Helge bardziej się pochylił.

– Może zaschnięta ślina. Albo śluz z nosa. W każdym razie nie sperma.

– Zrób zdjęcie, a ja trochę zeskrobię i w poniedziałek sprawdzę w laboratorium, co to jest. Przy odrobinie szczęścia będziemy mieć materiał do badania DNA.

Helge pstrykał, podczas gdy Alexandra badała jamę ustną, uszy, nozdrza i oczy denatki.

– Jak myślisz, co tu się stało? – Zapaliła latarkę punktową i poświeciła nią w pusty oczodół.

– Zwierzęta?

– Prawdę mówiąc, nie sądzę. – Oświetliła brzegi oczodołu. – Nie ma szczątków gałki ocznej ani żadnej rany wokół oka, pozostawionej przez szpony ptaka czy pazury gryzonia. I dlaczego zwierzę nie zabrało też drugiego oka? Zrób tu zdjęcie.

– Znów poświeciła w oczodół. – Widzisz, że nerwy wydają się przecięte w jednym miejscu, jakby nożem?

– O cholera! – zaklął Helge. – Kto robi coś takiego?

Alexandra pokręciła głową.

– Zagniewani mężczyźni. Bardzo, bardzo zagniewani i bardzo chorzy mężczyźni. A tacy gdzieś krążą. Może i ja raczej zostanę dziś w domu i obejrzę jakiś film?

– Aha, na pewno.

– Okej. Sprawdźmy, czy wykorzystał ją także seksualnie.

Stwierdzili, że na genitaliach nie ma żadnych wyraźnych uszkodzeń ani też śladów spermy. Gdyby nasienie znajdowało się w waginie, i tak już dawno by się wchłonęło. Patolog miał jeszcze raz sprawdzić to wszystko w poniedziałek, lecz Alexandra była przekonana, że on czy też ona nie stwierdzi nic innego.

Po tym wszystkim zrobili sobie przerwę na papierosa. Alexandra nie była nałogową palaczką, lecz mgliście wyobrażała sobie, że paląc, przeganiają z dymem ewentualne demony zmarłych, które w nich zamieszkały. Zaciągnęła się i rozejrzała po Oslo. Popatrzyła na fiord lśniący pod bladym bezchmurnym niebem jak srebro. Na niskie wzgórza płonące jesiennie czerwienią i żółcią.

– Cholera, ale tu pięknie! – westchnęła.

– Mówisz w taki sposób, jakbyś nie chciała, żeby tak było. – Helge wziął od niej papierosa.

– Nienawidzę przywiązywać się do różnych rzeczy.

– Rzeczy?

– Do miejsc. I do ludzi.

– Do mężczyzn?

– Zwłaszcza do mężczyzn. Oni odbierają wolność. To znaczy nie odbierają, bo oddaje się ją dobrowolnie, po kretyńsku, jak gdyby się było tak zaprogramowaną. A wolność jest warta więcej niż mężczyźni.

– Pewna jesteś?

Znów zabrała mu papierosa i zaciągnęła się, mocno, gniewnie. Równie mocno wydmuchała dym i zaśmiała się tym swoim ochrypłym, twardym śmiechem.

– Przynajmniej niż ci, na których zwracam uwagę.

– A co z tym policjantem, o którym mi opowiadałaś?

– Ach, on. – Znów się roześmiała. – Tak, ten mi się podobał. Ale był wrakiem. Żona wykopała go z domu, cały czas pił.

– Gdzie jest teraz?

– Żona umarła, a on uciekł z kraju. Tragiczna historia. – Alexandra gwałtownie się poderwała. – No, chodźmy to skończyć i schować zwłoki do lodówki. Chcę się gdzieś zabawić!

Wrócili do sali sekcyjnej, pobrali ostatnie próbki, wypełnili do końca formularz i zaczęli sprzątać.

– À propos – odezwała się Alexandra. – Wiesz, że ja też byłam zaproszona na tę imprę, na której były ta tutaj i tamta druga dziewczyna? I pytałam, czy ze mną pójdziesz.

– Żartujesz.

– Nie pamiętasz? Zaprosiła mnie przyjaciółka jednego z sąsiadów Røeda. Impreza miała się odbywać na tym wypasionym wspólnym tarasie na dachu w Oslobukta. Miało być na niej dużo bogatych ludzi, celebrytów i znanych balowiczów. A dziewczyny miały obowiązkowo przyjść w sukienkach, koniecznie krótkich.

– Fuj! – skrzywił się Helge. – No to rozumiem, dlaczego nie poszłaś.

– Brednie. Oczywiście, że bym poszła, gdyby tamtego dnia nie było tu tyle roboty. A ty poszedłbyś ze mną.

– Naprawdę? – Helge się uśmiechnął.

– Jasne – roześmiała się Alexandra. – Jestem przecież twoją fag hag. Potrafisz to sobie wyobrazić? Ty, ja i the beautiful people?

– Yes.

– Sam widzisz, jesteś gejem.

– Co? Dlaczego?

– Helge, odpowiedz mi szczerze: spałeś kiedyś z facetem?

– Chwileczkę... – Helge zaczął przesuwać stół ze zwłokami. – Owszem.

– Więcej niż raz?

– Z tego powodu wcale nie muszę być gejem – zauważył, wyciągając wielką metalową szufladę.

– Skąd, to tylko poszlaki. Dowodem, Watsonie, jest to, że gdy zarzucasz sweter na jedno ramię, wiążesz rękawy pod drugą pachą.

Helge się zaśmiał, sięgnął po jedną z białych serwet leżących na stole z narzędziami i trzepnął nią koleżankę. Alexandra, ze śmiechem robiąc unik, schyliła się przy stole z ciałem od strony głowy. I tak już zastygła, pochylona, wpatrując się w denatkę.

– Helge – powiedziała cicho.

– Tak?

– Chyba coś przeoczyliśmy.

– Naprawdę?

Wyciągnęła rękę w stronę głowy Susanne Andersen, uniosła i odsunęła na bok włosy.

– O co chodzi? – zainteresował się Helge.

– Szwy – odparła Alexandra. – Świeże.

Helge okrążył stół.

– O rany! Czyżby się niedawno pokaleczyła?

Alexandra podniosła więcej włosów, odsłaniając kolejne szwy.

– Tego nie szył profesjonalista, Helge. Żaden lekarz nie używa takich grubych nici i nie zakłada takich wielkich szwów. To zostało zszyte na okrętkę, w pośpiechu. I zobacz, szwy biegną wokół całej głowy.

– Jakby... – zaczął Helge.

– Jakby została oskalpowana. – Alexandra poczuła na plecach zimny dreszcz. – A potem skalp przyszyto z powrotem.

Spojrzała na kolegę i zobaczyła, że jego grdyka porusza się w górę i w dół.

– Czy... – odezwał się w końcu. – Czy sprawdzamy, co jest... pod spodem?

– Nie – stwierdziła Alexandra zdecydowanie i wreszcie się wyprostowała. Już i tak przynosiła z tej pracy do domu dość koszmarów. A patolodzy zarabiali rocznie dwieście tysięcy więcej niż ona, więc niechże sobie na to zapracują. – To przekracza nasze kompetencje – oświadczyła. – Diener, jak ty czy ja, zostawia takie rzeczy dorosłym.

– Okej. I drugie okej w kwestii imprezy.

– Świetnie – powiedziała Alexandra. – Ale musimy dokończyć raport i wysłać go razem ze zdjęciami do Bratt z Wydziału Zabójstw. Niech to szlag!

– Co?

– Właśnie sobie uświadomiłam, że kiedy Bratt przeczyta o ślinie, czy co to tam jest, z pewnością poprosi mnie o ekspresową analizę DNA. A jeśli tak, to nie da się wyjść na miasto dziś wieczorem.

– E tam, chyba możesz odmówić. Powiedzieć, że ty też musisz mieć trochę wolnego.

Alexandra ujęła się pod boki, przechyliła głowę i popatrzyła surowo na Helgego.

– Zgadza się – westchnęła. – Ale jaka przyszłość nas czeka, jeśli wszyscy ciągle będą robić sobie wolne?

4

Sobota. Królicza nora

Harry Hole się obudził. Wnętrze bungalowu spowijał półmrok, ale biała smuga światła wpadającego pod bambusową roletą ciągnęła się po podłodze z surowych desek przez kamienną płytę pełniącą funkcję stołu w salonie aż po kuchenny blat.

Siedział tam kot. Jeden z kotów Lucille. Miała ich w głównym domu tyle, że Harry nie potrafił odróżnić jednego od drugiego. Kot wyglądał tak, jakby się uśmiechał. Powoli poruszał ogonem, spokojnie obserwując mysz sunącą wzdłuż ściany. Mysz od czasu do czasu podnosiła nos i węszyła, po czym wędrowała dalej. W stronę kota. Czyżby była ślepa? Nie miała węchu? Nażarła się trawy Harry'ego? A może tak jak tylu innych poszukiwaczy szczęścia w tym mieście uważała, że jest inna, wyjątkowa? Albo że ten kot jest inny, że wyjątkowo pragnie jej dobra, a nie ją zjeść?

Harry sięgnął na nocną szafkę po jointa, cały czas obserwując mysz, która podeszła aż do kota. Wtedy drapieżnik zaatakował: chwycił mysz w zęby i podniósł. Przez chwilę rzucała się w jego paszczy, po czym zwiotczała. Kot położył zdobycz na podłodze i przyglądał jej się, lekko przekrzywiając łepek, jakby nie mógł się zdecydować, czy ma ją zjeść, czy nie.

Harry zapalił jointa. Doszedł do wniosku, że jointy nie liczą się w tym nowym reżimie picia, który wdrożył. Zaciągnął się. Patrzył na dym wijący się pod sufitem. Znów śnił mu się tamten facet za kierownicą camaro. I tablica rejestracyjna z napisem „Baja California Mexico". Znów to samo, facet ich ścigał. Czyli że sen nie zawierał żadnej zagadki. Minęły trzy tygodnie od tamtej chwili, kiedy Harry stał na parkingu przy Creatures przed wycelowanym w siebie glockiem 17, przekonany, że w ciągu sekundy albo dwóch umrze, co przyjmował ze spokojem. Dlatego było dziwne, że po upływie tych dwóch sekund w głowie miał tylko jedno: nie umrzeć. To nie przemijało. Zaczęło się od tego, że ten człowiek w koszulce polo się zawahał, może rozważał ewentualność, że Harry to zwykły wariat,

stanowiący łatwą do pokonania przeszkodę, którą niekoniecznie trzeba zastrzelić. Dużo więcej pomyśleć nie zdążył, bo uderzenie dłuta Harry’ego trafiło go prosto w krtań, a w wyniku tego runął na ziemię i można go było liczyć. Facet zaczął się wić na żwirze jak wąż, z rękami przyciśniętymi do szyi i oczami wychodzącymi z orbit, rozpaczliwie próbując złapać powietrze. Harry podniósł z ziemi glocka i spojrzał na mężczyznę w samochodzie. Przez przydymione szyby zobaczył niewiele, jedynie zarys twarzy i to, że facet był chyba w zapiętej pod szyję białej koszuli lub czymś podobnym. I że palił papierosa albo cygaretkę. Nic więcej nie robił, tylko spokojnie patrzył na Harry’ego i jak gdyby go oceniał, starając się go zapamiętać. Nagle Harry usłyszał, że ktoś woła: „Get in!”, i zorientował się, że Lucille zdołała uruchomić własny samochód i otworzyła drzwiczki po stronie pasażera.

Tak więc wsiadł. Wskoczył do króliczej nory.

Kiedy Lucille zaczęła zjeżdżać w stronę Sunset Boulevard, spytał przede wszystkim, komu jest winna pieniądze i ile.

Pierwsza odpowiedź – „rodzinie Esposito” – niewiele mu wyjaśniła, za to druga – „dziewięćset sześćdziesiąt tysięcy dolarów” – potwierdziła to, co powiedział mu już wcześniej glock, a mianowicie, że Lucille ma kłopoty, i to nie zwyczajne, lecz wielkie. I że kłopoty od tej chwili dotyczą również jego.

Wytłumaczył, że w żadnych okolicznościach nie wolno jej jechać do domu, i spytał, czy zna kogoś, u kogo mogłaby się ukryć. Odparła, że owszem, ma w Los Angeles wielu przyjaciół. Ale po namyśle dodała, że nikt nie zechce tak dla niej ryzykować. Zatrzymali się na stacji benzynowej, skąd Lucille zadzwoniła do swojego pierwszego męża, który, jak wiedziała, ma dom nieużywany od wielu lat.

Właśnie w taki sposób trafili do tej posiadłości z domostwem w ruinie, zarośniętym ogrodem i bungalowem. Harry ze swoim nowym nabytkiem, glockiem 17, zainstalował się w bungalowie, ponieważ miał stąd widok na dwie bramy, a także alarm, który włączyłby się, gdyby ktoś się włamał do głównego budynku. Ewentualni intruzi nie usłyszeliby tego alarmu, liczył więc, że przychodząc z zewnątrz, mógłby ich zaskoczyć. Do tej pory oboje z Lucille prawie nie wychodzili poza teren, wyprawiali się jedynie po najniezbędniejsze zakupy: alkohol, żywność, ubrania i kosmetyki. Właśnie w takiej kolejności. Lucille zainstalowała się na piętrze głównego domu, który już po tygodniu zapełnił się kotami.

– O, to jest miasto bezdomnych – odparła Lucille, kiedy o to spytał. – Wystarczy przez trzy dni z rzędu wykładać jedzenie na schody, zostawić uchylone drzwi wejściowe i więcej jedzenia w kuchni, pstryk, i masz zwierzęta domowe, a zarazem przyjaciół, których wystarczy na całe życie.

Ale mimo wszystko nie całkiem wystarczyło. Bo trzy dni temu Lucille nie mogła już dłużej wytrzymać tej izolacji. Zabrała Harry'ego do znajomego byłego krawca z Savile Row, do podstarzałego fryzjera na Rosewood Avenue i – najważniejsze ze wszystkiego – do sklepu obuwniczego Johna Lobba w Beverly Hills. Wczoraj Harry odebrał garnitur, a Lucille w tym czasie się wyszykowała i kilka godzin później poszli coś zjeść do Dan Tana's, legendarnej włoskiej restauracji, w której krzesła były równie zużyte, jak klientela, lecz Lucille ewidentnie znała tam wszystkich i przez cały wieczór promieniała jak słońce.

Była siódma. Harry się zaciągnął i zapatrzył w sufit. Nasłuchiwał odgłosów, których nie powinno tu być. Słyszał jedynie pierwsze samochody na Doheny Drive, ulicy wprawdzie nie najszerszej, ale popularnej, ponieważ było na niej mniej świateł niż na tych równoległych. Przypomniało mu to leżenie w łóżku we własnym mieszkaniu w Oslo i słuchanie, jak za otwartym oknem budzi się miasto. Tęsknił za tym, nawet za rozzłoszczonym dzwonieniem i przenikliwym krzykiem hamującego tramwaju. Zwłaszcza za tym przenikliwym krzykiem.

Ale Oslo było już za nim. Po śmierci Rakel siedział na lotnisku, wpatrzony w tablicę odlotów, i rzucił kostką, która zdecydowała, że jego celem będzie Los Angeles. Uznał, że to rozwiązanie równie dobre, jak każde inne. Kiedyś przez rok mieszkał w Chicago, uczestniczył wtedy w organizowanym przez FBI kursie dotyczącym prowadzenia śledztwa w sprawach seryjnych zabójstw, więc sądził, że zna amerykańską kulturę i sposób życia. Wkrótce po przyjeździe zrozumiał jednak, że Chicago i Los Angeles to dwie różne planety. Wczoraj wieczorem w Dan Tana's jeden z przyjaciół Lucille ze świata filmu, niemiecki reżyser mówiący z wyraźnym twardym akcentem, tak opisał Los Angeles:

– Lądujesz na LAX, świeci słońce, a ciebie odbiera szofer limuzyny, która wiezie cię do jakiegoś miejsca, gdzie kładziesz się przy basenie, dostajesz koktajl, zasypiasz, budzisz się i odkrywasz, że minęło dwadzieścia lat twojego życia.

Tak wyglądało Los Angeles reżyserów.

Spotkanie Harry'ego z tym miastem polegało na czterech nocach w obskurnym zakaraluszonym pokoju motelowym bez klimatyzacji przy La Cienega, zanim

udało mu się wynająć jeszcze tańszy pokój w Laurel Canyon, również bez klimatyzacji, za to z większymi karaluchami. Ale w pewnym sensie zadomowił się tu po odkryciu w sąsiedztwie baru Creatures, gdzie alkohol okazał się dostatecznie tani, by Harry mógł przyznać, że zapicie się na śmierć powinno mu się udać.

Po tym jednak, jak gapił się w lufę glocka 17, ochota na śmierć się skończyła. A tym samym skończyło się picie – przynajmniej ten rodzaj picia. Jeśli miał sobie poradzić z czuwaniem i pilnowaniem Lucille, musiał być jako tako trzeźwy. Dlatego zdecydował się przetestować reżim picia polecany przez przyjaciela z dzieciństwa i kompana od wypitki Øysteina Eikelanda. Chociaż szczerze mówiąc, wydawało mu się to bzdurą. Metoda nazywała się Moderation Management i miała zrobić z człowieka konsumenta używek, a więc nadużywającego, ale z pewnym umiarkowaniem. Øystein, reklamując ją, mówił z takim zapałem, że aż walił w kierownicę, gdy siedzieli w jego taksówce na postoju w Oslo.

– Ludzie zawsze naśmiewają się z alkoholika, który przysięga, że od tej pory będzie wypijał tylko kieliszek w sytuacjach towarzyskich, no nie? Bo uważają, że wiedzą, że tak się nie da. Są o tym przekonani. To jakby prawo powszechnego ciążenia alkoholizmu. Ale wiesz co? Można się upić umiarkowanie, nawet takim pełnokrwistym alkoholikom jak ty i ja powinno się to udać. Można się tak zaprogramować, żeby pić tylko do pewnego momentu i wtedy przerwać. Wystarczy z góry zdecydować, gdzie przebiega granica, po ilu jednostkach. No ale oczywiście trzeba to ćwiczyć.

– Musisz sporo wypić, zanim się w tym połapiesz? O to ci chodzi?

– Tak. Śmiejesz się z tego, Harry, ale ja mówię serio. Chodzi o poczucie, że się nad czymś panuje. Świadomość, że możesz. I wtedy się udaje. Wcale nie żartuję. Mam dowód: najlepszego nadużywającego na świecie.

– Mhm. Przypuszczam, że rozmawiamy o tym gitarzyście, którego notorycznie przeceniasz.

– Hej, trochę szacunku dla Keitha Richardsa! Poczytaj sobie jego biografię. On tam przedstawia przepis. Heroinista i alkoholik ma szansę na przeżycie pod dwoma warunkami: wyłącznie najczystsze i najlepsze narkotyki, bo to domieszki odbierają ci życie. Drugi warunek to umiarkowanie. To dotyczy i narkotyków, i alkoholu. Musisz wiedzieć, ile dokładnie potrzebujesz, żeby się odpowiednio upić, czyli w twoim wypadku osiągnąć stan bez bólu. Przecież większa ilość alkoholu wcale nie łagodzi cierpienia bardziej, prawda?

– Pewnie tak.

– No właśnie. Upijanie się to nie to samo co bycie idiotą czy człowiekiem pozbawionym woli. Przecież potrafisz nie pić, kiedy jesteś trzeźwy, więc dlaczego miałbyś nie umieć przestać w momencie, kiedy jesteś odpowiednio pijany? It’s all in your head, brother!

Zasady nakazywały – oprócz wyznaczenia sobie granicy – liczenie jednostek oraz określenie stałych dni postu. Plus zażycie jednej tabletki naltreksonu na godzinę przed wypiciem pierwszego drinka. Już samo przesuwanie picia o godzinę, gdy nagle pojawiało się pragnienie, rzeczywiście pomagało. Harry przestrzegał tego reżimu od trzech tygodni i jeszcze nie pękł. To już coś.

Spuścił nogi z łóżka i wstał. Nie musiał otwierać lodówki, i tak wiedział, że piwo się skończyło. Zgodnie z zasadami Moderation Management dziś mógł wypić maksymalnie trzy jednostki. Z definicji wynikało, że jednostka to sześciopak ze sklepu 7-eleven znajdującego się przy ulicy kawałek dalej. Przejrzał się w lustrze. W ciągu tych trzech tygodni od ucieczki z Creatures rzeczywiście nabrał trochę ciała. Nie był już taki chudy i wyrosła mu siwa, niemal biała broda. Zasłaniała jego najbardziej rzucający się w oczy znak szczególny: bliznę w kolorze wątroby. Wątpił jednak, czy to wystarczy, żeby człowiek z camaro go nie rozpoznał. Wyglądając przez okno na ogród i główny budynek, wciągnął wystrzępione dżinsy i T-shirt, który zaczynał się pruć przy dekolcie nad tekstem Let Me Do One More zespołu illuminati hotties. Wsadził do uszu stare przewodowe słuchawki połączone z telefonem, a stopy wsunął w japonki, zauważając przy tym, że grzybica wykonała coś w rodzaju groteskowego arcydzieła z paznokcia na paluchu prawej stopy. Wyszedł w plątaninę trawy, krzewów i drzew żakarandy. Zatrzymał się przy bramie, popatrzył w górę i w dół Doheny Drive. Wszystko wydawało się w porządku. Włączył muzykę, Pool Hopping illuminati hotties, piosenkę, która poprawiała mu humor od chwili, gdy usłyszał ją po raz pierwszy na żywo w Zebulon Café. Ale przeszedłszy kilka metrów chodnikiem, w bocznym lusterku jednego z zaparkowanych samochodów spostrzegł, że od krawężnika rusza jakieś auto. Maszerował dalej w tym samym tempie, ostrożnie odwracając głowę i sprawdzając. Samochód toczył się z jednakową prędkością w odległości dziesięciu metrów za nim. Kiedy Harry mieszkał w Laurel Canyon, dwukrotnie zatrzymał go patrol policyjny, całkiem po prostu dlatego, że poruszał się pieszo i wyłącznie z tego powodu był osobą podejrzaną. To jednak nie był wóz policyjny,

lecz stary lincoln, i na tyle, na ile Harry był w stanie to ocenić, w samochodzie siedział tylko jeden człowiek. Szeroka twarz buldoga, podwójny podbródek, nieduże wąsy. Cholera, powinien był wziąć glocka. Nie wyobrażał sobie jednak, by do ataku miało dojść na otwartej ulicy, w pełnym świetle dziennym. Nie zmieniał więc tempa marszu. Dyskretnie wyłączył muzykę. Przeciął ulicę tuż przed Santa Monica Boulevard i wszedł do 7-eleven. Stanął tam i czekał, wyglądając przez szybę, ale nie zobaczył już lincolna. Może to był po prostu potencjalny nabywca willi, który jechał wolno, oglądając nieruchomości wzdłuż Doheny.

Ruszył w głąb sklepu. Przeszedł między regałami w stronę stojących na samym końcu lodówek z piwem. Usłyszał odgłos otwierających się drzwi. Stanął z ręką zaciśniętą na uchwycie szklanych drzwiczek, lecz nimi nie poruszał, aby móc obserwować odbicie w szybie. I facet się pojawił. Ubrany w tani garnitur w drobną kratkę, z ciałem pasującym do twarzy buldoga: niewysoki, krępy, tłusty. Ale tłusty w sposób mogący stanowić kamuflaż szybkości, siły oraz – Harry poczuł, że serce zaczyna mu przyspieszać – śmiertelnego zagrożenia. Zorientował się, że człowiek za jego plecami nie sięgnął po broń. Jeszcze. Harry nie wyjął słuchawek z uszu, bo to mogło mu dać szansę, jeśli tamten sądził, że uda mu się wykorzystać moment zaskoczenia.

– Mister...

Harry udał, że go nie słyszy, ale zobaczył, że mężczyzna staje tuż za jego plecami. Był prawie o dwie głowy niższy od Harry’ego, a teraz wyciągnął rękę. Może po to, by postukać go w ramię, a może w zupełnie innym celu. Harry nie zamierzał czekać na sprawdzenie przyczyny. Lekko zwrócił się w stronę mężczyzny i błyskawicznie zarzucił mu rękę na szyję, jednocześnie drugą ręką otwierając szklane drzwiczki. Zdecydowanie obrócił się z powrotem do tyłu, a w tym samym czasie kopniakiem podciął nogi tamtemu, tak by runął na półki z piwem. Harry puścił jego szyję i ciężarem ciała naparł na drzwiczki lodówki, by przycisnęły głowę mężczyzny do półek. Butelki się poprzewracały, a ręce mężczyzny uwięzły. W twarzy buldoga szeroko otworzyły się oczy i za szklanymi drzwiczkami rozległ się krzyk. Oddech zaparowywał szkło schłodzone od środka. Harry nieco poluzował – wtedy głowa mężczyzny osunęła się na dolne półki – a potem znów pchnął. Krawędź drzwiczek wcisnęła się w szyję mężczyzny i oczy zaczęły wychodzić mu z orbit; ucichł, wzrok znieruchomiał, a szkło przy jego ustach przestała pokrywać para.

Harry stopniowo zwalniał nacisk na drzwiczki. Mężczyzna osunął się bez życia na podłogę. Bez wątpienia nie oddychał. Harry musiał błyskawicznie ocenić priorytety: zdrowie tego człowieka kontra własne. Wybrał własne, wsunął dłoń pod kraciastą marynarkę grubasa i wyjął portfel. Otworzył go i ujrzał zdjęcie twarzy mężczyzny w dowodzie tożsamości. Polsko brzmiące nazwisko i bardziej interesujący napis wielkimi literami na górze karty: Private Investigator Licenced by The California Bureau of Security and Investigative Services.

Harry patrzył na znieruchomiałego mężczyznę. To się nie zgadzało. Egzekutorzy długów nie postępowaliby w ten sposób. Być może wynajęliby autoryzowanego prywatnego detektywa, aby go znalazł, lecz nie po to, by się z nim kontaktował lub go unieszkodliwił.

Nachylił się i wtedy zauważył innego mężczyznę stojącego między regałami. Miał na sobie koszulkę 7-eleven, ale ręce wyciągnięte przed siebie w stronę Harry'ego. Dłonie zaciskały się na rewolwerze. Harry widział, że kolana mu się uginają, a mięśnie twarzy drgają w niekontrolowany sposób. I zobaczył to, co widział sprzedawca z 7-eleven: brodacza ubranego jak bezdomny, z portfelem człowieka w garniturze, którego ewidentnie przed chwilą załatwił.

– Don't... – powiedział Harry. Odłożył portfel, podniósł obie ręce i uklęknął. – I'm a regular here. This man...

– I saw what you did! – przerwał mu sprzedawca cienkim głosem. – I shoot! The police is coming!

– OK. – Harry wskazał na grubasa. – But let me try to help this man, OK?

– Move and I shoot!

– But... – zaczął Harry, ale urwał, widząc, że kurek rewolweru się podnosi.

W ciszy, która zapadła, słychać było tylko warkot lodówki i dobiegający z oddali odgłos syreny. Policja. Policja i to, co nieuchronnie musiało nastąpić. Przesłuchania, może zarzuty. Niedobrze. Absolutnie niedobrze. Harry już dawno przekroczył swoje welcome, jak nazywali to Amerykanie, i nie miał żadnych papierów, które powstrzymałyby ich przed wyrzuceniem go z kraju. Ewentualnie przedtem wsadziliby go do więzienia. Odetchnął głęboko. W większości krajów dokonałby defensywnego odwrotu, to znaczy wstał z rękami nad głową i spokojnie stamtąd wyszedł, w niezachwianym przekonaniu, że nikt nie pośle za nim kuli, chociaż wyglądał na bandytę. Ale to nie był jeden z tych krajów.

– I shoot! – powtórzył sprzedawca jakby w odpowiedzi na rozważania Harry’ego i szerzej rozstawił nogi.

Kolana przestały mu się trząść. Syreny słychać było coraz bliżej.

– Please, I must help... – zaczął Harry, ale jego dalsze słowa zagłuszył nagły gwałtowny kaszel.

Obaj spojrzeli na mężczyznę leżącego na podłodze.

Oczy detektywa znów zaczęły wychodzić z orbit, kasłał tak, że cały dygotał. Sprzedawca z 7-eleven zaczął poruszać bronią, celując to w jednego, to w drugiego, jakby nie miał pewności, czy ten, którego dotychczas miał za martwego, również nie stanowi zagrożenia.

– Sorry – szepnął detektyw, z trudem łapiąc oddech – for sneaking up on you like that. But you are Harry Hole, right?

– Well. – Harry zawahał się, oceniając, które zło będzie najmniejsze. – Yes, I am.

– I have a client who needs to get in touch with you. – Mężczyzna z jękiem przetoczył się na bok, wyjął z kieszeni spodni telefon, nacisnął guzik i podał aparat Harry’emu. – They are eagerly awaiting our call.

Harry wziął do ręki telefon, w którym już trwało łączenie. Przyłożył go do ucha.

– Hello? – rozległ się głos w aparacie. Dziwne, ale brzmiał znajomo.

– Hello – odparł Harry, patrząc na mężczyznę z 7-eleven, który opuścił rewolwer.

Czyżby się mylił? Czy sprzedawca miał na twarzy wyraz raczej rozczarowania niż ulgi? Może jednak tu się urodził i wychował.

– Harry! – zawołał głos w telefonie. – Jak się masz? Mówi Johan Krohn.

Harry zamrugał. Kiedy ostatnio słyszał norweski?

5

Sobota. Ogon skorpiona

Lucille zepchnęła kota z łóżka z baldachimem, wstała, rozsunęła zasłony i usiadła przy toaletce przed lustrem. Przyjrzała się swojej twarzy. Niedawno widziała zdjęcie Umy Thurman, która przekroczyła już pięćdziesiątkę, ale wyglądała jak trzydziestolatka. Lucille westchnęła. Zadanie wydawało się z każdym rokiem coraz bardziej niewykonalne. Otworzyła jednak słoiczek z napisem „Chanel”, zanurzyła w nim koniuszki palców i zaczęła nakładać podkład, od środka twarzy ku brzegom. Patrzyła, jak pod palcami coraz mniej napięta skóra układa się w fałdy. I zadała sobie to samo pytanie, które zadawała każdego ranka. Po co? Po co zaczynać każdy dzień od spędzenia co najmniej pół godziny przed lustrem, aby wyglądać na kobietę, która zbliża się nie do osiemdziesiątki, tylko może do... siedemdziesiątki? A odpowiedź brzmiała tak samo jak każdego ranka: ponieważ musiała czuć się kochana i robiła wszystko, żeby to osiągnąć, podobnie jak wszyscy znajomi aktorzy chcieli być kochani. Jeśli nie za to, jacy byli, to za to, za jakich – z makijażem, kostiumem i właściwym scenariuszem – uchodzili. Tej choroby nawet starość i zminimalizowane oczekiwania i tak nie zdołały uleczyć.

Sięgnęła po swoje piżmowe perfumy. Niektórzy uważali, że piżmo tak bardzo kojarzy się z męskością, że nie pasuje do damskich pachnideł, lecz ona używała ich z wielkim powodzeniem od czasu, gdy była zupełnie młodą aktorką. Pomagały jej się wyróżnić, bo takich perfum nie zapominało się łatwo.

Zawiązała pasek szlafroka i zeszła na dół. Musiała stąpać ostrożnie, żeby ominąć dwa koty, które rozłożyły się na schodach.

Weszła do kuchni i otworzyła lodówkę. Kolejny kot natychmiast przymilnie otarł się o jej nogi. Pewnie zwęszył tuńczyka, ale tak łatwo było sobie wmówić, że ten gest zawiera również nieco miłości. Koniec końców ważniejsze było czuć się kochaną niż być kochaną. Lucille wyjęła puszkę, odwróciła się w stronę kuchennego blatu i drgnęła wystraszona na widok Harry’ego. Siedział przy stole

oparty plecami o ścianę, z długimi nogami wyciągniętymi przed siebie. Ściskał szary tytanowy palec lewej ręki, mrużąc niebieskie oczy. Miał najbardziej błękitne oczy, jakie widziała od czasów Steve’a McQueena.

Poruszył się na krześle.

– Śniadanie? – spytała Lucille, otwierając puszkę.

Harry pokręcił głową, pociągnął za tytanowy palec. Ale uwagę Lucille przykuła ręka, którą go ciągnął. Przełknęła ślinę. Chrząknęła.

– Nigdy tego nie mówiłeś, ale raczej wolisz psy, prawda?

Wzruszył ramionami.

– À propos psów, mówiłam ci, że właściwie to ja miałam grać z Robertem De Niro w Mad Dog and Glory[1]? Pamiętasz ten film?

Harry kiwnął głową.

– Naprawdę? No to jesteś jednym z niewielu. Ale rolę dostała Uma Thurman. Ona i Bobby, to znaczy Robert, zaczęli się spotykać, co było właściwie niezwykłe, bo jemu podobały się na ogół czarne kobiety. Pewnie coś w tych rolach zbliżyło ich do siebie. My, aktorzy, tak się angażujemy w to, co robimy, że stajemy się tymi, których gramy. Więc gdybym to ja dostała tę rolę, jak mi obiecywano, to parą bylibyśmy ja i Bobby. Rozumiesz?

– Mhm. Już to mówiłaś.

– A ja już umiałabym go zatrzymać. Nie tak jak Uma Thurman... – Lucille odwróciła puszkę nad talerzykiem. – Czytałeś, jak wszyscy składali jej hołd, kiedy publicznie wyznała, że ten bydlak Weinstein się do niej dobierał? Wiesz, co na ten temat myślę? Uważam, że jeśli jak Uma Thurman jesteś aktorką zarabiającą miliony i od lat wiedziałaś, co wyprawia Weinstein, ale nikomu tego nie zgłaszałaś, to kiedy wreszcie wchodzisz na boisko, żeby dokopać leżącemu, którego inne, mniej potężne, a przy tym o wiele odważniejsze kobiety powaliły na ziemię, nie należy składać ci hołdów. Kiedy całymi latami w milczeniu pozwalałaś, żeby wszystkie te młode, pełne nadziei aktorki wchodziły same do gabinetu Weinsteina, ponieważ ty ze swoimi milionami, mówiąc o tym głośno, być może – być może – straciłabyś rolę za kolejny milion dolarów, to uważam, że należy cię publicznie wybatożyć i opluć.

Umilkła.

– Coś nie tak, Harry?

– Musimy sobie poszukać jakiegoś nowego miejsca – odparł. – Znajdą nas.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Pewien prywatny detektyw potrzebował na to niespełna doby.

– Prywatny detektyw?

– Właśnie z nim rozmawiałem. Już pojechał.

– A czego chciał?

– Zaproponować mi robotę w roli prywatnego śledczego na usługach pewnego bogacza, który jest podejrzewany o zabójstwo w Norwegii.

Lucille przełknęła ślinę.

– I co odpowiedziałeś?

– Odmówiłem.

– Ponieważ?

Harry wzruszył ramionami.

– Może mam już dość uciekania.

Postawiła talerzyk na podłodze i obserwowała zbiegające się koty.

– Dobrze wiem, że robisz to dla mnie, Harry. Stosujesz się do starego chińskiego przysłowia, które mówi, że jeśli ocalisz komuś życie, to jesteś za niego odpowiedzialny aż do śmierci.

Harry uśmiechnął się krzywo.

– Lucille, ja ci nie ocaliłem życia. Im chodziło o pieniądze, które jesteś winna, a tacy ludzie nie mordują jedynej osoby, która może im je zwrócić.

Odwzajemniła się uśmiechem. Wiedziała, że Harry mówi tak, żeby ją uspokoić. Wiedziała, że tamci mają świadomość, że ona nigdy nie zdobędzie miliona dolarów.

Sięgnęła po elektryczny czajnik, żeby nalać do niego wody, ale poczuła, że nie ma siły, więc go odstawiła.

– Czyli jesteś już zmęczony uciekaniem.

– Zmęczony uciekaniem – powtórzył.

Przypomniała sobie rozmowę, którą odbyli pewnego wieczoru, kiedy popijając wino, oglądali na VHS-ie film Romeo i Julia, który Lucille znalazła w jakiejś szufladzie. Wyjątkowo wolała rozmawiać o Harrym niż o sobie. Ale powiedział jej

niewiele. Tylko tyle, że uciekł do Los Angeles od zrujnowanego życia, od zamordowanej żony, od kolegi, który popełnił samobójstwo. Żadnych szczegółów. A ona zrozumiała, że nie ma sensu w tym grzebać. Prawdę powiedziawszy, to był przyjemny wieczór, prawie bez słów.

Teraz Lucille stanęła oparta o kuchenny blat.

– Twoja żona... Nigdy nie powiedziałeś, jak miała na imię.

– Rakel.

– A to zabójstwo zostało wyjaśnione?

– O tyle o ile.

– To znaczy?

– Długo to ja byłem głównym podejrzanym, ale śledztwo w końcu skupiło się na pewnym znanym zwyrodnialcu. Swego czasu wpakowałem go za kratki.

– To znaczy... ten, kto zabił twoją żonę, zrobił to, żeby się zemścić... na tobie?

– Powiedzmy, że ten, kto ją zabił... Zniszczyłem mu życie. Dlatego on zniszczył moje. – Harry wstał. – Tak jak ci powiedziałem, potrzebujemy nowej kryjówki, więc spakuj torbę.

– Już dzisiaj?

– Kiedy prywatni detektywi kogoś szukają, sami zostawiają ślady, a wczorajsza wizyta w restauracji to raczej nie był dobry pomysł.

Lucille pokiwała głową.

– Zaraz zadzwonię w parę miejsc.

– Korzystaj z tego. – Harry położył na blacie telefon, najwyraźniej świeżo zakupiony, bo wciąż opakowany w plastik.

– Czyli on zniszczył ci życie, ale pozwolił ci żyć. Udało mu się zemścić?

– W najlepszy sposób – stwierdził Harry i ruszył do drzwi.

Zamknął za sobą drzwi do głównego domu i stanął. Patrzył. Miał dość uciekania. Ale jeszcze bardziej dość miał wpatrywania się w lufę broni. Tym razem lufy były aż dwie. Obrzyn. Człowiek, który go trzymał, był Latynosem. Podobnie jak ten, który trzymał pistolet. Obaj mieli mięśnie wytrenowane w więzieniu i wytatuowane z boku na szyjach skorpiony. Harry tak bardzo przewyższał ich wzrostem, że widział przecięty kabel alarmu, zwisający luźno przy bramie za ich plecami, a także

białego camaro, który stał zaparkowany po drugiej stronie Doheny Drive. Przydymiona szyba od strony kierowcy była do połowy opuszczona, Harry mógł więc dostrzec dym cygaretki wydobywający się z wnętrza auta i biały kołnierzyk koszuli.

– Shall we go inside? – spytał mężczyzna z obrzynem.

Mówił z wyraźnym meksykańskim akcentem, przechylając głowę z boku na bok jak bokser przed walką. Przy tym ruchu skorpion się naciągał. Harry wiedział, że tatuaż symbolizuje egzekutora długów, a liczba segmentów na ogonie skorpiona oznacza liczbę osób zabitych przez jego właściciela. U obu skorpionów ogony były długie.

6

Sobota. Życie na Marsie

– Life on Mars? – spytał Prim.

Dziewczyna po drugiej stronie stołu patrzyła na niego ze zdziwieniem.

Prim wybuchnął śmiechem.

– Mam na myśli piosenkę. Nosi tytuł Life on Mars, prawda?

Ruchem głowy wskazał soundbar pod telewizorem, z którego wydobywał się głos Davida Bowiego, wypełniając duże pomieszczenie na poddaszu. Z okien roztaczał się widok na centrum zachodnich dzielnic Oslo w stronę wzgórza Holmenkollen, lśniącego niczym korona w wieczornym mroku. Ale akurat w tej chwili Prim nie odrywał oczu od swojego gościa.

– Wielu ludziom ta piosenka się nie podoba. Uważają, że jest zbyt dziwna. W BBC nazwali ją skrzyżowaniem broadwayowskiego musicalu z obrazem Salvadora Dalego. Może i tak, ale ja się zgadzam z „The Daily Telegraph”, który obwołał ją najlepszą piosenką wszech czasów. Wyobraź to sobie. Najlepszą. Wszyscy kochali Bowiego, ale nie dlatego, że był taki kochany jako osoba, tylko dlatego, że był najlepszy. Właśnie z tego powodu ludzie niekochani są gotowi zabić, żeby być najlepsi. Wiedzą, że to zmieni wszystko.

Sięgnął po butelkę wina stojącą między nimi na stole, ale zamiast nalać ze swojego miejsca, wstał i przeszedł na tę stronę stołu, gdzie siedziała dziewczyna.

– Wiedziałaś o tym, że David Bowie to pseudonim? Że naprawdę nazywał się Jones? Prim to też przezwisko, ale tak nazywa mnie tylko rodzina. Chociaż myślę, że kiedy się ożenię, to żona też będzie mówiła do mnie Prim.

Stanął za dziewczyną i napełniając jej kieliszek, wolną ręką pogładził jej długie delikatne włosy. Gdyby to było parę lat temu – ba, ledwie przed miesiącem – brakowałoby mu odwagi, aby dotykać kobiety w ten sposób; bałby się, że zostanie odrzucony. W obecnej sytuacji jednak nie miał takich wątpliwości, utrzymywał pełną kontrolę. Oczywiście bardzo mu pomogło poprawienie brzydkich zębów,

korzystanie z usług przyzwoitego fryzjera i z pomocy stylisty przy kupowaniu eleganckich ubrań. Ale nie w tym rzecz. Rzecz w tym, co wydzielał. Coś, czemu one nie potrafiły się oprzeć, a ta świadomość wzbudzała w nim pewność siebie, która sama w sobie była takim afrodyzjakiem, że mógł bazować tylko na nim – efekt placebo samowzmacniający się po każdym obrocie na tak długo, jak on podtrzymywał cykl.

– Z całą pewnością jestem staroświecki i naiwny – powiedział, wracając na swoją stronę stołu. – Ale wierzę w małżeństwo. W istnienie jednej jedynej osoby, która do mnie pasuje. Naprawdę w to wierzę. Wybrałem się niedawno do Teatru Narodowego na Romea i Julię. To było takie piękne, że się popłakałem. Dwie osoby, które natura uznała za nierozerwalnie ze sobą związane. Spójrz tylko na Bossa. – Wskazał akwarium stojące na szczycie niskiego regału z książkami. Pływała w nim w koło samotna rybka, połyskująca złotem i zielenią. – On ma swoją Lisę. Nie widzisz jej, ale ona tam jest. Stanowią jedność i tak będzie, dopóki nie umrą. Ba, jedno umrze dlatego, że umrze to drugie. Jak w Romeo i Julii. Czy to nie piękne?

Usiadł i ponad stołem przesunął dłoń w stronę dziewczyny. Wydawała się dzisiaj zmęczona, pusta, wyłączona. Ale on wiedział, jak sprawić, żeby znów rozbłysła – wystarczyło nacisnąć guzik.

– Mógłbym pokochać kogoś takiego jak ty – oświadczył.

W jej oczach natychmiast zapaliło się światełko, a on poczuł – dosłownie – bijące od niej ciepło. Ale nie obyło się bez lekkich wyrzutów sumienia. Nie dlatego, że w ten sposób nią manipulował, tylko dlatego, że kłamał. Owszem, mógł pokochać, lecz nie ją. To nie ona była tą jedyną, przeznaczoną mu Kobietą. Ona była stand in. Mógł na niej ćwiczyć, testować sposób postępowania, wypowiadania właściwych słów odpowiednim tonem. Próbować i błądzić. Bo błądzenie teraz nie było niebezpieczne, ale mogło być groźne w dniu, kiedy będzie wyznawał miłość Kobiecie. Wtedy wszystko musi być odpowiednio nastrojone, idealne.

Wykorzystał ją również do ćwiczenia samego aktu. Chociaż wykorzystał jak wykorzystał, to ona z nich dwojga była bardziej aktywna. Poznał ją na imprezie, na której bawiło się tyle osób stojących w hierarchii towarzyskiej wyżej niż on, że widział, jakiego rodzaju wzrokiem ona wodzi ponad jego ramieniem, i zrozumiał, że gdy tylko wypowie kilka słów, dziewczyna zniknie. Zadziałał jednak skutecznie, pochwalił jej sylwetkę, spytał, do której siłowni chodzi. Odpowiedziała krótko, że

do SATS na Bislett, a on wyraził zdumienie, że jej tam nie spotkał, bo trzy razy w tygodniu trenuje w tym samym miejscu, ale może się mijali? Znów ucięła, że ćwiczy przed południem, i nie kryła irytacji, kiedy powiedział, że on także, więc w jakie dni?

– Wtorki i czwartki – rzuciła, jakby chciała na tym zakończyć rozmowę, i zwróciła się do faceta w obcisłej czarnej koszuli, który właśnie do nich podszedł.

W następny wtorek stał przed siłownią, kiedy stamtąd wychodziła. Udał, że znalazł się tu przypadkiem i rozpoznał ją z imprezy. Nie pamiętała go, uśmiechnęła się tylko i chciała iść dalej. Nagle jednak się zatrzymała, odwróciła w jego stronę i skierowała na niego całą uwagę. Patrzyła tak, jakby dopiero teraz go odkryła, zastanawiając się pewnie, jak to możliwe, że w ogóle nie utkwił jej w pamięci z tamtego przyjęcia. To on mówił, ona nie była zbyt rozmowna. W każdym razie ustami odzywała się mało. Ale mowa jej ciała powiedziała mu to, co chciał wiedzieć. Dopiero gdy rzucił, że powinni się jeszcze spotkać, odezwała się:

– Kiedy? I gdzie?

Wyjaśnił jej, w odpowiedzi tylko kiwnęła głową. Po prostu.

Przyszła, tak jak się umówili. Bardzo się denerwował. Tyle rzeczy mogło pójść źle. Ale to ona przejęła inicjatywę, rozpięła mu ubranie, na szczęście wciąż niewiele przy tym mówiąc.

Wiedział, że to się może stać, i chociaż z Tą, którą kochał, nie składali sobie żadnych obietnic, to jednak była to jakaś forma zdrady, prawda? Przynajmniej zdrady wobec miłości. Ale przekonał sam siebie, że to raczej ofiara składana na ołtarzu miłości, coś, co robi dla Niej. Realizuje akt, ponieważ potrzebuje treningu, aby w ów ważny dzień mógł spełnić wymagania, jakie Ona postawi kochankowi.

Ale dziewczyna po drugiej stronie stołu już zrobiła swoje.

Seks z nią nawet mu się podobał. Chociaż powtórka nie wchodziła w grę. I jeśli miał być szczery, nie spodobał mu się ani jej zapach, ani smak. Czy miał teraz głośno oznajmić, że w tym miejscu ich drogi się rozchodzą? W milczeniu wpatrywał się w swój talerz. Kiedy znów podniósł wzrok, ona leciutko przechyliła głowę, wciąż z tym niezgłębionym uśmiechem, jakby obserwowała jego monolog niczym zabawne przedstawienie. A on nagle poczuł się jak więzień. Więzień we własnym domu. Bo przecież nie mógł po prostu wstać i wyjść, nie miał dokąd pójść. Nie mógł też poprosić jej, żeby wyszła, prawda? Raczej nie zamierzała

wracać do siebie tak szybko i z własnej inicjatywy, przeciwnie, a ten wręcz nienaturalnie mocny blask jej oczu go oślepił, doprowadził do utraty widzenia całości. Uświadomił sobie, że w całej tej sytuacji jest coś dziwnego i mylącego. Dziewczyna przejęła kontrolę, w dodatku nie wypowiadając ani słowa. Czego właściwie chciała?

– Czego... – zaczął. Odchrząknął. – Czego ty właściwie chcesz?

Nie odpowiedziała, tylko jeszcze bardziej przekrzywiła głowę. Wyglądała, jakby się śmiała bezgłośnie, odsłaniając zęby, lśniące w jej pięknych ustach niebieskawą bielą, a wtedy Prim odkrył coś, czego nie zauważył do tej pory. Że dziewczyna ma usta drapieżnego zwierzęcia. Uderzyło go to: zabawa kota z myszą. Ale to on był myszą, nie ona.

Skąd mu się wzięła ta absurdalna myśl?

Znikąd. A raczej z tego miejsca, z którego pochodzą wszystkie dziwaczne myśli.

Bał się, lecz wiedział, że nie wolno mu tego okazać. Próbował oddychać spokojnie. Musiał stąd wyjść. Ona musiała stąd wyjść.

– Było miło – odezwał się, złożył serwetkę i rzucił ją na spodek. – Powtórzmy to kiedyś.

Johan Krohn siedział przy stole razem z żoną, kiedy zadzwonił telefon. Nie zdążył jeszcze przekazać Markusowi Røedowi złych wieści o tym, że Harry Hole odrzucił ich propozycję. To znaczy Harry odmówił, jeszcze zanim Krohn zdążył cokolwiek powiedzieć na temat honorarium. I nie zmienił zdania również wtedy, gdy Krohn przedstawił warunki i poinformował, że zabukowali mu miejsce w business class w samolocie o dziewiątej pięćdziesiąt pięć do Oslo przez Kopenhagę.

Po numerze poznał, że to stary telefon Harry’ego. Dzwoniąc wcześniej pod ten numer, Krohn słyszał jedynie, że „abonent ma wyłączony telefon lub jest poza zasięgiem”. Może więc odmowa stanowiła element taktyki negocjacji? W porządku, w kwestii honorarium Røed dał Krohnowi wolną rękę.

Adwokat wstał od stołu, kierując do żony przepraszający uśmiech, i przeszedł do bawialni.

– Witaj ponownie, Harry – powiedział wesoło.

Głos Holego zabrzmiał chrapliwie:

– Dziewięćset sześćdziesiąt tysięcy dolarów.

– Słucham?

– Jeśli rozwiążę tę sprawę, chcę dziewięćset sześćdziesiąt tysięcy dolarów.

– Dziewięćset...

– Tak.

– Masz świadomość...

– Mam świadomość, że nie jestem tyle wart. Ale jeżeli twój klient jest aż tak bogaty i tak niewinny, jak twierdzisz, to prawda może być dla niego tyle warta. Proponuję więc, że będę pracował bez wynagrodzenia, tylko z pokryciem wydatków, a zapłacicie mi jedynie wtedy, jeśli rozwiążę sprawę.

– Ale...

– To nie tak dużo, Krohn, a ja muszę mieć odpowiedź w ciągu pięciu minut. Po angielsku, na maila, z twojej skrzynki i z twoim podpisem. Jasne?

– Tak. Boże, Harry, to przecież...

– Tu są ludzie, którzy muszą podjąć decyzję teraz, w tym momencie, więc w pewnym sensie mam pistolet przystawiony do głowy.

– Ale dwieście tysięcy dolarów powinno wystarczyć...

– Sorry, Krohn, albo ta kwota, którą podałem, albo nic.

Adwokat westchnął.

– To szalone pieniądze, ale w porządku, skontaktuję się z klientem. Oddzwonię.

– Masz pięć minut – odpowiedział mu ochrypły głos Harry’ego.

W tle Krohn usłyszał jeszcze kogoś.

– Cztery i pół – skorygował Harry.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby go złapać.

Harry odłożył telefon na kuchenny stół i podniósł wzrok na mężczyznę z obrzynem, który wciąż celował prosto w niego. Ten drugi rozmawiał po hiszpańsku przez małą komórkę.

– Na pewno będzie dobrze – szepnęła siedząca obok Harry’ego Lucille.

Poklepał ją po ręce.

– To moja kwestia.

– Nie, moja – zaprotestowała. – To ja cię w to wciągnęłam. A poza tym to kłamstwo, prawda? Nie będzie dobrze.

– Zdefiniuj, co rozumiesz przez „dobrze”.

Lucille lekko się uśmiechnęła.

– No cóż, w każdym razie spędziłam wczoraj cudowny ostatni wieczór. Wiesz, wszyscy w Dan Tana’s byli przekonani, że jesteśmy parą.

– Tak myślisz?

– Oczywiście, widziałam to po ich spojrzeniach, kiedy wszedłeś, trzymając mnie pod ramię. To Lucille Owens z wysokim blondynem, o wiele od niej młodszym, tak pomyśleli. I żałowali, że sami nie są gwiazdami filmowymi. A potem wziąłeś mój żakiet i pocałowałeś mnie w policzek. Bardzo ci dziękuję, Harry.

Już miał przypomnieć, że wykonał tylko jej wcześniejsze instrukcje, ze zdjęciem obrączki włącznie, ale się powstrzymał.

– Dos minutos – odezwał się mężczyzna z telefonem.

Harry poczuł, że dłoń Lucille zaciska się mocniej na jego ręce.

– Co mówi el jefe w samochodzie? – spytał.

Ten z obrzynem nie odpowiedział.

– Zabił tyle samo ludzi co ty?

Mężczyzna zaśmiał się krótko.

– Nikt nie wie, ilu zabił. A ja wiem tylko, że jeśli nie zapłacicie, to będziecie następną dwójką na jego liście. On lubi załatwiać sprawy osobiście. Naprawdę lubi.

Harry pokiwał głową.

– To on udzielił pożyczki czy tylko kupił dług?

– My nie pożyczamy pieniędzy, my je tylko odzyskujemy, a on jest najlepszy. Potrafi się zorientować, kto jest przegrany, kto ma długi. – Mężczyzna zawahał się przez chwilę, po czym lekko się pochylił i zniżył głos: – Mówi, że to jest w oczach i w całej postawie, ale przede wszystkim w zapachu ciała. Możesz się o tym przekonać, wsiadając do autobusu. Obok tych, których duszą długi, ciągle będzie wolne miejsce. Powiedział, że ty też masz długi, el rubio.

– Ja?

– Był któregoś dnia w tamtym barze, kiedy szukał tej kobiety, i widział, jak tam siedzisz.

– Pomylił się, ja nie mam długów.

– On się nigdy nie myli. Jesteś komuś coś winien. Właśnie w ten sposób znalazł mojego ojca.

– Twojego ojca?

Mężczyzna kiwnął głową.

Harry spojrzał na niego, przełknął ślinę. Spróbował wyobrazić sobie faceta w samochodzie. Kiedy przedstawiał swoją propozycję, telefon leżał na kuchennym stole, ustawiony na tryb głośnomówiący, ale mężczyzna nie odezwał się ani słowem.

– Un minuto. – Facet z telefonem odbezpieczył pistolet.

– Ojcze nasz – wymamrotała Lucille – któryś jest w niebie...

– Jak mogliście wydać tyle pieniędzy na film, z którego nic nie wyszło? – spytał Harry.

Lucille w pierwszej chwili popatrzyła na niego zdumiona. W końcu zrozumiała, że Harry chyba proponuje jej pewne oderwanie się od rzeczywistości, zanim przekroczą próg.

– No cóż – odparła. – W tym mieście to najczęściej zadawane pytanie.

– Cincuenta segundos.

Harry wpatrywał się w swój telefon.

– A jaka jest najczęściej udzielana odpowiedź?

– Niefart i marny scenariusz.

– Mhm. Brzmi jak opis mojego życia.

Zaświecił się wyświetlacz. Numer Krohna. Harry wcisnął Odbierz.

– Mów. Szybko i samą konkluzję.

– Røed się zgodził.

– Zaraz ktoś ci poda adres mailowy.

Harry wręczył komórkę facetowi, który już rozmawiał z el jefe. Tamten wsunął pistolet do naramiennej kabury pod kurtką bomberką i przytknął oba telefony do siebie. Harry usłyszał szum głosów. Kiedy zapadła cisza, Harry dostał swój aparat z powrotem. Krohn się rozłączył. Facet przyłożył do ucha własny telefon i słuchał. W końcu go opuścił.

– Masz szczęście, el rubio. Dajemy ci dziesięć dni. Od tej chwili. – Wskazał na zegarek. – Później ją zastrzelimy. – Wskazał na Lucille. – A potem dopadniemy ciebie. Teraz ją zabierzemy, a ty nie próbuj się z nią kontaktować. Jeśli zdradzisz komukolwiek, co się dzieje, umrze ona i umrą wszyscy, z którymi będziesz rozmawiał. Załatwiamy to w ten sposób tutaj, tak samo robimy w Meksyku i tak to załatwimy tam, dokąd się wybierasz. Niech ci się nie wydaje, że jesteś poza naszym zasięgiem.

– Okej. – Harry przełknął ślinę. – Powinienem wiedzieć coś jeszcze?

Facet z uśmiechem podrapał się w wytatuowanego skorpiona.

– Że ciebie nie zastrzelimy. Tobie zedrzemy skórę z pleców i zostawimy cię na słońcu. Już po kilku godzinach wyschniesz i umrzesz z pragnienia. I uwierz mi, będziesz wdzięczny, że to nie trwa dłużej.

Harry miał ochotę powiedzieć coś o Norwegii i o wrześniowym słońcu, ale się powstrzymał. Zegar już zaczął tykać. Odliczać czas nie tylko tych dziesięciu dni, lecz również ten, jaki został do lotu, na który miał bilet. Popatrzył na zegarek. Półtorej godziny. Była sobota, a od LAX dzieliło go niewiele kilometrów. Ale to było Los Angeles. Już miał opóźnienie. Beznadziejne opóźnienie.

Ostatni raz spojrzał na Lucille. Właśnie tak wyglądałaby jego matka, gdyby mogła pożyć dłużej.

Harry Hole nachylił się, pocałował Lucille w czoło, po czym wstał i pomaszerował do drzwi.

7

Niedziela

Harry siedział po stronie pasażera w volvie amazonie, rocznik 1970, obok Bjørna i razem wtórowali Hankowi Williamsowi, którego głos wydobywał się raz ciszej, raz głośniej z magnetofonu kasetowego Bjørna. Za każdym razem, kiedy przestawali śpiewać, z tylnego siedzenia dobiegało ciche popłakiwanie dziecka. Samochód zaczął się trząść. Dziwne, skoro stał zaparkowany.

Harry otworzył oczy i zobaczył stewardesę, która lekko szarpała go za ramię.

– We are landing soon, sir – odezwała się zza maseczki. – Please fasten your seat belt.

Zabrała jego pustą szklankę po drinku, odchyliła stolik, a następnie wpuściła go w podłokietnik. Business class. W ostatniej chwili Harry zdecydował się na włożenie garnituru i zostawienie wszystkiego innego, nie miał nawet bagażu podręcznego. Ziewnął i wyjrzał przez okienko. Pod nimi przesuwały się lasy. Woda. A potem miasto. Kawałek miasta. Oslo. Potem znowu las. Pomyślał o szybkiej rozmowie przez telefon, którą odbył, zanim wystartowali z LAX. Ze Stålem Aune, psychologiem, z którym stale współpracował w sprawach zabójstw. O jego głosie brzmiącym tak bardzo inaczej. O informacji, że Aune w ostatnich miesiącach wielokrotnie próbował się do niego dodzwonić. O swojej odpowiedzi, że miał wyłączony telefon. O tonie Stålego, kiedy mówił, że sprawa nie jest taka ważna, bo chciał mu tylko powiedzieć, że zachorował. Na raka trzustki.

Lot z Los Angeles miał trwać planowo czternaście godzin. Harry spojrzał na zegarek. Przeliczył na czas norweski. Niedziela, ósma pięćdziesiąt pięć. Wprawdzie wyznaczył sobie niedzielę jako dzień postu, ale gdyby przyjął, że ciągle obowiązuje go czas Los Angeles, to jeszcze przez pięć minut trwała sobota. Spojrzał w górę, szukając guzika przywołującego obsługę, zanim uświadomił sobie, że w klasie biznes ten przycisk jest na pilocie. Znalazł go wciśnięty

w podłokietnik. Nacisnął i brzęczyk sonara rozległ się z jednoczesnym zapaleniem lampki nad głową.

Stewardesa zjawiła się w ciągu dziesięciu sekund.

– Yes, sir?

Ale w ciągu tych dziesięciu sekund Harry zdążył policzyć drinki wypite w sobotę w Los Angeles. Wykorzystany limit. Niech to szlag.

– Sorry. – Próbował się uśmiechnąć. – Nothing.

Stał w sklepie bezcłowym przed półką z butelkami whisky, gdy telefon piknął, bo przyszedł SMS z informacją, że zamówiony przez Krohna samochód czeka na niego tuż przed halą przylotów.

Harry odpisał: OK, a ponieważ miał już telefon w ręku, wcisnął K. Rakel czasami żartowała sobie z tego, że Harry ma tak mało przyjaciół, kolegów z pracy i w ogóle kontaktów, że wystarczy ich zapisać pod pierwszą literą danego imienia.

– Katrine Bratt, słucham. – W głosie dało się słyszeć zmęczenie i senność.

– Cześć, tu Harry.

– Harry? Naprawdę? – Rozległ się taki odgłos, jakby Katrine siadała w łóżku. – Zauważyłam, że to amerykański numer, więc...

– Jestem teraz w Norwegii. Właśnie wylądowałem. Obudziłem cię?

– Nie, skąd. Chociaż może i tak. Niewykluczone, że mamy podwójne zabójstwo, więc pracowałam do późna. Jest u mnie teściowa i opiekuje się Gertem, mogę trochę dłużej pospać. Boże, ty żyjesz!

– Najwyraźniej. Co u ciebie?

– W porządku. Właściwie nie najgorzej, zważywszy na sytuację. Prawdę mówiąc, rozmawiałam z kimś o tobie nie dalej niż w piątek. Co robisz w Oslo?

– Mam parę spraw. Zamierzam odwiedzić Stålego Aune.

– No tak, słyszałam. Trzustka, prawda?

– Nie znam szczegółów. Znajdziesz czas na kawę?

Wyczuł moment wahania, zanim odpowiedziała:

– Dlaczego raczej nie przyjdziesz tu na obiad?

– Do ciebie? To chcesz powiedzieć?

– Oczywiście. Moja teściowa świetnie gotuje.

– Hm. Jeśli tak ci odpowiada, to...

– O szóstej? Zobaczysz też Gerta.

Harry zamknął oczy. Próbował przywołać tamten sen. Volvo amazon. Popłakujące dziecko. Ona wiedziała. Oczywiście, że wiedziała. Czy zrozumiała, że on także wie? Czy chciała, żeby wiedział?

– Dobrze, o szóstej – potwierdził.

Rozłączyli się, a on znów spojrzał na półkę z whisky.

Zaraz za nią była półka z przytulankami.

Samochód sunął wolniutko deptakami na Tjuvholmen, Wyspie Złodziei, najdroższych pięciu hektarach w Oslo, dzielnicy położonej tuż nad fiordem na dwóch wyspach. Roiło się tu od ludzi odwiedzających sklepy, restauracje i galerie oraz tych, którzy przyszli po prostu na niedzielny spacer. W The Thief recepcjonista powitał Harry'ego, jakby ten był gościem, na którego przybycie naprawdę szczerze się cieszyli.

Pokój był wyposażony w podwójne łóżko o idealnej miękkości, modną sztukę na ścianach, żel pod prysznic znanej luksusowej marki. Harry przypuszczał, że właśnie tego należało się spodziewać po pięciogwiazdkowym hotelu. Z okna miał widok na rdzawoczerwoną wieżę ratusza i twierdzę Akershus. Wyglądało na to, że podczas roku jego nieobecności nic się nie zmieniło. A mimo to było jakoś inaczej. Może dlatego, że Tjuvholmen ze wszystkimi swoimi designerskimi sklepami, galeriami, luksusowymi mieszkaniami i gładką fasadą nie było tym Oslo, które znał. Dorastał we wschodniej dzielnicy w czasach, kiedy Oslo było spokojną, nudną i dość szarą malutką stolicą na skraju Europy. Na ulicach słyszało się niemal wyłącznie norweski bez żadnego obcego akcentu i widywało się tylko biały kolor skóry. Powoli jednak miasto się otworzyło. Jako bardzo młody człowiek Harry zauważał przede wszystkim, że pojawia się więcej klubów i że coraz więcej fajnych zespołów – nie tylko tych, które grały dla trzydziestu tysięcy na stadionie Valle Hovin – zaczyna do tras swoich tournée dołączać Oslo. Powstało też całe mnóstwo restauracji serwujących dania ze wszystkich zakątków świata. Ta transformacja w międzynarodową i wielokulturową otwartą metropolię oznaczała, rzecz jasna, wzrost przestępczości zorganizowanej, ale zabójstw wciąż było tak

niewiele, że śledczy z osobnego wydziału raczej nie mieli zbyt dużo roboty. Co prawda z różnych powodów Oslo już w latach siedemdziesiątych stało się – i później to się nie zmieniło – cmentarzem młodych ludzi uzależnionych od heroiny. Ale było to miasto bez czegoś takiego jak Skid Row; miasto, w którym również kobiety czuły się bezpiecznie, o czym z przekonaniem mówiło ponad dziewięćdziesiąt trzy procent mieszkańców, gdy ich o to spytano. Wprawdzie media starały się, jak mogły, prezentować inny obraz, jednak liczba gwałtów w ostatnich piętnastu latach utrzymywała się na stabilnie niskim poziomie w porównaniu z innymi miastami – to samo dotyczyło przemocy ulicznej i przestępczości innego rodzaju, a liczby te nawet się zmniejszały.

Dlatego przypadek jednej kobiety zamordowanej i jednej zaginionej, między którymi mógł istnieć związek, nie był codziennością. Nic więc dziwnego, że Harry już zdążył wygooglować mnóstwo artykułów na ten temat w norweskich gazetach, a nagłówki krzyczały wielkimi literami. Nie dziwiło też to, że w większości tekstów pojawiało się nazwisko Markusa Røeda. Po pierwsze, wszyscy wiedzieli, że media, również te niegdyś poważne, są zdolne przetrwać jedynie dzięki bieżącym opowieściom na temat ludzi o znanych nazwiskach, Røed zaś był zdecydowanie bogatym celebrytą. Po drugie, w osiemdziesięciu procentach wszystkich zabójstw, jakie badał Harry, sprawcą okazywała się osoba mająca bliskie związki z ofiarą. Dlatego całkowicie uzasadnione było to, że jako głównego podejrzanego Harry wytypował – przynajmniej na razie – swojego zleceniodawcę.

Wziął prysznic, potem stanął przed lustrem, zapinając jedyną zapasową koszulę, kupioną na Gardermoen. Kiedy dotarł do ostatniego, górnego guzika, usłyszał tykanie ręcznego zegarka. Starał się o tym nie myśleć.

***

Z The Thief do biura Barbell przy Haakon VIIs gate było niespełna pięć minut spacerkiem.

Harry podszedł do niemal trzymetrowej wysokości drzwi i przez szybę nawiązał kontakt wzrokowy z chłopakiem w recepcji. Młody człowiek natychmiast przybiegł i otworzył, najwyraźniej kazano mu czekać na Harry’ego. Przeprowadził gościa przez szklane śluzy i – po chwilowym zdumieniu, kiedy Harry wyjaśnił, że nie jeździ windą – na górę po schodach. Na siódmym, najwyższym piętrze, ruszył

przodem przez puste w weekend przestrzenie biurowe do otwartych drzwi, przy których się zatrzymał, i przepuścił Harry’ego.

To był narożny gabinet, musiał mieć blisko sto metrów kwadratowych, z widokiem na plac Ratuszowy i Oslofjorden. W jednym końcu stało biurko z dużym monitorem iMac, na blacie leżały okulary Gucci i telefon Apple, ale nie było tam żadnych papierów. Przy stole konferencyjnym w drugim końcu pomieszczenia siedziały dwie osoby. Jedną z nich, Johana Krohna, Harry znał. Drugiego mężczyznę rozpoznał ze zdjęć w gazetach. Markus Røed pozwolił, żeby Krohn wstał jako pierwszy i podszedł z wyciągniętą ręką do gościa. Harry posłał adwokatowi szybki uśmiech, nie odrywając jednak oczu od człowieka za jego plecami. Patrzył, jak Markus Røed odruchowo zapina guzik marynarki, lecz dalej stoi przy stole. Po uściśnięciu dłoni Krohna Harry zbliżył się do Røeda i jemu też podał rękę. Zauważył, że prawdopodobnie są tego samego wzrostu, lecz Røed jest co najmniej dwadzieścia kilogramów cięższy niż on. Teraz, z bliska, wiek Røeda – sześćdziesiąt sześć lat – stał się widoczny za fasadą sztucznie wygładzonej twarzy, białych zębów i gęstej czarnej czupryny. Ale okej, trzeba przyznać, że miał dużo lepszych chirurgów niż wielu z tych, których Harry widział w Los Angeles. Harry zauważył też lekkie drganie jego rozszerzonych źrenic otoczonych wąskimi niebieskimi tęczówkami, jakby miał tik.

– Siadaj, Harry.

– Dzięki, Markus. – Harry rozpiął marynarkę i usiadł.

Nawet jeśli Røedowi nie spodobał się tak bezpośredni sposób zwracania się do niego lub jeżeli wychwycił tkwiące w tym wyzwanie, to nie dał tego po sobie poznać.

– Dziękuję, że mogłeś stawić się tak szybko. – Røed dał jakiś sygnał chłopakowi w drzwiach.

– Pewien pośpiech dość mi odpowiada.

Harry przesunął wzrokiem po wiszących na ścianie portretach trzech poważnych mężczyzn. Dwa obrazy i jedna fotografia. Wszystkie miały złote plakietki w dolnej części ramy i na wszystkich widniało nazwisko Røed.

– No tak, pewnie over there panuje zupełnie inne tempo – odezwał się Krohn tonem, który w uszach Harry’ego zabrzmiał jak small talk lekko zestresowanego dyplomaty.

– Hm – mruknął Harry. – Wydaje mi się, że Los Angeles nie może się równać z Nowym Jorkiem i Chicago. Ale widzę, że i tutaj się nie poddajecie. Praca w niedzielę. Imponujące.

– Dobrze jest wyrwać się na trochę z domu, z rodzinnego piekła – stwierdził Røed i zaśmiał się do Krohna. – Zwłaszcza w niedzielę.

– Masz dzieci? – spytał Harry. Z artykułów w gazetach, które czytał, nic takiego nie wynikało.

– Mam – odparł Røed, patrząc na Krohna, jakby to on pytał. – I żonę.

Roześmiał się, a Krohn z obowiązku mu zawtórował. Harry lekko rozciągnął usta, żeby nie zachowywać się zbyt demonstracyjnie. Myślał o zdjęciach Helene Røed na portalach internetowych. Jak duża różnica wieku ich dzieliła? Co najmniej trzydzieści lat. Na wszystkich fotografiach widział małżonków uwiecznionych przy ściankach z jakimś logo, czyli na premierach, pokazach mody i podobnych imprezach. Helene Røed oczywiście była wystrojona i zrobiona, ale wyglądała na bardziej świadomą siebie, mniej śmieszną niż wiele kobiet – i wielu mężczyzn – pozujących przed obiektywem, gdy oglądało się podobne wydarzenia. Była piękna, lecz jej uroda już leciutko przyblakła, tak jakby blask młodości zniknął nieco za wcześnie. Trochę za dużo pracy? Trochę za dużo alkoholu albo innych rzeczy? Trochę za mało szczęścia? Czy po odrobinie tego wszystkiego?

– No cóż – powiedział Krohn. – Jeśli dobrze znam swojego klienta, to i tak spędzałby tu dużo czasu. Nie da się zajść tak wysoko bez ciężkiej pracy.

Røed wzruszył ramionami, ale nie protestował.

– A jak to wygląda u ciebie, Harry? Masz dzieci?

Harry znów spojrzał na portrety. Wszyscy trzej mężczyźni pozowali przed wielkimi budynkami. Doszedł do wniosku, że albo je wybudowali, albo byli ich właścicielami.

– W powiązaniu z solidnym majątkiem rodzinnym być może – odrzekł.

– Słucham?

– Majątek jako dodatek do ciężkiej pracy stanowi pewne ułatwienie, prawda?

Røed uniósł wypielęgnowaną brew pod czarną połyskującą grzywką i pytająco spojrzał na Krohna, jakby prosząc o wyjaśnienie, co to za faceta tu ściągnął. Potem lekko podniósł głowę, żeby wyciągnąć nad kołnierzyk początki drugiego podbródka, i wbił wzrok w Harry’ego.

– Majątki same się sobą nie opiekują, Hole, ale może i ty o tym wiesz.

– Ja? Dlaczego tak sądzisz?

– A nie? W każdym razie ubierasz się jak człowiek zamożny. Jeśli się nie mylę, to twój garnitur uszył Garth Alexander z Savile Row. Sam mam dwa takie.

– Nie pamiętam nazwiska krawca – stwierdził Harry. – Dostałem go od pewnej damy, żeby być jej kawalerem.

– O rany, taka brzydka?

– Nie.

– Nie? To znaczy ładna?

– Tak bym powiedział, zważywszy na jej siedemdziesiąt kilka lat.

Markus Røed uniósł ręce i odchylił głowę. Zmrużył oczy, przypominały teraz wąskie szparki.

– Wiesz, Harry, ty i moja żona macie ze sobą coś wspólnego: zrzucacie swoje ubrania w zamian za droższe.

Jego śmiech dosłownie ogłuszał. Markus, uderzając się w uda, obrócił się do Krohna, który też zdołał się zmusić do wesołości. Ale śmiech Røeda prędko zmienił się w atak kichania. Chłopak, który akurat wszedł, niosąc tacę ze szklankami wody, podał serwetkę, ale Røed machnął ręką. Z zewnętrznej kieszeni marynarki wyjął dużą błękitną chusteczkę z pokaźnymi inicjałami MR i głośno wytarł nos.

– Spokojnie, to tylko alergia – wyjaśnił, wpychając chusteczkę z powrotem. – Zaszczepiłeś się, Harry?

– Tak.

– Ja też. Od samego początku byłem bezpieczny. Razem z Helene polecieliśmy do Arabii Saudyjskiej i dostaliśmy pierwszą szczepionkę na długo przed tym, jak trafiła do Norwegii. No ale zaczynajmy. Johan?

Harry wysłuchał omówienia sprawy przez Johana Krohna. Była to mniej więcej powtórka tego, co usłyszał przez telefon dobę wcześniej.

– Dwie kobiety, Susanne Andersen i Bertine Bertilsen, zaginęły we wtorek, pierwsza trzy tygodnie, druga dwa tygodnie temu. Przedwczoraj znaleziono ciało Susanne Andersen. Policja nie ujawniła nic na temat przyczyny zgonu, ale ogłosiła, że prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa. Markus był przesłuchiwany z jednego

i tylko jednego powodu: obie dziewczyny bawiły się na tej samej imprezie cztery dni przed zaginięciem Susanne. To była sąsiedzka impreza na tarasie na dachu domu, w którym mieszkają Markus i Helene. Dodatkowo jedynym powiązaniem między dziewczynami, jakie policji udało się na razie odkryć, jest to, że obie znały Markusa i zostały zaproszone przez niego. Markus ma alibi na każdy z tych wtorków, kiedy dziewczyny zaginęły. Był w domu razem z Helene i policja w zasadzie wyeliminowała go ze sprawy. Niestety, prasa nie myśli równie logicznie. To znaczy kieruje się innymi motywami niż wyjaśnienie sprawy. Dlatego media publikują rozmaite przypuszczenia o związku Markusa z tymi dziewczynami. Sugerują, że obie chciały pieniędzy, że go szantażowały, grożąc, że opowiedzą swoją „historię" jednej z gazet, która rzekomo zaproponowała im za to dużą kwotę. Podają też w wątpliwość alibi zapewnione mu przez żonę, chociaż doskonale wiedzą, że to całkiem normalne w sprawach karnych. Oczywiście chodzi o sensacyjne powiązanie celebryty z zabójstwem, a nie o prawdę. Jeżeli prawda w ogóle wyjdzie na jaw, to ludzie z mediów zapewne liczą, że stanie się to raczej później niż wcześniej, żeby ich podnoszące sprzedaż spekulacje mogły trwać jak najdłużej.

Harry krótko przytaknął z twarzą bez wyrazu.

– A w tym czasie interesy mojego klienta cierpią, ponieważ, przynajmniej w wersji prasy, nie został ostatecznie oczyszczony z zarzutów. Poza tym, rzecz jasna, stanowi to dla niego osobiste obciążenie.

– Przede wszystkim dla rodziny – wtrącił Røed.

– Naturalnie – przyznał adwokat. – Byłby to jedynie tymczasowy problem, z którym dałoby się żyć, gdyby policja pokazała, że dorosła do tego zadania. Ale śledczy mieli prawie trzy tygodnie, a nie znaleźli ani sprawcy, ani żadnych śladów, które kazałyby mediom zaprzestać tego polowania na czarownice, skierowanego przeciwko jedynej osobie w Oslo, która faktycznie przedstawiła alibi w tej sprawie. Krótko mówiąc, chcemy, żeby sprawa została rozwiązana jak najszybciej, dlatego w tym miejscu ty wchodzisz do gry.

Obaj – i Krohn, i Røed – popatrzyli na Harry'ego.

– Mhm. Teraz, gdy policja ma zwłoki, są pewne szanse na znalezienie DNA sprawcy. Czy policja pobrała od ciebie próbkę DNA? – Harry spojrzał na Markusa Røeda.

Ten bez odpowiedzi obrócił się w stronę Krohna.

– Nie zgodziliśmy się na pobranie próbki – wyjaśnił adwokat – dopóki policja nie będzie miała w ręku postanowienia sądu.

– Dlaczego?

– Ponieważ przekazując taką próbkę, nie mamy nic do zyskania, a akceptując tego rodzaju interwencję, pośrednio przyznajemy, że potrafimy spojrzeć na sprawę z punktu widzenia policji, czyli zgadzamy się, że istnieją powody do podejrzeń.

– Ale wy tak tego nie widzicie?

– Nie. Powiedziałem jednak policji, że jeśli będzie w stanie wykazać jakiekolwiek powiązanie między zaginięciem tych dziewczyn a moim klientem, to mój klient z wielką chęcią zgodzi się na pobranie próbki DNA. Więcej się do nas nie odezwali.

– Mhm.

Røed klasnął w ręce.

– No to już wszystko wiesz, Harry. Tak w ogólnym zarysie. Czy teraz my możemy się dowiedzieć, jaki jest twój plan bitwy?

– Plan bitwy?

Røed się uśmiechnął.

– Choćby w ogólnym zarysie.

– W ogólnym zarysie... – Harry zdusił ziewnięcie; to odzywał się jet lag – chodzi o jak najszybsze znalezienie zabójcy.

Røed zachichotał, zerkając na Krohna.

– To rzeczywiście bardzo ogólny zarys, Harry. Możesz powiedzieć coś więcej?

– No cóż, będę prowadził śledztwo w tej sprawie tak, jakbym to robił, będąc policjantem. Czyli bez żadnych ograniczeń i względów na cokolwiek z wyjątkiem prawdy. Innymi słowy, jeśli ślady zaprowadzą mnie do ciebie, Røed, złapię cię jak każdego innego zabójcę. Ale i tak będę się domagał swojego bonusu.

W ciszy, która zapadła, rozległy się pierwsze tony karylionu z wieży ratusza.

Markus Røed się roześmiał.

– Jesteś mocny w gębie. Ile lat pracy w policji zabrałoby ci uzbieranie takiego bonusu? Dziesięć, dwadzieścia? Ile wy właściwie zarabiacie w tej komendzie?

Harry nie odpowiedział. Karylion wciąż grał.

– Czyli tak. – Krohn uśmiechnął się niespokojnie. – W zasadzie to, co mówisz, Harry, jest właśnie tym, czego sobie życzymy. Tak jak ci powiedziałem przez telefon, chcemy niezależnego śledztwa, więc choć w tej chwili wyraziłeś się dość ostro, to nasz kierunek się zgadza. Twoje słowa są przecież powodem, dla którego pragnęliśmy, żebyś właśnie ty się tym zajął. Człowiek naprawdę niezależny.

– A jesteś taką osobą? – spytał Røed, dwoma palcami gładząc podbródek i przyglądając się Harry'emu. – Naprawdę niezależnym człowiekiem?

Harry znów zwrócił uwagę na drżenie w oczach Røeda. Pokręcił głową.

Røed się wychylił, uśmiechnął się wesoło i zapytał ściszonym głosem:

– Ani trochę?

Harry też się uśmiechnął.

– Tylko do tego stopnia, do którego można przypisać niezależność koniowi z klapkami na oczach. Czyli stworzeniu o ograniczonej inteligencji, wykonującemu jedynie to, do czego zostało wyćwiczone: biec do przodu i nie zważać na żadne przeszkody.

Markus Røed parsknął śmiechem.

– Świetne, Harry, świetne, kupujemy to. Chcę, żebyś zaczął od zebrania teamu, najlepszych z najlepszych. Chętnie ludzi o znanych nazwiskach. Takich, które będziemy mogli podać mediom. Niech widzą, że traktujemy sprawę poważnie.

– Już wiem mniej więcej, kto mi będzie potrzebny.

– Znakomicie. Jak sądzisz, ile czasu zajmie ci uzyskanie ich zgody na współpracę?

– Do jutra do szesnastej.

– Już jutro?

Røed znów się roześmiał, kiedy zrozumiał, że Harry mówi serio.

– Podoba mi się twój styl, Harry. Podpiszmy kontrakt. – Skinął głową Krohnowi, który sięgnął do swojej teczki i położył przed Harrym jednostronicowy dokument.

– Zgodnie z kontraktem zadanie będzie uważane za wykonane, kiedy co najmniej trzej prokuratorzy policyjni wyrażą zgodność co do winy – oznajmił Krohn. – Jeśli oskarżony zostanie uniewinniony podczas procesu sądowego, honorarium będzie musiało zostać zwrócone, czyli to taka umowa no cure, no pay.

– Za to z bonusem, którego pozazdrościłby ci nawet menedżer najwyższego stopnia, ze mną włącznie – dorzucił Røed.

– Chcę, żeby dodać jeszcze jedno. Moje honorarium musi zostać wypłacone również wtedy, gdy to policja z moją pomocą czy bez niej znajdzie prawdopodobnego winnego w ciągu następnych dziewięciu dni.

Røed i Krohn spojrzeli po sobie.

Markus Røed pokiwał głową i nachylił się do Harry'ego.

– Twardy z ciebie negocjator. Ale nie myśl sobie, że cię nie przejrzałem i nie wiem, dlaczego podajesz taką dokładną kwotę i liczbę dni.

Harry uniósł brew.

– Czyżby?

– Przestań, nie udawaj! To daje stronie przeciwnej poczucie, że istnieje właściwa liczba. Magiczny numer, dzięki któremu wszystko się uda. Nie ucz ojca dzieci robić, Harry. Sam stosuję tę sztuczkę w negocjacjach.

Harry wolno kiwnął głową.

– Złapałeś mnie, Røed.

– A teraz nauczę cię jeszcze jednej sztuczki. – Røed odchylił się i uśmiechnął szeroko. – Mam ochotę dać ci milion dolarów. To prawie czterysta tysięcy koron norweskich więcej, niż zażądałeś. Wystarczy na niezłe auto. A wiesz dlaczego?

Harry nie odpowiedział.

– Ponieważ ludzie przykładają się o wiele bardziej, jeśli tylko da im się odrobinę więcej, niż się spodziewali. To zostało udowodnione psychologicznie.

– Wobec tego postaram się to wypróbować – odparł cierpko Harry. – Ale jeszcze jedno.

Uśmiech Røeda zniknął.

– Tak?

– Potrzebuję zezwolenia od kogoś z policji.

Krohn chrząknął.

– Masz świadomość, że w Norwegii nie potrzeba zezwolenia ani licencji na prowadzenie prywatnego śledztwa?

– Tak. Ale powiedziałem: od kogoś z policji.

Wyjaśnił im problem, po chwili Røed niechętnie skinął głową na zgodę.

Harry i Røed uścisnęli sobie ręce, a Krohn odprowadził Harry'ego do wyjścia. Przytrzymał mu drzwi prowadzące na ulicę.

– Harry, mógłbym ci zadać jedno pytanie?

– Strzelaj.

– Dlaczego musiałem wysłać angielską kopię kontraktu na meksykański adres mailowy?

– To adres mojego agenta.

Krohn zachował kamienną twarz. Harry przypuszczał, że jako adwokat tak już przywykł do kłamstw, iż był bardziej skłonny do uniesienia brwi, kiedy klient mówił prawdę. Oraz że Krohn zrozumiał, iż tak ewidentne kłamstwo to znak „wstęp wzbroniony".

– Miłej niedzieli, Harry.

– Wzajemnie.

Harry zszedł na nabrzeże Aker Brygge. Usiadł na ławce. Patrzył, jak w blasku słońca prom z Nesoddtangen przybija do brzegu. Zamknął oczy. Zdarzało się, że on i Rakel robili sobie wolne w powszedni dzień, zabierali na prom rowery i po dwudziestu pięciu minutach wśród wysepek i żaglówek przybijali do przystani na cyplu Nesoddtangen. Stamtąd wjeżdżali wprost w sielski krajobraz dróg, ścieżek i małych, ukrytych bezludnych plaż, na których od razu wskakiwali do wody, potem ogrzewali się na płaskich przybrzeżnych skałach, a jedynymi słyszalnymi dźwiękami były bzyczenie owadów i intensywne, ale ciche pojękiwanie Rakel, kiedy wbijała mu paznokcie w plecy. Siłą oderwał się od tych obrazów i otworzył oczy. Spojrzał na zegarek. Obserwował rytmiczne przeskakiwanie sekundnika. Za kilka godzin spotka się z Katrine. I z Gertem. Długimi krokami ruszył w stronę The Thief.

– Twój wuj wydaje się dzisiaj bardziej przytomny – oznajmiła pielęgniarka, zostawiając Prima przy otwartych drzwiach do niedużego pokoiku.

Prim pokiwał głową. Spojrzał na starszego mężczyznę, który siedział w szlafroku na łóżku i wpatrywał się w wyłączony telewizor. Kiedyś był przystojnym mężczyzną, wielce szanowanym człowiekiem, przyzwyczajonym do posłuchu, zarówno jako osoba prywatna, jak i fachowiec. Zdaniem Prima było to

widać w rysach wuja – jego wysokim gładkim czole, głęboko osadzonych przejrzystych niebieskich oczach i jastrzębim nosie. W wyrażających zdecydowanie i surowość mocno zaciśniętych ustach o zaskakująco pełnych wargach.

Prim nazywał go wujem Fredrikiem. Bo właśnie nim był. Między innymi.

Wuj podniósł głowę, kiedy Prim przekroczył próg, a on jak zwykle zadał sobie pytanie, którego z wujów Fredriców dziś zastanie, jeśli w ogóle któregoś.

– Kim pan jest? Proszę wyjść. – Twarz rozjaśniła się w mieszaninie pogardy i rozbawienia, a głos miał głębokie brzmienie, które nigdy nie pozwalało być pewnym, czy wuj Fredric żartuje, czy jest wściekły. Cierpiał na otępienie z ciałami Lewy'ego, rodzaj choroby mózgu, wywołującej nie tylko halucynacje i koszmary, lecz również – i właśnie tak było w przypadku wuja – agresję. Głównie werbalną, ale także fizyczną, dlatego ograniczenia powodowane sztywnością mięśni bywały czasami zaletą.

– Jestem Prim, syn Molle – odpowiedział i wyjaśnił, uprzedzając ewentualne pytanie wuja: – Twojej siostry.

Spojrzał na jedyną ozdobę na ścianie: oprawiony w ramki dyplom wiszący nad łóżkiem. Kiedyś przyniósł tu i zawiesił zdjęcie, na którym byli wuj, matka i on sam jako chłopiec, uśmiechnięci przy basenie w Hiszpanii, na wakacjach zafundowanych przez wuja siostrze i siostrzeńcowi po tym, jak porzucił ich ojczym Prima.

Ale wuj po kilku miesiącach zdjął fotografię. Stwierdził, że nie jest w stanie patrzeć na tyle króliczych zębów. Z całą pewnością miał na myśli dwie duże jedynki z przerwą, które Prim odziedziczył po matce. Dyplom ze stopniem doktorskim i nazwiskiem Fredric Steiner wciąż jednak tam wisiał. Nazwisko wspólne z matką Prima wuj zmienił, ponieważ – o czym powiedział siostrzeńcowi wprost – w kręgach naukowych żydowskie nazwisko brzmi lepiej i przydaje więcej autorytetu. Szczególnie w jego dziedzinie, mikrobiologii, gdzie bardzo niewielu osobom chce się udawać, że to nieprawda, iż Żydzi – zwłaszcza Żydzi aszkenazyjscy – mają większe możliwości intelektualne zapisane w genach. Owszem, mogły istnieć rozsądne, polityczne i związane z panującymi nastrojami powody, ażeby temu faktowi zaprzeczać, a przynajmniej go nie dostrzegać, ale fakt pozostawał faktem. Skoro więc Fredric miał mózg działający równie znakomicie,

jak mózg żydowski, to dlaczego ustawiać się skromnie na samym końcu kolejki z mocnym chłopskim norweskim nazwiskiem?

– Ja mam siostrę? – spytał wuj.

– Miałeś. Nie pamiętasz?

– Do diabła, chłopcze, mam demencję, nie możesz sobie tego wbić do swojego kurzego móżdżku? Ta pielęgniarka, z którą przyszedłeś... całkiem ładna, prawda?

– To znaczy, że ją pamiętasz?

– Moja pamięć krótkoterminowa działa świetnie. Założymy się, że uda mi się przelecieć tę pielęgniarkę przed weekendem? A zresztą ty nie możesz się zakładać, bo nie masz pieniędzy, jesteś przegrywem. W dzieciństwie jeszcze była dla ciebie nadzieja, ale teraz nie jesteś nawet rozczarowaniem, jesteś po prostu niczym.

Wuj urwał. Jakby się zastanawiał.

– A może coś z ciebie wyrosło? Czym się zajmujesz?

– O tym nie mam zamiaru ci mówić.

– Dlaczego? Pamiętam, że interesowałeś się muzyką. Nasza rodzina jest kompletnie niemuzykalna, ale czy ty nie wbiłeś sobie do głowy, że zostaniesz muzykiem?

– Nie.

– Więc co...

– Po pierwsze, do mojej następnej wizyty i tak zapomnisz. A po drugie, nie uwierzysz.

– A co z rodziną? Nie patrz na mnie w ten sposób!

– Jestem singlem. Na razie. Ale poznałem kobietę.

– Jedną? Mówisz, że poznałeś jedną kobietę?

– Tak.

– O Boże, wiesz, ile ja wyruchałem kobiet?

– Wiem.

– Sześćset czterdzieści trzy. Sześćset czterdzieści trzy! I wszystkie były eleganckimi babkami. Oprócz kilku w fazie początkowej, kiedy jeszcze nie wiedziałem, co mogę dostać. Zacząłem, kiedy miałem siedemnaście lat. Musisz się bardzo starać, żeby dorównać swojemu wujowi, chłopcze. Ta kobieta... ma ciasną cipkę?

– Tego nie wiem.

– Nie wiesz? A co się stało z tamtą drugą?

– Drugą?

– Przecież pamiętam, że miałeś dwoje dzieciaków i taką drobną ciemnowłosą kobietę z dużymi cyckami. Przeleciałem ją kiedyś? Ha, ha! Tak, widzę to po tobie! Dlaczego stałeś się taki, że nikt nie może cię pokochać? To przez te królicze zęby po matce?

– Wuju...

– Nie mów do mnie wuju, cholerny niedorobiony palancie! Urodziłeś się brzydki i głupi, przynosisz wstyd mnie, swojej matce i całej rodzinie.

– Aha. Wobec tego czemu nazwałeś mnie Prim?

– Prim, no właśnie! Jak myślisz, dlaczego to zrobiłem?

– Mówiłeś, że to dlatego, że byłem niezwykły. Wyjątek wśród liczb.

– Niezwykły, owszem, ale jako anomalia. Pomyłka. Byłeś kimś, z kim nikt nie chciał przebywać. Wyrzutkiem. Kimś, kto dzieli się tylko przez jeden i przez siebie. Czyli liczbą pierwszą. Jeden i ty sam. Wszyscy tęsknimy za tym, czego nie możemy dostać, a ty chciałeś być kochany. To twoja słabość od zawsze. Masz to po matce.

– Wiesz, wuju, że już niedługo stanę się bardziej sławny od ciebie i wszystkich z rodziny razem wziętych?

Wuj się rozjaśnił, jakby Prim wreszcie zdołał powiedzieć coś, co miało sens, a przynajmniej zapewniało rozrywkę.

– Powiem ci, że spotka cię tylko to, że któregoś dnia popadniesz w taką samą demencję jak ja i będziesz się z tego cieszył! A wiesz dlaczego? Bo wtedy będziesz mógł zapomnieć, że całe twoje życie było jednym wielkim ciągiem upokarzających porażek. To tutaj – wskazał dyplom na ścianie – to jedyne, co pragnę zapamiętać. Ale nawet tego nie potrafię. A te sześćset czterdzieści trzy... – Głos mu się załamał, w niebieskich oczach wezbrały łzy. – Nie pamiętam ani jednej cholernej kobiety. Ani jednej! Więc jaki to ma sens?

Wuj płakał, kiedy Prim stamtąd odchodził. Powtarzało się to coraz częściej. Czytał gdzieś, że Robin Williams, ten komik, odebrał sobie życie, ponieważ postawiono mu diagnozę demencji z ciałami Lewy’ego. Chciał oszczędzić tortur sobie samemu i rodzinie. Prim był zaskoczony, że wuj nie postąpił tak samo.

Dom opieki znajdował się przy centrum handlowym Vinderen po zachodniej stronie Oslo. W drodze do samochodu Prim minął sklep jubilera, do którego ostatnio często zaglądał. W niedzielę sklep niestety był zamknięty, ale kiedy Prim przycisnął nos do szyby, mógł w środku dostrzec leżący w witrynie pierścionek z brylantem. Brylant nie był duży, ale bardzo piękny. Idealny dla Niej. Powinien zdobyć pierścionek w tym tygodniu, inaczej ktoś go może uprzedzić.

Pojechał naokoło obok rodzinnego domu na Gaustad. Uszkodzona w pożarze willa powinna była zostać zburzona już wiele lat temu, ale Primowi udawało się to raz po raz odkładać, mimo nakazów z gminy i skarg sąsiadów. Czasami twierdził, że ma plany jej odbudowy, kiedy indziej pokazywał dokumenty, że wyburzanie już było zamówione, ale w firmach, które – jak się później okazywało – bankrutowały i zawieszały działalność. Nie bardzo wiedział, dlaczego stosuje tę taktykę przeciągania. Przecież mógłby sprzedać działkę za dobrą cenę. Dopiero niedawno znalazł odpowiedź. I uświadomił sobie, że plan z wykorzystaniem domu musiał już od dawna tkwić w jego mózgu jak malutkie jajo węża.

8

Niedziela. Tetris

– Świetnie wyglądasz – stwierdził Harry.

– A ty jesteś... opalony – odpowiedziała Katrine.

Oboje się roześmiali, Katrine otworzyła drzwi na oścież i mocno się uściskali. Mieszkanie wypełniał zapach tradycyjnej baraniny w kapuście. Harry wręczył gospodyni bukiet kupiony po drodze w kiosku sieci Narvesen.

– Naprawdę zacząłeś kupować kwiaty? – Katrine przyjęła je, lekko się krzywiąc.

– Chyba głównie po to, żeby zrobić wrażenie na twojej teściowej.

– W każdym razie na pewno zaimponujesz jej garniturem.

Poszła do kuchni, by wstawić kwiaty do wody, a Harry skierował się do salonu. Zanim dostrzegł chłopca, zobaczył zabawki na parkiecie i usłyszał dziecięcy głosik. Mały siedział na podłodze, odwrócony do Harry’ego tyłem, i surowo pouczał miśka:

– Mas lobić to, co ci kaze. Śpij!

Harry podszedł do niego na palcach i przykucnął. Chłopczyk zaczął cicho śpiewać, kołysząc przy tym z boku na bok dużą głową z delikatnymi jasnymi kędziorami:

– Koziołecku calny mój...

Musiał coś usłyszeć, może trzeszczenie podłogi, bo nagle się odwrócił już z uśmiechem na ustach. Dziecko, które nadal wierzy, że wszystkie niespodzianki są dobre, pomyślał Harry.

– Ceść – powiedział głośno chłopiec, uśmiechając się, ani trochę nieprzestraszony tym, że jakiś wielki, zupełnie obcy mężczyzna z siwą brodą podkradł się do niego od tyłu.

– Cześć. – Harry sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął misia. – To dla ciebie.

Podał go chłopcu, ale mały w ogóle nie spojrzał na prezent, tylko wielkimi oczami wpatrywał się w Harry’ego.

– Ty jesteś Święty Mikołaj?

Harry nie mógł się powstrzymać od śmiechu, lecz również to nie wystraszyło chłopca, który też zaczął się śmiać. W końcu sięgnął po zabawkę.

– Jak ma na imię?

– Jeszcze nie ma imienia. Musisz mu je nadać.

– No to będzie się nazywał... A ty jak mas na imię?

– Harry.

– Hallik[2].

– Nie...

– Właśnie ze tak, będzie miał na imię Hallik.

Harry odwrócił się i zobaczył, że Katrine z rękami założonymi na piersi stoi w drzwiach i uważnie się im obu przygląda.

Może to za sprawą jej dialektu, a może rudych włosów i lekko wyłupiastych oczu. Tak czy owak, za każdym razem, kiedy Harry unosił wzrok znad talerza i patrzył na matkę Bjørna, od razu przychodził mu na myśl nieżyjący kolega, technik kryminalistyczny Bjørn Holm.

– Nic dziwnego, że mały tak cię polubił, Harry – powiedziała, skinieniem głowy wskazując na chłopca, któremu pozwolono wstać od stołu, a który teraz szarpał Harry’ego za rękę, żeby go zaciągnąć do salonu do dalszej zabawy misiami. – Ty i Bjørn byliście przecież dobrymi przyjaciółmi. Taka chemia zostaje w rodzinie. Ale musisz jeszcze coś zjeść, jesteś przecież chudy jak patyk.

Po kisielu z suszonych śliwek na deser teściowa Katrine opuściła ich, żeby położyć Gerta spać.

– Masz wspaniałego syna – powiedział Harry.

– To prawda. – Katrine oparła brodę na rękach. – Nie wiedziałam, że masz takie podejście do dzieci.

– Ja też nie.

– A nie miałeś go, jak Oleg był mały?

– Kiedy wszedłem w jego życie, był w wieku gier komputerowych i raczej średnio mu się podobało, że ktoś staje między nim a jego matką.

– Ale się zaprzyjaźniliście.

– Zdaniem Rakel to dlatego, że nienawidziliśmy tych samych zespołów. I uwielbialiśmy Tetris. Przez telefon powiedziałaś, że życie jest w porządku. Coś nowego?

– W pracy?

– Gdziekolwiek.

– No tak. I nie. Od śmierci Bjørna minęło już całkiem sporo czasu, więc zaczęłam się trochę otwierać.

– To coś na poważnie?

– Nie, raczej tak bym tego nie określiła. Spotkałam się ostatnio kilka razy z jednym facetem, było dość miło, no ale nie wiem. I ty, i ja byliśmy w punkcie wyjścia dziwakami, z upływem lat to wcale nie mija. A co u ciebie?

Harry pokręcił głową.

– Widzę, że ciągle nosisz obrączkę – zauważyła Katrine. – Bo ty spotkałeś już miłość swojego życia. Ze mną i z Bjørnem było trochę inaczej. Był najmilszym mężczyzną na świecie. Zbyt miłym. – Podniosła do ust filiżankę z herbatą. – I zbyt wrażliwym, żeby być z taką suką jak ja.

– To nieprawda.

– Nie? A jak nazwiesz kobietę, która idzie do łóżka z jednym z najlepszych przyjaciół swojego męża? Okej, może dziwka jest bardziej precyzyjnym określeniem.

– To się po prostu stało, Katrine. Byłem pijany, a ty...

– Co ja? Chciałabym przynajmniej móc powiedzieć, że byłam w tobie zakochana. Kiedyś, przez pierwszych kilka lat, gdy razem pracowaliśmy, może i tak było, ale później... Później byłeś tylko tym, którego nie mogłam mieć. Tym, którego wyrwała dla siebie czarnooka piękność ze wzgórza Holmenkollåsen.

– Mhm. Nie wydaje mi się, by Rakel uważała, że mnie wyrwała.

– W każdym razie to nie ty wyrwałeś ją.

– Jak to?

– Harry Hole! Ty przecież nie zauważasz, że jakaś kobieta się tobą interesuje, nawet jeśli napisze ci to czarno na białym. I nawet wtedy nie ruszysz tego swojego kościstego tyłka, tylko siedzisz i czekasz.

Harry roześmiał się cicho. Mógł teraz spytać, był dobry moment. Nie miał powodu, aby to odkładać. To przecież było takie oczywiste. Te jasne loki. Oczy. Usta. Oczywiście Katrine nie wiedziała, że on już się o tym dowiedział podczas jednej z nocy, które spędził z Alexandrą Sturdzą z Instytutu Medycyny Sądowej. Że Alexandra niezgrabnym sformułowaniem pośrednio zdradziła, iż Bjørn sprawdzał ojcostwo, a przeprowadzona przez nią analiza DNA wykazała, że ojcem Gerta jest Harry, a nie Bjørn.

Chrząknął.

– Wiem, że...

Katrine spojrzała na niego pytająco.

– Wiem, że Truls Berntsen wpadł w jakieś kłopoty. To prawda, że jest na kwarantannie?

Lekko uniosła brew.

– Owszem. Razem z dwoma innymi funkcjonariuszami jest podejrzany o kradzież narkotyków zatrzymanych na Gardermoen. Chyba nie jesteś zaskoczony. Truls Berntsen jest skorumpowany do szpiku kości i ma długi hazardowe. To było jedynie kwestią czasu.

– Zaskoczony nie jestem, ale przykro to słyszeć.

– Coś ty? Myślałam, że się nie znosicie.

– Może nie jest kimś, kogo łatwo lubić, ale ma pewne dobre cechy, które łatwo przeoczyć. Może przeoczył je nawet on sam.

– Skoro tak mówisz... Dlaczego się nim interesujesz?

Harry wzruszył ramionami.

– Czytałem, że Bellman ciągle jest ministrem sprawiedliwości.

– O rany, tak. On się świetnie czuje w tych rozgrywkach politycznych. Moim zdaniem zawsze był lepszym politykiem niż policjantem. A co słychać u twoich bliskich?

– No cóż. Moja siostra mieszka z partnerem w Kristiansand, wszystko u niej w porządku. Syn Rakel pracuje w urzędzie lensmana w Lakselv, mieszka ze swoją

dziewczyną. Øystein Eikeland, jeśli go pamiętasz...

– Ten taksówkarz?

– Tak. Rozmawiałem z nim wczoraj przez telefon. Zmienił branżę. Mówi, że teraz lepiej zarabia. A Aunego zamierzam jutro odwiedzić. To chyba tyle.

– Niewielu bliskich ci zostało, Harry.

– To prawda.

Starał się nie patrzeć na zegarek. Nie sprawdzać, ile jeszcze jest do końca tej przeklętej niedzieli. Poniedziałek był dniem picia. Tylko trzy jednostki, ale to był dzień picia. Żadna reguła przecież nie precyzowała, o jakiej porze w poniedziałek można przyjąć dopuszczalną ilość. Równie dobrze mogło się to odbyć zaraz po północy, wszystko naraz. Wstrzymał się z kupieniem butelki whisky na Gardermoen, skończyło się na miśku, ale już sprawdził minibar w swoim pokoju hotelowym i wiedział, że znajdzie w nim to, czego potrzebuje.

– A jak u ciebie? – Podniósł filiżankę z kawą. – Kto został tobie?

Katrine się zastanowiła.

– Nie mam żadnej rodziny, więc najbliższe mi osoby to dziadkowie Gerta. Bardzo mi pomagają. Do Toten są dwie godziny jazdy, ale przyjeżdżają tak często, jak mogą, a czasami, gdy poproszę, nawet wtedy, kiedy nie mogą. Są bardzo przywiązani do małego. Im też został tylko on, więc...

Urwała. Zapatrzyła się ponad filiżanką w ścianę obok Harry’ego. Zauważył to i widział, że Katrine jakby zbiera się w sobie.

– Nie chcę, żeby oni wiedzieli. I nie chcę, żeby wiedział Gert. Rozumiesz, Harry?

A więc wiedziała. I zrozumiała, że on także wie.

Kiwnął głową. Nietrudno było pojąć, że Katrine nie chce, by jej syn dorastał w świadomości, że jest wynikiem zdrady, przygody na jedną noc jego matki z alkoholikiem. Że nie chce łamać serca dwojgu kochającym dziadkom. Ani stracić wsparcia, tak bardzo potrzebnego samotnej matce i jej dziecku.

– Jego ojciec miał na imię Bjørn – szepnęła Katrine, przenosząc wzrok i patrząc Harry’emu prosto w oczy. – Kropka.

– Rozumiem – powiedział Harry cicho, wytrzymując jej spojrzenie. – Wydaje mi się, że masz rację. Proszę tylko, żebyś zwróciła się do mnie, jeśli będziecie

potrzebować pomocy. W czymkolwiek. Niczego więcej nie chcę w zamian.

Zobaczył, że oczy Katrine wilgotnieją.

– Dziękuję, Harry. To bardzo szczodre z twojej strony.

– Nie za bardzo. Jestem biedny jak mysz kościelna.

Roześmiała się, pociągnęła nosem i oderwała kawałek papierowego ręcznika.

– Fajny jesteś – rzuciła.

Przyszła babcia i oznajmiła, że mama musi iść zaśpiewać, a kiedy Katrine wyszła do pokoju synka, Harry opowiedział matce Bjørna, jak jej syn rządził, gdy we trzech, jeszcze z Øysteinem, układali playlisty na wieczory tematyczne w barze Jealousy. Były czwartki Hanka Williamsa, tydzień Elvisa, a także chyba najbardziej godny zapamiętania wieczór „utworów liczących co najmniej czterdzieści lat, będących autorstwa solistów i zespołów z amerykańskich stanów, których nazwy zaczynają się na literę M”. Wprawdzie jego matka niezbyt kojarzyła nazwy faworyzowanych przez Bjørna grup i artystów, ale mimo wszystko jej wilgotne oczy wyrażały wdzięczność za to, że Harry opowiada coś – prawdopodobnie cokolwiek – o jej synu.

Katrine wróciła do kuchni, teściowa przeszła do salonu i włączyła telewizor.

– A ten facet, z którym się spotykasz... – zaczął Harry.

Katrine tylko prychnęła w odpowiedzi.

– No dalej, mów!

– Jest ode mnie młodszy. Nie, nie poznałam go na Tinderze. Poznaliśmy się w knajpie. To było zaraz po tym, jak wszystko znów otwarto i w mieście zapanowało coś w rodzaju euforii. No i... tak, on wciąż podtrzymuje kontakt.

– On, ale nie ty?

– Chyba podchodzi do tego nieco poważniej niż ja. Nie powiem, jest miłym, solidnym facetem. Ma stałą pracę, własne mieszkanie i chyba panuje nad swoim życiem.

Harry się uśmiechnął.

– Tak, tak. – Lekko trzepnęła go dłonią. – Kiedy jest się samotną matką, odruchowo zaczyna się brać pod uwagę takie rzeczy, okej? Ale musi też w tym być jakieś passion.

– A tego nie ma?

Zwlekała z odpowiedzią.

– Bardzo mi się podoba to, że on wie rzeczy, których ja nie wiem. Uczy mnie, rozumiesz? Interesuje się muzyką, tak jak Bjørn. Radzi sobie z tym, że jestem dziwaczką, i – na jej twarzy rozpostarł się wielki uśmiech – mnie kocha. Wiesz, zapomniałam już, jakie to przyjemne. Być kochaną tak na wskroś. Tak jak kochał mnie Bjørn. – Pokręciła głową. – Może podświadomie szukałam nowego Bjørna. Obawiam się, że nawet bardziej tego niż passion.

– Mhm. Czy matka Bjørna wie...

– Nie! – Katrine ostrzegawczo machnęła ręką. – Nikt nie wie. I nie zamierzam go nikomu przedstawiać.

– Nikomu?

Westchnęła.

– Kiedy wiesz, że związek z facetem nie przetrwa, ale że prawdopodobnie później też trzeba będzie mieć z nim kontakt, to wciągasz w taką relację jak najmniej ludzi, prawda? Nie chcesz, żeby potem stali wokół ciebie, patrzyli i wiedzieli. Ale nie chcę ci więcej o nim opowiadać. – Zdecydowanym ruchem odstawiła filiżankę. – Teraz ty. Opowiadaj o Los Angeles.

Harry się uśmiechnął.

– Może kiedy indziej, jak będę miał więcej czasu. Powinienem ci raczej wyjaśnić, dlaczego do ciebie zadzwoniłem.

– Tak? Sądziłam, że chodzi o... – Ruchem głowy wskazała pokój synka.

– Nie – zaprzeczył Harry. – Oczywiście o tym myślałem, ale doszedłem do wniosku, że to musi być twoja decyzja, jeśli zechcesz mi powiedzieć.

– Moja decyzja? Przecież nie można było się z tobą skontaktować!

– Mhm. Wyłączyłem telefon.

– Na pół roku?

– Mniej więcej. Wszystko jedno. Zadzwoniłem, żeby ci powiedzieć, że Markus Røed chce mnie wynająć jako prywatnego detektywa w sprawie tych dwóch dziewczyn.

Katrine patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Żartujesz.

Harry nie odpowiedział.

Katrine odchrząknęła.

– Chcesz mi wmówić, że ty, Harry Hole, sprzedałeś się jak dziwka temu... temu dziwkarzowi Røedowi?

Harry spojrzał w sufit, jakby smakował te słowa.

– To bardzo precyzyjne sformułowanie.

– Niech cię cholera, Harry.

– Z tym wyjątkiem, że jeszcze tego nie zrobiłem.

– Nie? A dlaczego? Klient za mało płaci dziwce?

– Ponieważ najpierw musiałem porozmawiać z tobą. Masz prawo weta.

– Weta? – prychnęła. – Niby czemu? Przecież możecie robić, co chcecie, szczególnie Røed. Ma dość kasy, żeby kupić sobie wszystko. Ale że wystarczy mu pieniędzy na kupienie twojego tyłka, tego nie przypuszczałam.

– Masz dziesięć sekund na rozważenie za i przeciw – oświadczył Harry i znów sięgnął po filiżankę z kawą.

Zobaczył, że płomienie w ciemnych oczach Katrine przygasają, przygryzła dolną wargę jak zawsze, gdy jej mózg zaczynał intensywnie pracować. Harry liczył, że Katrine wysnuje przynajmniej niektóre wnioski takie same jak on.

– Zamierzasz pracować sam?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Chcesz ściągnąć kogoś od nas albo z KRIPOS?

– Nie.

Katrine się zamyśliła.

– Harry, dobrze wiesz, że olewam prestiż i ego. Te zawody o to, kto dalej nasika, zostawiam wam, chłopaczkom. Mnie interesuje na przykład to, żeby kobiety mogły chodzić po tym mieście bez obaw, że zostaną zgwałcone albo zabite. A teraz tak nie jest. W takiej sytuacji lepiej, żebyś włączył się w tę sprawę, niż żebyś tego nie zrobił. – Pokręciła głową, jakby nie podobały jej się te zalety, które dostrzegała. – A jako prywatny śledczy masz wiele możliwości, na które my nie możemy sobie pozwolić.

– No właśnie. Jak według ciebie wygląda ta sprawa?

Katrine spojrzała na swoje dłonie.

– Dobrze wiesz, że nie mogę ci zdradzić szczegółów śledztwa, ale zakładam, że czytasz gazety, a w takiej sytuacji nie wyjawię za dużo, mówiąc, że razem z KRIPOS pracujemy przy tej sprawie dniami i nocami od trzech tygodni i że przed odnalezieniem tych zwłok nie mieliśmy nic. Mówię poważnie: kompletnie nic. Mieliśmy zdjęcia Susanne na stacji kolejki Skullerud z wtorku, z dziewiątej wieczorem, niedaleko od miejsca, w którym ją znaleziono. Mieliśmy samochód Bertine zaparkowany w pobliżu szlaków na Grefsenkollen. Ale nikt nie wie, co te dziewczyny tam robiły. Żadna z nich nie lubiła wędrować po górach i z tego, co wiemy, nie znały nikogo ani na Grefsen, ani na Skullerud. Oba te rejony przeszukały liczne patrole z psami, niczego nie znajdując. I nagle jakiś biegacz z psem natyka się na zwłoki. Dobrze się stało, ale wyszliśmy przez to na idiotów. Zaczęło się to, co zwykle. Wielka suma przypadków zawsze zwycięża nad systematycznymi poszukiwaniami. Ale ludzie tego nie rozumieją. Ani dziennikarze. Ani – westchnęła z rezygnacją – szefowie.

– Mhm. A co z tą imprezą u Røeda?

– Nic, oprócz tego, iż wygląda na to, że to był jedyny raz, gdy Susanne i Bertine się spotkały. Próbowaliśmy ustalić, kto był na tej imprezie, ponieważ ktoś z uczestników mógł tam spotkać obie dziewczyny. Tylko że to jak z tropieniem ścieżki zakażeń w ubiegłym roku. Mamy zapewne większość nazwisk, osiemdziesiąt kilka, ale nikt nie ma pełnej listy, ponieważ to była impreza sąsiedzka z dość swobodnym przepływem gości i nikt nie znał wszystkich. Tak czy owak, żadne z nazwisk, które mamy, nie wyróżnia się jako podejrzane: ani w kwestii kartoteki karnej, ani okazji. Dlatego wróciliśmy do tego, co zawsze powtarzałeś, aż robiły nam się dziury w uszach.

– Mhm. Dlaczego?

– No właśnie, dlaczego. Susanne i Bertine były chyba, jak to się mówi, zwyczajnymi dziewczynami. Podobne do siebie pod pewnymi względami, pod innymi się różniły. Obie pochodziły z porządnych rodzin. Po skończeniu szkoły średniej już się nie uczyły. To znaczy Susanne podjęła studia, marketing, ale po pół roku zrezygnowała. Obie pracowały dorywczo w sklepach, Bertine również jako fryzjerka, chociaż nie miała dyplomu. Obie interesowały się strojami, makijażem, samymi sobą i laskami, z którymi konkurowały na mieście czy Instagramie... Tak, wiem, że to może zabrzmieć jak uprzedzenia. Poprawka, to są uprzedzenia. Kupowały dużo rzeczy, często bawiły się w klubach, znajomi określają je jako

imprezowe dziewczyny. Jedna różnica polegała na tym, że Bertine mimo wszystko na ogół sama opłacała swoje rachunki, natomiast Susanne mieszkała u rodziców i była na ich utrzymaniu. Druga różnica: Bertine miała stosunkowo wielu partnerów, a Susanne podobno była pod tym względem bardziej wstrzemięźliwa.

– Dlatego że mieszkała u rodziców?

– Nie tylko. Jeśli nie liczyć kilku krótkich romansów, mówiło się o niej, że jest cnotką. Z możliwym wyjątkiem Markusa Røeda.

– Sugar daddy?

– Mamy zestawienia rozmów telefonicznych i SMS-ów obu dziewczyn. Świadczą o rozległych kontaktach z Røedem w ciągu ostatnich trzech lat.

– SMS-y o treści seksualnej?

– Nie tak dużo, jak można by przypuszczać. Kilka sexy fotek od dziewczyn, ale nic ostrego. Mowa raczej o zaproszeniach na imprezy i o rzeczach, które chciałyby mieć. Røed regularnie przekazywał im obu pieniądze przez aplikację Vipps. To nie były duże kwoty: dwa tysiące, maksymalnie jednorazowo dziesięć tysięcy. Ale wystarczające, żeby uzasadnić określenie sugar daddy. W jednej z ostatnich wiadomości Bertine pisze do Røeda, że kontaktował się z nią dziennikarz, który chciał potwierdzić pewną plotkę i spytał, czy zgodziłaby się na wywiad za dziesięć tysięcy koron. Bertine kończy SMS-a czymś w rodzaju: Oczywiście odmówiłam, chociaż akurat jestem winna dziesięć tysięcy gościowi od kreskówek.

– Mhm. Kreskówki. Kreski. Kokaina albo amfetamina.

– I wysyła coś, co może być groźbą.

– Uważasz, że w tym miejscu masz swoje „dlaczego”?

– Wiem, że to brzmi tak, jakbyśmy chwytali się brzytwy, ale zajrzeliśmy pod każdy kamień i nie znaleźliśmy w otoczeniu obu dziewczyn nic, co mogłoby stanowić niezbity motyw zabójstwa. Właściwie zostały nam dwa ewentualne motywy. Pierwszy: Markus Røed mógł chcieć pozbyć się dwóch dziewczyn, które groziły mu skandalem. Drugi: zazdrość żony, Helene Røed. Problemem jest to, że oni dają sobie nawzajem alibi na oba wieczory, kiedy dziewczyny zaginęły.

– Tyle zrozumiałem. A co z najbardziej oczywistym motywem?

– Czyli?

– Tym, o którym już wspomniałaś. Na imprezie jest jakiś psychopata, nawiązuje znajomość z obiema dziewczynami i dostaje od nich dane kontaktowe.

– Tak jak ci mówiłam, żaden z gości, o których wiemy, nie pasuje do takiego profilu. I oczywiście możliwe, że cała ta impreza to ślepy tor. Oslo jest małym miastem, więc nic w tym nieprawdopodobnego, że dwie dziewczyny w tym samym wieku przyszły na tę samą imprezę.

– Trochę mniej prawdopodobne, że mają tego samego sugar daddy.

– Być może. Według tych, z którymi rozmawialiśmy, ani Susanne, ani Bertine nie były jedyne.

– Mhm. Sprawdzaliście to?

– Co?

– Kto oprócz żony Røeda mógł chcieć się pozbyć konkurencji?

Na twarzy Katrine pojawił się zmęczony uśmiech.

– Ty i te twoje motywy. Stęskniłam się za tobą. Cały Wydział Zabójstw się za tobą stęsknił.

– W to wątpię.

– Owszem, są jeszcze dwie dziewczyny, z którymi Røed utrzymywał sporadyczne kontakty, ale one zostały wyeliminowane ze sprawy. Rozumiesz, Harry? Wszyscy, których nazwiska znamy, zostali wyeliminowani! Pozostaje więc tylko cała reszta mieszkańców Ziemi. – Oparła głowę na rękach, masując skronie czubkami palców. – W każdym razie teraz media się na nas rzuciły. Razem z komendantem okręgowym i szefową Biura Kryminalnego. Nawet Bellman zadzwonił i powiedział, że mamy wykorzystać wszystkie środki. Więc jeśli o mnie chodzi, to cieszę się, że spróbujesz, Harry. Pamiętaj tylko, że ta rozmowa się nie odbyła. Oczywiście nie możemy współpracować, również nieformalnie. A ja nie mogę ci przekazywać żadnych informacji, których nie mogłabym udostępnić publicznie. Minus to, co ci teraz powiedziałam.

– Rozumiem.

– Pewnie rozumiesz też, że znajdą się u nas tacy, którym nie za bardzo spodoba się konkurencja z sektora prywatnego. A przynajmniej taka, która została kupiona i opłacona przez potencjalnego podejrzanego. Pomyśl tylko, jaką porażką dla mojej szefowej i dla KRIPOS byłoby, gdybyście pierwsi dotarli do celu. Z tego, co wiem, istnieją prawne podstawy, żeby was powstrzymać, i w takim razie jestem pewna, że się do nich zastosują.

– Myślę, że Johan Krohn już to przerobił.

– A, rzeczywiście, Røed ściągnął go do swojej drużyny, zapomniałam.

– Możesz zdradzić coś o miejscu znalezienia zwłok?

– Dwa zestawy śladów przychodzących, jeden wychodzący. Przypuszczam, że po sobie posprzątał.

– Czy przeprowadzono sekcję Susanne Andersen?

– Tylko wstępne oględziny zwłok wczoraj.

– Znaleźli coś?

– Poderżnięte gardło.

Harry pokiwał głową.

– Gwałt?

– Nic widocznego.

– Coś jeszcze?

– O czym myślisz?

– Masz taką minę, jakby jeszcze coś znaleźli.

Katrine nie odpowiedziała.

– Rozumiem. To informacja, której nie możesz obwieścić publicznie.

– Harry, i tak powiedziałam ci już za dużo.

– Jasne. Ale spodziewam się, że nie odmówisz, jeśli informacje pofruną w drugą stronę, gdybyśmy coś znaleźli.

Wzruszyła ramionami.

– Policja nie może zabronić ludziom zgłaszania informacji. Ale nie wyznacza się żadnej nagrody.

– Przyjąłem. – Harry spojrzał na zegarek. Trzy i pół godziny do północy.

Jakby zawierając milczącą ugodę, oboje porzucili temat. Harry zaczął wypytywać o Gerta, Katrine opowiadała, ale on i tak miał wrażenie, że zachowuje coś dla siebie. Po pewnym czasie rozmowa zaczęła się rwać. O dziesiątej Katrine zeszła razem z nim po schodach na podwórze, żeby wrzucić do kontenerów dwa worki ze śmieciami. Kiedy otworzył bramę i wyszedł na ulicę, ruszyła za nim i mocno go uściskała. Poczuł jej ciepło. Jakby z tamtej nocy. Ale wiedział, że na tym będzie koniec. Dawniej istniało przyciąganie. Cielesna chemia, której żadne z nich się nie wypierało. Oboje wiedzieli jednak, że byłby to głupi powód do

zrujnowania tego, co łączyło ich z innymi. Ale teraz, gdy tamte związki i tak zostały zniszczone, rozpadło się również to. I nie było już drogi powrotu do tamtego słodkiego zakazanego napięcia.

Nagle Katrine drgnęła i puściła Harry'ego. Zobaczył, że patrzy w dół ulicy.

– Coś nie tak?

– Uff, nie. – Skrzyżowała ręce na piersi i zadrżała, jakby z zimna, chociaż wieczór był ciepły. – Posłuchaj, Harry.

– Mhm.

– Jeśli chcesz... – Urwała, wzięła głębszy oddech. – Możesz któregoś dnia zająć się Gertem.

Harry spojrzał na nią, wolno skinął głową.

– Dobranoc.

– Dobranoc – odpowiedziała i czym prędzej zamknęła za sobą bramę.

Wrócił do siebie okrężną drogą, przez Bislett i Sofies gate, gdzie kiedyś mieszkał. Minął U Schrødera, brunatną knajpę, będącą niegdyś miejscem jego schronienia. Wszedł na szczyt wzgórza St. Hanshaugen, skąd miał widok na miasto i Oslofjorden. Nic się nie zmieniło. Wszystko się zmieniło. Nie było żadnych powrotnych dróg. I żadnych dróg, które nie wiodłyby z powrotem.

Myślał o rozmowie z Røedem i Krohnem. Tej, podczas której tłumaczył, że nie mogą poinformować mediów o podpisaniu umowy, dopóki nie porozmawia z Katrine Bratt. Wyjaśnił im, że jeśli Bratt odniesie wrażenie, iż mogła zawetować pracę Harry'ego dla Røeda, zwiększy to szanse na dobry klimat współpracy z policją. Opisał mniej więcej, jak będzie przebiegać dyskusja i w jaki sposób Katrine zdoła sama znaleźć właściwe argumenty, zanim się zgodzi. Potwierdzili, wtedy podpisał kontrakt.

Usłyszał z oddali wybijający godziny zegar na wieży kościoła. Czuł w ustach smak kłamstwa. Już wiedział, że nie będzie ono ostatnie.

Prim spojrzał na zegarek. Niedługo północ. Umył zęby, jedną nogą wystukując rytm Oh! You Pretty Things, i popatrzył na dwie fotografie, które przylepił taśmą do lustra.

Jedna przedstawiała Kobietę, piękną, chociaż lekko zamazaną, lecz mimo to na zdjęciu stanowiącą zaledwie bladą kopię siebie. Jej uroda bowiem nie należała do tych, które da się uchwycić w momencie znieruchomienia. Istniała w czymś, co z niej biło. Tkwiła w ruchach ciała, w sumie następujących po sobie zmiennych wyrazów twarzy, słów i śmiechu. Fotografia była niczym wyjęcie pojedynczego tonu z fragmentu dzieła Bacha czy Bowiego. Nie miała sensu. A jednak była lepsza niż nic. Ale to, że się kocha kobietę – nieważne, jak bardzo – nie oznacza, że się ją posiada. Dlatego poprzysiągł sobie, że przestanie Ją obserwować, przestanie kontrolować Jej życie prywatne, jak gdyby była jego własnością. Musi się nauczyć Jej ufać. Bez zaufania ból będzie zbyt wielki.

Na drugim zdjęciu była ta, którą planował posunąć przed weekendem. A raczej pozwolić jej się posunąć. Później zamierzał ją zabić. Nie dlatego, że chciał, tylko dlatego, że musiał.

Wypłukał usta i razem z Bowiem zaśpiewał, że wszystkie koszmary pojawiły się dzisiaj i wygląda na to, że zamierzają zostać.

Potem przeszedł do salonu i otworzył lodówkę. Zobaczył torebkę z tiabendazolem. Wiedział, że dziś zażył za mało, ale zbyt duża jednorazowa dawka mogła wywołać ból brzucha i wymioty. Niewykluczone, że dlatego, iż hamowała cykl kwasu cytrynowego. Cała sztuka polegała na zażywaniu niewielkich ilości w regularnych odstępach. Zdecydował, że teraz już nic nie weźmie, tłumacząc sobie, że właśnie umył zęby. Zamiast tego sięgnął po otwartą puszkę z napisem „Bloodworms” i podszedł do akwarium. Wsypał do wody pół łyżeczki zawartości – składającej się głównie z larw komarów – które ułożyły się na powierzchni jak łupież, nim zaczęły opadać.

Po paru szybkich uderzeniach płetwą ogonową pojawił się Boss. Prim zapalił latarkę kieszonkową i nachylił się, tak by mógł poświecić wprost w jego pysk, gdy ten go otwierał. I tam, w środku, mógł ją zobaczyć. Wyglądała jak mały karaluch albo krewetka. Wzdrygnął się, jednocześnie czując radość. Boss i Lisa. Chyba właśnie to często przeżywali mężczyźni – a może również kobiety – stając w obliczu ostatecznego małżeństwa. Pewną... ambiwalencję. Ale on wiedział, że kiedy już się znalazło wybrankę, to nie ma drogi odwrotu. Bo jeśli ludzie i zwierzęta mają jakiś moralny obowiązek, to jest nim słuchanie głosu własnej natury. A zadanie to należy wypełniać, aby utrzymać harmonię, delikatną równowagę. Dlatego wszystko w naturze – nawet to, co na pierwszy rzut oka

wydaje się wynaturzone, ohydne i okrutne – jest piękne w całej swojej idealnej funkcjonalności. Grzech pojawił się na świecie tego dnia, gdy człowiek zjadł z drzewa wiadomości i osiągnął poziom refleksji umożliwiający wybieranie innej drogi niż ta określona przez naturę. Tak, właśnie tak było.

Prim wyłączył muzykę i pogasił światła.

9

Poniedziałek

Harry maszerował w stronę wejścia do wielkiego budynku w dzielnicy Montebello, najlepszych zachodnich rejonach Oslo. Była dziewiąta rano, słońce świeciło, nie zważając na nic. Mimo to Harry czuł ściskanie w brzuchu. Był tu już wcześniej. Szpital Radowy. Ponad sto lat temu, gdy ujawniono plany budowy osobnego szpitala dla chorych na raka, sąsiedzi protestowali. Bali się takiej bliskości tej strasznej i tajemniczej choroby – niektórzy twierdzili nawet, że jest zakaźna – i obawiali się, że przez to spadnie wartość ich nieruchomości. Ale inni wsparli projekt i dali dość pieniędzy – w przeliczeniu na dzisiejszą wartość ponad trzydzieści milionów koron – na zakup czterech gramów radu, który miał napromieniowywać i zabijać komórki rakowe, zanim uśmiercą swojego żywiciela.

Harry wszedł do środka i stanął przy windzie.

Nie zamierzał nią jechać, ale próbował coś sobie przypomnieć.

Miał piętnaście lat, gdy razem z młodszą siostrą, zwaną Sio, w Szpitalu Radowym, jak z czasem zaczęto go nazywać, odwiedzali matkę. Leżała tu przez cztery miesiące, z każdą ich wizytą coraz chudsza i bledsza, jak fotografia blaknąca w słońcu; jej zawsze łagodnie uśmiechnięta twarz zdawała się znikać z poduszki. Akurat tamtego dnia dostał ataku wściekłości, który doprowadził go w końcu do płaczu.

– Jest jak jest, Harry. I nie do ciebie należy opiekowanie się mną – powiedziała matka, obejmując go i głaszcząc po głowie. – Ty musisz opiekować się swoją siostrą.

Po tej wizycie jechali windą na dół; Sio stała oparta o ścianę, a gdy dźwig ruszył, jej długie włosy zaczepiły się między otwartą kabiną a ścianą. Harry zamarł, kiedy Sio, wzywając pomocy, uniosła się nad podłogę windy. Wyrwało jej sporo włosów i kawał skóry z głowy, ale przeżyła i szybko o wszystkim zapomniała. Szybciej niż

Harry, który wciąż czuł strach i wstyd, myśląc o tym, jak po tamtych słowach matki wykorzystał pierwszą nadarzającą się okazję, żeby zawieść.

Drzwi windy się rozsunęły. Dwaj pielęgniarze wyprowadzili z kabiny łóżko na kółkach.

Harry stał nieruchomo, dopóki drzwi z powrotem się nie zamknęły. Wtedy się odwrócił i piechotą ruszył po schodach na szóste piętro.

Pachniało szpitalem i nie zmieniło się to od czasu, kiedy leżała tu matka. Znalazł drzwi z numerem sześćset osiemnaście i ostrożnie zapukał. Słysząc dobiegający ze środka głos, otworzył. Zobaczył dwa łóżka, jedno puste.

– Szukam Stålego Aune – powiedział.

– Wyszedł trochę pospacerować – odparł mężczyzna z drugiego łóżka.

Był łysy i wyglądał na Pakistańczyka lub Hindusa z pochodzenia, w wieku Aunego, czyli sześćdziesięciu kilku lat. Harry jednak z doświadczenia wiedział, że wiek chorych na raka czasami trudno określić.

Odwrócił się i zobaczył, że Ståle Aune idzie w jego stronę, szurając nogami, ubrany w szpitalny szlafrok. Zrozumiał, że tamten chudy mężczyzna, obok którego przeszedł na korytarzu, to właśnie psycholog.

Brzuchaty niegdyś Aune miał teraz fałdy zbędnej skóry. Zamachał jedną ręką uniesioną na wysokość piersi i rozciągnął usta w udręczonym uśmiechu, nie pokazując zębów.

– Odchudziłeś się? – spytał Harry po tym, jak objęli się niedźwiedzim uściskiem.

– Nie uwierzysz, ale nawet głowa mi się skurczyła. – Ståle zademonstrował to, wpychając wyżej na nos małe okrągłe okularki, podobne do tych, jakie nosił Freud. Zamknął za sobą drzwi do sali sześćset osiemnaście. – To jest Jibran Sethi. Doktorze Sethi, to komisarz Hole.

Mężczyzna w drugim łóżku z uśmiechem kiwnął głową, nie zdejmując słuchawek z uszu.

– Jest weterynarzem – dodał Aune już ciszej. – Fajny facet, ale może rzeczywiście prawdą jest to, że upodabniamy się do naszych pacjentów. On prawie się nie odzywa, a mnie się gęba nie zamyka. – Zrzucił kapcie i podciągnął się na łóżko.

– Nie sądziłem, że pod całym tym watowaniem jesteś taki umięśniony. – Harry usiadł na krześle.

Aune się roześmiał.

– Zawsze byłeś mistrzem pochlebstw, Harry. Powiem ci, że odnosiłem kiedyś spore sukcesy jako wioślarz. Ale co się dzieje z tobą? Musisz, do diabła, zacząć jeść, bo niedługo całkiem znikniesz.

Harry nie odpowiedział.

– Aha, zastanawiasz się, który z nas zniknie pierwszy? Ja, Harry. Umrę na to.

Harry pokiwał głową.

– A co mówią lekarze o...

– O tym, ile mi jeszcze zostało? Nic. Bo ja nie pytam. Wartość spojrzenia prawdzie w oczy, zwłaszcza gdy chodzi o własną śmiertelność, jest bardzo przesadzona. Tak wynika z mojego doświadczenia. A moje doświadczenie, jak wiesz, jest długie i bogate. My, ludzie, koniec końców chcemy jedynie, żeby nam było dobrze, i to jak najdłużej, a najlepiej do nagłego opadnięcia kurtyny. Oczywiście rozczarowało mnie w pewnym stopniu uświadomienie sobie, że pod tym względem nie różnię się od innych i nie jestem w stanie umrzeć z taką odwagą i godnością, z jaką bym chciał. Przypuszczam jednak, że brakuje mi odpowiednich powodów, by umrzeć bardziej brawurowo. Żona i córka płaczą, a dla nich nie będzie żadną pociechą oglądanie mnie bojącego się śmierci bardziej, niż to konieczne, więc raczej przed tym uciekam, unikając prawdy i nieprzyjemnej rzeczywistości.

– Mhm.

– Ale okej, nie potrafię się powstrzymać od interpretowania zachowania lekarzy, tego, co mówią i jakie mają miny. A sądząc po tym, zostało mi niewiele czasu. Mimo to... – Aune rozłożył ręce i uśmiechnął się ze smutkiem w oczach. – Zawsze jest nadzieja, że mogę się mylić. Przecież w swoim życiu zawodowym częściej się myliłem, niż miałem rację.

Harry też się uśmiechnął.

– Możliwe.

– Możliwe – powtórzył Aune. – No ale wiesz, w którą stronę wszystko zmierza, kiedy dają ci pompę morfinową, którą możesz obsługiwać samodzielnie, i nie przestrzegają przed przedawkowaniem.

– Mhm. Czyli bóle?

– Ból jest interesującym partnerem rozmowy. Ale dość już o mnie. Opowiadaj o Los Angeles.

Harry pokręcił głową i doszedł do wniosku, że to musi być jet lag, bo nagle zaczął się trząść ze śmiechu.

– Daj spokój! – obruszył się Aune. – Śmierć to nie powód, żeby się śmiać. No już, opowiadaj!

– Mhm. A obowiązek dochowania tajemnicy?

– Harry, stąd wszystkie tajemnice zostaną zabrane do grobu, a zegar tyka, więc po raz ostatni mówię: opowiadaj!

I Harry opowiedział. Nie wszystko. Nie o tym, co się naprawdę stało tuż przed jego wyjazdem, kiedy Bjørn się zastrzelił. Nie o Lucille i o jego własnym tykającym zegarze. Ale opowiedział o wszystkim innym. O ucieczce od wspomnień. O planie zapicia się na śmierć gdzieś daleko.

Kiedy skończył, zobaczył, że Ståle ma zamglony wzrok. W wielu sprawach, w których Ståle Aune pomagał śledczym z Wydziału Zabójstw w stworzeniu profilu zabójcy, wytrzymałość i zdolność koncentracji psychologa, zwłaszcza gdy dni się wydłużały, zawsze imponowały Harry’emu. Teraz odczytywał w jego spojrzeniu zmęczenie, ból i morfinę.

– A co z Rakel? – spytał Aune słabym głosem. – Dużo o niej myślisz?

– Przez cały czas.

– Przeszłość nie umarła. Nie jest nawet przeszłością.

– To cytat z Paula McCartneya?

– Prawie – odparł z uśmiechem Aune. – Myślisz o niej w dobry sposób czy sprawia ci to wyłącznie ból?

– Chyba sprawia ból w przyjemny sposób. Albo odwrotnie. Jak... No cóż, jak z alkoholem. Najgorsze są dni, kiedy się budzę po tym, jak mi się przyśniła, i przez chwilę wydaje mi się, że ona ciągle żyje, a snem jest to, co się wydarzyło. I muszę kolejny raz przerabiać cały ten horror.

– Rozumiem. Pamiętasz, jak przychodziłeś do mnie na terapię, żeby przestać pić? A ja cię spytałem, czy w okresach trzeźwości chciałbyś, żeby alkohol nie istniał na świecie. Odpowiedziałeś, że alkohol powinien istnieć i że nawet gdybyś nie pił, to chciałbyś mieć taką możliwość, samą ideę pójścia na drinka. Bez tego

wszystko byłoby szare i bezsensowne, nie byłoby żadnego wroga, z którym można by walczyć. Czy tak samo...

– Owszem – potwierdził Harry. – Tak samo jest z Rakel. Wolę mieć tę ranę, niż żeby w ogóle jej nie było w moim życiu.

Siedzieli w milczeniu. Patrzyli na siebie. Harry wbijał wzrok w swoje dłonie. Rozglądał się po pokoju. Słuchał prowadzonej ściszonym głosem rozmowy telefonicznej z drugiego łóżka. W końcu Ståle się obrócił.

– Harry, jestem trochę zmęczony. Bywają lepsze dni, ale nie dzisiaj. W każdym razie dziękuję, że przyszedłeś.

– O ile lepsze?

– O co ci chodzi?

– Dostatecznie dobre, żebyś mógł pracować? To znaczy stąd.

Aune spojrzał na niego zdumiony.

Harry przysunął krzesło bliżej łóżka.

Na szóstym piętrze Budynku Policji w sali konferencyjnej, nazywanej Centrum Dowodzenia, Katrine właśnie kończyła poranną odprawę grupy śledczej – w spotkaniu uczestniczyło siedemnaście osób: dwanaście z Wydziału Zabójstw i pięć z KRIPOS. Wśród tej siedemnastki oprócz niej było dziesięcioro śledczych, czworo analityków i dwoje techników kryminalistycznych. Katrine omówiła efekty pracy zespołu działającego na miejscu zdarzenia, a także wstępne oględziny zwłok, przeprowadzone w Instytucie Medycyny Sądowej, i pokazała zdjęcia z obu tych miejsc. Obserwowała, jak zebrani wpatrują się w oświetlony ekran, kręcąc się na twardych krzesłach. Grupa działająca na miejscu zdarzenia znalazła niewiele, co uznano za pewne odkrycie samo w sobie.

– Wydaje się, że on wie, czego szukamy – stwierdził technik. – Albo po sobie posprzątał, albo zwyczajnie miał szczęście.

Jedynym konkretnym śladem były pozostawione na miękkiej ziemi odciski butów dwóch osób, z których jedne pasowały do obuwia na nogach Susanne, drugie zaś do kogoś cięższego, noszącego buty w rozmiarze czterdzieści dwa, najprawdopodobniej mężczyzny. Ślady wskazywały, że tych dwoje szło blisko siebie.

– Tak jakby zmuszał Susanne, żeby weszła z nim do lasu? – spytał Magnus Skarre, weteran w Wydziale Zabójstw.

– Owszem, to możliwe – zgodził się technik.

Katrine zabrała głos:

– W Instytucie Medycyny Sądowej przeprowadzono w weekend oględziny zwłok. Mamy i dobre, i złe wiadomości. Dobra jest taka, że na piersi Susanne odkryto niewielką ilość śliny i śluzu. Zła, że nie jest pewne, czy pozostawił je morderca, ponieważ kiedy znaleźliśmy ciało, ofiara była ubrana od pasa w górę. Jeśli więc nawet morderca wykorzystał ją seksualnie, to w takim razie musiał ją ponownie ubrać, co byłoby dość niezwykłe. Alexandra Sturdza była tak miła, że poddała ten ślad błyskawicznej analizie DNA, lecz jeszcze gorszą wiadomością jest to, że takiego profilu nie ma w naszej bazie. Więc jeśli to DNA miałoby pochodzić od mordercy, to mówimy o...

– Igle w stogu siana – dokończył Skarre.

Nikt się nie roześmiał. Panowała cisza. Po trzech tygodniach wędrówki po pustyni, po długich dniach pracy, groźbie odwołania ferii jesiennych i walki ze złym nastrojem w domach znalezienie zwłok zgasiło jedną nadzieję, a rozpaliło drugą – nadzieję na ślady. Na wyjaśnienie sprawy. Teraz już oficjalnie prowadzili śledztwo w sprawie zabójstwa, a był poniedziałek, nowy tydzień, nowa szansa. Ale twarze, które patrzyły na Katrine, były puste i ściągnięte ze zmęczenia.

Spodziewała się tego. I właśnie dlatego ostatnie zdjęcie zachowała na koniec, na rozbudzenie.

– A to odkryli pod sam koniec oględzin – oznajmiła, gdy na ekranie ukazała się następna fotografia.

Gdy Alexandra przysłała ją w sobotę, pierwszym skojarzeniem Katrine był potwór z filmu o Frankensteinie.

Zebrani w milczeniu wpatrywali się w głowę pokrytą grubymi szwami. To była cała reakcja. Katrine odchrząknęła.

– Sturdza pisze, że prawdopodobnie głowę Susanne Andersen niedawno nacięto wzdłuż linii włosów na czole i dalej wokół całej czaszki. Następnie ranę zszyto. Nie wiemy, czy to mogło się wydarzyć przed zaginięciem dziewczyny, ale Sung-min rozmawiał wczoraj z jej rodzicami.

– I z koleżanką, która spotkała się z Susanne poprzedniego wieczoru – dodał Sung-min. – Żadne z nich nie słyszało, żeby czekało ją szycie głowy.

– Możemy więc założyć, że to dzieło mordercy. – Katrine w ostatnim roku zamieniła prawidłowe z prawnego punktu widzenia słowo „zabójca” na bardziej potocznego, ale poprawnego politycznie „mordercę”[3]. – Patolog przeprowadzi dziś pełną sekcję, więc zapewne dowiemy się czegoś więcej, również na temat tej rany na głowie. – Spojrzała na zegarek. – Czy ktoś ma coś do dodania, zanim przystąpimy do dzisiejszych działań?

Zgłosiła się jedna ze śledczych.

– Teraz, kiedy już wiemy, że ta dziewczyna została zmuszona do zejścia ze ścieżki w las, czy nie powinniśmy zintensyfikować poszukiwań Bertine w rejonach leśnych wzdłuż ścieżek na Grefsenkollen?

– Owszem, poszukiwania już trwają. Coś jeszcze?

Patrzyli na nią jak znużona lekcją klasa, która nie może doczekać się przerwy. A nawet to nie. W ubiegłym roku ktoś zaproponował, żeby wynajęli byłego mistrza świata w biegach narciarskich – wygłaszał on skierowane głównie do biznesu tak zwane inspirujące wykłady o tym, jak przetrwać załamanie psychiczne, które każdy prędzej czy później przeżywa podczas biegu na pięćdziesiąt kilometrów. Ale bohater narodowy zażądał za to ceny, na jaką mógł sobie pozwolić tylko biznes. Katrine stwierdziła, że taki wykład równie dobrze mogłaby wygłosić samotna matka pracująca na cały etat oraz że to najgorsza propozycja marnowania wydziałowych pieniędzy, o jakiej słyszała. Teraz jednak nie była już tego taka pewna.

10

Poniedziałek. Konie

Młody taksówkarz spojrzał zmieszany na papierki, które Harry mu podsunął.

– To się nazywa pieniądze – wyjaśnił Harry.

Taksówkarz wziął od niego banknoty i zaczął się przyglądać widniejącym na nich nominałom.

– Nie mam... Jak to się mówi?

– Reszty – odparł z westchnieniem Harry. – W porządku.

Wysiadł i ruszył w stronę wejścia na tor kłusaków Bjerke, wpychając pokwitowanie do tylnej kieszeni. Dwudziestominutowa jazda ze Szpitala Radowego kosztowała tyle co bilet lotniczy do Malagi. Potrzebował samochodu, najchętniej z kierowcą, i to jak najszybciej. Ale przede wszystkim potrzebował policjanta. Skorumpowanego.

Trulsa Berntsena znalazł w Pegasusie. Wielka restauracja mogła pomieścić tysiąc osób, lecz dzisiaj – podczas cotygodniowych wyścigów w porze lunchu – zapełnione były wyłącznie stoliki z widokiem na tor. To znaczy przy jednym ze stolików siedział tylko samotny gość, odosobniony, jakby wydzielał nieprzyjemny zapach. Ale ktoś, kto przyjrzałby mu się uważniej, stwierdziłby, że to kwestia wyrazu oczu i całej postawy. Harry zajął wolne krzesło i wyjrzał na tor, na którym stado koni gnało, ciągnąc sulki z powożącymi, podczas gdy głośniki wypluwały raport z sytuacji na torze nieprzerwaną monotonną serią jak z karabinu maszynowego.

– Szybki jesteś – odezwał się Truls.

– Taksówka – wyjaśnił Harry.

– Znaczy, że masz kasę. Przecież mogliśmy pogadać przez telefon.

– Nie.

Kiedy Harry zadzwonił do Trulsa, zamienili dokładnie dziesięć słów. „Halo?” „Tu Harry Hole. Gdzie jesteś?” „Na torze Bjerke”. „Jadę”.

– Serio? Czyżbyś wszedł w jakieś ciemne interesy? – Truls zaśmiał się swoim chrumkającym śmiechem, który wraz z wystającą żuchwą, wysuniętym czołem i ogólnie pasywno-agresywną postawą przyczynił się do nadania mu przezwiska Beavis. Z postacią z kreskówki łączył go także nihilizm, a do tego niemal godny podziwu brak odpowiedzialności społecznej i moralności. W podtekście jego pytania kryło się oczywiście to, że również Harry zaczął się zajmować ciemnymi interesami.

– Być może mam dla ciebie propozycję.

– Taką, której nie mogę odrzucić? – Truls niezadowolony spojrzał na tor, kiedy spiker informował o kolejności koni na mecie.

– Chyba że twój kupon wygrywa. Rozumiem, że jesteś bezrobotny i masz długi hazardowe.

– Długi hazardowe? A kto tak twierdzi?

– Nieważne. W każdym razie jesteś bezrobotny.

– Aż tak bezrobotny nie jestem. Dostaję pensję, chociaż nie kiwam palcem. Więc jeśli o mnie chodzi, to mogą poświęcić na próby znalezienia dowodów tyle czasu, ile im się podoba, mam to w dupie.

– Mhm. Słyszałem, że sprawa dotyczy skubnięcia kokainy zatrzymanej na Gardermoen.

Truls prychnął.

– Ja i dwóch innych z narkotykowego odebraliśmy tę partię. Cholernie wyjątkowa, zielona kokaina. Celnicy uważali, że jest zielona, bo to czysty towar, jakby byli chodzącymi laboratoriami kryminalistycznymi. Dostarczyliśmy ją do magazynu rzeczy zatrzymanych, w którym odkryto, że jest niewielka różnica w wadze między tym, co przynieśliśmy, a tym, co zgłoszono na Gardermoen. Więc przesłali to do analizy. A analiza wykazała, że ta kokaina, tak samo zielona jak przedtem, jest mocno rozcieńczona. I teraz uważają, że wymieszaliśmy część kokainy z czymś innym zielonym, ale się wygłupiliśmy, bo nie dopilnowaliśmy wagi. A konkretnie ja, bo jako jedyny zostałem sam z dragami przez kilka minut.

– Więc grozi ci nie tylko wylanie z roboty, ale i pudło?

– Zwariowałeś? – Truls znów się zaśmiał, chrumkając. – Nie mają nic, co by chociaż przypominało dowód. Jacyś durni celnicy, których zdaniem to zielone coś wyglądało i smakowało jak czysta kokaina? Różnica miligrama czy dwóch, która, jak wszyscy wiedzą, może wynikać z mnóstwa rozmaitych rzeczy? Trochę nad tym popracują, a potem umorzą sprawę.

– Mhm. Czyli wykluczasz, że znajdą innego winowajcę?

Truls lekko odchylił głowę i spojrzał na Harry'ego tak, jakby w niego celował.

– Mam tu kilka końskich interesów do załatwienia, Harry, więc czego właściwie chcesz?

– Markus Røed wynajął mnie, żebym się zajął sprawą tych dwóch dziewczyn. Chcę cię wziąć do swojej ekipy.

– O rany! – Truls patrzył na Harry'ego zaskoczony.

– I co powiesz?

– Dlaczego ja?

– A jak myślisz?

– Nie mam pojęcia. Jestem kiepskim policjantem, wiesz o tym lepiej niż inni.

– Mimo to ratowaliśmy sobie nawzajem życie co najmniej raz, a według starego chińskiego przysłowia oznacza to, że jesteśmy za siebie odpowiedzialni już do śmierci.

– Coś ty? – W głosie Trulsa zabrzmiała niepewność.

– Poza tym – dodał Harry – skoro jesteś tylko na kwarantannie, to chyba ciągle masz pełny dostęp do BL dziewięćdziesiąt sześć?

Zauważył, że tamten drgnął, słysząc o systemie gromadzenia raportów ze śledztw od roku 1996, praktycznie domowej roboty i mocno przestarzałym.

– I co z tego? – burknął Truls.

– Potrzebujemy dostępu do wszystkich raportów. Taktycznych, technicznych, medycznych.

– Ano właśnie. Czyli że to jest...

– Owszem. Ciemny interes.

– Taki, przez który policjant naprawdę może wylecieć z roboty.

– Jeżeli to wyjdzie na jaw, to zdecydowanie tak. I dlatego interes jest dobrze płatny.

– Jak dobrze?

– Podaj sumę, a ja dołożę coś od siebie.

Truls przyglądał się Harry’emu długo i z namysłem. W końcu spojrzał na leżący przed nim na stoliku kupon. Zgniótł go w ręku.

U Danielle była pora lunchu, bar i stoliki powoli się zapełniały. Restauracja mieściła się zaledwie kilkaset metrów od centrum i biurowego piekła, ale Helene zawsze dziwiło, że znajdujący się w dzielnicy mieszkaniowej lokal ma na lunchu aż tylu pracujących gości.

Siedząc przy okrągłym stoliku pośrodku otwartej dużej sali, uważnie rozejrzała się dookoła. Nie znalazła nikogo interesującego, znów więc skierowała wzrok na ekran laptopa. Był włączony. Weszła nawet na stronę z wyposażeniem jeździeckim. Wyglądało na to, że rozmaitość produktów dla koni i jeźdźców oraz ceny, jakich można za nie żądać, nie mają granic. Owszem, ludzie jeżdżący konno są na ogół dobrze sytuowani, a konie to jedna z możliwości, aby się tym pochwalić. Oczywiście wadą jest to, iż poprzeczka zaimponowania w tym środowisku została zawieszona tak wysoko, że większość przegrywa, zanim jeszcze spróbuje do niej doskoczyć. Ale czy właśnie tym powinna się zająć? Importem sprzętu dla koniarzy? A może zaryzykować organizowanie rajdów konnych w Valdres, Vassfaret, Vågå lub innych pięknych dziurach, których nazwa zaczyna się na V? Z trzaskiem zamknęła laptopa, westchnęła ciężko i znów się rozejrzała.

No tak, siedzieli jak na grzędzie przy barze ciągnącym się wzdłuż lokalu. Młodzi mężczyźni w garniturach popularnych ostatnio wśród agentów nieruchomości. Młode kobiety w spódnicach i żakietach albo czymś podobnym, co miało sprawić, by wyglądały „profesjonalnie”. Niektóre rzeczywiście pracowały, ale Helene potrafiła wskazać inne, te nieco zbyt ładne, w nieco zbyt krótkich spódniczkach, bardziej zainteresowane tym, co sprawiało, że praca okazywała się zbędna – krótko mówiąc, mężczyznami z pieniędzmi. Nie bardzo wiedziała, dlaczego ciągle tu przychodzi. Dziesięć lat temu poniedziałkowe lunche U Danielle były legendarne. Miały w sobie cudowną dekadencję i olewczość, towarzyszące upijaniu się i tańczeniu na stołach w samym środku pierwszego dnia tygodnia pracy. Oczywiście bywanie na tych lunchach miało również związek z chwaleniem się swoim statusem, bo na takie wybryki mogli sobie pozwolić jedynie bogaci i uprzywilejowani. Teraz panował tu większy spokój. Dawna remiza straży

pożarnej zamieniona w bar połączony z wykwintną restauracją z gwiazdkami w przewodniku Michelina stała się miejscem, gdzie śmietanka towarzyska zachodnich dzielnic Oslo jadła, piła, rozmawiała o interesach i o sprawach rodzinnych, nawiązywała znajomości i zawierała sojusze, odsiewając tych, których należało wpuścić do środka, od tych, którzy mieli pozostać na zewnątrz.

Właśnie tutaj, podczas takiego dzikiego poniedziałkowego lunchu, Helene poznała Markusa. Miała wtedy dwadzieścia trzy lata, on ponad pięćdziesiątkę i mnóstwo pieniędzy. Był tak bogaty, że ludzie się rozstępowali, kiedy szedł w stronę baru. Wszyscy zdawali się wiedzieć, ile jest warta rodzina Røedów. I ile niewarta. Helene, rzecz jasna, nie była tak niewinna, za jaką chciała uchodzić, co Markus zrozumiał już po którejś z pierwszych kilku randek, gdy nocowała u niego w willi na Skillebekk. Poznał to po jej soundtracku towarzyszącym miłosnym uściskom, który brzmiał jak wyjęty żywcem z Pornhuba, po rozlegających się przez całą noc piknięciach SMS-ów w jej telefonie i po sposobie, w jaki siekała kokainę i usypywała z niej tak równe kreski, że nigdy nie wiedział, którą ma wziąć. Wydawało się jednak, że nie miał nic przeciwko temu. Twierdził, że nie podnieca go niewinność. Nie wiedziała, czy to prawda, ale to nie było takie ważne. Ważną rzeczą – czy raczej jedną z ważnych rzeczy – było to, że mógł jej zapewnić taki styl życia, o jakim zawsze marzyła. To marzenie nie polegało na tym, aby być niepracującą żoną trofeum, inwestującą cały swój czas w utrzymywanie na odpowiednim poziomie i upiększanie domu, domku letniskowego, kontaktów towarzyskich, a także własnego ciała i twarzy. Tego rodzaju działania Helene pozostawiała innym pasożytniczym lalkom polującym na odpowiedniego żywiciela U Danielle. Miała bystry umysł i zainteresowania. Interesowała się sztuką i kulturą, zwłaszcza teatrem i sztukami plastycznymi, a także architekturą – długo zastanawiała się, czyby jej nie studiować. Ale jej wielkim marzeniem było prowadzenie najlepszej szkoły jazdy konnej w kraju. Nie był to wymysł oderwanego od rzeczywistości głupiego dziewczęcia, tylko realistyczny plan ułożony w młodym wieku przez zdolną i pilną uczennicę, która wyrzucała gnój w niejednej stajni, stopniowo awansowała, a z czasem sama zaczęła uczyć w szkółce jeździeckiej; przez dziewczynę, która nienawidziła określenia „ma fioła na punkcie koni” i wiedziała, ile w to trzeba włożyć pracy, pieniędzy i kompetencji.

A mimo to plan spalił na panewce.

To nie była wina Markusa. Chociaż owszem, była, bo zakręcił kran z kasą akurat wtedy, gdy w jej szkole zachorowało kilka koni, co w połączeniu z niespodziewaną konkurencją i wydatkami sprawiło, że załamanie było bardzo ostre. Musiała zamknąć ośrodek, a teraz nadszedł już najwyższy czas na wymyślenie czegoś nowego.

Nowego pod każdym względem. Jej związek z Markusem również nie mógł trwać dłużej.

Niektórzy twierdzą, że gdy jakaś para zaczyna uprawiać seks rzadziej niż raz w tygodniu, to rozpad związku jest jedynie kwestią czasu. To oczywiście bzdura, przecież minęły już lata, odkąd ona i Markus uprawiali seks częściej niż raz na pół roku.

Jej to nie przeszkadzało. Ale dręczyły ją ewentualne konsekwencje. Wchodząc w ten związek, w życie z Markusem i w szkołę jeździecką, zagrała va banque, i to do tego stopnia, że zrezygnowała z wszelkich planów B i C. Nie ukończyła żadnej ze szkół, które z jej ocenami stały przed nią otworem. Nie zgromadziła oszczędności, tylko w pewnym sensie uzależniła się od jego pieniędzy. Właściwie nie w pewnym sensie – po prostu się od nich uzależniła. Może nie po to, żeby przeżyć, ale... Ależ właśnie tak, po to, żeby przeżyć.

Kiedy straciła władzę nad nim? A mówiąc bardziej precyzyjnie: kiedy on stracił zainteresowanie nią w łóżku? Oczywiście mogło to mieć związek ze zmniejszoną produkcją testosteronu u mężczyzny, który przekroczył sześćdziesiątkę, sądziła jednak, iż stało się to wtedy, gdy zaczęła mówić o dziecku. Wiedziała, że u mężczyzny mało czynników hamuje popęd bardziej niż seks z obowiązku. Ale kiedy oświadczył, że dziecko nie wchodzi w grę, celibat trwał dalej. A ponieważ jej chętka na seks z Markusem – która nigdy nie była zbyt wielka – również minęła, nie stanowiło to większego problemu, chociaż Helene podejrzewała męża o zaspokajanie potrzeb gdzie indziej. Dopóki robił to dyskretnie i jej nie ośmieszał, nie miała nic przeciwko temu.

Nie, problem stanowiły te dwie dziewczyny z imprezy. Jedną znaleziono zamordowaną, druga wciąż była zaginiona. I obie dało się powiązać z Markusem. Sugar daddy. Tego słowa użyto nawet w druku. Co za idiota, gotowa byłaby uciąć mu łeb! Nie była drugą Hillary Clinton, a lata dziewięćdziesiąte już dawno minęły. Nie mogła po prostu „wybaczyć” mężowi. W dzisiejszych czasach bowiem kobiety nie powinny zgadzać się na to, żeby tym bydlakom takie rzeczy uchodziły na

sucho. To była kwestia szacunku dla samej siebie, swojej płci i ducha epoki. Cholera, źle się złożyło, że nie urodziła się pokolenie wcześniej.

Ale nawet gdyby jej „pozwolono” na wybaczenie mu, czy pozwoliłby jej na to Markus? Czy po prostu nie czekał na rozstanie z nią, niebędące niczym szczególnie wstydliwym ani chwalebnym? Zważywszy, że sześćdziesięciokilkulatek posuwający co mu się tylko nawinie wciąż budzi zarówno pozytywne, jak i negatywne skojarzenia. Dla mężczyzny takiego jak Markus Røed istniały definitywnie gorsze etykiety niż „jurny dupek” i „babiarz”. Może więc to ona powinna się pospieszyć i odejść, zanim on się zdecyduje? To jednak byłaby mimo wszystko ostateczna klęska.

Dlatego się rozglądała. Robiła to podświadomie, ale się na tym przyłapywała. Rozeznać się w mężczyznach obecnych w lokalu. Ustalić, który z nich mógłby – hipotetycznie w przyszłości – wchodzić w grę. Człowiek chętnie wierzy, że potrafi się ukryć za własnymi tajemnicami, lecz prawdą jest oczywiście, że wszyscy wydzielamy swoje myśli i uczucia jak pot, a dobrzy obserwatorzy umieją je dostrzec.

Może nie powinna zatem być aż tak zaskoczona, kiedy kelner zatrzymał się przed nią i postawił na stoliku kieliszek w kształcie litery Y.

– Dirty Martini. Od tego tam... – odezwał się po szwedzku z akcentem z Norrlandii.

Wskazał mężczyznę siedzącego samotnie przy barze. Facet wyglądał przez okno, mogła więc widzieć go z profilu. Jakością garnituru być może przewyższał o ząbek innych i niewątpliwie był przystojny. Ale młody, prawdopodobnie w jej wieku, a ona miała trzydzieści dwa lata. Chociaż to oczywiste, że ktoś przedsiębiorczy mógł do tego czasu wiele osiągnąć. Nie wiedziała, dlaczego mężczyzna na nią nie patrzy. Może jest wstydliwy z natury, a może od zamówienia drinka minęła już dobra chwila i doszedł do wniosku, że nie powinien się na nią nieustannie gapić. Jeśli tak, to czarujące.

– To ty mu powiedziałeś, że na poniedziałkowym lunchu zwykle piję martini? – spytała.

Kelner pokręcił głową, ale coś w jego uśmiechu sugerowało, by nie wierzyła w szczerość odpowiedzi.

Gestem dała mu znać, że przyjmuje drinka, i kelner odszedł.

W obecnej sytuacji nie można było wykluczyć, że w przyszłości będzie musiała przyjmować więcej takich drinków, dlaczego zatem nie zacząć od kogoś, kto wydaje się atrakcyjny?

Upiła łyk martini i stwierdziła, że drink ma inny smak. Pewnie przez tę oliwkową zalewę i dwie oliwki na dnie – to one sprawiały, że martini było dirty. Może również do tego powinna się przyzwyczajać, do innego, brudniejszego smaku wszystkiego.

Mężczyzna przy barze wodził wzrokiem po lokalu, jakby nie wiedział, gdzie ona siedzi. Helene wysunęła rękę, uchwyciła jego spojrzenie. Podniosła kieliszek do toastu. On uniósł swoją szklankę – zwykłą szklankę z wodą. Ale bez uśmiechu. Tak, należał do tych wstydliwych. W końcu jednak wstał. Rozejrzał się, jakby chciał się upewnić, że nikt inny nie reaguje, zanim do niej podszedł.

Bo oczywiście podszedł. Wszyscy mężczyźni prędzej czy później podchodzili, jeśli Helene sobie tego życzyła. Ale kiedy ruszył w jej stronę, poczuła, że tego nie chce. Jeszcze nie. Nigdy nie zdradziła Markusa, nawet nie flirtowała z innymi. I nie zamierzała tego robić, dopóki wszystko nie zostanie ustalone i zakończone. Pod tym względem była porządna, kobieta jednego mężczyzny, i tak było zawsze. Mimo że Markus nie był mężczyzną jednej kobiety. Tu bowiem nie chodziło o to, co on o niej myślał, lecz co sama myślała o sobie.

Mężczyzna zatrzymał się przy stoliku, zaczął wysuwać drugie krzesło.

– Proszę się nie przysiadać. – Helene uśmiechnęła się do niego szeroko. – Chciałam tylko podziękować za drinka.

– Za drinka? – Odpowiedział uśmiechem, ale był wyraźnie zmieszany.

– Za tego drinka, którego mi pan postawił, tak?

Zaprzeczył ze śmiechem.

– Ale możemy udawać, że tak zrobiłem. Mam na imię Filip.

Roześmiała się w odpowiedzi i też pokręciła głową. Biedak już wyglądał na troszeczkę zauroczonego.

– Życzę ci miłego dnia, Filipie.

Ukłonił się elegancko i odszedł.

Będzie tu również tego dnia, gdy nastąpi koniec z Markusem, może też już bez obrączki, którą próbował ukrywać.

Helene skinieniem ręki przywołała kelnera. Stanął przy niej, z pochyloną głową i uśmiechem winowajcy.

– Oszukałeś mnie. Od kogo właściwie był ten drink?

– Przepraszam, pani Røed – powiedział Szwed. – Myślałem, że to jakiś pani znajomy. – Wskazał na pusty stolik pod ścianą w pewnym oddaleniu. – Właśnie wyszedł. Podałem mu dwa martini, ale mnie przywołał, kazał jedno zanieść pani i powiedzieć, że to od tamtego. Pokazał mi go, tego eleganckiego gościa przy barze. Mam nadzieję, że nie posunąłem się za daleko?

– Nie, w porządku. Liczę, że przynajmniej dał ci duży napiwek.

– Oczywiście, pani Røed, oczywiście. – Kelner uśmiechnął się szeroko, odsłaniając czarne fugi snusu między zębami.

Helene przed dopiciem drinka wyjęła z kieliszka oliwki, ale smak pozostał.

Dopiero kiedy szła Gyldenløves gate, pojawiła się wściekłość. Helene uświadomiła sobie, że to idiotyzm, czyste szaleństwo, aby dorosła inteligentna kobieta akceptowała to, że jej życiem sterują mężczyźni, w dodatku tacy, których ani nie lubi, ani nie szanuje. Czego właściwie się boi? Samotności? Już była samotna, do diabła, wszyscy jesteśmy samotni! Poza tym to Markus miał więcej powodów do lęku. Gdyby powiedziała prawdę, wyjawiła to, co wie... Zadrżała na tę myśl, tak jak – miejmy nadzieję – drżą prezydenci na myśl o wciśnięciu przycisku atomowego. Oczywiście jednocześnie ciesząc się świadomością, że mogliby to zrobić. Władza jest taka seksowna! Większość kobiet próbuje zdobyć ją pośrednio, szukając mężczyzn, którzy mają władzę. Ale po co to robić, skoro sama ma dostęp do guzika uruchamiającego bombę? Dlaczego uświadomiła to sobie dopiero teraz? Po prostu dlatego, że właśnie teraz łajba nadziała się na skały i zaczęła nabierać wody.

W tym momencie Helene Røed podjęła decyzję: od tej pory sama będzie sterować swoim życiem i w tym życiu będzie niewielu mężczyzn. Ponieważ zdawała sobie sprawę, że gdy już raz coś postanowi, to zamiar ten realizuje, wiedziała też, że tak będzie. Należało tylko ułożyć dobry plan. A kiedy już to wszystko będzie za nią, postawi drinka facetowi, który jej się spodoba.

11

Poniedziałek. Naked

Kiedy Harry wszedł na Jernbanetorget, plac przed Dworcem Centralnym w Oslo, zobaczył, że Øystein Eikeland stoi przy rzeźbie tygrysa i przytupuje. Pod skórzaną kurtką Øystein nosił koszulkę klubu sportowego Vålerenga, ale cała reszta to był czysty Keith Richards: fryzura, zmarszczki, szalik, oczy podkreślone kredką, papieros, chudość.

Harry nie uściskał przyjaciela z dzieciństwa zbyt mocno – podobnie jak Aunego – jakby się bał, że kolejny z jego bliskich rozpadnie się na kawałki.

– Wow! – odezwał się Øystein. – Ale garnitur! Coś ty tam robił? Sprzedawałeś dziwki? Kokę?

– Nie. Za to ty handlujesz.

Harry się rozejrzał. Klientelę na placu stanowili głównie ludzie dojeżdżający do centrum do pracy, turyści i urzędnicy, ale w niewielu miejscach w Oslo handel narkotykami odbywał się tak jawnie, jak tutaj.

– Muszę przyznać, że tego się nie spodziewałem.

– Nie? – Øystein poprawił ciemne okulary, przekrzywione podczas powitania. – A ja owszem. Powinienem był się na to przerzucić już dawno temu. Nie tylko opłaca się bardziej niż taksówka, ale jest też zdrowsze.

– Zdrowsze?

– Jestem bliżej źródła. Wchłaniam teraz wyłącznie towar wysokiej jakości.

Uniósł ręce i przesunął nimi wzdłuż boków.

– Mhm. I w umiarkowanych ilościach?

– Jasne. A co u ciebie?

Harry wzruszył ramionami.

– Akurat teraz testuję ten twój program Moderation Management. Nie jestem pewien, czy się sprawdzi na dłuższą metę, ale zobaczymy.

Øystein postukał się palcem w czoło.

– Dobrze, dobrze. – Harry spojrzał na młodego człowieka w parce, który stał w pewnej odległości i ewidentnie się w niego wpatrywał.

Nawet stąd Harry zauważył, że tamten ma niebieskie oczy, otwarte tak szeroko, iż wokół całej tęczówki widoczne są białka. Chłopak trzymał obie ręce w kieszeniach, jakby coś tam miał.

– Co to za jeden?

– To Al – odparł Øystein. – Widzi, że jesteś gliniarzem.

– Diler?

– Tak. Miły gość, ale dość specyficzny. Trochę jak ty.

– Jak ja?

– Oczywiście przystojniejszy od ciebie. I bystrzejszy.

– Naprawdę?

– Ty, Harry, jesteś bystry na swój sposób. Ale on jest bystry po nerdowsku. Zaczynasz o czymś mówić, a on wszystko o tym wie, jakby studiował temat. Łączy was to, że obaj macie coś, co podoba się laskom: charyzmę samotności. No i jest człowiekiem ustalonego porządku, tak jak ty.

Harry zobaczył, że Al się odwraca, jak gdyby nie chciał pokazywać mu swojej twarzy.

– Stoi od dziewiątej do czwartej po południu. Weekendy ma wolne – ciągnął Øystein. – Jakby miał tu etat. Sympatyczny, jak mówiłem, ale ostrożny, prawie paranoik. Chętnie gada o interesach, chociaż o sobie nie mówi nic, tak jak ty. Z tą różnicą, że on nawet ci nie powie, jak ma na imię.

– Czy Al to...

– Nadałem mu imię od tej piosenki Paula Simona. You Can Call Me Al, co nie?

Harry się roześmiał.

– Ty też wydajesz się przestraszony – stwierdził Øystein. – Wszystko u ciebie w porządku?

Harry wzruszył ramionami.

– Może i mnie trochę dopadła tam paranoja.

– Hej! – rozległ się jakiś głos. – Masz koka-kolę?

Harry się odwrócił i ujrzał chłopaka w bluzie z kapturem.

– Myślisz, że jestem dilerem? – syknął Øystein. – Spadaj do domu odrabiać lekcje!

– A nie jesteś? – spytał Harry, patrząc, jak chłopak odchodzi do gościa w parce.

– Jasne, ale nie dla takich dzieciaków. Ich zostawiam Alowi i tym z Afryki Zachodniej, którzy stoją na Torggata. Poza tym jestem jak luksusowe dziwki, działam głównie na rynku wewnętrznym. – Øystein się uśmiechnął, odsłaniając rząd spróchniałych zębów, i pokazał nowiusieńką błyszczącą komórkę Samsunga. – Dostawa pod drzwi.

– To znaczy, że masz samochód?

– Oczywiście. Kupiłem tego starego merca, którym jeździłem. Właściciel taksówki tanio mi go sprzedał. Mówił, że klienci skarżą się na zapach dymu, którego za cholerę nie mógł się pozbyć, i że to moja wina. No i ciągle zapominam, żeby zdjąć tabliczkę „taxi” z dachu, więc mogę jeździć buspasem. À propos zapachu dymu, masz papierosa?

– Rzuciłem. Poza tym wydaje mi się, że masz własne.

Øystein znowu się uśmiechnął.

– Twoje zawsze smakowały lepiej, Harry.

– No cóż, już się skończyły.

– Rozumiem, że takie rzeczy robi z facetami Kalifornia.

– Daleko stąd masz ten samochód?

Ze sprężynujących zniszczonych siedzeń w mercedesie patrzyli na wejście do zatoki Bjørvika, na atrakcyjną nową część miasta z dzielnicami Oslobukta i Sørenga, gdzie jednak nowo wybudowane Muzeum Muncha, trzynastopiętrowy pacjent psychiatryka w kaftanie bezpieczeństwa, zasłaniało dalszy widok.

– Kurde, ale brzydota – stwierdził Øystein.

– I co ty na to? – spytał Harry.

– Kierowca i ogólnie pomocnik?

– Tak. A poza tym jeśli się okaże, że to ma jakiś związek ze sprawą, może nam się przydać ktoś ze znajomością rynku, kto będzie mógł prześledzić ślad kokainowy do i od Markusa Røeda.

– Jesteś pewien, że on używa boliwijskiego maszerującego proszku?

– Często kicha. Ma rozszerzone źrenice, a na jego biurku leżą ciemne okulary. Wzrok wciąż mu skacze raz tu, raz tam.

– Oczopląs. Ale śledzenie śladów od Røeda? Czy on nie jest jakby twoim zleceniodawcą?

– Moim zadaniem jest wyjaśnienie zabójstwa, prawdopodobnie dwóch, a nie obrona interesów tego faceta.

– I myślisz, że chodzi o kokę? Gdybyś powiedział hera, to może bym...

– Ja nic nie myślę, Øystein. Ale kiedy w grę zaczyna wchodzić uzależnienie, to zawsze odgrywa ono jakąś rolę. I przypuszczam, że co najmniej jedna z tych dziewczyn za bardzo lubiła proszek. Była winna swojemu dostawcy dziesięć kawałków. No i jak, wchodzisz w to?

Øystein obserwował żar swojego papierosa.

– Harry, właściwie dlaczego przyjąłeś tę robotę?

– Przecież już ci mówiłem. Dla pieniędzy.

– Wiesz, tak samo odpowiedział Dylan, kiedy go spytali, dlaczego zaczął grać folk i protest songi.

– Myślisz, że kłamał?

– Myślę, że to był jeden z niewielu momentów, kiedy Dylan mówił prawdę, ale myślę też, że ty kłamiesz. Jeśli mam wziąć udział w tym szaleństwie, to chcę wiedzieć, dlaczego w to wszedłeś, więc gadaj.

Harry pokręcił głową.

– Okej, Øystein, nie mówię wszystkiego ze względu na ciebie i na siebie. Po prostu musisz mi zaufać.

– A kiedy ostatnio mi się to opłaciło?

– Nie pamiętam. Nigdy?

Øystein się roześmiał. Włożył płytę CD do odtwarzacza i podkręcił głośność.

– Słyszałeś ostatnią płytę Talking Heads?

– Naked, tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt siedem?

– Osiemdziesiąt osiem.

Kiedy z głośników popłynęło Blind, Øystein zapalił papierosy dla nich obydwu. Palili przy zamkniętych oknach, a David Byrne śpiewał o niewidocznych i znikających śladach. Dym spowił wnętrze auta jak mgła na morzu.

– Miałeś kiedyś takie uczucie: wiesz, że zrobisz coś głupiego, ale mimo wszystko to robisz? – spytał Øystein, ostatni raz zaciągając się dymem.

Harry zgasił papierosa w popielniczce.

– Pewnego ranka zobaczyłem mysz podchodzącą do kota, który ją zabił. Jak myślisz, co to jest?

– No właśnie. Brak instynktu samozachowawczego?

– W każdym razie jakiegoś instynktu. Ciągnie nas, przynajmniej niektórych, na skraj przepaści. Podobno dlatego, że bliskość śmierci pozwala mocniej poczuć, że się żyje. Ale ja, do cholery, nie wiem.

– Dobrze powiedziane – podsumował Øystein.

Zapatrzyli się na Muzeum Muncha.

– Zgadzam się. Rzeczywiście ohyda.

– Okej – zdecydował Øystein.

– Co okej?

– Okej, biorę tę robotę. – Zgasił swojego papierosa na niedopałku Harry’ego. – Na pewno będzie więcej zabawy niż ze sprzedawaniem koki, które jest właściwie kurewsko nudne.

– Røed dobrze płaci.

– W porządku, i tak ją przyjmuję.

Harry uśmiechnął się i wyjął wibrujący telefon. Na wyświetlaczu zobaczył T.

– Tak, Truls?

– Sprawdziłem ten raport z Instytutu Medycyny Sądowej, o który pytałeś. Susanne Andersen miała jakieś szwy na głowie. A na jej piersi znaleźli ślinę i smarki. Zrobili ekspresową analizę DNA, ale profil nie pasował do żadnego ze znanych sprawców.

– Okej, dzięki.

Harry się rozłączył.

To o tym Katrine nie chciała – lub uważała, że nie może – mu powiedzieć. Ślina. Śluz. Szwy.

– No to dokąd jedziemy, szefie? – spytał Øystein i przekręcił kluczyk w stacyjce.

12

Poniedziałek. Wegner Swivel Chair

– To ma być żart? – spytała patolożka przez maseczkę.

Alexandra wpatrywała się z niedowierzaniem w otwartą głowę zwłok leżących przed nimi na stole.

Rzeczą normalną było to, że podczas wykonywania pełnej sekcji patolog rozpiłowuje czaszkę i bada mózg. A obok na stoliku z instrumentami leżały narzędzia, których zwykle się przy tej czynności używa: piły do kości, ręczna i elektryczna, oraz klucz w kształcie litery T do zdejmowania pokrywy czaszki. Niezwykłe natomiast było to, że podczas sekcji Susanne Andersen żadnego z tych przedmiotów nie użyto. Okazało się to zbędne. Bo kiedy lekarka i Alexandra przecięły szwy, zdjęły skalp z długimi jasnymi włosami Susanne i odłożyły go na inny stół, jasne się stało, że ktoś je uprzedził. Czaszka już była przepiłowana. Patolożka odchyliła jej górną część jak pokrywę na zawiasach. No a teraz spytała, czy to ma być żart.

– Nie – odparła szeptem Alexandra.

– Żartujesz sobie – powiedziała Katrine przez telefon, wyglądając przez okno swojego pokoju na Botsparken z lipową aleją prowadzącą do starej, niemal malowniczej części więzienia w Oslo.

Niebo było bezchmurne i chociaż w parku ludzie nie leżeli już na trawie w samej bieliźnie, to siedzieli na ławkach, twarzami zwróceni do słońca, zakładając, że to może być ostatni w tym roku dzień z letnią temperaturą.

Katrine, posłuchawszy jeszcze przez chwilę, zrozumiała, że Alexandra Sturdza nie żartuje. Właściwie w ogóle tak nie myślała. Bo czy w zasadzie nie spodziewała się czegoś podobnego w sobotę, gdy Alexandra opowiedziała jej o szwach? Tego, że nie mają do czynienia z mordercą racjonalnym, lecz z szaleńcem, jednym z tych, których nie da się odszukać poprzez znalezienie odpowiedzi na zadawane przez

Harry’ego pytanie „dlaczego?”. Ponieważ nie istniało żadne „dlatego”, a przynajmniej takie, które mogli zrozumieć normalni ludzie.

– Dziękuję – powiedziała, kończąc rozmowę.

Wstała i ruszyła przez otwartą przestrzeń biurową do pozbawionego okien pokoju, niegdyś należącego do Harry’ego; kiedy Harry awansował na komisarza, nadal nie chciał zrezygnować z tego pomieszczenia na rzecz większego i jaśniejszego gabinetu. Może właśnie z tego powodu Sung-min wybrał akurat ten pokój jako swoją bazę na czas pracy przy tej sprawie, a może uznał po prostu, że ta klitka jest lepsza niż dwa inne wolne pokoje, które Katrine mu pokazała. Drzwi były otwarte, więc tylko w nie stuknęła i od razu weszła.

Marynarka Sung-mina wisiała na eleganckim wieszaku, który, jak się domyśliła, musiał przynieść z domu. Jego koszula była tak biała, że zdawała się świecić w ciemnym pomieszczeniu. Katrine rozejrzała się odruchowo, szukając wzrokiem rzeczy, które tu były, kiedy pokój pozostawał enklawą Harry’ego. Na przykład ramki ze zdjęciami kolegów, których Harry stracił na służbie – Dead Policemen’s Society. Ale wszystko to zniknęło, nawet stojący wieszak był nowy.

– Złe wieści – oznajmiła.

– To znaczy?

– Wstępny raport z sekcji będzie gotowy za godzinę. Ale Sturdza zadzwoniła, żeby mnie uprzedzić. Susanne Andersen nie ma mózgu.

Sung-min uniósł brew.

– Dosłownie?

– Podczas sekcji można stwierdzić tylko dosłowny brak, więc owszem. Ktoś otworzył czaszkę Susanne i...

– I?

– Wyjął cały mózg.

Sung-min odchylił się na biurowym krześle. Katrine rozpoznała przeciągły, pełen skargi zgrzyt. Krzesło. Zajeżdżony wrak. A więc tego nie wymienili.

Johan Krohn patrzył, jak Markus Røed kicha, wyciera nos w jedną ze swoich błękitnych chusteczek i chowa ją z powrotem do wewnętrznej kieszeni, a następnie odchyla się za biurkiem na swoim Wegner Swivel Chair. Krohn wiedział, że to

mebel projektu Wegnera, ponieważ sam miał ochotę na takie krzesło. Ale to, które oglądał, kosztowało prawie sto trzydzieści tysięcy koron, uznał więc, że takiego zakupu nie obroni ani przed wspólnikami, ani przed żoną, ani przed klientami. To było proste krzesło. Eleganckie, lecz w żaden sposób nie ostentacyjne, pod tym względem więc nietypowe dla Markusa Røeda. Przypuszczał, że ktoś – może Helene – podpowiedział mu, że to poprzednie, Vitra Grand Executive z czarnej skóry z wysokim oparciem, jest zbyt wulgarne. Co prawda nie sądził, aby dwie inne osoby obecne w pokoju w jakimkolwiek stopniu to obchodziło. Harry Hole przysunął sobie krzesło od stołu konferencyjnego i usiadł na wprost biurka Røeda, natomiast ten drugi – dość podejrzany osobnik, przywodzący na myśl kapitana piratów, którego Harry przedstawił jako kierowcę i człowieka do wszystkiego w swoim teamie – stanął przy drzwiach. Facet znał więc przynajmniej swoje miejsce w szeregu.

– Powiedz mi, Hole... – Røed pociągnął nosem. – To jakiś wygłup?

– Skąd. – Harry obsunął się na krześle, ręce założył za głowę, długie nogi wyciągnął przed siebie, a teraz obracał stopami na wszystkie strony, wpatrując się w swoje buty, jakby wcześniej w ogóle nie zwrócił na nie uwagi.

Krohnowi wyglądały na buty marki John Lobb, ale trudno było sobie wyobrazić, że kogoś takiego jak Hole na nie stać.

– Poważnie, Hole. Naprawdę myślisz, że nasz team ma się składać z leżącego w szpitalu chorego na raka, podejrzanego o szwindel policjanta i taksówkarza?

– Powiedziałem: byłego taksówkarza. Teraz działa w branży handlu detalicznego. I to nie jest nasz team, tylko mój.

Twarz Røeda pociemniała.

– Problem polega na tym, że to nie jest żaden team, tylko... jakaś trupa kuglarzy. Sam wyszedłbym na klauna, gdybym okazał się do tego stopnia idiotą, żeby to upublicznić. Oświadczyć, że... że to są najlepsi ludzie, jakich znalazłem.

– Masz tego nie upubliczniać.

Tym razem głos Røeda zagrzmiał tak, że aż poniósł się echem po wielkim pokoju:

– Na miłość boską, człowieku, przecież to połowa sukcesu, czy nie wyraziliśmy się jasno?! Chcę pokazać światu, że do wyjaśnienia tej sprawy wynająłem

najlepszych ludzi, bo tylko wtedy wszyscy zrozumieją, że naprawdę mi na tym zależy. Tu chodzi o dobre imię, moje i firmy!

– Ostatnio mówiłeś, że robisz to, bo podejrzenia są bardzo obciążające dla rodziny – zauważył Harry, który w przeciwieństwie do Røeda ściszył głos. – A składu tego teamu nie można upublicznić, ponieważ policjanta natychmiast wywalą z roboty i automatycznie straci dostęp do raportów policyjnych. Co stanowi główny powód, dla którego jest w teamie.

Røed spojrzał na Krohna.

Adwokat wzruszył ramionami.

– W komunikacie prasowym będzie się liczyć nazwisko Harry'ego Hole, słynnego śledczego, specjalisty od zabójstw. Możemy napisać, że Hole będzie działał wraz z zespołem, i to wystarczy. Jeśli obsadzony w głównej roli jest dobry, ludzie dojdą do wniosku, że reszta drużyny też jest dobra.

– I jeszcze jedno – dodał Harry. – Aune i Eikeland dostaną za godzinę pracy tyle samo co Krohn. A Berntsen podwójną stawkę.

– Zwariowałeś, człowieku? – Røed rozłożył ręce. – Twój bonus to jedno. Taka umowa jest w porządku, dopóki ci nie płacę, tylko stawiam wszystko na jedną kartę i na sukces. Ale płacenie podwójnej stawki adwokackiej jakiemuś... podrzędnemu oszustowi? Możesz mi wyjaśnić, czym, na miłość boską, miałby na to zasłużyć?

– Nie wiem, czy akurat zasługuje. Ale tyle jest wart. Czy nie w taki sposób wy, biznesmeni, sami się wynagradzacie?

– Tyle jest wart?

– Pozwól, że powtórzę. – Harry stłumił ziewnięcie. – Truls Berntsen ma dostęp do systemu BL dziewięćdziesiąt sześć, czyli do wszystkich raportów policyjnych w tej sprawie, z raportami technicznymi i medycznymi włącznie. Gdzieś w tej chwili pracuje od dwunastu do dwudziestu osób z samej tylko grupy śledczej. Hasło i źrenice Berntsena są warte tyle, ile warta jest praca wykonywana przez te wszystkie osoby. Do tego dochodzi jeszcze podejmowane ryzyko. Jeśli ktoś odkryje, że Berntsen jako policjant przekazuje poufne informacje osobie postronnej, nie dość, że go wyleją, to jeszcze zapuszkują.

Røed zamknął oczy i pokręcił głową. Gdy znów je otworzył, uśmiechał się.

– Wiesz co, Harry? Akurat teraz przydałby nam się w Barbell taki spec od negocjacji.

– Świetnie. Wobec tego mam jeszcze jeden warunek.

– Jaki?

– Chcę cię przesłuchać.

Røed znów porozumiał się wzrokiem z Krohnem.

– W porządku.

– Z użyciem wykrywacza kłamstw – uzupełnił Harry.

13

Poniedziałek. Grupa Aunego

Mona Daa siedziała przy swoim biurku i czytała wpis blogerki Hediny o presji wyglądu. Hedina posługiwała się ubogim, a niekiedy wręcz nieporadnym językiem, ale pisała w sposób bezpośredni, tak jakby mówiła, przez co tekst stawał się strawny, przypominał słuchanie koleżanki paplającej przy kawiarnianym stoliku o codziennych problemach. „Mądre” myśli i rady blogerki były tak banalne i przewidywalne, że Mona nie wiedziała, czy ma ziewać, czy parskać ze złości.

Za pomocą zaczerpniętych z podobnych blogów frazesów, jakby to były jej własne hasła i idee, Hedina z zaangażowaniem i urazą wyrażała frustrację wywołaną życiem w świecie, w którym najbardziej liczy się wygląd, i podkreślała, jak wiele młodych kobiet traci przez to pewność siebie. Oczywiście paradoksem było to, że sama Hedina zamieszczała zdjęcia graniczące z miękkim porno, przedstawiające śliczną szczupłą dziewczynę ze zrobionymi piersiami, ale dyskusja na ten temat była podejmowana już kilkukrotnie, aż w końcu – po wygraniu wszystkich bitew – wycieńczony rozsądek przegrał wojnę z głupotą. Jeśli chodzi o głupotę – powodem, dla którego Mona Daa zmarnowała właśnie pół godziny życia na czytanie tego bloga, było to, że Julia, szefowa, ze względu na wysoką absencję chorobową, a także przestój w sprawie Susanne, posadziła Monę do komentowania komentarzy na temat komentarzy Hediny. Julia bez cienia ironii powiedziała, że Mona ma policzyć, jakich komentarzy jest więcej, pozytywnych czy negatywnych, i zdecydować, czy tytuł powinien się zaczynać od „wielbiona za” czy „krytykowana za”. Z zamieszczonym poniżej dość – ale nie za bardzo – seksownym zdjęciem Hediny jako clickbaitem.

Mona była wściekła.

Hedina pisała, że wszystkie kobiety są piękne; chodzi tylko o to, by każda odnalazła swoją wyjątkową urodę i jej zaufała. Jedynie w ten sposób można przestać porównywać się z innymi i uniknąć poczucia przegranej, zaburzeń

odżywiania, depresji i zrujnowanego życia. Mona miała ochotę napisać to, co oczywiste, a mianowicie że jeśli wszyscy są piękni, to znaczy, że nikt nie jest piękny, ponieważ piękne jest to, co się pozytywnie wyróżnia – takie jest mimo wszystko znaczenie semantyczne tego wyrazu. Oraz że kiedy ona sama dorastała, bycie piękną w pierwotnym znaczeniu tego słowa było dane tylko niektórym gwiazdom filmowym i może jednej dziewczynie z klasy, lecz ani jej, ani jej koleżankom nie przeszkadzało zbytnio, że należą do przeważającej większości zwyczajnych, niepięknych dziewczyn. Skupiano się na innych, ważniejszych rzeczach, a posiadanie zwyczajnej urody nie niszczyło nikomu życia. To właśnie osoby takie jak Hedina, bez zastrzeżeń przyjmujące założenie, że kobiety pragną być piękne i że mają tego pragnąć, prowadzą do załamań. Jeżeli siedemdziesiąt procent kobiet w twoim otoczeniu poddało się operacji plastycznej, ćwiczeniami, dietą i makijażem uzyskując wygląd, jakiego nie jest w stanie osiągnąć pozostałe trzydzieści procent, to właśnie te zwyczajne, wcześniej całkiem dobrze sobie radzące, nagle stają się mniejszością, której daje się powód do popadnięcia we wcale niemałą depresję.

Mona westchnęła. Czy myślałaby i czuła tak samo, gdyby urodziła się z takim wyglądem jak Hedina, nawet jeśli tamta nie przyszła na świat całkiem taka, jak wyglądała na zdjęciach? Może nie. Nie wiedziała. Wiedziała tylko, że najbardziej na świecie nienawidzi oddawania miejsca na łamach blogerce, która ma zero mózgu i pół miliona obserwatorów.

Na ekranie pojawił się pasek z napisem „Pilne”. A Mona Daa zrozumiała, że owszem, jest coś, czego nienawidzi jeszcze bardziej. A mianowicie bycia wykołowaną, wyminiętą i wyprzedzoną przez Terry’ego Våge.

– Susanne Andersen usunięto mózg – przeczytała na głos Julia ze strony internetowej „Dagbladet”, zanim przeniosła wzrok na Monę stojącą przed jej biurkiem. – A my o tym nic nie mamy?

– Nie – odparła Mona. – Ani my, ani nikt inny.

– Nic nie wiem o innych, ale my jesteśmy „VG”, Mona. Najwięksi i najlepsi.

Zdaniem Mony Julia równie dobrze mogła powiedzieć to, co myślały obie. Byliśmy najlepsi.

– Musiał być jakiś przeciek z policji – stwierdziła Mona.

– Najwyraźniej ten przeciek był tylko do Vågego, a wtedy mówi się o źródle informacji. Nasza praca polega na szukaniu źródeł, prawda?

Mona nigdy dotąd nie doświadczyła ze strony Julii takiej pogardliwej ironii. Jakby była stażystką, a nie jedną z najbardziej wyrazistych i szanowanych dziennikarek gazety. Ale wiedziała też, że gdyby sama była szefową, to dziennikarzowi by się nie upiekło, wprost przeciwnie.

– Źródła są w porządku – powiedziała. – Ale tego rodzaju wiadomości nie dostanie się od nikogo z policji, chyba że ma się informacje, które można zaproponować w zamian. Albo się bardzo dobrze zapłaci. Albo...

– Albo?

– Albo ma się na kogoś haka.

– Sądzisz, że tak może być w tym wypadku?

– Nie mam pojęcia.

Julia odsunęła się razem z krzesłem do tyłu i wyjrzała przez okno na plac budowy w kwartale rządowym.

– Może ty też znasz w komendzie kogoś, na kogo... masz haka?

– Julio, jeśli myślisz o Andersie, to zapomnij o tym.

– Reporterka kryminalna, która ma partnera policjanta, i tak będzie podejrzewana o uzyskanie informacji poufnych. Dlaczego nie...

– Powiedziałam: zapomnij o tym! Nie jesteśmy aż tak zdesperowani.

Julia lekko przechyliła głowę.

– Nie jesteśmy, Mona? Spytaj szefostwo. – Wskazała na sufit. – To najgłośniejsza sprawa od kilku miesięcy, i to w roku, w którym więcej gazet niż kiedykolwiek musiało się zamknąć. Przynajmniej przemyśl to.

– Szczerze mówiąc, nie muszę. Sto razy wolę pisać o tej pieprzonej Hedinie, niż srać we własne gniazdo, co teraz proponujesz.

Julia na moment się uśmiechnęła, po czym w zamyśleniu dotknęła palcem wskazującym górnej wargi i popatrzyła na Monę.

– Oczywiście. Masz rację. Przemówiła przeze mnie desperacja. Popełniłam błąd. Są pewne granice, których się nie przekracza.

Kiedy Mona wróciła na swoje miejsce, szybko zajrzała na strony internetowe pozostałych gazet, które mogły zrobić jedynie to samo co ona: napisać o wyjętym

mózgu, powołując się na „Dagbladet”, i czekać na konferencję prasową zapowiedzianą jeszcze na dziś.

Po wysłaniu liczącego dwieście słów artykułu do redaktora wydania internetowego, który natychmiast go zamieścił, myślała o tym, co powiedziała Julia. Źródło. Mieć na kogoś haka. Rozmawiała kiedyś z pewnym reporterem z gazety lokalnej, który nazwał dzienniki ze stolicy wydrzykami; twierdził, że dziennikarze z Oslo przeglądają regionalną prasę, biorą sobie z niej to, co im się podoba, i zamieszczają tak, jakby to był ich własny materiał, z jak najkrótszym wskazaniem na gazetę lokalną na samym końcu, żeby nikt nie mógł im zarzucić złamania reguł gry. Mona później wygooglowała wydrzyka i z Wikipedii dowiedziała się, że to ptak, tak zwany kleptopasożyt, który kradnie zdobycz mniejszym ptakom, latając za nimi, dopóki nie wypuszczą zdobytego pożywienia.

Czy to możliwe, żeby coś podobnego dało się zrobić z Terrym Våge? Mogła jeszcze trochę pokopać w plotkach o usiłowaniu zgwałcenia Genie, nie powinno jej to zająć więcej niż jeden dzień. Mogłaby potem iść do Vågego i oświadczyć, że to wydrukuje, jeśli on nie udostępni jej kontaktu ze swoim informatorem w sprawie Susanne. Zmusić go, żeby wypuścił zdobycz. Zastanowiła się nad tym. To by oznaczało konieczność skontaktowania się z tym obrzydliwym gościem. A gdyby on się zgodził – zatajanie czegoś, co dowodziłoby, że mimo wszystko to była próba gwałtu.

Nagle jednak Mona jakby się ocknęła i aż zadrżała. Nad czym się zastanawia? Ona, która mianowała się sędzią osądzającym etyczne standardy jakiejś nieszczęsnej blogerki, młodej dziewczyny, która jedynie potknęła się o sposób zdobycia uwagi, pieniędzy i sławy. Czy sama tego nie pragnęła?

Owszem, ale nie w taki sposób. Nie oszustwem.

Postanowiła, że po południu sama się ukarze i po seriach martwego ciągu zrobi trzy dodatkowe serie ćwiczeń na bicepsy.

Nad Oslo zapadł wieczorny zmrok. Z szóstego piętra Szpitala Radowego Harry widział autostradę. Od najniższego punktu, znajdującego się akurat w tym miejscu, samochody pełzły jak świetlny wąż ukosem w górę zbocza ku najwyższemu punktowi cztery i pół kilometra dalej, tam gdzie znajdowały się Szpital Centralny i Instytut Medycyny Sądowej.

– Przykro mi, Mona – powiedział. – Nie mam żadnych komentarzy. Komunikat prasowy podaje to, co ma być przekazane. Nie, nie wyjawię ci nazwisk innych członków teamu, wolimy pracować poza zasięgiem radaru. Nie, nie wiem, co na ten temat myśli policja. Musisz sama się od nich dowiedzieć. Słyszę, o co pytasz, Mona, ale jak mówiłem, nie mam żadnych komentarzy i już się rozłączam, okej? Pozdrów Andersa.

Wsunął nowo zakupioną komórkę do wewnętrznej kieszeni marynarki i z powrotem usiadł.

– Przepraszam, popełniłem głupstwo, zachowując swój dawny norweski numer telefonu. – Złożył dłonie wnętrzem do siebie. – No ale wszyscy obecni zostali już sobie przedstawieni, a sprawa jest z grubsza omówiona. Zanim przejdziemy dalej, proponuję, żeby nasz zespół nazywał się Grupą Aunego.

– Nie, nie, nie może zostać nazwana ode mnie – zaprotestował Ståle Aune, podsuwając się wyżej na łóżku.

– Przepraszam za nieprecyzyjne wyrażenie – stwierdził Harry. – Postanawiam, że to będzie Grupa Aunego.

– Bo? – spytał Øystein, który siedział na krześle po drugiej stronie łóżka naprzeciwko Harry’ego i Trulsa Berntsena.

– Bo od tej pory tu będzie się mieścić nasze biuro. Policja nazywa się policja, ponieważ mieści się w Budynku Policji, prawda?

Nikt się nie roześmiał. Harry zerknął na drugie łóżko, aby się upewnić, że weterynarz nie wrócił po tym, jak nieproszony opuścił pokój. Potem rozdał trzy pliki spiętych zszywaczem kartek wydrukowanych w centrum biznesowym w The Thief.

– To jest streszczenie najważniejszych dotychczasowych raportów w sprawie, włącznie z dzisiejszym raportem z sekcji. Wszyscy muszą dopilnować, żeby te papiery gdzieś się nie zabłąkały. Jeżeli tak się stanie, on będzie miał kłopoty.

Ruchem głowy wskazał Trulsa, który zachrumkał, ale śmiech nie dotarł do oczu ani do żadnej innej części twarzy.

– Dzisiaj nie będziemy pracować systematycznie – ciągnął Harry. – Chcę tylko usłyszeć, co myślicie o tej sprawie. Jakiego rodzaju to zabójstwo? A jeśli nic nie myślicie, też chętnie to usłyszę.

– O rany! – Øystein się wyszczerzył. – To ja się zgłosiłem do czegoś takiego? Do burzy mózgów?

– W każdym razie od tego zaczynamy – zdecydował Harry. – Ståle?

Psycholog złożył na kołdrze dwie wychudzone dłonie.

– No cóż. To będzie zupełnie akcydentalny początek, ale...

– Że co? – Øystein posłał Harry'emu wymowne spojrzenie.

– Początek od zupełnie przypadkowego miejsca – wyjaśnił Aune. – Ale moją pierwszą myślą jest to, że kiedy umiera jedna kobieta, możemy z dużą dozą prawdopodobieństwa twierdzić, że w grę wchodzi jakiś bliski związek, że sprawcą jest mąż czy narzeczony, a motywem zazdrość lub jakaś inna forma upokarzającego odrzucenia. Kiedy jednak, tak jak w tym wypadku, mamy przypuszczalnie do czynienia z dwiema zamordowanymi kobietami, to najbardziej prawdopodobne jest, że sprawca nie ma powiązań z żadną z nich, a motyw ma charakter seksualny. Ta sprawa jest dość szczególna, ponieważ obie ofiary niedługo przed zaginięciem przebywały w tym samym miejscu. Z drugiej strony, jeśli słuszna jest teoria mówiąca, że wystarczy sześć uścisków ręki, aby wszyscy ludzie na Ziemi się ze sobą przywitali, to może nie ma w tym nic wyjątkowego. Poza tym usunięto mózg i jedno oko. Może to wskazywać na zabójcę, który zbiera trofea. Dopóki więc nie dowiemy się czegoś więcej, będę uważał, że szukamy – przepraszam za frazes – psychopaty mordującego na tle seksualnym.

– Masz pewność, że nie jesteś po prostu gościem z młotkiem? – spytał Øystein.

– Słucham? – Aune poprawił okulary, żeby bliżej się przyjrzeć mężczyźnie z popsutymi zębami.

– No wiesz, jak się ma młotek, to wszystkie problemy wyglądają jak gwoździe. Jesteś psychologiem, więc wydaje ci się, że rozwiązanie wszystkich tajemnic ma związek z jakimiś psychologicznymi rzeczami.

– Być może – przyznał Aune. – Na oczy ślepniemy najpierw. A samoświadomość przepada jeszcze wcześniej. Zatem twoim zdaniem, Eikeland, co to za zabójstwo?

Harry widział, że Øystein przeżuwa pytanie, bo jak zwykle jednocześnie żuł; ostro zarysowane kości szczęki cały czas pracowały. W końcu charknął, jakby miał zamiar opluć Aunego, i oświadczył z uśmiechem:

– Chyba możemy powiedzieć, że myślę tak jak pan, doktorze. A ponieważ ja nie mam psychomłotka, uważam, że powinniśmy poważniej potraktować moje stanowisko.

Aune odpowiedział uśmiechem.

– Niech tak będzie.

– Truls? – spytał Harry.

Tak jak się spodziewał, Truls Berntsen – który w trakcie prezentacji wydusił z siebie trzy zdania i już się spocił – w milczeniu wzruszył ramionami. Harry, nie chcąc przedłużać jego udręki, sam zabrał głos:

– Moim zdaniem między ofiarami istnieje powiązanie, a prowadzi ono przez zabójcę. Usuwanie fragmentów zwłok może mieć na celu przekonanie policji, że to klasyczny seryjny morderca polujący na trofea, aby nie szukano zbyt dokładnie innych, bardziej racjonalnych motywów. Miałem już do czynienia z tego rodzaju manewrami odwracającymi uwagę. Czytałem gdzieś, że statystycznie w ciągu całego życia seryjnego mordercę mija się na ulicy siedem razy. Według mnie ta liczba jest zawyżona.

Harry nie wierzył za bardzo w to, co mówił. W ogóle nie miał zdania. Bez względu na to, co powiedzieliby inni, przedstawiłby alternatywną hipotezę wyłącznie po to, by im pokazać, że alternatywa istnieje. Kwestią treningu było utrzymywanie otwartego umysłu, niefiksowanie się świadomie lub podświadomie na jednej koncepcji. Kiedy tak się dzieje, istnieje ryzyko wystąpienia confirmation bias, czyli efektu potwierdzenia, błędnego zinterpretowania nowych informacji jako dowodu na to, co śledczy wymyślił, zamiast dostrzeżenia, że nowa informacja może faktycznie wskazywać w innym kierunku. Na przykład informacja o tym, że podejrzany o zabójstwo mężczyzna dzień wcześniej uprzejmie rozmawiał z ofiarą, bywa interpretowana jako przejaw pożądania zabójcy, a nie braku agresji z jego strony.

Tuż po ich przyjściu Ståle Aune wydawał się ożywiony, ale Harry spostrzegł, że wzrok psychologa już się zamglił, a poza tym żona i córka zapowiedziały się na ósmą, czyli za dwadzieścia minut.

– Kiedy się jutro spotkamy, Truls i ja będziemy już po przesłuchaniu Markusa Røeda. Prawdopodobnie to, czego się dowiemy – lub czego się nie dowiemy – określi naszą dalszą drogę. Okej, panowie, zamykamy biuro na dzisiaj.

14

Poniedziałek. Snuff bullet

Było wpół do dziesiątej wieczorem, gdy Harry wszedł do baru na najwyższym piętrze The Thief.

Usiadł przy kontuarze. Usiłował zwilżyć język na tyle, by móc coś zamówić. Tylko oczekiwanie na tego drinka pozwalało mu funkcjonować do tej pory. Miał wystarczyć ten jeden, chociaż Harry dobrze wiedział, że wkrótce cały plan i tak pójdzie w diabły.

Popatrzył na kartę koktajli, którą położył przed nim barman. Niektóre drinki nazwano od tytułów filmów, założył więc, że gośćmi tutaj byli aktorzy albo reżyserzy tychże filmów.

– Macie...

– Sorry, English.

– Do you have Jim Beam?

– Sure, sir, but could I recommend our own special made...

– No.

Barman uważnie mu się przyjrzał.

– Jim Beam, then.

Harry obserwował gości i miasto za szybą. Nowe Oslo. Nie bogate Oslo, lecz bogate jak cholera. Jedynie jego garnitur i buty były tu na miejscu. A może i nie. Parę lat temu zajrzał tutaj, żeby sprawdzić, jak wygląda ten lokal, i zanim się wycofał, przy jednym ze stolików zauważył wokalistę Turboneger[4]. Wyglądał równie samotnie, jak Harry czuł się teraz.

Wyjął telefon. Miał ją wpisaną jako A. Wstukał wiadomość:

Jestem w mieście. Możemy się spotkać?

Kiedy odkładał komórkę na bar, zorientował się, że ktoś za nim stanął, i usłyszał zamawiający piwo imbirowe miękki głos z amerykańskim akcentem, którego nie potrafił umiejscowić. Spojrzał w lustro na ścianie. Butelki na półce zasłaniały twarz mężczyzny, lecz Harry zdołał dostrzec coś lśniąco białego otaczającego jego szyję. Koloratkę z rodzaju tych pełnych, w Stanach nazywaną dog collar. Pastor zabrał swoje piwo i zniknął.

Harry był już w połowie drinka, kiedy przyszła odpowiedź od Alexandry Sturdzy:

Owszem, czytałam w „VG”, że jesteś. Zależy, co rozumiesz przez spotkanie.

Kawę w instytucie, odpowiedział. Na przykład jutro po dwunastej.

Musiał czekać długo. Prawdopodobnie zrozumiała, że nie jest to próba ponownego wejścia w ciepło jej łóżka, które z taką szczodrością mu zaproponowała, kiedy Rakel wyrzuciła go z domu. Ze szczodrością, której koniec końców nie zdołał odwzajemnić, chociaż sprawy między nimi układały się tak nieskomplikowanie. To z wszystkim innym, z tym, co znajdowało się poza łóżkiem Alexandry, nie potrafił sobie poradzić. Zależy, co rozumiesz przez spotkanie. Najgorsze, że nie miał całkowitej pewności, czy jego odpowiedź dotyczyła wyłącznie zlecenia. Naprawdę był samotny. Nie znał nikogo innego, kto potrzebował tyle samotności co on. Rakel nazywała to „ograniczoną pojemnością społeczną”, a była też jedyną osobą, z którą mógł – i chciał – spędzać czas bez wpatrywania się w linię mety gdzieś przed sobą, bez świadomości, że w jakimś momencie będzie miał wolne. Oczywiście można przebywać w samotności, nie będąc samotnym, i być samotnym, nie przebywając w samotności. No ale teraz był samotny. I był sam.

Może właśnie dlatego pragnął usłyszeć odpowiedź bez żadnych zastrzeżeń, a nie „zależy”. Czyżby miała kogoś? Czemu nie? Właściwie tak powinno być. Nawet jeśli facet się przejedzie.

Dopiero kiedy po zapłaceniu za drinka szedł do swojego pokoju, telefon znów zawibrował:

Godz. 13.

Prim otworzył drzwiczki zamrażalnika.

Obok większej torebki na mrożonki leżało tam kilka mniejszych, strunowych, z rodzaju tych używanych przez dilerów. Dwie zawierały włosy, jedna kilka zakrwawionych fragmentów naskórka, a jeszcze inna pocięte kawałeczki ścierki. Rzeczy, które pewnego dnia mogły mu się przydać. Wyjął strunową torebkę z mchem i przeszedł obok stołu, mijając akwarium. Zatrzymał się przed szklanym pojemnikiem umieszczonym na biurku. Po sprawdzeniu higrometru zdjął pokrywę, otworzył woreczek i wysypał mech na czarną ziemię na dnie. Obserwował znajdujące się w środku stworzenie: blisko dwudziestocentymetrowej długości jaskraworóżowego ślimaka. Wciąż nie mógł się na niego napatrzeć. To, co widział, trudno było nazwać filmem akcji, bo jeśli ślimak w ogóle się poruszał, mowa była o kilku centymetrach na godzinę. Brakowało też mimiki i oznak przeżywania dramatów wewnętrznych. Ślimak wyrażał się, a także zdobywał wrażenia jedynie poprzez czułki, którym też należało się przyglądać przez dłuższą chwilę, aby stwierdzić, że w istocie się poruszają. Dlatego ze ślimakiem było jak z Nią, nawet najmniejszy ruch czy gest stanowiły nagrodę. Tylko cierpliwością mógł zdobyć Jej łaski, Jej zrozumienie.

Był to ślimak z Mount Kaputar. Prim przywiózł dwa różowe egzemplarze aż z gór w australijskim stanie Nowa Południowa Walia. Ów gatunek żył tylko tam, na leśnym obszarze wielkości dziesięciu kilometrów kwadratowych u stóp Mount Kaputar. Jak powiedział sprzedawca: jeden pożar buszu mógł w każdej chwili wytępić cały gatunek. Dlatego Prim nie miał najmniejszych wyrzutów sumienia, kiedy omijał wszelkie zakazy eksportu i importu. Ślimaki generalnie są żywicielami tak wielu pasożytniczych mikrobów, że ich przemyt przez granicę jest równie legalny, jak szmuglowanie substancji radioaktywnych. Prim miał więc niezachwianą pewność, że są to jedyne dwa egzemplarze różowego ślimaka w całej Norwegii. Gdyby Australię i resztę świata strawił pożar, mogło się okazać, że to ratunek dla gatunku. Ba, w ogóle dla życia w dniu, gdy nie będzie już ludzi. To przecież wyłącznie kwestia czasu. Natura bowiem zachowuje tylko to, co jej służy. Bowie miał rację, kiedy śpiewał, że homo sapiens nie jest już do niczego przydatny.

Czułki ślimaka się poruszyły. Zwierzę odkryło zapach ulubionego dania, rozmarzającego mchu, zebranego u stóp Mount Kaputar, który Prim również przemycił. Teraz ślimak leciutko się poruszył, zalśniła jego gładka różowa

powierzchnia. Milimetr po milimetrze pełzł do swojego obiadu, zostawiając na czarnej ziemi śluzowaty ślad. Zbliżał się do celu równie powoli, lecz zdecydowanie, jak Prim do swojego. W Australii istniały też ślimaki kanibale, ślepe drapieżniki wykorzystujące podczas polowania śluzowaty ślad ślimaków z Mount Kaputar. Były od nich zaledwie odrobinę szybsze, ale powoli, niesłychanie powoli przybliżały się do swojej zdobyczy. Chciały pożreć to piękne różowe stworzenie żywcem, zeskrobując z niego kolejne warstwy tarką wyposażoną w rzędy maleńkich zębów. Czy różowy ślimak wie, że drapieżnik się zbliża? Czy odczuwa lęk podczas długiego czasu oczekiwania, zanim tamten go dopadnie? Czy ma jakieś rozwiązanie, jakieś wyjście? Czy myśli na przykład o przecięciu śladu innego ślimaka z Mount Kaputar z nadzieją, że prześladowca zmieni kurs? Prim właśnie taki miał plan, kiedy zaczną go ścigać.

Podszedł z powrotem do lodówki i odłożył woreczek na miejsce. Przez chwilę stał wpatrzony w dużą torebkę na mrożonki. W znajdujący się wewnątrz ludzki mózg. Przeszedł go dreszcz. Widok przyprawiał go o mdłości. Bał się tego.

Kiedy już umył zęby i się położył, włączył radio policyjne i słuchał przekazywanych meldunków. Czasami te spokojne głosy wypowiadające się tak krótko i zwięźle o wydarzeniach w mieście uspokajały go i działały usypiająco. Działo się bowiem niewiele i z rzadka dochodziło do czegoś dramatycznego, tak że Prim zapadał w sen już po krótkiej chwili. Ale nie tego wieczoru.

Zakończono już na ten dzień poszukiwania zaginionej kobiety na Grefsenkollen, a teraz wykorzystywano radio do ustalenia jutrzejszych miejsc i godzin spotkań różnych grup. Prim otworzył szufladkę nocnej szafki i wyjął dozownik z kokainą. Przypuszczał, że przynajmniej częściowo jest on zrobiony ze złota. Pojemniczek miał pięć centymetrów długości i kształt naboju do pistoletu. Snuff bullet. Po lekkim obróceniu rowkowanej części nabój „ładował się” odpowiednią dawką, którą następnie wciągało się przez dziurkę na czubku. Naprawdę elegancki przedmiot. Należał do tej, której teraz poszukiwała policja. Na boku miał nawet jej inicjały, BB. Z całą pewnością prezent. Prim pogłaskał palcami rowki, pogładził się nabojem po policzku, potem odłożył go z powrotem do szuflady, wyłączył radio i przez chwilę wpatrywał się w sufit. Tyle miał do przemyślenia. Spróbował się onanizować, ale się poddał. Potem się rozpłakał.

Była już prawie druga, kiedy wreszcie zasnął.

15

Wtorek

Truls spojrzał na zegarek. Dziesięć po dziewiątej. Markus Røed powinien tu być już dziesięć minut temu.

We dwóch z Harrym przesunęli łóżko pod ścianę, żeby zrobić miejsce przy biurku ustawionym na środku pokoju hotelowego Harry'ego, a teraz siedzieli w fotelach po jednej stronie biurka, wpatrzeni w trzeci, pusty fotel. Truls podrapał się pod pachą.

– Arogancki dupek – stwierdził.

– Mhm – mruknął Harry. – Pomyśl o tym, ile ci płaci za godzinę i że taksometr bije. Lepiej się czujesz?

Truls wysunął palec wskazujący i bez celu postukał w stojący przed nim laptop. Sprawdził.

– Trochę.

Wcześniej starannie omówili procedury.

Podział ról był prosty. Harry miał zadawać pytania, a Truls – trzymać gębę na kłódkę i koncentrować się na ekranie, nie zdradzając, co widzi. Co zresztą Trulsowi bardzo odpowiadało, bo w zasadzie przez trzy ostatnie lata nie zajmował się w komendzie niczym innym. Pasjanse, internetowy poker, stare odcinki Świata gliniarzy i zdjęcia Megan Fox. Ale Truls miał również za zadanie przymocować elektrody do ciała Røeda: dwie niebieskie i jedną czerwoną na piersi w okolicy serca oraz po jednej czerwonej przy tętnicy na nadgarstkach. Biegnące od elektrod przewody wchodziły do plastikowego pudełka, połączonego z laptopem pojedynczym kablem.

– Masz zamiar użyć sztuczki z dobrym gliną? – spytał Truls, ruchem głowy wskazując na rolkę papierowego ręcznika, którą Harry położył na biurku.

Sztuczka polegała na tym, że kiedy zły gliniarz doprowadził już przesłuchiwanego do płaczu, wychodził, po czym ten dobry sięgał po papierowy

ręcznik, wypowiadał kilka współczujących słów, a potem mógł jedynie czekać, aż przesłuchiwany mu się zwierzy. Albo jej. Głupim ludziom wydaje się, że kobiety są życzliwsze. Ale Truls wiedział lepiej. Teraz już wiedział lepiej.

– Być może – odparł Harry.

Truls spojrzał na niego. Spróbował wyobrazić sobie Harry'ego w roli dobrego gliniarza, ale się poddał. Kiedyś, wiele lat temu, gdy Truls i Mikael Bellman działali w policji jako nierozłączna para, zawsze Bellman był dobrym gliniarzem. Temu oślizgłemu bystrzakowi świetnie to szło, nie tylko podczas przesłuchania. Tak świetnie, że w końcu został ministrem sprawiedliwości. Kurwa, to niepojęte, jak się pomyśli o całym draństwie, które we dwóch uprawiali. A z drugiej strony to niemal oczywistość. Nikt jak Mikael Bellman nie posiadał zdolności zanurzenia rąk głęboko w gównie, tak żeby się przy tym nie upaprać.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Wcześniej w recepcji przykazali, żeby Røeda od razu przysłano na górę.

Zgodnie z ustaleniami drzwi otworzył Truls.

Røed się uśmiechnął, zdaniem Trulsa nerwowo. Skórę i oczy miał błyszczące.

Truls wpuścił go do pokoju, nie przedstawiając się ani nie podając mu ręki. Tym zajął się Harry.

A Harry zapewnił, że nie zajmą Røedowi dużo czasu, i od razu poprosił, by ten zdjął marynarkę i rozpiął koszulę. Stał z wyciągniętą ręką, dopóki Røed nie podał mu marynarki, którą Harry odwiesił do szafy. Truls zamocował elektrody. Rozmieścił je, omijając podłużne zadrapania biegnące pod i nad sutkami Røeda. Widniało tam również parę siniaków. Albo ktoś spuścił mu lanie, albo jego żona była prawdziwą dzikuską w łóżku. A może raczej któraś ze sponsorowanych przez niego dziewczyn.

Po zainstalowaniu ostatnich elektrod na nadgarstkach Truls przeszedł na tę stronę stołu, przy której siedzieli on i Harry, zajął swoje miejsce, wcisnął Enter i spojrzał na ekran komputera.

– Dobrze widać? – spytał Harry.

Truls kiwnął głową.

Harry odwrócił się do Røeda.

– Będą to głównie pytania wymagające odpowiedzi tak lub nie, badania poligraficzne sprawdzają się najlepiej przy analizowaniu krótkich odpowiedzi.

Gotowy?

Røed się uśmiechnął, ale z przymusem.

– Tak, dalej, jedźcie, panowie. Muszę stąd wyjść za pół godziny.

– Czy nazywasz się Markus Røed?

– Tak.

Pauza, podczas której spojrzeli na Trulsa, wślepionego w ekran. W końcu lekko skinął głową.

– Jesteś mężczyzną czy kobietą? – spytał Harry.

– Mężczyzną – odparł z uśmiechem Røed.

– Czy mogę usłyszeć, jak mówisz, że jesteś kobietą?

– Jestem kobietą.

Harry przeniósł wzrok na Trulsa, który znów kiwnął głową. Odchrząknął.

– Czy zabiłeś Susanne Andersen?

– Nie.

– Czy zabiłeś Bertine Bertilsen?

– Nie.

– Uprawiałeś seks z jedną czy z obydwiema?

W pokoju zapadła cisza. Truls widział, jak na twarzy Markusa Røeda wzbiera rumieniec. Jak Røed łapie powietrze. I kicha. Dwa razy. Trzy. Harry podał mu kawałek papierowego ręcznika oderwany z rolki. Markus Røed odruchowo sięgnął do oparcia fotela, jakby do marynarki – pewnie miał tam chusteczkę. Dopiero potem wziął papier od Harry’ego i wydmuchał nos.

– Owszem. – Wrzucił zużyty papier do kosza, który podsunął mu Harry. – Z obydwiema. Ale to było dobrowolne ze strony wszystkich zaangażowanych osób.

– Jednocześnie?

– Nie, nie robię takich rzeczy.

– Czy Susanne i Bertine się znały albo spotkały?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Nie, w zasadzie jestem pewien, że nie.

– Ponieważ zadbałeś o to, żeby się nie spotkały?

Røed zaśmiał się krótko.

– Nie, nigdy nie ukrywałem, że spotykam się z innymi kobietami. No i zaprosiłem je obie na tę imprezę, prawda?

– A tak było?

– Tak.

– Czy któraś z nich cię szantażowała, domagając się pieniędzy?

– Nie.

– Czy któraś groziła, że ujawni wasz związek?

Røed pokręcił głową.

– Proszę odpowiadać słowami – polecił Harry.

– Nie. Moje romanse nie były taką tajemnicą, żeby to miało jakieś znaczenie. Nie chciałem rozgłaszać ich publicznie, ale też nie podejmowałem wielkich starań, by je ukrywać. Przecież nawet Helene o nich wiedziała.

– Myślisz, że mogła je zabić z zazdrości?

– Nie.

– Dlaczego?

– Helene to kobieta myśląca racjonalnie. Uważałaby, że ryzyko złapania nie jest warte dodatnich wyników po stronie zysków.

– Dodatnich wyników po stronie zysków?

– Hm. Zemsty.

– Albo zatrzymania ciebie.

– Nie. Ona wie, że nigdy bym od niej nie odszedł dla jakiejś młodej lalki, chociaż mógłbym to zrobić, gdyby próbowała ograniczać moją wolność.

– Kiedy ostatnio widziałeś się z Susanne albo Bertine?

– Na tej imprezie.

– A wcześniej?

– Wcześniej dawno już ich nie widziałem.

– Dlaczego przestałeś się z nimi spotykać?

– Pewnie straciłem zainteresowanie. – Røed rozłożył ręce. – Fizyczność zawsze działa kusząco, ale okres przydatności do użytku takich dziewczyn jak Susanne i Bertine różni się od tego, jaki ma Helene Røed, o ile rozumiesz.

– Mhm. Czy ty albo dziewczyny zażywaliście na tej imprezie narkotyki?

– Narkotyki? W każdym razie ja nie.

Harry spojrzał na Trulsa, ten lekko pokręcił głową.

– Jesteś pewien? – spytał Harry. – Na przykład kokainę.

Truls poczuł, że Markus Røed na niego patrzy, ale sam nie odrywał oczu od ekranu.

– No dobrze – powiedział Røed. – Dziewczyny wciągnęły po kresce.

– Własnej kokainy czy twojej?

– Jakiś facet przyniósł.

– Kto to był?

– Nie wiem. Znajomy sąsiadów albo ktoś, od kogo kupują, nie obchodzi mnie to. Ale jeśli szukacie dilerów, to niestety nie potrafię wam podać żadnego rysopisu. Facet był w maseczce i miał ciemne okulary. – Røed uśmiechnął się, ale Truls widział, że jest zirytowany. Samce alfa mają tendencję do irytowania się podczas przesłuchań.

– Był biały? Norweg czy...

– Tak, biały. I mówił jak Norweg.

– Rozmawiał z Susanne albo Bertine?

– Tak, raczej musiał, skoro wciągały jego proszek.

– Mhm. A ty sam nie bierzesz kokainy?

– Nie.

Harry nachylił się do Trulsa, który w odpowiedzi dyskretnie wskazał jakieś miejsce na ekranie.

– Mhm. Wygląda na to, że według wskazań wariografu nie mówisz prawdy.

Røed patrzył na nich jak zbuntowany nastolatek na rodziców. W końcu uległ z nerwowym westchnieniem.

– Nie rozumiem, jaki to może mieć związek ze sprawą. Owszem, wcześniej zdarzało się, że trochę się zabawiałem w weekendy. Ale założyłem się z Helene, że nie będę nic brał, i tamtego wieczoru nic nie brałem, jasne? A poza tym muszę już iść.

– Jeszcze ostatnie pytanie. Czy wynająłeś kogoś albo współpracowałeś z kimś w celu pozbawienia życia Susanne Andersen lub Bertine Bertilsen?

– Do diabła, Hole, po co miałbym to robić?! – Røed w geście rezygnacji podniósł obie ręce, a Truls zaniepokojony stwierdził, że jedna z elektrod odrywa się od nadgarstka. – Nie pojmujesz, że kiedy masz sześćdziesiąt parę lat i wyrozumiałą żonę, to nie boisz się ujawnienia faktu, że ciągle jesteś atrakcyjny i posuwasz dwudziestokilkulatki? W kręgach, w których ja się obracam i w których robię interesy, jest przeciwnie, to wzbudza szacunek. Dowodzi, że zostało w tobie dość mężczyzny, by się z tobą liczyć. – Mówił coraz głośniej. – Dość, by ludzie zrozumieli, że nie mogą się wycofać z prawie już zawartych umów bez ponoszenia konsekwencji. Rozumiesz, Hole?

– Owszem, rozumiem. – Harry rozparł się w fotelu. – Ale to urządzenie najlepiej reaguje na odpowiedzi tak lub nie. Pozwól więc, że powtórzę pyta...

– Nie! Odpowiedź brzmi: nie. Nie zlecałem żadnego – Røed zaczął się śmiać, jakby ten pomysł był zupełnie szalony – zabójstwa!

– Wobec tego dziękuję – zakończył Harry. – Zdążysz na następne spotkanie. Truls?

Berntsen się podniósł, okrążył biurko i zdjął Røedowi elektrody.

– A tak w ogóle to chcę poprosić twoją żonę o rozmowę – powiedział Harry, gdy Røed już zapinał koszulę.

– W porządku.

– Poprosić ją, to miałem na myśli. – Harry błyskawicznie zamknął laptopa, kiedy Røed przechodził na drugą stronę stołu. – Ciebie chciałem tylko o tym poinformować.

– Rób, co chcesz. Żebym tylko nie żałował, że cię zatrudniłem.

– Myśl o tym jak o wizycie u dentysty. – Harry też wstał. – Po fakcie nie żałujesz, że u niego byłeś. – Podszedł do szafy i przytrzymał marynarkę, kiedy Røed się w nią wsuwał.

– To... – zachrumkał Truls, kiedy drzwi za ich zleceniodawcą już się zamknęły – zależy chyba od tego, co pomyślisz na widok rachunku.

16

Wtorek. Seamaster

– Siedzi tam – oznajmiła starsza pani w białym fartuchu, wskazując w głąb laboratorium.

Harry zobaczył plecy, również obciągnięte białym fartuchem, osoby siedzącej na wysokim stołku i nachylonej nad mikroskopem.

Stanął za tymi plecami i cicho chrząknął.

Kobieta odwróciła się zniecierpliwionym ruchem i Harry ujrzał jej twarz, twardą, zamkniętą, wciąż skoncentrowaną na pracy. Zmieniła się jednak, jakby nagle wzeszło słońce, gdy się zorientowała, że to on.

– Harry! – Zerwała się i rzuciła mu na szyję.

– Witaj, Alexandro! – powiedział Harry nieco zaskoczony, bo nie miał pewności, jakiego powitania może się spodziewać.

– Jak się dostałeś aż tutaj?

– Przyszedłem trochę wcześniej, a Lilly z recepcji ciągle mnie pamięta, więc...

– No i jak to oceniasz? – Alexandra z dumą zadarła głowę i nawet lekko zakołysała biodrami.

Harry się uśmiechnął.

– Ciągle wyglądasz fantastycznie. Jak skrzyżowanie lamborghi...

– Nie mówię o sobie, ty wariacie, tylko o laboratorium!

– Aha. Widzę, że jest nowe.

– Prawda, że super? Możemy teraz badać tu wszystko to, co wcześniej trzeba było wysyłać za granicę. Analizy DNA, chemiczne, biologiczne... Tyle różnych możliwości, że kiedy Wydział Techniki Kryminalistycznej nie daje rady wszystkiego przerobić, to po prostu przekazuje to nam. Możemy też wykorzystywać laboratorium do prowadzenia własnych badań naukowych. A ja pracuję teraz nad doktoratem dotyczącym analizy DNA.

– Imponujące. – Harry powiódł spojrzeniem po blacie zastawionym probówkami, kolbami, monitorami komputerowymi, mikroskopami i maszynami, o których przeznaczeniu nie miał pojęcia.

– Helge, przywitaj się z Harrym! – zawołała Alexandra.

Druga osoba obecna w pomieszczeniu obróciła się na krześle, uśmiechnęła i pomachała Harry'emu, po czym wróciła do mikroskopu.

– Ścigamy się, kto pierwszy zrobi doktorat – szepnęła Alexandra.

– Mhm. Jesteś pewna, że masz czas na kawę w kantynie?

Wsunęła mu rękę pod ramię.

– Znam lepsze miejsce. Chodź!

– Czyli Katrine wie, że ty wiesz – podsumowała Alexandra. – I zaproponowała ci, żebyś któregoś dnia zaopiekował się małym. – Odstawiła pustą filiżankę na papę przy krzesłach, które wynieśli sprzed drzwi prowadzących na dach. – Zawsze to jakiś początek. Boisz się?

– Jak cholera – odparł Harry. – Poza tym akurat teraz nie bardzo mam czas.

– Ojcowie mówią tak od niepamiętnych czasów.

– Wiem. Ale muszę rozwiązać tę sprawę w ciągu następnych siedmiu dni.

– Røed dał ci tylko tydzień? Czy to nie przesadny optymizm?

Harry nie odpowiedział.

– Myślisz, że Katrine chciałaby, żebyście...?

– Nie – zaprzeczył zdecydowanie Harry.

– Takie uczucia nigdy całkiem nie umierają.

– Właśnie że tak.

Alexandra patrzyła na niego w milczeniu, odgarnęła jedynie skręcony jak korkociąg czarny lok, który opadł jej na twarz.

– A poza tym – dodał Harry – ona wie, co jest najlepsze dla niej i dla małego.

– To znaczy?

– Że na mnie nie warto tracić sił.

– Kto jeszcze wie, że to ty jesteś ojcem?

– Tylko ty. A Katrine nie chce, żeby ktokolwiek inny się o tym dowiedział.

– Bez obaw – powiedziała Alexandra. – Ja wiem wyłącznie dlatego, że robiłam analizę DNA, więc obowiązuje mnie tajemnica. Masz fajkę, żebyśmy mogli ją wspólnie wypalić?

– Rzuciłem.

– Co? Naprawdę?

Harry kiwnął głową i spojrzał w niebo. Pojawiły się na nim chmury. Ołowianoszare na spodzie, białe powyżej, tam gdzie się wypiętrzały i gdzie padało na nie światło słońca.

– Czyli ciągle jesteś singielką – stwierdził Harry. – I co, happy?

– Nie. Ale pewnie będąc z kimś, też nie byłabym happy.

Roześmiała się tym swoim zachrypniętym śmiechem, a Harry poczuł, że to działa na niego tak samo jak wtedy. Może więc to jednak prawda, może takie uczucia nigdy całkiem nie umierają, bez względu na to, jak bardzo przelotne się wydawały?

Chrząknął.

– Nareszcie – powiedziała Alexandra.

– Co nareszcie?

– Poznam powód, dla którego chciałeś napić się ze mną kawy.

– Możliwe. – Harry wyjął z kieszeni plastikowe pudełko z kawałkiem papierowego ręcznika.

– Wiedziałam! – prychnęła.

– Mhm. Ale mimo wszystko chciałaś wypić ze mną tę kawę.

– Pewnie miałam nadzieję, że się pomyliłam. Że jednak trochę o mnie myślałeś.

– Rozumiem, że nie powinienem mówić, że myślałem, ale tak było.

– Mimo wszystko powiedz.

Harry uśmiechnął się krzywo.

– Myślałem o tobie.

Sięgnęła po pudełko.

– Co tu jest?

– Smarki i ślina. Chcę tylko wiedzieć, czy pochodzą od tej samej osoby co ślad znaleziony na piersi Susanne.

– Skąd masz tę informację? Chociaż nie, nie chcę wiedzieć. To, o co mnie prosisz, może nie jest niezgodne z prawem, ale masz świadomość, że i tak będę miała kłopoty, jeśli ktoś się o tym dowie?

– Tak.

– Więc dlaczego miałabym to robić?

– No nie wiem.

– A ja ci powiem. Żebyś mnie zabrał do spa w tym swoim snobistycznym hotelu. Słyszysz? A potem postawisz mi cholernie elegancką kolację. I przyzwoicie się na nią ubierzesz.

Pociągnął się za klapę marynarki.

– Nie uważasz, że jestem dostatecznie przyzwoicie ubrany?

– Krawat. Masz też założyć krawat.

Harry się roześmiał.

– Umowa stoi.

– Elegancki krawat.

– To, że taki miliarder jak Røed wszczyna własne śledztwo, jest złamaniem naszych demokratycznych tradycji i idei równości – oświadczyła szefowa Biura Kryminalnego Bodil Melling.

– Poza tym tego rodzaju wkraczanie na nasze pole wiąże się z praktycznymi niedogodnościami – dodał Ole Winter, stojący na czele Wydziału Śledczego KRIPOS. – To po prostu zakłóca i utrudnia nam pracę. Mam świadomość, że nie możecie zakazać Røedowi śledztwa na podstawie konkretnych paragrafów, ale ministerstwo musi chyba mieć jakieś sposoby na powstrzymanie tego.

Mikael Bellman stał przy oknie i wyglądał na zewnątrz. Miał ładny gabinet – duży, reprezentacyjny, świeżo urządzony w nowoczesnym stylu. No ale mieszczący się w Nydalen. Daleko od innych ministerstw w kwartale rządowym w centrum. Nydalen było czymś w rodzaju kompleksu biurowego na peryferiach miasta; idąc dalej na północ, już po kilku minutach można było się znaleźć w gęstym lesie. Pozostawało jedynie mieć nadzieję, że nowa siedziba w dzielnicy rządowej wkrótce będzie gotowa, by się tam przenieść; że jego Partia Pracy wciąż jeszcze będzie wtedy u władzy, a on pozostanie ministrem sprawiedliwości. Co prawda nic

nie wskazywało na to, by miało być inaczej. Mikael Bellman cieszył się popularnością. Znaleźli się nawet tacy, którzy poszeptywali, że powinien zająć odpowiednią pozycję, bo mógł nadejść moment, w którym premier zdecyduje się zwinąć żagle. A na porannym posiedzeniu dzień po tym, jak pewien komentator prasowy napisał, że ktoś w rządzie, na przykład Bellman, winien dokonać przewrotu i przejąć kancelarię premiera, ku rozbawieniu wszystkich premier poprosił kogoś o sprawdzenie teczki ministra sprawiedliwości – miało to być nawiązanie do klapki na oku Bellmana, a tym samym do jego podobieństwa do Clausa von Stauffenberga, pułkownika Wehrmachtu, który podjął próbę zamachu bombowego na Hitlera. Ale premier nie miał się czego obawiać. Mikael Bellman po prostu nie chciał tej roboty. Owszem, jako minister sprawiedliwości już był na świeczniku, ale stanowisko premiera – numero uno – to coś zupełnie innego. Presja to jedno, lecz on bardziej obawiał się światła reflektorów, które mogłoby ujawnić zbyt wiele. Sam nie wiedział, co z przeszłości wyszłoby wtedy na jaw.

Obrócił się w stronę Melling i Wintera. W hierarchii dzieliło go od nich wiele szczebli, lecz tych dwoje najwyraźniej uznało, że mogą przyjść wprost do niego, ponieważ mając za sobą przeszłość śledczego w Oslo, był także jednym z nich.

– Jako członek Partii Pracy oczywiście popieram ideę równości – powiedział. – A Ministerstwo Sprawiedliwości naturalnie pragnie, aby policja miała możliwie najlepsze warunki do pracy. Ale nie jestem pewien, czy spotkamy się ze zrozumieniem wśród... – szukał innego słowa niż demaskujące „wyborcy” – ...wśród szerokich warstw społeczeństwa, jeśli będziemy starali się powstrzymać jednego z niewielu słynnych śledczych, jakich mamy. Zwłaszcza gdy ów śledczy chce się zaangażować w sprawę, w której wam na razie nie udało się nic zdziałać. I rzeczywiście, masz rację, Winter, nie ma paragrafu na powstrzymanie Røeda i Holego. Ale możecie mieć nadzieję, że Hole zrobi to, co za moich czasów zawsze robił, prędzej czy później.

Spojrzał na pytające twarze Melling i Wintera.

– Złamie reguły gry – wyjaśnił. – Trzeba tylko bacznie go obserwować. Jestem pewien, że to się stanie. Przyślijcie mi wtedy od razu raport, a osobiście odsunę Holego od tej sprawy. – Popatrzył na swój zegarek Omega Seamaster. Nie miał wprawdzie żadnego następnego spotkania, ale chciał pokazać, że to obecne już dobiegło końca. – W porządku?

W drodze do wyjścia ściskali mu rękę tak, jakby to on zgodził się na ich propozycję, a nie odwrotnie. Mikael Bellman posiadał tę zdolność. Uśmiechnął się i przytrzymał spojrzenie Bodil Melling pół sekundy dłużej, niż to było konieczne. Nie interesowała go. Zrobił to raczej nawykowo. I zauważył, że na jej twarzy pojawiło się wreszcie trochę koloru.

17

Wtorek. Najbardziej interesująca część ludzkości

– Uczymy się kłamać już jako dzieci w wieku od dwóch do pięciu lat, a jako dorośli jesteśmy w tym ekspertami – powiedział Aune i poprawił sobie poduszkę. – Wierzcie mi.

Harry zobaczył, że Øystein się śmieje, a Truls zdezorientowany patrzy spode łba.

Aune mówił dalej:

– Pewien psycholog, który nazywa się Richard Wiseman, uważa, że większość z nas codziennie wypowiada jedno albo dwa kłamstwa. To znaczy prawdziwe kłamstwa, nie z rodzaju tych „jaką masz ładną fryzurę”. Czy istnieje szansa, że te kłamstwa zostaną odkryte? No cóż, Freud twierdził, że żaden śmiertelnik nie potrafi dochować tajemnicy, bo nawet jeśli usta pozostają zamknięte, to koniuszki palców i tak gadają. Ale się mylił. Ściślej mówiąc, odbiorca nie jest w stanie wyłapać rozmaitych sposobów, w jakie zdradza się kłamca, bo są one odmienne w zależności od osoby. Dlatego potrzebny był wykrywacz kłamstw. Coś takiego istniało już w Chinach trzy tysiące lat temu. Podejrzanemu o przestępstwo wypełniano usta ziarnkami ryżu i pytano, czy jest winny. Jeśli pokręcił głową, kazano mu wypluć ryż. Gdy ziarenka okazywały się suche, logika przemawiała za objawiającym się suchością w ustach zdenerwowaniem podejrzanego, co miało świadczyć o jego winie. To oczywiście metoda nieprzydatna, ponieważ można się denerwować ze strachu, że będzie się zdenerwowanym. Równie nieprzydatny jest wariograf wynaleziony przez Johna Larsona w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku i w zasadzie będący wykrywaczem kłamstw używanym po dziś dzień, chociaż wszyscy wiedzą, że nadaje się na śmietnik. Nawet Larson w końcu żałował, że go wynalazł, i nazwał go swoim potworem Frankensteina. Ponieważ ten aparat „żyje”... – Aune uniósł ręce i palcami w powietrzu narysował cudzysłów. – Ale żyje tylko dlatego, że wielu ludzi wierzy w jego działanie. To sam lęk przed wykrywaczem kłamstw potrafi czasami wymusić przyznanie się do winy,

prawdziwe bądź fałszywe. W Detroit policja złapała podejrzanego, kazała mu położyć rękę na kopiarce i przekonała go, że to wykrywacz kłamstw. Potem zadawano mu pytania, a maszyna wypluwała z siebie kartki A cztery z napisem „HE IS LYING”, czyli „on kłamie”, aż do chwili, gdy przerażony mężczyzna przyznał się do wszystkiego.

Truls zaśmiał się, prychając.

– Ale Bóg jeden wie, czy był winny – podsumował Aune. – Dlatego wolę sposób stosowany w starożytnych Indiach.

Otworzyły się drzwi i dwie pielęgniarki przywiozły na łóżku Sethiego.

– Jibran, posłuchaj, tobie też się to spodoba – powiedział psycholog.

Harry nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Najpopularniejszy wykładowca Wyższej Szkoły Policyjnej Ståle Aune wrócił na scenę.

– Podejrzanych wpuszczano pojedynczo do zaciemnionego pomieszczenia, każąc im wymacać osła, który gdzieś tam stał, a następnie pociągnąć go za ogon. Twierdzono, że jeśli podejrzany kłamał podczas przesłuchania, osioł wyda z siebie krzyk, ryk, czy co tam robią osły. Był to bowiem święty osioł, tak orzekł kapłan. Podejrzanym nie mówiono natomiast, że ogon osła został natarty sadzą, kiedy więc delikwenci wychodzili, oświadczając, że owszem, pociągnęli osła za ogon, wystarczyło jedynie spojrzeć na ich ręce. Jeśli były czyste, oznaczało to, że osoba ta bała się, iż osioł ujawni jej kłamstwo, i natychmiast wysyłano ją na szubienicę, czy co tam stosowano w Indiach w owym czasie. – Aune zerknął na Jibrana, który wprawdzie wyjął książkę, ale leciutko kiwał głową.

– A jeżeli jakiś gość miał ręce uwalane sadzą – włączył się Øystein – to oznaczało tylko, że nie był kompletnym idiotą.

Truls zachrumkał, waląc się w uda.

– Pytanie brzmi – podjął Aune – czy Røed wyszedł od was z sadzą na rękach, czy też nie.

– No cóż – odparł Harry. – Zastosowaliśmy coś pomiędzy tą starą sztuczką z kopiarką a świętym osłem. W zasadzie jestem przekonany, że Røed sądził, iż badamy go wykrywaczem kłamstw... – Wskazał na stół, gdzie stał prywatny laptop Trulsa, a obok leżały wykorzystywane do badań EKG kable i elektrody, które udało im się pożyczyć na trzecim piętrze szpitala. – Myślę więc, że pilnował się, by nie

kłamać. Ale według mnie zdał test osła. Stawił się i poddał prawdziwemu w swojej opinii badaniu. Już samo to wskazuje, że Røed nie ma nic do ukrycia.

– Albo – Øystein znów się włączył – wie, jak oszukać wykrywacz kłamstw, i chciał go wykorzystać, żeby nas zmylić.

– Mhm. Nie sądzę, żeby Røed próbował nas oszukać. Nie chciał, żeby Truls był w naszym teamie. Dość zrozumiałe, bo gdyby to wyszło na jaw, cały jego projekt straciłby wiarygodność. Zgodził się, dopiero kiedy go przekonałem, jak wielkie znaczenie będzie miał dostęp do raportów policyjnych. Owszem, chciałby nazwisk, dzięki którym jego śledztwo będzie wyglądało poważnie na papierze i w komunikacie prasowym. Ale jeszcze ważniejsze jest dla niego odkrycie prawdy.

– Tak myślisz? – spytał Øystein. – To dlaczego nie chce dać policji próbki swojego DNA?

– Nie wiem – odparł Harry. – Dopóki nie ma uzasadnionych podejrzeń, policja nie może nikogo zmusić do poddania się badaniu DNA, a Krohn twierdzi, że jeśli zgodzą się na pobranie próbki, to pośrednio przyznają się do istnienia uzasadnionych podejrzeń. Tak czy owak, Alexandra obiecała mi odpowiedź w ciągu paru dni.

– A ty jesteś pewien, że ten profil nie będzie pasował do śliny znalezionej na ciele Susanne?

– Ja nigdy nie jestem niczego pewien, Ståle. Ale skreśliłem Røeda z mojej listy podejrzanych, kiedy zapukał dziś do drzwi w hotelu.

– No to po ci ta analiza DNA?

– Żeby mieć całkowitą pewność. I coś, co będziemy mogli dać policji.

– Żeby go nie aresztowali? – spytał Truls.

– Żebyśmy mieli dla nich jakieś informacje do przekazania, dzięki czemu może dadzą nam coś w zamian. Coś, czego nie ma w raportach.

Øystein aż cmoknął.

– Nieźle pomyślane.

– Tak więc mamy wyeliminowanego Røeda i usunięty mózg – skonstatował Aune. – Ciągle uważasz, że zabójca to ktoś, kto ma powiązania z ofiarami i kieruje się motywami wynikającymi z tych relacji?

Harry pokręcił głową.

– To dobrze. – Aune zatarł ręce. – Bo w takiej sytuacji nareszcie możemy zacząć się przyglądać psychopatom, sadystom, narcyzom i socjopatom. Krótko mówiąc, najbardziej interesującej części ludzkości.

– Nie – zaprotestował Harry.

– Aha. – Aune zrobił obrażoną minę. – Uważasz, że sprawca nie znajduje się w tej grupie?

– Owszem, ale nie wierzę, że zdołamy go tam wyśledzić. Musimy szukać w miejscu, gdzie środki, którymi dysponujemy, pozwolą nam wpaść na jakiś trop.

– Czyli tam, gdzie, jak zakładamy, go nie ma?

– No właśnie.

Dwaj pozostali patrzyli na Harry'ego, nic nie rozumiejąc.

– To czysta matematyka – zaczął wyjaśniać Harry. – Seryjni zabójcy wybierają swoje ofiary przypadkowo i zacierają ślady. Prawdopodobieństwo odnalezienia ich w ciągu jednego roku jest mniejsze niż dziesięć procent, nawet dla FBI. A dla nas czterech z takimi zasobami, jakie mamy? Powiedzmy, a to i tak będzie naciągnięte, że dwa procent. Natomiast jeśli zabójca wywodzi się z najbliższego kręgu ofiar i istnieje pojmowalny motyw, szanse rosną do siedemdziesięciu pięciu procent. Załóżmy osiemdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo tego, że zabójca znajduje się w tej grupie, w której chce go szukać Ståle, i załóżmy, że to seryjny morderca. Jeżeli skupimy się na tej kategorii, odrzucając osoby z najbliższego kręgu, to prawdopodobieństwo, że nam się uda, wynosi...

– Jeden koma sześć procent – podpowiedział Øystein. – A jeśli skupimy się na znajomych ofiar, to piętnaście.

Zdumieni popatrzyli na Øysteina, który uśmiechnął się szerokim brązowym uśmiechem.

– W tej nowej robocie nauczyłem się szybko liczyć w pamięci.

– Bardzo przepraszam – odezwał się Aune. – Słyszę te liczby, ale szczerze mówiąc, wydaje mi się to odrobinę kontraintuitywne. – Zauważył spojrzenie Øysteina. – Czyli sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Mam na myśli szukanie tam, gdzie, jak sądzimy, go nie ma.

– Witamy w śledztwie policyjnym – stwierdził Harry. – Myśl o tym raczej w następujący sposób: jeśli my czterej znajdziemy winnego, to fantastycznie,

mamy całą pulę. Jeśli nie, zrobimy to, co śledczy robią przez większość swoich dni w pracy: pomożemy w policyjnym śledztwie, eliminując ze sprawy kilka osób.

– Nie wierzę ci – oświadczył Aune. – To, co mówisz, jest racjonalne, a ty, Harry, nie jesteś racjonalny. Nie jesteś typem, który pracuje, opierając się na procentach. Owszem, profesjonalista w tobie widzi, że wszystkie poszlaki wskazują na działanie seryjnego mordercy. Uważasz więc, że to seryjny morderca, ale wierzysz, że jest inaczej. Ponieważ tak ci mówi intuicja. Właśnie dlatego przedstawiłeś te wyliczenia. Chcesz przekonać i siebie, i nas, że pójście za głosem intuicji Harry'ego Hole jest słuszne. Mam rację?

Harry popatrzył na Aunego. Kiwnął głową.

– Moja matka rozumiała, że Bóg nie istnieje – odezwał się Øystein. – A mimo to była cholernie religijna. No to kogo mamy teraz wyeliminować ze sprawy?

– Helene Røed – odparł Harry. – I faceta, który sprzedawał dragi na imprezie.

– Że Helene, rozumiem – powiedział Aune. – Ale dlaczego handlarza narkotyków?

– Ponieważ jako jeden z niewielu gości na tej imprezie nie został zidentyfikowany. I ponieważ przyszedł w maseczce i ciemnych okularach.

– Co z tego? Może się nie zaszczepił? Albo cierpi na mizofobię. Przepraszam, Øystein, na lęk przed zarazkami.

– Albo był chory i nie chciał nikogo zarazić – podsunął Truls. – Ale i tak zaraził. W każdym razie w tych raportach było napisane, że i Susanne, i Bertine parę dni po tej imprezie dostały gorączki i źle się czuły.

– Ale teraz tracimy sprzed oczu najbardziej ewidentny powód – stwierdził Aune. – Handlarz narkotykami zajmuje się przecież czymś wysoce nielegalnym, więc nie jest chyba aż takie dziwne, że się maskuje.

– Øystein, wyjaśnij to – poprosił Harry.

– Okej. Załóżmy, że sprzedajesz... niech to będzie kokaina. Wtedy aż tak bardzo się nie martwisz, że możesz zostać zidentyfikowany. Policja na ogół i tak wie, kto handluje na ulicy, i w ogóle się tym nie przejmuje. Glinom zależy tylko na grubych rybach. A nawet gdyby policja cię zwinęła, to w trakcie handlu, a wtedy żadna maska nie pomoże. Dlatego jest odwrotnie. Jeśli sprzedajesz na ulicy, to chcesz, żeby klienci zapamiętali twoją gębę i to, że ostatnio dałeś im dobry towar. A jeżeli

dostarczasz do domów, jak chyba w tym wypadku, to zaufanie klienta do twojej uczciwej gęby jest jeszcze ważniejsze.

Truls znów się zaśmiał, prychając.

– Mógłbyś się dowiedzieć, kim był ten gość na imprezie? – spytał Harry.

Øystein wzruszył ramionami.

– Mogę spróbować. W branży dostaw pod drzwi działa niewielu Norwegów.

– Świetnie. – Harry zamknął oczy i po chwili je otworzył, jakby się trzymał scenariusza i w umyśle przerzucił kartkę. – Ponieważ przyjęliśmy hipotezę mówiącą, że zabójca znał co najmniej jedną z ofiar, wbrew wszystkiemu przyjrzyjmy się temu, co tę hipotezę wspiera. Czyli tak. Susanne Andersen z tętniącej życiem zachodniej części centrum przenosi się na drugi koniec miasta, w okolicę, w której, jak wszystko wskazuje, nikogo nie zna, gdzie w dodatku, według tego, co mówią jej znajomi, nigdy wcześniej nie była i gdzie we wtorkowy wieczór niewiele się dzieje...

– Gdzie kompletnie nic się nie dzieje w żaden wieczór – uzupełnił Øystein. – Wychowałem się niedaleko.

– No to czego Susanne tam szuka?

– Nawet nie muszę się zastanawiać – orzekł Øystein. – Ma się spotkać z gościem, który ją ukatrupił.

– Dobrze, wobec tego przyjmijmy to za punkt wyjścia – powiedział Harry.

– Super! – ucieszył się Øystein. – Czołowy ekspert w kraju przyznaje mi rację!

Harry uśmiechnął się krzywo i potarł dłonią kark. Potrzebował tego drinka, który mu został na dzisiaj. Dwa już wypił po drodze z Instytutu Medycyny Sądowej, kiedy razem z Øysteinem zrobili sobie pit stop U Schrødera.

– A skoro jestem przy głosie – ciągnął Øystein – to zastanawiam się nad jednym. Facet zabrał Susanne na spacerek po lasach Østmarka i wszystko świetnie zadziałało, tak? Zbrodnia doskonała. Czy w takim razie nie jest cholernie dziwne, że tę drugą, Bertine, zabiera na Grefsenkollen? Never change a winning team. Czy to nie dotyczy także morderców?

– Owszem, seryjnych zabójców tak. Chyba że powtarzanie sposobu działania oznacza zwiększone ryzyko. A zaginięcie Susanne w okolicy Skullerud już zostało zgłoszone, więc roiło się tam od policji i grup przeczesujących teren.

– Ale ci ludzie wracali do domu, jak tylko się ściemniło – zauważył Øystein. – Nikt przecież nie przypuszczał, że zniknie jeszcze jedna dziewczyna. Nie, facet niewiele ryzykował, zabierając ją do Skullerud. Najwyraźniej dobrze znał okolicę.

– No cóż – powiedział Aune. – Może po prostu Bertine zgodziła się pójść z nim na spacer, ale uparła się na Grefsenkollen?

– Z jej domu na Grefsenkollen jest dalej niż do Skullerud. A w raportach zapisano, że nikt, z kim rozmawiała policja, nie sądził, żeby Bertine kiedykolwiek była na Grefsenkollen.

– Może słyszała o tym miejscu coś dobrego – podsunął Aune. – Stamtąd przynajmniej są ładne widoki. W przeciwieństwie do Østmarka, gdzie jest tylko las i niewysokie pagórki.

Øystein zamyślony pokiwał głową.

– No okej, ale jeszcze jednej rzeczy nie rozumiem.

Zwracał się do Aunego, ponieważ Harry wyglądał tak, jakby się wypisał – siedział z ręką na czole i gapił się w ścianę.

– Odległość, jaką Bertine mogła przebyć od samochodu, jest ograniczona, no nie? Policja szuka jej już od dwóch tygodni, a ja w tej sytuacji nie kumam, dlaczego psy jej nie znajdują. Wiecie, jak jest z psami i zapachami? To znaczy, jaki świetny mają węch? W jednym z tych raportów Trulsa jest cynk od jakiegoś wieśniaka z Wenggården w Østmarka. Tydzień temu facet zgłosił, że jego stary buldog inwalida leżał w chacie i szczekał tak, jak szczeka tylko wtedy, kiedy w pobliżu jest truchło. Kurde, znam Østmarka i wiem, że to gospodarstwo leży sześć kilometrów od miejsca, gdzie znaleźli Susanne Andersen. Jeżeli pies może wyniuchać trupa z odległości sześciu kilometrów, to dlaczego nie znajdują Bertine...

– Nie może.

Wszyscy czterej odwrócili się w stronę, z której dobiegł głos.

Jibran Sethi opuścił książkę.

– Gdyby to był bloodhound albo owczarek niemiecki, to owszem, ale buldog jak na psa ma bardzo słaby węch. W zasadzie jest na samym końcu listy. Tak to już bywa, kiedy hodujemy zwierzę przeznaczone do walki z bykami, a nie do polowania, do czego przeznaczyła je natura. – Znów sięgnął po książkę. – To perwersja, ale właśnie tak robimy.

– Dzięki, Jibran – powiedział Aune.

Weterynarz tylko krótko skinął głową.

– Może on zakopał Bertine – zasugerował Truls.

– Albo wrzucił ją do któregoś jeziorka – dodał Øystein.

Harry dalej siedział wpatrzony w Sethiego. Głosy trzech pozostałych zdawały się blaknąć. A jemu zjeżyły się włosy na karku.

– Harry!

– Co?

To odezwał się Aune.

– Pytaliśmy, co o tym myślisz.

– Myślę, że... Øystein, masz numer telefonu do tego wieśniaka, który zadzwonił z cynkiem?

– Nie mam. Ale skoro znamy nazwisko i wiemy, że to Wenggården, to go znajdziemy.

– Słucham, tu Gabriel Weng.

– Dzień dobry, panie Weng. Mówi Hansen, Komenda Okręgowa Policji w Oslo. Mam krótkie pytanie w związku z pańskim zgłoszeniem w ubiegłym tygodniu. Mówił pan, że pański pies szczekał, więc przypuszczał pan, że w pobliżu może leżeć truchło zwierzęcia albo zwłoki.

– No tak, zdarza się, że gdzieś tu w lesie leżą martwe zwierzęta i gniją. Ale czytałem o tej zaginionej dziewczynie, a Skullerud nie jest tak daleko, więc kiedy psisko zaczęło to swoje specjalne szczekanie i wycie, zadzwoniłem do was. Tylko że nie było żadnego odzewu.

– Przykro mi, w takich sprawach zweryfikowanie wszystkich informacji wymaga czasu.

– No tak, zresztą znaleźliście tę biedaczkę.

– Chciałbym wiedzieć – ciągnął Harry – czy pański pies nadal tak szczeka?

Nie było odpowiedzi, ale Harry wciąż słyszał oddech wieśniaka.

– Panie Weng?

– Mówił pan, że nazywa się Hansen?

– Zgadza się, Hans Hansen. Sierżant.

Kolejna pauza.

– Tak.

– Tak?

– Tak, ciągle tak szczeka.

– Dziękuję, panie Weng.

Sung-min Larsen obserwował Kasparova, który stanął pod ścianą domu i podniósł tylną łapę. Sung-min już trzymał w pogotowiu plastikową torebkę, aby przechodnie zrozumieli, że oczywiście nie zamierza pozwolić, by psia kupa zaległa wśród eleganckich kamienic na Nobels gate.

Rozmyślał. Nie tyle o usuniętym mózgu, ile o fakcie, że skórę na głowie z powrotem zszyto. Czy oznaczało to, że człowiek, który usunął mózg, próbował to ukryć? Łowcy trofeów zwykle nie przejmują się takimi rzeczami, a zabójca musi chyba rozumieć, że to zostanie odkryte, więc po co się tak trudzić? Czyżby chciał po sobie posprzątać? Zabójca pedant? Nie było to tak wyszukane, jak być może brzmiało, bo cała reszta miejsca zdarzenia została oczyszczona ze śladów, które zazwyczaj udawało się znaleźć. Z wyjątkiem zaschniętej śliny na piersi ofiary. Tu zabójca popełnił błąd. Co prawda niektórzy z grupy śledczej uważali, że ślina musi pochodzić od kogoś innego niż sprawca, ponieważ Susanne znaleziono ubraną od pasa w górę. Ale skoro zabójca był na tyle porządny, żeby z powrotem przyszyć skalp, to dlaczego również nie ubrał zwłok?

Zadzwonił telefon. Sung-min ze zdumieniem popatrzył na wyświetlacz, zanim odebrał.

– Harry Hole? Dawno się nie słyszeliśmy.

– To prawda, czas płynie.

– Czytałem w „VG”, że pracujemy nad tą samą sprawą.

– Owszem. Próbowałem kilka razy dzwonić do Katrine, ale ma wyłączony telefon.

– Może kładzie małego spać?

– Możliwe. Tylko mam do przekazania cynk i pomyślałem, że chcielibyście się o tym dowiedzieć jak najszybciej.

– Tak?

– Właśnie rozmawiałem z pewnym wieśniakiem, który mieszka gdzieś pod lasem i twierdzi, że jego buldog potrafi wyczuć zapach truchła w pobliżu. Albo ludzkich zwłok.

– Buldog? Czyli to musi być gdzieś blisko, bo buldogi mają...

– Słaby węch. Tyle zrozumiałem.

– Zgadza się. Truchło w lesie nie jest niczym niezwykłym, więc skoro dzwonisz, zakładam, że to na Grefsenkollen.

– Nie. W Østmarka. Jakieś sześć–siedem kilometrów od miejsca, gdzie znaleziono Susanne. Oczywiście to nie musi nic znaczyć, bo tak jak mówisz, w lesie cały czas zdychają duże zwierzęta. Ale chciałem ci przekazać tę informację, skoro nie możecie znaleźć Bertine na Grefsenkollen.

– Oki doki – powiedział Sung-min. – Zgłoszę to. Dzięki za cynk, Harry.

– Nie ma za co. Wyślę ci zaraz numer telefonu do tego wieśniaka.

Sung-min się rozłączył i zadał sobie pytanie, czy udało mu się mówić tak spokojnie, jak się starał. Serce waliło mu jak zwariowany bęben, a myśli i konkluzje – które z pewnością musiały gdzieś się czaić, ale dopiero teraz zyskały przestrzeń – przetaczały się przez jego głowę jak lawina. Czy możliwe, że sprawca zabił Bertine na znajomym terytorium, tym samym, na którym uśmiercił już Susanne? Oczywiście taka myśl przyszła mu do głowy już wcześniej, ale wówczas w postaci pytania, dlaczego sprawca tego nie zrobił. Odpowiedź wydawała się oczywista. Wszystko wskazywało na to, że zabójca umówił się z dziewczynami, bo inaczej po co miałyby samiutkie udawać się do miejsc, w których nigdy wcześniej nie były. A ponieważ media rozpisywały się o Susanne, zaginionej w rejonie Skullerud, sprawca umówił się z Bertine w zupełnie innym rejonie miasta, żeby niczego się nie domyśliła. Sung-min natomiast nie pomyślał – a przynajmniej nie przemyślał tego do końca – że owszem, zabójca mógł się umówić z Bertine na spotkanie na Grefsenkollen i następnie zabrać ją samochodem do Skullerud. Przed odjazdem pewnie ją nakłonił albo zmusił groźbami do zostawienia telefonu w aucie na Grefsenkollen. Może odmalował przed nią romantyczny obraz, coś w rodzaju „będziemy zupełnie sami, nieosiągalni dla nikogo”. Tak, Sung-min czuł, że to pasuje. Spojrzał na zegarek. Dwudziesta pierwsza trzydzieści. To musi zaczekać do jutra. A może...? No ale przecież to tylko cynk. Ktoś, kto będzie pędził na każdy

sygnał alarmowy w sprawie zabójstwa, szybko się wykończy. Ale mimo wszystko... Nie tylko jego intuicja podpowiadała mu, że trochę za dużo kawałków układanki powpadało na swoje miejsca. Przecież dzwonił Harry Hole we własnej osobie. Ponieważ uważał tak samo. Tak, Harry wysnuł identyczne wnioski jak on teraz.

Sung-min spojrzał na Kasparova. Przejął emerytowanego psa policyjnego po poprzednim właścicielu, którego pies przeżył. Kasparov od dwóch lat miał kłopoty z biodrami i nie lubił dalekich spacerów po zbyt stromym terenie. Ale w przeciwieństwie do buldoga labrador retriever to jedna z ras obdarzonych najlepszym węchem w psim świecie.

Zawibrował telefon. Sung-min spojrzał na wyświetlacz. SMS z numerem telefonu i nazwiskiem Weng.

Wpół do dziesiątej. Gdyby zaraz wsiedli do samochodu, powinni tam dotrzeć w ciągu pół godziny.

– Chodź, Kasparov! – Pociągnął za smycz. Adrenalina sprawiła, że dłonie już mu się spociły.

– Halo! – zagrzmiał jakiś głos z ciemnego balkonu, a dźwięk odbił się echem od modnych fasad. – W tym kraju sprzątamy gówna po sobie!

18

Wtorek. Pasożyt

– Pasożyty. – Prim podniósł widelec do ust. – To przez nie umieramy i dzięki nim żyjemy. – Przeżuł. Danie miało gąbczastą konsystencję i mimo wszystkich przypraw nie było zbyt smaczne. Uniósł kieliszek z czerwonym winem w stronę swego gościa, po czym wypił łyk i ciężko przełknął. Przyłożył dłoń płasko do piersi i odczekał, aż kęs przesunie się przez przełyk, zanim podjął: – I wszyscy jesteśmy pasożytami. Ty. Ja. Oni tam. Bez żywicieli takich jak my pasożyty by umarły, ale i my umarlibyśmy bez pasożytów. Istnieją bowiem pasożyty dobre i złe. Dobre to na przykład mucha plujka, która składa jaja na zwłokach, żeby larwy mogły się z nimi raz-dwa rozprawić. – Krzywiąc się, Prim ukroił sobie kolejny kawałek, włożył do ust i przeżuł. – Gdyby ich nie było, dosłownie brodzilibyśmy w trupach. Nie, nie żartuję. To prosty rachunek. Gdyby nie mucha, w ciągu kilku miesięcy umarlibyśmy od toksycznych trupich gazów. No i są też interesujące pasożyty, które nie przynoszą ani dużego pożytku, ani zbytniej szkody. Na przykład Cymothoa exigua. Zjadająca język morska wesz.

Wstał i podszedł do akwarium.

– Ten pasożyt jest na tyle interesujący, że wrzuciłem Bossowi kilka osobników. Wesz przyczepia się do języka ryby i wysysa z niego krew aż do momentu, kiedy język ostatecznie zanika. Wówczas pasożyt przywiera do jego nasady, dalej ssie krew, rośnie i w końcu zastępuje rybie język.

Prim zanurzył rękę w wodzie i złapał rybę. Zaniósł ją na stół, nacisnął rybi pysk, zmuszając go do otwarcia, i podsunął dziewczynie pod nos.

– Widzisz ją? Widzisz tę wesz? Widzisz, że ma oczy i własną gębę? Tak?

Szybko odniósł rybę z powrotem do akwarium.

– Wesz, którą nazwałem Lisą, całkiem dobrze się sprawdza w roli języka, więc nie trzeba się aż tak użalać nad Bossem. Życie toczy się dalej, prawda? A on ma

towarzystwo. Gorzej natknąć się na złe pasożyty. Takie, których jest pełen ten tutaj...

Wskazał na dużego różowego ślimaka, którego położył na stole między nimi.

– Mieszkam tu sam, tylko z psem – powiedział Weng, podciągając dżinsy pod brzuchem.

Sung-min spojrzał na buldoga, który leżał w swoim koszyku na podłodze w kącie kuchni. Pies poruszał tylko łbem, a jedynym odgłosem, jaki z siebie wydawał, było ciężkie sapanie.

– Parę lat temu przejąłem gospodarstwo po ojcu, ale żona nie chciała przeprowadzić się do lasu, więc dalej mieszka w bloku na Manglerud.

Sung-min kiwnął głową w stronę psa.

– To suka?

– Tak. Miała zwyczaj atakowania samochodów, może brała je za byki. W każdym razie jednego się uczepiła i złamała kręgosłup. Ale ciągle ostrzega, jak ktoś idzie.

– Słyszeliśmy. I z tego, co zrozumiałem, kiedy zwietrzy jakieś martwe zwierzę.

– Tak, mówiłem o tym Hansenowi.

– Hansenowi?

– Temu policjantowi, który dzwonił.

– Ano tak, Hansenowi. Ale teraz nie szczeka.

– Nie, tylko kiedy wieje od południowego wschodu, wtedy czuje zapach. – Weng pokazał kierunek w nocnym mroku.

– Ma pan coś przeciwko temu, żebym się rozejrzał po okolicy razem ze swoim psem?

– Ma pan ze sobą psa?

– Siedzi w samochodzie. To labrador.

– Bardzo proszę.

– A więc – zaczął Prim i odczekał, aż zdobędzie jej pełną uwagę – ten ślimak wygląda niewinnie, prawda? Nawet pięknie. Jego kolor wzbudza chęć, żeby go

possać, bo kojarzy się z cukierkiem. Ale odradzam całym sercem. Widzisz: i ślimak, i jego śluz są pełne larw nicieni pasożytujących na płucach szczurów, więc definitywnie nie użyjemy go teraz jako dressingu.

Roześmiał się. Ona jak zwykle się nie śmiała, a jedynie uśmiechała.

– Gdy tylko robal trafi do twojego organizmu, zaczyna się przemieszczać wraz z krwią. A dokąd zmierza? Tutaj. – Prim postukał się palcem w czoło. – Do mózgu. Bo on uwielbia mózg. Tak, tak, rozumiem, że mózg jest bogaty w składniki odżywcze, poza tym to świetne miejsce do złożenia jaj. Ale nie jest zbyt smaczny. – Spojrzał na swój talerz i cmoknął z dezaprobatą. – A ty co o tym myślisz?

Kasparov mocno ciągnął smycz. Ścieżka dawno się skończyła. Już wcześniej w ciągu dnia zaczęło się chmurzyć, a teraz jedynym źródłem światła była kieszonkowa latarka Sung-mina. Snop światła zatrzymał się na ścianie pni drzew i nisko zwisających gałęzi, każąc Sung-minowi się schylić. Nie wiedział już, gdzie są ani jak daleko zaszli. Słyszał dyszenie Kasparova gdzieś pod dywanem paproci, ale nie widział psa i miał wrażenie, że w coraz głębszy mrok wciąga go jakaś niewidzialna siła. To mogło zaczekać. Naprawdę mogło. Więc dlaczego? Ponieważ chciał, aby wyłącznie jemu przypisano chwałę za odnalezienie Bertine? Nie, nie, aż tak banalne to chyba nie było. Po prostu zawsze miał to w sobie: kiedy się nad czymś zastanawiał, musiał to wiedzieć od razu, czekanie było nieznośne. Ale teraz żałował. Nie chodziło tylko o ryzyko zniszczenia śladów w miejscu zdarzenia, jeśli po ciemku potknie się o zwłoki. Chodziło o to, że się bał. Tak, mógł się do tego przyznać. Do tego, że akurat w tej chwili był małym, bojącym się ciemności chłopcem, który przyjechał do Norwegii i nie wiedział, czego się boi, ale miał uczucie, że wiedzą to inni – rodzice adopcyjni, nauczyciele, dzieciaki z ulicy. Wiedzą coś, czego on sam nie wiedział o sobie, o swojej przeszłości, o tym, co się wydarzyło. Rodzice adopcyjni nie mieli do opowiedzenia żadnej dramatycznej historii o jego rodzicach biologicznych ani o tym, dlaczego został oddany do adopcji. Jednak od tego dnia koniecznie musiał wiedzieć. Wiedzieć wszystko. Wiedzieć to, czego oni, ci inni, nie wiedzieli.

Smycz zrobiła się luźna. Kasparov się zatrzymał.

Sung-min poczuł, jak bije mu serce, kiedy kierował latarkę w dół, rozgarniając liście paproci.

Pies stał z nosem przy ziemi, a światło ujawniło to, co obwąchiwał.

Sung-min przykucnął i podniósł to coś. W pierwszej chwili wziął przedmiot za pustą torebkę po chipsach, ale moment później to rozpoznał i zrozumiał, dlaczego Kasparov się zatrzymał. To była torebka po proszku przeciwpasożytniczym Hillman Pets, który Sung-min kupował w sklepie z artykułami dla zwierząt, kiedy Kasparov miał robaki. Do proszku dodawany był składnik o smaku bardzo lubianym przez psy – ledwie Kasparov zobaczył torebkę, merdał ogonem z taką siłą, że Sung-minowi wydawało się, iż zaraz oderwie się od ziemi.

Teraz podniósł torebkę, zgniótł ją i schował do kieszeni.

– Kasparov, wracamy do domu? Na kolację?

Pies spojrzał na niego tak, jakby zrozumiał słowa i stwierdził, że jego pan zwariował. Odwrócił się, Sung-min poczuł mocne szarpnięcie i wiedział, że to nie jest żadna prośba. Mieli wejść jeszcze głębiej, tam dokąd już nie chciał iść.

– Najbardziej zaskakujące jest to, że kiedy któryś z tych pasożytów dotrze do twojego mózgu, zaczyna przejmować nad nim władzę – powiedział Prim. – Sterować twoimi myślami. Twoimi żądzami. Każe ci robić to, co niezbędne, aby jego cykl życiowy mógł być kontynuowany. Stajesz się jego posłusznym żołnierzem, pójdziesz na śmierć, jeśli takie będą wymagania. – Westchnął. – I bardzo często niestety bywa to konieczne. – Uniósł brwi. – Aha, uważasz, że to coś w rodzaju historii o duchach, jakieś science fiction? No to wiedz, że niektóre z tych pasożytów wcale nie należą do rzadkości. Większość zainfekowanych żyje i umiera, nie mając świadomości obecności pasożyta, zapewne tak jak w przypadku Bossa i Lisy. Wydaje nam się, że ciężko harujemy, poświęcając życie dla rodziny, dla kraju, dla własnej chwały. W rzeczywistości robimy to dla pasożyta. Dla krwiopijcy, który ma swoją główną kwaterę w naszym mózgu i o wszystkim decyduje.

Prim dolał czerwonego wina do obu kieliszków.

– Mój ojczym oskarżał moją matkę o bycie takim pasożytem. Mówił, że zaczęła odmawiać przyjmowania ról, ponieważ on miał pieniądze, więc mogła siedzieć w domu i je przepijać. To oczywiście nieprawda. Po pierwsze, wcale nie odrzucała ról, tylko po prostu przestano je matce proponować. Ponieważ siedziała w domu, piła i nie potrafiła się nauczyć swoich kwestii. Po drugie, ojczym był bardzo

bogatym człowiekiem, więc z całą pewnością nigdy nie zdołałaby przepić wszystkich jego pieniędzy. Poza tym to on był pasożytem, to on siedział w mózgu mojej matki i sprawiał, że widziała rzeczy tak, jak sobie tego życzył. Dlatego nie dostrzegała, co robił ze mną. Ja przecież byłem tylko dzieckiem i myślałem, że ojciec ma do tego prawo, że może wymagać takich rzeczy od syna. Nie, nie wierzyłem, że wszyscy sześciolatkowie są zmuszani do leżenia nago z ojcem i zaspokajania go pod groźbą śmierci matki, jeśli pisną choćby słówko o tym, co robią. Ale się bałem. Dlatego nic nie mówiłem, chociaż usiłowałem pokazać matce, co się dzieje. W szkole zawsze się ze mnie naśmiewano z powodu zębów i... no tak, pewnie przez sposób, w jaki zachowuje się ofiara molestowania. Tak przypuszczam. Przezwali mnie Szczur. Ale zacząłem też kłamać i kraść. Wagarowałem, uciekałem z domu i brałem pieniądze od mężczyzn za robienie im loda w publicznych toaletach. Jednego obrabowałem. Krótko mówiąc, ojczym tkwił w naszych mózgach, zarówno mojej matki, jak i moim, niszcząc nas kawałek po kawałku. À propos... – Prim nadział na widelec ostatni kawałek z talerza. Westchnął. – Ale teraz już koniec z tym, Bertine. – Obrócił widelec, przyglądając się bladoróżowemu skrawkowi. – Teraz to ja siedzę w mózgu i wydaję polecenia.

***

Sung-min musiał biec, żeby dotrzymać kroku Kasparovowi, który ciągnął smycz jeszcze mocniej. Z gardła psa wydobywał się charkot, jakby zwierzę próbowało pozbyć się czegoś, co mu tam utkwiło.

Jednocześnie Sung-min usiłował wykonać ćwiczenie umysłowe, którego nauczył się jako śledczy. Kiedy osiągał prawie całkowitą pewność w jakiejś sprawie, testował własną zdolność dedukcji, starając się postawić wszystko na głowie. Czy możliwe, że to, co uważał za niemożliwe, jest mimo wszystko możliwe? Czy możliwe, aby Bertine Bertilsen jednak żyła? Mogła przecież gdzieś uciec, wyjechać za granicę. Mogła zostać porwana, a teraz siedzieć w jakiejś piwnicy albo mieszkaniu, może nawet razem ze sprawcą.

Nagle wyszli z gęstego lasu i znaleźli się na polanie. W świetle latarki błysnęła woda. Znajdowali się nad niewielkim leśnym jeziorkiem. Kasparov chciał koniecznie do niego zejść i dalej ciągnął Sung-mina. Promień światła prześlizgnął się po brzozie, która rosła pochylona nad jeziorkiem, a Sung-minowi mignęło przed

oczami coś, co wyglądało jak gruba gałąź sięgająca aż do wody, jakby drzewo piło. Poświecił na gałąź. Która nie była gałęzią.

– Nie! – wrzasnął, szarpnięciem odsuwając Kasparova.

Jego okrzyk odbił się echem od drugiego brzegu jeziorka.

To były zwłoki.

Wisiały przewieszone na wysokości bioder przez najniższy konar brzozy.

Bose stopy unosiły się tuż nad powierzchnią wody. Kobieta – bo Sung-min od razu zorientował się, że to kobieta – tak jak Susanne była naga od pasa w dół. Brzuch również miała odsłonięty, ponieważ sukienka zadarła się od dolnej krawędzi biustonosza i zwieszała nad wodą, zasłaniając głowę, barki i ramiona. Spod skraju wywróconej na lewą stronę sukienki widoczne były jedynie nadgarstki, bo palce zanurzały się w wodzie. Sung-min miał nadzieję, że w jeziorku nie ma ryb.

Pogłaskał po łbie siedzącego nieruchomo Kasparova.

– Mądry piesek.

Wyjął telefon. Już w tamtym gospodarstwie zasięg był słaby, a teraz na wskaźniku dostrzegł tylko jedną kreskę. Ale GPS działał i Sung-min, rejestrując swoją pozycję, zarejestrował także, że się przełączył, że oddycha teraz przez usta. Wprawdzie nie cuchnęło, lecz jego mózg – po paru mniej przyjemnych doświadczeniach – zaczął tak reagować odruchowo, kiedy pojmował, że znajduje się na miejscu zbrodni. Mózg doszedł również do następującego wniosku: aby stwierdzić, że to rzeczywiście Bertine Bertilsen, Sung-min będzie musiał odpowiednio ustawić latarkę na ziemi, przytrzymać się jedną ręką pnia brzozy i wychylić się nad wodą, żeby podciągnąć sukienkę i zobaczyć twarz ofiary. Miało to swoje wady – mogło się zdarzyć, że położy dłoń na pniu w tym samym miejscu co sprawca i w ten sposób zniszczy ewentualne odciski palców.

Przypomniał sobie o tatuażu – logo Louisa Vuittona. Poświecił na nogi kobiety. W ostrym świetle wydawały się tak białe, jakby były ulepione ze śniegu, ale nie widział żadnego tatuażu. Co to mogło oznaczać?

Gdzieś w ciemności zahuczała sowa. Przynajmniej przypuszczał, że to sowa. Nie widział zewnętrznej strony lewej kostki ofiary, może tatuaż znajdował się właśnie tam? Sung-min przemieścił się wzdłuż brzegu do miejsca, z którego mógł oświetlić drugą stronę pod odpowiednim kątem.

I wtedy je zobaczył: czarne litery na śnieżnej bieli, L nałożone na V.

A więc to ona. To musiała być ona.

Znów wyjął komórkę i zadzwonił do Katrine Bratt. Wciąż nie odbierała. To, że nie odebrała telefonu od Harry'ego Hole, mogło być jej świadomą decyzją, ale gdy kieruje się śledztwem, niepisana reguła nakazuje stałą dostępność dla współpracowników.

– Rozumiesz więc, Bertine, że mam do wykonania ważne zadanie.

Prim nachylił się nad stołem i przyłożył dłoń do jej policzka.

– Przykro mi, że stałaś się jego częścią. I przepraszam, że muszę cię teraz opuścić. Że to będzie nasz ostatni wspólny wieczór. Choć wiem, że mnie chcesz, nie jesteś tą, którą kocham. A więc to powiedziałem. A ty powiedz, że mi wybaczasz. Nie? Ależ tak, bardzo cię proszę, moja miła. – Zaśmiał się cicho. – Możesz się opierać, Bertine Bertilsen, ale dobrze wiesz, że w każdej chwili jestem w stanie cię rozpalić jednym maleńkim gestem.

Zrobił to. Nie mogła go powstrzymać. I oczywiście rozpaliła się dla niego. Ostatni raz, pomyślał, unosząc kieliszek do pożegnalnego toastu.

***

Sung-minowi udało się skontaktować z technikami kryminalistycznymi, już jechali. Teraz mógł tylko przysiąść na pieńku i czekać. Swędziały go twarz i kark. Komary. Nie, meszki. Maleńkie owady, które wysysają krew nawet z większych komarów. Zgasił latarkę, żeby oszczędzać baterię, i ledwie widział ciało przed sobą.

To była ona. Oczywiście, że to ona. A jednak.

Spojrzał na zegarek, już zaczął się niecierpliwić. I gdzie się podziała Katrine? Dlaczego nie oddzwania?

Znalazł odłamaną cienką, długą gałązkę. Zapalił latarkę, ustawił ją na ziemi. Sam stanął na brzegu i zaczepił gałązką o brzeg sukienki. Uniósł go. Trochę wyżej. I jeszcze wyżej. Widział już nagie ramiona i czekał, aż zobaczy ciemne włosy. Na zdjęciach, które oglądał, były długie i rozpuszczone. Czyżby teraz miała je związane? Czy to...

Sung-min zawył, prawie zahuczał jak sowa. Po prostu stracił kontrolę nad sobą, dźwięk sam się z niego wydobywał. Gałąź wpadła do wody, a sukienka opadła, zasłaniając to, co tam było. To, czego tam nie było.

– Biedaczko – szepnął Prim. – Jesteś taka piękna, a mimo to odtrącona. To niesprawiedliwe, prawda?

Nie wyprostował jej głowy od czasu, gdy dwa wieczory temu uderzył pięścią w stół, wywołując jego drżenie, które sprawiło, że głowa nieco się przekrzywiła. Była nadziana na stojak od lampy, który umieścił przed krzesłem po drugiej stronie stołu. Kiedy po naciśnięciu guzika na leżącym na stole kablu zapaliła się sześćdziesięciowatowa żarówka umieszczona wewnątrz głowy Bertine i światło rozbłysło w oczodołach, barwiąc od środka na niebiesko zęby w otwartych ustach, ktoś pozbawiony fantazji mógłby stwierdzić, że przypomina to dynię w Halloween. Natomiast ktoś obdarzony zaledwie odrobinę większą dozą wrażliwości dostrzegłby, że cała Bertine – a przynajmniej ta jej część, która nie znajdowała się nad jeziorkiem w lasach Østmarka – rozjaśniła się, rozpromieniła z radości. Tak, mężczyzna łatwo mógł sobie wmówić, że go kocha. No i przecież Bertine naprawdę go kochała, a przynajmniej pożądała.

– Jeśli to będzie dla ciebie jakąś pociechą, to seks z tobą sprawił mi większą przyjemność niż seks z Susanne – oświadczył Prim. – Masz ładniejsze ciało i – oblizał widelec – twój mózg bardziej mi smakuje. – Lekko przechylił głowę i popatrzył na nią ze smutkiem. – Ale musiałem go zjeść ze względu na cykl. Na jajeczka. Na pasożyty. Na zemstę. Tylko w ten sposób mogę stać się kompletny. Tylko w ten sposób mogę być kochany za to, kim jestem. Wiem, wiem, to zabrzmiało przesadnie uroczyście. Ale to prawda. Być kochanym, przecież właśnie tego i tylko tego wszyscy pragniemy, prawda?

Przycisnął palec wskazujący do przełącznika. Żarówka we wnętrzu głowy zgasła i pokój znów pogrążył się w półmroku.

Prim westchnął.

– Obawiałem się, że właśnie tak to przyjmiesz.

19

Wtorek. Karylion

Katrine słuchała Sung-mina.

Kiedy opowiadał, wyobrażała sobie z zamkniętymi oczami miejsce zdarzenia. Oświadczyła, że nie musi go sama oglądać. Wyśle na miejsce swoich śledczych, a potem obejrzy zdjęcia stamtąd. I przeprosiła, że nie była dostępna pod telefonem. Wyłączyła go, kiedy kładła synka spać, i najwyraźniej dobrze się spisała z odśpiewaniem Koziołeczka, bo sama też zasnęła.

– Być może za dużo pracowałaś – powiedział Sung-min.

– Skreśl „być może”. Ale to dotyczy nas wszystkich. Zwołajmy konferencję prasową na dziesiątą jutro rano. Poproszę Instytut Medycyny Sądowej, żeby potraktowali sprawę priorytetowo.

– Świetnie, dobranoc.

– Dobranoc, Sung-min.

Katrine zakończyła połączenie, ale dalej siedziała wpatrzona w telefon.

Bertine Bertilsen nie żyła. Tak jak się spodziewali. Teraz ją znaleziono. Tak jak liczyli. Miejsce i stan, w jakim ją odkryto, potwierdzały podejrzenie, że to ten sam zabójca. Tak jak się obawiali. Bo to oznaczało, że może dojść do kolejnych zbrodni.

Zza otwartych drzwi do sypialni dobiegł ją pojedynczy szloch. Powiedziała sobie, że zaczeka, czy będą kolejne, ale nie zdołała się powstrzymać. Wstała z kuchennego krzesła i na palcach podeszła do drzwi. W pokoju panowała cisza, słychać było jedynie równy oddech śpiącego Gerta. Okłamała Sung-mina. Czytała gdzieś, że człowiek słyszy przeciętnie dwieście kłamstw każdego dnia. Większość z nich to na szczęście białe kłamstwa, takie, dzięki którym kręcą się koła społeczne. To było jedno z nich. Rzeczywiście wyłączyła telefon przed położeniem synka spać. Ale nie zasnęła. Nie chciała go włączać, ponieważ Arne miał zwyczaj dzwonić do niej później – wiedział, że jest wtedy dostępna. Oczywiście to było

miłe. Przecież chciał tylko usłyszeć, jak jej minął dzień. Posłuchać o jej drobnych radościach i frustracjach. Ostatnio – ze względu na sprawę zaginionych dziewczyn – mówiła mu głównie o frustracjach. On jednak wysłuchiwał jej cierpliwie, zadawał pytania świadczące o tym, że jest zainteresowany, zachowywał się dokładnie tak, jak powinien się zachowywać miły wspierający przyjaciel i potencjalny partner. Ale tego wieczoru nie miała na to siły. Potrzebowała spokoju. Chciała zostać tylko z własnymi myślami. Postanowiła nazajutrz zaserwować Arnemu to samo białe kłamstwo o zaśnięciu. Myślała o Harrym i o Gercie. O tym, jak to rozwiązać. Dostrzegła bowiem we wzroku Harry'ego to samo bezradne przerażenie, które widziała w oczach Bjørna, kiedy patrzyli na swojego syna. Syn Bjørna i Harry'ego. Do jakiego stopnia mogła i powinna włączyć Harry'ego w życie Gerta? Ze względu na siebie pragnęła, by ona i Gert mieli jak najmniej do czynienia z Harrym i jego życiem. Ale co z Gertem? Czy ma prawo odbierać mu jeszcze jednego ojca? Czy sama nie miała za ojca rozchwianego pijaka, którego na swój sposób kochała, i nie chciałaby, aby nie istniał w jej życiu?

Włączyła telefon z powrotem, kiedy zamierzała iść spać, z nadzieją, że nie będzie żadnych SMS-ów. Ale były. Jeden od Arnego: wyznanie miłości z rodzaju tych, których próg młodsze pokolenie najwyraźniej przekraczało bez problemu.

Katrine Bratt, jesteś Kobietą, a ja Mężczyzną, który Cię kocha. Dobranoc.

Zobaczyła, że SMS został wysłany niedawno, a Arne wcale nie usiłował do niej dzwonić w czasie, kiedy aparat był wyłączony, przypuszczalnie więc miał jakieś zajęcie.

Druga wiadomość była od Sung-mina, utrzymana w stylu dużo jej bliższym:

Bertine znaleziona. Zadzwoń.

Katrine poszła do łazienki i sięgnęła po szczoteczkę do zębów. Przejrzała się w lustrze. Jesteś Kobietą. Doprawdy? Ale okej, w dobry dzień takie stwierdzenie może dałoby się obronić.

Wycisnęła pastę z tubki. Jej myśli wróciły do Bertine Bertilsen i Susanne Andersen. Oraz do tej – na razie bezimiennej – która może się okazać następną

w szeregu.

Sung-min miękką szczoteczką czyścił tweedową kurtkę. Była to nieprzemakalna kurtka myśliwska, shooting jacket, marki Alan Paine; dostał ją od Chrisa na Gwiazdkę. Po rozmowie z Katrine wysłał mu SMS-a na dobranoc. Początkowo irytowało go, że to zawsze on się odzywał, a Chris tylko odpowiadał. Ale teraz już się z tym pogodził, Chris po prostu taki był. Musiał wierzyć, że ma przewagę w związku. Sung-min zdawał sobie jednak sprawę, że jeśli tylko któregoś wieczoru nie wyśle SMS-a, to Chris następnego dnia będzie dramatyzował przez telefon i dopytywał się, czy coś jest nie tak, czy Sung-min spotkał innego albo może mu się znudziło.

Obserwował, jak świerkowe igły spadają na podłogę. Ziewnął. Wiedział, że zaśnie. Że nie będzie miał koszmarów wywołanych przeżyciami tego wieczoru. Nigdy ich nie miał. Nie bardzo się orientował, co to mówiło o jego osobowości. Pewien kolega z KRIPOS twierdził, że ta zdolność odcinania się świadczy o braku empatii, i porównał go do Harry'ego Hole, który, zdaje się, cierpiał na coś, co nazywano parosmią, zaburzenie postrzegania zapachów, a ten defekt sprawiał, że jego mózg nie wychwytywał trupiego odoru. Dzięki temu Hole pozostawał niewzruszony w miejscach zbrodni, chociaż innym żołądki wywracało na drugą stronę. Ale Sung-min nie uważał, by miał jakikolwiek defekt. Uważał jedynie, że cechuje go zdrowa zdolność do kompartmentalizacji, oddzielania świata domowego od zawodowego. Zaczął szczotkować nakładane kieszenie kurtki i poczuł, że w jednej coś jest. To ta pusta torebka Hillman Pets. Już chciał ją wyrzucić, gdy przypomniał sobie, że kiedy Kasparov znów miał robaki, weterynarz polecił inną kurację antypasożytniczą, ponieważ produkt Hillman Pets zawierał substancję, której importu i sprzedaży w Norwegii zakazano. To musiało być co najmniej cztery lata temu. Sung-min zaczął obracać torebkę, aż znalazł to, czego szukał: datę produkcji i przydatności do użycia.

Opakowanie zostało wyprodukowane w ubiegłym roku.

Sung-min znów obrócił je w palcach. I co z tego? Ktoś kupił ten środek za granicą i przywiózł do domu, nawet bez świadomości, że postępuje nielegalnie.

Zaczął się zastanawiać, czy nie wyrzucić tej torebki. Leżała kilkaset metrów od miejsca znalezienia zwłok, a było ekstremalnie mało prawdopodobne, aby zabójca miał psa. Ale z łamaniem prawa często bywa tak, że jedna rzecz pociąga za sobą

drugą. Ktoś, kto łamie jedne zasady, może łamać też inne. Sadystyczny seryjny morderca zaczyna od uśmiercania małych zwierząt, takich jak myszy i szczury. Podkłada ogień, wywołując nieduże pożary. Potem dręczy i zabija nieco większe stworzenia. Podpala niezamieszkane domy...

Sung-min złożył torebkę.

– W pizdę diabła! – wrzasnęła Mona Daa, wpatrując się w telefon.

– O co chodzi? – spytał Anders, który mył zęby w łazience przy otwartych drzwiach.

– „Dagbladet”!

– Nie musisz tak krzyczeć. A diabeł nie ma...

– ...pizdy. To ty tak twierdzisz, męski szowinisto! Våge pisze, że Bertine Bertilsen znaleziono zamordowaną. W okolicy Wenggården w Østmarka, zaledwie kilka kilometrów od miejsca, gdzie odkryli ciało Susanne.

– O cholera!

– No właśnie, o cholera! Niech się ci z „Dagbladet” pierdolą w piekle! Dlaczego oni mają tę informację, a „VG” nie?

– W piekle raczej...

– Nikt się nie pierdoli? A ja uważam, że właśnie tak! Wierzę, że tych, którzy tam są, pierdoli się w dupę, w nos i w uszy. I uważają, że jest tylko jedna rzecz gorsza od tego, a mianowicie pracować w „VG” i zostać wyruchanym przez Terry’ego Våge! W pizdę diabła!

Rzuciła telefon na łóżko. Anders położył się pod kołdrą i przysunął do Mony.

– Mówiłem ci już, że trochę mnie podnieca, kiedy...

Trzepnęła go ręką.

– Nie jestem w nastroju, Anders.

– ...kiedy nie jesteś w nastroju.

Odepchnęła jego natrętną dłoń, ale lekko się uśmiechnęła, znów sięgając po telefon. Zaczęła czytać od początku. Våge przynajmniej nie znał szczegółów z miejsca znalezienia zwłok, raczej więc nie rozmawiał z kimś, kto tam był. Ale jak mógł się o tym dowiedzieć tak prędko? Czyżby miał nielegalny dostęp do policyjnego radia? Czyżby to było takie proste? Domyślił się, co się dzieje,

z krótkich, na poły zaszyfrowanych meldunków, jakimi na ogół porozumiewali się policjanci, wiedząc, że zawsze może ich podsłuchiwać ktoś niepowołany, a potem jedynie trochę ubarwił to, co usłyszał, tworząc odpowiednią mieszankę faktów i fikcji, która mogła ujść za prawdziwe dziennikarstwo? W każdym razie do tej pory uchodziła.

– Ktoś zaproponował, żebym cię poprosiła o trochę poufnych informacji – powiedziała.

– Tak? A wyjaśniłaś temu komuś, że niestety nie biorę udziału w tym śledztwie, ale że można mnie kupić za wyuzdany seks?

– Przestań, Anders! To moja praca.

– Dlatego uważasz, że mam ci za darmo udzielać informacji, nadstawiając karku?

– Nie! Chodzi mi tylko o to, że... to takie kurewsko niesprawiedliwe! – Mona założyła ręce na piersi. – Våge ma kogoś, kto go karmi, a ja tu siedzę i... umieram z głodu.

– Niesprawiedliwe jest to – zaczął Anders, siadając w łóżku; Mona zauważyła, że jego rozbawienie minęło – że dziewczyny nie mogą w tym mieście wychodzić, nie ryzykując, że zostaną zgwałcone i zabite. Niesprawiedliwe jest to, że Bertine Bertilsen leży martwa gdzieś w Østmarka, natomiast tu są dwie osoby, które uważają, że świat jest niesprawiedliwy, bo inny dziennikarz opisał to jako pierwszy albo dlatego że wykrywalność w wydziale spada.

Mona przełknęła ślinę.

I kiwnęła głową.

Anders miał rację. Oczywiście, że miał rację. Znów przełknęła ślinę. Usiłowała przełknąć też cisnące się na usta pytanie: „Czy nie mógłbyś do kogoś zadzwonić i spytać, jak wyglądało miejsce, w którym znaleźli zwłoki?”.

Helene Røed leżała w łóżku i patrzyła w sufit.

Markus zażyczył sobie, żeby mieli łóżko w kształcie kropli, trzy metry na dwa i pół w najszerszym miejscu. Przeczytał bowiem gdzieś, że to od kropli pochodzimy, że wyszliśmy z wody, więc podświadomie pragniemy tam wrócić, dlatego kształt kropli przynosi harmonię i sprawia, że sen jest głębszy.

Udało jej się nie wyśmiać tego pomysłu, ale przeforsowała prostokątne luksusowe łóżko, szerokie na metr osiemdziesiąt, a długie na dwa dziesięć. Więcej niż wystarczające dla dwóch osób. Zdecydowanie za duże dla jednej.

Markus nocował w mieszkaniu na Frogner. Ostatnio było tak prawie codziennie. Przynajmniej sądziła, że tam nocuje. Co prawda nie tęskniła za jego obecnością w łóżku, która od dawna nie była już interesująca ani nawet pożądana. Z jego kichaniem i pociąganiem nosem tylko się pogorszyło, poza tym każdej nocy co najmniej cztery razy wstawał, żeby się wysikać – przerost prostaty, niekoniecznie rak, po prostu coś, co dotyka ponad połowę mężczyzn powyżej sześćdziesiątego roku życia. I zapewne z tym również miało być tylko gorzej.

Nie, nie tęskniła za Markusem, ale tęskniła za kimś. Nie wiedziała za kim, tego wieczoru jednak ta tęsknota była wyjątkowo dojmująca. Musiał przecież istnieć również ktoś dla niej, ktoś, kto by ją kochał i komu mogłaby się odwzajemnić uczuciem. No bo przecież to takie proste, prawda? Czy tylko tak jej się wydaje?

Przekręciła się na bok. Od wczorajszego wieczoru dokuczały jej mdłości, czuła się lekko chora. Wymiotowała i miała trochę gorączki. Zrobiła test na wirusa, ale wyszedł negatywny.

Wyjrzała przez okno na tył nowo wybudowanego Muzeum Muncha. Nikt z tych, którzy zarezerwowali mieszkania w Oslobukta, nie przypuszczał, że ten budynek będzie taki masywny i brzydki. Ludzi zwiodły wizualizacje, na których muzeum miało fasadę ze szkła i było pokazywane z boku, nic więc nie wskazywało na to, że będzie wyglądać jak Mur na północy w Grze o tron. Ale tak już jest, rzeczy okazują się inne, niż obiecywano lub się spodziewano. Trzeba samemu sobie dziękować za to, że się chciało wszystkich wyprzedzić. Teraz budynek rzucał na nich cień i było już za późno.

Czując kolejną falę mdłości, zerwała się z łóżka. Łazienka znajdowała się w drugim końcu pokoju, a mimo to było do niej tak daleko! Mieszkanie Markusa na Frogner Helene odwiedziła tylko raz, było o wiele mniejsze, ale wolałaby mieszkać tam. Razem z... kimś. W ostatniej chwili zdążyła nachylić się nad sedesem, a żołądek opróżnił się ze swojej zawartości.

Harry siedział przy barze w The Thief, kiedy przyszedł SMS:

Dzięki za cynk. Pozdrawiam, Sung-min.

Harry już czytał „Dagbladet”. Tylko ta gazeta o tym pisała, co niezbicie dowodziło, że komunikatu prasowego jeszcze nie wydano, a ten dziennikarz, Terry Våge, ma jakiegoś informatora w policji. Ponieważ nie wchodziło w grę, aby przeciek był zagraniem taktycznym ze strony policji, oznaczało to, że istniała jakaś osoba – lub osoby – która brała pieniądze bądź przyjmowała inne korzyści za informowanie Vågego. Taki proceder uprawiano powszechniej, niż się ludziom wydawało. Jemu też swego czasu kilkukrotnie dziennikarze proponowali pieniądze w zamian za informacje. Podobne transakcje rzadko ujawniano, ponieważ dziennikarze nigdy nie zamieszczali czegoś, co mogło wskazywać na informatora – przecież tym samym podcięliby gałąź, na której siedziały obie strony. Harry jednak czytał już większość artykułów napisanych w związku z tą sprawą i coś mu mówiło, że ten Våge jest trochę zbyt łakomy, a to prędzej czy później obróci się przeciwko niemu. To znaczy Våge wyjdzie z tego bez szwanku, ba, wręcz z dziennikarskim honorem. Gorszy będzie los informatora. Ale informator najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy, na co się naraża, skoro wciąż relacjonuje wszystko Vågemu.

– Jeszcze jeden? – Barman spojrzał na Harry’ego, właściwie trzymał już butelkę przechyloną nad pustą szklanką po whisky.

Harry odchrząknął. Raz. Dwa razy.

W scenariuszu było „Owszem, poproszę”. W scenariuszu tego kiepskiego filmu, w którym grał już tyle razy jedyną rolę, jaką w istocie potrafił zagrać.

I nagle barman – jakby dostrzegł we wzroku Harry’ego błaganie o litość – odwrócił się do klienta, który machał na niego z drugiego końca baru, zabrał butelkę i odszedł.

W ciemności rozległy się dźwięki karylionu z ratusza. Wkrótce nadejdzie północ i zostanie sześć dni plus wynosząca dziewięć godzin różnica czasu z Los Angeles. Niedużo. No ale znaleźli Bertine. A odnalezienie zwłok oznacza nowe ślady i możliwość decydującego przełomu. Musiał tak myśleć. Pozytywnie. Nie leżało to w jego naturze. Zwłaszcza tak nierealistycznie pozytywnie, jak wymagała tego sytuacja. Poczucie beznadziejności i apatia nie były tym, czego akurat teraz potrzebował. Nie potrzebowała ich Lucille.

Kiedy Harry opuścił bar i wyszedł na ciemny korytarz, zauważył na jego końcu światło, jak w tunelu. Gdy się przybliżył, zobaczył, że światło pada z otwartej windy, a ktoś stoi jedną nogą na zewnątrz, przytrzymując drzwi. Jakby na niego czekał. Albo na kogoś innego, bo przecież stał tam już, zanim Harry ukazał się w korytarzu.

– Proszę jechać – zawołał Harry i dał jeszcze znać gestem. – Zejdę po schodach.

Mężczyzna cofnął się do windy i cały znalazł się w świetle. Zanim drzwi się zamknęły, Harry zdążył jeszcze dojrzeć koloratkę, ale twarzy nie widział.

Kiedy wszedł do swojego pokoju, poczuł, że jest mokry od potu. Odwiesił garnitur i położył się na łóżku. Znów próbował odsunąć od siebie myśl o Lucille. Postanowił, że tej nocy przyśni mu się piękny sen o Rakel. Taki z czasów, kiedy mieszkali razem i co wieczór razem kładli się spać. Z czasów, kiedy chodził po wodzie, kiedy chodził po lodzie, grubym i solidnym, zawsze nasłuchując trzasków, zawsze wypatrując szczelin, lecz również umiejąc żyć chwilą. Oboje nią żyli. Jakby wiedzieli, że dany im wspólny czas wkrótce dobiegnie końca. Nie, nie żyli tak, jakby każdy dzień był ostatni, lecz tak, jakby był pierwszy, jakby odkrywali się nawzajem ciągle na nowo. Czy przesadzał? Upiększał wspomnienia? Być może, ale co z tego? Co dobrego kiedykolwiek przyniosło mu realistyczne patrzenie na świat?

Zamknął oczy. Próbował ją zobaczyć, jej złotą skórę na tle białego prześcieradła. Ale widział tylko blade ciało w kałuży krwi na podłodze. I wpatrzonego w siebie Bjørna Holma w samochodzie, podczas gdy na tylnym siedzeniu płakało dziecko. Znów otworzył oczy. Naprawdę, po co mu realizm?

Telefon znów zawibrował. Tym razem SMS był od Alexandry.

Analizę DNA będę miała gotową na poniedziałek. Spa i kolacja w sobotę bardzo by mi pasowały. Tercer Acto to dobra restauracja.

20

Środa

– No to sprawa powinna być jasna. – Aune odłożył kopię raportu policyjnego na kołdrę. – Wszystko tutaj wygląda klasycznie. Mamy do czynienia z zabójstwem na tle seksualnym dokonanym przez sprawcę, który najprawdopodobniej znów zabije, jeśli nie zostanie powstrzymany.

Trzej pozostali zebrani wokół jego łóżka pokiwali głowami, wciąż zatopieni w lekturze swoich egzemplarzy.

Harry skończył czytać jako pierwszy. Zmrużył oczy w ostrym świetle porannego słońca.

Następny z tekstem uporał się Øystein i pozwolił, żeby ciemne okulary zsunęły mu się z czoła na oczy.

– No dalej, Berntsen! – rzucił. – Musiałeś to czytać już wcześniej.

Truls zachrumkał w odpowiedzi i odłożył wydruk.

– A co zrobimy, jeśli to szukanie igły w stogu siana? – spytał. – Zamykamy cały ten kram, a resztę zostawiamy Bratt i Larsenowi?

– Jeszcze nie – odparł Harry. – To w zasadzie niczego nie zmienia, przecież spodziewaliśmy się tego, że Bertine została zamordowana w podobny sposób jak Susanne.

– Ale musimy być szczerzy i powiedzieć sobie, że to wbrew twojej intuicji, która podpowiada, że to racjonalnie myślący morderca, kierujący się racjonalnym motywem – zauważył Aune. – Nie trzeba ucinać głowy ofierze ani wyjmować mózgu, żeby skłonić policję do myślenia, że to zabójstwo na tle seksualnym z przypadkowo dobranymi ofiarami. Istnieją sposoby okaleczania niewymagające aż tyle pracy, a wywołujące mniej lub bardziej podobne wrażenie sprawcy niezwiązanego z ofiarami.

– Mhm.

– Przestań mruczeć, Harry. I słuchaj. Zabójca spędził na miejscu zbrodni dużo czasu, a tym samym ponosił znacznie większe ryzyko, niżby musiał, gdyby celem było zwyczajne wprowadzenie w błąd. Jego trofeum to mózg. I możemy tu zaobserwować klasyczny proces uczenia się: tym razem odcina ofierze całą głowę i zabiera ją ze sobą, zamiast piłować i zszywać w miejscu zdarzenia. Harry, to brzmi, wygląda i pachnie jak rytualne zabójstwo z całym rejestrem seksualnych pół- i ćwierćtonów, a zatem jest właśnie tym.

Harry z namysłem kiwnął głową. Odwrócił się do Øysteina, który krzyknął: „Hej!”, kiedy Harry ściągnął mu z nosa okulary i sam je założył.

– Nie chciałem tego mówić, ale zwinąłeś te okulary mnie – oznajmił. – Zostawiłem je w biurze w Jealousy po tym wieczorze power popu, kiedy nie chciałeś puszczać R.E.M.

– What? Mieliśmy przecież grać klasyczny power pop, a te okulary to znalezione, nie kradzione.

– W szufladzie?

– Dzieci... – przerwał im Aune.

Øystein już wyciągał rękę po okulary, ale Harry był szybszy i odchylił głowę.

– Spokojnie, Øystein, dostaniesz je później z powrotem. A teraz przekaż nam wreszcie te nowiny, o których wspomniałeś.

Øystein westchnął.

– Okej. Rozmawiałem z kumplami, którzy sprzedają kokę...

– Taksówkarze handlują kokainą? – zdumiał się Aune.

Popatrzył na Øysteina, który odwzajemnił spojrzenie. W końcu psycholog przeniósł wzrok na Harry’ego.

– Czy ty mi czegoś nie powiedziałeś?

– Owszem – przyznał Harry. – Mów dalej, Øystein.

– Dobra. No i znalazłem stałego dostawcę Røeda. To ten gość, którego nazywamy Al. Rzeczywiście był na tej imprezie. Ale mówi, że przyćmił go facet, który miał taki prima towar, że Al musiał spakować swój. Spytałem, kto to jest, ale Al go nie zna. Facet nosił maseczkę i ciemne okulary. Dziwne było to, jak mówił Al, że chociaż miał najlepszą, najczystszą kokainę, jaką kiedykolwiek widziano w Oslo, to zachowywał się jak amator.

– To znaczy?

– Przede wszystkim chodzi o sposób zachowania. Widzisz to od razu. Profesjonaliści są rozluźnieni, bo wiedzą, co robią, a jednocześnie nieustannie skanują otoczenie jak antylopy u wodopoju. Doskonale pamiętają, w której kieszeni trzymają dragi, na wypadek gdyby zjawiła się policja, a oni mieliby dwie sekundy na wyrzucenie towaru. Al mówił, że ten facet był zdenerwowany, gapił się wyłącznie na tych, z którymi rozmawiał, i musiał przeszukiwać kieszenie, żeby znaleźć torebkę z towarem. Ale największą amatorszczyzną było to, że nie rozcieńczył towaru bardziej, jeżeli w ogóle to zrobił. I że rozdawał darmowe próbki.

– Wszystkim?

– Nie, nie. To przecież była megaelegancka impra, wiesz, ludzie z bardzo dobrych domów. Niektórzy z nich biorą kokainę, ale nie na oczach sąsiada. Poszli z Røedem do jego mieszkania: ten gość w maseczce, dwie dziewczyny plus Al. Facet usypał kilka kresek na szklanym stoliku w salonie – to też wyglądało na coś, czego nauczył się z YouTube’a – no i poprosił, żeby Røed spróbował. Ale Røed zachował się jak dżentelmen i powiedział, że inni muszą spróbować najpierw. Wtedy wystąpił Al, no bo chciał sprawdzić, co to za towar, ale tamten facet złapał go za ramię i odepchnął od stołu, podrapał mu rękę do krwi, jakby kompletnie spanikował. Al musiał go uspokajać. Facet wyjaśnił, że towar jest tylko dla Røeda, a Røed na to, że tu trzeba umieć się zachować i że dziewczyny mają pierwszeństwo, a jak nie, to niech się wynosi. Wtedy facet ustąpił.

– Al znał te dziewczyny?

– Nie. Pytałem go, czy to były te dwie, które zaginęły, ale on nawet o tym nie słyszał.

– Naprawdę? – zdziwił się Aune. – Przecież już od kilku tygodni to jest na pierwszych stronach gazet.

– No tak, ale ludzie z tego środowiska żyją trochę... jak by to powiedzieć... w alternatywnym świecie. Te chłopaki nie wiedzą, kto jest premierem Norwegii, że tak powiem. Ale wierzcie mi: znają ceny we wszystkich norweskich miastach za gram każdego pieprzonego narkotyku, jakim Pan Bóg pobłogosławił tę planetę. Dlatego pokazałem Alowi zdjęcia dziewczyn. Miał wrażenie, że rozpoznaje obie, przynajmniej Susanne; kiedyś już sprzedał jej trochę dropsów i koka-koli, tak mu

się zdawało. Chociaż pewności nie miał. W każdym razie dziewczyny wciągnęły po kresce i przyszła kolej Markusa Røeda. Ale właśnie wtedy wchodzi żona i wrzeszczy, że obiecywał, że z tym skończy. Røed w ogóle się tym nie przejmuje, ma już rurkę w nosie, oddycha głęboko, bo pewnie chce wciągnąć wszystkie kreski za jednym zamachem, i w tym momencie... – Øystein zaczął chichotać – ...w tym momencie... – Pochylił się, nie mogąc przestać się śmiać, aż ocierał łzy z oczu.

– I w tym momencie? – zniecierpliwił się Aune.

– W tym momencie ten idiota kicha! Zdmuchuje całą kokę ze stołu, na szkle zostają tylko smarki i łzy. Zdesperowany patrzy na faceta w maseczce i prosi o nowe kreski, co nie? No ale ten gość już więcej nie ma, przyniósł tylko tyle, i też jest zdesperowany. Na kolanach zaczyna zbierać resztki, ale drzwi na taras są otwarte, przeciąg i teraz ten proszek jest wszędzie i nigdzie. I co wy na to?

Øystein odchylił głowę i dalej rechotał. Truls chrumkał i chrumkał, nawet Harry się uśmiechnął.

– Więc Al idzie z Røedem do kuchni, gdzie żona ich nie widzi, otwiera torebkę i Røed dostaje parę kresek blanco. No tak, bo zapomniałem powiedzieć, że ten towar, który miał gość w maseczce, to nie była blanco, tylko zielona kokaina.

– Zielona?

– Tak – odparł Øystein. – Właśnie dlatego Al chciał koniecznie tego spróbować. Słyszałem, że zielona pojawia się od czasu do czasu w Stanach, ale w Oslo nikt nigdy jej nie widział. Na ulicy najczystsza blanco, jaką da się znaleźć, ma maksymalnie czterdzieści pięć procent, a ta zielona jest podobno dużo mocniejsza. Ten kolor nadają chyba liście koki.

Harry odwrócił się do Trulsa.

– Zielona kokaina, tak?

– Nie patrz na mnie – obruszył się Truls. – Nie mam pojęcia, jak to tam trafiło.

– Kurde, to byłeś ty? – zapytał ze zdumieniem Øystein. – Incognito, w maseczce i ciemnych oku...

– Zamknij się! To ty jesteś pieprzonym dilerem, nie ja.

– Czemu nie? – ciągnął Øystein. – To przecież genialne! Sam podkradasz, mieszasz z czymś, tak jak dolewaliśmy wody do butelek z wódką w barkach naszych ojców, a potem sprzedajesz bezpośrednio, omijając ogniwo...

– Ja niczego nie podkradam! – Trulsowi spąsowiało czoło, a oczy wychodziły z orbit. – Ani nie mieszam! Nawet nie wiem, do jasnej cholery, co to jest lewamizol!

– Tak? – Øystein najwyraźniej świetnie się bawił. – No to skąd wiesz, że to było zmieszane z lewamizolem?

– Bo tak było napisane w raporcie, a raporty są w BL! – ryknął Truls.

– Przepraszam panów.

Wszyscy odwrócili się w stronę drzwi, w których stały dwie pielęgniarki.

– To miłe, że Ståle ma tylu gości, ale nie możemy pozwolić, żeby jego i Jibrana tak niepokoiły...

– Wybacz, Kari – wtrącił Aune. – Ale dyskusja o podziale spadku czasem robi się gorąca. Co ty na to, Jibran?

Weterynarz podniósł głowę i wyjął z uszu słuchawki.

– Coś mówiłeś?

– Przeszkadzamy ci?

– Ależ skąd.

Aune uśmiechnął się do starszej z pielęgniarek.

– No dobrze – odpowiedziała, po czym zasznurowała usta i zanim zamknęła za sobą drzwi, posłała jeszcze Trulsowi, Øysteinowi i Harry’emu ostrzegawcze spojrzenie.

Katrine patrzyła na zwłoki Susanne i Bertine. Jak zawsze wydały jej się dziwnie opuszczone. Przyszło jej do głowy, że ten widok może skłonić człowieka do uwierzenia w istnienie duszy. Ona zdecydowanie w to nie wierzyła, lecz nie traciła nadziei, że się myli, a to przecież stanowi siłę napędową wszelkich religii i mistycyzmu. Obie kobiety były nagie, ich skóra przybrała różne odcienie białego, niebieskiego i czarnego, co było spowodowane w głównej mierze opadnięciem krwi i innych płynów do najniżej położonych fragmentów ciała. Procesy gnilne już się rozpoczęły, a brak głowy u Bertine wzmacniał poczucie, że widzi się posągi, martwe przedmioty, którym nadano formę czegoś żywego.

W sali sekcyjnej było siedem żywych osób: Katrine, patolożka, Skarre z Wydziału Zabójstw, Sung-min Larsen, śledcza z KRIPOS, Alexandra Sturdza

i jeszcze jeden technik sekcyjny.

– Tak więc nie znaleźliśmy oznak przemocy ani śladów walki stoczonej przed samą śmiercią – powiedziała patolożka. – Przyczyna zgonu: Susanne poderżnięto gardło z przecięciem tętnicy głównej, Bertine prawdopodobnie została uduszona. Mówię „prawdopodobnie”, ponieważ znaleźlibyśmy więcej świadczących o tym objawów, gdybyśmy mieli jej głowę. Ślady w dolnej części szyi wskazują jednak na zadzierzgnięcie rzemienia albo sznura, w wyniku czego doszło do hipoksji. W próbkach krwi i moczu nie ma śladów wskazujących na odurzenie. Wokół sutka jednej z ofiar znaleziono zaschniętą ślinę i śluz. – Wskazała na Susanne. – Z tego, co wiem, próbkę już poddano analizie...

– Tak – potwierdziła Alexandra.

– Oprócz tego nie znaleźliśmy na ofiarach materiału DNA. Ponieważ zachodzi podejrzenie gwałtu, skoncentrowaliśmy się na szukaniu takich oznak. Nie ma jednak śladów palców, które by przytrzymywały mocno za ręce, nogi albo kark, żadnych śladów ukąszeń czy ssania. Żadnych ran czy skaleczeń na nadgarstkach lub kostkach u nóg. Jednej z ofiar brakuje głowy, nie możemy więc nic powiedzieć na temat jej auriculae...

– Słucham? – zdziwiła się śledcza z KRIPOS.

– Małżowin usznych – wyjaśniła Alexandra. – Ofiary gwałtu często mają poranione uszy.

– ...ani ewentualnych petocji. – Patolożka wskazała na głowę Susanne. – Pierwsza ofiara ich nie miała.

– Chodzi o drobne wybroczyny wokół oczu lub na podniebieniu – znów podpowiedziała Alexandra.

– Żadna z ofiar nie ma widocznych obrażeń na labia minora – kontynuowała pani patolog.

– Na wargach sromowych mniejszych – przetłumaczyła Alexandra.

– Ani też żadnych zadrapań paznokciami na karku czy otarć na kolanach, biodrach lub plecach. U Bertine są mikroskopijne ślady w waginie, ale takie, które równie dobrze mogą powstać w wyniku dobrowolnego seksu. Krótko mówiąc, u żadnej z nich nie ma fizycznych śladów wskazujących na gwałt.

– Co nie oznacza, że nie mogło do niego dojść – dodała Alexandra.

Patolożka posłała jej wymowne spojrzenie. Katrine domyśliła się, że po wyjściu gości lekarka będzie miała do powiedzenia młodszej techniczce parę słów na temat świadomości własnego miejsca w szeregu.

– Czyli żadnych obrażeń – podsumowała Katrine. – I brak nasienia. Skąd wobec tego pewność, że odbyły stosunek?

– Prezerwatywa – odezwał się drugi z techników sekcyjnych, Helge jakiś tam. Miły facet, który do tej pory się nie odzywał, a Katrine instynktownie zrozumiała, że w hierarchii zajmował miejsce na najniższym szczeblu drabiny.

– Kondom? – rzucił ze zdziwieniem Skarre.

– Tak – odparł Helge. – Jeśli nie znajdujemy spermy, szukamy śladów prezerwatywy. Głównie chodzi nam o nonoksynol-dziewięć, substancję znajdującą się w lubrykancie, ale to najwyraźniej był typ bez lubrykantu. Znaleźliśmy natomiast ślady drobnego proszku zapobiegającego sklejaniu się lateksu. Jego skład jest unikalny dla każdego producenta. I u Susanne, i u Bertine znaleźliśmy taki sam proszek marki Bodyful.

– Czy jest powszechnie stosowany? – spytał Sung-min.

– Ani bardzo często, ani nadzwyczaj rzadko – odrzekł Helge. – Oczywiście absolutnie nie można wykluczyć, że odbyły stosunek z różnymi mężczyznami, ale...

– Rozumiem – powiedział Sung-min. – Dziękuję.

– Czy na podstawie tego, co odkryliście, da się stwierdzić, kiedy doszło do tych stosunków? – spytała Katrine.

– Nie – zaprzeczyła zdecydowanie patolożka. – Wszystko to, co teraz zreferowaliśmy, z wyjątkiem szczegółów dotyczących proszku stosowanego w prezerwatywach, znajdziecie w raporcie, który dołączyliśmy do folderu w BL dziewięćdziesiąt sześć tuż przed waszym przyjściem. Okej?

Ciszę, która zapadła, przerwał głos Helgego, tym razem ostrożniejszy:

– Pewnie nie możemy stwierdzić dokładnie kiedy, ale... – Posłał szybkie spojrzenie pani patolog, jakby chciał uzyskać jej pozwolenie, zanim podjął: – Można jednak założyć, że do stosunków doszło niedługo przed śmiercią. Ewentualnie już po śmierci.

– Dlaczego?

– Gdyby ofiary żyły jeszcze długo po stosunku, organizm pozbyłby się śladów kondomu. W żywym ciele następuje to w ciągu kilku dni, może trzech. Ale w ciałach zmarłych sperma i proszek z prezerwatywy zachowują się dłużej. Więc... – przełknął ślinę i przelotnie się uśmiechnął – tylko tyle chciałem powiedzieć.

– Jeszcze jakieś pytania? – Patolożka odczekała parę sekund, po czym złożyła ręce. – No dobrze. Jak mówią w tej starej komedii: jeśli pojawi się więcej zwłok, to dzwońcie.

Roześmiał się tylko Skarre. Katrine nie wiedziała, czy jako jedyny miał dość lat, żeby pamiętać ten film, czy też czarny humor nie funkcjonował za dobrze w obecności zwłok.

Poczuła, że komórka wibruje, i spojrzała na wyświetlacz.

21

Środa. The thrill begins

Katrine musiała mocno skręcić kierownicą ponadpięćdziesięcioletniego volva amazona, gdy podjeżdżała pod wejście do Szpitala Radowego.

Zahamowała obok wysokiego mężczyzny z brodą.

Spostrzegła, że Harry się zawahał, nim otworzył drzwiczki i zajął miejsce pasażera.

– Zostawiłaś sobie samochód – powiedział.

– Bjørn tak go lubił. – Poklepała deskę rozdzielczą. – I bardzo o niego dbał. Wszystko chodzi jak w zegarku.

– To zabytek – stwierdził Harry. – Śmiertelnie niebezpieczny.

Uśmiechnęła się.

– Myślisz o Gercie? Spokojnie, jeżdżę nim tylko po mieście. Dziadek wszystko starannie sprawdza. A poza tym... to auto pachnie Bjørnem.

Wiedziała, co Harry myśli. „To samochód, w którym Bjørn się zastrzelił”. Owszem, tak było. Bjørn kochał ten wóz i wyjechał nim z miasta na prosty odcinek biegnący wzdłuż pola w Toten. Może wiązał z tym miejscem jakieś wspomnienia? Była noc, a on przesiadł się na tył. Niektórzy uważali, że zrobił tak, ponieważ jego wielki idol Hank Williams umarł na tylnym siedzeniu samochodu. Ona jednak podejrzewała, że zrobił to, ponieważ nie chciał zabrudzić fotela kierowcy. Tak aby dalej mogła używać auta. Tak aby musiała go dalej używać. Owszem, wiedziała, że to szaleństwo, lecz może taka miała być kara, którą nałożyła sama na siebie za to, że oszukała dobrego człowieka, wmawiając mu, że jest ojcem jej dziecka – człowieka, który zawsze był dobry, aż za dobry. Kochał ją do szaleństwa, zawsze jednak miał wątpliwości, czy ona go kocha. Pytał nawet wprost, dlaczego nie wybrała sobie mężczyzny ze swojej ligi. Nie, tę karę przyjmowała z radością.

– Dobrze, że mogłaś przyjechać tak szybko – powiedział Harry.

– Akurat byłam niedaleko, w Instytucie Medycyny Sądowej. O co chodzi?

– Właśnie się zorientowałem, że mój kierowca nie jest całkiem trzeźwy, a muszę wybrać się w pewne miejsce, do którego ty możesz mnie zawieźć.

– Źle to wróży. Dokąd się wybierasz?

– Tam, gdzie znaleziono zwłoki – odparł. – Chcę zobaczyć te miejsca.

– Nie ma mowy.

– Daj spokój. Znaleźliśmy Bertine szybciej niż wy.

– To wiem. Ale wyraźnie uprzedzałam, że nie nagradzamy za informacje od ludności.

– Rzeczywiście, uprzedzałaś. Czy tamte miejsca ciągle są ogrodzone?

– Tak. Czyli sam nie możesz się tam wybrać.

Harry spojrzał na nią z czymś w rodzaju milczącej rozpaczy. Rozpoznała ten wzrok. Te przeklęte jasnoniebieskie oczy, teraz otwarte nieco szerzej niż zwykle, i ciało, które nie mogło usiedzieć w spokoju. Mrówki pod skórą. Mania. Czy może coś więcej? Nigdy wcześniej nie widziała u niego takiej determinacji, jakby chodziło o sprawę życia i śmierci. I rzeczywiście taka była, ale nie dotyczyła jego życia czy jego śmierci. A może? Nie, to po prostu mania. Mania, która oznaczała, że on musi – musi – ścigać zwierzynę.

– Mhm. No to zawieź mnie do Schrødera.

Albo pić.

Katrine westchnęła. Popatrzyła na zegarek.

– Jak chcesz. Nie masz nic przeciwko temu, że po drodze wstąpię do przedszkola?

Uniósł brew. Posłał jej takie spojrzenie, jakby podejrzewał, że zrobiła to celowo. I oczywiście mogło tak być, bo zawsze dobrze przypomnieć mężczyźnie o tym, że jest ojcem. Wrzuciła bieg i zaczęła powolutku zwalniać humorzaste sprzęgło, kiedy zadzwonił telefon. Zerknęła na wyświetlacz i z powrotem przesunęła drążek na luz.

– Sorry, muszę odebrać. Bratt, słucham.

– Czytałaś, co właśnie w tej chwili publikuje „Dagbladet”? – Według zwyczajnej miary w głosie szefowej Biura Kryminalnego nie było słychać nawet irytacji. Katrine jednak stosowała do Bodil Melling jej specjalną miarę i wiedziała, że szefowa jest wściekła.

– Jeśli przez „właśnie w tej chwili” rozumiesz...

– To się pojawiło na ich stronie internetowej sześć minut temu. Znowu ten Våge. Według tego, co pisze, sekcja wykazała, że obie dziewczyny uprawiały seks tuż przed śmiercią albo zaraz po niej i że użyto kondomu, najprawdopodobniej po to, by nie zostawić śladów DNA. Skąd on to wie, Bratt?

– Nie mam pojęcia.

– A więc pozwól, że odpowiem za ciebie. Ktoś udziela Vågemu informacji.

– Przepraszam – powiedziała Katrine. – Nieprecyzyjnie się wyraziłam. Skąd on to wie, jest oczywiste. Chodziło mi o to, że nie wiem, kto jest źródłem tych przecieków.

– A kiedy masz zamiar się tego dowiedzieć?

– Trudno określić, szefowo. Akurat w tej chwili moim priorytetem jest znalezienie zabójcy, który najprawdopodobniej wypatruje już następnej ofiary.

Na drugim końcu linii zapadła cisza. Katrine zamknęła oczy i zaklęła w duchu. Że też nigdy się nie nauczy!

– Przed chwilą rozmawiałam przez telefon z Winterem – oznajmiła Melling. – Wyklucza, żeby to była osoba z KRIPOS. A ja się skłaniam do przyznania mu racji. Tak więc to ty musisz zatkać gębę temu komuś, słyszysz, Bratt? Wszyscy wychodzimy przez to na idiotów. Dzwonię teraz do komendanta okręgowego, zanim on sam zwróci się do mnie, żądając wyjaśnień. Proszę mnie informować o wszystkim.

Rozłączyła się. Katrine przeniosła spojrzenie na komórkę Harry’ego, którą jej podsunął. Była tam otwarta strona internetowa „Dagbladet”. Katrine przeleciała wzrokiem tekst Vågego.

Stan, w jakim znaleziono ciało Bertine, wskazuje na zabójstwo na tle seksualnym, ale dzisiejsze badania przeprowadzone w Instytucie Medycyny Sądowej nie wzmacniają tej teorii ani nie wykluczają Markusa Røeda z kręgu podejrzanych. Baron nieruchomości utrzymywał relacje seksualne zarówno z Susanne Andersen, jak i Bertine Bertilsen, poza tym wciąż pozostaje – zgodnie z informacjami posiadanymi przez policję – jedyną osobą wiążącą ze sobą te dwie kobiety. Z zaufanych źródeł wiadomo, że śledczy zastanawiali się, czy Røed nie zlecił tych zabójstw i nie kazał ich upozorować na morderstwa na tle seksualnym.

– Facet naprawdę uwziął się na Røeda – stwierdziła Katrine.

– A tak było? – spytał Harry.

– Jak?

– Czy śledczy spekulowali, że zabójstwa zostały tak zaaranżowane, żeby wyglądały na popełnione przez mordercę kierującego się motywami seksualnymi?

Wzruszyła ramionami.

– Ja nic takiego nie słyszałam. Założę się, że to własne spekulacje Vågego, który wkłada je w usta informatora, ponieważ wie, że i tak nigdy nie da się tego sprawdzić.

– Mhm.

Jechali w stronę autostrady.

– A wy jak myślicie? – spytała.

– No cóż, większość uważa, że to seryjny morderca, a związek między ofiarami jest przypadkowy.

– Ponieważ?

– Ponieważ Markus Røed ma alibi, a zabójcy działający na zlecenie nie uprawiają seksu ze swoimi ofiarami. A waszym zdaniem?

Katrine sprawdziła w lusterku natężenie ruchu.

– Okej, Harry, powiem ci coś, o czym Våge nie pisze. W pochwach obu dziewczyn technicy znaleźli ten sam rodzaj proszku używanego w kondomach, mamy więc do czynienia z tym samym sprawcą.

– Interesujące.

– Våge nie pisze też, że patolodzy nie wykluczają gwałtu, chociaż nie znaleźli wyraźnych obrażeń, które by na to wskazywały. Ale takie ślady znajdują tylko w jednym na trzy przypadki gwałtu. Mniejsze obrażenia u pozostałej połowy ofiar gwałtu. U reszty nie znajdują nic.

– Myślisz, że może tak być w tym wypadku?

– Nie. Podejrzewam, że do stosunku doszło już po śmierci ofiar.

– Mhm. The thrill begins with death.

– Że co?

– Aune tak mówi. U sadysty podniecenie seksualne zaczyna się wraz z cierpieniem ofiar i ustaje, kiedy ofiara umiera. U nekrofila podniecenie zaczyna się po śmierci ofiary.

– Okej. Czyli jednak dostałeś pewną nagrodę.

– Dzięki. A co myślicie o odciskach stóp w miejscach znalezienia zwłok?

– A kto powiedział, że są jakieś odciski?

Harry wzruszył ramionami.

– Oba te miejsca są w lesie, więc zapewne ziemia jest miękka. W ostatnich tygodniach prawie nie padało, czyli jakieś odciski musiały się zachować.

– Taki sam wzorzec – odparła Katrine po chwili wahania. – Ślady ofiary i przypuszczalnego sprawcy blisko siebie. Jakby ją przytrzymywał albo groził jej bronią.

– Mhm. Albo odwrotnie.

– To znaczy?

– Może szli ciasno objęci. Jak zakochani. Albo jak para, która wkrótce zamierza dobrowolnie uprawiać seks.

– Naprawdę tak myślisz?

– Gdybym ja miał komuś grozić, to szedłbym za nim.

– Uważasz, że dziewczyny znały sprawcę wcześniej?

– Może tak, może nie. W każdym razie nie wierzę w przypadki. Susanne zniknęła cztery dni po imprezie u Røeda, a Bertine tydzień później. Tam spotkały sprawcę. Podejrzewam, że nie macie tego człowieka na swojej liście gości.

– Tak?

– Facet w maseczce, czapce z daszkiem i ciemnych okularach, który sprzedawał kokainę, mówi ci to coś?

– Rzeczywiście nikt nam nie wspomniał o kimś takim. Może nic dziwnego, skoro sprzedawał gościom kokę.

– Albo dlatego, że o ludziach bez twarzy szybko się zapomina, a on wcale nie sprzedawał gościom koki, tylko rozdawał nielicznym darmowe próbki czegoś będącego, jak przypuszczamy, prawie czystą kokainą.

– Skąd wiesz?

– Nieważne. Ważne jest to, że miał kontakt i z Susanne, i z Bertine. Wiecie o kimś innym z tej imprezy, kto rozmawiał z obiema dziewczynami?

– Tylko Markus Røed.

Katrine włączyła kierunkowskaz i znów spojrzała w lusterko.

– Myślisz, że ten gość poderwał je na imprezie i umówił się z nimi na wycieczkę do lasu?

– Czemu nie?

– Nie wiem, ale coś mi tu zgrzyta. Owszem, mogę przyjąć, że Susanne idzie do lasu, żeby tam przeżyć przygodę z facetem, którego poznała na imprezie. Nawet z kimś, kto rozdawał kokainę. Ale że Bertine miałaby tydzień później dobrowolnie iść z człowiekiem, którego nie zna, do lasu w Skullerud, kiedy gazety już pisały, że Susanne widziano ostatnio właśnie w tamtym miejscu? W tym momencie Bertine wie już także, że wszyscy troje byli na tej samej imprezie. Nie, Harry, ja tego nie kupuję.

– Okej. A co kupujesz?

– Seryjnego gwałciciela.

– Seryjnego zabójcę.

– Oczywiście. Szybkie zabójstwo, nekrofilia. Wyjęty mózg, odcięta głowa, zwłoki przewieszone jak zarżnięte zwierzę. Właśnie to nazywam rytualnym zabójstwem popełnionym przez seryjnego mordercę.

– Mhm – mruknął Harry. – Ale dlaczego proszek z kondomu?

– Co?

– W sprawach obyczajowych, kiedy chce się zidentyfikować prezerwatywę, szuka się z reguły środka nawilżającego, a nie proszku. Zgadza się?

– Owszem, ale w tym wypadku nie użyto lubrykantu.

– No właśnie. Pracowałaś wcześniej w obyczajówce. Czy nie jest tak, że seryjni gwałciciele, a przynajmniej ci dostatecznie bystrzy, żeby używać kondomu, stosują lubrykant?

– Owszem, to podobno na dłuższą metę ułatwia im robotę. Przepraszam za wyrażenie. Ale to są kryminalni szaleńcy, Harry. Nie mają stałego scenariusza. A ty dzielisz włos na czworo.

– Masz rację – przyznał Harry. – Chociaż na razie jeszcze nie widziałem ani nie słyszałem niczego, co pozwoliłoby nam wykluczyć, że Bertine i Susanne dobrowolnie uprawiały seks z zabójcą bezpośrednio przed tym, jak je zabił.

– Z wyjątkiem tego, że to jest... bardzo niezwykłe, prawda? To ty z nas dwojga jesteś specjalistą od seryjnych zabójstw.

Harry potarł kark.

– Owszem, to niezwykłe. Zabójstwo po gwałcie to nic nadzwyczajnego: albo jako element seksualnych fantazji sprawcy, albo jako chęć uniknięcia identyfikacji. Ale zabójstwo bezpośrednio po dobrowolnym seksie zdarza się tylko w wyjątkowych wypadkach. Ktoś o osobowości narcystycznej mógłby zabić, jeżeli doznałby upokorzenia w związku z aktem seksualnym, na przykład gdyby nie był w stanie go zrealizować.

– Ślady prezerwatywy wskazują, że zdołał to zrobić. Zaraz wracam.

Harry kiwnął głową. Zatrzymali się w dolnej części Hegdehaugsveien i patrzył teraz, jak Katrine szybkim krokiem idzie w stronę bramy, której uczepiły się czekające na rodziców dzieciaki w kombinezonach przeciwdeszczowych.

Katrine weszła przez bramę; dwie minuty później znów się pojawiła, prowadząc Gerta za rękę. Harry usłyszał przejęty dziecięcy głos. Sam był podobno milczącym dzieckiem.

Drzwi auta się otworzyły.

– Ceść, Hallik! – Gert wychylił się z tylnego siedzenia i obdarzył Harry’ego uściskiem, zanim Katrine ściągnęła go z powrotem na dziecięcy fotelik.

– Cześć, stary orle! – powiedział Harry.

– Staly olle? – Gert pytająco spojrzał na matkę.

– On sobie z ciebie żartuje – wyjaśniła Katrine.

– Zaltujes, Hallik! – Gert zaśmiał się serdecznie, a kiedy Harry spojrzał w lusterko, cały aż drgnął, bo przez moment ujrzał coś znajomego. Nie siebie. Nie ojca. Tylko mamę. Gert miał uśmiech mamy.

Katrine usiadła za kierownicą.

– Schrøder? – spytała.

Harry pokręcił głową.

– Wysiądę tam, gdzie zaparkujecie, i dalej już pójdę.

– Do Schrødera?

Nie odpowiedział.

– Pomyślałam sobie – zaczęła Katrine – że poproszę cię o przysługę.

– Tak?

– Słyszałeś o biegaczach narciarskich i o tych, którzy doszli na biegun południowy, a teraz biorą mnóstwo kasy za wygłaszanie wykładów, które mają zainspirować ludzi?

Fala lekko zakołysała promem płynącym na Nesodden.

Harry się rozejrzał. Pasażerowie wokół niego siedzieli wgapieni w telefony, w uszach mieli słuchawki, czytali książki albo spoglądali na Oslofjorden. Wracali do domu z pracy, ze studiów, z zakupów w mieście. Nikt nie wyglądał tak, jakby wybrał się na wycieczkę z ukochaną osobą.

Spojrzał na swój telefon. Na ostatni raport patologów, z którego Truls zrobił zrzut ekranu i rozesłał go mailem do wszystkich członków ich teamu. Harry już raz go czytał, kiedy poszedł coś przekąsić w kantynie Szpitala Radowego, po wysłaniu do Katrine SMS-a z pytaniem, czy mogłaby po niego przyjechać. Czy miał wyrzuty sumienia, bo udawał, że o nim nie wiedział, gdy opowiadała, czego się dowiedziała w Instytucie Medycyny Sądowej? Nie za duże. A w przypadku tego proszku z prezerwatywy i nekrofilii nawet nie musiał udawać, że nie wie, bo tego w raporcie nie było. I nie było w artykule Vågego. Innymi słowy, informator Vågego nie znajdował się wśród obecnych w Instytucie Medycyny Sądowej, bo wówczas przekazałby również to, czego nie ujęto w raporcie. Ale Våge napisał, że niektórzy śledczy uważają, iż zabójstwa zostały upozorowane na seryjne, aby ukryć, czym były naprawdę.

Proszek z kondomu.

Harry intensywnie myślał.

W końcu wybrał duże T.

– Tak?

– Cześć, Truls, tu Harry.

– Słucham.

– Nie zajmę ci dużo czasu. Rozmawiałem z Katrine Bratt i okazuje się, że nie wszystko, co znajdują w Instytucie Medycyny Sądowej, trafia do ich raportów.

– Tak?

– Owszem. Zdradziła mi pewien szczegół, który z całą pewnością omawia teraz grupa śledcza w komendzie, a którego my nie znamy.

– O co chodzi?

Harry się wahał. Proszek z kondomu.

– Tatuaż – powiedział. – Zabójca wyciął ten tatuaż Louisa Vuittona, który Bertine miała na kostce, i przyszył go z powrotem.

– Tak jak było ze skalpem Susanne Andersen?

– Właśnie – potwierdził Harry. – Ale nie to jest istotne. Ważniejsze, czy masz jakiś sposób na zdobycie takich informacji w przyszłości.

– O rzeczach, których nie ma w raportach? Musiałbym pogadać z ludźmi.

– Mhm. Tak nie możemy ryzykować. Nie liczyłem, że zaproponujesz coś naprędce, ale możesz się nad tym zastanowić? Pogadamy jutro.

– Dobra – burknął Truls.

Rozłączyli się.

Kiedy prom przybił do przystani, Harry wciąż siedział. Patrzył, jak ludzie wychodzą na brzeg.

– Pan nie wysiada? – spytał bileter, który robił rundę po pustym salonie.

– Dzisiaj nie – odparł Harry.

– Jeszcze jeden. – Harry wskazał na szklankę.

Barman uniósł brew, ale zdjął z półki butelkę Jima Beama.

Harry wlał w siebie kolejnego drinka.

– I jeszcze raz.

– Ciężki dzień? – spytał barman.

– Na razie nie – odparł Harry, zabrał szklankę i ruszył w kierunku kanapy, na której kiedyś widział tego wokalistę z Turboneger. Czuł, że już lekko chwieje się na nogach. Po drodze minął siedzącego tyłem mężczyznę, którego zapach skojarzył mu się z Lucille. Umościł się na kanapie. Był wczesny wieczór, gości na razie

niewielu. Lucille, gdzie była w tej chwili? Zamiast dalej pić, mógł teraz pójść do swojego pokoju i ponownie czytać raporty, szukać błędu, śladu. Spojrzał na szklankę. Była niczym klepsydra. Do momentu, kiedy okaże się, że znów zawiódł, zostało pięć dni i kilka godzin. Tak, właśnie taka była historia jego życia. Do diabła, przecież nie został mu już prawie nikt, kogo mógł zawieść. Uniósł szklankę.

Do baru wszedł jakiś facet i zaczął się rozglądać. Zauważył Harry'ego. Lekko skinęli sobie głowami i mężczyzna skierował kroki w jego stronę. Usiadł na krześle po drugiej stronie niskiego szklanego stolika.

– Dobry wieczór, Krohn.

– Dobry wieczór, Harry. Co słychać?

– Ze śledztwem? Dobrze.

– To świetnie. Czyli macie jakiś ślad?

– Nie. Co cię tu sprowadza?

Adwokat miał taką minę, jakby zamierzał zadać dodatkowe pytanie, ale z niego zrezygnował.

– Słyszałem, że dzwoniłeś dziś do Helene Røed. Macie porozmawiać.

– Zgadza się.

– Zanim dojdzie do tej rozmowy, chciałem tylko wspomnieć o paru szczegółach. Przede wszystkim relacje Helene z Markusem nie są ostatnio najlepsze. Wynika to z kilku rzeczy, takich jak...

– ...uzależnienie Markusa od kokainy?

– Nic nie wiem na ten temat.

– Jasne, że wiesz.

– Myślałem raczej o tym, że oboje od pewnego czasu oddalają się od siebie. A cała uwaga skierowana na Markusa w związku z tą sprawą, zwłaszcza z powodu „Dagbladet", ani trochę tego nie polepszyła.

– O co ci właściwie chodzi?

– Helene jest zestresowana i nie wykluczam, że będzie mówić rzeczy, które postawią jej męża w złym świetle. Dotyczące zarówno ogólnie jego samego, jak i jego kontaktów z panną Andersen i panną Bertilsen. Nic takiego, co zmieniłoby fakty w sprawie, ale gdyby takie opinie dotarły do prasy, do „Dagbladet", zadziałałyby niekorzystnie dla mojego, czy też raczej dla naszego klienta.

– Przyszedłeś tu, żeby mi powiedzieć, że mam nie rozgłaszać ewentualnego obmawiania?

Krohn uśmiechnął się przelotnie.

– Mówię tylko, że Terry Våge wykorzysta wszystko, na co tylko się natknie, żeby oczernić Markusa.

– Bo?

Wzruszył ramionami.

– To stara historia. Z czasów, kiedy Markus inwestował dla zabawy trochę tu, trochę tam. Był też wtedy prezesem zarządu bezpłatnej gazety, do której pisał Våge. Kiedy komisja etyki dziennikarskiej oskarżyła gazetę za teksty, które Våge zmyślił, zarząd go wywalił. Miało to poważne konsekwencje dla dalszego życia i kariery Vågego, który najwyraźniej nigdy Markusowi tego nie wybaczył.

– Mhm. Wezmę to pod uwagę.

– Świetnie.

Krohn dalej siedział.

– No? Coś jeszcze? – spytał Harry.

– Zrozumiem, jeżeli nie chcesz czegoś rozdrapywać, ale przecież łączy nas wspólna tajemnica.

– To prawda – zgodził się Harry i pociągnął spory łyk. – Rzeczywiście nie chcę tego rozdrapywać.

– Oczywiście. Zamierzałem tylko powiedzieć, że nadal uważam, że postąpiliśmy słusznie.

Harry patrzył na niego.

– Doprowadziliśmy do tego, że świat pozbył się złego, bardzo złego człowieka – dodał Krohn. – Był wprawdzie moim klientem...

– I był niewinny – wymamrotał Harry.

– Zabójstwa twojej żony, być może. Ale zniszczył życie tylu innym ludziom, zbyt wielu. Młodym. Niewinnym.

Harry nie spuszczał oczu z Krohna. Wspólnie doprowadzili do śmierci skazanego za wielokrotne gwałty Sveina Finne i obciążenia go winą za zamordowanie Rakel. Krohn zdecydował się na to, ponieważ Finne groził jemu

i jego rodzinie. Harry – aby nigdy nie wyszło na jaw, kto naprawdę zabił Rakel i dlaczego.

– Natomiast Bjørn Holm – ciągnął Johan Krohn – był dobrym człowiekiem. Dobrym przyjacielem, dobrym mężem. Zgadza się?

– Owszem. – Harry poczuł, że gardło mu się zaciska. Dał sygnał barmanowi, podnosząc pustą szklankę.

Krohn wziął głęboki oddech z taką miną, jakby się do czegoś szykował.

– Bjørn Holm zabił kobietę, którą kochałeś najbardziej na świecie, zamiast ciebie, ponieważ był to jedyny sposób, żebyś cierpiał tak, jak cierpiał on.

– Dość już tego!

– Więc chcę ci tylko powiedzieć, Harry, że teraz jest identyczna sytuacja. Terry Våge pragnie, by Markus Røed został potraktowany w taki sam sposób, w jaki potraktowano jego. Żeby odczuł społeczne potępienie. Wiele osób tego nie wytrzymuje, wiesz? Odbierają sobie życie. Sam miałem klientów, którzy to zrobili.

– Markus Røed nie jest Bjørnem Holmem. To nie jest dobry człowiek.

– Być może. Ale jest niewinny. Przynajmniej w tej sprawie.

Harry zamknął oczy. Przynajmniej w tej sprawie.

– Miłego wieczoru, Harry.

Kiedy Harry znów otworzył oczy, Johana Krohna już nie było, a na stoliku stał drink.

Starał się pić go powoli, ale wydawało się to bezsensowne, więc wlał go w siebie. Prawie już tam dotarł. Jeszcze tylko jeden.

Do baru weszła kobieta. Szczupła, w czerwonej sukience, z ciemnymi włosami, nawet plecy miała lekko zaokrąglone. Był czas, że Harry widział Rakel wszędzie. Teraz już nie. Owszem, będzie mu tego brakowało, nawet tych koszmarów. Kobieta przy barze, jakby poczuła jego wzrok na odsłoniętym krzyżu, odwróciła się i zerknęła na niego. Patrzyła zaledwie przez sekundę czy dwie, po czym znów się odwróciła. Ale on to dostrzegł. Spojrzenie wyzute z wszelkiego zainteresowania, zawierające jedynie pewną litość. Spojrzenie, które zarejestrowało, że siedzący na kanapie człowiek jest bardzo samotny. Ktoś, od kogo boisz się zarazić.

Kiedy Harry kładł się do łóżka, nie pamiętał, jak dotarł do pokoju. Gdy tylko zamknął oczy, w głowie od razu zaczęły mu się tłuc te same dwa zdania.

Żebyś cierpiał tak, jak cierpiał on.

Niewinny. Przynajmniej w tej sprawie.

Telefon powarkiwał i świecił w ciemności. Harry obrócił się i wziął go z nocnej szafki. To był MMS z numeru zaczynającego się od +52. Nie musiał zgadywać, że to Meksyk, bo zdjęcie przedstawiało twarz Lucille na tle łuszczącego się muru. Bez makijażu wyglądała starzej. Obróciła się do obiektywu bokiem, swoją ładniejszą – według samej siebie – stroną. Była blada, ale uśmiechała się, jakby chciała pocieszyć tego, kto, jak wiedziała, dostanie to zdjęcie. Uświadomił sobie, że ten uśmiech wyraża takie same łagodne przeprosiny, jakie zobaczył na twarzy matki, wówczas gdy stanęła w drzwiach do klasy z jego drugim śniadaniem.

Tekst pod spodem był krótki:

5 days, counting.

22

Czwartek. Dług

Była za pięć dziesiąta. Katrine i Sung-min z kubkami kawy w rękach stali przed salą konferencyjną. Pozostali członkowie grupy śledczej mamrotali słowa przywitania, mijając ich przy wejściu na poranną odprawę.

– Aha – powiedział Sung-min. – Czyli Hole sądzi, że sprawcą jest diler kokainy, który był na tej imprezie?

– Na to wygląda. – Katrine spojrzała na zegarek. Mówił, że przyjdzie z odpowiednim wyprzedzeniem, a do ustalonej godziny zostały jedynie cztery minuty.

– Jeżeli kokaina była taka czysta, to może sprawca sam ją przemycił. Razem z innymi rzeczami.

– Co masz na myśli?

Sung-min pokręcił głową.

– To tylko takie skojarzenia. W pobliżu miejsca znalezienia zwłok leżała pusta torebka po środku przeciwpasożytniczym. Również musiała zostać przemycona.

– Bo?

– To zabroniony środek. Zawiera mocną truciznę na całe mnóstwo robaków, również na te groźne.

– Groźne?

– Na pasożyty, które potrafią zabić psa i przenosić się na ludzi. Słyszałem o paru właścicielach psów, którzy nabawili się tego świństwa. Pasożyty atakują wątrobę, bardzo nieprzyjemna historia.

– Uważasz, że zabójca może mieć psa?

– I karmi go proszkiem na odrobaczenie w lesie, zanim zabije i zgwałci swoją ofiarę? Nie.

– To dlaczego...

– No właśnie, dlaczego? Ponieważ chwytamy się brzytwy. Oglądałaś filmiki, na których amerykańska drogówka podchodzi do samochodów zatrzymanych tylko dlatego, że jechały trochę za szybko albo mają zepsute tylne światło? Widziałaś, jak ostrożnie policjanci zbliżają się do takiego auta? Jakby to, że ktoś złamał przepisy ruchu drogowego, dramatycznie zwiększało prawdopodobieństwo, że jest poważnym przestępcą.

– Owszem, i wiem dlaczego. Ponieważ to dramatycznie zwiększa prawdopodobieństwo, że w środku siedzą poważni przestępcy. Mnóstwo badań dowodzi, że tak jest.

– Otóż to. – Sung-min się uśmiechnął. – Ktoś, kto łamie jedne zasady, może łamać też inne. I tyle.

– Okej.

Katrine znów zerknęła na zegarek. Co się mogło stać? Po oczach Harry’ego poznała, że może zapić, istniało takie ryzyko, ale na ogół nawet wtedy dotrzymywał umów.

– Jeśli masz tę torebkę, to powinieneś ją oddać do zbadania.

– Znalazłem ją dość daleko od miejsca zdarzenia – wyjaśnił Sung-min. – W takim promieniu moglibyśmy wpaść na tysiąc rzeczy, które przy odrobinie wyobraźni dałoby się powiązać z zabójstwem.

Za minutę dziesiąta.

Wreszcie zjawił się funkcjonariusz, którego Katrine wysłała do recepcji, żeby go przyjął. I – górujący nad nim o głowę – Harry Hole. Wyglądał na bardziej wymiętego niż jego garnitur, a alkoholowy oddech dało się zobaczyć, jeszcze zanim go wyczuła. Zauważyła, że stojący obok niej Sung-min odruchowo się prostuje.

Dopiła kawę.

– Zaczynamy?

– Jak widzicie, mamy gościa – oznajmiła Katrine.

Pierwsza część ich planu zadziałała. Z twarzy siedzących przed nią osób jakby ktoś zmył zmęczenie i apatię.

– Harry Hole nie potrzebuje żadnego wprowadzenia, ale tym, którzy są u nas od niedawna, powiem, że zaczął pracować jako śledczy w naszym wydziale w... – Spojrzała na Harry’ego.

Skrzywił się.

– ...w epoce kamiennej – dokończył.

Śmiechy.

– W epoce kamiennej – powtórzyła Katrine. – Uczestniczył w rozwiązywaniu naszych najtrudniejszych spraw. Wykładał w Wyższej Szkole Policyjnej. Z tego, co wiem, jest jedynym Norwegiem, który ukończył organizowany w Chicago przez FBI specjalistyczny kurs dotyczący wykrywania seryjnych morderców. Chciałam go włączyć do naszej grupy, ale nie dostałam zgody. – Rozejrzała się po zebranych. Prawdopodobnie Bodil Melling i tak wkrótce się dowie, że Katrine pozwoliła Harry’emu wejść do jej świątyni. – Tym bardziej się cieszę, że Markus Røed zaangażował go do prowadzenia prywatnego śledztwa w sprawie zabójstw Susanne i Bertine, bo to oznacza, że w tropienie sprawcy włączył się kolejny ekspert, chociaż nie zatrudnili go nasi przełożeni.

Zobaczyła łagodnie ostrzegawcze spojrzenie Sung-mina, a wściekłe Magnusa Skarre.

– Zaprosiłam Harry’ego, żeby powiedział nam coś ogólnie na temat tych zabójstw i żebyśmy mogli mu zadawać pytania.

– Pierwsze pytanie – wyrwał się Skarre. Głos drżał mu z oburzenia. – Dlaczego mamy wysłuchiwać opowieści jakiegoś faceta o seryjnych mordercach? To historyjki z telewizji. A dwa zabójstwa dokonane przez tego samego sprawcę nie oznaczają...

– Owszem. – Harry wstał z krzesła w pierwszym rzędzie, ale nie obrócił się w stronę obecnych. Przez moment się zachwiał, jakby nagły spadek ciśnienia krwi miał go przewrócić, ale zaraz stanął stabilnie. – Owszem, to oznacza serię zabójstw.

W sali zapadła całkowita cisza, kiedy Harry robił dwa długie kroki w stronę tablicy i dopiero tam odwracał się do swojej publiczności. Jego słowa początkowo padały powoli, lecz stopniowo przyspieszały, jakby usta musiały wejść na odpowiednie obroty.

– Po prostu dlatego, że pojęcie „seryjne zabójstwo” zostało wymyślone przez FBI, a oficjalna definicja brzmi następująco: „bezprawne zabójstwo dwóch lub

więcej ofiar popełnione przez tego samego sprawcę jako osobne wydarzenia”. – Wbił wzrok w Skarrego. – Ale nawet jeśli ta sprawa z definicji jest seryjnym zabójstwem, nie oznacza to, że sprawca odpowiada twoim wyobrażeniom wyniesionym z seriali telewizyjnych. Nie musi być psychopatą, sadystą albo maniakiem seksualnym. Może być stosunkowo normalną osobą jak ty czy ja i kierować się zupełnie banalnym motywem, takim jak na przykład pieniądze. Prawdę mówiąc, w Stanach to drugi z najczęściej występujących motywów działania seryjnych morderców. Tak więc seryjny morderca nie musi być typem, którym kierują wewnętrzne głosy czy też niezłomna wola ponownego zabijania. Ale może tak być. Mówię o zabójcy, nie o zabójczyni, ponieważ ci seryjni to przeważnie mężczyźni, z nielicznymi wyjątkami. Pytaniem jest, czy teraz mamy do czynienia z tego rodzaju seryjnym zabójcą.

– Pytaniem jest raczej – powiedział, przedrzeźniając go, Skarre – co tutaj robisz, skoro masz prywatnego zleceniodawcę. Dlaczego mielibyśmy sądzić, że chcesz nam pomóc?

– No cóż. A dlaczego miałbym nie chcieć, Skarre? Moim zadaniem jest doprowadzić do rozwiązania tej sprawy, a przynajmniej do zwiększenia prawdopodobieństwa jej rozwiązania. Niekoniecznie ja muszę ją rozwiązać. Po twojej minie widzę, że taka koncepcja jest dla ciebie dość trudna do przyjęcia. Więc pozwól, że ją zilustruję. Jeżeli moim zadaniem jest ratowanie ludzi przed spaleniem żywcem, a dom już płonie, to co robię? Noszę wodę wiadrem czy dzwonię po strażaków, którzy są tuż za rogiem?

Katrine zdołała ukryć uśmiech, ale spostrzegła, że Sung-minowi się to nie udało.

– Dobra. Czyli tak – podjął Harry. – Wy jesteście strażakami, a ja do was dzwonię. Moim zadaniem jest teraz przekazać wam wszystko, co wiem o miejscu, w którym się pali. A ponieważ przypadkiem trochę znam się na pożarach, to powiem wam, co jest wyjątkowego akurat w tym pożarze. Okej?

Katrine zobaczyła, że niektórzy pokiwali głowami, inni spoglądali na siebie, ale nikt nie protestował.

– Zacznę od razu od tego, co wyjątkowe – kontynuował Harry. – Głowy. A bardziej precyzyjnie: brak mózgu. Jak zawsze należy sobie zadać pytanie „dlaczego?”. Po co odcinać głowy i wyjmować mózg? No cóż, w niektórych wypadkach odpowiedź bywa prosta. W Starym Testamencie można znaleźć historię o żydowskiej wdowie Judycie, która ratuje swoje miasto podczas oblężenia,

uwodząc dowódcę wroga i obcinając mu głowę. Zrobiła to, żeby wszyscy mogli tę obciętą głowę zobaczyć; dała tym samym pokaz siły, by przestraszyć wroga, który w istocie ucieka. A zatem był to czyn racjonalny, z motywem dobrze znanym w historii wojen. Stykamy się z czymś takim po dziś dzień, gdy terroryści rozsyłają nagrania wideo, na których ludziom obcinane są głowy. Trudno jednak przyjąć, by nasz sprawca chciał kogoś straszyć, więc dlaczego? Wojownicy z plemion łowców głów – a przynajmniej tak się przyjęło w mitach na ich temat – pragnęli zdobyć głowy swoich ofiar jako trofea lub przedmioty mające na celu przegnanie złych duchów, ewentualnie zatrzymanie tych duchów dla siebie. Ludy z Nowej Gwinei wierzyły, że zabierając głowę ofiary, zabiera się również jej duszę. I w tym momencie może zbliżamy się do tego, z czym mamy do czynienia w tej sprawie.

Katrine zauważyła, że chociaż Harry mówił neutralnym, wręcz jednostajnym tonem, bez żadnych min czy przesadnych gestów, to jednak skupił na sobie uwagę wszystkich obecnych.

– Historia seryjnych zabójstw jest pełna odciętych głów. Ed Gein odcinał je swoim ofiarom i nabijał na słupki łóżka. Ed Kemper uciął głowę własnej matce i uprawiał z nią seks. Ale nasza sprawa ma być może więcej paraleli ze sprawą seryjnego mordercy Jeffreya Dahmera, który w latach osiemdziesiątych zabił siedemnastu mężczyzn i chłopców. Poznawał ich na zabawach i w knajpach, upijał ich albo dawał im narkotyki. Podobnie mogło być w naszej sprawie, ale do tego jeszcze wrócę. Następnie Dahmer zabierał swoje ofiary do domu. Tam je zabijał, na ogół dusząc, gdy wciąż były odurzone. Uprawiał seks ze zwłokami. Rozczłonkowywał je. Nawiercał w głowach dziury i wlewał w nie rozmaite płyny, na przykład takie jak kwas. Obcinał głowy. Zjadał wybrane części ciał. Psychiatrom mówił, że zachowywał czaszki, ponieważ bał się odrzucenia, a w ten sposób gwarantował sobie, że nigdy go nie opuszczą. Stąd paralela ze zbieraczami dusz z Nowej Gwinei. Ale Dahmer posuwał się dalej. Zjadając jakąś ich część, zapewniał sobie pozostanie ofiar u siebie. Psychiatrzy stwierdzili zresztą, że jeśli chodzi o odpowiedzialność karną, Dahmer nie jest szaleńcem – ma po prostu zaburzenia osobowości. Takie, jakie może mieć większość z nas, a mimo wszystko z nimi funkcjonować. Innymi słowy, Dahmer był osobą, która mogłaby siedzieć tu teraz wśród nas i której wcale nie musielibyśmy o nic podejrzewać. Tak, Larsen?

– Nasz sprawca nie zabrał ze sobą głowy Susanne, tylko mózg. Jednak co do Bertine, ma i jej głowę, i mózg. Czy zatem chodzi mu o mózg? A jeśli tak, to czy

mózg można uznać za trofeum?

– Mhm. Należy odróżnić trofea od pamiątek. Trofea to symbole zwycięstwa nad ofiarą i w takich wypadkach często są nimi głowy. Pamiątki natomiast mają służyć jako przypomnienie aktu seksualnego i są w późniejszym czasie używane do osiągnięcia seksualnego zaspokojenia. Nie słyszałem, żeby mózg się do nich zaliczał. Ale jeśli mamy wysnuwać wnioski na podstawie tego, co wiemy o psychopatycznych seryjnych zabójcach działających z pobudek seksualnych, to istnieje całe mnóstwo rozmaitych powodów ich zachowań, podobnie jak u wszystkich innych ludzi. Dlatego nie ma żadnego wspólnego wzorca zachowania, przynajmniej na poziomie szczegółu, pozwalającego przewidzieć następny ruch sprawcy. Z wyjątkiem jednej rzeczy, którą można założyć z dużą dozą prawdopodobieństwa.

Katrine wiedziała, że to nie jest sztuczna pauza. Harry po prostu musiał nabrać powietrza, a jednocześnie szerzej rozstawić nogi, żeby się nie przewrócić.

– Zaatakuje ponownie.

W ciszy, która zapadła, Katrine usłyszała szybkie, zdecydowane kroki zbliżające się korytarzem. Rozpoznała ten odgłos i wiedziała, kto to jest. Możliwe, że Harry również to usłyszał i domyślał się, iż jego czas się kończy – w każdym razie zwiększył tempo.

– Nie sądzę, żeby temu człowiekowi zależało na głowach. Raczej chodzi mu o mózgi ofiar. Odcięcie głowy Bertine oznacza jedynie, że sprawca dopracowuje metodę, co również jest typowe dla klasycznego psychopatycznego seryjnego zabójcy. Poprzednim razem dostał nauczkę, zrozumiał, że wyjęcie mózgu w miejscu zabicia ofiary wymaga dużo czasu, jest więc ryzykowne. Poza tym kiedy zobaczył rezultat po przyszyciu skalpu, pojął też, że to zostanie od razu zauważone, więc jeśli chce ukryć, że zależy mu na mózgu, to lepiej zabrać całą głowę. Nie sądzę, by zabił Bertine, dusząc ją, w celu zmylenia policji, po to by uznano, że zrobił to ktoś inny niż zabójca Susanne. Gdyby to było dla niego istotne, nie wybrałby dwukrotnie Skullerud i nie zostawiłby w obu przypadkach ciał nagich od pasa w dół. Przyczyna zmiany metody zabijania była praktyczna. Kiedy poderżnął gardło Susanne, zbryzgała go krew. Świadczą o tym ślady rozprysku. A krew na dłoniach, twarzy i ubraniu oznaczała, że zwrócono by na niego uwagę, gdyby natknął się na kogoś w drodze powrotnej. Poza tym musiał wyrzucić ubranie, umyć samochód i tak dalej.

Drzwi się otworzyły. To była rzeczywiście Bodil Melling. Stanęła przy drzwiach z rękami założonymi na piersi i utkwiła w Katrine wzrok zapowiadający burzę z piorunami.

– Również z tego powodu zabrał ją nad jezioro. Dzięki temu mógł zminimalizować zabrudzenie otoczenia krwią, w momencie odcinania przytrzymując głowę ofiary pod wodą. Pod tym względem seryjni zabójcy są jak większość z nas: im częściej coś robimy, tym większej nabieramy wprawy. W tym wypadku to zła wiadomość w odniesieniu do tego, co może nastąpić. – Harry spojrzał na Bodil Melling. – A co na to szefowa?

Podciągnęła kąciki ust w udawanym uśmiechu.

– Teraz nastąpi to, że natychmiast stąd wyjdziesz, Hole. Już bez ciebie porozmawiamy o interpretacji wytycznych dotyczących udzielania dostępu do informacji osobom postronnym.

Katrine poczuła, że gardło zaciska jej się ze wstydu i z wściekłości, wiedziała też, że będzie to słychać w jej głosie.

– Bodil, rozumiem twój niepokój, ale Hole oczywiście nie miał wglądu...

– Tak jak mówiłam, o tym porozmawiamy na osobności. Czy ktoś inny niż Bratt może odprowadzić Holego do wyjścia? A ty pójdziesz ze mną.

Katrine posłała Harry’emu pełne rezygnacji spojrzenie, na które on tylko wzruszył ramionami. Sama poszła za Bodil Melling, wsłuchując się w rytmiczny stukot jej obcasów.

– Naprawdę, Katrine – powiedziała szefowa, kiedy już znalazły się w windzie. – Ostrzegałam cię: nie wciągaj w to Holego. A jednak to zrobiłaś.

– Nie mogłam go zaangażować jako członka grupy, trudno. Dlatego zaprosiłam go jako konsultanta, który podzieli się z nami swoim doświadczeniem i informacjami, nie dostając nic w zamian. Ani pieniędzy, ani informacji. Uważam, że mam uprawnienia, żeby podjąć taką decyzję.

Krótki dzwonek zasygnalizował, że winda dojechała na miejsce.

– Tak uważasz? – spytała Melling, wysiadając.

Katrine pospieszyła za nią.

– Ktoś ci wysłał SMS-a z sali konferencyjnej?

Melling uśmiechnęła się kwaśno.

– Gdybyśmy tylko takimi przeciekami musieli się martwić.

Weszła do swojego gabinetu. Przy niedużym stoliku konferencyjnym nad rozłożoną „Dagbladet” i filiżankami kawy siedzieli Ole Winter i rzecznik prasowy Kedzierski.

– Dzień dobry, Bratt – odezwał się szef Wydziału Śledczego KRIPOS.

– Właśnie dyskutowaliśmy o przeciekach w tej sprawie podwójnego zabójstwa – oznajmiła Bodil Melling.

– Beze mnie? – zapytała Katrine.

Melling usiadła i dała Katrine znak, żeby zrobiła to samo.

– Bez wszystkich tych, którzy teoretycznie mogą za tym stać – odparła. – Nie bierz tego do siebie. Ale teraz równie dobrze możemy rozmawiać z tobą wprost. Zakładam, że widziałaś, co Våge dzisiaj napisał.

– To skandal – stwierdził Winter i pokręcił głową. – Inaczej nie można tego nazwać. Våge zna szczegóły ze śledztwa, które mogą pochodzić tylko z jednego miejsca, mianowicie stąd. Sprawdziłem już swoich ludzi, to żaden z nich.

– A w jaki sposób mogłeś to sprawdzić? – zainteresowała się Katrine.

Winter nie odpowiedział, dalej tylko kręcił głową.

– A teraz jeszcze na dodatek zapraszasz konkurencję! – prychnął.

– Może ty konkurujesz z Holem, bo ja nie – oświadczyła Katrine. – Dla mnie też będzie kawa?

Melling spojrzała na nią zaskoczona.

– A co do tych przecieków – podjęła Katrine – to podpowiedz mi, jak mam sprawdzić swoich współpracowników. Założyć im podsłuch? Czytać ich maile? Przesłuchać z użyciem chińskich tortur?

Winter popatrzył na Melling, jakby domagał się zdrowego rozsądku.

– Za to ja sprawdziłam co innego – ciągnęła Katrine. – Przeczytałam jeszcze raz to, co napisał Våge. Okazuje się, że wszystkie informacje, jakie pozornie zdobył od któregoś z naszych śledczych, ukazywały się drukiem już po tym, jak znalazły się w raportach umieszczonych w systemie BL. Co z kolei oznacza, że może to być przeciek od każdego pracownika komendy, który ma dostęp do tych plików. Niestety system nie wyłapuje, kto oglądał jakie pliki.

– To nieprawda! – uniósł się Winter.

– Owszem, prawda – nie ustępowała Katrine. – Rozmawiałam z naszym informatykiem.

– Chodziło mi o to, że nie wszystko, co pisze Våge, było w raportach. – Zgarnął gazetę ze stołu i przeczytał na głos: – Policja nie upubliczniła kilku groteskowych szczegółów, na przykład tego, że tatuaż na kostce Bertine Bertilsen został wycięty i ponownie przyszyty. – Odrzucił gazetę z powrotem na stolik. – Tego nie było w żadnych raportach!

– Mam nadzieję – odparła Katrine. – Bo to wyssane z palca. Våge zmyśla. A o to chyba nie można mieć pretensji do nas, prawda?

***

– Dzięki, Nino – powiedział Harry ze wzrokiem wbitym w półlitrową szklankę, którą starsza kelnerka właśnie przed nim postawiła.

– W każdym razie – westchnęła Nina, jakby kontynuowała jakąś niewypowiedzianą myśl – miło cię znów zobaczyć.

– Co z nią nie tak? – spytał Truls, który już siedział przy stoliku pod oknem U Schrødera, kiedy Harry przyszedł o umówionej godzinie.

– Nie lubi mi nalewać.

– No to Schrøder nie jest dla niej właściwym miejscem pracy – zauważył Truls.

– Możliwe. Ale może zwyczajnie potrzebuje pieniędzy. – Harry przyłożył szklankę do ust, nie spuszczając wzroku z Trulsa.

– Czego ode mnie chciałeś? – spytał Truls.

Harry dostrzegł drżenie pod jego okiem.

– A jak myślisz?

– Nie wiem. Może znów zagrać w piłkę?

– Może. A co myślisz o tym? – Wyjął z kieszeni „Dagbladet” i położył przed Trulsem.

– O czym?

– O tym, co Våge pisze o tatuażu Bertine. Że został wycięty i przyszyty.

– Co myślę? Chyba to, że Våge jest dobrze poinformowany. Taką ma robotę.

Harry westchnął.

– Truls, nie pytam, żeby przeciągać. Chcę ci dać szansę, żebyś to powiedział, zanim sam to zrobię.

Truls siedział z rękami na dziurawym obrusie. Między jego dłońmi leżała papierowa serwetka. Niczego nie zamówił. Niczego nie chciał. Jego dłonie były czerwone w kontraście z białą serwetką i wyglądały na nadmuchane, spuchnięte. Jakby miały się skurczyć i zmienić w rękawiczki, gdyby tylko Harry wbił w nie szpilkę.

Truls wysunął czoło, które przybrało ciemnoczerwony kolor, taki, jaki ma diabeł w komiksach.

– Nie wiem, o czym mówisz – oznajmił.

– Wiesz. To ty karmisz Terry’ego Våge.

– Ja? Oszalałeś? Przecież nie jestem nawet członkiem grupy śledczej.

– Przekazujesz Vågemu informacje tak samo jak nam. Czytasz raporty od razu, gdy tylko trafią do BL dziewięćdziesiąt sześć. Robiłeś to już wtedy, kiedy się z tobą skontaktowałem, więc nic dziwnego, że przyjąłeś moją ofertę. Teraz dostajesz podwójne pieniądze za tę samą robotę. W dodatku pewnie Våge płaci jeszcze więcej za raporty ze spotkań Grupy Aunego.

– Co do jasnej cholery? Ja nie...

– Zamknij się, Truls.

– Kurwa, nie zamierzam... – Poderwał się gwałtownie.

– Zamknij się! I siadaj!

Przy kilku stolikach, przy których siedzieli goście, zapadła cisza. Nikt nie gapił się otwarcie, wszyscy mieli głowy spuszczone nad swoimi piwami i zerkali jedynie kątem oka. Harry położył rękę na dłoni Trulsa i tak mocno wcisnął ją w blat, że Truls nie miał innego wyjścia, jak usiąść z powrotem. Harry nachylił się i ciągnął już ściszonym głosem:

– Tak jak mówiłem, nie zamierzam tego przeciągać. Więc ci powiem. Zacząłem coś podejrzewać, kiedy Våge napisał o śledczych zastanawiających się, czy Røed nie zlecił tych morderstw i nie kazał ich upozorować na zabójstwa na tle seksualnym. Rozmawialiśmy o tym w Grupie Aunego, a takie podejście do sprawy jest na tyle dziwne, że spytałem Katrine, czy oni brali coś takiego pod uwagę. Okazało się, że nie. Dlatego wymyśliłem tę historię z tatuażem Bertine i powiedziałem o tym tobie. Wyłącznie tobie. Dodałem, że w komendzie wszyscy

o tym wiedzą, żebyś mógł się czuć bezpieczny i przekazać to dalej w przekonaniu, że nic nie wskaże na ciebie. I rzeczywiście, minęło ledwie parę godzin, a Våge już o tym napisał. Tak to wygląda, Truls.

Truls Berntsen patrzył przed siebie z twarzą bez wyrazu. W końcu sięgnął po serwetkę i zgniótł ją w palcach, tak jak zrobił poprzednio z przegranym kuponem na torze Bjerke.

– W porządku – rzucił. – Sprzedałem trochę newsów. A wy się odpierdolcie, bo nic złego się nie stało. Våge nigdy nie dostał żadnych informacji, które mogłyby zaszkodzić śledztwu.

– To twoja ocena, Truls, ale o tym nie będziemy dyskutować.

– Rzeczywiście nie będziemy, bo ja spadam. Adios. Możesz sobie wziąć tę kasę Røeda i podetrzeć nią dupę.

– Siedź, powiedziałem. – Harry uśmiechnął się krzywo. – A papier toaletowy mają w The Thief znakomity. Taki mięciutki, że człowiek ma ochotę wysrać się jeszcze raz. Czułeś kiedyś coś takiego?

Truls Berntsen miał głupią minę, jakby nie zrozumiał pytania, ale siedział.

– Dostaniesz szansę wysrania się po raz drugi – oświadczył Harry. – Vågemu powiesz, że straciłeś dostęp do BL dziewięćdziesiąt sześć, od tej pory niech radzi sobie sam. A mnie powiesz, ile masz tego długu. I nikomu już nie piśniesz ani słówkiem, co się dzieje w Grupie Aunego.

Truls patrzył na Harry’ego zdezorientowany. Z trudem przełknął ślinę. Zamrugał.

– Trzysta tysięcy – burknął w końcu. – Tak mniej więcej.

– Mhm. Sporo. A termin spłaty?

– Dawno minął. Można powiedzieć, że odsetki biegną.

– Jakaś nerwowa windykacja?

Truls pociągnął nosem.

– Nie tylko obcęgi. Grożą wszystkim, czym tylko się da. Cały czas muszę się oglądać przez ramię. Nie masz pojęcia, jak to jest.

– Rzeczywiście nie mam pojęcia. – Harry zamknął oczy. Tej nocy śniły mu się skorpiony. Wpełzały do pokoju szczeliną pod drzwiami i wyłaniały się spod listew przypodłogowych, wchodziły przez szpary w oknach i gniazdka w ścianach.

Spojrzał na swoje piwo. Cieszył się na następne dwie godziny i bał się ich. Wczoraj upił się do nieprzytomności i dzisiaj też miał taki zamiar. Oficjalnie pękł. – Dobra, zdobędę dla ciebie tę kasę. Jutro, okej? Oddasz mi, jak będziesz mógł.

Truls Berntsen dalej mrugał. Teraz oczy miał już wilgotne.

– Dlaczego... – zaczął.

– Nie wzruszaj się aż tak – stwierdził Harry. – To nie z sympatii. Po prostu jesteś mi potrzebny.

Truls wpatrywał się w niego, jakby nie mógł zdecydować, czy Harry żartuje, czy nie.

Harry wziął do ręki szklankę.

– Teraz już nie musisz tu dłużej siedzieć, Berntsen.

Była ósma wieczorem.

Harry zwiesił głowę. Zorientował się, że siedzi na krześle, a na spodniach od garnituru ma ślady wymiocin. Ktoś coś powiedział. I teraz ten głos rozległ się ponownie:

– Harry?

Podniósł głowę. Pomieszczenie wirowało, a twarze zwrócone w jego stronę rozpływały się, ale i tak je rozpoznawał. Widywał je i znał od lat. Bezpieczne twarze. Grupa Aunego.

– Na tych spotkaniach nie ma wymogu trzeźwości – dotarł do niego głos. – Ale stan umożliwiający wypowiadanie się jest zaletą. Harry, jesteś w stanie mówić?

Przełknął ślinę. Przypomniał sobie teraz ostatnie godziny. Chciał pić i pić, aż nic już nie będzie, żadnego alkoholu, żadnego bólu, żadnego Harry’ego Hole. W jego głowie nie będzie wszystkich tych wzywających pomocy głosów, którym nie mógł pomóc. Tego zegara tykającego coraz głośniej. Czy nie mógł ich utopić w alkoholu i nie dbać już o nic, pozwolić, żeby czas upłynął? Zawodzić. To jedyne, co potrafił. Dlaczego więc mimo wszystko sięgnął po telefon, zadzwonił pod ten numer i przyszedł tutaj?

Nie, ludzie siedzący na krzesłach ustawionych w kręgu, którego był również częścią, to nie Grupa Aunego.

– Cześć – odezwał się z taką ilością żwiru w głosie, że zabrzmiało to jak wykolejający się pociąg. – Mam na imię Harry i jestem alkoholikiem.

23

Piątek. Żółta kłoda

– Ciężka noc? – spytała kobieta, która otworzyła Harry’emu drzwi.

Helene Røed była drobniejsza, niż to sobie wyobrażał. Miała na sobie obcisłe dżinsy i czarny golf, jasne włosy przytrzymywała prosta opaska. Harry stwierdził, że żona Røeda jest równie ładna, jak na zdjęciach.

– Aż tak to widać? – odparł, wchodząc do środka.

– Ciemne okulary o dziesiątej rano? – Ruszyła przed nim w głąb olbrzymiego, jak już się domyślał, mieszkania. – A ten garnitur jest zbyt elegancki, żeby był w takim stanie – rzuciła przez ramię.

– Dzięki – powiedział Harry.

Roześmiała się i wprowadziła go do dużego pomieszczenia – salonu połączonego z otwartą kuchnią i kuchenną wyspą.

Światło dzienne wpadało tu ze wszystkich stron. Beton, drewno, szkło. Domyślał się, że wszystko najwyższej jakości.

– Kawy?

– Chętnie.

– Już miałam spytać jakiej, ale wygląda mi pan na kogoś, kto pije wszystko.

– Wszystko. – Harry uśmiechnął się krzywo.

Wcisnęła guzik błyszczącego metalowego ekspresu, uruchamiając w ten sposób młynek, i opłukała pod kranem filtr. Harry powiódł wzrokiem po przedmiotach przymocowanych magnesami do podwójnych drzwiczek lodówki. Kalendarz. Dwa zdjęcia koni. Bilet z logo Teatru Narodowego.

– Wybiera się pani jutro na Romea i Julię? – spytał.

– Tak, to fantastyczne przedstawienie! Byłam z mężem na premierze. Markus niezbyt interesuje się teatrem, ale go sponsoruje, dlatego dostajemy mnóstwo biletów. Większość rozdałam na tamtej imprezie, bo uważam, że ludzie po prostu

muszą zobaczyć ten spektakl. Ale gdzieś mam jeszcze dwa albo trzy. Widział pan Romea i Julię?

– O tyle o ile. Filmową wersję.

– No to koniecznie musi pan zobaczyć tę.

– Ja...

– Właśnie że tak! Proszę poczekać.

Helene Røed wyszła, a Harry dalej przyglądał się drzwiom lodówki.

Zdjęcia dwojga dzieci z rodzicami, zrobione chyba na wakacjach. Harry obstawiał, że to potomstwo rodzeństwa Helene. Żadnych fotografii jej czy Markusa. Ani razem, ani osobno. Podszedł do sięgających od podłogi do sufitu okien. Widok na całą zatokę Bjørvika i na Oslofjorden, zasłaniało go jedynie Muzeum Muncha. Usłyszał szybkie kroki Helene.

– Przepraszam za to muzeum – powiedziała, wręczając Harry'emu dwa bilety. – Nazywamy je Czarnobylem. Nie każdy architekt potrafi jednym budynkiem zepsuć całą dzielnicę, ale tym z estudio Herreros to się udało, tyle trzeba im przyznać.

– Mhm.

– Niech pan zaczyna to, po co pan przyszedł, Hole. Mam niezłą podzielność uwagi.

– Okej. Przede wszystkim chciałbym, żeby opowiedziała mi pani o tej imprezie. Oczywiście o Susanne i Bertine. Ale przede wszystkim o człowieku, który przyniósł kokainę.

– Aha, czyli pan o nim wie.

– Tak.

– Mam nadzieję, że nikt nie pójdzie do więzienia za odrobinę koki na stole.

– Nie. Zresztą i tak nie jestem policjantem.

– Zgadza się. Jest pan chłopaczkiem Markusa.

– Nim również nie jestem.

– Tak, Krohn mówił mi, że pan działa sam. Ale wie pan, jak to jest. Koniec końców władzę ma ten, kto płaci. – Uśmiechnęła się, lecz w tym uśmiechu był cień gorzkiej pogardy. Harry nie miał jednak pewności, czy była ona skierowana do niego, czy raczej do tego, kto płacił. A może do samej siebie.

Helene Røed, szykując kawę, opowiadała o imprezie. Harry zauważył, że jej wersja zgadza się z tym, co mówili Røed i Øystein. Facet z zieloną kokainą zjawił się na tarasie na dachu jakby znikąd, podszedł do niej i do Markusa. Chyba sam się wprosił na imprezę. Nawet jeśli tak, to nie był jedyny.

– Nosił maseczkę, ciemne okulary i dużą czapkę z daszkiem, więc wyglądał dość odjazdowo w tym towarzystwie. Nalegał, żebyśmy ja i Markus przetestowali jego proszek, ale powiedziałam mu, że to nie wchodzi w grę, bo obiecaliśmy sobie z mężem, że nigdy więcej tego nie tkniemy. A potem, zaledwie kilka minut później, zorientowałam się, że Markus zniknął z paroma innymi osobami. Od początku miałam swoje podejrzenia, bo jednym z gości na imprezie był facet, od którego mój mąż zazwyczaj kupuje kokainę. Weszłam do mieszkania. To było takie żałosne... – Zamknęła oczy i położyła sobie rękę na czole. – Markus stoi pochylony nad stołem, tę ohydną rurkę ma już głęboko w nosie. Na moich oczach łamie daną mi obietnicę. I właśnie wtedy przez ten swój kokainowy nos zaczyna kichać i wszystko psuje. – Znów otworzyła oczy i popatrzyła na Harry’ego. – Chciałabym umieć się z tego śmiać.

– Z tego, co zrozumiałem, diler w maseczce usiłował zgarnąć z podłogi dość proszku, żeby Markus mógł usypać kreskę.

– No tak. Albo może tylko sprzątał po sobie. Przecież starł nawet smarki Markusa ze stolika. – Wskazała duży szklany stół przy kanapie w salonie. – Pewnie chciał zrobić dobre wrażenie, żeby Markus został jego stałym klientem. No bo kto by tego nie chciał? Może pan już się zorientował, że mój mąż nie jest typem, który się targuje. Woli zapłacić z górką niż nie dopłacić. To mu daje poczucie władzy. A raczej po prostu władzę.

– Pani uważa, że władza jest dla niego ważna?

– A nie jest tak dla nas wszystkich?

– No cóż, dla mnie nie. Co prawda to tylko samoanaliza.

Usiedli przy wąskim stole naprzeciwko siebie. Helene Røed patrzyła na Harry’ego w taki sposób, jakby oceniała sytuację. Jakby oceniała, ile ma powiedzieć. Jakby oceniała jego.

– Dlaczego pan ma metalowy palec? – spytała, wskazując na jego dłoń.

– Bo pewien człowiek obciął mi ten, który miałem. To długa historia.

Nie spuszczała z niego oczu.

– Czuć od pana nieprzetrawioną wódą. I rzygami.

– Przepraszam. Wczoraj źle się poczułem i nie zdążyłem sprawić sobie nowego ubrania.

Uśmiechnęła się lekko, jakby do siebie.

– Wie pan, jaka jest różnica między mężczyzną atrakcyjnym a pociągającym?

– Nie. Jaka?

– Spytałam, bo sama tego nie wiem.

Harry wytrzymał jej spojrzenie. Czyżby próbowała z nim flirtować?

Przeniosła wzrok na ścianę za jego plecami.

– Wie pan, co mnie pociągało w Markusie? Oczywiście oprócz nazwiska i pieniędzy.

– Nie.

– Że był pociągający dla innych. Czy nie jest dziwne, że to się samo nakręca?

– Rozumiem, co ma pani na myśli.

Pokiwała głową, jakby z rezygnacją.

– Markus ma jeden jedyny talent: potrafi wysłać sygnał, że to on decyduje. Jest jak ta osoba w szkole, która nagle przejmuje dowodzenie i określa, kto wejdzie do danego kręgu, a kto się znajdzie poza nim. Kiedy ktoś tak jak Markus już zasiądzie na towarzyskim tronie, to ma władzę, a władza rodzi władzę. A nie ma nic, absolutnie nic bardziej pociągającego niż władza. Rozumie pan, Harry? To nie wykalkulowany oportunizm sprawia, że kobiety zakochują się we władzy, tylko biologia. Władza jest sexy. I kropka.

– Okej – powiedział Harry. Helene Røed przypuszczalnie nie flirtowała.

– A kiedy ktoś tak jak mój mąż nauczy się lubić tę władzę, to boi się śmiertelnie, że ją straci. Markus dobrze sobie radzi z ludźmi, ale ponieważ on i jego rodzina mają władzę, to ludzie raczej się go obawiają, niż go lubią. Jego akurat to dręczy. Ważne dla niego jest, żeby był lubiany. Nie przez tych, którzy nic nie znaczą, bo ci go nie obchodzą. Chodzi mu o tych, z którymi chce się identyfikować, których traktuje jak równych sobie. Studiował w Wyższej Szkole Handlowej, ponieważ miał przejąć rodzinne przedsiębiorstwo nieruchomości, ale więcej tam było imprezowania niż studiów. Aż w końcu musiał wyjechać za granicę, żeby zrobić dyplom. Ludzie sądzą, że świetnie sobie radzi w pracy, ponieważ firma ma zyski,

ale jeśli się było w branży nieruchomości przez ostatnich pięćdziesiąt lat, to po prostu nie dało się nie zarobić. Prawdę mówiąc, Markus był jednym z tych niewielu, którzy o mało nie rozwalili swojej firmy, ale co najmniej dwa razy bank go ratował. Mimo to otacza go blask, pieniądze opowiadają wyłącznie historię sukcesu, jakiej ludzie chcą słuchać. Ja zresztą też. – Westchnęła. – Miał swój stolik w tej restauracji, gdzie mężczyźni z pieniędzmi, którzy lubią dziewczyny robiące to, co im się każe, podrywają dziewczyny, które lubią mężczyzn z pieniędzmi i robią to, co im się każe. Brzmi to banalnie i jest banalne. Wiedziałam, że Markus ma za sobą jedno małżeństwo, ale zakończyło się już wiele lat temu i od tamtej pory pozostawał singlem. Przypuszczałam, że nie spotkał właściwej kobiety. I że jestem nią ja.

– I była nią pani?

Wzruszyła ramionami.

– Pewnie tak. Trzydzieści lat młodszą lalką, którą można było się pochwalić, umiejącą konwersować z jego równolatkami bez przynoszenia mu wstydu, no i utrzymującą porządek w domu. Pytanie powinno raczej brzmieć: czy on był właściwym mężczyzną dla mnie? Dużo czasu minęło, zanim je sobie postawiłam.

– I?

– Teraz mieszkam tutaj, a on w jakiejś klitce na Frogner.

– Mhm. Mimo to oba te wtorki, kiedy zniknęły dziewczyny, spędziliście razem.

– Razem?

Harry miał wrażenie, że dostrzega w jej oczach wyzwanie.

– Tak pani powiedziała policji.

Uśmiechnęła się przelotnie.

– Więc pewnie właśnie tak było.

– Próbuje mi pani przekazać, że nie mówiła pani prawdy?

Pokręciła głową ze zrezygnowaną miną.

– Kto z was dwojga bardziej potrzebuje alibi: mąż czy pani? – spytał Harry, z uwagą śledząc jej reakcję.

– Ja? Chce pan powiedzieć, że ja miałabym... – Wyraz zaskoczenia z jej twarzy zniknął i w pokoju rozległ się śmiech.

– Ma pani motyw – zauważył Harry.

– Nie. Nie mam motywu. Pozwoliłam Markusowi na wszystko pod jednym warunkiem: że nie będzie mnie stawiał w kłopotliwej sytuacji. I że nie da im moich pieniędzy.

– Pani pieniędzy?

– Jego, naszych, moich, wszystko jedno. Nie sądzę, żeby te dwie dziewczyny miały takie plany. Nie były też zbyt drogie w utrzymaniu. W każdym razie wkrótce pan zrozumie, że naprawdę nie mam motywu. Dziś rano mój adwokat wysłał do Krohna pismo z oświadczeniem, że chcę się rozwieść i będę się domagać połowy wszystkiego. Rozumie pan? Nie chcę Markusa. Niech go sobie biorą te, które chcą. Ja chcę mieć tylko swoją szkołę jazdy konnej. – Zaśmiała się zimno. – Dziwi to pana?

– Mhm. Pewien producent filmowy w Los Angeles powiedział mi, że najdroższą nauką jest pierwszy rozwód. Dopiero wtedy człowiek się uczy, że przy kolejnym małżeństwie należy zadbać o rozdzielność majątkową.

– Ależ my mamy rozdzielność majątkową! Z poprzednią żoną też ją miał. Markus nie jest głupi. Ale dzięki temu, co wiem, da mi wszystko, czego zażądam.

– A co takiego pani wie?

Uśmiechnęła się szeroko.

– To jest właśnie moja karta przetargowa, Harry, więc nie mogę tego zdradzić. Jest duża szansa na to, że będę musiała podpisać umowę o zachowaniu poufności. Na Boga, mam nadzieję, że ktoś się w końcu dogrzebie do tego, co Markus robił, ale to się musi stać bez mojej pomocy. Wiem, że to brzmi cynicznie, ale akurat teraz muszę ratować siebie, a nie świat. Sorry.

Harry chciał coś powiedzieć, lecz się powstrzymał. Widział, że Helene Røed nie pozwoli sobą manipulować ani na nic się namówić.

– Dlaczego pani się zgodziła na to spotkanie? – spytał. – Skoro pani wiedziała, że nic mi nie powie.

Wysunęła dolną wargę i pokiwała głową.

– Dobre pytanie. No właśnie. A tak w ogóle to ten pański garnitur trzeba oddać do pralni chemicznej. Dam panu jedno z ubrań Markusa. Nosicie chyba mniej więcej ten sam rozmiar.

– Słucham?

Ale ona już podniosła się z miejsca i ruszyła w głąb mieszkania.

– Spakowałam kilka garniturów, w które już się nie zmieści, bo za bardzo przytył, i zamierzam je oddać Armii Zbawienia! – zawołała.

Pod jej nieobecność wstał i jeszcze raz podszedł do lodówki. Dopiero teraz zauważył, że Helene jednak była na zdjęciu – trzymała konia za uzdę. Bilet na Romea i Julię na jutro. Spojrzał na kalendarz. Zanotował w pamięci, że na najbliższy czwartek zaplanowano „wycieczkę konną w Valdres". Helene wróciła z czarnym garniturem i pokrowcem.

– Dziękuję za troskliwość, ale wolę sam sobie kupować ubrania – powiedział Harry.

– Światu potrzeba więcej recyklingu. A to jest garnitur Brioni Vanquish Two. Grzechem byłoby go wyrzucić. No dalej, niech pan da planecie szansę!

Harry patrzył na nią. Wahał się. Coś jednak mu mówiło, że powinien ulec. Zdjął marynarkę i włożył tę drugą.

– Pan jest chudszy, niż Markus był nawet wtedy – oceniła Helene, przechylając głowę. – Ale jesteście tego samego wzrostu i tak samo barczyści, więc nie jest źle.

Podała mu spodnie. Nie odwróciła się, gdy je zmieniał.

– Idealnie – stwierdziła, naciągając pokrowiec na wieszak z garniturem Harry'ego. – Dziękuję w imieniu przyszłych pokoleń. A jeśli nie ma pan więcej pytań, to czeka mnie teraz spotkanie na Zoomie.

Harry kiwnął głową, biorąc od niej pokrowiec z ubraniem. Helene odprowadziła go do przedpokoju, otworzyła i przytrzymała mu drzwi.

– Przypomniała mi się jedyna dobra rzecz w Muzeum Muncha – powiedziała. – A mianowicie sam Edvard Munch. Niech pan pójdzie zobaczyć Żółtą kłodę. Miłego dnia.

Thanh przepchnęła się ze stojakiem reklamowym przez drzwi sklepu z artykułami dla zwierząt Mons. Rozsunęła nogi potykacza i ustawiła go w widocznym miejscu przy wystawie, ale w taki sposób, żeby niczego nie zasłaniał. Nie chciała testować życzliwości Jonathana, stojak reklamował wszak jej prywatny biznes – opiekę nad psami.

Oderwała wzrok od reklamy i spojrzała na swoje odbicie w wystawie. Miała już dwadzieścia trzy lata, ale wciąż nie bardzo wiedziała, kim zostanie. Wiedziała tylko, kim chciałaby zostać: weterynarzem. Ale wymagania, jakie należało spełnić,

aby zostać przyjętym na studia weterynaryjne w Norwegii, były ogromne. Należało mieć jeszcze lepsze oceny niż na medycynę, a rodziców nie było stać na wysłanie jej na studia za granicę. Razem z mamą oglądały jednak oferty studiów na Słowacji i Węgrzech i doszły do wniosku, że to mogłoby się udać, gdyby Thanh przepracowała parę lat w Mons, jednocześnie opiekując się psami przed otwarciem i po zamknięciu sklepu.

– Przepraszam, czy to pani jest tu kierowniczką? – rozległ się głos za jej plecami.

Odwróciła się. Mężczyzna miał azjatycki wygląd, ale nie pochodził z Wietnamu.

– Szef sprząta za ladą. – Wskazała na drzwi.

Odetchnęła jesiennym powietrzem i rozejrzała się po placu. Vestkanttorget. Piękne stare kamienice, drzewa, skwer. Tutaj powinno się mieszkać. Ale oczywiście trzeba umieć wybierać. W zawodzie weterynarza człowiek się nie wzbogaci. A ona wolała być weterynarzem.

Weszła do niedużego przytulnego sklepu. Zdarzało się, że ludzie – a zwłaszcza dzieci – wyrażali rozczarowanie, gdy po wejściu widzieli tylko półki z karmą dla zwierząt, rozmaitymi klatkami, smyczami i innym wyposażeniem. „A gdzie są zwierzęta?”

Czasami oprowadzała dzieci, pokazując to, co mieli: rybki w akwariach, klatki z chomikami, szczurami i królikami, terraria z owadami.

Podeszła do akwariów ze zbrojnikami – glonojadami. Uwielbiały warzywa. Przyniosła im z domu trochę groszku i ogórka, które zostały z obiadu. Usłyszała, jak mężczyzna mówi właścicielowi, że jest z policji i że znaleziono torebkę po środku Hillman Pets, wyprodukowaną już po wprowadzeniu zakazu jego stosowania. Spytał, czy coś im o tym wiadomo, ponieważ Mons był wcześniej importerem i jedynym miejscem sprzedaży Hillman Pets.

Zobaczyła, że właściciel w milczeniu tylko kręci głową. Wiedziała, że policjant nieźle się napracuje, nim skłoni Jonathana do mówienia. Jej szef był introwertykiem, milczkiem. Kiedy już w ogóle się odzywał, to krótkimi zdaniami, trochę tak, jak były chłopak Thanh w SMS-ach, w których przysyłał same hasła, tylko małe litery bez znaków przestankowych czy emotikonów. Jonathan mógł też sprawiać wrażenie, że jest zły albo zirytowany, jakby słowa stanowiły niepotrzebne obciążenie. Przez pierwsze miesiące pracy uważała, że to nieprzyjemne. Zastanawiała się, czy on jej nie lubi. Może dlatego, że sama pochodziła z rodziny,

w której wszyscy mówili jeden przez drugiego. Z czasem zrozumiała, że to nie w niej jest problem, tylko w nim. Że on wcale nie czuje do niej antypatii. Może wprost przeciwnie.

– Widziałem w internecie, że wielu właścicieli psów krytykuje wprowadzenie tego zakazu, bo Hillman Pets jest o wiele skuteczniejszy od innego środka, będącego teraz na rynku.

– To prawda.

– Dlatego można sobie wyobrazić, że ktoś mógłby nieźle zarobić, omijając zakaz i sprzedając Hillman Pets spod lady.

– Nie wiem.

– Nie?

Thanh zauważyła, że policjant czeka na odpowiedź, ale Jonathan milczał.

– A pan – policjant podjął jeszcze jedną próbę – nic nie sprowadził?

Jonathan odpowiedział tak cicho i tak głębokim tonem, że zabrzmiało to jedynie jak wibracja w powietrzu:

– Pyta pan, czy przemycałem?

– A przemycał pan?

– Nie.

– I nie wie pan nic, co mogłoby mi pomóc w uzyskaniu informacji, kto mógł zdobyć torebkę Hillman Pets z tego roku?

– Nie.

– Nie – powtórzył policjant i zakołysał się na butach, rozglądając się po sklepie.

Zachowuje się tak, jakby nie miał zamiaru ustąpić, stwierdziła w duchu Thanh. Jakby tylko obmyślał kolejny ruch.

Jonathan chrząknął.

– Sprawdzę w biurze, czy nie mam listy osób, które zamawiały to ostatnio. Proszę zaczekać.

– Dziękuję.

Jonathan przecisnął się obok Thanh w ciasnym przejściu między akwariami i klatkami z królikami. Dostrzegła w jego oczach coś, czego wcześniej w nich nie widziała. Jakiś niepokój, wręcz lęk. I bardziej niż zwykle czuć było od niego pot. Wszedł do kantorka, ale drzwi zostawił uchylone, a ona ze swojego miejsca mogła

zobaczyć, że nakrył kocem terrarium. Wiedziała, co w nim jest. Ten jeden raz, kiedy zaprowadziła tam jakieś dzieci, żeby im to pokazać, Jonathan się wściekł i oświadczył, że klienci nie mają czego szukać w biurze. Ale ona dobrze wiedziała, że to wcale nie dlatego. Chodziło mu o to stworzenie. Nie chciał, żeby ktokolwiek je zobaczył. Jonathan był w porządku jako szef, dostawała wolne, kiedy o nie prosiła, i nawet sam z siebie podniósł jej pensję. Ale dziwne było przebywać z kimś tak blisko – pracowali tu przecież tylko we dwoje – a mimo to nic nie wiedzieć o tej drugiej osobie. Czasami mogło się wydawać, że Jonathan lubi ją trochę za bardzo, kiedy indziej, że wcale. Był od niej starszy, ale nie tak dużo, oceniała go na mniej więcej trzydziestkę, powinni więc mieć sporo wspólnych tematów, mimo to na ogół odpowiadał jej krótko i ucinał wątek, gdy próbowała nawiązać rozmowę. Kiedy indziej z kolei przyglądał się jej, przypuszczając, że ona tego nie widzi. Czy się nią interesował? Czy jego milkliwość była oznaką złego humoru, wstydliwości, czy może raczej próbą ukrycia swoich uczuć do niej? A może tylko to sobie wmawiała? Snuła wymysły, jakie snuje człowiek, kiedy się nudzi, gdy dni się dłużą, a innych rozrywek nie ma. Czasami myślała, że Jonathan zachowuje się jak chłopcy w podstawówce rzucający śnieżkami w dziewczyny, w których się podkochują. Tylko że on był dorosły. To było dziwne. On był dziwny. Niewiele jednak mogła z tym zrobić. Musiała go akceptować, bo przecież potrzebowała tej pracy.

Jonathan znów szedł w jej stronę. Odsunęła się, przylgnęła do akwarium najbardziej, jak mogła, a mimo to otarł się o nią ciałem.

– Przykro mi, nic nie znalazłem – oświadczył. – Za dużo czasu minęło.

– Aha – powiedział policjant. – A co pan zakrył w kantorku?

– Słucham?

– Wydaje mi się, że usłyszał pan moje pytanie. Mogę to zobaczyć?

Jonathan miał cienką białą szyję porośniętą krótkimi czarnymi włoskami. Thanh czasami myślała sobie, że dobrze by było, gdyby staranniej się golił. A teraz patrzyła, jak grdyka na tej szyi porusza się w górę i w dół. Zrobiło jej się go prawie żal.

– Oczywiście. Może pan tam oglądać, co pan chce. – Jonathan znów mówił tym swoim głębokim niskim głosem. – Tylko najpierw proszę mi pokazać nakaz przeszukania.

Policjant cofnął się o krok i lekko przechylił głowę, jakby uważniej przyglądał się Jonathanowi. Jakby ponownie go oceniał.

– Zapamiętam to sobie – oświadczył. – A na razie dziękuję za pomoc.

Odwrócił się i ruszył do drzwi. Thanh posłała mu uśmiech, ale nie doczekała się niczego podobnego w odpowiedzi.

Jonathan otworzył karton z karmą dla rybek i zaczął zawieszać torebki na statywach za ladą. Thanh poszła do toalety, do której wchodziło się przez kantorek, a kiedy stamtąd wyszła, Jonathan już czekał.

Trzymał coś w ręku i wślizgnął się do środka, nie zamykając drzwi.

Spojrzenie Thanh odruchowo przesunęło się na terrarium. Koc był zdjęty, a szklany pojemnik pusty.

Usłyszała, że Jonathan pociąga za sznurek nad starym sedesem, spłuczka zadziałała. Thanh odwróciła się i zobaczyła szefa przy malutkiej umywalce. Starannie namydlał ręce. Potem odkręcił kran z ciepłą wodą. Pocierał dłonie pod strumieniem tak gorącym, że para buchała mu w twarz. Thanh wiedziała dlaczego – z powodu pasożytów.

Przełknęła ślinę. Kochała zwierzęta. Wszystkie. Również, a może przede wszystkim te, które ludzie uważali za wstrętne. Wiele osób brzydziło się ślimaków, lecz ona ciągle pamiętała tamte niedowierzające podniecone buzie, gdy pokazała dzieciom wielkiego jaskraworóżowego ślimaka i usiłowała wytłumaczyć, że nie, wcale go nie pomalowali, taki jest jego naturalny kolor.

Może właśnie dlatego zalała ją nagła fala nienawiści. Nienawiści do tego człowieka, który wcale nie kochał zwierząt. Pomyślała o tamtym słodkim dzikim lisiątku. Ktoś je tu przyniósł, a on jeszcze wziął za to pieniądze, prawda? Zajmowała się małym liskiem i pokochała to samotne, opuszczone zwierzątko. Nawet nadała mu imię: Nhi, czyli „mały”. Ale gdy pewnego dnia przyszła do pracy, nie zastała liska w klatce. Ani nigdzie indziej. A kiedy spytała o niego Jonathana, odparł tylko na swój zwykły odpychający sposób: „Nie ma”. Thanh nie zadawała więcej pytań, bo nie chciała potwierdzenia czegoś, co i tak rozumiała.

Jonathan zakręcił kran, wyszedł z łazienki i z pewnym zaskoczeniem spojrzał na Thanh, która stała na środku kantorka z rękami założonymi na piersi.

– Nie ma? – spytała.

– Nie ma – odparł, siadając przy biurku zawalonym papierami, których nigdy nie mieli czasu przejrzeć.

– Utonął?

Spojrzał na nią tak, jakby wreszcie zadała pytanie, które go zainteresowało.

– Możliwe. Niektóre ślimaki mają skrzela, ten z Mount Kaputar ma płuca. Wiem jednak, że ślimaki, które mają płuca, potrafią przeżyć pod wodą nawet dobę, zanim w końcu utoną. Masz nadzieję, że on przeżyje?

– Oczywiście. A ty nie?

Wzruszył ramionami.

– Wydaje mi się, że dla kogoś oderwanego od swoich najbliższych, kto trafi w obce środowisko, najlepsza jest śmierć.

– Tak?

– Samotność jest gorsza niż śmierć, Thanh.

Obrzucił ją spojrzeniem, którego nie potrafiła odczytać.

– Z drugiej strony – w zamyśleniu podrapał się po nieogolonej szyi – akurat ten ślimak nie jest być może aż tak samotny, ponieważ jest obupłciowy. W kanalizacji znajdzie pożywienie. Rozmnoży się... – Popatrzył na swoje umyte ręce. – Zarazi wszystko inne, co tam żyje, szczurzym nicieniem płucnym i w końcu przejmie panowanie nad całym podziemnym światem Oslo.

Thanh poszła z powrotem do akwariów, słuchając dobiegającego z kantorka śmiechu szefa. Słyszała ten śmiech tak rzadko, że zabrzmiał w jej uszach obco, dziwnie, ba, niemal strasznie.

Harry wpatrywał się w malowidło przed sobą, które przedstawiało ścięty pień drzewa zwrócony szerszym żółtym końcem w stronę widza, a ciągnący się w głąb leśnego pejzażu. Na tabliczce przy obrazie przeczytał: Żółta kłoda. Edvard Munch. 1912.

– Dlaczego pytał pan akurat o to dzieło? – zainteresował się chłopak w czerwonym T-shircie; jego ubiór wskazywał, że to pracownik muzeum.

– No cóż. – Harry spojrzał na stojącą obok parę Japończyków. – Dlaczego ludzie chcą oglądać akurat ten obraz?

– Z powodu złudzenia optycznego – wyjaśnił chłopak.

– Tak?

– Przesuńmy się. Przepraszam.

Wyglądająca na Japończyków para z uśmiechem umożliwiła im przejście nieco na bok.

– Widzi pan? Wydaje się, że koniec tej kłody celuje prosto w nas, bez względu na to, po której stronie obrazu staniemy.

– Mhm. A więc przesłanie mówi...

– Hm. – Chłopak się zastanowił. – Na przykład że rzeczy nie zawsze są takie, na jakie wyglądają?

– No tak – odparł Harry. – Albo że trzeba się przesunąć i spojrzeć pod innym kątem, żeby zobaczyć całość. W każdym razie dziękuję.

– Nie ma za co – rzucił chłopak i odszedł.

Harry dalej stał wpatrzony w malowidło. Przede wszystkim po to, by jego oczy mogły odpocząć, patrząc na coś pięknego, po przejechaniu schodami ruchomymi przez budynek, przy którym nawet w środku komenda policji wydawała się ludzka i przytulna.

Wyjął telefon i zadzwonił do Krohna.

Czekając na odpowiedź, poczuł pulsowanie w skroniach. Zwyczajna rzecz po przepiciu. I pomyślał sobie, że jego puls spoczynkowy wynosi około sześćdziesięciu. Że jeśli dalej będzie tu stał i oglądał dzieła sztuki, to innymi słowy, ma nieco mniej niż czterysta tysięcy uderzeń serca, zanim Lucille zostanie zabita. Sporo mniej, jeśli wpadłby w panikę i podniósł alarm w nadziei, że policja ją znajdzie... Tylko gdzie? Gdzieś w Meksyku?

– Słucham, Krohn.

– Tu Harry. Potrzebuję zaliczki w wysokości trzystu tysięcy koron.

– Na co?

– Nieprzewidziane wydatki.

– Możesz powiedzieć konkretniej?

– Nie.

Na chwilę zapadła cisza.

– Dobrze. Przyjdź do kancelarii.

Chowając telefon z powrotem do kieszeni marynarki, Harry zorientował się, że coś w niej jest. Wyjął to. Maska. A raczej półmaska przedstawiająca kota. Pewnie z jakiegoś balu przebierańców, w którym Markus Røed brał udział. Harry sprawdził też drugą kieszeń i rzeczywiście, również nie była pusta. Wyjął zalaminowaną kartę. Wyglądała na legitymację członkowską czegoś, co nazywało się Villa Dante, ale zamiast pola „Nazwisko” widniało określenie „Pseudonim”. Pseudonimem na karcie było „Catman”.

Harry znów spojrzał na obraz.

Spojrzeć pod innym kątem.

Mam nadzieję, że ktoś się w końcu dogrzebie do tego, co Markus robił.

Helene Røed nie zapomniała o opróżnieniu kieszeni. Może nawet sama to tam włożyła.

24

Piątek. Kanibal

– Mogę ci dać nakaz przeszukania wyłącznie wówczas, gdy są uzasadnione powody do podejrzeń.

– Wiem. – Sung-min przeklął w duchu paragraf sto dziewięćdziesiąt dwa Kodeksu postępowania karnego. Telefon trzymał tuż przy uchu i wpatrywał się w ścianę pozbawionego okien pokoju. Jak ten Hole wytrzymał tutaj przez tyle lat? – Ale uważam, że jest ponad pięćdziesiąt procent szans na to, że znajdziemy tam coś nielegalnego. Facet się poci, nie patrzy w oczy, a potem narzuca koc na coś, co z całą pewnością chce ukryć.

– Rozumiem. Tylko że twoje podejrzenia nie wystarczą. Zgodnie z paragrafem muszą być konkretne punkty zaczepienia.

– Ale...

– Wiesz też, że jako policyjny prawnik mogę ci wydać nakaz przeszukania tylko w sytuacji, jeżeli zwłoka będzie niekorzystna dla śledztwa. Czy tak jest i czy będziesz w stanie później udowodnić konieczność takiego pośpiechu?

Sung-min ciężko westchnął.

– Nie.

– Jakieś dowody innych przestępstw, które mogą być wykorzystane jako podstawa?

– Żadnych.

– Czy ten człowiek był wcześniej karany?

– Nie.

– Masz cokolwiek?

– Posłuchaj. Słowo „przemyt” pojawia się zarówno w związku z imprezą u Røeda, jak i w połączeniu z miejscem znalezienia zwłok, w którego pobliżu

natknąłem się na tę torebkę. Znasz mnie i wiesz, że nie wierzę w przypadki. Moja intuicja dosłownie krzyczy. Chcesz pisemny wniosek?

– Oszczędzę ci tej roboty. Odmówię tu i teraz. Ale skoro najpierw dzwonisz, to znaczy, że wiedziałeś, jaki będzie rezultat, tak? To u ciebie niezwykłe. Naprawdę nic nie masz, tylko swoją intuicję?

– Tylko.

– A od kiedy kierujesz się intuicją?

– Usiłuję się uczyć.

– Chcesz powiedzieć: naśladować nas, zwykłych śmiertelników?

– Autyzm i cechy autystyczne to dwie różne rzeczy, Chris.

Prokurator się roześmiał.

– Świetnie. Przyjdziesz jutro na kolację?

– Kupiłem butelkę Château Cantemerle rocznik dwa tysiące dziewiąty.

– Twój smak jest zbyt wyrafinowany, a twoje nawyki zbyt ekskluzywne jak dla mnie, mój drogi.

– Ale możesz się czegoś nauczyć, skarbie.

Rozłączyli się. Sung-min zobaczył, że dostał od Katrine SMS-a z linkiem do „Dagbladet”. Kliknął go i czekając, aż strona się załaduje, odchylił się na krześle. Ściany tego pokoju były tak grube, że zakłócały zasięg. I dlaczego Hole nie wymienił tego zepsutego krzesła? Sung-mina już bolał kręgosłup.

Kanibal.

Według wiarygodnego źródła istnieją ewidentne przesłanki, by sądzić, że zabójca spożył mózg i oczy swoich ofiar Susanne Andersen i Bertine Bertilsen.

Sung-min poczuł, że ma potrzebę siarczyście zakląć, i pomyślał, że szkoda, że to nie w jego zwyczaju. Powinien zacząć to rozważać.

***

– W pizdę diabła!

Mona Daa biegła po bieżni elektrycznej.

Nienawidziła tego urządzenia.

Akurat teraz właśnie dlatego po nim biegła. Czuła pot spływający po plecach i patrzyła na swoją czerwoną twarz odbitą w lustrzanej ścianie siłowni. W słuchawkach grzmocili Carcass z playlisty Andersa, według niego z wczesnego okresu, kiedy grali grindcore, a nie ten melodyjny szajs, który pojawił się później. W jej uszach brzmiało to jedynie jako wściekły hałas, ale dokładnie tego teraz potrzebowała. Uderzała nogami w gumową matę, przesuwającą się pod nią i niemającą końca, cały czas to samo gówno.

Vågemu znów się udało. Kanibal. Co za chuj!

Zobaczyła, że od tyłu ktoś się zbliża.

– Dzień dobry.

To był Magnus Skarre, śledczy z Wydziału Zabójstw.

Mona wyłączyła maszynę i wyciągnęła słuchawki z uszu.

– Czym mogę służyć policji?

– Służyć? – Skarre rozłożył ręce. – Akurat przechodziłem.

– Nigdy wcześniej cię tu nie widziałam i nie jesteś w stroju do ćwiczeń. Chcesz się czegoś dowiedzieć czy coś rozsiać?

– Ej, spokojnie – zaśmiał się Skarre. – Chciałem tylko trochę zaktualizować twoją wiedzę. Dobre stosunki z prasą zawsze się opłacają, no nie? Branie, dawanie i tak dalej.

Mona nie schodziła z bieżni, podobało jej się, że nad nim góruje.

– W takim razie zanim coś dasz, Skarre, muszę wiedzieć, co chcesz wziąć.

– Tym razem nic, ale może w przyszłości coś nam będzie potrzebne.

– Dzięki, ale odmówię. Coś jeszcze?

Skarre miał minę jak chłopczyk, któremu zabrano pistolet zabawkę. Mona zrozumiała, że zagrała za wysoko. A raczej że wkurzenie odebrało jej jasność myśli.

– Przepraszam – powiedziała. – Mam kiepski dzień. Co tam?

– Harry Hole – odparł. – Zadzwonił do świadka, podał fałszywe nazwisko i skłamał, że pracuje w komendzie.

– O. – Zmieniła zdanie i zeszła z bieżni. – Skąd wiesz?

– Spisywałem zeznanie świadka. To właściciel tego psa, który wywęszył ciało Bertine. Powiedział, że zanim przyjechaliśmy, ktoś od nas dzwonił, żeby sprawdzić

informację, niejaki sierżant Hans Hansen. Tyle że u nas nikt taki nie pracuje. Dostałem jego numer, bo ten wieśniak ciągle miał go w swoim telefonie, i sprawdziłem. No i wiesz, nie musiałem nawet dzwonić do teleoperatora, bo to był stary numer Harry’ego Hole. Przyłapałem go ze spuszczonymi spodniami, co nie? – Skarre się wyszczerzył.

– I mogę cię zacytować?

– Zwariowałaś? – Znów się roześmiał. – Jestem „godnym zaufania źródłem”, czy nie tak to nazywacie?

Owszem, pomyślała Mona. Ale ty nie jesteś godny zaufania ani jako człowiek, ani jako źródło. Dobrze wiedziała, że Skarre nie żywi ciepłych uczuć do Harry’ego Hole. Według Andersa powód tego nie był zbyt skomplikowany: Skarre zawsze pracował w cieniu Holego, a Hole nigdy nie ukrywał, że uważa Skarrego za głupka. Ale od tego do osobistej zemsty droga jest dość daleka.

Skarre przestąpił z nogi na nogę i zerknął w stronę dziewczyn, które miały zajęcia w pomieszczeniu z rowerami spinningowymi.

– Jeżeli życzysz sobie potwierdzenia tego, do czego się teraz dokopałaś, to możesz na przykład skontaktować się z szefową Biura Kryminalnego.

– Bodil Melling?

– Otóż to. Przypuszczam, że zechce to skomentować.

Mona Daa pokiwała głową. To było świetne. Świetne i brudne. No ale dobrze, nareszcie miała coś, czego nie miał Våge, a jej już nie stać na wybrzydzanie.

Skarre ciągle szeroko się uśmiechał. Jak klient prostytutki, pomyślała Mona. I spróbowała wyprzeć świadomość, kim przez to staje się ona.

25

Piątek. Cocaine Blues

Grupa Aunego się zebrała, ale psycholog uprzedził, że o piętnastej odwiedzi go rodzina, muszą więc do tego czasu wyjść. Harry właśnie opowiedział o wizycie u Helene Røed.

– No i teraz chodzisz w garniturze swojego szefa – podsumował Øystein. – I w okularach przeciwsłonecznych kumpla.

– Plus mam jeszcze to. – Harry podniósł maskę kota. – A ty ciągle nie możesz nic znaleźć o tej Villi Dante w internecie?

Wpatrzony w swój telefon Truls wymamrotał coś i pokręcił głową. Z takimi samymi minimalistycznymi emocjami przyjął brązową kopertę z pieniędzmi, którą Harry podsunął mu, kiedy przyszedł.

– Zastanawiam się, skąd Våge wziął ten kanibalizm – powiedział Aune.

Harry zobaczył, że Truls podnosi wzrok, spogląda mu w oczy i ledwie zauważalnie kręci głową.

– Mnie też to zastanawia – przyznał Øystein. – Przecież w tych raportach nie ma ani słowa o jedzeniu ludzkiego mięsa.

– Mam wrażenie, że Våge stracił swojego informatora – stwierdził Harry. – I zaczął zmyślać. Tak jak o tym wyciętym i z powrotem przyszytym tatuażu u Bertine. To przecież nieprawda.

– Może i tak – zgodził się Aune. – Våge przecież zmyślał już wcześniej w swojej karierze, a to aż dziwne, jak bardzo powtarzalni jesteśmy my, ludzie. Nawet jeżeli w wyniku jakiegoś działania ponieśliśmy karę, więc należałoby raczej wynieść z tego jakąś lekcję, to przy pojawieniu się problemów mamy tendencję do stosowania tych samych złych rozwiązań. Nie jest wcale nieprawdopodobne, że Våge mógł do tego stopnia upoić się uwagą, jaką skupił na sobie ostatnio, iż nie jest w stanie z niej zrezygnować i ucieka się do czegoś, co wcześniej działało. Przynajmniej przez pewien czas. Jednocześnie nie wykluczam, że on może mieć

rację co do kanibalizmu. No ale w takich okolicznościach coś takiego samo się nasuwa. Może na dodatek zapoznał się trochę z literaturą na temat seryjnych morderców.

– Czy on nie sugeruje... – zaczął Øystein, jeszcze raz przelatując wzrokiem artykuł Vågego na ekranie telefonu.

Pozostali popatrzyli na niego.

– Czy on właściwie nie sugeruje, że tym informatorem jest sam zabójca?

– To dość naciągana, choć interesująca interpretacja – orzekł Aune. – No ale teraz pora już zacząć weekend, panowie, bo moje panie niedługo tu będą.

– A co mamy robić w weekend, szefie? – spytał Øystein.

– Nie mam dla was żadnych specjalnych zadań – odparł Harry. – Ale sam zamierzam czytać raporty policyjne, bo Truls pożyczy mi swojego laptopa.

– Myślałem, że już je czytałeś.

– Pobieżnie. Teraz przeczytam dokładnie. No dobrze, chodźmy.

Aune jednak jeszcze go zawołał, więc kiedy Truls i Øystein już wyszli, Harry stanął przy łóżku.

– Te raporty – powiedział psycholog. – Ilu ludzi nad nimi pracowało? Czterdzieści osób? Pięćdziesiąt? Zatrudnionych przy tej sprawie od trzech tygodni. Ile to stron? Tysiąc? Chcesz je wszystkie przeczytać, bo wydaje ci się, że rozwiązanie jest właśnie tam?

Harry wzruszył ramionami.

– Gdzieś musi być.

– Mózg też potrzebuje odpoczynku, Harry. Od samego początku wyczuwam, że jesteś niezwykle zestresowany. Wydajesz się... Czy mogę użyć określenia „zdesperowany”?

– Jak najbardziej.

– Jest coś, o czym nie mówisz?

Harry pochylił głowę i potarł kark.

– Tak.

– Chcesz powiedzieć, o co chodzi?

– Chcę. – Wyprostował się. – Ale nie mogę.

Patrzyli na siebie, w końcu Aune przymknął oczy.

– Dzięki – powiedział Harry. – Pogadamy w poniedziałek.

Aune zwilżył wargi, a Harry po jego zmęczonej wesołości w oczach zorientował się, że psycholog już układał sobie jakąś dowcipną odpowiedź, zmienił jednak zdanie i tylko skinął mu głową.

Dopiero wychodząc ze szpitala, Harry zrozumiał, co Aune chciał odpowiedzieć: „Jeśli dożyję do poniedziałku”.

Øystein jechał buspasem w stronę centrum. Obok niego z przodu siedział Harry.

– Fajna rzecz w piątkowe godziny szczytu, co nie? – Øystein wyszczerzył się do lusterka.

Truls w odpowiedzi zachrumkał z tylnego siedzenia.

Zadzwonił telefon Harry’ego. Katrine.

– Tak?

– Cześć, Harry. Mam propozycję jak najbardziej do odrzucenia. Umówiłam się z Arnem na wieczór w restauracji, w której wreszcie udało mu się zarezerwować stolik, ale teściowa się rozchorowała i...

– Opieka nad dzieckiem?

– Wystarczy, że odpowiesz, że ci to nie pasuje, bo wtedy nie będę musiała wychodzić, a jestem trochę zmęczona. Przynajmniej mu powiem, że próbowałam kogoś znaleźć.

– Ale ja mogę. I chcę. O której?

– Niech cię diabli, Harry. O siódmej.

– W porządku. Zatroszcz się tylko o to, żeby w piekarniku stała pizza Grandiosa.

Rozłączył się, ale telefon zaraz znów zadzwonił.

– To nie musi być koniecznie grandiosa – rzucił Harry.

– Mówi Mona Daa z „VG”.

– Ups... – Po tej pełnej prezentacji zrozumiał, że dzwoni nie Mona, dziewczyna Andersa, tylko dziennikarka, więc wszystko, co jej powie, może zostać wykorzystane przeciwko niemu.

– Przygotowujemy artykuł o...

Takiego wstępu zwykle używali dziennikarze, pragnąc zasygnalizować, że koła już się kręcą i nie da się ich zatrzymać. A użycie liczby mnogiej sugerowało, że odpowiedzialność za nieprzyjemne pytania, które zaraz padną, trochę się rozmywa. Do Harry'ego wpatrzonego w jadące samochody dotarło, że sprawa dotyczy Wenga oraz tego, że skłamał, podając się za policjanta. I że zamierzają zacytować szefową Biura Kryminalnego – Bodil Melling poinformowała, iż taki czyn zagrożony jest karą do sześciu miesięcy pozbawienia wolności. Wyraziła też osobistą nadzieję, że minister sprawiedliwości położy kres tej nieautoryzowanej niepoważnej działalności detektywistycznej, no i że szczególnie istotne jest, aby w tej trudnej sprawie nastąpiło to ze skutkiem natychmiastowym.

Mona telefonowała do niego, aby zgodnie z zasadą etyki dziennikarskiej umożliwić mu ripostę. Mona Daa była twarda i natrętna, lecz pod tym względem zawsze w porządku.

– Bez komentarza – odpowiedział Harry.

– Tak? Czy to oznacza, że nie zamierzasz zaprzeczać takiemu przedstawieniu sprawy?

– To chyba oznacza tylko, że nie będę tego komentował.

– No dobrze, Harry, ale w takim razie będę musiała wydrukować to twoje „bez komentarza".

Usłyszał w tle szybkie stukanie w klawiaturę.

– Ciągle mówicie „wydrukować"?

– Takie rzeczy trzymają się człowieka.

– To prawda. Dlatego to, co zaraz zrobię, nazywam odłożeniem słuchawki, okej?

Usłyszał jej westchnienie.

– Okej, Harry, miłego weekendu.

– Wzajemnie. I...

– Dobrze, pozdrowię Andersa.

Harry schował telefon do wewnętrznej kieszeni nieco zbyt luźnej marynarki Røeda.

– Kłopoty? – spytał Øystein.

– Tak – potwierdził Harry.

Kolejne chrumknięcie z tylnego siedzenia. Ale tym razem głośniejsze i bardziej rozzłoszczone.

Harry lekko się obrócił. Zobaczył, że na twarz Trulsa pada światło z ekranu telefonu, i zrozumiał, że Mona, rozmawiając z nim, trzymała palec na cynglu.

– Co piszą?

– Że oszukujesz.

– No i dobrze, to przecież prawda. A ja nie muszę dbać o swoje dobre imię. – Harry pokręcił głową. – Gorzej, że zamkną nasz interes.

– Nie – zaprzeczył Truls.

– Nie?

– Gorzej, że cię aresztują.

Harry uniósł brew.

– Za to, że pomogłem im znaleźć trupa, którego szukali przez trzy tygodnie?

– Nie o to chodzi – powiedział Truls. – Ty nie znasz Melling. To babsko chce awansować, a ty stoisz jej na drodze.

– Ja?

– Jeśli pierwsi rozwiążemy tę sprawę, to ona wyjdzie na amatorkę, co nie?

– Mhm. No dobrze, ale aresztowanie brzmi trochę zbyt poważnie.

– Zrozum, oni właśnie tak toczą tę swoją grę o władzę. Dzięki temu ci cwaniacy siedzą tam, gdzie siedzą. Właśnie w taki sposób zostaje się... na przykład ministrem sprawiedliwości.

Harry jeszcze raz spojrzał na Trulsa. Jego czoło było tak czerwone, jak światło, przed którym się zatrzymali.

– Ja tu wysiadam – oznajmił Harry. – Wy możecie sobie odpocząć, ale nie wyłączajcie telefonów. I nie wyjeżdżajcie z miasta.

O siódmej wieczorem Katrine otworzyła Harry’emu drzwi.

– Tak, czytałam „VG” – powiedziała i zawróciła do komody w korytarzu, żeby założyć kolczyki.

– Mhm. A jak myślisz, czy Melling by się spodobało, że jej wróg występuje w roli opiekuna do dziecka policjantki nadzorującej śledztwo?

– O, w poniedziałek już nie będziesz stanowić żadnego zagrożenia.

– Jesteś do tego stopnia pewna?

– Melling nie dała ministrowi sprawiedliwości dużego wyboru tą swoją wypowiedzią o niepoważnym prywatnym śledztwie.

– Może i tak.

– Szkoda, bo przydałbyś się nam. Wszyscy wiedzieli, że będziesz chodził na skróty, ale że wpadniesz tak głupio...

– Nadmierne podniecenie i w efekcie błąd techniczny – stwierdził Harry.

– Jesteś jednocześnie przewidywalny i nieprzewidywalny. Co tam masz? – Wskazała na plastikową torbę, którą Harry położył na butach.

– Laptopa. Muszę trochę popracować, kiedy on już zaśnie. Jest...?

– Tak.

Harry wszedł do salonu.

– Mama pachnie wyjściem – oświadczył Gert, który siedział z dwoma miśkami na podłodze.

– Perfumami – wyjaśnił Harry.

– Wyjściem.

– Zobacz, co ci przyniosłem. – Ostrożnie wyjął z kieszeni tabliczkę czekolady.

– Sok cuklowy.

– Szok cukrowy? – Harry się uśmiechnął. – Wobec tego niech to zostanie naszą tajemnicą.

– Mamo! Wujek Hallik psyniós sok cuklowy!

Po wyjściu Katrine Harry wkroczył w wirtualny świat, w którym starał się jak mógł dotrzymać kroku fantazji trzylatka, a od czasu do czasu podrzucać własne pomysły.

– Ty sie umies bawić – pochwalił go Gert. – Dzie jest smok?

– Oczywiście w smoczej jamie. – Harry wskazał pod kanapę.

– Łaaa! – krzyknął Gert.

– Łaaa! Łaaa! – powiedział Harry.

– Sok cuklowy?

– Okej. – Wsunął rękę do kieszeni marynarki powieszonej na oparciu krzesła.

– Co to jest? – spytał Gert, pokazując na maskę, którą Harry trzymał w ręku.

– Kot – odparł Harry i założył maskę.

Ale buzia małego nagle się wykrzywiła, a zduszony od płaczu głos zawołał:

– Nie, wujku, to jes stlasne!

Harry szybko ściągnął maskę.

– Okej, nie będzie kotów, tylko smoki. W porządku?

Łzy jednak już zdążyły popłynąć, Gert szlochał. Harry zaklął w duchu. Kolejny błąd techniczny. Straszne koty. Nie ma mamy. Pora pójścia spać minęła już jakiś czas temu. Co zrobić, żeby przestał płakać?

Gert wyciągnął do niego ręce, a Harry, zanim zdążył pomyśleć, już przytulił chłopca. Zaczął go głaskać po głowie, czując podbródek Gerta wbity w swoje ramię i łzy wsiąkające w koszulę.

– To co, malutki kawałeczek szoku cukrowego, potem zęby i piosenka na dobranoc?

– Taak! – załkał Gert.

Po sesji mycia zębów – której Katrine, jak Harry podejrzewał, chybaby jednak nie zaakceptowała – Harry przebrał Gerta w piżamę i ułożył pod kołdrą.

– Koziołecek – rozkazał chłopiec.

– Nie umiem tego – odpowiedział Harry.

Telefon zawibrował. Harry szybko sprawdził, że to MMS od Alexandry.

Gert patrzył na niego ze źle skrywaną dezaprobatą.

– Ale znam inne ładne piosenki.

– No to śpiewaj.

Harry domyślał się, że to musi być coś wolnego i kołyszącego, spróbował więc z Wild Horses Rolling Stonesów. Gert przerwał mu już po pierwszej zwrotce.

– Inna piosenka!

Your Cheatin’ Heart Hanka Williamsa dostała kciuk w dół już po dwóch wersach.

Teraz Harry musiał się zastanowić dłużej.

– Okej. Zamknij oczy.

Zaczął śpiewać – jeśli można było nazwać śpiewem to ciche, powolne, monotonne mamrotanie szorstkim głosem, który tylko od czasu do czasu trafiał w ton starego bluesa:

Hey there baby, better come here quick.
This old cocaine's about to make me sick.
Cocaine, runnin' all around my brain.
Look, my baby she's dressed in red
and a shotgun, says gonna kill me dead.
Cocaine, runnin' all around my brain.
You take Sally and I'll take Sue,
ain't no difference between the two.
Cocaine, all around my brain.

Oddech Gerta stał się równiejszy i głębszy.

Harry otworzył MMS-a, w którym było niewiele tekstu. Zdjęcie zostało zrobione w przedpokoju jej mieszkania. Alexandra pozowała w kremowożółtej sukni, której udała się sztuka, jaką potrafią jedynie te najdroższe modele: ukazać ciało w dobrym świetle w taki sposób, że nikomu nie przyjdzie na myśl, iż ma to jakiś związek z sukienką. Jednocześnie Harry widział, że Alexandra tej sukienki nie potrzebuje. I że świetnie zdaje sobie z tego sprawę.

Kosztowała połowę miesięcznej pensji. Cieszę się na jutro!

Harry zamknął wiadomość, podniósł wzrok. Popatrzył wprost w otwarte oczy Gerta.

– Jesce.

– Jeszcze... tę ostatnią?

– Taak.

26

Piątek. Beton

Była dziewiąta wieczorem, kiedy Mikael Bellman otworzył kluczem drzwi do domu na Høyenhall. To był ładny dom, Bellman zbudował go na skraju wzgórza, tak aby on, Ulla i troje dzieci mieli widok na całe miasto aż po zatokę Bjørvika i fiord.

– Cześć! – zawołała Ulla z salonu.

Mikael odwiesił nowy płaszcz i przeszedł do salonu, gdzie jego delikatna piękna żona, a wcześniej dziewczyna od czasów młodości, razem z najmłodszym dzieckiem oglądała telewizję.

– Przepraszam, spotkanie się przeciągnęło.

Nie wychwycił żadnych podejrzeń w jej głosie i chyba w oczach też ich nie było. Nie miała zresztą ku temu powodów. Akurat w tej chwili Ulla rzeczywiście była jedyną kobietą w jego życiu. Jeśli nie liczyć tej młodej reporterki z TV2, ale tę historię w zasadzie już mniej lub bardziej zakończył. Nie wykluczał skoków w bok w przyszłości, lecz jeśli tak się zdarzy, będzie to musiało być coś, co z całą pewnością mu nie zaszkodzi. Mężatka posiadająca władzę. Kobieta, która ma równie dużo do stracenia, jak on. Mówią, że władza korumpuje, ale on stał się przez to tylko ostrożniejszy.

– Truls tu jest.

– Co?

– Przyszedł, chciał z tobą rozmawiać. Siedzi na tarasie.

Mikael zamknął oczy i westchnął. W miarę jak zajmował coraz wyższe stanowiska – od szefa Wydziału Przestępczości Zorganizowanej, przez komendanta okręgowego policji, aż po ministra sprawiedliwości – stopniowo dbał o coraz większy dystans do przyjaciela z dzieciństwa i dawnego współspiskowca. Naprawdę stał się ostrożny.

Wyszedł na taras i zamknął za sobą przesuwne drzwi.

– Niezły masz stąd widok – odezwał się Truls. W świetle lamp grzewczych jego twarz wydawała się czerwona. Sięgnął po piwo.

Mikael usiadł obok i wziął butelkę, którą Truls otworzył i mu podał.

– Co słychać w śledztwie?

– Tym przeciwko mnie? – spytał Truls. – Czy tym, w którym biorę udział?

– Uczestniczysz w śledztwie?

– A co, nie wiesz? Świetnie, w takim razie u nas nie ma przecieków. Pracuję razem z Harrym Hole.

Mikael przetrawiał tę informację.

– Rozumiesz, że gdyby wyszło na jaw, że wykorzystujesz możliwości, które masz jako policjant, aby pomagać...

– Jasne. Ale już niedługo takiego zagrożenia nie będzie. Zresztą szkoda, bo Hole jest dobry. Zdajesz sobie sprawę, że szanse dopadnięcia tego szaleńca byłyby większe, gdyby Hole dalej działał? – Truls postukał nogami w posadzkę tarasu.

Mikael nie wiedział, czy koledze zmarzły stopy, czy też podświadomie przypominał sobie ich wspólną przeszłość i wspólne tajemnice.

– To on cię przysłał?

– Nie, Hole nie ma pojęcia, że tu jestem.

Mikael pokiwał głową. To, że Truls sam wystąpił z inicjatywą, było niezwykłe, bo zawsze to on, Mikael, decydował, co mają robić. Po tonie jednak poznał, że tamten mówi prawdę.

– Truls, tu chodzi o coś większego niż schwytanie pojedynczego przestępcy. Tu chodzi o politykę. Ogólne kierunki. O zasady, prawda?

– Tacy jak ja nie znają się na polityce. – Truls zdusił beknięcie. – I nie rozumieją tego, że minister sprawiedliwości woli, by w mieście grasował jakiś cholerny seryjny morderca, zamiast pozwolić, żeby najsłynniejszemu śledczemu w Norwegii upiekło się drobne kłamstwo, kiedy się podał za pieprzonego policjanta Hansa Hansena. Zwłaszcza że dzięki temu kłamstwu znalazły się zwłoki Bertine Bertilsen.

Mikael wypił łyk z butelki. Może kiedyś lubił piwo, ale teraz właściwie już mu nie smakowało. Jednak w Partii Pracy i Konfederacji Związków Zawodowych raczej sceptycznie odnoszono się do ludzi, którzy nie pili piwa.

– Wiesz, jak się zostaje ministrem sprawiedliwości i utrzymuje stanowisko? – spytał Mikael i mówił dalej, nie czekając na odpowiedź: – Trzeba słuchać. Słuchać tych, którzy chcą twojego dobra. Słuchać tych z doświadczeniem, którego samemu się nie ma. Moi zdolni ludzie przedstawią to we właściwy sposób, a mianowicie: minister sprawiedliwości powstrzymuje miliardera od stworzenia własnej armii śledczych i prawników. Pokaże to, że nie dopuszczamy do amerykańskich standardów, według których bogaci korzystają z wszelkich możliwych przywilejów, wygrywają jedynie najdrożsi adwokaci, a twierdzenie, że wszyscy są równi wobec prawa, jest wyłącznie patriotycznym bełkotem. W Norwegii mamy równość nie tylko na papierze i dalej będziemy o to walczyć. – Zapamiętał sobie kilka sformułowań, może kiedyś da się je wykorzystać w jakiejś mowie, chociaż w nieco bardziej wysublimowanej formie.

Truls zaśmiał się tym swoim chrumkającym śmiechem, który Mikaelowi zawsze kojarzył się ze świnią.

– O co chodzi? – Mikael usłyszał w swoim głosie więcej irytacji, niż zamierzał wyrazić. Miał za sobą długi dzień. Wprawdzie seryjne morderstwa i sprawa Harry’ego Hole zajmowały dużo miejsca na łamach gazet, ale to nie była jedyna rzecz, nad którą musiał się pochylić minister sprawiedliwości.

– Myślę tylko, że ta równość wobec prawa to cholernie fajna rzecz – powiedział Truls. – No bo u nas nawet minister sprawiedliwości nie mógłby wstrzymać śledztwa przeciwko sobie, gdyby policja dostała odpowiedni cynk. A wtedy mogłoby wyjść na jaw, że pod posadzką jego tarasu leży zabetonowany trup. Wprawdzie to nikt, za kim społeczeństwo by tęskniło; ot, członek gangu motocyklowego, który przemycał heroinę i miał powiązania z dwoma skorumpowanymi policjantami. Ale dzięki równości wobec prawa śledztwo ujawniłoby, że minister sprawiedliwości był kiedyś młodym policjantem, którego bardziej interesowały pieniądze niż władza. I że miał dość naiwnego przyjaciela z dzieciństwa, który pewnej nocy brał udział w zalaniu dowodów betonem w nowym domu swojego o wiele bystrzejszego kumpla. – Znów tupnął w posadzkę.

– Truls – zaczął Mikael z namysłem. – Czy ty mi grozisz?

– Ani trochę. – Truls odstawił pustą butelkę obok krzesła i wstał. – Po prostu uważam, że to zabrzmiało mądrze. To, co mówiłeś o słuchaniu. O słuchaniu tych, którzy wiedzą, co jest dla ciebie dobre. Dzięki za piwo.

***

Katrine przyglądała się im, stojąc w drzwiach pokoju dziecinnego.

Gertowi, który spał w swoim łóżeczku, i Harry’emu, śpiącemu na krześle, z czołem przyciśniętym do barierki łóżka. Kucnęła, żeby widzieć również jego twarz. I stwierdziła, że we śnie są do siebie jeszcze bardziej podobni. Delikatnie potrząsnęła Harrym. Cmoknął, zamrugał zdezorientowany i spojrzał na zegarek, po czym poderwał się z miejsca i poszedł za nią do kuchni, gdzie Katrine włączyła elektryczny czajnik.

– Wcześnie wróciłaś – zauważył, siadając przy kuchennym stole. – Nie było miło?

– Było. Wybrał tę restaurację, bo serwują tam wino Montrachet, a podczas naszego pierwszego wspólnego wyjścia podobno powiedziałam, że je lubię. Ale kolacja nie może trwać wiecznie.

– Mogliście przecież iść dalej, wstąpić gdzieś na piwo i w ogóle.

– Albo skoczyć do niego do domu i tam się pieprzyć.

– Tak?

Wzruszyła ramionami.

– On jest słodki. Jeszcze nie zaprosił mnie do siebie. Chce, żebyśmy zaczekali z pieprzeniem się, aż będziemy mieć pewność, że będzie z nas para.

– A ty?

– Chcę, żebyśmy się pieprzyli tyle, ile zdążymy, zanim zrozumiemy, że pary z nas nie będzie.

Harry się roześmiał.

– Początkowo myślałam, że on odgrywa hard to get – westchnęła. – A na mnie to działa.

– Mhm. Nawet kiedy wiesz, że to gra?

– Oczywiście. Podnieca mnie wszystko, czego nie mogę dostać. Na przykład ty wtedy.

– Byłem żonaty. Podniecają cię wszyscy żonaci?

– Tylko ci, których nie mogę dostać. A takich jest niewielu. Ty byłeś irytująco wierny.

– Mogłem być bardziej.

Zalała wodą kawę rozpuszczalną dla Harry’ego, dla siebie herbatę.

– Uwiodłam cię, ponieważ byłeś pijany i w rozpaczy. W swojej najsłabszej wersji. To coś, czego nigdy sobie nie wybaczę.

– Nie!

Padło to tak szybko i ostro, że Katrine wystraszona aż drgnęła i herbata wychlapała się z kubka.

– Nie?

– Nie – powtórzył. – Nie wolno ci zdejmować ze mnie winy. To – wypił łyk, krzywiąc się, jakby się sparzył – jedyne, co mi zostało.

– Jedyne, co ci zostało? – Poczuła gniew i napływające łzy. – Bjørn odebrał sobie życie nie dlatego, że ty go zawiodłeś, Harry, tylko dlatego, że zawiodłam go ja – powiedziała głośno i urwała, nasłuchując odgłosów z pokoju dziecięcego. Zniżyła głos. – To on i ja mieszkaliśmy razem. Wierzył, że jest szczęśliwym ojcem naszego dziecka. Owszem, wiedział, co do ciebie kiedyś czułam. Nie rozmawialiśmy o tym, ale on wiedział. Wiedział też, przynajmniej tak sądził, że może mi ufać. Dziękuję za propozycję podzielenia się winą, ale wina jest wyłącznie moja, jasne?

Harry wpatrywał się w kubek. Najwyraźniej nie zamierzał podejmować tej dyskusji. I dobrze. A jednocześnie coś tu się nie zgadzało. Wina to jedyne, co mi zostało. Czyżby coś źle zrozumiała? Albo on czegoś nie dopowiedział?

– Czy to nie tragiczne? – spytał. – Że miłość ma być tym, co odbiera życie ludziom, których kochamy?

Katrine z namysłem pokiwała głową.

– Szekspirowskie – przyznała, przyglądając się jego twarzy. Ludziom, których kochamy. Skąd ta liczba mnoga?

– No, muszę wracać do hotelu i trochę popracować. – Harry zaszurał nogami od krzesła. – Dzięki, że mogłem... – Ruchem głowy wskazał pokój małego.

– To ja dziękuję – powiedziała Katrine z zamyśleniem.

Prim leżał pod kołdrą i wpatrywał się w sufit.

Dochodziła północ, w radiu policyjnym komunikaty krążyły niczym równy, dający poczucie bezpieczeństwa szum. A jednak nie mógł zasnąć. Trochę dlatego, że bał się jutrzejszego dnia, lecz głównie z podniecenia. Był razem z Nią. I teraz miał już prawie pewność. Ona także go kochała. Rozmawiali o muzyce. Interesowało Ją to. Mówiła też, że interesuje Ją jego pisanie. Unikali jednak rozmowy o tych dwóch zmarłych dziewczynach. Inne osoby wokół nich z całą pewnością poruszały ten temat, ale nie mając takiej wiedzy, z jaką oni mogliby o tym rozmawiać. Gdybyż ci ludzie wiedzieli! Szkoda, że Ona nie zdawała sobie sprawy, iż on wie więcej od Niej. W pewnym momencie odczuł wręcz pokusę wyjawienia Jej wszystkiego, podobną do odczucia przyciągania ku otchłani, kiedy stoi się na balustradzie mostu. Na przykład tego prowadzącego na wyspę Nesøya o trzeciej w nocy w majową sobotę, gdy właśnie zrozumiałeś, że ta, która – jak sądziłeś – jest Nią, zwyczajnie cię nie chce. Ale to było już dawno temu. Uporał się z tym. Poszedł dalej. I to dalej niż ona. Kiedy sprawdzał ostatnio, wszystko, czym się zajmowała, zamarło. Z jej związkiem partnerskim włącznie. Może wkrótce przeczyta o nim, o wszystkich, którzy będą go wychwalać, i może wówczas pomyśli: „On, właśnie on mógł być mój”. Tak, wtedy pożałuje.

Ale wcześniej należy załatwić kilka spraw.

Na przykład tę jutrzejszą.

Ona będzie trzecia.

Nie, nie cieszył się. Jedynie ktoś chory psychicznie mógłby się cieszyć. Ale to należało zrobić. Musiał pokonać wątpliwości. Moralny opór, jaki zapewne czuł każdy normalny człowiek w obliczu takiego zadania. À propos uczuć – musi pamiętać, że zadanie to nie zemsta. Jeśli o tym zapomni, łatwo może zboczyć z toru, a przez to ponieść porażkę. Zemsta była tylko nagrodą, którą miał uhonorować sam siebie, produktem ubocznym jego prawdziwego zadania. A gdy je ukończy, będą całować go po stopach. Nareszcie.

27

Sobota

– Policjanci pracują też w weekendy? – zdziwił się Gabriel Weng, przyglądając się pustej torebce.

– Przynajmniej niektórzy – odparł Sung-min, który kucnął w kącie przy koszyku i drapał buldoga za uchem.

– Hillman Pets – przeczytał wieśniak. – Nie, ja nie daję czegoś takiego swojemu psu.

– Aha. – Sung-min westchnął, wstając. – Musiałem to sprawdzić.

Chris pytał, czy wybiorą się na wycieczkę wokół jeziora Sognsvann, i zirytował się, gdy Sung-min odpowiedział, że musi pracować. Chris wiedział bowiem, że to nieprawda, że wcale nie musi. Czasami takie rzeczy trudno wytłumaczyć innym. Sung-min wziął torebkę.

– Ale ja już ją widziałem – oświadczył nagle Weng.

– Naprawdę? – zdumiał się Sung-min.

– Tak. Kilka tygodni temu. Jakiś facet siedział na pniu drzewa w lesie na końcu pola, o, tam. – Gabriel Weng wskazał na kuchenne okno. – Trzymał w ręku właśnie taką torebkę.

Sung-min wyjrzał. Do skraju lasu było co najmniej sto metrów.

– Użyłem tego – wyjaśnił Weng, który najwyraźniej dostrzegł niedowierzanie policjanta, i sięgnął po lornetkę Zeiss, leżącą na kuchennym stole wśród magazynów samochodowych. – Dwudziestokrotne powiększenie. Jakbym stał przy tym gościu. Przypomniałem to sobie przez tego airedale terriera na torebce. Wtedy nie przyszło mi do głowy, że to środek przeciwko pasożytom, bo ten facet to jadł.

– Jadł? Jest pan pewien?

– Oczywiście. Pewnie jakieś ostatnie resztki, bo potem zmiął opakowanie i je wyrzucił. Cholerna świnia. Wyszedłem go ochrzanić, że ma nie zaśmiecać mojej

ziemi, ale on się zerwał i uciekł, kiedy tylko pojawiłem się w progu. Poszedłem w to miejsce, ale tamtego dnia mocno wiało z północy, więc torebkę już wywiało, pewnie w las.

Sung-min poczuł, że puls mu przyspiesza. To był tego rodzaju wysiłek, który w pracy policyjnej opłacał się raz na sto. Ale gdy już się tak działo, można było zgarnąć całą pulę, rozwiązać sprawę, w której do tej pory nie znaleziono kompletnie żadnego śladu. Przełknął ślinę.

– Panie Weng, czy to znaczy, że może mi pan podać jego rysopis?

Mężczyzna spojrzał na niego ze smutkiem i pokręcił głową.

– Ale przecież mówił pan, że pan go widział jakby tuż obok. – Sung-min wychwycił frustrację brzmiącą we własnym głosie.

– No tak, ale ta torebka znalazła się akurat na linii wzroku, a kiedy ją wyrzucił, nie zdążyłem mu się przyjrzeć, bo zaraz założył maseczkę.

– Nosił maseczkę?

– Tak. Miał też ciemne okulary i czapkę z daszkiem. Niewiele dało się zobaczyć.

– Nie zdziwiło pana, że człowiek, który jest sam w lesie, zakłada maseczkę, chociaż inni już dawno przestali je nosić?

– Pewnie, że tak. Ale w lesie można się natknąć na wielu dziwaków, prawda?

Sung-min zrozumiał, że Weng mówi to z autoironią, lecz nie miał ochoty się uśmiechnąć.

Harry stanął przed nagrobkiem i poczuł, jak woda deszczowa z rozmiękłej ziemi wsiąka w buty. Przez pokrywę chmur sączyło się szare przedpołudniowe światło. Czytał raporty do piątej rano. Przespał się trzy godziny i czytał dalej. Rozumiał już, dlaczego śledztwo utknęło w martwym punkcie. Pracę wykonano dobrze i starannie, ale nic tam nie było. Kompletnie nic. Przyszedł tutaj, żeby oczyścić głowę. Nie uporał się nawet z jedną trzecią raportów.

Jej nazwisko odcinało się bielą od szarego kamienia. Rakel Fauke. Nie bardzo wiedział dlaczego, ale akurat w tej chwili cieszył się, że nie przyjęła dodatkowo jego nazwiska.

Rozejrzał się. Przy innych grobach stało kilka osób, zapewne i tak więcej niż zwykle, skoro była sobota, ale znajdowały się dość daleko – uznał, że może mówić

głośno, nie będąc przez nikogo słyszanym. Opowiedział, że rozmawiał przez telefon z Olegiem. Wszystko u niego w porządku, zamierza jednak ubiegać się o przyjęcie do pracy w Budynku Policji.

– Myśli o Policyjnej Służbie Bezpieczeństwa – dodał Harry. – Chce iść w ślady matki.

Powiedział też, że dzwonił do Sio, która miała trochę problemów zdrowotnych, ale czuła się już lepiej i wróciła do pracy w sklepie spożywczym. Chciała, żeby Harry odwiedził ją i jej chłopaka w Kristiansand.

– Mówiłem jej, że zobaczę, czy zdążę, zanim... zanim będzie za późno. Mam trochę kłopotów z takimi jednymi Meksykanami. Zabiją mnie i pewną starszą panią, bardzo podobną do mojej matki, jeżeli ja albo policja nie rozwiążemy tej sprawy zabójstwa w ciągu następnych trzech dni. – Harry się roześmiał. – Złapałem gdzieś grzybicę paznokci, ale poza tym u mnie też wszystko w porządku. No to teraz już wiesz, że u twoich najbliższych jest okej. To zawsze było dla ciebie najważniejsze. Ty sama mniej się liczyłaś. Nawet nie chciałabyś być pomszczona, gdyby to od ciebie zależało. Ale stało się inaczej. A ja chciałem się zemścić. Z całą pewnością jestem przez to gorszym człowiekiem niż ty, ale tak by było nawet bez tego mojego cholernego pragnienia zemsty. Ono jest, kurwa, jak popęd seksualny. Nawet jeśli za każdym razem, kiedy się mścisz, czujesz rozczarowanie i wiesz, że przy następnej okazji też się rozczarujesz, to i tak musisz działać dalej. A kiedy czuję ten pieprzony popęd, to myślę sobie, że stoję teraz w butach seryjnego zabójcy. Bo to uczucie – móc pomścić coś, co straciłem – jest tak cudowne, że czasami chciałbym stracić coś, co kocham. Żebym mógł się mścić. Rozumiesz?

Poczuł ściskanie w gardle. Oczywiście rozumiała. Tego najbardziej mu brakowało. Że Rakel rozumiała i akceptowała większość rzeczy u najdziwniejszego kochanka na świecie. Nie wszystko. Ale dużo. Cholernie dużo.

– Problem w tym – podjął Harry i odchrząknął – że oczywiście po tobie nie mam już nic do stracenia. Nie mam za co się mścić.

Wciąż stał. Patrzył na swoje buty zagłębione w trawie, widział, jak skóra na noskach ciemnieje, chłonąc wodę. Podniósł wzrok. Wyżej przy kościele na schodach dostrzegł jakąś postać, która się rozglądała. Sylwetka miała w sobie coś znajomego. Harry’emu wydawało się, że to duchowny. I że chyba patrzy w jego kierunku.

Zadzwonił telefon. Johan Krohn.

– Proszę mówić – odezwał się Harry.

– Właśnie zakończyłem pewną rozmowę telefoniczną. Dzwonił nie byle kto: minister sprawiedliwości we własnej wysokiej osobie.

– To mały kraj, więc chyba nie był to dla ciebie aż taki szok. I co, już po wszystkim?

– Tak myślałem, kiedy telefonowali wcześniej po tym artykule w „VG”. Ale rzeczywiście byłem zaskoczony, że Bellman chce mi przekazać tę wiadomość osobiście. Przecież takie informacje zawsze są puszczane oficjalnymi kanałami. To znaczy, że ci, na których sygnał czekałem...

– Krohn, nie żebym był bardzo zajęty w sobotnie przedpołudnie, ale możemy wrzucić przyspieszenie i dowiedzieć się, co powiedział Bellman?

– Oczywiście. Oznajmił, że nie sądzi, by ministerstwo miało prawne możliwości zamknięcia naszego śledztwa, dlatego nie zamierza podejmować żadnych działań. Ale ze względu na przeciągnięcie struny, do jakiego najwyraźniej doszło, będą śledzić nasze poczynania argusowymi oczami i gdy następnym razem stanie się coś podobnego, policja zareaguje.

– Mhm.

– No cóż, chyba nie przesadzę, gdy powiem, że to bardzo zaskakujące. Byłem przekonany, że nas powstrzymają. Z politycznego punktu widzenia to prawie niepojęte, bo Bellman będzie musiał się teraz zmierzyć i ze swoimi kolegami, i z mediami. Potrafisz to jakoś wyjaśnić?

Harry sprawdził. Tak na szybko przychodziła mu do głowy tylko jedna osoba, która była po ich stronie i mogła dysponować jakimś środkiem nacisku na ministra sprawiedliwości.

– Nie – odparł.

– W każdym razie wiesz, że ciągle jesteśmy w grze – powiedział Krohn.

– Dzięki.

Harry się rozłączył. Sprawdził, co czuje. Mogą działać dalej. Miał trzy dni i żadnych dobrych śladów. Jak brzmi to powiedzenie? Co ma wisieć, nie utonie?

– Twoja matka miała talent, rozumiesz? – Wuj Fredric szedł wąskim chodnikiem po Slemdalsveien i zdawał się nie dostrzegać tego, że ludzie muszą schodzić na jezdnię, aby ich przepuścić. Poza tym sprawiał dziś wrażenie przytomnego. – Właśnie dlatego tak smutno było patrzeć, jak marnuje karierę, rzucając się w ramiona pierwszego lepszego mecenasa. Chociaż mecenasa jak mecenasa, on przecież nie znosił teatru, ten twój ojczym. Chodził tam tylko od wielkiego dzwonu, żeby się pokazać, sponsorowanie Teatru Narodowego było przecież rodzinną tradycją Røedów. Molle widział na scenie tylko raz. O ironio, jako Heddę Gabler w głównej roli. Molle była piękną kobietą, wręcz celebrytką w tamtych czasach. Nadawała się idealnie dla mężczyzny do pokazywania światu.

Prim słyszał tę historię już wcześniej, lecz mimo to poprosił, żeby wuj opowiedział ją jeszcze raz. Może nie tak bardzo po to, aby sprawdzić, czy historia wciąż tkwi w zainfekowanym mózgu wuja – po prostu chciał się jeszcze bardziej upewnić, że podjął słuszną decyzję. Nie wiedział, dlaczego w nocy nagle zachwiał się w swoim przekonaniu, ale to, zdaje się, normalna rzecz przed wielkimi życiowymi wydarzeniami. Na przykład przed dniem ślubu. A o tym – o zemście – rozmyślał i marzył, odkąd był chłopcem. Nic więc chyba dziwnego, że myśli i uczucia płatały mu figle, kiedy ta wielka chwila się zbliżała.

– Taki był ich związek – ciągnął wuj. – Ona żyła jego kosztem, a on jej. Była piękną młodą samotną matką, bez wielkich wymagań. On – pozbawionym skrupułów facetem z dostateczną ilością pieniędzy, pozwalającą zapewnić jej wszystko oprócz tej jednej rzeczy, której potrzebowała. Miłości. Właśnie dlatego została aktorką. Jak wszyscy aktorzy chciała przede wszystkim być kochana. A kiedy tej miłości nie dostała, ani od niego, ani z czasem również od publiczności, zaczęła się rozpadać. Oczywiście nie pomagało to, że byłeś hiperaktywnym, rozpieszczonym gówniarzem. Kiedy jej mecenas w końcu was porzucił, twoja matka zdążyła stać się pogrążoną w depresji, udręczoną alkoholiczką, niedostającą już żadnych ról, za jakimi przemawiałby jej talent. Nie sądzę, żeby go kochała. Ale porzucenie – przez kogokolwiek – było dla niej gwoździem do trumny. Twoja matka zawsze miała kruchą psychikę, chociaż muszę przyznać: nie spodziewałem się, że podpali dom.

– Nie wiesz, czy to zrobiła – wtrącił Prim.

Wuj się zatrzymał, wyprostował i szeroko uśmiechnął do nadchodzącej w ich stronę młodej kobiety.

– Większe! – krzyknął, wskazując dla ilustracji na własną pierś. – Powinnaś była kupić sobie większe!

Kobieta popatrzyła na niego przerażona i czym prędzej ich wyminęła.

– Ależ tak – wrócił do wątku wuj. – Podpaliła. Przecież ten pożar zaczął się w jej sypialni, a w jej krwi wykryto alkohol, więc w raporcie stwierdzono, że przyczyną pożaru było przypuszczalnie palenie papierosów w łóżku w stanie odurzenia. Ale uwierz mi: pragnęła, abyście oboje zginęli w tym pożarze. Kiedy rodzice zabierają w śmierć ze sobą dzieci, zwykle robią to, aby oszczędzić im życia sierot. Wiem, że słuchanie tego jest dla ciebie bolesne, ale w wypadku twojej matki przyczyną było to, że uważała was oboje za nic niewartych.

– To nieprawda! – zaprotestował Prim. – Zrobiła to, bo nie chciała mnie zostawiać jemu.

– Twojemu ojczymowi? – Wuj się roześmiał. – Zwariowałeś? On cię wcale nie chciał. Cieszył się, że się was pozbył.

– Właśnie że chciał – powiedział Prim tak cicho, że jego słowa zagłuszył turkot przejeżdżającego obok pociągu. – Chciał mnie. Tylko nie w taki sposób, jak myślisz.

– Czy kiedykolwiek podarował ci na przykład jakiś prezent?

– Owszem – odparł Prim. – Kiedy miałem dziesięć lat, dał mi na Gwiazdkę książkę o metodach tortur stosowanych przez Komanczów. Oni byli w tym najlepsi. Na przykład wieszali ofiary na drzewach głową w dół i rozpalali pod nimi ognisko, żeby mózg im się w końcu zagotował.

– Nieźle! – Wuj znów parsknął śmiechem. – W każdym razie moje moralne oburzenie nie jest aż tak wielkie, zarówno jeśli chodzi o Komanczów, jak i o twojego ojczyma. Twoja matka powinna była lepiej go traktować. Mimo wszystko był jej żywicielem. Pasożyty ludzkie też powinny lepiej traktować tę planetę. No cóż, nie ma powodu, żeby i nad tym się użalać. Ludzie sądzą, że my, biolodzy, pragniemy zachować naturę niezmienioną jako coś w rodzaju organicznego muzeum. Ale chyba jako jedyni akceptujemy to, że natura podlega zmianom, że wszystko kiedyś umrze i zniknie, no i że to właśnie jest naturalne, czyli nie zachowanie gatunków, tylko ich zagłada.

– Idziemy z powrotem?

– Z powrotem? Dokąd?

Prim westchnął.

– Do domu opieki.

– Żarty sobie z ciebie stroję. – Wuj zachichotał. – Wiesz, ta pielęgniarka, która cię przyprowadziła do mojego pokoju... Stawiam tysiąc koron, że do poniedziałku uda mi się ją posunąć. Zakład?

– Za każdym razem, kiedy się o coś zakładamy i przegrywasz, twierdzisz potem, że nie pamiętasz, że się założyliśmy. Za to kiedy wygrywasz...

– Prim, bądź rozsądny. Trzeba mieć jakieś korzyści ze swojej demencji.

Po zakończeniu krótkiego spaceru, kiedy Prim oddał już wuja w ręce wspomnianej pielęgniarki, poszedł tą samą drogą. Przeciął Slemdalsveien i ruszył dalej na wschód, aż znalazł się na osiedlu z willami stojącymi na dużych działkach. Domy w tej okolicy były drogie, ale te, które stały tuż przy autostradzie Ring 3, trochę staniały ze względu na hałas. Właśnie tam znajdowało się pogorzelisko.

Otworzył skobel na zardzewiałej żelaznej furtce i wysypanym żwirem zboczem podszedł do kępy brzóz. Po drugiej stronie pagórka, przesłonięta drzewami, stała spalona willa. Fakt, że dom był tak ukryty przed oczami sąsiadów, pomagał mu przez te wszystkie lata przy stosowaniu taktyki przeciągania w walce z gminą, która koniecznie chciała zburzyć tę ruinę. Otworzył kluczem drzwi i wszedł do środka. Schody na piętro zawaliły się w pożarze. To właśnie tam, na górze, matka miała swoją sypialnię. Jego pokój był na parterze. Może ten fakt to umożliwił – odległość. Przecież wiedziała, ale to odległość pomagała jej udawać, że nie wie. Wszystkie cienkie ścianki działowe również spłonęły. Cały parter był teraz jednym wielkim pomieszczeniem pokrytym dywanem popiołu. Tu i ówdzie w popiele coś kiełkowało i rosło. Krzew. Może coś, co kiedyś miało stać się drzewem. Podszedł do spalonego żelaznego łóżka stojącego niegdyś w jego pokoju. Włamał się tu i mieszkał przez pewien czas pewien bezdomny Bułgar. Mogło to prowadzić do skarg sąsiadów i kolejnego upominania się o wyburzenie; gdyby nie to, pozwoliłby biedakowi tu zostać. Dał mu nawet trochę pieniędzy, a Bułgar spokojnie się wyniósł, zabierając swoje nieliczne ruchomości z wyjątkiem pary wilgotnych dziurawych skarpet i materaca na łóżku. Potem Prim zmienił zamki w drzwiach i zabił okna nowymi płytami.

Zazgrzytały stalowe sprężyny, kiedy całym ciężarem usiadł na brudnym, wilgotnym materacu. Wzdrygnął się. To był odgłos dzieciństwa. Dźwięk, który

utkwił mu w mózgu, równie niepozbywalny, jak wyhodowane pasożyty.

Jednak, o ironio, właśnie to łóżko ocaliło go podczas pożaru, kiedy się pod nie schował. Chociaż bywały dni, że przeklinał to ocalenie.

Samotność w rozmaitych zakładach opiekuńczych. Samotność u różnych przybranych rodziców, od których uciekał. Na ogół byli przyzwoitymi, pragnącymi jego dobra ludźmi, ale on przez te lata nie potrafił spać sam w pokoju – zawsze leżał i nasłuchiwał. I czekał. Na pożar. Na zagrożenie. W końcu nie wytrzymywał dłużej, tylko uciekał. Wkrótce trafiał do kolejnego zakładu, gdzie od czasu do czasu odwiedzał go wuj Fredric, mniej więcej tak jak on teraz odwiedzał wuja. Wuj jasno oświadczył, że jest tylko wujem i jako samotny mężczyzna nie jest w stanie zająć się chłopcem, tym kłamczuchem. Uznał natomiast, że jest w stanie zająć się skromnym spadkiem chłopca po matce, Prim więc mało co z tego zobaczył. Z wyjątkiem tej nieruchomości. Między innymi dlatego sprzeciwiał się sprzedaży, wiedział, że wtedy pieniądze znikną w kieszeni wuja, ale to był tylko jeden z powodów.

Zakołysał się na łóżku. Sprężyny znów przenikliwie zajęczały. Zamknął oczy. Cofnął się do tamtych dźwięków, zapachów, bólu i wstydu. Potrzebował teraz tych odgłosów. Potrzebował ich, aby nabrać pewności. Przecież już i tak przekroczył wszelkie granice, dotarł do tego punktu, więc dlaczego to nawracające wahanie? Podobno odebranie komuś życia jest najgorsze za pierwszym razem, ale nie był już tego taki pewien. Zakołysał się w przód i w tył. Sprawdzał, co czuje. I wreszcie napłynęły wspomnienia, wrażenia wyraźne tak, jakby wszystko działo się tu i teraz. Owszem, był pewien.

Otworzył oczy i spojrzał na zegarek. Musiał wrócić do domu, wziąć prysznic i się przebrać. Użyć swoich perfum. A potem iść do teatru.

28

Sobota. Ostatni akt

Jedynymi źródłami oświetlenia były lampy na dnie basenu, w półmroku światło migotało na ścianach i suficie. Mózg Harry’ego wreszcie się poddał i przestał mielić szczegóły z raportów, kiedy ją zobaczył. Jednoczęściowy kostium Alexandry zdawał się pokazywać więcej ciała, niż gdyby była całkiem naga. Harry oparł się na łokciach o brzeg basenu, kiedy schodziła do wody, która według recepcjonisty The Thief miała dokładnie trzydzieści pięć stopni. Kiedy ją obserwował, Alexandra obserwowała jego reakcję, uśmiechając się tajemniczo, tak jak uśmiechają się kobiety, kiedy wiedzą – i kiedy im się to podoba – że mężczyznom podoba się to, co widzą.

Podpłynęła do niego. Oprócz jakiejś pary, zanurzonej do połowy na drugim końcu, mieli basen tylko dla siebie. Nie był głęboki, woda sięgała im mniej więcej do piersi. Z coolera stojącego na brzegu basenu Harry wyjął butelkę szampana, nalał do kieliszka i podał Alexandrze.

– Dziękuję.

– To znaczy, że jesteśmy kwita? – spytał, patrząc, jak Alexandra pije.

– Skądże – odparła. – Po tym, co napisali w „VG”, bardzo źle by się złożyło, gdyby wyszło na jaw, że przeprowadzam dla ciebie potajemnie analizy DNA. Dlatego chcę, żebyś zdradził mi jakąś tajemnicę.

– Mhm. Na przykład jaką?

– O tym ty decydujesz. – Przysunęła się do niego. – Ale to musi być coś, co ukrywasz w bardzo głębokiej ciemności.

Harry spojrzał na nią. Miała w oczach coś takiego jak Gert, kiedy domagał się piosenki o koziołeczku. Alexandra wiedziała, że Harry jest ojcem Gerta, a teraz przyszła mu do głowy szalona myśl. Że powie jej całą resztę. Spojrzał na butelkę szampana. Już kiedy ją zamawiał – co prawda tylko z jednym kieliszkiem –

wiedział, że to zły pomysł. Tak jak złym pomysłem byłoby powiedzenie jej tego, co wiedzieli jedynie Johan Krohn i on. Chrząknął.

– W Los Angeles zniszczyłem krtań pewnemu człowiekowi. Czułem to pod ręką, czułem, jak pęka, i podobało mi się to.

Alexandra wpatrywała się w niego wielkimi oczami.

– Biliście się?

– Tak.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Bójka w barze. O kobietę. Byłem pijany.

– I jak ci poszło?

– Dobrze. Uderzyłem tylko raz i było po wszystkim.

– Uderzyłeś go w krtań?

– Tak. Chisel fist. Pięść jak dłuto. – Podniósł rękę i pokazał. – Nauczyłem się tego od specjalisty walki wręcz, który trenował norweską jednostkę specjalną w Afganistanie. Rzecz w tym, że jeśli trafisz przeciwnika we właściwe miejsce na szyi, to znika wszelki opór, ponieważ mózg człowieka skupia się wyłącznie na jednym, a mianowicie na zdobyciu powietrza.

– O tak? – spytała, zginając palce.

– I tak. – Harry wyprostował jej kciuk i pchnął go lekko w stronę palca wskazującego. – A potem celujesz. Prosto w krtań. – Palcem pokazał na własnej szyi. – Hej! – zawołał, gdy uderzyła go bez żadnego uprzedzenia.

– Stój spokojnie! – Roześmiała się i zaatakowała jeszcze raz.

Harry odchylił się na bok.

– Chyba czegoś nie rozumiesz. Jeśli trafisz, możesz zabić. Załóżmy, że to jest krtań. – Wskazał na swój sutek. – A potem musisz użyć tego... – Chwycił ją pod wodą za biodra i pokazał, jak nimi obracać, żeby uzyskać siłę uderzenia. – Gotowa?

– Gotowa.

Po czterech próbach miała dwa trafienia, od których Harry jęknął.

Para na drugim końcu basenu zamilkła i obserwowała ich z niepokojem.

– Skąd wiesz, że go nie zabiłeś? – spytała Alexandra, ustawiając się w odpowiedniej pozycji, żeby znów uderzyć.

– Nie wiem tego na pewno. Ale gdyby umarł, przypuszczam, że jego kumple nie pozwoliliby mi przeżyć.

– A gdyby umarł, to przyszłoby ci do głowy, że upodobniłbyś się do tych, których ścigałeś przez całe swoje zawodowe życie?

Harry zmarszczył nos.

– Być może.

– Być może? Uważasz, że kłótnia o kobietę to szlachetniejszy motyw?

– Nazwijmy to samoobroną.

– Samoobroną można nazwać wiele rzeczy, Harry. Zabójstwo honorowe to samoobrona. Zabójstwo z zazdrości to samoobrona. Ludzie zabijają, broniąc szacunku dla samych siebie i godności. Sam doświadczyłeś, że człowiek zabija, aby ratować się od upokorzenia, prawda?

Harry kiwnął głową. Przyjrzał jej się uważnie. Czyżby zrozumiała? Domyśliła się, że Bjørn nie tylko sobie odebrał życie? Nie, spojrzenie miała skierowane w głąb siebie. Mówiła z własnego doświadczenia. Już miał to skomentować, gdy nagle jej ręka wystrzeliła jak z procy. Ani drgnął. Stał tylko, patrząc, jak na jej twarzy rozpościera się triumfalny uśmiech. Dłoń – zwinięta w dłuto – ledwie musnęła skórę na jego szyi.

– Mogłam cię zabić.

– Tak.

– Nie zdążyłeś zareagować.

– Nie.

– A może mi zaufałeś, uwierzyłeś, że nie zmiażdżę ci krtani?

Uśmiechnął się lekko, nie odpowiedział.

– Albo... – Zmarszczyła czoło. – Zwisa ci to?

Harry uśmiechnął się szerzej. Sięgnął po butelkę, którą miał za plecami, nalał Alexandrze do kieliszka. Dalej patrzył na butelkę, wyobrażał sobie, jak przykłada szyjkę do ust, odchyla głowę, słyszy lekki bulgot, gdy alkohol się w niego przelewa, opuszcza butelkę, teraz już pustą, ręką wyciera usta, a Alexandra cały

czas wpatruje się w niego wielkimi oczami. Zamiast tego jednak wstawił prawie pełną butelkę do coolera. Chrząknął.

– I co powiesz? Idziemy do sauny?

Zamiast pięciu aktów Szekspira Teatr Narodowy wystawił Romea i Julię jako dwa długie akty z piętnastominutowym antraktem mniej więcej po godzinie.

Gdy rozległ się dzwonek na przerwę, publiczność wyległa na korytarze i do foyer, gdzie oferowano lekkie przekąski. Helene stanęła w kolejce do baru, jednym uchem słuchając toczących się wokół niej rozmów. O dziwo, żadna nie dotyczyła sztuki, jakby dyskusja o przedstawieniu była czymś pretensjonalnym lub wulgarnym. Nagle coś wyczuła. Zapach, który skojarzył jej się z Markusem. Lekko się odwróciła. Stojący za nią mężczyzna zdążył posłać jej uśmiech, zanim z powrotem skierowała wzrok przed siebie. Jego uśmiech był... No właśnie, jaki? W każdym razie serce zabiło jej szybciej. Prawie się roześmiała. To najpewniej przez tę sztukę. Stanowiła psychologiczny podkład, który sprawił, że z całą pewnością nie tylko jej naraz się wydawało, że w co drugiej męskiej twarzy widzi swojego Romea. Bo mężczyzna za nią nie był ani trochę atrakcyjny. Może nie aż brzydki – uśmiech ujawnił w każdym razie, że ma ładne zęby – ale niezbyt interesujący. Mimo to serce wciąż biło w przyspieszonym tempie i czuła ochotę – jakiej nie przypominała sobie od lat – żeby znów się do niego odwrócić. Spojrzeć na niego. Sprawdzić, co mogło to wywołać.

Zdołała się powstrzymać, kupiła jeden z nalanych już wcześniej kieliszków białego wina i zaniosła go do niedużego okrągłego stolika z tych ustawionych wzdłuż ścian we foyer. Obserwowała mężczyznę, który próbował teraz zapłacić gotówką za butelkę wody, ale kobieta za ladą wskazała na tabliczkę z napisem „PŁATNOŚĆ WYŁĄCZNIE KARTĄ”. Ku swojemu zdumieniu Helene zorientowała się, że rozważa, czy nie podejść i nie zapłacić za niego. On jednak zrezygnował z zakupu i odwrócił się w jej stronę. Ich spojrzenia się spotkały. Znów się uśmiechnął. Ruszył w kierunku jej stolika. Teraz serce już o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Co to ma znaczyć? Przecież nie pierwszy raz mężczyzna zachowuje się wobec niej tak bezpośrednio.

– Można? – spytał, kładąc rękę na wolnym krześle.

Uśmiechnęła się przelotnie i – jak miała nadzieję – zniechęcająco, bo rozsądek kazał jej ustom mówić: „Wolałabym nie”.

– Bardzo proszę – odparła.

– Dziękuję.

Usiadł i nachylił się nad stolikiem, jakby już od dłuższej chwili toczyli rozmowę.

– Nie chcę spojlerować – prawie szepnął – ale ona wypiła truciznę i umrze.

Jego twarz znalazła się tak blisko, że Helene poczuła wyraźnie te perfumy. Nie, były zupełnie inne od tych, których używał Markus. O wiele ostrzejsze.

– Z tego, co wiem, ona wypija truciznę dopiero w ostatnim akcie – powiedziała Helene.

– Wszyscy tak sądzą, ale już jest zatruta, możesz mi wierzyć.

Uśmiechnął się. Białe zęby drapieżnika. Helene miała ochotę się do nich przysunąć, poczuć, jak przebijają jej skórę, gdy sama będzie wbijać paznokcie w jego kark. Na miłość boską, co to ma znaczyć? Jedna jej część chciała uciekać, druga – rzucić mu się w objęcia. Zmieniła układ nóg i poczuła – czy to możliwe? – że jest mokra.

– A gdybym nie znała tej sztuki? Dlaczego zdradzasz mi jej koniec? – spytała.

– Ponieważ chcę, żebyś była przygotowana. Śmierć to przecież straszna rzecz.

– Owszem – zgodziła się, nie odrywając wzroku od jego oczu. – Ale czy suma strasznych rzeczy nie jest większa, jeżeli człowiek ma się w dodatku przygotowywać na śmierć?

– Niekoniecznie. – Odchylił się na krześle. – Nie, jeśli radość z życia wzrasta ze świadomością, że nie będzie ono trwało wiecznie.

Miał w sobie coś mgliście znajomego. Czyżby był na tej imprezie na dachu? Albo U Danielle?

– Memento mori – podsumowała.

– Tak. Ale teraz potrzebna mi woda.

– Widziałam.

– Jak masz na imię?

– Helene. A ty?

– Nazywaj mnie Prim. Helene?

– Tak, Prim? – Uśmiechnęła się.

– Pójdziesz ze mną do miejsca, gdzie jest woda?

Roześmiała się. Małymi łyczkami popijała wino. Chciała powiedzieć, że przecież tu mają wodę, że może zapłacić, albo jeszcze lepiej: mógłby wziąć jej kieliszek i nalać sobie wody w toalecie. Przecież woda w kranach w Oslo jest lepsza od jakiejkolwiek butelkowanej, w dodatku bardziej przyjazna dla środowiska.

– A dokąd się wybierasz? – spytała.

– Czy to ważne?

– Nie.

Nie wierzyła własnym uszom.

– Znakomicie. – Złożył dłonie. – Wobec tego chodźmy.

– Teraz? Sądziłam, że chcesz iść po ostatnim akcie.

– Przecież i tak wiemy, jak to się skończy.

Restauracja Tercer Acto mieściła się w Vika, najwyraźniej otwarto ją niedawno, a serwowano tu tapas z bardzo, ale to bardzo wysokiej półki.

– Smaczne? – zapytała Alexandra.

– Oczywiście – odparł Harry, ocierając usta serwetką i starając się nie patrzeć na jej kieliszek z winem.

– Uważam się za osobę, która zna Oslo, ale o tym miejscu nie słyszałam. Polecił mi je Helge. Geje zawsze wiedzą najlepiej.

– Geje? Nie wyczułem takich wibracji.

– To dlatego, że straciłeś seksapil.

– Chcesz powiedzieć, że go miałem?

– Ogromny. Oczywiście nie działał na każdego. – W zamyśleniu przechyliła głowę. – Kiedy się zastanowić, to w zasadzie na mało kogo. – Roześmiała się, podniosła kieliszek i stuknęła nim o jego szklankę z wodą. – Więc uważasz, że Terry Våge stracił swojego informatora, popadł w desperację i zaczął zmyślać?

Harry pokiwał głową.

– Jedynym sposobem na dowiedzenie się tego, co, jak twierdzi, wie, jest bezpośredni kontakt z zabójcą. A tego nie potrafię sobie wyobrazić.

– A jeśli jest swoim własnym źródłem?

– Mhm. Czyli uważasz, że to Våge jest zabójcą?

– Czytałam o pewnym chińskim pisarzu, który zabił cztery osoby, napisał o tym kilka książek i został skazany ponad dwadzieścia lat później.

– Liu Yongbiao – powiedział Harry. – No i masz jeszcze Richarda Klinkhamera. Jego żona znika, a on zaraz potem pisze książkę o mężczyźnie, który zabija żonę i zakopuje ją w ogrodzie. Tam właśnie ją znaleźli. Ale te typki nie zabijały po to, żeby o tym pisać, jak chyba sugerujesz?

– No nie, ale Våge mógł tak zrobić. Przywódcy państw wszczynają wojny po to, aby ponownie wybrano ich na stanowisko albo żeby zapisać się na kartach historii. Dlaczego dziennikarz nie miałby zrobić tego samego, żeby zostać królem na swoim podwórku? Powinieneś sprawdzić, czy Våge ma alibi.

– Okej. À propos sprawdzania, powiedziałaś, że znasz Oslo. Słyszałaś o miejscu, które nazywa się Villa Dante?

Alexandra wybuchnęła śmiechem.

– Jasne! Zamierzasz się tam wybrać i sprawdzić, czy ciągle masz ten seksapil? Chociaż wątpię, żeby cię tam wpuścili. Nawet w tych garniturach, w których ostatnio chodzisz.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To jest... jak to ująć? Bardzo ekskluzywny klub dla gejów.

– Byłaś tam?

– Oszalałeś? Ale mam przyjaciela geja, Petera. To zresztą jeden z sąsiadów Røeda. I właśnie on mnie zaprosił na tę imprezę na tarasie.

– Byłaś zaproszona?

– Nie miałam formalnego zaproszenia. To była impreza bardziej z rodzaju takich, na które ludzie przychodzą, bo jest. Zamierzałam zabrać Helgego, żeby go spiknąć z Peterem, no ale miałam tego wieczoru robotę. W każdym razie byłam z Peterem kilka razy w SLM.

– SLM?

– Harry, jesteś kompletnie niezorientowany! Scandinavian Leather Man, gejowski klub dla zwykłych ludzi. Tam też musisz się dostosować do dress code’u, a w piwnicach są darkroomy i różne inne rzeczy. Przypuszczam, że trochę zbyt wulgarne dla klienteli Villi Dante. Peter mi mówił, że starał się o członkostwo, ale to się okazało nierealne. Musisz należeć do samego jądra wewnętrznego kręgu. To coś w rodzaju gejowskiego Opus Dei. Ale podobno tam jest cholernie stylowo. Wyobraź sobie Oczy szeroko zamknięte. Klub jest czynny tylko jeden wieczór w tygodniu, urządzają bale maskowe dla dorosłych mężczyzn w drogich garniturach. Wszyscy noszą maski przedstawiające zwierzęta i mają przezwiska od tych zwierząt. Zachowana jest pełna anonimowość. Dozwolone są wszelkiego rodzaju wybryki, a kelnerzy są... powiedzmy... młodzieńcami.

– W legalnym wieku?

– Teraz raczej tak. Jednak właśnie z tego powodu klub musiał zostać zamknięty, kiedy jeszcze nazywał się Tuesdays. Czternastolatek, który pracował tam jako kelner, oskarżył jednego z gości o gwałt. Dostaliśmy do zbadania próbkę spermy, ale oczywiście nie mieliśmy żadnego trafienia w bazie danych.

– Oczywiście?

– Klientela Tuesdays to nie są ludzie z kartoteki karnej. No ale teraz ten lokal otworzył się powtórnie, już pod nazwą Villa Dante.

– O której nikt jakby nie słyszał?

– Działają z dala od wszelkich radarów, nie potrzebują reklamy. Właśnie dlatego takim jak Peter cholernie zależy na uzyskaniu dostępu.

– Mówiłaś, że dawniej nazywali się Tuesdays?

– Tak, bo wieczory klubowe odbywały się we wtorki.

– I ciągle tak jest?

– Jeśli chcesz, mogę zapytać Petera.

– Mhm. A co musiałbym mieć, żeby się tam dostać?

Roześmiała się.

– Pewnie nakaz przeszukania. Który zresztą dostajesz na dzisiejszy wieczór, jeśli chodzi o mnie.

Minęła chwila, zanim Harry zrozumiał. Uniósł brew.

– Właśnie tak. – Podniosła kieliszek. – To nakaz.

– Mieszkasz tutaj? – spytała Helene.

– Nie – odparł mężczyzna, który kazał mówić do siebie Prim. Kierował samochodem między nowoczesnymi budynkami rozrzuconymi na płaskim terenie po obu stronach drogi prowadzącej na koniec półwyspu Snarøya. – Mieszkam w centrum. Ale kiedy przenieśli stąd lotnisko, wyprowadzałem tu wieczorami psa. Nikt tu wtedy nie przychodził i pies mógł się wybiegać. Tam. – Wskazał na morze widoczne na zachodzie i znów sięgnął do torebki po chipsy, czy co tam miał, chociaż jej tego nie zaproponował.

– Tu są przecież chronione mokradła – zauważyła Helene. – Nie bałeś się, że pies zapoluje na ptaki, które tu gniazdują?

– Owszem, i parę razy tak się zdarzyło. Próbowałem się pocieszać, że takie jest prawo natury i nie możemy stawać mu na drodze. Choć to oczywiście nieprawda.

– Nie?

– Nie. Człowiek też jest produktem stworzonym przez naturę. I nie jesteśmy jedynym organizmem, który który stara się ze wszystkich sił zniszczyć naszą planetę w takim kształcie, w jakim ją znamy. Ale natura wraz z inteligencją pozwalającą popełnić zbiorowe samobójstwo wyposażyła nas również w autorefleksję. Może ona nas ocali. Mam taką nadzieję. W każdym razie stanąłem naturze na drodze i zacząłem używać tego. – Pokazał na uchwyt nad drzwiczkami.

Helene zobaczyła smycz automatyczną z przypiętą do niej obrożą zapinaną na klips.

– To był fajny pies. Mogłem siedzieć w samochodzie, czytając przy zapalonym świetle i z otwartym oknem, a on biegał sobie swobodnie, pięćdziesiąt metrów w każdą stronę. Psy czy ludzie więcej nie potrzebują. Wielu nawet nie chce więcej.

Helene pokiwała głową.

– Ale któregoś dnia psy mogą mimo wszystko zapragnąć więcej i chcieć odejść. Co wtedy robi właściciel?

– Nie mam pojęcia. Mój pies nigdy nie chciał więcej. – Skręcił z szosy w leśną drogę. – A co ty byś zrobiła?

– Puściłabym go wolno – odparła Helene.

– Nawet gdybyś wiedziała, że sam nie zdoła przeżyć?

– Nikt z nas nie przeżyje.

– To prawda.

Zahamował. Droga się skończyła. Zgasił silnik i wyłączył przednie światła. Otoczyła ich nieprzenikniona ciemność. Helene usłyszała szum wiatru, jakby w trzcinach. Między drzewami jednak dało się dostrzec morze oraz światła z wysp i odległego lądu.

– Gdzie jesteśmy?

– Tuż przy mokradłach – wyjaśnił. – Tam widać Høvikodden. Tam Borøya, a tam Ostøya. Odkąd wybudowali tu domy, to popularne miejsce spacerów. W ciągu dnia dosłownie roi się od rodzin z małymi dziećmi. Ale teraz mamy to miejsce tylko dla siebie, Helene.

Rozpiął pas i obrócił się w jej stronę.

Helene odetchnęła głęboko, zamknęła oczy i czekała.

– To chore – stwierdziła wreszcie.

– Chore?

– Jestem mężatką. A to... to się dzieje bardzo nie w porę. Zły timing.

– Dlaczego?

– Bo akurat opuszczam męża.

– Wygląda na znakomity timing dla mnie.

– Nie. – Pokręciła głową, nie otwierając oczu. – Nie rozumiesz. Gdyby Markus to odkrył, zanim zakończymy negocjacje...

– Dostałabyś trochę mniej z jego milionów.

– No właśnie. Dlatego to kompletna głupota z mojej strony.

– Wobec tego czemu to robisz, jak sądzisz?

– Nie wiem. – Przycisnęła dłonie do skroni. – Mam wrażenie, jakby ktoś lub coś przejęło mój mózg. – W tej samej chwili przyszła jej do głowy inna myśl. – Dlaczego uważasz, że on ma miliony? – Otworzyła oczy i spojrzała na niego. Tak, miał w sobie coś znajomego. Coś w spojrzeniu. – Byłeś na tej imprezie na tarasie? Znasz go?

Nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko lekko, podgłaśniając muzykę. Jakiś teatralny głos śpiewał o scary monsters. Słyszała go już wcześniej, ale nie potrafiła umiejscowić.

– Martini – stwierdziła z nagłą pewnością. – Byłeś U Danielle. To ty postawiłeś mi tego drinka, prawda?

– A co cię skłania, żeby tak myśleć?

– To, że stanąłeś za mną w kolejce, podszedłeś do stolika i usiadłeś. Takich rzeczy się nie robi podczas przerwy w spektaklu. To nie był przypadek.

Prim przesunął ręką po włosach i spojrzał w lusterko.

– Przyznaję się – oświadczył. – Obserwuję cię już od pewnego czasu. Chciałem być z tobą sam. I teraz jestem. Więc co robimy?

Helene jeszcze raz wzięła głęboki oddech i rozpięła swój pas.

– Pieprzymy się – powiedziała.

***

– Czy to nie jest niesprawiedliwe? – odezwała się Alexandra.

Zakończyli już posiłek i przenieśli się do restauracyjnego baru.

– Zawsze chciałam mieć dziecko i go nie mam. A ty, który nigdy nie chciałeś... – Pstryknęła palcami nad swoim drinkiem White Russian.

Harry małymi łyczkami popijał wodę.

– Życie rzadko bywa sprawiedliwe.

– W dodatku tak przypadkowo – dodała. – Bjørn Holm przysłał DNA do sprawdzenia, czy jest ojcem... Jak mały ma na imię?

– Gert.

Alexandra widziała, że Harry nie chce o tym rozmawiać, a mimo to – może dlatego że wypiła więcej, niż powinna – ciągnęła:

– No i okazało się, że nie jest. A potem robię analizę DNA czegoś, co okazuje się twoją krwią, omyłkowo porównuję wynik z całą bazą testów na ojcostwo i wtedy wychodzi na jaw, że jesteś ojcem Gerta. Gdyby nie ja...

– To nie jest twoja wina – przerwał jej Harry.

– Co nie jest moją winą?

– Nic. Zapomnij o tym.

– To, że Bjørn Holm popełnił samobójstwo?

– To, że... – Urwał.

Alexandra zobaczyła, że się skrzywił, jakby coś go zabolało. Czego nie mówił? Czego nie mógł powiedzieć?

– Harry?

– Tak?

Sprawiał wrażenie, że wzrok ma wbity w półkę z butelkami za barmanem.

– To ten zwyrodnialec, przestępca seksualny, zabił twoją żonę, prawda? Svein Finne.

– Spytaj go.

– Finne nie żyje. Jeśli nie on, to...

– To?

– Podejrzewali ciebie.

Harry pokiwał głową.

– Zawsze podejrzewamy partnera i z reguły mamy rację.

Alexandra pociągnęła długi łyk.

– Ty to zrobiłeś, Harry? Zabiłeś swoją żonę?

– Dwa razy tamto. – Harry pokazał; minęła chwila, nim Alexandra zrozumiała, że nie mówi do niej.

– To? – spytał barman, wskazując na kwadratową butelkę wiszącą na statywie.

– Tak, poproszę.

Harry milczał, dopóki nie stanęła przed nim szklanka ze złotobrązowym płynem.

– Tak – powiedział, podnosząc ją. Chwilę tak trzymał, jakby się bał. – Zabiłem Rakel. – Jednym haustem wlał w siebie zawartość i zanim szklanka z powrotem stanęła na kontuarze, zamówił drugą porcję.

Helene oddychała już spokojniej, ale dalej na nim siedziała.

Przeciągnęła go na fotel pasażera, opuściła oparcie, kiedy zapalił światło i założył prezerwatywę. Potem zaczęła go ujeżdżać jak jednego ze swoich koni, chociaż bez tego samego poczucia kontroli. Doszedł bezdźwięcznie, ale poczuła jego orgazm w drganiach mięśni, które teraz się rozluźniły.

Ona też szczytowała. Nie dlatego, że okazał się dobrym kochankiem – po prostu była tak podniecona, zanim jeszcze zdjęła spodnie i majtki, że wystarczyłoby jej

cokolwiek.

Poczuła teraz, że on, będąc w niej, mięknie.

– Dlaczego mnie śledziłeś? – Patrzyła na niego z góry, kiedy leżał płasko na rozłożonym siedzeniu, nagi jak ona.

– A jak myślisz? – spytał, wsuwając ręce pod głowę.

– Zakochałeś się we mnie, kiedy mnie zobaczyłeś na tamtej imprezie na tarasie?

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Nie kocham się w tobie, Helene.

– Nie?

– Jestem zakochany, ale w innej.

Helene poczuła irytację.

– To jakaś gra?

– Nie, mówię tylko, jak jest.

– Więc co robisz tutaj ze mną?

– Daję ci to, czego pragniesz. Czy raczej to, czego pragną twoje ciało i twój mózg. A one pragną mnie.

– Ciebie? – prychnęła. – Skąd masz pewność, że to nie mógłby być ktokolwiek?

– Ponieważ to ja zasiałem w tobie tę żądzę, a ona rozpełzła się po twoim ciele i mózgu.

– Chęć właśnie na ciebie?

– Owszem, na mnie. A mówiąc ściślej, to, co pełza w tobie, ma ochotę przedostać się do mojego systemu jelitowego.

– Słodki jesteś. Chcesz powiedzieć, że mam ochotę wziąć cię od tyłu przyczepionym członkiem? Mój mąż też tego chciał na samym początku.

Mężczyzna, który kazał nazywać się Prim, pokręcił głową.

– Mam na myśli jelito grube i jelito cienkie. Florę bakteryjną. Żeby one mogły się mnożyć. Jeśli chodzi o twojego męża, to jest dla mnie nowością, że chciałby być penetrowany od tyłu. Kiedy byłem chłopcem, to on zajmował się penetracją.

Helene spojrzała na niego zdziwiona. Była zdezorientowana, ale wiedziała, że się nie przesłyszała.

– O czym ty mówisz?

– Nie wiedziałaś, że twój mąż posuwa chłopców?

– Chłopców?

– Małych chłopców.

Przełknęła ślinę. Oczywiście przyszło jej do głowy, że Markus lubi mężczyzn, choć nigdy z nim o tym nie rozmawiała. Nie uważała za perwersję tego, że Markus jest biseksem lub – co bardziej prawdopodobne – ukrytym gejem. Chore było to, że Markus Røed – jeden z najbogatszych i najpotężniejszych ludzi w mieście, człowiek, którego prasa oskarżała o chciwość, oszustwa podatkowe, marny gust i inne, jeszcze gorsze rzeczy – nie miał odwagi przyznać się przed światem do tej jedynej ludzkiej cechy, dzięki której mógłby oddychać swobodniej. Zamiast tego stał się klasycznym przypadkiem homoseksualnego homofoba, nienawidzącego samego siebie narcyza i chodzącego paradoksu. Ale mali chłopcy? To znaczy dzieci? Nie. Gdy jednak taka myśl została jej podsunięta i kiedy Helene zaczęła składać sobie w całość różne sytuacje, wyglądało to na wręcz zbyt logiczne. Zadrżała. A zarazem pojawiła się jeszcze inna myśl: to mogło jej się przydać przy rozwodzie.

– Skąd wiesz? – spytała, nie ruszając się, ale rozglądając za majtkami.

– Był moim ojczymem. Wykorzystywał mnie, odkąd miałem sześć lat. Mówię sześć, bo to pierwsza rzecz, jaką pamiętam. Wykorzystał mnie tego samego dnia, którego podarował mi rower. Robił to trzy razy w tygodniu. Trzy razy w tygodniu penetrował moją małą dupkę. Przez kolejne lata.

Helene oddychała przez otwarte usta. Powietrze w samochodzie było aż gęste od zapachu seksu i tego specyficznego aromatu piżma.

– Czy twoja matka wiedziała... – Z trudem wymawiała słowa.

– Było tak, jak bywa zwykle. Pewnie miała jakieś podejrzenia, ale nie zrobiła nic, żeby je potwierdzić. Była bezrobotną alkoholiczką i bała się, że go straci. Mimo to właśnie tak się stało.

– Zawsze tak się dzieje z tymi, którzy się boją. Zostają porzuceni.

– A ty się nie boisz?

– Ja? Dlaczego miałabym się bać?

– Rozumiesz już chyba powód, dla którego jesteśmy tu teraz.

Myliła się czy znów w niej twardniał?

– Susanne Andersen? – spytała w końcu. – Ty to zrobiłeś?

Kiwnął głową.

– I Bertine?

Potwierdził jeszcze raz.

Może blefował, a może nie. Tak czy owak, Helene wiedziała, że powinna się bać. Tylko dlaczego się nie bała? Dlaczego znowu zaczęła poruszać biodrami? Najpierw spokojnie, potem coraz mocniej.

– Nie... – zaprotestował, nagle pobladły.

Ale ona dalej go ujeżdżała. Jej ciało kierowało się jakby własną wolą, unosiło się i opadało na jego członek z całą siłą. Poczuła, że mięśnie jego brzucha się napięły, usłyszała stłumiony jęk, pomyślała, że on znów dochodzi. I nagle zobaczyła kaskadę buchających z jego ust żółtozielonych wymiocin. Rozlały mu się na piersi i na fotele, na brzuch, spłynęły w jej stronę. Smród był tak ostry, że poczuła, jak jej żołądek się kurczy. Zacisnęła dwa palce na nosie, wstrzymując oddech.

– Nie, nie, nie! – jęknął, nie poruszając się, tylko po omacku sięgając do podłogi. Znalazł swoją koszulę i zaczął się nią wycierać. – To przez to gówno! – Wskazał na torebkę po chipsach, leżącą na środkowej konsoli.

Helene dostrzegła napis „Hillman Pets”.

– Muszę to jeść, żeby kontrolować populację pasożytów – wyjaśnił, przesuwając koszulą po brzuchu. – Ale trudno dobrać właściwą dawkę. Jeśli wezmę za dużo, żołądek nie wytrzymuje. Mam nadzieję, że to rozumiesz. Albo że okażesz wyrozumiałość.

Helene nie rozumiała ani nie miała wyrozumiałości. Koncentrowała się wyłącznie na wstrzymywaniu oddechu i zaciskaniu nosa. Wtem poczuła w sobie dziwną zmianę. Jakby pragnienie i żądza stopniowo znikały, a ich miejsce zajmowało inne uczucie. Strach.

Susanne. Potem Bertine. A teraz przyszła kolej na nią.

Musiała stąd wyjść, wydostać się. Już. Wpatrywał się w nią tak, jakby wyczuł jej lęk.

Zmusiła się do uśmiechu. Lewą rękę miała swobodną, mogła nią otworzyć drzwi, wyskoczyć z auta i uciec. Pobiec w stronę szeregowców, które mijali na początku leśnej drogi. To nie więcej niż trzysta–czterysta metrów. Dobrze, czterysta metrów to był jej ulubiony dystans. A na bosaka biegała szybciej niż w butach.

Zakładała, że poza tym on przez chwilę się zawaha, zanim ruszy za nią, ponieważ oboje są nadzy, a dzięki temu ona zyska niezbędną przewagę. Nie zdążyłby wycofać samochodu i dogonić jej, jadąc, a nawet gdyby próbował, zawsze mogła zboczyć do lasu. Trzeba tylko trochę odwrócić jego uwagę w czasie, kiedy jej lewa ręka będzie szukać klamki. Już miała puścić nos, żeby prawą dłoń niby z czułością położyć na jego oczach, kiedy uświadomiła sobie coś jeszcze. Że ta zmiana w niej nastąpiła, gdy przestała wciągać powietrze przez nozdrza. Że tu musiał istnieć jakiś związek.

– Rozumiem – szepnęła przymilnie. – Takie rzeczy się zdarzają. Już jesteś czysty. Pobądźmy trochę w ciemności. – Starała się oddychać jak najpłycej, licząc, że on nie usłyszy drżenia w jej głosie. – Gdzie się gasi światło?

– Dziękuję – powiedział z bladym uśmiechem i pokazał na sufit.

Znalazła przełącznik i zgasiła lampkę. W ciemności jej lewa ręka zaczęła się przesuwać po drzwiczkach od strony pasażera. Znalazła klamkę, pociągnęła ją i pchnęła drzwi. Chłodne wieczorne powietrze owionęło skórę. Nogi naprężyły się, żeby wstać. On jednak był szybszy. Jego dłonie sięgnęły do jej szyi i zacisnęły się. Helene obiema rękami uderzyła go w pierś, ale uścisk wokół jej gardła stał się jeszcze mocniejszy. Uniosła się na jednym kolanie, a drugie wypchnęła przed siebie w nadziei, że trafi go w krocze. Właściwie nie miała wrażenia, że jej się to udało, ale mimo wszystko ją puścił. Wydostała się z samochodu, poczuła żwir pod bosymi stopami, upadła, lecz zdołała się podnieść i zaczęła biec. Trudno było oddychać, jakby ciągle ją dusił, musiała jednak to zignorować i uciec. Teraz wreszcie złapała trochę powietrza. Widziała już światła przy szosie. To chyba nawet bliżej niż czterysta metrów. Tak, nawet nie trzysta. Uda się. Przyspieszyła. Płynęła w powietrzu. Za nic w świecie jej nie dogo...

Nagle w mroku ktoś jakby przed nią wyrósł, uderzył ją w szyję tak mocno, że odrzuciło ją do tyłu. Upadła na plecy, tyłem głowy waląc o żwir.

Na parę sekund musiała zemdleć, bo kiedy otworzyła oczy, usłyszała zbliżające się kroki.

Próbowała krzyczeć, ale na szyi znów coś się zaciskało.

Podniosła do niej palce, sprawdziła, co to jest.

Obroża.

Zdołał założyć jej obrożę i pozwolił jej uciekać, dopóki automatyczna smycz wysuwała się z uchwytu. Spokojnie odczekał, aż pokona te swoje pięćdziesiąt metrów wolności.

Nie słyszała już kroków, gdy jej palce odnalazły klips. Nacisnęła go i była wolna. Od obroży. Nie zdążyła jednak nawet wstać, gdy górną część ciała znów coś wcisnęło w żwir.

Był nagi i wydawał się lśniąco biały, kiedy stał nad nią w ciemności z jedną nogą na jej piersi. Wpatrywała się w to, co trzymał w prawej ręce. Odrobina światła odbiła się w gładkiej stali. To był nóż. Duży nóż. Mimo to się nie bała. W każdym razie nie tak jak wtedy, kiedy wstrzymała oddech w samochodzie. Owszem, bała się śmierci, ale żądza jakby wygrywała, nie potrafiła tego wytłumaczyć inaczej.

Kucnął i przyłożył ostrze noża do jej szyi. Nachylił się i szepnął jej do ucha:

– Jeśli krzykniesz, przetnę od razu. Kiwnij głową, że zrozumiałaś.

W milczeniu nią poruszyła. On znów się odchylił, ale ciągle kucał. A ona wciąż czuła na skórze dotyk zimnej stali.

– Bardzo mi przykro, Helene. – W jego głosie słychać było zduszony płacz. – To niesprawiedliwe, że musisz umrzeć. Nic nie zrobiłaś. Nie jesteś celem. Masz tylko to wielkie nieszczęście, że jesteś niezbędnym środkiem.

Zaczęła kasłać.

– Niezbędnym do czego?

– Do upokorzenia i zniszczenia Markusa Røeda.

– Ponieważ on...

– Tak. Dlatego że mnie ruchał. A kiedy mnie nie ruchał, musiałem ssać jego obrzydliwego fiuta na kolację, na śniadanie, a czasami na lunch. Wiesz, o czym mówię, Helene? Różnica polega na tym, że w moim przypadku nie towarzyszyły temu żadne korzyści. Oprócz roweru tamten jeden raz. No i oprócz tego, że nie opuszczał mojej matki. Chore, prawda? Bałem się, że nas zostawi. Nie wiem, kto stał się dla niego za stary: ja czy moja matka. Ale porzucił nas dla młodszej kobiety z młodszym synkiem. To było na długo przed tym, zanim nastałaś ty. Przypuszczam więc, że nawet o tym nie słyszałaś.

Helene w milczeniu pokręciła głową. Była w stanie zobaczyć samą siebie z zewnątrz, nagą i zmarzniętą na żwirowej drodze, z nożem przy szyi. Czuła kamienie wbijające się w skórę, nie widziała żadnego wyjścia z tej sytuacji, być

może jej życie skończy się właśnie tutaj. A mimo to chciała tu być. Mimo wszystko pragnęła go. Czyżby oszalała?

– Moja matka rozpadła się w depresji – ciągnął łamiącym się głosem.

Helene widziała teraz, że i on marznie.

– Dopiero kiedy zaczęła się z niej wydobywać, znalazła w sobie dość energii, żeby zrobić to, co tyle razy obiecywała mi po pijaku. Odebrała życie sobie, a próbowała odebrać też mnie. Straż pożarna określiła to jako wypadek, palenie papierosów w łóżku. Ani ja, ani jej brat, wuj Fredric, nie widzieliśmy powodu, by informować strażaków czy towarzystwo ubezpieczeniowe, że nie paliła. Szczątki paczki papierosów, które znaleźli, zostały po Markusie Røedzie.

Zamilkł. Coś ciepłego skapnęło jej na pierś. Łza.

– Zabijesz mnie teraz? – spytała.

Wciągnął z drżeniem powietrze.

– Jak już mówiłem, bardzo mi przykro z tego powodu, ale cykl życiowy pasożytów trzeba dokończyć. No wiesz, żeby mogły się rozmnażać. Do zainfekowania kolejnej osoby potrzebuję nowych, świeżych pasożytów. Rozumiesz?

Pokręciła głową, miała ochotę pogłaskać go po policzku. Czuła się jak po zażyciu ecstasy. Jej miłość była wszechogarniająca. Ale to nie była miłość, tylko żądza. Czuła cholerne podniecenie.

– No i oczywiście zaletą jest to, że martwi nie donoszą.

– Oczywiście. – Oddychała teraz ciężej, jakby wiedziała, że to jej ostatnie oddechy.

– Powiedz mi, Helene, kiedy uprawialiśmy seks, czułaś się przez chwilę kochana?

– Nie wiem – odparła. Uśmiechnęła się zmęczona. – Tak, chyba tak.

– To dobrze. – Wolną ręką chwycił jej dłoń. Uścisnął. – Chciałem przed śmiercią zrobić ci prezent. Żebyś poczuła się kochana. Bo to jedyna rzecz, jaka ma znaczenie, prawda? Czuć się kochanym.

– Być może – przyznała i zamknęła oczy.

– Trzymaj się tej myśli, Helene. Powtarzaj sobie: jestem kochana.

Prim patrzył na nią. Obserwował, jak poruszają się jej wargi. Jak formują słowa:

– Jestem kochana.

Potem uniósł nóż w taki sposób, żeby jego czubek celował w tętnicę, pochylił się i nacisnął całym ciężarem ciała. Bryzg gorącej krwi na jego lodowatej skórze sprawił, że zadrżał z rozkoszy i ze strachu.

Mocno trzymał rękojeść. Wibracje pozwoliły mu wyczuć dokładnie moment, w którym uszło z niej życie. Po trzecim tryśnięciu krew zaczęła po prostu płynąć. Kilka sekund później nóż powiedział mu, że Helene Røed nie żyje.

Wyciągnął go i usiadł obok niej na ziemi. Otarł łzy. Trząsł się z zimna, strachu i uwolnionego napięcia. To wcale nie stawało się łatwiejsze – przeciwnie, coraz gorsze. Ale one były niewinne. Winny ciągle żył. To będzie coś zupełnie innego. Cudownie będzie pozbawić życia Markusa Røeda. Najpierw jednak ten drań musi wycierpieć tyle, żeby śmierć jawiła mu się jako oswobodzenie.

Prim poczuł coś na skórze. Lekki deszcz. Zadarł głowę. Niebo było czarne. Zapowiadano więcej opadów w nocy. Zmyją większość śladów. Ale on wciąż miał pracę do wykonania. Spojrzał na zegarek, jedyną rzecz, jakiej z siebie nie zdjął. Dziewiąta trzydzieści. Jeśli będzie działał skutecznie, powinien dotrzeć do centrum przed wpół do jedenastej.

29

Sobota. Tapetum lucidum

Do północy została godzina. Mokre alejki parku Zamkowego lśniły w blasku latarni.

Harry był przyjemnie znieczulony, a rzeczywistość odpowiednio zniekształcona. Krótko mówiąc, osiągnął sweet spot odurzenia, punkt, w którym miał świadomość samooszukiwania się, lecz mimo to odczuwał duchową bezbolesność. Szli z Alexandrą przez park. Mijające ich twarze rozpływały się, rozlewały. Aby podtrzymać Harry'ego, Alexandra zarzuciła sobie na ramiona jego rękę, a sama objęła go w pasie. Ciągle była wściekła.

– To, że odmówili nam dalszej obsługi, to jedna rzecz – syknęła.

– Odmówili mnie – podkreślił Harry z dykcją już o wiele wyraźniejszą.

– Druga to to, że nas wyrzucili.

– Mnie wyrzucili – skorygował Harry. – Zauważyłem, że barmani nie lubią gości, którzy zasypiają z głową na kontuarze.

– Mimo wszystko. Chodzi mi o sposób.

– Są gorsze sposoby, Alexandro, uwierz mi.

– Tak?

– Tak. To był jeden z delikatniejszych sposobów, w jaki zostałem wyrzucony. Właściwie zastanawiam się, czy nie wpadnie na moją listę pięciu najprzyjemniejszych wywaleń.

Roześmiała się i wtuliła głowę w zagłębienie jego szyi. W efekcie Harry zboczył z alejki na królewski trawnik, na którym starszy pan z robiącym kupę psem na automatycznej smyczy popatrzył na nich z przyganą.

Alexandra wyprowadziła Harry'ego na prostą.

– Wpadnijmy do Lorry na kawę – zaproponowała.

– I na piwo – dodał Harry.

– Na kawę. Chyba że chcesz być wyrzucony jeszcze raz.

Harry się zastanowił.

– Okej.

W Lorry było tłoczno, ale udało im się usiąść razem z dwoma mówiącymi po francusku mężczyznami w trzecim boksie na lewo od drzwi wejściowych. Dostali duże filiżanki parującej kawy.

– Oni rozmawiają o zabójstwach – szepnęła Alexandra.

– Nie – zaprzeczył Harry. – O hiszpańskiej wojnie domowej.

Około północy wyszli stamtąd, nie wypiwszy już więcej alkoholu, więc odrobinę mniej pijani.

– Do domu do mnie czy do ciebie? – spytała Alexandra.

– A są jakieś inne możliwości?

– Nie ma. A więc do mnie. I idziemy piechotą. Przewietrzymy się.

Mieszkanie Alexandry znajdowało się w kamienicy przy Marcus Thranes gate, w połowie drogi między St. Hanshaugen a Alexander Kiellands plass.

– Przeprowadziłaś się – zauważył Harry, stojąc w jej sypialni i lekko się chwiejąc, podczas gdy ona usiłowała go rozebrać. – Ale widzę, że łóżko jest to samo.

– Dobre wspomnienia?

Harry się zadumał.

– Idiota! – Alexandra pchnęła go na prześcieradło i uklękła, żeby mu rozpiąć spodnie.

– Alexandro... – Położył rękę na jej dłoni.

Znieruchomiała, tylko na niego patrząc.

– Nie dam rady – oświadczył.

– Jesteś za bardzo pijany?

– Ty prawdopodobnie też. Ale byłem dzisiaj na jej grobie.

Czekał na gniew upokorzenia. Na chłód. Na pogardę. Jednak w jej oczach widać było tylko znużoną rezygnację. Wepchnęła go pod kołdrę w spodniach, zgasiła światło i sama się położyła. Przysunęła się blisko.

– To ciągle boli?

Harry usiłował wymyślić inny sposób na opisanie tego uczucia. Pustka. Tęsknota. Samotność. Lęk. Nawet panika. Lecz Alexandra trafiła chyba w sedno, bo przesłaniającym wszystko uczuciem był ból. Kiwnął głową.

– Szczęściarz z ciebie – powiedziała.

– Szczęściarz?

– Skoro kochałeś kogoś tak mocno, że to może boleć.

– Mhm.

– Przepraszam, jeśli to zabrzmiało banalnie.

– Nie, masz rację. Nasze uczucia są banalne.

– Nie chciałam powiedzieć, że banalne jest kochanie kogoś. Albo chęć bycia kochanym.

– Ja też nie.

Objęli się. Harry wpatrywał się w ciemność. W końcu zamknął oczy. Została mu do przeczytania połowa raportów. Mogła w nich tkwić odpowiedź. Jeśli nie, będzie musiał wypróbować swój desperacki plan. Wprawdzie go odrzucił, ale po rozmowie z Trulsem U Schrødera plan przemykał mu przez głowę raz po raz.

W końcu Harry odpłynął.

Ujeżdżał mechanicznego byka. Zwierzę rzucało jego ciałem raz w jedną, raz w drugą stronę, a on, mocno się trzymając, próbował jednocześnie zamówić drinka. Starał się skupić wzrok na barmanie za ladą, ale szarpnięcia były zbyt ostre i rysy znajdującej się przed nim twarzy wciąż się rozmywały.

– Czego ty chcesz, Harry? – To był głos Rakel. – Powiedz, czego pragniesz.

Czy to naprawdę ona? „Chcę, żeby byk się zatrzymał. Chcę, żebyśmy byli razem”. Próbował to wykrzyczeć, lecz nie mógł wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Naciskał guziki na karku byka, ale szarpnięcia i obroty stawały się coraz gwałtowniejsze i szybsze.

Usłyszał odgłos jakby noża przecinającego ciało i jej krzyk.

Byk zaczął poruszać się wolniej. Aż wreszcie całkiem się zatrzymał.

Nie widział nikogo za barem, ale po lustrzanych półkach, butelkach i szklankach spływała krew. Poczuł, jak coś twardego wciska mu się w skroń.

– I can tell you’re in debt – szepnął jakiś głos tuż za nim. – Yes, you owe me a life.

Podniósł wzrok na lustro. W stożku światła padającego z góry zobaczył własną głowę i lufę pistoletu oraz dłoń przyciskającą palec do cyngla. Twarz mężczyzny trzymającego pistolet skrywała się w mroku, dostrzegł jednak przebłysk czegoś białego. Czyżby ten człowiek był nagi? Nie, to tylko biały kołnierzyk.

– Wait! – zawołał Harry i się odwrócił.

To nie był człowiek z windy. Ani mężczyzna za przydymioną szybą camaro. To był Bjørn Holm. Rudowłosy kolega przystawił pistolet do własnej skroni i nacisnął spust.

– Nie!

Harry zorientował się, że usiadł w łóżku.

– O Boże! – wymamrotał ktoś, a on zobaczył obok siebie czarne włosy na białej poduszce. – Co się dzieje?

– Nic – odparł Harry ochrypłym głosem. – To tylko sen. Pójdę już.

– Dlaczego?

– Muszę czytać raporty. I obiecałem, że rano wybiorę się z Gertem na spacer do parku. – Wysunął się z łóżka, znalazł na krześle koszulę, włożył ją i zaczął zapinać guziki. Poczuł mdłości.

– Cieszysz się, że go zobaczysz?

– Nie chcę się spóźnić. – Nachylił się i pocałował Alexandrę w czoło. – Śpij dobrze i dziękuję za miły wieczór. Nie musisz mnie odprowadzać.

Kiedy dotarł na podwórze, musiał się wyrzygać. Zdążył rozsunąć dwa zielone kontenery na kółkach przeznaczone na zużyty plastik, zanim żołądek wywrócił mu się na drugą stronę, a jego zawartość rozprysnęła się na zaśmieconym bruku. Zbierając siły, zobaczył, że w mroku po drugiej stronie podwórza lśni coś czerwonego. To były kocie oczy. Tapetum lucidum, jak wyjaśniła mu Lucille. Błona odblaskowa, warstwa tkanki w oku, w której teraz odbijało się światło z jednego z okien na parterze. Dostrzegł też kota. Zwierzę siedziało nieruchomo i tylko na niego patrzyło. To znaczy kiedy oczy Harry’ego przywykły do ciemności, zorientował się, że uwagę kota ściągnął nie tyle on, ile szczur między nimi. Szczur szedł powoli od kontenerów w stronę kota. To było jak déjà vu z ostatniego poranka w bungalowie przy Doheny Drive. Szczur ciągnął za sobą długi połyskujący ogon niczym skazany na śmierć, który musi wlec na szubienicę własny stryczek. Kot nachylił się i błyskawicznym ruchem wbił zęby w kark

gryzonia. Harry’emu znów zrobiło się niedobrze. Musiał oprzeć się o ścianę, a kot rzucił martwego już szczura na ziemię przed sobą. Błyszczące oczy znów patrzyły na Harry’ego, jakby spodziewały się aplauzu. To teatr, pomyślał. To jakiś cholerny teatr, w którym przez określony czas tylko odgrywamy napisane dla nas role. Owca

30

Niedziela

Poranne słońce nie wysuszyło jeszcze ulic, kiedy Thanh przyszła pod sklep Mons.

Nie miała ze sobą kluczy. W niedzielę jedynie spotykała się tutaj z ludźmi powierzającymi jej swoje zwierzęta. Miała nowego klienta, zadzwonił dzień wcześniej. Zamówienie opieki nad psem w weekend było dość niezwykłe, bo ludzie z reguły właśnie wtedy mogli się sami zająć swoimi pupilami. Thanh już się cieszyła na ten spacer, włożyła nawet strój sportowy, na wypadek gdyby pies miał ochotę pobiegać. Poprzedni dzień spędziła z matką na gotowaniu. Ojciec wyszedł ze szpitala i chociaż lekarz surowo mu zabronił spożywania ostro przyprawionych potraw oraz dużych posiłków, to ku radości matki chętnie nakładał sobie przyrządzone przez nią dania.

Thanh zobaczyła mężczyznę z psem nadchodzącego przez pusty, wysypany żwirem plac Vestkanttorget. Pies był rasy labrador retriever i sądząc po sposobie poruszania się, cierpiał na dysplazję stawów biodrowych. Kiedy się zbliżyli, Thanh zorientowała się, że jego właścicielem jest policjant, który odwiedził sklep dwa dni wcześniej. Może z powodu jego garnituru pomyślała, że wybiera się na niedzielne nabożeństwo albo na konfirmację, dlatego potrzebuje opieki nad psem. Ale gdy go widziała za pierwszym razem, też był w garniturze, więc pewnie tak się ubierał do pracy. Cieszyła się nawet, że nie zabrała kluczy, bo może zamierzał ją nakłaniać, żeby wpuściła go do sklepu.

– Cześć. – Uśmiechnął się do niej. – Mam na imię Sung-min.

– Ja jestem Thanh. – Pogłaskała merdającego ogonem psa.

– Thanh – powtórzył. – A on ma na imię Kasparov. Jak mam zapłacić?

– Przez aplikację Vipps. Dostaniesz pokwitowanie, jeśli sobie życzysz.

– Chcesz powiedzieć, że dla policjanta nie będziesz pracować na czarno? – Roześmiał się. – Przepraszam, kiepski żart – dodał, gdy mu nie zawtórowała. – Masz coś przeciwko temu, że kawałek się z wami przejdę?

– Ależ skąd. – Wzięła od niego smycz. Przy tej okazji zauważyła, że obroża Kasparova jest marki William Walker. Droga, lecz miękka i delikatna dla psiej szyi. Chciała wprowadzić tę markę do sklepu, ale Jonathan się sprzeciwił. – Zwykle chodzę do parku Frogner.

– Dobrze.

Ruszyli na południe, kierując się przez Fuglehauggata.

– Widzę, że jesteś w stroju sportowym, ale obawiam się, że Kasparov swoje dni biegania ma już za sobą.

– Zauważyłam. Rozważałeś operację?

– Tak, wiele razy. Ale weterynarz mi odradza. Dlatego stawiam na odpowiedni trening i właściwą karmę, a w gorszych okresach na leki przeciwbólowe i przeciwzapalne.

– Chyba kochasz swojego psa.

– O tak. A ty masz psa?

Pokręciła głową.

– Stawiam na luźne związki. Takie jak teraz z Kasparovem.

Tym razem roześmiali się obydwoje.

– Obawiam się, że niezbyt dobrze mi poszło z twoim szefem, kiedy u was byłem – powiedział. – Czy on zawsze jest taki ponury?

– Nie wiem – odparła Thanh.

Policjant milczał, więc zrozumiała, że czeka na dalsze wyjaśnienia. Oczywiście nie musiała już nic więcej mówić, ale takie pauzy podkreślają, że nie chce się nic więcej powiedzieć. Jak gdyby kryły się za tym jakieś ciemne sprawki.

– Nie za dobrze go znam – dorzuciła więc. Zorientowała się jednak, że teraz zabrzmiało to tak, jakby chciała stworzyć dystans między sobą a Jonathanem, co z kolei stawiało szefa w złym świetle, a przecież wcale nie miała takiego zamiaru.

– To dziwne, że się nie znacie – stwierdził policjant. – Przecież pracujecie w tym sklepie tylko we dwoje.

– Tak – przyznała.

Zatrzymali się na czerwonym świetle przed przejściem dla pieszych przez Kirkeveien.

– Może rzeczywiście to trochę dziwne – dodała. – A ty pewnie chciałbyś się dowiedzieć, czy coś mi wiadomo o jakimś przemycie. Ale ja nic nie wiem.

Kątem oka zobaczyła, że policjant na nią patrzy, a kiedy światło zmieniło się na zielone, ruszyła tak szybko, że został z tyłu na chodniku.

Sung-min pospieszył za dziewczyną ze sklepu z artykułami dla zwierząt.

Był zirytowany. To ewidentnie do niczego nie prowadzi – dziewczyna trzymała gardę wysoko i nie chciała nic powiedzieć. Zmarnowany wolny dzień, a humoru nie poprawiało wspomnienie wczorajszej kłótni z Chrisem.

Przy monumentalnej głównej bramie parku Frogner stał sprzedawca róż, który podsuwał turystom swoje smętne okazy.

– Róża dla pięknej ukochanej.

Przesunął się w bok, tarasując drogę do jednej z mniejszych bocznych bram, do której zmierzali Sung-min i Thanh.

– Nie, dziękuję – powiedział Sung-min.

Sprzedawca powtórzył swoje hasło z cudzoziemskim akcentem, jakby tamten wcześniej go nie usłyszał.

– Nie – warknął Sung-min. Poszedł dalej za Thanh i Kasparovem, którzy okrążyli mężczyznę i weszli za bramę.

Sprzedawca jednak ruszył za nim.

– Róża dla pięknej...

– Nie!

Mężczyzna najwyraźniej uznał, że facet w takim stroju ma pieniądze na różę, a w dodatku uważał, że Sung-min i Thanh są parą, skoro oboje mają azjatyckie rysy. Oczywiście nie było to założenie bezsensowne ani też coś, co zirytowałoby Sung-mina innego dnia. W ogóle rzadko dawał się sprowokować tego typu uprzedzeniom. Pozwalały przecież ludziom radzić sobie ze skomplikowanym światem. Prawdę mówiąc, Sung-mina częściej prowokowali ludzie tak skupieni na sobie, że uznawali się za ofiarę nawet najbardziej niewinnego uprzedzenia.

– Róża dla...

– Jestem gejem!

Sprzedawca róż stanął i zdumiony zapatrzył się na Sung-mina. Potem zwilżył wargi i wysunął przed siebie owinięty folią blady kwiat.

– Róża dla pięk...

– Jestem gejem! – ryknął Sung-min. – Rozumiesz? Zatwardziałym gejem!

Handlarz się cofnął, a Sung-min spostrzegł, że przechodzący przez bramę ludzie zaczynają im się przyglądać. Thanh przystanęła z przerażoną miną, Kasparov krótko szczeknął i pociągnął za smycz, żeby pospieszyć swojemu panu na ratunek.

– Przepraszam – westchnął Sung-min. – Proszę. – Wziął kwiat i wręczył sprzedawcy stukoronowy banknot.

– Nie mam... – zaczął mężczyzna.

– W porządku – jęknął Sung-min, podszedł do Thanh i podał jej różę.

W pierwszej chwili patrzyła na niego zdumiona, w końcu wybuchnęła śmiechem.

Sung-min wahał się chwilę, zaraz jednak sam dostrzegł komizm tej sytuacji i także zaczął się śmiać.

– Tata mówi, że obdarowywanie wybranki serca kwiatami to głównie europejska tradycja – powiedziała Thanh. – Robili tak Grecy w starożytności, Francuzi i Anglicy w średniowieczu.

– Owszem, ale róża pierwotnie pochodzi z tej samej części świata co my – odparł Sung-min. – Tam gdzie się urodziłem, w Korei Południowej, w Samcheok, odbywa się bardzo znany festiwal róż, a mugunghwa, róża z Sharon, czyli hibiskus, to symbol narodowy Korei.

– No tak, ale czy mugunghwa z definicji jest różą?

Zanim dotarli do Monolitu, temat rozmowy zmienił się z kwiatów na psy.

– Właściwie nie wiem, czy Jonathan tak naprawdę lubi zwierzęta – stwierdziła Thanh, gdy stanęli na szczycie parkowego wzgórza i patrzyli w dół na Skøyen. – Wydaje mi się, że trafił do tej branży przypadkiem. Równie dobrze mógłby prowadzić sklep spożywczy albo punkt z elektroniką.

– Ale nie wiesz, czy dalej kupował Hillman Pets, nawet po wprowadzeniu zakazu importu?

– Skąd masz pewność, że to robił?

– Bardzo się stresował, kiedy u was byłem.

– Może bał się...

– Tak?

– Nie, nic takiego.

Sung-min wziął głęboki oddech.

– Nie jestem celnikiem. Nie zamierzam się go czepiać ani oskarżać o nielegalny import. Moja praca polega na chodzeniu po śladach, które okrężnymi drogami, tak jak w tym wypadku, mogą doprowadzić do ujęcia mordercy tych dwóch zaginionych dziewczyn. I zapobiec śmierci kolejnych.

Thanh pokiwała głową. Po chwili wahania podjęła decyzję.

– Najbliżej łamania prawa Jonathan znalazł się wtedy, kiedy przyjął szczeniaka lisa, którego ktoś przywiózł z Londynu. Tam podobno dzikie lisy mieszkają w środku miasta. Oczywiście lisów nie wolno wwozić do Norwegii i myślę, że ci ludzie się przestraszyli, kiedy to odkryli. Bali się iść do weterynarza, żeby go uśpić, a sami nie potrafili tego zrobić. Dlatego oddali liska Jonathanowi. Na pewno dobrze mu zapłacili za rozwiązanie tego problemu.

– Ludzie robią takie rzeczy?

– Żebyś wiedział. Dwa razy właściciele psów, którymi się opiekowałam, po prostu ich nie odebrali i nie dali więcej znaku życia.

– Co robisz w takich sytuacjach?

– Zabrałam je do domu. Ale mamy małe mieszkanie, więc w końcu musiałam je przekazać do stowarzyszenia zajmującego się adopcjami zwierząt. To takie smutne.

– A co się stało z tym liskiem?

– Nie wiem. I nie wiem, czy chcę wiedzieć. Kochałam go.

Sung-min zobaczył, że oczy jej wilgotnieją.

– Pewnego dnia po prostu zniknął. Pewnie Jonathan go spłukał w ubikacji.

– W ubikacji?

– Nie, oczywiście, że nie. Tak jak mówiłam, nie chcę wiedzieć, jak się pozbył Nhi.

Szli dalej. Thanh opowiadała o swoich planach, o marzeniu, by zostać weterynarzem. Sung-min słuchał. Trudno było nie lubić tej dziewczyny. Poza tym okazała się bystra i czujna, nie miało sensu dłużej udawać, że chciał, by zaopiekowała się jego psem, więc towarzyszył jej przez cały spacer. Wypytywanie

jej nie przyniosło żadnych rezultatów, ale pocieszał się tym, że przynajmniej spędził trochę czasu z osobą ceniącą jego czworonożnego przyjaciela równie wysoko, jak on sam.

– Ojej! – wystraszyła się nagle Thanh, kiedy znów zbliżali się do Monsa. – Jest Jonathan!

Przed otwartymi drzwiami do sklepu stało zaparkowane volvo kombi. Przez otwarte drzwiczki po stronie pasażera nachylał się do środka mężczyzna. Przypuszczalnie ich nie usłyszał, bo wszystko zagłuszał odgłos odkurzacza. Przy nogach mężczyzny stało wiadro, przez którego brzeg przelewała się piana, a samochód był mokry i lśniący. Ze szlaucha leżącego na asfalcie wciąż płynęła woda. Sung-min wziął od Thanh smycz Kasparova, zastanawiając się, co zrobić: niepostrzeżenie odejść i pozostawić Thanh decyzję, czy zechce opowiedzieć szefowi o ich spotkaniu? Zanim jednak zdążył coś postanowić, właściciel sklepu wyprostował się i odwrócił w ich stronę.

Sung-min zobaczył, że oczy mężczyzny na ich widok zapłonęły; bez wątpienia właściwie zinterpretował sytuację.

– Czy to nie bezbożne myć samochód w porze niedzielnego nabożeństwa? – odezwał się Sung-min, zanim tamten zdążył cokolwiek powiedzieć.

Mężczyźnie zwęziły się oczy.

– Byliśmy tylko na spacerze w parku – zaczęła się pospiesznie tłumaczyć Thanh. – W ramach opieki nad psem.

Sung-min wolałby, żeby w jej głosie nie było aż tyle lęku. Jakby to oni mieli powody do przyjęcia postawy defensywnej, a nie ten gość.

Właściciel sklepu bez słowa zaniósł odkurzacz i szlauch do sklepu. Wyszedł stamtąd, chwycił wiadro i wylał jego zawartość na chodnik. Brudna woda z pianą zebrała się wokół ręcznie szytych butów Sung-mina.

On jednak na to nie zważał, skupił się wyłącznie na mężczyźnie, który z pustym wiadrem wmaszerował z powrotem do środka. Czy tę jego wściekłość wywołał tylko natrętny policjant? Teraz bowiem wyglądało to inaczej niż w trakcie pierwszej wizyty w sklepie. Od tego człowieka dosłownie biła nienawiść. Taka, która wybucha, kiedy ktoś się boi, bo ktoś inny za bardzo się zbliżył i grozi przekroczeniem granicy, wdarciem się tam, gdzie skrywa się najczulszy punkt.

Sung-min nie bardzo wiedział, jakiego nerwu dotknął, lecz nie było najmniejszych wątpliwości, że właśnie tak się stało.

Mężczyzna znów wyszedł i zamknął drzwi do sklepu. Nie poświęcając im ani jednego spojrzenia, ruszył w stronę auta. Sung-min zobaczył, że po wodzie, która spłynęła z opon do studzienki, zostały na asfalcie grudki ziemi.

– Jeździł pan po lesie? – spytał głośno.

– A co, polowanie się nie udało? – odparował właściciel sklepu, usiadł za kierownicą, trzasnął drzwiczkami i zapuścił silnik.

Sung-min patrzył, jak volvo przyspiesza, jadąc w dół wyludnionej w niedzielę Neuberggata.

– Co on miał w bagażniku? – spytał Sung-min.

– Klatkę – odparła Thanh.

– Klatkę – powtórzył policjant.

– Ojej! – szepnęła Katrine, cofając dłoń, którą wsunęła Harry’emu pod ramię.

– Co się stało? – spytał.

Nie odpowiedziała.

– Mamo, co się stało? – zaczął się dopytywać Gert, który trzymał za rękę Harry’ego.

– Wydawało mi się, że kogoś zobaczyłam – wyjaśniła Katrine i zmrużonymi oczami dalej wpatrywała się w pagórek za Monolitem.

– Znów Sung-mina? – spytał Harry.

Katrine wcześniej mówiła mu, że kiedy czekała z Gertem przy bramie, widziała Sung-mina wchodzącego do parku razem z jakąś dziewczyną. Nie ujawniła przed nim swojej obecności, pewnie nie chciała, żeby koledzy z pracy zobaczyli ją w towarzystwie Harry’ego. Pod tym względem park Frogner w słoneczną niedzielę mógł się okazać dość ryzykownym wyborem – już teraz było tu mnóstwo ludzi, niektórzy nawet rozsiedli się na trawie, która musiała być nadal mokra po nocnym deszczu.

– Nie, zdawało mi się, że to był... – Urwała.

– Twój randkowicz? – dokończył Harry, a w tym czasie Gert w kombinezonie przeciwdeszczowym uczepił się jego przedramienia, żeby wujek Hallik jeszcze raz

podniósł go z ziemi i okręcił dokoła.

– Możliwe. Człowiek o kimś myśli i nagle wydaje mu się, że wszędzie widzi tę twarz, prawda?

– Chcesz powiedzieć, że widziałaś go tam, na górze?

– Nie, to nie mógł być on, miał dzisiaj pracować. Ale tak czy owak, nie mogę iść z tobą pod rękę, Harry. Gdyby ktoś z pracy nas zobaczył...

– Wiem. – Harry spojrzał na zegarek.

Zostały jeszcze całe dwa dni. Mówił już Katrine, że może poświęcić na ten spacer najwyżej dwie godziny, bo musi wracać do hotelu i pracować. Wiedział jednak, że chce dać sobie poczucie, że robi cokolwiek, bo nie ma szans, aby coś tam znalazł. Że coś musi się wydarzyć.

– Nie tam, tutaj! – Gert ściągnął Harry'ego z alejki na ścieżkę biegnącą między drzewami w stronę placu zabaw z Twierdzą Frogner, miniaturowym drewnianym zamkiem, gdzie dzieci mogły się wspinać i szaleć.

– Jak to się nazywa? Jak mówiłeś? – spytał Harry niewinnie.

– Fieldza Flognel!

Zauważył ostrzegawcze spojrzenie Katrine, kiedy starał się nie roześmiać. Co się, u diabła, z nim dzieje? Słyszał, że brak snu potrafi wywołać u człowieka stan psychotyczny. Czyżby właśnie to go dopadło?

Zadzwonił telefon, Harry spojrzał na wyświetlacz.

– Muszę odebrać. Idźcie przodem, dobrze? – powiedział, a kiedy Katrine i Gert nie mogli go już usłyszeć, rzucił do aparatu: – Dziękuję za wczorajszy wieczór.

– To ja ci dziękuję – odezwała się Alexandra. – Ale nie po to dzwonię. Jestem w pracy.

– W niedzielę?

– Skoro w środku nocy opuszczasz łóżko chętnej dziewczyny, żeby czytać raporty, to chyba i ja mam prawo trochę popracować.

– No dobrze.

– Właściwie przyszłam, żeby podgonić swój doktorat, ale okazało się, że analiza tego, co mi dałeś na ręczniku papierowym, jest gotowa. Więc pomyślałam, że chciałbyś to wiedzieć od razu.

– Mhm.

– To ten sam profil DNA co w ślinie, którą znaleźliśmy przy sutku Susanne Andersen.

Przemęczony mózg Harry’ego przyjmował tę informację po kawałeczku, a częstotliwość uderzeń serca rosła. Przecież akurat sobie zażyczył, żeby coś się wydarzyło, i tak się stało. Można nabrać wiary w wyższe moce, widząc mniejsze cuda. Przyszło mu jednak do głowy, że nie powinien być aż tak zaskoczony – przecież podejrzenie, do kogo mogła należeć ślina na piersi Susanne, było na tyle poważne, że podstępem zdobył DNA Markusa Røeda.

– Dzięki – powiedział i szybko się rozłączył.

Kiedy dotarł na plac zabaw, zastał Katrine na czworakach w piasku przed drewnianą twierdzą. Parskała jak koń, a Gert siedział jej na plecach i piętami uderzał w boki. Wyjaśniła, wciąż na czworakach, że Gert oglądał jakiś film o rycerzach i od tego czasu zawsze się upierał, że do zamku musi dotrzeć konno.

– Ślina na piersi Susanne należy do Markusa Røeda – oznajmił Harry.

– Skąd wiesz?

– Zdobyłem jego DNA i dałem Alexandrze.

– Kurwa.

– Mamo...

– Wiem, wiem, mama nie powinna brzydko mówić. Ale skoro materiał został uzyskany w ten sposób, to wbrew zasadom. Nie będziemy mogli tego wykorzystać w sądzie.

– Rzeczywiście to wbrew zasadom, ale to właśnie jedna z tych rzeczy, o których rozmawialiśmy. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyście wykorzystywali informacje zdobyte i zgłoszone przez kogoś innego.

– Mógłbyś...

Ruchem głowy wskazała swojego jeźdźca. Harry zdjął protestującego Gerta z konia i Katrine stanęła wreszcie na nogi.

– Żona wciąż daje Røedowi alibi, ale może DNA mimo wszystko wystarczy do aresztowania – oceniła, otrzepując spodnie na kolanach, i spojrzała na Gerta, który pobiegł do zjeżdżalni wychodzącej z narożnej wieży.

– Mhm. Wydaje mi się, że Helene Røed trochę się zachwiała, jeśli chodzi o alibi męża.

– Naprawdę?

– Rozmawiałem z nią. To alibi jest jej kartą przetargową w negocjacjach rozwodowych.

Katrine zmarszczyła czoło i sięgnęła po dzwoniący telefon. Zerknęła na wyświetlacz.

– Słucham, Bratt.

Oficjalny służbowy głos, pomyślał Harry. A po zmianie, jaka zaszła na jej twarzy, domyślił się reszty.

– Już jadę – powiedziała i się rozłączyła. Spojrzała na Harry'ego. – Zwłoki. W okolicy Lilløyplassen.

Harry się zastanowił. Czy to nie na jednym z cypli półwyspu Snarøya, w rejonie mokradeł?

– Okej. Ale po co taki pośpiech z obecnością śledczych? Nie powinnaś raczej skupić się na aresztowaniu Røeda?

– To ta sama sprawa. Kobieta. Głowę odcięto.

– O cholera!

– Pobawisz się z nim w tym czasie? – Wskazała na Gerta.

– Będziesz zajęta przez cały dzień – stwierdził Harry. – I przez wieczór. Røed musi...

– Ten jest do bramy, a ten do mieszkania. – Zdjęła z pęku dwa klucze. – Jedzenie w lodówce. I nie patrz z taką niepewnością. Mimo wszystko jesteś ojcem.

– Mhm. Wtedy kiedy ci pasuje.

– Owszem. A ty mówisz jak te żony policjantów, które zawsze się skarżą. – Wręczyła mu klucze. – Røedem zajmiemy się później. Będę cię informować na bieżąco przez telefon, w porządku?

– Oczywiście. – Harry zacisnął zęby.

Patrzył, jak Katrine podchodzi do zjeżdżalni, mówi coś do syna i go ściska, a potem śledził ją wzrokiem, jak truchtała przez park z telefonem przy uchu. Nagle poczuł, że ktoś szarpie go za rękę, i spojrzał w dół na podniesioną do niego buzię Gerta.

– Koń!

Harry się uśmiechnął, udając, że nie usłyszał.

– Koń!

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, patrząc na swoje garniturowe spodnie. I już wiedział, że przegrał.

31

Niedziela. Duże ssaki

Było trochę po jedenastej przed południem. Słońce grzało, ale gdy tylko schowało się za chmury, Katrine przeniknął dreszcz. Stała przy zagajniku, patrząc na brzeg porośnięty pożółkłymi źdźbłami i lśniące morze z pływającymi po nim żaglówkami. Odwróciła się. Zwłoki kobiety przenoszono już do karetki na drodze, od której szedł w jej stronę Sung-min.

– No i co? – spytał.

– Leżała w tej wysokiej trawie tuż przy brzegu. – Katrine westchnęła ciężko. – Zmaltretowana, dużo bardziej niż tamte dwie. Tu na spacery najwcześniej przychodzą rodziny z małymi dziećmi, więc oczywiście właśnie jedna z nich musiała ją znaleźć.

– Ech! – Sung-min pokręcił głową. – Jakiś pomysł co do jej tożsamości?

– Była naga, a głowę odcięto. Żadnego zaginięcia nie zgłoszono. Na razie. Ale była młoda i atrakcyjna, więc...

Nie dokończyła zdania. Z doświadczenia wiedziała, że zaginięcie młodych i atrakcyjnych zgłaszano szybciej.

– Zakładam, że nie ma żadnych śladów?

– Nie, sprawca miał szczęście, w nocy padało.

Sung-min zadrżał w nagłym podmuchu zimnego wiatru.

– Myślę, że tu nie chodzi o szczęście.

– Ja też.

– Podejmiemy jakieś zdecydowane kroki w celu zidentyfikowania zwłok?

– Tak. Wpadłam na pomysł, żeby zadzwonić do Mony Daa z „VG”. Dać jej to na wyłączność w zamian za rozdmuchanie, ale na naszych warunkach. Nie za dużo i nie za mało. Niech inni raczej cytują z jej artykułu, a później narzekają na szczególne traktowanie.

– Niegłupie. Daa na pewno pójdzie na to, żeby mieć coś, czego nie ma Våge.

– Właśnie o to mi chodziło.

W milczeniu obserwowali techników kryminalistycznych, którzy wciąż fotografowali i przeczesywali ogrodzony taśmą obszar, szukając śladów.

Sung-min zakołysał się na piętach.

– Przywieziono ją samochodem tak jak Bertine, nie sądzisz?

Katrine kiwnęła głową.

– Autobusy tu nie dojeżdżają, a sprawdziliśmy już, że dzisiejszej nocy żadna taksówka nie miała takiego kursu, więc najprawdopodobniej masz rację.

– Są tu jakieś żwirowe albo bite drogi?

Katrine spojrzała na niego uważnie.

– Myślisz o śladach kół? Widziałam tylko asfalt. Ale deszcz na pewno i tak już zmył ślady opon.

– Oczywiście. Ja tylko...

– Ty tylko co?

– Nic – uciął Sung-min.

– Wobec tego dzwonię do „VG”.

Była za piętnaście dwunasta. Prim powoli rozłożył papier śniadaniowy.

Zalała go kolejna fala wściekłości. Napływały regularnie, odkąd zobaczył tamtych dwoje razem. Jak zakochane gołąbeczki. Ona, Kobieta, którą kochał, i ten facet. Kiedy mężczyzna i kobieta idą przez park w taki sposób, nie ma wątpliwości, co się dzieje. On się do niej przyczepił. W dodatku policjant! Prim jak dotąd nie miał jeszcze czasu, by ułożyć jakiś plan usunięcia z drogi tego nieoczekiwanego rywala, ale wkrótce coś wymyśli.

Papier śniadaniowy leżał przed nim rozłożony, a na jego środku znajdowało się oko.

Prim poczuł, że zasycha mu w ustach.

Ale musiał.

Wziął oko w dwa palce, napłynęły mdłości. Nie mógł zwymiotować, bo wtedy by je zmarnował. Odłożył oko na papier, starając się oddychać głęboko i spokojnie.

Znów sprawdził w telefonie internetowe wydania gazet. Nareszcie jest! W „VG”. Na samej górze, z dużym zdjęciem mokradeł. Pod nazwiskiem Mony Daa przeczytał, że w okolicy Lilløyplassen na Snarøya znaleziono pozbawione głowy zwłoki kobiety. „VG” wzywała mieszkańców do kontaktowania się z policją, jeżeli ktoś wie, kim mogła być zamordowana. Wzywano również wszystkich, którzy znajdowali się w tej okolicy poprzedniego wieczoru, bez względu na to, czy coś zauważyli, czy nie. Mona Daa napisała, że policja na razie nie chce się wypowiadać o związkach tego zabójstwa ze śmiercią Susanne Andersen i Bertine Bertilsen, lecz raczej nie ma co do tego wątpliwości.

Prim spojrzał na tekst. Umieszczony był ponad artykułami o polityku, który oszukiwał na podatkach, o rozstrzygającym meczu między Bodø/Glimt a Molde oraz o wojnie na Wschodzie.

Poczuł dziwne upojenie na myśl, że się tam znalazł, na głównej scenie, w głównej roli. Czy właśnie tak czuła się mama przed oczarowaną, wstrzymującą oddech publicznością, gdy machała czarodziejską różdżką opowieści? Czy to jej geny i jej namiętność wreszcie się w nim przebudziły?

Sięgnął po drugi telefon, kupiony na eBayu z łotewską kartą SIM zarejestrowaną na fikcyjne nazwisko. Wstukał numer „VG” dla czytelników. Powiedział, że chodzi o martwą kobietę w okolicy Lilløyplassen, i poprosił o połączenie z Moną Daa.

Kiedy miał ją na linii, jej głos zabrzmiał jak rozkaz:

– Daa.

Prim zaczął mówić głębokim głosem, którego – jak wiedział z doświadczenia – nikt nie był w stanie z nim powiązać.

– Nie ma znaczenia, kim jestem, ale się niepokoję. Miałem spotkać się dzisiaj z Helene Røed w parku Frogner. Nie przyszła. Nie odbiera telefonu i w domu też jej nie ma.

– Kto...

Prim się rozłączył. Spojrzał na papier śniadaniowy. Podniósł oko i uważnie je obejrzał. Włożył do ust. I nagryzł.

Nieco po wpół do pierwszej po południu Johan Krohn wybrał numer Harry’ego Hole.

Zszedł z balkonu, na którym żona wciąż siedziała z filiżanką kawy, wystawiając twarz do słońca. Stwierdziła, że nie wierzy w prognozy pogody zapowiadające ciepło jeszcze przez kilka dni. Czekając, zapiął płaszcz. Wreszcie usłyszał zdyszany głos Harry'ego.

– Przepraszam, przeszkadzam ci w treningu?

– Nie, bawię się.

– Bawisz?

– Jestem smokiem, który atakuje zamek.

– Rozumiem – powiedział Johan Krohn. – Dzwonię, ponieważ właśnie telefonował do mnie Markus. Za pośrednictwem asystenta skontaktował się z nim Instytut Medycyny Sądowej. Chcą, żeby przyszedł zidentyfikować zwłoki. – Nabrał więcej powietrza. – Uważają, że to może być Helene.

– Mhm.

Nie potrafił stwierdzić, czy Hole jest wstrząśnięty, czy nie.

– Pomyślałem, że zechcesz pójść z nim – podjął. – Będziesz mógł zobaczyć ciało. Wszystko jedno, czy to Helene, czy ktoś inny, sprawca wydaje się ten sam.

– Dobrze – zgodził się Hole. – Czy ty też możesz przyjść i przez kilka minut zająć się trzylatkiem?

– Trzylatkiem?

– On lubi, kiedy udaje się zwierzęta. Najlepiej duże ssaki.

Johan Krohn drugi raz wcisnął dzwonek z napisem „Instytut Medycyny Sądowej".

– Jest niedziela, masz pewność, że ktoś pracuje?

– Powiedzieli, że mam przyjść natychmiast i zadzwonić tutaj. – Markus Røed zadarł głowę i spojrzał na fasadę budynku.

Wreszcie dostrzegli w środku jakąś ubraną na zielono osobę biegnącą truchtem w stronę szklanych drzwi.

– Przepraszam. Moja koleżanka poszła już do domu – odezwał się mężczyzna zza chirurgicznej maseczki. – Jestem Helge, technik sekcyjny.

– Johan Krohn. – Adwokat odruchowo wyciągnął rękę, mężczyzna jednak pokręcił głową, unosząc dłonie w rękawiczkach.

– Martwi mogą się zarazić? – spytał zjadliwie Røed, stojący za plecami Krohna.

– Nie, ale mogą zarazić nas – odparł technik.

Poszli za nim przez pusty korytarz do pomieszczenia z oknami, przez które widać było salę sekcyjną, jak przypuszczał Krohn.

– Który z panów ma dokonać identyfikacji?

– On. – Krohn wskazał Røeda.

Technik podał Markusowi maseczkę, fartuch i czepek, takie same jak jego własne.

– Mogę spytać o relacje, jakie ewentualnie łączą pana ze zmarłą osobą?

Røed przez moment wydawał się zdezorientowany.

– Mąż – odparł w końcu. Jadowity ton gdzieś zniknął, jakby zaczynało do niego docierać, że to naprawdę może być Helene.

– Zanim pan założy maseczkę, dobrze by było, żeby napił się pan wody – poradził technik.

– Dziękuję, ale to niepotrzebne – stwierdził Røed.

– Z doświadczenia wiem, że w takich wypadkach lepiej mieć nawodniony organizm. – Technik nalał wody z karafki. – Naprawdę pan to zrozumie, kiedy tam wejdziemy.

Røed spojrzał na niego, krótko skinął głową i opróżnił szklankę.

Technik przytrzymał drzwi i wszedł za nim do sali.

Krohn zbliżył się do szyby. Tamci stanęli po obu stronach stołu na kółkach, na którym pod białym prześcieradłem widoczny był zarys ciała kobiety. Nie miała tylko głowy. Najwyraźniej w sali umieszczono mikrofony, bo z głośnika nad oknem docierały głosy.

– Jest pan gotów?

Røed kiwnął głową i technik usunął przykrycie.

Krohn odskoczył od szyby. W swojej karierze widział już niejedne zwłoki, ale żadne nie przypominały tych. W głośniku wyjaśnienia technika brzmiały sucho i rzeczowo:

– Przykro mi, sprawca najwyraźniej dopuścił się ekstremalnej przemocy. Widzi pan nakłucia na całym ciele, pocięty brzuch. Ale najgorzej wygląda okolica odbytu. Sprawca musiał użyć czegoś innego niż nóż i dłonie, aby spowodować aż takie obrażenia. Cała odbytnica jest poszarpana, podobnie wygląda to wyżej, więc

najprawdopodobniej wykorzystał jakąś rurę, grubą gałąź albo coś podobnego. Bardzo mi przykro, jeśli to zbyt duża porcja informacji, których pan sobie nie życzy, ale ukazanie poziomu przemocy jest niezbędne, aby pan zrozumiał, że to już nie jest ta kobieta, którą pan znał i do której widoku pan przywykł. Proszę więc się nie spieszyć i starać się omijać wzrokiem te obrażenia.

Z powodu maseczki Krohn nie mógł zobaczyć miny Røeda, ale widział, że jego klient drży.

– Czy... czy on to zrobił... kiedy... kiedy jeszcze żyła?

– Chciałbym móc stwierdzić, że jesteśmy pewni, iż to się stało już po jej śmierci, ale nie mogę.

– To znaczy, że cierpiała? – spytał Røed wysokim, zduszonym od płaczu głosem.

– Tak jak mówiłem: nie wiemy. Niektóre z tych obrażeń bez wątpienia zadano już po tym, jak serce przestało bić. Ale nie wszystkie. Bardzo mi przykro.

Z ust Røeda wydarł się pojedynczy szloch. Johanowi Krohnowi dotychczas w żadnym momencie ich kontaktów nie było żal Markusa Røeda. Nawet przez sekundę. Nawet w tej sprawie, bo jego klient był na to zbyt wielkim draniem. Ale akurat w tej chwili ogarnęło go współczucie. Może dlatego, że na moment mimowolnie umieścił na tym stole własną żonę, a sam postawił się na miejscu Røeda.

– Wiem, że to bolesne – podjął technik. – Ale muszę pana prosić, żeby się pan nie spieszył. Niech pan uważnie się jej przyjrzy i postara się potwierdzić lub zaprzeczyć, że to jest Helene Røed.

Krohn przypuszczał, że to dźwięk jej nazwiska w połączeniu ze strasznym widokiem okaleczonego kobiecego ciała sprawił, iż Røed wybuchnął histerycznym płaczem.

Usłyszał, że otwierają się drzwi za jego plecami.

Harry Hole przyszedł w towarzystwie ciemnowłosej kobiety. Krótko skinął Krohnowi głową.

– To Alexandra Sturdza. Pracuje tutaj. Zadzwoniłem do niej i zabraliśmy ją po drodze.

– Johan Krohn, adwokat Røeda.

– Wiem. – Alexandra podeszła do umywalki i zaczęła myć ręce. – Byłam tu dzisiaj rano. Najwyraźniej cała akcja przeszła mi koło nosa. Zidentyfikowaliście ją?

– Właśnie to robią – odparł Krohn. – To nie jest takie... hm... oczywiste zadanie.

Harry stanął przy szybie obok adwokata i zajrzał do środka.

– Wściekłość – stwierdził tylko.

– Słucham?

– Tego, co zrobił jej, nie zrobił tamtym dwóm. Tu mamy do czynienia z wściekłością i nienawiścią.

Krohn usiłował zwilżyć suche usta.

– Chcesz powiedzieć, że to ktoś, kto nienawidzi Helene Røed?

– Możliwe. Albo nienawidzi tego, co ona sobą reprezentuje. Albo samego siebie. Lub kogoś, kto ją kocha.

Jako adwokat Krohn słyszał podobne opinie już wcześniej. Mniej więcej w ten sposób psychiatrzy sądowi opisywali sprawy gwałtów lub zabójstw na tle seksualnym. Z wyjątkiem tej ostatniej – o nienawiści do kogoś, kto kochał ofiarę.

– To ona. – Szept Røeda z głośników kazał im wszystkim umilknąć.

Ciemnowłosa kobieta zakręciła kran i odwróciła się w stronę okna wychodzącego na salę.

– Przykro mi, ale muszę spytać: czy jest pan tego pewien? – odezwał się technik.

Røed znów zaszlochał. Skinął głową. Wskazał na bark kobiety.

– Ta blizna – wyjaśnił. – Powstała, kiedy byliśmy w Ćennaj w Indiach i Helene jeździła konno po plaży. Wynająłem konia wyścigowego, następnego dnia miał startować na torze. Tak pięknie razem wyglądali. Ale koń nie był przyzwyczajony do biegania po brzegu i nie zauważył obszaru ruchomych piasków po odpływie. Tak pięknie wyglądali razem... – Głos mu się załamał, Røed zasłonił rękami twarz.

– To musiał być cholernie piękny koń, skoro on tak ciężko to przyjmuje – warknęła ciemnowłosa kobieta.

Krohn odwrócił się do niej z miną wyrażającą niedowierzanie. Zobaczył zimne spojrzenie Alexandry i przełknął reprymendę, którą miał już na końcu języka. Urażony spojrzał na Harry’ego.

– Ona przeanalizowała materiał z DNA Røeda – wyjaśnił Hole. – Pasuje do śladu na piersi Susanne Andersen.

Harry, wypowiadając te słowa, obserwował twarz Johana Krohna. Miał wrażenie, że dostrzega na niej najczystsze zaskoczenie, jakby adwokat naprawdę wierzył w niewinność swojego klienta. Ale to, w co wierzą adwokaci i policjanci, nie ma oczywiście żadnego znaczenia; badania wykazują niewielkie lub wręcz żadne różnice w umiejętnościach różnych grup zawodowych, jeśli chodzi o ujawnianie kłamstwa. A mówiąc bardziej wprost: nikt z nas tego nie potrafi, tak samo jak wykrywacz kłamstw Johna Larsona. Mimo to Harry nie mógł uwierzyć, by zaskoczenie Krohna lub płacz Røeda były wyłącznie grą. Oczywiście można rozpaczać na widok kobiety, którą się zabiło – czy to rękami własnymi, czy wynajętymi. Harry miał okazję oglądać wielu będących zabójcami mężów zapłakanych, prawdopodobnie z powodu poczucia winy przemieszanego z utraconą miłością i tą samą wywołaną przez zazdrość frustracją, która doprowadziła do zbrodni i zadania ciosu w chwili odkrycia prawdy. Na Boga, nie musiał szukać aż tak daleko. Czy sam przez jakiś czas nie sądził, że w zamroczeniu alkoholowym zabił Rakel? Markus Røed jednak nie wyglądał na kogoś, kto niespełna dobę wcześniej zabił leżącą przed nim kobietę, chociaż Harry nie potrafiłby wytłumaczyć, dlaczego tak uważa. Łzy Røeda były w pewnym sensie zbyt czyste. Zamknął oczy. Zbyt czyste łzy? Westchnął. Do diabła z tymi ezoterycznymi bredniami! Dowody mówią same za siebie. Cud, który miał uratować Lucille i jego, właśnie się dokonywał. Dlaczego nie przyjąć go z otwartymi ramionami?

W pomieszczeniu rozległ się brzęczyk.

– Ktoś dzwoni do drzwi – powiedziała Alexandra.

– Pewnie policja – odparł Harry.

Poszła otworzyć.

Johan Krohn spojrzał na niego.

– Ty ich wezwałeś?

Harry skinął głową.

Røed wyszedł z sali sekcyjnej, zdjął fartuch, maseczkę i czepek.

– Kiedy będzie można ją przekazać zakładowi pogrzebowemu? – spytał Krohna, nie zwracając uwagi na Harry’ego. – Nie mogę patrzeć, jak tak leży.

Głos miał zachrypnięty, oczy mokre i czerwone.

– No i głowa. Musimy jej dorobić głowę. Mamy mnóstwo zdjęć, jakiś rzeźbiarz, najlepszy, Johan, to musi być ktoś najlepszy. – Znów zaczął płakać.

Harry cofnął się w kąt pomieszczenia, skąd nadal obserwował Markusa.

Zauważył jego autentyczny szok, kiedy drzwi się otworzyły i do środka weszli trzej policjanci i jedna policjantka. Dwóch chwyciło Røeda za ręce, trzeci założył mu kajdanki, a policjantka wyjaśniła, dlaczego zostaje zatrzymany.

Wychodząc, Røed odwrócił jeszcze głowę, jakby po raz ostatni chciał spojrzeć na ciało leżącej za szybą kobiety, lecz zdołał zobaczyć jedynie Harry'ego.

Spojrzenie, jakie mu posłał, przypomniało Harry'emu tamto lato, kiedy pracował w odlewni żelaza; roztopiony metal wylewano do płytkiej formy, gdzie w ciągu paru sekund zmieniał się z rozgrzanej do czerwoności płynnej substancji w zimną, szarą i sztywną.

Wyszli.

Przyszedł technik sekcyjny, zdjął maseczkę.

– Cześć, Harry.

– Cześć, Helge. Mogę cię o coś spytać?

– Jasne. – Odwiesił fartuch.

– Widziałeś kiedyś, żeby ktoś winny tak płakał?

Helge w zamyśleniu wydął policzki i powoli wypuścił powietrze.

– Problem z empirią w tym wypadku jest taki, że nie zawsze dowiadujemy się, kto jest winny, a kto nie, prawda?

– Mhm. Dobra odpowiedź. Mogę... – Harry ruchem głowy wskazał salę sekcyjną.

Zobaczył, że technik się waha.

– Trzydzieści sekund – obiecał. – I nikomu nie pisnę o tym ani słóweczkiem. A już na pewno nikomu takiemu, kto by ci ściągnął na głowę kłopoty.

– No dobrze. – Helge się uśmiechnął. – Tylko szybko, zanim ktoś przyjdzie. I niczego nie dotykaj.

Harry wszedł do środka. Spojrzał na to, co zostało z żywej kobiety, z którą rozmawiał zaledwie dwa dni wcześniej. Polubił ją. A ona polubiła jego. W tych nielicznych wypadkach, kiedy wyczuwał czyjąś sympatię, na ogół się nie mylił. W innym życiu być może umówiłby się z nią na kawę. Przyjrzał się ranom i płaszczyźnie w miejscu odciętej głowy. Wychwycił jakiś lekki, ledwie wyczuwalny zapach, który z czymś mu się kojarzył. Ponieważ z powodu swojej

parosmii nie czuł odoru zwłok, musiało chodzić o coś innego. Oczywiście, kojarzyło mu się to z Los Angeles. Zapach piżma. Wyprostował się. I dla niego, i dla Helene Røed czas upłynął.

Z budynku wyszedł razem z Helgem. Zdążyli jeszcze zobaczyć odjeżdżający radiowóz.

Alexandra stała oparta o fasadę, paląc papierosa.

– Dwa naprawdę słodkie chłopaki – powiedziała.

– Dzięki – odparł Harry.

– Nie wy, tamci dwaj.

Ruchem głowy wskazała na parking, na którym stał stary mercedes z kogutem taksówki, a przy nim klon Keitha Richardsa z trzylatkiem na ramionach. Klon miał rękę przyłożoną do nosa, jakby go przedłużał, i wydawał z siebie dźwięki mające prawdopodobnie naśladować ryk słonia. W dodatku chwiał się na nogach. Harry miał nadzieję, że celowo.

– Tak – przyznał, usiłując uporządkować chaos myśli, podejrzeń i wrażeń. – Rzeczywiście słodkie.

– Øystein pytał, czy wybiorę się jutro z wami do Jealousy, żeby uczcić wyjaśnienie sprawy. – Podała Harry’emu papierosa. – Mam iść?

Harry zaciągnął się głęboko.

– A chcesz?

– Tak. Chcę – odrzekła, zabierając mu papierosa.

32

Niedziela. Orangotango

Konferencja prasowa zaczęła się o szesnastej.

Katrine rozglądała się po dużej sali, nabitej do granic możliwości. Atmosfera była wręcz naelektryzowana. Nazwiska ofiary i zatrzymanego najwyraźniej już krążyły. Zdusiła ziewnięcie, podczas gdy Kedzierski przedstawiał w ogólnych zarysach rozwój sprawy. Ta niedziela już obfitowała w wydarzenia, a daleko jej było do końca. Katrine wysłała do Harry'ego SMS-a z pytaniem, jak mu idzie, i dostała odpowiedź:

Poszliśmy z Gertem się napić. Kakao.

Odpowiedziała haha oraz emotikonem przedstawiającym surową minę. Postanowiła nie myśleć więcej o nich dwóch, zrobić w głowie porządek i przygotować się do tego, na czym musiała się skupić. Rzecznik prasowy Kedzierski skończył mówić i zachęcił do zadawania pytań. Posypały się jak grad.

– Telewizja NRK, bardzo proszę – powiedział Kedzierski, próbując jakkolwiek nad tym zapanować.

– Jak możecie mieć dowód przeciwko Markusowi Røedowi w postaci DNA, skoro wiemy, że się nie zgodził, abyście pobrali od niego próbkę?

– Policja rzeczywiście nie pobrała od Røeda żadnej próbki DNA – wyjaśniła Katrine. – Materiał został uzyskany przez osobę spoza policji. Tej osobie udało się również poddać go analizie i potwierdzić zgodność z materiałem znalezionym w miejscu zdarzenia.

– Co to za osoba? – Przez szum przebił się jeden głos.

– Prywatny śledczy – odparła Katrine.

Szum ucichł jak nożem uciął. W trakcie tej krótkiej chwili ciszy Katrine wymówiła jego nazwisko. Z ogromną satysfakcją. Bodil Melling – nawet jeśli wezwie ją na dywanik – nie będzie mogła jej zarzucić, że powiedziała, iż Harry Hole praktycznie rozwiązał dla nich tę sprawę.

– Jakim motywem kierował się Røed, zabijając Susanne Andersen i Ber...

– Nie wiemy – przerwał dziennikarzowi Sung-min.

Katrine zerknęła na niego z boku.

Rzeczywiście nie wiedzieli, ale nie zdążyli tego jeszcze przedyskutować. A to Sung-min wspomniał wcześniej dawną sprawę zabójstwa – również jedną z tych, nad którymi pracował Harry Hole – kiedy to zazdrosny mąż oprócz żony zabijał przypadkowe ofiary, kobiety i mężczyzn, aby wyglądało to na seryjne zabójstwa i odsuwało podejrzenia od niego.

– „VG” – wskazał Kedzierski.

– Jeżeli Harry Hole rozwiązał za was tę sprawę, to czemu go tu nie ma? – spytała Mona Daa.

– To konferencja prasowa z udziałem policji – wyjaśnił rzecznik. – Rozmowę z Holem musicie załatwić sobie sami.

– Próbowaliśmy się z nim skontaktować, nie odbiera...

– Nie możemy... – zaczął Kedzierski, ale Katrine mu przerwała:

– Ma pewnie inne rzeczy na głowie. Podobnie jak my. Więc jeśli nie ma więcej pytań dotyczących samej sprawy...

Przez salę przebiegł jęk protestu.

Była szósta po południu.

– Piwo – powiedział Harry.

Kelner kiwnął głową i odszedł.

Gert podniósł głowę znad kubka kakao, wypuszczając słomkę z ust.

– Babcia mówi, ze ci, co piją piwo, nie pójdą do nieba. I wtedy nie spotkają się z moim tatą, bo on tam jest.

Harry spojrzał na chłopca i coś mu przyszło do głowy. Jeśli jedno piwo wyśle go do piekła, to właśnie tam spotka Bjørna Holma. Rozejrzał się. Siedzieli przy wielu stolikach, ci samotni mężczyźni nad szklanką piwa w roli towarzystwa i jedynego

partnera do rozmowy. Nie pamiętali go, a on nie pamiętał ich, chociaż wrośli w Schrødera tak samo jak zapach tytoniu, który wciąż tkwił w ścianach i meblach nawet po dwudziestu paru latach od wprowadzenia zakazu palenia. Wtedy byli od niego starsi, ale kojarzyli się z inskrypcją nad szkieletami w rzymskiej Krypcie Kapucynów, jakby mieli ją wyrytą na czołach: „Kim jesteście, my byliśmy; czym jesteśmy, wy będziecie”. Bo Harry oczywiście zawsze miał świadomość linii alkoholizmu występującej w rodzinie, będącej jak mała diabelska pijawka domagająca się cukru i spirytusu, którą trzeba karmić, jak cholerny pasożyt przekazywany w genach.

Zadzwonił telefon. Krohn. W jego głosie słychać było raczej rezygnację niż wściekłość.

– Gratuluję, Harry. Czytam w internecie, że to ty doprowadziłeś do zatrzymania Markusa.

– Przecież was ostrzegałem.

– Dzięki metodom, których policja nie mogła wykorzystać.

– Właśnie dlatego mnie wynajęliście.

– W porządku. Kontrakt mówi, że trzej prokuratorzy policji muszą z wysokim prawdopodobieństwem uznać, że Røed zostanie skazany.

– Załatwimy to w ciągu jutrzejszego dnia. I wtedy trzeba będzie przelać pieniądze.

– À propos... to konto na Kajmanach, które mi podałeś...

– Krohn, nie pytaj mnie o nie.

Zapadła cisza.

– Rozłączam się, Harry. Mam nadzieję, że będziesz spał spokojnie.

Harry schował telefon z powrotem do wewnętrznej kieszeni marynarki Røeda. Popatrzył na Gerta, w tej chwili najbardziej zainteresowanego kakao i wielkimi obrazami starego Oslo na ścianach. Kiedy podszedł kelner z piwem, Harry kazał mu je zabrać z powrotem i zapłacił. Kelner najwyraźniej nie pierwszy raz miał do czynienia z alkoholikiem powstrzymującym się w ostatniej chwili, więc zabrał piwo bez mrugnięcia okiem. Harry znów spojrzał na Gerta. Pomyślał o linii.

– Babcia ma rację – powiedział. – Piwo dla nikogo nie jest dobre. Zapamiętaj to sobie.

– Okej.

Harry się uśmiechnął. To „okej” mały przyswoił sobie od niego. Pozostawało jedynie mieć nadzieję, że nie przyswoi dużo więcej. Nie pragnął potomka stworzonego na swój obraz, przeciwnie, troska i miłość do tego malca po drugiej stronie stolika, które pojawiły się niemal automatycznie, oznaczały wyłącznie pragnienie, by małemu było dobrze. Lepiej niż było jemu.

Ze szklanki dobiegł bulgot i w tej samej chwili zawibrował telefon Harry’ego.

SMS od Katrine.

Już w domu. Gdzie jesteście?

– No to wracasz do mamy – stwierdził Harry i odpisał, że już idą.

– A ty dzie idzies? – spytał Gert, kopiąc w nogę od stołu.

– Do hotelu.

– Nieee... – Chłopczyk nakrył jego dłoń małą ciepłą rączką. – Mas mi zaśpiewać, jak będę sedł spać, tę piosenkę. O kukułce.

– O kukułce?

– Ku-ku-in... – zanucił Gert.

Harry chciał się roześmiać, ale musiał przełknąć gulę, która nagle urosła mu w gardle. Niech to szlag. Co to właściwie jest? To coś, co Ståle nazywał primingiem? Czy Harry czuł tak tylko dlatego, że wbito mu do głowy przekonanie, że jest ojcem chłopca? Czy może coś bardziej fizycznego, biologicznego, coś we krwi, przyzywało i tak mocno przyciągało dwie osoby do siebie?

Wstał.

– A jaki ty jesteś zwiez? – spytał Gert.

– Orangotango – odparł Harry, podniósł chłopca z krzesła i wykręcił piruet, który zasłużył na oklaski jednego z samotnych. Postawił Gerta na ziemi i trzymając się za ręce, ruszyli do drzwi.

Była dziesiąta wieczorem, Prim właśnie nakarmił Bossa i Lisę. Usiadł przed telewizorem, żeby jeszcze raz obejrzeć wiadomości. Znów napawać się rezultatem tego, co zainscenizował. Chociaż policja nie mówiła tego wprost, po sposobie,

w jaki się wypowiadała, zorientował się, że na miejscu nie znaleziono żadnych śladów. Podjął właściwe decyzje, kiedy Helene wydostała się z samochodu, więc musiał ją zabić na żwirowej drodze. Nieuniknione było pozostawienie śladów DNA – włosów, naskórka czy potu – a ponieważ nie mógł starannie posprzątać na drodze, gdzie mogli pojawić się świadkowie, musiał zadbać o to, by nie zidentyfikowano miejsca, w którym doszło do zabójstwa. Dlatego zabrał zwłoki do samochodu i przewiózł je na sam skraj półwyspu – miał pewność, że w późny jesienny wieczór nikt tam się nie zjawi i będzie mógł działać osłonięty przez wysokie trzciny. Był też pewien, że ciało Helene zostanie znalezione, gdy w niedzielny poranek przyjdą tu rodziny z dziećmi. Najpierw obciął jej głowę, potem oczyścił ciało z własnego DNA, usuwając też swój naskórek spod paznokci, które wbiła mu w uda, kiedy ujeżdżała go w samochodzie. Musiał zachować wielką staranność, bo wprawdzie nigdy nie został za nic skazany, ale jego DNA znajdowało się w policyjnej bazie.

Na ekranie telewizora prowadząca rozmawiała przez telefon z policyjnym prokuratorem, którego zdjęcie i nazwisko – Chris Hinnøy – widoczne były w prawym górnym rogu. Rozmowa dotyczyła zatrzymania Røeda. Nic dziwnego, że zaczynało im brakować ciekawszych newsów – przecież przez cały dzień programy w kanałach z wiadomościami komentowały głównie zatrzymanie Markusa Røeda i zabójstwo jego żony. Nie zmieściło się nawet minimalne zwycięstwo drużyny Bodø/Glimt nad Molde. Podobnie było z internetowymi wydaniami gazet: wszystkie teksty odnosiły się do Markusa Røeda. Czyli pośrednio jego, Prima. Chociaż po opublikowaniu przez prasę wielu zdjęć Markusa Røeda po pewnym czasie zaczęły się też pokazywać fotografie Harry’ego Hole. Pisano, że to on – outsider, prywatny detektyw – powiązał DNA Markusa Røeda ze śliną na piersi Susanne. Jakby to było takie fantastyczne. Jakby policja sama nie powinna już dawno tego stwierdzić. Właściwie ten cały Harry Hole zaczynał bardzo irytować Prima. Czego on szukał na scenie? Scena powinna być zastrzeżona dla jego sprawy. Dla misterium. Jego misterium. Powinni raczej skupić się na tym, że Markus Røed, uprzywilejowany, uważający, że stoi ponad prawem, teraz tkwi cudownie zakuty w dyby, wystawiony na pośmiewisko. Przecież ludzie uwielbiają takie rzeczy. Sam Prim je uwielbiał. Były jak balsam na rany. Okej, dostali ich wcale niemało, media reagują na popyt. Miał nadzieję, że ojczym ma teraz dostęp do gazet. Że naprawdę cierpi. Że publiczne upokorzenie jest kąpielą w kwasie,

którą przygotował mu Prim. Markus Røed musiał teraz odczuwać zdezorientowanie, desperację i lęk. Czy zaczął już przemyśliwać o odebraniu sobie życia? Nie. Czynnikiem wyzwalającym samobójstwo, tym, który doprowadził do samobójstwa mamy, było poczucie beznadziejności, a ojczym ciągle nie tracił nadziei. Jego adwokatem był sam Johan Krohn, a policja jako dowód miała tylko trochę śliny. Będą musieli zważyć to i fałszywe alibi, jakie Helene dała Markusowi na wieczory, kiedy zaginęły Susanne i Bertine. Ale to, co właśnie powiedział prokurator w telewizji, zaniepokoiło Prima.

Ten Chris Hinnøy wyjaśnił, że jutro odbędzie się posiedzenie sądu w sprawie tymczasowego aresztowania Røeda. Sędzia bez wątpienia zgodzi się na zwyczajowe cztery tygodnie aresztu, a następnie – zważywszy na dowody i powagę czynu – na dalszy areszt, jeśli zajdzie taka potrzeba. Mówił o tym, że w Norwegii prawo nie ogranicza czasu przetrzymywania człowieka w areszcie; w zasadzie może się to ciągnąć nawet lata. Podkreślał, że szczególnie ważne jest, aby sądy przychylały się do wniosków policji o przedłużenie tymczasowego aresztowania, gdy chodzi o osoby zamożne, które mogłyby wykorzystać posiadane środki na zniszczenie dowodów, wpływanie na świadków; ba, bywały nawet próby wpływania na śledczych.

– Tak jak w wypadku Harry’ego Hole? – spytała prowadząca.

Jakby to miało jakiś związek ze sprawą!

– Hole został opłacony przez Røeda – odparł prokurator. – Ale to człowiek wyszkolony i wychowany przez norweską policję. Najwyraźniej posiada niezależność, jakiej oczekujemy od naszych funkcjonariuszy, zarówno byłych, jak i obecnych.

– Dziękuję, że był pan z nami. Chris Hinnøy...

Prim wyłączył dźwięk. Zaklął w duchu. Jeśli ten prokurator miał rację, to Markus Røed mógł przez czas nieokreślony siedzieć bezpieczny w celi, gdzie nie da się do niego dotrzeć. A nie taki był plan.

Próbował myśleć.

Czyżby plan – wielki plan – należało zmienić?

Spojrzał na różowego ślimaka na stole w salonie. Na śluzowaty ślad, jaki ślimak zostawił po półgodzinnym wysiłku. Dokąd się wybierał? Czy też miał jakiś plan?

Polował na coś? A może uciekał? Wiedział, że prędzej czy później zjawią się ślimaki kanibale i podejmą pościg? Czy rozumiał, że bezruch oznacza śmierć?

Prim przycisnął palce do skroni.

Harry biegł. Czuł, jak serce pompuje krew w ciało, i patrzył, jak prowadząca dziękuje i żegna się z Hinnøyem.

Chris Hinnøy był jednym z trzech prokuratorów policji, z którymi Harry i Johan Krohn skontaktowali się parę godzin temu, aby poprosić ich o subiektywną i nieoficjalną ocenę prawdopodobieństwa wyroku skazującego Markusa Røeda na podstawie dowodów posiadanych w sprawie. Dwóch z nich chciało odpowiedzieć natychmiast, ale Krohn kazał im przespać się z problemem do jutra rana.

W wiadomościach zapowiedziano wywiad z trenerem zespołu Bodø/Glimt, więc Harry przeniósł wzrok z ekranu telewizora umocowanego do elektrycznej bieżni na wiszące przed nim lustro.

Niedużą hotelową siłownię miał tylko dla siebie. Garnitur zostawił w pokoju i włożył zapewniony przez hotel szlafrok, który teraz wisiał na haczyku za jego plecami. Spojrzał w lustro pokrywające całą ścianę. Biegał w bokserkach, T-shircie i swoich ręcznie szytych butach marki John Lobb, które sprawdzały się zaskakująco dobrze jako obuwie do biegania. Oczywiście wyglądał śmiesznie, ale w ogóle go to nie obchodziło. Po drodze zajrzał nawet w tym stroju do recepcji, gdzie powiedział, że spotkał w barze sympatycznego pastora, ale zapomniał, jak się nazywa. Czarnoskóra recepcjonistka z uśmiechem pokiwała głową.

– Nie jest gościem w naszym hotelu, ale wiem, kogo ma pan na myśli, panie Hole. Bo on też o pana pytał.

– Tak? Kiedy?

– Niedługo po tym, jak pan się zameldował. Nie pamiętam w tej chwili dokładnie. Pytał o numer pańskiego pokoju. Powiedziałam mu, że nie ujawniamy takich informacji, ale zaproponowałam, że do pana zadzwonię. Wtedy podziękował i odszedł.

– Mhm. Mówił, czego chce?

– Nie. Powiedział tylko, że jest... curious. – Uśmiechnęła się. – Ludzie często zwracają się do mnie po angielsku.

– Ale to Amerykanin, prawda?

Wzruszyła ramionami.

– Być może.

Harry podkręcił szybkość bieżni. Ciągle potrafił biegać. Ale czy robił to dostatecznie dobrze? Czy zdoła uciec od wszystkiego? Od wszystkiego, co za sobą zostawiał? Od tych, którzy go ścigali? Interpol miał dostęp do list gości we wszystkich hotelach na świecie i miał go także każdy średnio zdolny haker. Załóżmy, że tego pastora wysłano, aby go pilnował. Załóżmy, że to on za dwa dni, jeśli termin minie, a dług nie zostanie zapłacony, ma dopaść Harry'ego. I co z tego? Egzekutorzy długów nie zabijają dłużników, dopóki jest bodaj cień nadziei na zwrot pieniędzy, a i wówczas robią to tylko ku przestrodze innych dłużników. No a teraz Røed został schwytany. Ślina na piersi ofiary. Cholera, trudno o lepszy dowód. Jeśli trzej prokuratorzy jutro rano powiedzą to samo, pieniądze zostaną przelane, dług będzie zwrócony, a on i Lucille staną się wolni. Tylko dlaczego mózg ciągle wałkuje te same myśli? Czy dlatego, że Harry miał wrażenie, iż usiłuje uciec od czegoś innego, od czegoś związanego z tą sprawą?

Zadzwonił telefon, który Harry umieścił w otworze na butelkę przy bieżni. Na wyświetlaczu nie pojawił się żaden inicjał, ale Harry rozpoznał numer, więc odebrał.

– Proszę mówić.

W odpowiedzi usłyszał śmiech. A potem miękki głos:

– Że też używasz tej samej frazy co wtedy, gdy razem pracowaliśmy, Harry!

– Mhm. A ty używasz tego samego numeru.

Mikael Bellman znów się roześmiał.

– Gratuluję ci Røeda.

– A której części?

– I tego, że dostałeś to zlecenie, i zatrzymania.

– Bellman, o co chodzi?

– Och. – I znów rozległ się ten czarujący, serdeczny śmiech, który potrafił skutecznie przekonać ludzi, że Mikael Bellman jest ciepłą, szczerą osobą, godną zaufania. – Muszę przyznać, że jako minister sprawiedliwości człowiek daje się rozpieścić. Przyzwyczaja się do tego, że to jemu zawsze się spieszy, a nie tym, z którymi rozmawia.

– Mnie się nie spieszy. Już nie.

Pauza, która nastąpiła, była długa. Kiedy Bellman ponownie się odezwał, jego serdeczność sprawiała wrażenie nieco wymuszonej.

– Dzwonię do ciebie, by ci powiedzieć, że bardzo cenimy to, co zrobiłeś w tej sprawie, bo to świadczy o twojej niezależności. Nam w Partii Pracy ogromnie zależy na tym, żeby wszyscy byli równi wobec prawa. Dlatego dałem jasny sygnał, jeśli chodzi o to dzisiejsze zatrzymanie. To sygnał mówiący, że w państwie prawa bycie bogatym i znanym nie daje żadnych forów.

– Raczej wprost przeciwnie – stwierdził Harry.

– Słucham?

– Nie wiedziałem, że ministrowie sprawiedliwości muszą wyrażać zgodę na zatrzymanie.

– To nie jest pierwsze lepsze zatrzymanie, Harry.

– Właśnie w tym rzecz, niektóre są ważniejsze. A Partii Pracy chyba za bardzo nie zaszkodzi uwzięcie się na sprytnego bogacza.

– Harry, chodzi mi o to, że porozmawiałem sobie od serca z Melling i Winterem. Chętnie przyjmą cię na pokład, żebyś uczestniczył w dalszym śledztwie. Zostało jeszcze sporo pracy, zanim wystąpimy z aktem oskarżenia. A teraz, kiedy twój zleceniodawca jest w areszcie, przypuszczam, że stałeś się bezrobotny. Twoja pomoc będzie dla nas cenna.

Harry przestawił bieżnię z biegu na marsz. Bellman ciągnął:

– Chcieliby, żebyś jutro rano był obecny podczas przesłuchania Røeda.

Chodzi ci raczej o to, by wyglądało, że bohater dzisiejszego dnia gra w twojej drużynie, pomyślał Harry.

– I co ty na to?

Harry się zastanowił. Poczuł niechęć i nieufność, jakie zawsze budził w nim Bellman.

– Mhm. Przyjdę.

– Świetnie. Bratt będzie cię informować na bieżąco. Muszę już kończyć. Miłego wieczoru.

Harry biegał jeszcze przez godzinę. Kiedy zrozumiał, że nie zdoła uciec przed tym, co go dręczy, usiadł na krześle, pozwalając, by pot wsiąkał w obicie,

i zadzwonił do Alexandry.

– Stęskniłeś się za mną? – zagruchała.

– Ten klub, Tuesdays...

– Tak?

– Mówiłaś, że wieczory klubowe odbywały się w każdy wtorek. Ten twój kumpel nie wspomniał, czy Villa Dante podtrzymuje tę tradycję?

33

Poniedziałek

Redaktor naczelny Ole Solstad podrapał się w policzek zausznikiem od okularów. Popatrzył na swoje biurko zawalone stosami poplamionych kawą papierów i na Terry'ego Våge. Dziennikarz przysiadł na krześle dla gości w wełnianym płaszczu i kapelusiku pork pie na głowie, jakby sądził, że to spotkanie zajmie sekundy. No i właściwie Solstad miał nadzieję, że tak będzie. Bo się go bał. Powinien był posłuchać swojego kolegi z gazety, w której wcześniej pracował Våge – ów kolega posłużył się cytatem z filmu Fargo: I don't vouch for him.

Solstad i Våge wymienili kilka ogólnikowych uwag na temat zatrzymania Røeda. Våge zaśmiał się i powiedział, że złapali niewłaściwego człowieka. Solstad nie wyczuł u niego braku pewności siebie, lecz najwyraźniej właśnie tak jest z oszustami – potrafią zbujać nawet siebie samych.

– Sprawa zatem wygląda tak, że podjęliśmy decyzję: nie będziemy już nic więcej od ciebie zamawiać – oznajmił.

Wiedział, że musi się pilnować, aby nie użyć takich określeń jak „pozwolić ci odejść", „wypowiedzenie" czy „wylanie z pracy", ani pisemnie, ani ustnie. Wprawdzie Våge miał jedynie kontrakt freelancera, lecz dobry adwokat mógłby wykorzystać faktyczne wypowiedzenie w sądzie pracy. Sformułowanie naczelnego mówiło tylko, że nie zamierzają publikować tego, co Våge napisze, a jednocześnie nie wykluczyło wyznaczenia mu innych zadań objętych kontraktem, na przykład researchu dla kolegów z gazety. Prawo pracy ma swoje zawiłości, co podkreślił w rozmowie z Solstadem prawnik zatrudniany przez „Dagbladet".

– Dlaczego? – spytał Våge.

– No cóż, zdarzenia ostatnich dni zasiały wątpliwości co do ilości prawdy w twoich ostatnich artykułach. – A ponieważ ktoś niedawno powiedział, że reprymenda jest zawsze bardziej skuteczna, jeśli zawiera nazwisko tego, do kogo jest skierowana, naczelny dodał: – Våge.

W chwili kiedy to powiedział, uświadomił sobie, że reprymenda nie stanowi właściwej taktyki, ponieważ celem tej rozmowy nie jest wyznaczenie pokuty i uzyskanie obietnicy poprawy, tylko pozbycie się tego faceta możliwie bez awantury. Z drugiej strony Våge powinien rozumieć, dlaczego działają tak drastycznie. Przecież chodzi o wiarygodność „Dagbladet”.

– Możesz to udowodnić? – spytał dziennikarz bez mrugnięcia okiem, ba, wręcz tłumiąc ziewnięcie. Demonstracyjnie i po dziecinnemu, lecz przez to wcale nie mniej prowokująco.

– Powinno się raczej zadać pytanie, czy ty możesz udowodnić fakty, o których piszesz. To wygląda na fikcję, brzmi jak fikcja i śmierdzi fikcją. Chyba że możesz mi powiedzieć, kto jest twoim informatorem.

– Na miłość boską, Solstad, jako naczelny tego szmatławca musisz wiedzieć, że mam obowiązek chronić...

– Nie mówię, że masz ujawnić jego nazwisko światu, tylko mnie. Twojemu redaktorowi naczelnemu. Człowiekowi, który jest odpowiedzialny za to, co piszesz i co publikujemy. Jasne? Jeśli zdradzisz mi źródło informacji, będę tak samo jak ty zobowiązany, aby je chronić. Oczywiście na tyle, na ile prawo zezwala na ochronę źródeł. Rozumiesz?

Terry Våge przeciągle jęknął.

– A ty rozumiesz, Solstad? Rozumiesz, że pójdę wtedy do innej gazety, powiedzmy do „VG” albo „Aftenposten”, i będę dla nich robił to, co do tej pory robiłem dla „Dagbladet”? Doprowadzę do tego, że będą mieli pierwsze miejsce w sprawach kryminalnych.

Ole Solstad i szefowie działów oczywiście wzięli to pod uwagę, kiedy dyskutowali nad podjęciem takiej decyzji. Våge miał więcej czytelników niż którykolwiek z pozostałych dziennikarzy. Osiągał wręcz niebotyczne liczby kliknięć. I Solstad bardzo by nie chciał widzieć tych liczb u konkurencji. Ale, jak jeden z redaktorów powiedział na zebraniu, jeśli dyskretnie zasygnalizują, że pozbyli się Terry’ego Våge z podobnych przyczyn jak wtedy, kiedy wyrzucono go z pracy ostatnio, to będzie on równie atrakcyjny dla konkurencji „Dagbladet”, jak atrakcyjny stał się Lance Armstrong dla konkurencji U.S. Postal po skandalu dopingowym. To była taktyka spalonej ziemi, a oni palili Terry’ego Våge, jednak w czasach, gdy szacunek dla prawdy chylił się ku upadkowi, jej dawne bastiony –

takie jak „Dagbladet” – musiały świecić przykładem. Niechże raczej poproszą o wybaczenie, gdyby miało się okazać, że Våge – wbrew wszelkim przesłankom – miał rację.

Solstad poprawił okulary.

– Våge, życzę ci szczęścia u naszych konkurentów. Albo jesteś człowiekiem o niespotykanej niezależności, albo wręcz przeciwnie. A takiego ryzyka, z jakim wiąże się to ostatnie, nie możemy podejmować. Mam nadzieję, że to rozumiesz. – Wstał zza biurka. – Redaktorzy chcieli, żebyś razem z wypłatą za swój ostatni artykuł dostał pewien bonus za to, co zrobiłeś dla gazety.

Våge też wstał, a Solstad usiłował z jego mowy ciała wyczytać, czy ryzykuje odrzucenie, jeśli wyciągnie rękę. Dziennikarz wyszczerzył w uśmiechu białe zęby.

– Podetrzyj się tym bonusem, Solstad. A potem wytrzyj nim sobie okulary. Wszyscy wiedzą, że są już całe zasmarowane gównem, więc nic dziwnego, że gówno przez nie widzisz.

Ole Solstad przez kilka sekund wpatrywał się w drzwi, którymi Våge trzasnął, wychodząc. W końcu zdjął okulary i uważnie im się przyjrzał. Gówno?

Harry stał przed niewielkim pokojem przesłuchań i przyglądał się Markusowi Røedowi, który siedział po drugiej stronie przeszklonej ściany. Wewnątrz były jeszcze trzy osoby: przesłuchujący, jego asystentka oraz Johan Krohn.

To był pracowity poranek. O ósmej Harry stawił się w biurze Krohna przy Rosenkrantz’ gate, skąd zadzwonił do trzech policyjnych prokuratorów, którzy po kolei oświadczyli, że istnieje „wysokie prawdopodobieństwo”, iż Røed zostanie skazany przez sąd – oczywiście jeśli nie pojawią się inne istotne dowody w sprawie.

Krohn niewiele się odzywał, ale pod względem profesjonalnym zachował się bez zarzutu. Natychmiast bez żadnych zastrzeżeń skontaktował się z bankiem i na podstawie wystawionego wcześniej pełnomocnictwa polecił przelać podaną w kontrakcie kwotę na konto bankowe na Kajmanach. Według banku odbiorca powinien zobaczyć je na swoim rachunku jeszcze tego samego dnia. Byli ocaleni: i Harry, i Lucille. Dlaczego więc stał teraz tutaj? Dlaczego nie siedział już w jakimś barze i nie kontynuował tego, co zaczął w Creatures? Hm. A dlaczego ludzie czytają do końca książki, które im się nie podobają? Dlaczego samotni ścielą

łóżka? Obudził się dziś rano i uświadomił sobie, że to była pierwsza od kilku tygodni noc, kiedy nie śniła mu się mama. Mama stojąca w drzwiach klasy. Odzyskał spokój. Ale czy na pewno? Przecież zamiast mamy śniło mu się, że dalej biegnie. Gdzie tylko stąpnął, były bieżnie i nie mógł uciec od... Od czego?

„Od odpowiedzialności”. To był głos dziadka, alkoholika, dobrego człowieka, który o świcie rzygał, po czym wydobywał łódź z szopy i wsadzał do niej Harry’ego, dopytującego się, dlaczego muszą wyciągać sieci, skoro dziadek jest chory. Ale na Harrym nie ciążyła już, do cholery, żadna odpowiedzialność, od której mógł uciekać. A może? Najwyraźniej jednak tak. W każdym razie stał tu teraz. Czuł narastający ból głowy i próbował odepchnąć od siebie myśli. Robił to, skupiając się na prostych konkretnych rzeczach, na których się znał. Na przykład na odczytywaniu mimiki i mowy ciała Røeda, gdy ten odpowiadał na pytania. Harry próbował wsłuchiwać się w odpowiedzi, decydować, czy wierzy, że Markus Røed jest winny, czy nie. Czasami miał wrażenie, że wszelkie doświadczenie, które zgromadził jako śledczy, jest nieprzydatne. Że jego umiejętność odczytywania innych to wyłącznie iluzja. Kiedy indziej natomiast był przekonany, że jego intuicja jest jedyną pewną rzeczą, jedyną, jakiej zawsze mógł ufać. No bo ile razy nie dysponował dowodami ani poszlakami, ale po prostu wiedział, i w końcu okazywało się, że miał rację? A może to był tylko błąd poznawczy, pułapka potwierdzenia? Czy równie często się zdarzało, iż wydawało mu się, że wie, ale się mylił, a potem szybko o tym zapominał? Dlaczego był taki pewny, że Markus Røed nie zabił tych kobiet, a mimo to czuł pewność, że nie jest niewinny? Czyżby Røed zamówił te zabójstwa, zadbał o alibi i był do tego stopnia przeświadczony, że jego niewinności da się dowieść, iż zapłacił Harry’emu i spółce, aby się tym zajęli? Jeśli tak, to dlaczego nie zapewnił sobie alibi lepszego aniżeli to, że był w domu sam z żoną, gdy doszło do dwóch pierwszych zabójstw? Przy ostatnim w ogóle nie miał alibi. Twierdził, że był w domu sam, kiedy zginęła Helene. Ona, świadek, który mógł go ocalić, gdyby doszło do procesu. To się nie trzymało kupy. A jednak...

– Coś mówi? – rozległ się szept tuż obok.

To Katrine weszła do pogrążonego w półmroku pomieszczenia i stanęła między Harrym a Sung-minem.

– Owszem – odparł Sung-min. – „Nie wiem”. „Nie pamiętam”. „Nie”.

– Aha. Wychwytujecie jakieś wibracje?

– Próbuję – odrzekł Harry.

Sung-min milczał.

– Sung? – przynagliła go Katrine.

– Mogę się mylić – odezwał się wreszcie – ale wydaje mi się, że Markus Røed to ukryty gej. Z naciskiem na „ukryty”.

Popatrzyli na niego zdziwieni.

– Dlaczego tak sądzisz? – spytała Katrine.

Sung-min uśmiechnął się krzywo.

– Musiałbym wam zrobić długi wykład, ale powiedzmy, że chodzi o sumę długiego szeregu subtelnych szczegółów, które ja wyczuwam, a wy nie. Oczywiście mogę się mylić.

– Nie mylisz się – stwierdził zdecydowanie Harry.

Teraz to na niego patrzyli.

Chrząknął.

– Pamiętasz, jak cię pytałem, czy słyszałaś coś o Villi Dante?

Katrine pokiwała głową.

– To właściwie tylko nowa nazwa, zmieniona po ponownym otwarciu klubu, który wcześniej nazywał się Tuesdays – wyjaśnił Harry.

– Brzmi bardziej znajomo.

– Ekskluzywny klub dla gejów działający sporo lat temu – podchwycił Sung-min. – Później nazywany Studio Pięćdziesiąt Cztery, wiecie, jak ten klub gejowski w Nowym Jorku, ponieważ był otwarty przez dokładnie taki sam okres. Trzydzieści trzy miesiące. Został zamknięty po tym, jak zgwałcono tam nieletniego.

– Już sobie przypominam – powiedziała Katrine. – Nazwaliśmy to sprawą Motyla, bo chłopak mówił, że gwałciciel nosił maskę przedstawiającą motyla. Ale czy nie musieli zamknąć tego klubu, ponieważ alkohol serwowali kelnerzy, którzy nie ukończyli osiemnastu lat?

– Formalnie rzecz ujmując, owszem – potwierdził Sung-min. – Sąd nie chciał się zgodzić na przyjęcie definicji klubu jako miejsca imprez zamkniętych, a tym samym złamano przepisy dotyczące wyszynku.

– Mam powody, żeby przypuszczać, że Markus Røed bywa w Villi Dante – oznajmił Harry. – Znalazłem kartę członkowską i maskę kota w kieszeniach tego garnituru. A to jest jego garnitur.

Sung-min uniósł brew.

– Nosisz... hm... garnitur Røeda?

– Do czego zmierzasz, Harry? – spytała ostro Katrine, jej oczy patrzyły zimno.

Harry nabrał powietrza. Wciąż mógł tego nie rozgrzebywać.

– Okazuje się, że Villa Dante nadal organizuje wieczory klubowe we wtorki. Jeżeli Røedowi zależy na pozostaniu w ukryciu aż tak, jak przypuszczasz, to być może ma alibi na wieczory, kiedy zginęły Susanne i Bertine, ale nie jest to takie alibi, jakie chciałby nam podać.

– To znaczy, że według ciebie – powiedziała powoli Katrine, a Harry miał uczucie, że próbuje prześwidrować mu głowę wzrokiem – zatrzymaliśmy człowieka, który ma lepsze alibi, niż to, że spędził te wieczory z żoną. Że Røed był w klubie gejowskim. Ale nie życzy sobie, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział.

– Mówię tylko, że istnieje taka możliwość.

– Chcesz powiedzieć, że Røed woli ryzykować więzienie, niż ujawnić swoją orientację seksualną? – Jej głos brzmiał monotonnie, ale drżał od czegoś, co Harry znał aż za dobrze. Od czystej, najczystszej wściekłości.

Harry spojrzał na Sung-mina, który skinął głową.

– Zetknąłem się z mężczyznami, którzy woleliby umrzeć, niż dokonać coming outu – stwierdził Sung-min. – Wydaje nam się, że to żaden problem, ale niestety jest inaczej. Wstyd. Pogarda dla samego siebie. Potępienie. To wcale nie minęło. Zwłaszcza dla ludzi z pokolenia Røeda.

– I z taką historią rodzinną – dodał Harry. – Widziałem portrety jego przodków. Nie wyglądają na mężczyzn, którzy oddaliby stery firmy w ręce faceta, który uprawia seks z facetami.

Katrine ciągle nie odrywała od niego oczu.

– No to powiedz mi, co byś teraz zrobił.

– Ja?

– Owszem, ty. Jest jakiś powód, dla którego nam o tym mówisz, prawda?

– No cóż. – Harry wsunął rękę do kieszeni i podał Katrine kartkę. – Wykorzystałbym przesłuchanie do zadania tych dwóch pytań.

Patrzył, jak Katrine czyta zdania zapisane na kartce, a z głośników dotarł do niego głos Krohna:

– ...ponad godzinę. Mój klient odpowiedział na wszystkie wasze pytania, na większość nawet dwukrotnie albo i jeszcze więcej razy. Możemy w tym momencie skończyć, a jeśli nie, to proszę zaprotokołować moje zastrzeżenie.

Przesłuchujący i jego koleżanka wymienili spojrzenia.

– W porządku – powiedział policjant, popatrzył na zegar ścienny i zauważył Katrine, która otworzyła drzwi do pokoju przesłuchań. Podszedł do niej, wziął kartkę i słuchał.

Harry zobaczył pytające spojrzenie Krohna.

Prowadzący przesłuchanie z powrotem usiadł i chrząknął.

– Dwa ostatnie pytania. Czy w czasie, kiedy zamordowano Susanne i Bertine, był pan w klubie Villa Dante?

Røed porozumiał się wzrokiem z Krohnem, zanim odpowiedział:

– Nigdy nie słyszałem o tym klubie. I powtórzę jeszcze raz: przebywałem w tym czasie z żoną.

– Dziękuję. Drugie pytanie jest do pana, panie mecenasie.

– Do mnie?

– Tak. Czy wiedział pan, że Helene Røed chce się rozwieść oraz że jeśli jej żądania nie zostaną spełnione, to nie da mężowi alibi na te dwa wieczory, kiedy doszło do zabójstw?

Harry zobaczył, że adwokat gwałtownie się czerwieni.

– Cóż... nie widzę żadnego powodu, żeby na to odpowiadać.

– Nawet zwykłym krótkim „nie”?

– To wbrew wszelkim zasadom. Uważam to przesłuchanie za zakończone. – Krohn wstał.

– I tak wiele nam powiedział. – Sung-min zakołysał się na piętach.

Harry chciał już iść, ale Katrine go zatrzymała.

– Nie mów mi, że wiedziałeś o tym wszystkim, zanim zatrzymaliśmy Røeda – szepnęła wściekła.

– Właśnie stracił alibi, które podał – powiedział Harry. – Jedyne, jakie miał. Pozostaje więc tylko mieć nadzieję, że nikt z Villi Dante nie zaświadczy, że tam był.

– A ty, Harry, na co masz nadzieję?

– Na to samo co zawsze.

– Czyli?

– Że złapany zostanie ten, kto najbardziej zawinił.

Harry musiał dobrze wyciągać nogi, żeby dogonić Johana Krohna na zboczu schodzącym od Budynku Policji w stronę Grønlandsleiret.

– To ty podsunąłeś im pomysł, żeby zadać mi to ostatnie pytanie? – spytał adwokat z gniewną miną.

– Dlaczego tak myślisz?

– Ponieważ wiem dokładnie, co Helene Røed zeznała policji. Było tego niewiele. A kiedy umawiałem cię na rozmowę z nią, okazałem się na tyle głupi, by powiedzieć, że można ci ufać.

– Wiedziałeś, że ona chce wykorzystać sprawę alibi do nacisku na Markusa?

– Nie.

– Ale dostałeś pismo od jej prawnika, w którym żąda połowy całego majątku, chociaż mieli rozdzielność majątkową. No a chyba umiesz dodać dwa do dwóch?

– Mogła dysponować innymi środkami nacisku, niezwiązanymi z tą sprawą.

– Na przykład go wyoutować?

– Harry, wygląda na to, że już nie mamy o czym rozmawiać.

Krohn na próżno zamachał na wolną taksówkę, która ich minęła. Za to taksówka zaparkowana naprzeciwko nich wykonała nawrotkę i podjechała. Okno po stronie kierowcy się otworzyło i ukazała się twarz z odsłoniętymi w uśmiechu brązowymi pieńkami zębów.

– Podrzucić cię gdzieś? – spytał Harry.

– Nie, dziękuję. – Krohn pomaszerował w dół Grønlandsleiret.

Øystein zapatrzył się w plecy adwokata.

– Wkurzył się, czy co?

Była szósta po południu, pod niskimi, gęstymi chmurami zaczynały się zapalać światła w domach.

Harry gapił się w sufit. Leżał na plecach na podłodze obok łóżka Stålego Aune. Po drugiej stronie łóżka w takiej samej pozycji leżał Øystein.

– Czyli intuicja mówi ci, że Markus Røed jest jednocześnie winny i niewinny – podsumował Aune.

– Tak – potwierdził Harry.

– Jak to widzisz?

– Na przykład zlecił te zabójstwa, ale sam ich nie popełnił. Albo dwa pierwsze popełnił morderca na tle seksualnym, a Røed dostrzegł możliwość zabicia żony, naśladując tego seryjnego zabójcę, żeby nikt się nie domyślił, że to on jest winny.

– Zwłaszcza że ma alibi na dwie pierwsze zbrodnie – uzupełnił Øystein.

– Czy któryś z was wierzy w tę teorię? – spytał Aune.

– Nie – odparli Harry i Øystein chórem.

– Trudna sprawa – przyznał Harry. – Z jednej strony Røed miał motyw do zabicia żony, jeśli go szantażowała, z drugiej jego alibi bardzo się osłabia, kiedy ona nie może potwierdzić przed sądem pod przysięgą swoich zeznań złożonych przed policją.

– No ale może wobec tego Våge ma rację? – podsunął Øystein w momencie, gdy otworzyły się drzwi. – Chociaż go wylali. Grasuje kanibal i seryjny morderca.

– Nie – powiedział Harry. – Seryjny morderca tego rodzaju, jaki opisuje Våge, nie zabija trzech osób z tej samej imprezy.

– Våge zmyśla – oświadczył Truls, kładąc na stoliku trzy duże kartony z pizzą i zdzierając z nich pokrywy. – „VG” już o tym pisze w internecie. Ich źródła mówią, że Vågego wylali z „Dagbladet”, bo zmyślał. Sam mogłem im o tym powiedzieć.

– Naprawdę? – Aune spojrzał na niego zdumiony.

Truls tylko się roześmiał.

– Ach, czuję zapach ludzkiej krwi i pepperoni. – Øystein zerwał się na nogi.

– Jibran, musisz nam pomóc to zjeść! – zawołał Aune w stronę sąsiedniego łóżka, na którym leżał weterynarz ze słuchawkami na uszach.

Podczas gdy czterej pozostali zaczęli się tłoczyć przy stoliku, Harry dalej siedział na podłodze, opierając się plecami o ścianę. Czytał internetowe wydanie „VG”. I myślał.

– A tak w ogóle, Harry – odezwał się Øystein z ustami pełnymi pizzy – powiedziałem tej dziewczynie z medycyny sądowej, że spotykamy się dziś o dziewiątej w Jealousy. Okej?

– Okej. Sung-min Larsen z KRIPOS też przyjdzie.

– Truls, a ty?

– Co ja?

– Przyjdź do Jealousy. Dzisiaj mamy tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy.

– Że co?

– Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy, same najlepsze utwory z tego roku.

Truls żuł, nieufnie patrząc na Øysteina, jakby nie potrafił ocenić, czy się z niego drwi, czy też ktoś naprawdę go zaprasza.

– No dobra – powiedział w końcu.

– Świetnie. Ale będzie impreza! Harry, ta pizza znika, co ty właściwie robisz?

– Wyciągam sieć – odparł Harry, nie podnosząc oczu.

– Co?

– Zastanawiam się, czy zapewnić Markusowi Røedowi alibi, którego on nie chce.

Podszedł do niego Aune.

– Wydaje się, że trochę ci ulżyło.

– Ulżyło?

– Nie będę pytał, ale przypuszczam, że to ma związek z tym, o czym nie chciałeś rozmawiać.

Harry podniósł głowę. Uśmiechnął się. Potwierdził.

– To dobrze – mruknął Aune. – Dobrze, bo i mnie dzięki temu jest lżej. – Szurając nogami, wrócił do łóżka.

O siódmej zjawiła się Ingrid Aune. Øystein i Truls akurat wybrali się do bufetu, a kiedy Ståle wyszedł do toalety, Ingrid i Harry zostali sami w pokoju.

– Idziemy już, żeby wam nie przeszkadzać – zapewnił Harry.

Ingrid, niewysoka krępa kobieta o stalowosiwych włosach i bezpośrednim spojrzeniu, mówiąca z resztkami dialektu z północy, wyprostowała się na krześle i wzięła głębszy oddech.

– Przychodzę wprost z gabinetu ordynatora. Pielęgniarka oddziałowa zgłosiła mu swoje zaniepokojenie. Mówiła o trzech mężczyznach, którzy zamęczają Stålego Aune swoimi częstymi, długimi wizytami. Ponieważ pacjentom nieraz trudno osobiście zgłaszać takie rzeczy, spytał, czy mogłabym was poprosić o zmniejszenie liczby tych wizyt, teraz kiedy Ståle wkracza w ostatnią fazę.

Harry pokiwał głową.

– Rozumiem. Chciałabyś, żeby tak się stało?

– Ależ skąd! Powiedziałam ordynatorowi, że potrzebujecie Stålego i – uśmiechnęła się – że on potrzebuje was. Mówiłam mu, że trzeba mieć po co żyć, a czasami po co umrzeć. Stwierdził, że moje słowa są mądre, a ja mu na to, że to nie moje słowa, tylko Stålego.

Harry odpowiedział uśmiechem.

– Ordynator mówił coś jeszcze?

Pokiwała głową, spojrzała w okno.

– Pamiętasz, jak uratowałeś Stålemu życie?

– Nie.

Zaśmiała się krótko.

– Ståle poprosił, żebym teraz ja mu je uratowała. Ten wariat tak to nazywa. Kazał mi załatwić zastrzyk. Zaproponował morfinę.

W ciszy, która zapadła, słychać było tylko równy oddech śpiącego Jibrana.

– Chcesz to zrobić?

– Chcę. – Jej oczy wypełniły się łzami, głos zgrubiał. – Ale, Harry, wydaje mi się, że nie dam rady.

Harry położył jej dłoń na ramieniu. Czuł, że cała lekko drży, kiedy powiedziała już tylko szeptem:

– I wiem, że z tego powodu do końca będę żyła w poczuciu winy.

34

Poniedziałek. Trans-Europe Express

Prim jeszcze raz przeczytał artykuł na internetowej stronie „VG”. Nie napisali wprost, że Våge zmyślał swoje historie, ale takie było przesłanie. Skoro jednak nie napisali wprost, musiało to oznaczać, że zarzutu nie da się udowodnić. Mógłby to zrobić jedynie on, Prim. Powiedzieć, co się naprawdę wydarzyło. Znów napłynęło to gorące upajające poczucie kontroli, którego nie przewidział, i był to bonus w czystej postaci.

Rozmyślał nad tym od przedpołudnia, kiedy zobaczył w „Dagbladet” krótką notkę informującą, że Terry Våge zostaje odsunięty od spraw kryminalnych w gazecie. Prim od razu wiedział dlaczego. Nie tylko czemu Vågego odsunięto, lecz także czemu „Dagbladet” zwraca na to uwagę świata, zamiast pozwolić, aby dokonało się to w ciszy. Wiedzieli, że muszą aktywnie zdystansować się od Vågego, zanim inne gazety zdążą skonfrontować ich z kłamstwami, jakie „Dagbladet” opublikowała na temat kanibalizmu i przyszytego powtórnie tatuażu.

Interesujące było to, że Vågego być może dałoby się wykorzystać do rozwiązania problemu, który się pojawił. Problemu polegającego na tym, że Markus Røed siedział bezpieczny w areszcie i miał pozostać poza zasięgiem Prima przez czas nieokreślony. Przez czas, którego on nie miał, ponieważ biologia toczy się własnym torem, a cykl ma swój rytm. Ale to była poważna decyzja, wielkie odstępstwo od pierwotnego planu, a już się okazało, jak bardzo improwizacja się nie opłaca. Dlatego musiał się dobrze zastanowić. Jeszcze raz przemyśleć szczegóły.

Spojrzał na niezarejestrowany telefon i na notatkę z numerem Terry’ego Våge, który znalazł na stronie internetowej informacji telefonicznej. Czuł zdenerwowanie, jakie musi odczuwać szachista, kiedy upływa mu czas, a on decyduje się na ruch; wie, że ten ruch zapewni mu zwycięstwo lub przegraną, lecz na razie jeszcze nie przesunął pionka. Prim kolejny raz przemyślał scenariusze. Wszystko, co może

pójść źle. I co nie może pójść źle. Powtórzył sobie, że będzie mógł w każdej chwili się wycofać, nie pozostawiając żadnych śladów, które by do niego doprowadziły. Jeśli wszystko zrobi tak jak trzeba.

W końcu wybrał ten numer. Miał wrażenie, że spada. Poczuł cudowny dreszcz napięcia.

Våge odebrał po trzecim dzwonku.

– Słucham, tu Terry.

Prim próbował się zorientować, czy głos Vågego zdradza desperację, którą ten człowiek musiał teraz czuć. Człowiek, który spadł na samo dno. Człowiek, którego nikt nie chciał. Człowiek bez wyjścia. Ktoś, komu raz udał się comeback i kto jest skłonny zrobić wszystko, by to się powtórzyło, ponownie zająć tron. Pokazać im. Prim nabrał powietrza i zaczął mówić swoim niższym głosem:

– Susanne Andersen w trakcie uprawiania seksu lubiła być bita po twarzy. Myślę, że znajdziesz jakichś byłych kochanków, którzy to potwierdzą. Bertine Bertilsen pachniała potem jak mężczyzna. Helene Røed miała bliznę na barku.

W ciszy, która zapadła, Prim słyszał oddech Vågego.

– Kto mówi?

– Jedyna osoba na wolności, która może posiadać całą tę wiedzę.

I znów przerwa.

– Czego chcesz?

– Uratować niewinnego.

– A kto jest niewinny?

– Markus Røed, oczywiście.

– Ponieważ?

– Ponieważ to ja zabiłem te kobiety.

***

Terry Våge wiedział, że kiedy na wyświetlaczu pojawił się napis „Numer nieznany”, nie powinien odbierać tego telefonu, lecz jak zwykle nie zdołał się powstrzymać. To przez tę cholerną ciekawość. Wiarę w to, że coś się nagle wydarzy. Na przykład że któregoś dnia zadzwoni kobieta z jego snów. Dlaczego nigdy się nie nauczył? Dzisiaj przecież wydzwaniali dziennikarze, którzy chcieli od

niego komentarza w związku z wylaniem go z „Dagbladet”. Odezwało się też kilku stałych fanów, podkreślających, że to takie niesprawiedliwe – między innymi dziewczyna, której głos przez telefon brzmiał tak przyjemnie, kiedy jednak odszukał ją na Facebooku, odkrył, że jest znacznie starsza, niż wskazywałby na to głos, i żałośnie brzydka. A teraz jeszcze ten telefon. Kolejny wariat. Dlaczego nie dzwonią normalni ludzie? Na przykład przyjaciele. Czy dlatego, że już nikogo takiego nie miał? Matka i siostra telefonowały od czasu do czasu, ale brat i ojciec się nie odzywali. To znaczy owszem, ojciec raz zadzwonił, pewnie uznał, że sukces w „Dagbladet” wreszcie zrównoważył tamten skandal, który okrył takim wstydem nazwisko rodziny. W ostatnim roku kontaktowało się z Terrym kilka dziewczyn, pojawiały się zawsze, kiedy skupiał na sobie uwagę – tak samo się działo, gdy jako dziennikarz zajmował się muzyką. Oczywiście chłopcy z zespołów bzykali się więcej niż on, ale on z kolei miał większe możliwości niż dźwiękowcy. Najlepszą strategią było przyklejenie się do zespołu – parę dobrych recenzji zawsze wynagradzano dostępem za kulisy – z nadzieją, że i jemu coś skapnie. A prawie najlepszą strategią coś zupełnie przeciwnego: zjechanie jakiegoś zespołu i zbieranie za to gratulacji. Jako dziennikarz zajmujący się sprawami kryminalnymi nie miał już okazji do podrywu na koncertach, ale kompensował to reporterskim stylem gonzo, który przyswoił sobie jako recenzent muzyczny – uczestniczył w tym, co opisywał, był korespondentem wojennym nadającym z ulic. A dzięki temu, że przy artykułach widniały jego nazwisko i zdjęcie, zawsze znalazła się jedna czy druga dziewczyna, która postanawiała nawiązać z nim kontakt. To właśnie dla nich wciąż zachowywał swój numer dostępny w informacji telefonicznej, a nie po to, żeby ludzie wydzwaniali do niego we wszelkich możliwych porach doby z najrozmaitszymi idiotycznymi informacjami i historiami.

Jedną rzeczą było to, że odebrał to połączenie z nieznanego numeru, ale drugą – że się nie rozłączył. Dlaczego? Chyba nie z powodu tego, co mówił ten człowiek, nie dlatego, że tamten twierdził, iż zabił te kobiety. Chodziło o sposób, w jaki to powiedział. Bez fanfar. Po prostu to przekazał.

Terry Våge chrząknął.

– Jeśli naprawdę je zabiłeś, to czy nie powinieneś się cieszyć, że policja podejrzewa kogoś innego?

– Rzeczywiście nie chcę, żeby mnie złapali, ale nie sprawi mi żadnej radości to, że niewinna osoba siedzi w więzieniu za moje grzechy.

– Za grzechy?

– Może to trochę zbyt biblijne stwierdzenie. Dzwonię, bo wydaje mi się, że my dwaj możemy sobie nawzajem pomóc.

– A możemy?

– Chcę pokazać policji, że zatrzymała niewłaściwego człowieka i że powinna niezwłocznie zwolnić Røeda. Ty chcesz odzyskać swoje miejsce na szczycie po próbach dotarcia tam poprzez zmyślanie.

– Co o tym wiesz?

– To, że chcesz wrócić na szczyt, mogę tylko przypuszczać, ale że swój ostatni artykuł zmyśliłeś, wiem na pewno.

Våge zastanawiał się, błądząc wzrokiem po tym, co przy odrobinie dobrej woli dało się nazwać kawalerką, ale bez tej dobrej woli zasługiwało na miano nory. Wyobrażał sobie, że przy dochodach na takim poziomie, jakie uzyskiwał w „Dagbladet”, jeszcze rok, a mógłby znaleźć coś większego, gdzie byłoby więcej powietrza i światła. I mniej brudu. Dagnija, jego łotewska dziewczyna – przynajmniej za nią się uważała – miała przyjechać w weekend, niech wtedy posprząta.

– Oczywiście muszę sprawdzić to, co, jak twierdziłeś na wstępie, wiesz o tych kobietach – powiedział. – Przyjmijmy, że mówisz prawdę. Co proponujesz?

– Nazwijmy to raczej ultimatum. Ponieważ albo wydarzy się ze wszystkimi szczegółami wymaganymi przeze mnie, albo w ogóle.

– No to mów.

– Przyjdź jutro wieczorem na dach Opery, po południowej stronie. Dam ci wtedy dowód na to, że to ja jestem mordercą. Punktualnie o dziewiątej. Nikomu nie mów o naszym spotkaniu, no i oczywiście masz być sam. Jasne?

– Jasne. Czy możesz powiedzieć coś o...

Våge wpatrywał się w telefon. Tamten już się rozłączył.

Co to, u diabła, znaczy? To zbyt szalone, żeby mogło być prawdziwe. Nie miał też możliwości sprawdzenia, kto do niego dzwonił.

Spojrzał na zegarek. Za pięć ósma. Miał ochotę wyjść gdzieś na piwo. Nie do Stopp Pressen czy podobnego miejsca, tylko gdzieś, gdzie nie istniało ryzyko natknięcia się na kolegów. Z tęsknotą wspomniał czasy, kiedy mógł chodzić na

koncerty promocyjne nowych płyt – firmy fonograficzne rozdawały dziennikarzom bony na piwo, licząc na dobre recenzje, a mogło się zdarzyć, że jakaś artystka ubiegała się o jego sympatię w tym samym celu.

Znów zerknął na telefon. Zbyt idiotyczne? A może jednak nie?

Było wpół do dziesiątej wieczorem. Z głośników zatłoczonego baru Jealousy waliło Jammin' Boba Marleya and The Wailers. Można by pomyśleć, że stawiła się tu cała populacja podstarzałych hipsterów z Grünerløkka, żeby napić się piwa i wyrazić swoją opinię na temat playlisty. Na początku każdego nowego utworu na zmianę to klaskano, to buczano.

– Ja mówię tylko, że Harry się myli! – zawołał Øystein do Trulsa i Sung-mina. – Stayin' Alive wcale nie jest lepsze od Trans-Europe Express, całkiem po prostu!

– Bee Gees kontra Kraftwerk – przetłumaczył Harry Alexandrze, kiedy całą piątką przedzierali się przez tłum z czterema piwami i jedną wodą mineralną. Usiedli w boksie, który udało im się zaklepać, tam przynajmniej nie było aż tak głośno.

– Miło się znaleźć w tej samej ekipie co wy – oświadczył Sung-min, podnosząc szklankę do toastu. – I gratuluję wczorajszego zatrzymania.

– Które Harry jutro będzie próbował odkręcić. – Øystein stuknął się piwem z innymi.

– Słucham?

– Powiedział, że spróbuje załatwić Røedowi inne alibi, chociaż Røed tego nie chce.

Sung-min spojrzał przez stolik na Harry'ego, który wzruszył ramionami.

– Mam zamiar dostać się do Villi Dante i znaleźć świadków, którzy potwierdzą, że Røed był tam w te wtorkowe wieczory, kiedy zabito Susanne i Bertine. Jeśli na nich trafię, ich słowa będą więcej warte niż zeznania martwej żony.

– Dlaczego chcesz tam iść? – spytała Alexandra. – Dlaczego policja nie może po prostu tam wejść i wszystkiego się wywiedzieć?

– Ponieważ – zaczął wyjaśniać Sung-min – po pierwsze, potrzebny byłby nakaz sądowy, a niczego takiego nie dostaniemy, skoro nie ma nawet podejrzeń o to, że w tym klubie dzieje się coś niezgodnego z prawem. Po drugie, za nic nie uda nam się przekonać kogoś stamtąd do zeznawania w roli świadka, bo cały wic z Villą

Dante polega na pełnej anonimowości. Ja się raczej zastanawiam, jak Harry zamierza tam wejść i skłonić kogoś do mówienia.

– No cóż. Po pierwsze, nie jestem policjantem, więc nie muszę się martwić o żaden nakaz sądowy. Po drugie, mam to. – Harry sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął maskę kota i kartę członkowską klubu Villa Dante. – Plus garnitur Røeda, ten sam wzrost, ta sama maska...

Alexandra parsknęła śmiechem.

– Harry Hole chce iść do gejowskiego klubu i uchodzić za... – Sięgnęła po kartę członkowską i przeczytała: – ...Catmana? Wobec tego chyba przyda ci się parę wskazówek.

– Właściwie zamierzałem cię poprosić, żebyś mi tam towarzyszyła – powiedział Harry.

Alexandra pokręciła głową.

– Nie możesz do gejowskiego klubu przyprowadzić kobiety. To złamanie warunków umowy. No chyba żeby wzięto mnie za faceta przebranego za kobietę.

– Nikt cię za kogoś takiego nie weźmie – wtrącił Sung-min.

– Posłuchajcie, oto co się stanie – zaczęła Alexandra, a jej złośliwy uśmieszek kazał pozostałym nachylić się i uważnie słuchać.

Podczas gdy tłumaczyła, jej słuchacze na zmianę to otwierali usta ze zdziwienia, to śmiali się z niedowierzaniem. Kiedy skończyła, popatrzyła na Sung-mina, szukając u niego potwierdzenia. On jednak pokręcił głową.

– Ja nie chodzę do takich klubów, moja droga. Za to jestem ciekaw, skąd ty wiesz o tym aż tyle.

– Do Scandinavian Leather Man wolno raz w roku przyprowadzić kobiety.

– Ciągle masz ochotę tam iść? – spytał Øystein, szturchając Harry’ego w bok.

Truls zarykiwał się ze śmiechu.

– Bardziej boję się nieudanego penetrowania niż penetracji – odparł Harry. – Raczej wątpię, żeby ktoś chciał mnie zgwałcić.

– Nikt nie zostanie zgwałcony, a już na pewno nie podtatusiały, blisko dwumetrowy wielkolud – stwierdziła Alexandra. – Choć najprawdopodobniej znajdą się tam twinki, które będą chciały cię poderwać.

– Twinki?

– Słodcy, delikatni chłopcy, którzy marzą o potężnym mężczyźnie. Ale tak jak powiedziałam: uważaj na miśków i zachowaj ostrożność w darkroomach.

– Jeszcze jedna kolejka? – spytał Øystein. Naliczył trzy uniesione palce.

– Pomogę ci przynieść – zaproponował Harry.

Utorowali sobie drogę do baru i ustawili się w kolejce, gdy ku ogólnej radości rozległy się gitarowe riffy Heroes Davida Bowiego.

– Mick Ronson jest bogiem – stwierdził Øystein.

– Owszem, ale to jest Robert Fripp – odparł Harry.

– Racja, Harry – rozległ się głos za nimi.

Odwrócili się. Facet miał kaszkiet na głowie, czterodniowy zarost i ciepło patrzące, trochę smutne oczy.

– Wszyscy sądzą, że Fripp używa elektronicznego smyczka, ale to tylko sprzężenie z urządzeniami studyjnymi. – Wyciągnął rękę na przywitanie. – Jestem Arne, chłopak Katrine. – Miał przyjemny uśmiech.

Jak dobry przyjaciel, pomyślał Harry. Tyle że facet musiał być co najmniej dziesięć lat młodszy od nich.

– Aha. – Harry uścisnął mu dłoń.

– Jestem wielkim fanem – powiedział Arne.

– My też – zawtórował mu Øystein, na próżno usiłujący przywołać bardzo zajętych barmanów.

– Nie mam na myśli Bowiego, tylko ciebie.

– Mnie? – zdziwił się Harry.

– Jego? – zdziwił się jeszcze bardziej Øystein.

Arne się roześmiał.

– Nie miejcie takich zszokowanych min. Myślę tylko o tym, jak niesamowicie dużo dobrego zrobiłeś dla tego miasta jako policjant.

– Mhm. To Katrine tak ci nakłamała?

– O nie. Wiedziałem o Harrym Hole na długo przed tym, zanim ją poznałem. Miałem pewnie kilkanaście lat, jak przeczytałem o tobie w gazecie. Z twojego powodu starałem się nawet o przyjęcie do szkoły policyjnej. – Śmiech Arnego był pełen radości, świeży.

– Mhm. Ale cię nie przyjęli?

– Wezwali mnie na testy sprawnościowe. Tylko że dostałem się tymczasem na studia uniwersyteckie i doszedłem do wniosku, że mogą mi się przydać później, już po to, żeby zostać śledczym.

– Rozumiem. Przyszedłeś z Katrine?

– A ona tu jest?

– Nie wiem, napisała mi w SMS-sie, że może zajrzy, ale tyle tu ludzi... Może spotkała jakichś innych znajomych. A tak w ogóle gdzie ją znalazłeś?

– Mówiła, że to ja ją znalazłem?

– A nie?

– Tak obstawiasz?

– Domysł oparty na wiedzy faktycznej.

Arne przez chwilę patrzył na Harry’ego niby to z powagą. Wreszcie twarz mu pękła w chłopięcym uśmiechu.

– Oczywiście, masz rację. Pierwszy raz zobaczyłem ją w telewizji, ale nie mów jej o tym, bardzo cię proszę. A wkrótce potem pojawiła się tam, gdzie pracuję. Podszedłem więc do niej i powiedziałem, że widziałem ją w telewizji i że wydała mi się świetną babką.

– Trochę tak jak robisz teraz, prawda?

I znów ten świeży śmiech.

– Rozumiem, Harry, że bierzesz mnie za fanboya?

– A nie jesteś nim?

Arne zrobił minę, jakby się zastanawiał.

– No tak, znów masz rację. W zasadzie chyba rzeczywiście jestem. Ale w takim razie raczej nie ty i Katrine jesteście moimi największymi idolami.

– No to jestem spokojniejszy. A kto jest twoim największym idolem?

– Obawiam się, że to cię nie zainteresuje.

– Być może. Ale mów.

– No dobrze. Salmonella Typhimurium. – Arne wymówił to powoli, z nabożeństwem i bardzo wyraźnie.

– Mhm. Salmonella, czyli ta bakteria?

– Owszem.

– Dlaczego?

– Ponieważ serotyp Typhimurium góruje nad wszystkim. Jest w stanie przeżyć wszystko i wszędzie, nawet w przestrzeni kosmicznej.

– A czemu cię to interesuje?

– To część mojej pracy.

– Czyli?

– Szukam cząsteczek.

– Takich w nas czy gdzieś tam w górze?

– To jedno i to samo, Harry. The stuff life is made of. And death.

– Tak?

– Gdybym pozbierał wszystkie mikroby i pasożyty, jakie masz w sobie, to jak myślisz, ile by ważyły?

– Mhm.

– Dwa kilo. – Øystein wręczył Harry'emu dwie szklanki. – Czytałem w „Wiedzy Ilustrowanej". Niezłe paskudztwo.

– Tak, ale byłoby jeszcze gorzej, gdyby ich nie było – wyjaśnił Arne. – Bo wtedy byśmy nie żyli.

– Mhm. I one przeżywają w kosmosie?

– Niektóre mikroorganizmy nie muszą nawet przebywać w pobliżu planety ani mieć dostępu do tlenu. Raczej przeciwnie. Prowadzono badania na pokładach stacji kosmicznych i stwierdzono, że w tym otoczeniu Typhimurium są jeszcze groźniejsze i skuteczniejsze niż na powierzchni Ziemi.

– Skoro najwyraźniej dużo wiesz o takich rzeczach... – Øystein wessał pianę ze szklanek, które trzymał w rękach. – To prawda, że grzmi tylko wtedy, kiedy pada deszcz?

Arne wyglądał na lekko zdezorientowanego.

– No... nie.

– Ano właśnie – powiedział Øystein. – A posłuchajcie.

Słuchali. Piosenka Dreams Fleetwood Mac doszła do refrenu, w którym Stevie Nicks śpiewa, że thunder only happens when it's raining.

Wszyscy trzej się roześmiali.

– Błąd Lindseya Buckinghama – stwierdził Øystein.

– Nie – zaprotestował Harry. – Akurat ten tekst rzeczywiście napisała Stevie Nicks.

– W każdym razie to najlepsza piosenka na dwa chwyty – oświadczył Arne.

– Skąd – oburzył się natychmiast Øystein. – Tu akurat najlepsza jest Nirvana. Something In The Way.

Popatrzyli na Harry'ego. Wzruszył ramionami.

– Jane's Addiction. Jane Says'.

– Dochodzisz do siebie. – Øystein cmoknął. – A najgorszy utwór na dwa chwyty wszech czasów?

Spojrzeli na Arnego.

– No nie wiem – przyznał. – Born In The U.S.A. nie jest co prawda najgorszy, ale w każdym razie najbardziej przereklamowany.

Øystein i Harry z uznaniem pokiwali głowami.

– Przysiądziesz się do nas? – zaproponował Øystein.

– Dzięki, ale jestem tu z kumplem, któremu muszę dotrzymać towarzystwa. Może kiedy indziej.

Mając ręce zajęte szklankami z piwem, delikatnie stuknęli się kłykciami i Arne zniknął w tłumie, a Harry i Øystein wyruszyli w powrotny rejs do boksu.

– Miły gość – ocenił Øystein. – Myślę, że Katrine znalazła kogoś dla siebie.

Harry pokiwał głową. Szukał w mózgu czegoś, co mózg zarejestrował, ale nad czym się nie zatrzymał. Dotarli do stolika z czterema półlitrowymi szklankami, a ponieważ inni pili tak wolno, Harry wypił łyk tego, którego na razie nikt nie ruszył. I jeszcze jeden.

Kiedy Sex Pistols zagrali wreszcie God Save The Queen, wszyscy wstali i zaczęli pogować razem z resztą tłumu.

Około północy bar Jealousy był już całkiem pijany, a Harry jeszcze bardziej.

– Jesteś radosny – szepnęła mu do ucha Alexandra.

– Naprawdę?

– Tak. Nie widziałam cię takiego, odkąd wróciłeś do domu. I ładnie pachniesz.

– Mhm. Czyli to prawda.

– Co?

– Że człowiek lepiej pachnie, kiedy nie siedzi w długach.

– Tego nie zrozumiałam. À propos domu, odprowadzisz mnie?

– Mam cię odprowadzić czy iść z tobą?

– To możesz stwierdzić po drodze.

Harry zrozumiał, jak bardzo jest pijany, kiedy ściskał innych na pożegnanie. Sung-min wyraźnie pachniał perfumami, lawendą albo czymś takim. Życzył mu szczęścia w Villi Dante, ale dodał, że będzie udawał, iż nie słyszał o nieregulaminowych planach Harry'ego.

Może sprawiła to myśl o zapachu długów w powiązaniu z lawendą Sung-mina, bo przy drzwiach wejściowych Harry uświadomił sobie, jaki szczegół umknął jego uwadze. Zapach. Poczuł go w jakimś momencie w ciągu tego wieczoru, tutaj, w tym lokalu. Przeszył go dreszcz, odwrócił się i powiódł wzrokiem po tłumie. Zapach piżma. Ten sam, który czuł, kiedy znajdował się w sali sekcyjnej razem z Helene Røed.

– Harry?

– Już idę.

Prim krążył po ulicach Oslo. Mózg nie przestawał mielić, jakby próbował zmielić bolesne myśli na pył.

Ten policjant był w Jealousy, a jemu na ten widok zagotowała się krew. Oczywiście powinien był natychmiast stamtąd wyjść, trzymać się od niego z daleka, ale tamten jakby go do siebie przyciągał, jak gdyby to Prim był myszą, a policjant kotem. Prim wypatrywał też Jej. Może rzeczywiście tam była, a może nie. W środku panował taki tłok, że większość ludzi stała i trudno było się zorientować. Spotka się z Nią jutro. Czy powinien zapytać, czy tam była? Nie, niech sama powie. Akurat teraz miał do przemyślenia zbyt dużo innych rzeczy, a to musi zepchnąć gdzieś na tyły. Potrzebował trzeźwego umysłu przed jutrem. Szedł dalej. Nordahl Bruns gate. Thor Olsens gate. Fredensborgveien. Obcasy rytmicznie uderzały o asfalt, a Prim nucił pod nosem. Będę królem, a ty królową. I chociaż nikt nie zdoła ich przegonić, będziemy bohaterami. Bohaterami chociaż na jeden dzień.

35

Wtorek

We wtorek temperatura nagle spadła. Wiatr nabierał pędu wzdłuż Operagata i Dronning Eufemias gate, gwałtowne podmuchy przewracały stojaki reklamowe przed restauracjami i sklepami z odzieżą.

Pięć po dziewiątej Harry odebrał swój garnitur z pralni chemicznej na Grønland, a przy okazji spytał, czy mogą na poczekaniu wyprasować garnitur, który miał na sobie. Azjatka za ladą przepraszająco pokręciła głową. Harry powiedział, że szkoda, bo wieczorem wybiera się na bal przebierańców. Widział, że kobieta przez chwilę się wahała, ale w końcu się uśmiechnęła i odparła, że i tak na pewno będzie się dobrze bawił.

– Xièxiè – podziękował Harry, lekko się ukłonił i odwrócił do wyjścia.

– Prawidłowa wymowa! – zawołała za nim kobieta, zanim zdążył sięgnąć do klamki. – Gdzie pan się nauczył chińskiego?

– W Hongkongu. Ale tylko trochę.

– Większość cudzoziemców w Hongkongu nie umie powiedzieć słowa po chińsku. Niech pan się tam rozbierze, a ja go zaraz wyprasuję.

Kwadrans po dziewiątej Prim stał koło przystanku i rozglądał się po Jernbanetorget, od placu przed dworcem dzieliła go ulica. Obserwował ludzi – tych, którzy jedynie przechodzili przez plac, i tych, którzy tam przebywali. Czy jest tu ktoś z policji? Miał przy sobie kokainę i bał się tam wejść, dopóki się nie upewni. Ale przecież nigdy nie można mieć pewności. Trzeba po prostu dokonać oceny i zostawić lęk za sobą. To takie proste. I takie niemożliwe. Nerwowo przełknął ślinę. Przeciął ulicę, wszedł na plac i ruszył w stronę rzeźby tygrysa. Podrapał ją za uchem. O tak, właśnie tak, popieść lęk i uczyń go swoim przyjacielem. Odetchnął głębiej i wsunął rękę do kieszeni, w której miał kokainę.

Jakiś człowiek stojący na schodach gapił się na niego. Prim go rozpoznał i skierował się w jego stronę.

– Witam, mój panie. Mam coś, czego chciałby pan spróbować.

Światło dzienne zniknęło wcześnie i można było odnieść wrażenie, że wieczór trwa już od dawna, kiedy Terry Våge przeciął Operagata i wszedł na włoski marmur z Carrary. Wybór włoskich płyt wywołał gorącą dyskusję, gdy wznoszono Operę u brzegu zatoki Bjørvika, ale krytyczne głosy ucichły, a mieszkańcy przytulili budynek do serca. Nawet we wrześniowy wieczór roiło się tu od turystów. Våge spojrzał na zegarek. Za sześć dziewiąta. Jako dziennikarz muzyczny przychodził na ogół co najmniej pół godziny po zapowiadanym początku koncertu. Owszem, zdarzało się, że jakieś dziwaczne zespoły zaczynały punktualnie i przepadało mu kilka pierwszych utworów, ale wtedy pytał kogoś, kto wyglądał na fana, która piosenka otworzyła koncert i jaki był odzew publiczności, a potem na tej podstawie trochę zmyślał. Zawsze się udawało. Tego wieczoru jednak nie chciał ryzykować. Terry Våge podjął decyzję. Od tej pory nie będzie się spóźniał ani zmyślał.

Skorzystał z bocznych schodów, zamiast wspiąć się bezpośrednio po ukośnym, gładkim i śliskim marmurowym dachu, jak robiła większość młodych ludzi. Bo nie był już taki młody i nie stać go było na kolejne poślizgnięcia.

Będąc już na górze, przeszedł na południową stronę, tak jak polecił mu przez telefon tamten facet. Stanął między dwiema parami przy murku okalającym dach i spojrzał na fiord, który nieco dalej wiatr smagał do białości. Rozejrzał się. Zadygotał z zimna i zerknął na zegarek. W półmroku zauważył mężczyznę zmierzającego w jego stronę. Mężczyzna uniósł coś i skierował w Terry’ego, który zdrętwiał.

– Excuse me – powiedział tamten z brzmiącym jak niemiecki akcentem, a Våge odsunął się z linii strzału. Mężczyzna wcisnął przycisk zwalniający, w aparacie cicho zaszumiała migawka, podziękował i odszedł.

Våge znów zadrżał. Przechylił się przez krawędź murku i popatrzył na ludzi chodzących w dole po marmurze. Znów spojrzał na zegarek. Dwie minuty po dziewiątej.

W oknach willi się świeciło, a wiatr szumiał w kasztanowcach wzdłuż uliczki odchodzącej w bok od Drammensveien. Harry kazał Øysteinowi zatrzymać się w pewnej odległości od Villi Dante, chociaż przyjazd gościa taksówką zapewne nie zwróciłby niczyjej uwagi. Parkowanie własnego samochodu przed willą byłoby przecież wręcz proszeniem się o rozpoznanie.

Harry'ego przeszedł dreszcz. Powinien był pomyśleć o płaszczu. W odległości pięćdziesięciu metrów od willi włożył maskę kota i beret pożyczony od Alexandry.

Przed wejściem do dużego, żółtego, murowanego budynku dwie pochodnie migotały w podmuchach wiatru.

„Neobarok z secesyjnymi oknami" – orzekł Aune, kiedy znaleźli zdjęcia w Google. „Przypuszczam, że willa została wybudowana na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Na pewno przez jakiegoś armatora, hurtownika, czy kogoś takiego".

Harry pchnął drzwi i wszedł do środka.

Młody mężczyzna w smokingu uśmiechnął się zza niewielkiego kontuaru, kiedy Harry pokazał kartę członkowską.

– Witamy, Catmanie. Miss Annabell występuje o dwudziestej drugiej.

Harry w milczeniu kiwnął głową i ruszył w stronę otwartych drzwi na końcu korytarza. Dobiegała stamtąd muzyka. Mahler.

Znalazł się w pomieszczeniu oświetlonym przez dwa olbrzymie kryształowe żyrandole. Bar i reszta umeblowania były z jasnobrązowego drewna, być może mahoniu honduraskiego. W pokoju przebywało trzydziestu–czterdziestu mężczyzn, wszyscy w maskach i ciemnych garniturach lub smokingach. Chłopcy bez masek, w obcisłych strojach kelnerskich, przemykali między stolikami, roznosząc na tacach napoje. Ale nie było żadnych tancerzy go-go, jak opisywała to Alexandra, ani też mającego znajdować się w klatce na środku skulonego nagiego mężczyzny z rękami związanymi z tyłu, którego goście mogli kopać, kłuć lub upokarzać w inny sposób według własnych zachcianek. Kształt kieliszków świadczył o tym, że pije się tu głównie martini lub szampana. Harry zwilżył usta. Przed południem po drodze od Alexandry wypił piwo U Schrødera, ale obiecał sobie, że dziś będzie to jedyny alkohol. Niektórzy goście zerkali na niego, przez moment rejestrując jego przyjście, po czym wracali do przerwanych rozmów. Oprócz jednego, ewidentnie młodego i delikatnego jak dziewczyna chłopaka, który dalej śledził go wzrokiem,

gdy Harry zmierzał ku niezajętej części baru. Miał nadzieję, że to nie oznacza, iż już został odkryty.

– To co zwykle? – spytał barman.

Harry miał wrażenie, że czuje na plecach wzrok twinka. Skinął głową.

Barman odwrócił się tyłem. Harry zobaczył, że mężczyzna bierze wysoką szklankę i nalewa do niej wódkę Absolut, tabasco, sos Worcester oraz coś, co wyglądało na sok pomidorowy. Na koniec dołożył łodygę selera naciowego i postawił szklankę przed Harrym.

– Mam dzisiaj tylko gotówkę – powiedział Harry, a barman wyszczerzył zęby w uśmiechu, jakby usłyszał dowcip. W tym momencie Harry zrozumiał, że w takich miejscach, gdzie żądano anonimowości i ją zapewniano, w użyciu była jedynie gotówka.

Zdrętwiał, gdy poczuł czyjąś rękę przesuwającą się po jego pośladkach. Był na to przygotowany, Alexandra mówiła przecież, że często zaczyna się od kontaktu wzrokowego, a potem przechodzi do cielesnego, bez wypowiadania słowa. I że od tego momentu możliwości jest mnóstwo.

– Dawno się nie widzieliśmy, Catman. Nie miałeś wtedy brody, prawda?

To był ten twink. Głos miał wysoki, tak wysoki, że Harry zaczął się zastanawiać, czy chłopak nie udaje. Nie było oczywiste, jakie zwierzę przedstawia jego maska, ale z całą pewnością nie wyglądało na mysz. Zielony kolor, łuski i wąskie otwory na oczy przemawiały raczej za wężem.

– Nie – odparł Harry.

Twink podniósł swoją szklankę i spojrzał pytająco na Harry’ego, gdy ten się zawahał.

– Znudził ci się Caesar?

Harry powoli kiwnął głową. Caesar był gejowskim drinkiem numer jeden w Dan Tana’s w Los Angeles, podobno jakiś kanadyjski wymysł.

– Może więc powinniśmy raczej wziąć coś, co nas rozbudzi?

– Na przykład? – spytał Harry.

Twink przechylił głowę.

– Zmieniłeś się. Nie tylko ta broda, ale też głos i...

– Rak gardła – wyjaśnił Harry. To był pomysł Øysteina. – Naświetlania.

– Och – westchnął twink bez wyraźnego przejęcia. – W takim razie rozumiem już ten paskudny beret i to, że tak schudłeś. Szybko się posuwa.

– Owszem – potwierdził Harry. – A jak długo się nie widzieliśmy?

– No właśnie. Miesiąc? Może dwa? Czas płynie, a ciebie nie było tu od dość dawna.

– Słabo pamiętam. Czy byłem tu we wtorek pięć tygodni temu? I tydzień później też?

Twink wtulił głowę w ramiona, jakby chciał mu się przyjrzeć z większego dystansu.

– Dlaczego się nad tym zastanawiasz?

Harry usłyszał nieufność w jego głosie. Zorientował się, że zadziałał trochę za szybko.

– To przez ten guz – wytłumaczył. – Lekarz mówi, że naciska na mózg. Częściowo straciłem pamięć. Przepraszam, po prostu usiłuję zrekonstruować ostatnie miesiące.

– Jesteś pewien, że pamiętasz mnie?

– Trochę – przyznał Harry. – Ale nie wszystko. Przepraszam.

Twink prychnął urażony.

– Możesz mi pomóc? – spytał Harry.

– Jeśli ty pomożesz mnie.

– W czym?

– Powiedzmy, że zapłacisz za mój towar trochę więcej niż zwykle. – Twink wysunął coś z kieszeni marynarki, Harry zobaczył plastikową torebeczkę z białym proszkiem. – Żebym mógł ci to zaaplikować tak jak ostatnio.

Harry kiwnął głową. Alexandra mówiła, że w klubach gejowskich, w których była, narkotykami – kokainą, speedem, poppersem, ecstasy – handlowano mniej lub bardziej otwarcie.

– A jak to zrobiłeś ostatnio? – spytał.

– O Boże, myślałem, że przynajmniej tyle będziesz pamiętał. Wdmuchnąłem to w twoją cudowną ciasną misiową dziurkę za pomocą tego. – Chłopak pokazał mu krótką metalową rurkę. – Idziemy na dół?

Harry wspomniał ostrzeżenie Alexandry przed darkroomami, pomieszczeniami, gdzie wszystko było dozwolone i wszyscy byli zwierzyną.

– Okej.

Wstali i przeszli przez lokal. Śledziły ich spojrzenia zza masek. Na samym końcu sali twink otworzył drzwi i Harry wkroczył za nim w ciemność wiodącą w dół po stromych wąskich schodach. Już w połowie drogi usłyszał odgłosy. Stękania, jęki i krzyki, a także, po zejściu do samej piwnicy, plaskanie ciała o ciało. Na ścianach paliły się małe niebieskie światełka, w miarę jak oczy przywykały do półmroku, widział szczegóły tego, co się działo dookoła. Mężczyźni uprawiający seks na wszelkie możliwe sposoby: jedni nadzy, drudzy wpółubrani, a jeszcze inni tylko z rozpiętymi rozporkami. Zza drzwi kabin docierały takie same dźwięki. Wzrok Harry’ego skrzyżował się z jakimiś oczami patrzącymi zza złotej maski. Był to potężny, umięśniony mężczyzna, który rytmicznie wsuwał członek w pochyloną nad blatem osobę. Źrenice spoglądające zza maski były wielkie i czarne w szeroko otwartych oczach utkwionych w Harrym, który mimowolnie się cofnął, kiedy mężczyzna odsłonił zęby w uśmiechu drapieżnika. Harry powiódł spojrzeniem dalej. W pomieszczeniu unosił się zapach przyprawiający o mdłości. Coś innego niż mieszanka chloru, seksu i testosteronu. Ostry odór kojarzący się z benzyną. Nie zdołał sobie przypomnieć, co to za zapach, dopóki nie zobaczył, jak nagi mężczyzna otwiera niedużą pękatą butelkę w kolorze jaskrawożółtym i ją wącha. Oczywiście tak pachniał poppers, narkotyk popularny w klubach, do których Harry chadzał w Oslo jako dwudziestokilkulatek. Wtedy nazwano to rush, przypuszczalnie dlatego, że właśnie tym było: trwającym parę sekund nagłym zamroczeniem, podczas którego serce waliło jak dzikie, a zwiększone krążenie krwi na chwilę wzmacniało wszystkie odczucia. Dopiero później dowiedział się, że geje – pasywni – używają tego, by zwiększyć analną rozkosz.

– Cześć – odezwał się mężczyzna w złotej masce. Podsunął się do Harry’ego, kładąc mu rękę na kroczu. Uśmiech drapieżnika stał się jeszcze szerszy. Facet ciężko dyszał Harry’emu w twarz.

– On jest mój – oświadczył twink ostrym tonem, złapał Harry’ego za ramię i pociągnął za sobą.

Harry za plecami usłyszał śmiech tamtego mięśniaka.

– Wszystkie kabiny są zajęte – powiedział chłopak. – Czy...?

– Nie – zaprotestował Harry. – Na osobności.

Twink westchnął.

– Może dalej coś będzie wolne. Chodź.

Minęli otwarte drzwi, z wnętrza dobiegał plusk, jakby odkręconego prysznica. Harry zerknął do środka. W wannie siedziało dwóch mężczyzn z otwartymi ustami, podczas gdy inni, niektórzy w ubraniu, oddawali na nich mocz.

Przeszli przez duży pokój, w którym błyskały światła stroboskopowe, a z głośników leciało przyciszone Control Joy Division. Na środku pomieszczenia wisiała umocowana do sufitu na łańcuchach huśtawka, do której przykuty był mężczyzna. Zdawał się fruwać jak Piotruś Pan, gdy z wygiętym ciałem kołysał się w przód i w tył w kręgu mężczyzn. Wykorzystywali go po kolei jak przekazywanego z ręki do ręki skręta.

Harry i twink dotarli do korytarza z kolejnymi kabinami i znów dźwięki ujawniły, co się dzieje za przesuwnymi drzwiami. Z jednej kabiny wyszło akurat dwóch mężczyzn i twink czym prędzej ją zajął. Harry wszedł za nim, chłopak zamknął drzwi. Pomieszczenie miało dwa metry na dwa. Twink zaczął bez wstępów rozpinać Harry’emu koszulę.

– Może to nie taki głupi pomysł z jakimś małym rakiem, Catman. Bo teraz bardziej z ciebie jock niż misiek.

– Chwileczkę – powiedział Harry.

Odwrócił się tyłem do tamtego i sięgnął do kieszeni marynarki. Kiedy znów stanął przodem, trzymał w rękach portfel i telefon.

– Chciałeś mi sprzedać kokainę, prawda?

Chłopak się uśmiechnął.

– Jeśli zapłacisz tyle, ile to kosztuje.

– No to najpierw dobijmy targu.

– Aha, teraz bardziej przypominasz siebie, Catman. Cokeman. – Ze śmiechem wyjął torebkę z proszkiem.

Harry wziął ją od niego i podał mu portfel.

– No to dostałem już od ciebie kokainę, a teraz ty weź sobie z mojego portfela tyle, ile za nią chcesz.

Chłopak popatrzył na niego podejrzliwie zza maski.

– Strasznie jesteś dzisiaj drobiazgowy. – Otworzył portfel, zajrzał do niego i wyjął dwa banknoty tysiąckoronowe. – Myślę, że na ten raz wystarczy – stwierdził, wrzucił portfel z powrotem do kieszeni marynarki Harry’ego i zaczął rozpinać mu spodnie. – Chcesz, żebym ci possał miśkowego fiuta? To znaczy jock fiuta?

– Nie, dzięki, już dostałem to, co chciałem – odparł Harry i położył wolną rękę z tyłu głowy chłopaka, jakby chciał się z nim pieścić, ale zamiast tego mocnym szarpnięciem zdarł mu maskę.

– Co jest, do cholery? To znaczy... Właściwie tak bardzo mi to nie przeszkadza. – Twink chciał dalej rozpinać Harry’emu spodnie, ale ten go powstrzymał i je zapiął. – Okej, rozumiem, najpierw koka.

– Niezupełnie. – Harry ściągnął beret i maskę.

– Ty... ty masz jasne włosy? – wydusił z siebie zdumiony twink.

– Owszem, a co ważniejsze, jestem policjantem i właśnie nagrałem dźwięk i obraz sytuacji, w której sprzedałeś mi kokainę. Za to grozi nawet dziesięć lat.

W niebieskawym świetle nie dało się zobaczyć, czy chłopak pobladł, więc Harry nie miał pewności, czy jego blef się udał, dopóki nie usłyszał płaczu w głosie tamtego.

– Cholera, wiedziałem, że to nie ty! Inaczej się poruszasz, mówisz dialektem ze wschodnich dzielnic, no i poczułem, że nie masz takiego ciastowatego tyłka jak on. Ale ze mnie idiota! Niech cię szlag trafi. I Catmana!

Twink podszedł do przesuwnych drzwi i chciał już wyjść, ale Harry go zatrzymał.

– I co, aresztujesz mnie? – zapytał chłopak.

Coś w jego tonie i sposobie, w jaki patrzył, kazało Harry’emu zastanowić się, czy tego młodego przypadkiem to nie podnieca.

– Założysz mi kajdanki?

– To nie jest zabawa – Harry wyjął portfelik na karty z wewnętrznej kieszeni marynarki chłopaka – Filipie Kessler.

Filip zakrył twarz dłońmi i zaczął płakać.

– Ale jest pewien sposób na rozwiązanie tej sprawy – dodał Harry.

– Jaki? – spytał chłopak z policzkami mokrymi od łez.

– Wyjdziemy stąd i usiądziemy w jakimś spokojnym miejscu, a ty opowiesz mi wszystko, co wiesz o Catmanie. W porządku?

Terry Våge znów spojrzał na zegarek. Dwudziesta pierwsza trzydzieści sześć. Nikt nie próbował się z nim kontaktować. Jeszcze raz odtworzył w pamięci tamtą rozmowę telefoniczną i stwierdził, że nie pomylił się co do czasu ani miejsca. Podarował facetowi pierwsze pół godziny jako gest, który zwykł dawać sobie. Ale czterdzieści minut to już przesada. Gość nie przyjdzie. To jakiś blef. Może practical joke? Może wśród turystów na dole stoi teraz ktoś i głośno się z niego śmieje? Ze zhańbionego, wzgardzonego dziennikarza oszusta? Może to była kara. Våge mocniej owinął się płaszczem i ruszył w stronę ukośnie opadającego dachu. Do diabła z nimi wszystkimi!

Prim spacerował wśród turystów po marmurowych płytach na poziomie ziemi. Widział, jak Terry Våge przyszedł – rozpoznał go ze zdjęcia przy artykułach sygnowanych jego nazwiskiem i z innych fotografii, które znalazł w sieci. Widział, jak dziennikarz staje przy murku i czeka. Nie zauważył nikogo idącego za Vågem ani też wyglądającego na policjanta, kto stanąłby wcześniej w tym miejscu. Prim krążył dalej między ludźmi, starając się zapamiętać jak najwięcej twarzy, i po półgodzinie stwierdził, że nie widzi już żadnej z tych, które tu były, kiedy się pojawił. Za dwadzieścia dziesiąta zobaczył, że Våge schodzi z dachu. Poddał się. Ale Prim miał już teraz pewność. Terry Våge przyszedł sam.

Prim rozejrzał się po raz ostatni. I ruszył do domu.

36

Środa

– A on co tu robi? – syknął Markus Røed, wskazując na Harry’ego. – Facet, któremu zapłaciłem milion dolarów za to, żeby wsadził mnie do więzienia, w dodatku za niewinność!

– Tak jak już mówiłem – powiedział Krohn. – Jest tu, ponieważ mimo wszystko nie wierzy w twoją winę. Uważa, że byłeś...

– Słyszałem już, co uważa! Ale ja, do jasnej cholery, nie byłem w żadnym... pedalskim klubie!

Ostatnie słowa Røed dosłownie z siebie wypluł. Harry poczuł kropelkę śliny na grzbiecie dłoni, wzruszył ramionami i spojrzał na Krohna. Pomieszczenie, które przydzielono im na rozmowę z adwokatem, było właściwie przeznaczone do wizyt rodzin osadzonych. Miało okno, przez które słońce oświetlało zasłony w różyczki i kratę, stolik z haftowanym obrusem, cztery krzesła i kanapę. Harry unikał kanapy, zauważył, że Krohn postępuje tak samo. Prawdopodobnie on też wiedział, że mebel jest dosłownie zamarynowany w sokach rozpaczliwego pospiesznego seksu.

– Wytłumaczysz mu? – spytał Harry.

– Dobrze – odparł Krohn. – A więc Filip Kessler twierdzi, że dwa wtorkowe wieczory, kiedy zabite zostały Susanne i Bertine, spędził razem z osobą noszącą maskę, którą tu widzisz. – Wskazał maskę kota, leżącą na stoliku obok karty klubowej. – Osoba ta nosiła przezwisko Catman. Jedno i drugie znaleziono w twoim garniturze, Markus, a jej rysopis również do ciebie pasuje.

– Tak? Wspominał o jakichś znakach szczególnych? O tatuażach albo bliznach? Znamionach? Nieregularnościach? – Røed przenosił wzrok z jednego na drugiego.

Harry pokręcił głową.

– Co? – Røed parsknął wściekłym śmiechem. – Nic?

– On nie pamięta takich rzeczy – wyjaśnił Harry. – Ale był pewien, że cię rozpozna, jeśli będzie mógł cię dotknąć.

– O nie! – Røed miał taką minę, jakby miał się zaraz porzygać.

– Markus – ciągnął Krohn spokojnie. – Tu chodzi o alibi. O alibi, dzięki któremu możesz zostać natychmiast stąd zwolniony. I które będziemy mogli wykorzystać do uniewinnienia cię, gdyby mimo wszystko zdecydowano się na wniesienie aktu oskarżenia przeciwko tobie. Rozumiem, że się martwisz, jak ono wpłynie na postrzeganie cię przez ludzi...

– Rozumiesz? – krzyknął Røed. – Rozumiesz?! Nie, do jasnej cholery, nie rozumiesz, jak to jest siedzieć tutaj pod zarzutem zabicia własnej żony! A w dodatku być oskarżonym o takie świństwa! Nigdy wcześniej nie widziałem tej maski. Wiesz, co myślę? Myślę, że Helene zdobyła tę maskę i kartę członkowską od jakiejś cioty podobnej do mnie, żeby wykorzystać to przeciwko mnie podczas sprawy rozwodowej. A jeśli chodzi o tego Filipa, to on nic na mnie nie ma, widzi tylko szansę, żeby zarobić. Dowiedz się więc, ile chce, zapłać mu i dopilnuj, żeby trzymał gębę na kłódkę. To nie jest propozycja, Johan, tylko polecenie. – Głośno kichnął, zanim podjął: – A was obydwu obowiązuje tajemnica, podpisaliście się pod tym w kontraktach. Jeżeli piśniecie komukolwiek chociaż słówko, to was pozwę i zostaniecie z gołymi dupami.

Harry chrząknął.

– Røed, tu nie chodzi o ciebie.

– Że co?

– Po mieście krąży zabójca, który prawdopodobnie znów zaatakuje. Będzie miał ułatwione działanie, jeśli policja pozostanie w przekonaniu, że ma już winnego, czyli ciebie. Zatajając informację o tym, że byłeś w Villi Dante, staniemy się współwinni kolejnego zabójstwa.

– My? Nie sądzisz chyba, że wciąż dla mnie pracujesz, Hole.

– Trzymam się kontraktu i nie uważam sprawy za rozwiązaną.

– Nie? Więc oddawaj moje pieniądze!

– Nie oddam, dopóki trzej prokuratorzy są przekonani, że zostaniesz skazany. Teraz ważne jest, by policja zechciała skupić się na czymś innym. A żeby tak się stało, musimy przedstawić to alibi.

– Przecież mówię, że mnie tam nie było! Do jasnej cholery, nie odpowiadam za to, że policja nie potrafi się wywiązać ze swoich zadań. Jestem niewinny. A oni się

tego dowiedzą w uczciwy sposób, nie za pomocą tych... tych pedalskich kłamstw. Nie ma powodu do paniki i pochopnych działań.

– Ty idioto – powiedział Harry spokojnie, wzdychając, jakby to był smutny fakt, który ot, tak po prostu stwierdzał. – Są wszelkie powody do paniki. – Wstał.

– Dokąd idziesz?

– Powiadomić policję.

– Nie ośmielisz się! – syknął Røed. – Jeśli to zrobisz, urządzę piekło tobie i wszystkim, na których ci zależy. Nie myśl sobie, że nie jestem w stanie tego zrobić. Aha, i jeszcze jedno. Wydaje ci się, że nie mogę wycofać przelewu na Kajmany dwa dni po wydaniu zlecenia bankowi? No to się mylisz.

W Harrym coś pękło. Miał wrażenie, że spada. Postąpił krok w kierunku krzesła Røeda i zanim się zorientował, co robi, już zaciskał ramię na jego szyi. Baron nieruchomości szarpnął się na krześle, złapał rękami przedramię Harry'ego, próbując je odciągnąć, podczas gdy twarz czerwieniała mu coraz mocniej z powodu zablokowanego odpływu krwi.

– Jeśli to zrobisz, to cię zabiję – szepnął Harry. – Za-bi-ję.

– Harry! – Krohn się poderwał.

– Siadaj, zaraz go puszczę! – warknął Harry, wpatrując się w wytrzeszczone, błagalne oczy Røeda.

Røed charczał i kopał, ale Harry przytrzymywał go na krześle. Przycisnął jeszcze mocniej, czując swoją siłę i radość, że jest w stanie wydusić sok z tego antyczłowieka. Tak, radość. I to samo wrażenie swobodnego spadania, które go przepełniało, gdy unosił szklankę z pierwszym drinkiem po miesiącach trzeźwości. Ta radość jednak przemijała. Siła chwytu słabła. Bo również to swobodne spadanie nie dawało innej nagrody niż chwila wolności, a wszystko prowadziło w jednym kierunku. W dół.

Puścił, a Røed z przeciągłym charkotem wciągnął powietrze i pochylił się w gwałtownym ataku kaszlu.

Harry obrócił się do Krohna.

– Ale teraz już zostałem wylany.

Krohn pokiwał głową.

Harry wygładził krawat i wyszedł.

Mikael Bellman stał przy oknie i z tęsknotą patrzył w stronę centrum, gdzie mógł dostrzec zarysy wysokiego budynku w dzielnicy rządowej. Bliżej, w okolicy mostu Gullhaug, widział chwiejące się wierzchołki drzew. Prognozowano, że siła wiatru będzie się wzmagać, a w nocy może nadciągnąć nieduży sztorm. Zapowiadano również coś innego, coś związanego z zaćmieniem Księżyca w piątek, ale podobno jedno z drugim nie miało związku. Podniósł rękę i spojrzał na swój klasyczny zegarek Omega Seamaster. Za minutę druga. Sporą część dnia poświęcił na rozważania nad dylematem, który przedstawił mu komendant okręgowy policji. W zasadzie taka pojedyncza sprawa nie powinna trafiać na biurko ministra sprawiedliwości, ale Bellman uczynił ją swoją, angażując się w nią już wcześniej, więc teraz nie mógł po prostu z niej zrezygnować. Zaklął.

Vivian delikatnie zapukała i otworzyła drzwi. Kiedy ją zatrudniał jako swoją osobistą asystentkę, zrobił to nie tylko dlatego, że miała magisterium z politologii, po dwóch latach spędzonych w Paryżu jako modelka mówiła po francusku i była skłonna robić wszystko – od podawania kawy do przyjmowania gości i przepisywania na czysto jego przemówień. Była piękna. Wiele można powiedzieć o funkcji wyglądu we współczesnym społeczeństwie i wiele zostało już powiedziane. Tak wiele, że jedno nie budziło wątpliwości: wygląd wciąż jest tak ważny, jak zawsze. Sam Bellman był przystojnym mężczyzną i nie miał żadnych złudzeń, że odegrało to ważną rolę w jego karierze. A Vivian mimo kariery modelki nie była od niego wyższa i dlatego mógł ją zawsze zabierać ze sobą na zebrania i kolacje. Miała partnera, lecz Mikael traktował go raczej jako wyzwanie niż wadę. W zasadzie była to zaleta. Zimą planowano wyjazd do paru krajów w Ameryce Południowej, tematem miały być prawa człowieka, innymi słowy, prawdziwy wyjazd wakacyjny. A jak wiadomo, na ministra sprawiedliwości kieruje się mniej reflektorów niż na premiera.

– Komendant okręgowy policji – oznajmiła cicho Vivian.

– Przyślij go do mnie.

– Na Zoomie.

– Tak? Sądziłem, że przyjdzie...

– Owszem, ale właśnie zadzwonił i powiedział, że do Nydalen ma za daleko, bo wypadło mu jakieś kolejne spotkanie w centrum. Przysłał link. Czy mam...

Podeszła do biurka, na którym stał komputer. Szybkie palce, o wiele szybsze niż jego własne, przebiegły po klawiaturze.

– Już. – Uśmiechnęła się. I aby stłumić jego irytację, dodała: – Jest na miejscu i czeka.

– Dziękuję. – Bellman dalej stał przy oknie, dopóki Vivian nie wyszła z pokoju. I jeszcze przez chwilę. Aż w końcu miał dość tej dziecinady i usiadł przy komputerze.

Komendant wyglądał na opalonego, zapewne niedawno wrócił z wakacji gdzieś na południu Europy. Na niewiele się to jednak zdawało, gdy kamera była ustawiona pod tak niekorzystnym kątem, że na ekranie dominował podwójny podbródek komendanta. Zapewne komputer stał bezpośrednio na dużym niskim biurku, które znajdowało się w gabinecie już w czasach, gdy Bellman sam był komendantem okręgowym, zamiast na podwyższeniu z kilku książek.

– W przeciwieństwie do tego, co się dzieje u ciebie, tu u nas prawie nie ma ruchu – powiedział Bellman. – Do domu na Høyenhall docieram w ciągu dwudziestu minut. Powinieneś to wypróbować.

– Przepraszam, Mikael, zostałem nagle wezwany na spotkanie w związku z przyszłotygodniową wizytą na szczeblu państwowym.

– No dobrze, przejdźmy do rzeczy. Tak w ogóle to jesteś sam?

– Zupełnie sam, możesz gadać.

Mikael znów poczuł narastającą irytację. Protekcjonalne użycie imienia i odzywka typu „możesz gadać” powinny być przywilejem ministra sprawiedliwości. Zwłaszcza że sześcioletnia kadencja komendanta wkrótce się kończyła i to już nie komendant główny policji, tylko Rada Państwa pod przewodnictwem króla – czyli w praktyce minister sprawiedliwości – zdecyduje, kto zostanie na stanowisku, a kto nie. A Bellman politycznie miał niewiele do stracenia, wręczając klucze do tego gabinetu Bodil Melling. Po pierwsze, była kobietą, po drugie, znała się na polityce, wiedziała, kto rządzi.

Nabrał powietrza.

– Żebyśmy się dobrze zrozumieli. Chcesz, bym ci doradził, czy macie zwolnić Markusa Røeda z aresztu, czy nie. A ty czujesz, że możecie zrobić i jedno, i drugie.

– No właśnie – podchwycił komendant. – Z jednej strony Hole ma świadka, który twierdzi, że był razem z Røedem w tamte wieczory, kiedy zabito dwie

pierwsze dziewczyny.

– Wiarygodnego świadka?

– Wiarygodnego pod tym względem, że w przeciwieństwie do Helene Røed ten człowiek nie ma żadnego ewidentnego motywu, żeby zapewniać Røedowi alibi. Mniej wiarygodnego, ponieważ, jak mówią w Wydziale Narkotykowym, jest na ich liście osób handlujących w Oslo kokainą.

– Ale nie był skazany?

– To drobny diler. Ktoś, kto zostałby zastąpiony w ciągu jednej nocy.

Bellman pokiwał głową. Tym, nad którymi mieli kontrolę, pozwalali robić to, co robią. Better the devil you know.

– A z drugiej strony? – Spojrzał na swoją omegę. Zegarek był niepraktyczny i niezgrabny, ale wysyłał właściwe sygnały. Akurat w tej chwili sygnał mówił jedynie, że komendant ma się pospieszyć, bo nie tylko on jest zajęty.

– Z drugiej strony Susanne Andersen miała na piersi ślinę Markusa Røeda.

– To dość przytłaczający argument za tym, żeby dalej trzymać Røeda w areszcie, jak sądzę.

– Oczywiście. Rzecz jasna, niewykluczone, że Røed spotkał się z Susanne wcześniej tamtego dnia i uprawiali seks. Nie dało się odtworzyć wszystkich jej ruchów. Ale jeśli tak było, to dziwne, że Røed nie powiedział o tym podczas przesłuchania. Zamiast tego zaprzecza, by doszło do zbliżenia, i twierdzi, że po tej imprezie już jej nie widział.

– Innymi słowy, kłamie.

– Tak.

Bellman zabębnił palcami o blat. Premierzy są wybierani powtórnie tylko wówczas, gdy żniwa były dobre, mówiąc obrazowo. Jego doradcy wielokrotnie podkreślali, że na niego jako ministra sprawiedliwości zawsze spadnie część winy lub chwały za to, co się dzieje niżej w systemie. Bez względu na to, czy błąd popełnili ludzie pozostający na tym samym stanowisku jeszcze za poprzedniego rządu. Gdyby wyborcy poczuli, że taki bogaty uprzywilejowany dupek jak Røed może się łatwo wywinąć, pośrednio i tak uderzyłoby to w Bellmana. Podjął decyzję.

– Ta sperma to więcej niż dość, żeby zatrzymać go w areszcie.

– Ślina.

– Ano tak. I chyba zgodzisz się ze mną, że niedobrze by wyglądało, gdyby to Harry Hole miał dalej decydować, kiedy zatrzymać Røeda, a kiedy go zwolnić.

– Rzeczywiście, masz rację.

– Dobrze. No to chyba tyle mojej rady... – Bellman czekał, aż przypomni mu się imię komendanta, ale z jakiegoś powodu tak się nie stało, a że rytm rozpoczętego zdania wymagał jakiegoś dokończenia, dodał: – ...czy tak?

– Oczywiście, Mikael, bardzo dziękuję.

– To ja dziękuję, komendancie – odpowiedział i przez chwilę walczył z myszą, zanim udało mu się przerwać połączenie. Dopiero wtedy odchylił się na krześle i szepnął: – Odchodzący komendancie.

Prim patrzył na Fredrica Steinera siedzącego na łóżku. Oczy wuja były przejrzyste jak oczy dziecka, ale spojrzenie puste, jakby gdzieś w środku ktoś zaciągnął za nimi zasłonę.

– Wuju – odezwał się Prim. – Słyszysz mnie?

Żadnej reakcji.

Mógł mówić cokolwiek, do wuja i tak nic nie dotrze, czyli że również nic od niego nie wyjdzie, a już na pewno nie w taki sposób, żeby ktoś w to uwierzył.

Zamknął drzwi na korytarz i znów usiadł przy łóżku.

– Już bardzo niedługo umrzesz – powiedział. Napawał się brzmieniem tych słów.

W twarzy wuja nie drgnął żaden mięsień. Mężczyzna wpatrywał się w coś, co widział tylko on i co znajdowało się bardzo daleko.

– Umrzesz, a mnie powinno chyba być trochę przykro. Chodzi mi o to, że... mimo wszystko jestem twoim... – na wszelki wypadek spojrzał jeszcze raz na drzwi – ...twoim biologicznym synem.

Słychać było jedynie wiatr gwiżdżący cicho w rynnie domu opieki.

– Ale nie jest mi przykro. Bo ja cię nienawidzę. Nie tak jak jego, tego, który przejął twoje problemy, przejął mamę i mnie. Nienawidzę cię, bo wiedziałeś, co robi mój ojczym, co ze mną wyprawia. Wiem, że go z tym skonfrontowałeś. Słyszałem was tamtego wieczoru. Słyszałem, jak groziłeś, że wszystko ujawnisz. A on odpowiedział, że wtedy wyda ciebie. Na tym poprzestaliście. Poświęciłeś

mnie dla ratowania własnej skóry. Dla ratowania siebie, mamy i nazwiska rodowego. Tego, co z niego zostało. Sam nie chciałeś go już dłużej nosić.

Prim wsunął rękę do torebki, wyjął herbatnik i rozgryzł go z chrzęstem.

– A teraz umrzesz, bezimienny i samotny. Odejdziesz w zapomnienie i znikniesz. Natomiast ja, owoc twoich lędźwi, twoich grzesznych żądz, ujrzę swoje imię jaśniejące na niebie. Słyszysz, wuju? Czy to nie brzmi poetycko? Wszystko to zapisałem w swoim dzienniku, bo ważne jest, aby dać biografom trochę materiału, nad którym mogą pracować, nieprawdaż?

Wstał.

– Wątpię w to, abym jeszcze tu wrócił, więc to jest pożegnanie, wuju. Szczęśliwej drogi! – Podszedł do drzwi i jeszcze się odwrócił. – Oczywiście mam na myśli drogę do piekła.

Prim zamknął za sobą drzwi, uśmiechnął się do przechodzącej pielęgniarki i wyszedł z domu opieki.

Pielęgniarka weszła do pokoju starego profesora. Siedział na brzegu łóżka, z twarzą bez wyrazu, ale po policzkach spływały mu łzy. Tak to już było ze starcami, nie kontrolowali emocji, zwłaszcza ci z demencją. Pociągnęła nosem. Czyżby narobił pod siebie? Nie, to tylko powietrze w tym pokoju było duszne, przesycone zapachem ludzkich ciał i... piżma?

Otworzyła okno, żeby wywietrzyć.

Była ósma wieczorem. Terry Våge wsłuchiwał się w metaliczne jęki dochodzące z podwórza, na którym wzmagający się wiatr obracał stojakiem do suszenia bielizny. Powtórnie uruchomił swój blog kryminalny. Tyle było do opisania. A mimo to dalej siedział wpatrzony w biały pusty ekran.

Zadzwonił telefon.

Może to Dagnija? Pokłócili się wczoraj, powiedziała, że nie przyjedzie na weekend. Teraz pewnie żałowała, jak zwykle. Miał nadzieję, że to ona.

Spojrzał na telefon. Nieznany numer. Jeżeli to ten blefiarz z wczoraj, to nie powinien odbierać. Szaleńców, którym raz czy drugi umożliwiło się dostęp, nie można się później pozbyć. Kiedyś – po tym, jak zgodnie z prawdą napisał, że War on Drugs to najnudniejszy zespół świata, zarówno na płytach, jak i na scenie –

okazał się na tyle głupi, by odpowiedzieć jakiemuś wkurzonemu fanowi. Skończyło się tak, że ten nudziarz kontaktował się z nim przez telefon i mailowo, nawet podchodził do niego na koncertach, a odczepił się dopiero po dwóch latach ignorowania go.

Telefon dzwonił dalej.

Terry Våge znów popatrzył na pusty ekran. Potem odebrał.

– Tak?

– Dziękuję, że wczoraj przyszedłeś sam i czekałeś na dachu aż do za dwadzieścia dziesiąta.

– Więc... byłeś tam?

– Obserwowałem. Rozumiesz, mam nadzieję, że musiałem się upewnić, czy nie próbujesz mnie oszukać.

Våge się zawahał.

– No tak, w porządku. Tylko nie mam już czasu na takie zabawy w chowanego.

– Ależ masz, masz. – Usłyszał lekki śmiech. – No ale możesz rzucić tę zabawę, Våge. Właściwie masz rzucić... wszystko, co trzymasz w rękach.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Masz się stawić jak najszybciej na końcu drogi, która nazywa się Toppåsveien, na wzgórze Kolsås. Zadzwonię do ciebie znowu, nie powiem ci kiedy. Może za dwie minuty. Jeśli usłyszę, że telefon jest zajęty, to będzie nasz ostatni kontakt. Jasne?

Våge z wysiłkiem przełknął ślinę.

– Tak. – Rozumiał. Rozumiał, że ma to uniemożliwić mu kontakt z kimkolwiek. Na przykład z policją. Rozumiał, że nie ma do czynienia z wariatem. Z szaleńcem, owszem, ale nie z wariatem.

– Weź ze sobą latarkę i aparat fotograficzny. I broń, jeśli nie czujesz się bezpieczny. Znajdziesz twarde, niepodważalne dowody na to, że rozmawiałeś z zabójcą. I będziesz miał wolną rękę, żeby o tym napisać. Także o tej rozmowie, którą teraz odbyliśmy. Bo tym razem chcemy, żeby ci uwierzono, prawda?

– Co mam... – Ale tamten już się rozłączył.

Harry leżał w łóżku Alexandry, jego bose stopy wystawały nieco poza krawędź.

Alexandra, naga tak samo jak on, leżała w poprzek, z głową na jego brzuchu.

Kochali się tamtej nocy po powrocie z Jealousy, a teraz znów. Tym razem było lepiej.

Harry myślał o Markusie Røedzie. O lęku i nienawiści w jego oczach, kiedy nie mógł złapać tchu. Lęk był większy. Ale czy trwał dalej, kiedy Markus mógł znów oddychać? Jeśli tak – jeśli Røed nie odwołał przelewu – to powinni już uwolnić Lucille. Ponieważ przykazano, że Harry ma jej nie szukać ani się z nią nie kontaktować, dopóki dług nie zostanie spłacony, postanowił zaczekać jeszcze parę dni, zanim zadzwoni pod jej numer. Ona nie miała jego numeru ani żadnej innej informacji o miejscu jego pobytu, więc nic dziwnego, że się nie odzywała. Szukał jej nazwiska, Lucille Owens, w internecie i w „Los Angeles Times”, ale wyskakiwały jedynie stare artykuły o filmowej wersji Romea i Julii. Ani słowa o tym, żeby ktoś zgłosił jej zaginięcie albo porwanie. Wtedy uświadomił sobie, co ich połączyło, co ich ze sobą związało. Wcale nie wspólne zagrożenie z zewnątrz po wydarzeniach na parkingu. Ani też to, że widział w Lucille własną matkę, że to ona była kobietą w drzwiach klasy, czy też matką leżącą w szpitalnym łóżku, na której uratowanie pojawiła się nowa szansa. Tym czymś była samotność. Oboje mogli zniknąć z powierzchni ziemi i nikt by tego nie zauważył.

Alexandra podała mu papierosa, którego palili wspólnie. Harry zaciągnął się i zapatrzył w dym unoszący się pod sufit, podczas gdy głos Leonarda Cohena, proste trącanie strun palcami i słowa Hey, That’s No Way to Say Goodbye płynęły z małego głośnika marki Geneva na nocnym stoliku.

– Brzmi tak, jakby śpiewał o nas – stwierdziła Alexandra.

– Mhm. O kochankach, którzy się rozstają?

– Tak. I to, że mają nie rozmawiać o miłości i więzach.

Harry nie odpowiedział. Dalej trzymał papierosa wpatrzony w dym, ale czuł, że ona ciągle leży zwrócona do niego twarzą.

– To niewłaściwa kolejność – powiedział.

– Niewłaściwa, ponieważ kiedy się spotkaliśmy, w twoim życiu już była Rakel?

– Miałem na myśli coś, co powiedziała mi kiedyś pewna kobieta. Że jesteśmy oszukiwani, gdy poeta zmienia kolejność zdań. – Jeszcze raz zaciągnął się dymem. – Ale pewnie co do Rakel też masz rację.

Po chwili poczuł, że brzuch ma mokry od jej łez. Sam miał ochotę się rozpłakać.

Okno zatrzeszczało, jakby to, co było na zewnątrz, chciało się do nich przedostać.

37

Środa. Odblaski

Toppåsveien, czyli „droga na szczyt wzgórza”, nie za bardzo czyniła zadość swojej nazwie. Wiła się między willami spory kawałek pod górę, ale do szczytu wzgórza wciąż jeszcze było daleko, kiedy się skończyła. Terry Våge zaparkował na poboczu. Ponad nim wznosił się las. W mroku dostrzegał wyżej coś jaśniejszego, wiedział, że to strome skalne ściany, po których łażą wspinacze i inni wariaci.

Ścisnął w palcach pochwę fińskiego noża, spojrzał na latarkę i aparat fotograficzny Nikon, które położył na siedzeniu obok siebie. Mijały sekundy. Minuty. Patrzył na światełka w dole. Gdzieś tam była szkoła średnia Rosenvilde. Wiedział to, ponieważ tam chodziła Genie, kiedy ją odkrył. Bo to on, Terry Våge, dokonał tego odkrycia, wykorzystał swoje wpływy recenzenta muzycznego, żeby wyciągnąć ją i jej składający się z beztalenci zespół z podziemia ku światłu, do mainstreamu, na rynek. Genie miała wtedy osiemnaście lat i chodziła do tej szkoły, a on wybrał się tam, bo był ciekaw, jak wygląda w otoczeniu szkolnym. Czy coś w tym złego? Po prostu wystawał przy podwórzu, żeby chociaż przez moment zobaczyć gwiazdę, którą sam stworzył. Nie robił nawet zdjęć, chociaż mógł bez trudu. Jego teleobiektyw uwieczniłby inną Genie niż artystka, która na scenie odgrywała rolę niebezpiecznej uwodzicielki. Zdjęcia pokazałyby niewinność, dziewczynkę. Ale takie wałęsanie się w pobliżu szkolnego podwórza mogło zostać źle zrozumiane, gdyby go zauważono, więc po dwóch razach dał sobie spokój i wolał kontaktować się z nią na koncertach.

Miał właśnie spojrzeć na zegarek, kiedy zadzwonił telefon.

– Tak?

– Widzę, że jesteś na miejscu.

Våge się rozejrzał. Jego samochód jako jedyny parkował przy drodze. A ludzi dostrzegłby w świetle latarni. Czy ten gość obserwował go gdzieś z lasu? Dziennikarz mocniej ścisnął w dłoni rękojeść noża.

– Weź latarkę, aparat i idź leśną drogą za szlabanem. Patrz w lewo. Po stu metrach zobaczysz znak namalowany odblaskową farbą na pniu drzewa. Tam wejdź w las i idź dalej za odblaskami. Jasne?

– Jasne – odparł Våge.

– Zorientujesz się, kiedy dotrzesz na miejsce. Na zrobienie zdjęć będziesz miał dwie minuty. Potem zawrócisz, wsiądziesz do samochodu i pojedziesz prosto do domu. Jeśli nie odejdziesz po stu dwudziestu sekundach, zjawię się i cię dopadnę. To też rozumiesz?

– Tak.

– No to przyszła pora zbiorów, Våge. Pospiesz się.

Połączenie zostało przerwane. Terry Våge nabrał powietrza i nagle coś sobie uświadomił. Że ciągle może przekręcić kluczyk w stacyjce i stąd spieprzyć. Potem iść na piwo do Stopp Pressen. Opowiedzieć tym, którzy będą chcieli go słuchać, że rozmawiał przez telefon z seryjnym mordercą i umówili się na coś w rodzaju randki, ale Terry w ostatniej chwili spanikował.

Usłyszał własny szczekliwy śmiech, chwycił aparat, latarkę i wysiadł z auta.

Być może wzgórze dawało ochronę przed wiatrem, w każdym razie znacznie mniej tu wiało niż na niższej wysokości i w centrum. Leśną drogę dostrzegł w odległości zaledwie kilku metrów od miejsca, gdzie kończył się asfalt. Minął szlaban, ostatni raz odwrócił się w stronę światła latarni, po czym zapalił latarkę i zanurzył się w ciemność. Wiatr szumiał w koronach drzew, a żwir chrzęścił pod butami, kiedy Våge liczył kroki i świecił to na drogę, to na pnie drzew po lewej stronie. Doszedł do stu pięciu, gdy ujrzał pierwszą plamę odblaskowej farby lśniącą w świetle latarki. Drugą plamę wypatrzył głębiej w lesie.

Znów dotknął pochwy noża w kieszeni kurtki, po czym przerzucił zawieszony na pasku aparat z ramienia na plecy, przeskoczył przez rów i wszedł między drzewa. To był las sosnowy, drzewa rosły tu na tyle rzadko, że mógł swobodnie między nimi przechodzić i nawet cokolwiek widzieć. Znaki zostawiono na wysokości oczu w odległości od pięciu do dziesięciu metrów między jednym a drugim. Teren stopniowo stawał się coraz bardziej stromy. W jednym miejscu Våge musiał się zatrzymać, żeby wyrównać oddech, i mocno potarł palcem farbę na pniu. Spojrzał na palec. Świeża. Stał na dywanie sosnowych igieł, w kępie potężnych drzew. Szum ich koron wydawał się daleki, ale trzaski i zgrzyty ledwie widocznie

kołyszących się pni sprawiały wrażenie tym bliższych. Dźwięki dochodziły ze wszystkich stron, jakby trwała jakaś rozmowa, jakby drzewa dyskutowały między sobą, co mają począć z tym nocnym gościem.

Våge szedł dalej.

Las zgęstniał. Zmniejszyła się widoczność, a także odległości między znakami. Teraz było już tak stromo i nierówno, że liczenie kroków straciło sens.

Nagle znalazł się na zupełnie płaskim terenie, a las się otworzył. Latarka oświetliła niewielką polanę, światło musiało szukać dłużej, nim odnalazło następny ślad farby. Tym razem nie była to tylko plama, namalowano X. Podszedł bliżej. Nie, to był krzyż. Na środku polany Våge znów uniósł latarkę. Za krzyżem nie dostrzegł już więcej odblaskowych znaków. Dotarł do końca drogi. Wstrzymał oddech. Rozległ się odgłos, taki jak przy uderzeniu patykiem o patyk, ale niczego nie było widać.

Nieoczekiwanie, jakby chcąc mu pomóc, księżyc wyłonił się zza pędzących po niebie chmur i spowił polanę żółtą miękką poświatą. Wtedy Våge to zobaczył.

I zadrżał. Pierwszym skojarzeniem była stara piosenka Billie Holiday Strange Fruit. Bo właśnie niczym dziwne owoce wyglądały te dwie ludzkie głowy zwisające z gałęzi brzozy. Długie włosy powiewały na wietrze, a gdy czaszki uderzały o siebie, rozlegał się głuchy stukot.

Natychmiast pomyślał, że to muszą być głowy Bertine Bertilsen i Helene Røed. Nie dlatego, by poznał ich zastygłe rysy, lecz dlatego, że jedna była brunetką, a druga blondynką.

Puls mu przyspieszył, gdy przerzucił aparat do przodu i znów zaczął liczyć. Tym razem nie kroki, lecz sekundy. Uruchamiał migawkę raz po raz, lampa błyskała, również gdy księżyc skrył się z powrotem za chmury. Doliczył do pięćdziesięciu, podszedł bliżej, zmienił ostrość i dalej robił zdjęcia. Był bardziej podniecony niż przerażony. Nie myślał już o tych dwóch głowach jak o ludzkich ciałach, jeszcze nie tak dawno żywych, lecz jak o dowodach. Dowodach na to, że Markus Røed jest niewinny. Dowodach na to, że on, Terry Våge, nie zmyśla, tylko naprawdę rozmawiał z zabójcą. Dowodach na to, że jest najlepszym dziennikarzem kryminalnym w Norwegii, człowiekiem zasługującym na szacunek wszystkich – rodziny, Solstada, Genie i jej śmieciowego bandu. I co najważniejsze, na szacunek i podziw Mony Daa. Po wylocie z pracy wyparł myśl o tym, jak nisko musiał upaść

w jej oczach. Ale teraz wszystko się odwróciło, everybody loves a comeback kid. Już nie mógł się doczekać ich ponownego spotkania. Dosłownie, nie mógł czekać. Sam musi do tego doprowadzić. I obiecał sobie, że stanie się to, jak tylko Dagnija wróci na Łotwę.

Dziewięćdziesiąt. Zostało mu trzydzieści sekund.

„Zjawię się i cię dopadnę”.

Jak troll z baśni.

Våge opuścił aparat i zaczął filmować telefonem. Obrócił obiektyw w swoją stronę, aby mieć dowód, że był tutaj i zrobił te zdjęcia.

„Przyszła pora zbiorów”, tak powiedział ten facet. Czy to dlatego Vågemu na widok głów zawieszonych na drzewie nasunęła się piosenka Billie Holiday? Przecież ten utwór mówił o linczu na czarnych w USA, a nie o... czymś takim. Czy przez zbiory tamten rozumiał, że Våge może zabrać głowy? Zrobił krok w stronę brzozy. Zatrzymał się. Czyżby oszalał? To przecież trofea zabójcy. Poza tym czas mijał. Våge przełożył aparat na plecy i podniósł ręce, aby pokazać ewentualnemu obserwującemu go spojrzeniu gdzieś w lesie, że skończył i już odchodzi.

Powrót był trudniejszy, ponieważ nie miał plam odblaskowej farby, którymi mógł się kierować, i chociaż starał się spieszyć, trafienie na leśną drogę zajęło mu prawie dwadzieścia minut. Kiedy już siedział w samochodzie i przekręcił kluczyk, coś sobie uświadomił.

Chociaż nie zabrał głów, powinien był coś wziąć przynajmniej z jednej z nich. Włos. Teraz miał tylko zdjęcia dwóch głów, co do których nawet on – mimo iż obejrzał niezliczone fotografie Bertine Bertilsen, a także kilka fotek Helene Røed – nie mógł na sto procent stwierdzić, czy to te kobiety. Ani czy to naprawdę ludzkie głowy. Niech to szlag! Gdyby nie to, że musiał trochę pozmyślać, kiedy Truls Berntsen go zawiódł, a oni się zorientowali, oczywiście uwierzyliby w tak solidne dowody w postaci zdjęć. Teraz ryzykował zarzut kolejnego blefu, a wtedy już z całą pewnością byłby skończony. Czy powinien natychmiast zawiadomić policję? Zdążą przyjechać, zanim morderca ucieknie?

Prowadząc auto w dół Toppåsveien, przypomniał sobie jeszcze coś, co powiedział tamten: „Potem zawrócisz, wsiądziesz do samochodu i pojedziesz prosto do domu”.

Martwił się, że Våge na niego zaczeka. Dlaczego? Może z tego miejsca wiodła tylko ta jedna droga?

Zwolnił i zaczął szukać w telefonie. Patrzył na drogę, a w tym czasie wyświetliła się mapa, którą oglądał, jadąc tu. Przyjrzawszy się jej, doszedł do wniosku, że jeśli ten gość przyjechał samochodem, to mógł zostawić auto tylko przy dwóch drogach. Våge przejechał całą Toppåsveien i popatrzył w górę tej drugiej, kończącej się tam, gdzie zaczynała się droga leśna. Na żadnej nie było zaparkowanych aut. Okej, może więc od głównej szosy przeszedł piechotą aż na samą górę. Przyświecając sobie latarką, maszerował przez spokojną dzielnicę willową, czując na sobie spojrzenia mieszkańców i niosąc w plecaku dwie głowy oraz puszkę z farbą? Może. A może nie.

Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w mapę. Dotarcie do szczytu i do głównej drogi na tyłach wzgórza wydawało się stromym i trudnym podejściem. Na mapie nie zaznaczono też żadnych ścieżek. Ale zaznaczono urwiste skały, a także ścieżkę u ich stóp. I tam, bardziej na zachód, biegła droga prowadząca do osiedla i boiska piłkarskiego. Stamtąd można było przejechać obok centrum handlowego Kolsås do głównej drogi, nawet się nie zbliżając do Toppåsveien. Dziennikarz się zastanowił.

Jeśli ten facet był w lesie, Våge na jego miejscu bez najmniejszych wątpliwości wybrałby właśnie taką trasę powrotną.

Harry gwałtownie się ocknął. Wcale nie zamierzał spać, ale zasnął. Czy obudził go jakiś dźwięk? Może coś, co podmuch wiatru przewrócił na podwórzu? Albo jakiś sen? Koszmar, z którego usiłował się wydostać? Obrócił się i w półmroku dostrzegł tył głowy. Czarne włosy rozsypane na białej poduszce. Rakel. Poruszyła się. Może obudził ją ten sam odgłos, a może wyczuła, że on już nie śpi. Często tak bywało.

– Harry – mruknęła sennie.

– Mhm.

Odwróciła się w jego stronę. Pogłaskał ją po włosach.

Wyciągnęła rękę do nocnej lampki.

– Niech będzie ciemno – szepnął.

– Dobrze. Czy mam...

– Cicho. Tylko chwilę. Kilka sekund.

W milczeniu leżeli po ciemku, a on wodził dłonią po jej szyi, barku i włosach.

– Udajesz, że jestem Rakel – powiedziała.

Milczał.

– Wiesz... – Pogładziła go po policzku. – To w porządku.

Uśmiechnął się. Pocałował ją w czoło.

– Dziękuję, Alexandro. Już skończyłem. Papierosa?

Sięgnęła na nocną szafkę. Zwykle paliła inne, ale dziś kupiła paczkę cameli, bo on kiedyś je palił, a ona do swojej marki nie była aż tak przywiązana. Na nocnej szafce coś się zaświeciło. Alexandra podała mu telefon, Harry spojrzał na wyświetlacz.

– Przepraszam, muszę odebrać.

Uśmiechnęła się ze znużeniem i zapaliła zapalniczkę.

– Harry, ty nigdy nie masz telefonów, których nie musisz odebrać. Powinieneś spróbować, czasami to bardzo przyjemne.

– Krohn?

– Dobry wieczór, Harry. Chodzi o Røeda.

– Tak przypuszczałem.

– Chce zmienić wyjaśnienia.

– Czyżby?

– Twierdzi teraz, że tamtego dnia wcześniej spotkał się potajemnie z Susanne Andersen w swoim drugim mieszkaniu, tym na Thomas Heftyes gate. Uprawiali seks, a on całował jej piersi. Wcześniej nie chciał o tym wspominać głównie z obawy, że to go powiąże z zabójstwem, ale przede wszystkim chciał to ukryć przed żoną. Mówi, że ponieważ złożył fałszywe zeznania, co odkryto, wystraszył się, że jeśli je zmieni, będzie to wyglądać jeszcze bardziej podejrzanie. Poza tym nie ma żadnych świadków ani dowodów na to, że Susanne go odwiedziła. Dlatego tak idiotycznie obstawał przy tym, że się z nią nie widział, czekając, aż ty albo policja znajdziecie winnego lub inne dowody, które go oczyszczą. Tak twierdzi.

– Mhm. Pobyt w pudle tak go zmiękczył?

– Moim zdaniem ty to zrobiłeś. Sądzę, że to duszenie go otrzeźwiło. Dotarło do niego, że istnieje coś, co nazywa się kara. No i widzi, że w sprawie nic się nie dzieje, a on nie wytrzyma czterech tygodni w areszcie.

– Czterech tygodni bez kokainy? To chcesz powiedzieć?

Krohn się nie odezwał.

– A co Røed mówi o Villi Dante?

– Ciągle zaprzecza.

– Okej – rzucił Harry. – Policja go nie wypuści. Nie ma żadnych świadków, a zmienianie wyjaśnień rzeczywiście sprawia, że on wygląda jak robak, który próbuje uciec z haczyka.

– Zgadzam się – potwierdził Krohn. – Chciałem tylko, żebyś znał aktualną sytuację.

– Wierzysz mu?

– Czy to ważne?

– Ja też mu nie wierzę. Ale na razie nieźle kłamie. Dzięki za telefon.

Rozłączyli się. Harry, leżąc z komórką w ręku, wpatrywał się w mrok i usiłował dopasować kawałki układanki. Bo one pasowały, zawsze pasowały. Więc to nie z układanką i jej kawałkami było coś nie tak, tylko z nim.

– Co robisz? – spytała Alexandra, zaciągając się papierosem.

– Próbuję coś zobaczyć, ale jest cholernie ciemno.

– Nic nie widzisz?

– Owszem, coś widzę, ale nie wiem, co to jest.

– Sztuczka z patrzeniem po ciemku polega na patrzeniu na daną rzecz nie wprost, tylko trochę z boku. Wtedy naprawdę łatwiej ją zobaczyć.

– Owszem, i tak robię. Ale mam wrażenie, że ta rzecz znajduje się właśnie tam.

– Z boku?

– Tak. Jakby ta osoba, której szukamy, była w naszym polu widzenia. Zobaczyliśmy mordercę, nie mając świadomości, że to on.

– Jak to wyjaśnisz?

– W tej kwestii – odparł z westchnieniem – nie mam żadnej wiedzy i nawet nie będę próbował tego tłumaczyć.

– Coś, co po prostu wiesz?

– W tym nie ma nic z mistyki. To zwyczajnie coś, co nasz mózg stwierdza, łącząc ze sobą posiadane informacje, ale nie informuje nas o tym szczegółowo. Przedstawia jedynie konkluzję.

– Tak – powiedziała cicho, zaciągając się dymem i podając mu papierosa. – Ja też wiem, że to Bjørn Holm zabił Rakel.

Papieros wypadł mu z ręki na kołdrę. Harry szybko go złapał i wsunął do ust.

– Wiesz? – spytał.

– Tak. I nie. Tak jak mówiłeś, to informacje, które mózg łączy ze sobą, chociaż wcale się o to nie starasz ani nawet tego nie chcesz. I nagle pojawia się odpowiedź. Ale jest tylko wynik, nie ma całego liczenia po drodze, więc musisz, rachując, cofnąć się, żeby się przekonać, co twój mózg wysnuł, kiedy myślałeś o czymś innym.

– A co wysnuł twój mózg?

– Że kiedy Bjørn dowiedział się, że to ty jesteś ojcem dziecka, które uważał za swoje, musiał się zemścić. Zabił Rakel i pozwolił, by dowody wskazywały na ciebie. Powiedziałeś, że to ty zabiłeś Rakel. Ponieważ czujesz, że to była twoja wina.

– To była moja wina. Jest.

– Bjørn Holm chciał, żebyś czuł taki sam ból jak on, prawda? Żebyś stracił kogoś, kogo kochasz najmocniej. I żebyś miał poczucie winy. Czasami myślę o tym, jak strasznie musieliście być samotni. Dwaj przyjaciele, którzy nie mają przyjaciół. Rozdzieleni przez... przez coś, co się po prostu wydarzyło. I straciliście też kobiety, które kochaliście.

– Mhm.

– Jak bardzo to bolało?

– Bolało. – Harry desperacko ssał papierosa. – Zamierzałem zrobić to samo co on.

– Odebrać sobie życie?

– Nazwałbym to raczej zakończeniem własnego życia. Nie było go za dużo do odebrania.

Alexandra wzięła od niego papierosa. Dopalił się prawie do samego filtra. Zgasiła go w popielniczce i przysunęła się do Harry’ego.

– Jeśli chcesz, mogę jeszcze trochę pobyć Rakel.

Terry Våge usiłował się odciąć od irytującego dźwięku linki do flagi, która na wietrze nieustannie strzelała o maszt. Zaparkował samochód na parkingu przed skromnym centrum handlowym Kolsås. Centrum było zamknięte, stało tam więc niewiele samochodów, ale dostatecznie dużo, żeby jego auto nie zwracało uwagi nielicznych kierowców, którzy nadjeżdżali drogą od strony osiedla. Tkwił tam już od półtorej godziny i naliczył czterdzieści pojazdów. Nie używał lampy błyskowej, tylko fotografował auta, kiedy wjeżdżały w krąg światła latarni w odległości zaledwie czterdziestu–pięćdziesięciu metrów od niego. Zdjęcia były dostatecznie ostre, by dało się odczytać tablice rejestracyjne. Teraz minęło już blisko dziesięć minut, a nie przejechał żaden samochód. Było późno, przy tej pogodzie ludzie pewnie siedzieli w domach, jeśli tylko mogli. Våge wsłuchał się w odgłos linki i zdecydował, że czeka już dostatecznie długo. Poza tym musiał opublikować zdjęcia.

Miał trochę czasu na zastanowienie się, jak to zrobi. Gdyby wykorzystał własny blog, oczywiście bardzo by go dzięki temu ożywił. Lecz jeśli blog miał nie tylko zmartwychwstać, lecz również zacząć hulać, potrzebował pomocy większego medium.

Uśmiechnął się na myśl o Solstadzie, któremu poranna kawa stanie w gardle.

W końcu przekręcił kluczyk w stacyjce, otworzył schowek, wyjął starą podrapaną płytę CD, której nie słuchał od dawna, i wepchnął ją do wiekowego odtwarzacza. Podkręcił głośność fantastycznego nosowego głosu Genie i wcisnął pedał gazu.

Mona Daa wierzyła własnym uszom. Nie wierzyła człowiekowi, który opowiedział jej tę historię. Ale wierzyła też własnym oczom. Dlatego teraz zaczynała zmieniać zdanie w kwestii opowieści Terry’ego Våge. Kiedy zadzwonił, odebrała właściwie niechcący, żeby się uwolnić od kolejnego pretensjonalnego monologu Isabel May w telewizyjnym serialu 1883, opuścić Andersa i przejść do sypialni. Życiowe mądrości May nie irytowały wcale mniej przez to, że Anders wydawał się nią zauroczony.

Ale teraz o tym wszystkim zapomniała.

Wpatrywała się w zdjęcia, które Våge przesłał jej na potwierdzenie swojej opowieści i propozycji. Użył lampy błyskowej, więc chociaż było ciemno, a głowy

poruszały się na wietrze, fotografie wyszły bardzo ostre.

– Wysłałem ci też wideo, żebyś zobaczyła, że naprawdę tam byłem – powiedział.

Odtworzyła filmik i nie miała już wątpliwości. Nawet Terry Våge nie był szaleńcem do tego stopnia, by zaaranżować takie oszustwo.

– Musisz zadzwonić na policję – stwierdziła.

– Już to zrobiłem – odparł Våge. – Jadą tam. Znajdą te plamy odblaskowej farby, wątpię, żeby on tracił czas na ich usunięcie. Z tego, co wiem, głowy też tam zostawił. Bez względu na to, co zastaną, z całą pewnością ogłoszą nowinę, a to oznacza, że macie mało czasu na podjęcie decyzji, czy bierzecie ten materiał.

– A cena?

– O tym pogadam z twoją naczelną. Tak jak mówiłem, wolno wam wykorzystać jedynie zdjęcie, które oznaczyłem jako trochę nieostre, a odniesienie do mojego bloga musi się znajdować w pierwszym zdaniu zaraz po leadzie. Macie też wyraźnie napisać, że na blogu jest więcej zdjęć i filmik wideo. W porządku? Aha, i jeszcze jedno. Artykuł, to znaczy ten o sprawie, ma oczywiście być podpisany tylko i wyłącznie przez ciebie, Mona. Ja tu jestem osobą postronną.

Znów spojrzała na zdjęcia i aż zadrżała. Nie z powodu tego, co zobaczyła, tylko sposobu, w jaki wypowiedział jej imię. Połowa jej miała ochotę wrzasnąć „nie!” i się rozłączyć. Ale tak czuła ta połowa, która nie była w pracy. Nie mogła nic nie robić. Koniec końców to również nie ona musiała podjąć decyzję. Całe szczęście, że są jeszcze redaktorzy.

Przełknęła ślinę.

– Dobrze.

– No to świetnie. Poproś, żeby twoja szefowa zadzwoniła do mnie w ciągu pięciu minut, w porządku?

– W porządku.

Mona rozłączyła się i wybrała numer Julii. Czekając, aż szefowa odbierze, poczuła, jak mocno bije jej serce i jak kilka zwykłych słów odzywa się echem. „Podpisany tylko i wyłącznie przez ciebie, Mona”.

38

Czwartek

Alexandra przesuwała szkło powiększające milimetr po milimetrze wokół głowy Helene Røed. Zajmowała się tym, odkąd rano przyszła do pracy, a zbliżała się już pora lunchu.

– Alex, możesz tu podejść na chwilę?

Zrobiła sobie przerwę w polowaniu na ślady i przeszła na drugi koniec stołu, gdzie Helge badał głowę Bertine Bertilsen. Nikomu innemu nie pozwoliłaby skracać swojego imienia do formy męskiej, może dlatego, że właśnie w ustach Helgego brzmiało to tak naturalnie, prawie czule, jakby była jego siostrą.

– Co jest?

– To. – Helge zsunął gnijącą dolną wargę Bertine i przyłożył szkło powiększające do zębów w dolnej szczęce. – Tutaj. Wygląda na naskórek.

Alexandra nachyliła się niżej. Gołym okiem nie dało się tego zobaczyć, ale pod szkłem powiększającym nie budziło żadnych wątpliwości. Spomiędzy dwóch zębów wystawał biały wyschnięty płatek.

– O Boże, Helge! – powiedziała. – To jest naskórek.

***

Była za minutę dwunasta. Katrine spojrzała na zebranych w dużej sali konferencyjnej i stwierdziła, że prasa stawiła się równie licznie, jak poprzednio. Zobaczyła, że Terry Våge siedzi obok Mony Daa. Nic dziwnego, zważywszy na sensację, jaką Våge zafundował „VG”. Mimo to Mona Daa sprawiała wrażenie, jakby nie czuła się najlepiej. Katrine przesunęła wzrok na tył pomieszczenia i zauważyła mężczyznę, którego wcześniej nie widziała. Przypuszczała, że jest wysłannikiem jakiegoś tygodnika parafialnego albo gazety chrześcijańskiej, ponieważ nosił koloratkę. Siedział dziwnie wyprostowany i patrzył wprost na nią,

jak spięty, uważny uczeń. Cały czas się uśmiechał i w ogóle nie mrugał niczym lalka brzuchomówcy. Na samym końcu oparty o ścianę i z rękami założonymi na piersi stał Harry. Konferencja prasowa się zaczęła.

Kedzierski zrelacjonował, co się wydarzyło: policja, poinformowana przez dziennikarza Terry'ego Våge, pojechała na wzgórze Kolsås, gdzie znaleziono głowy Bertine Bertilsen i Helene Røed. Mówił, że Våge złożył zeznanie oraz że aktualnie policja nie zamierza ścigać dziennikarza za jego udział w sprawie. Oczywiście nie można wykluczyć, że przy zabójstwach współpracowały ze sobą dwie osoby lub więcej, lecz w obecnej sytuacji Markus Røed zostanie zwolniony z aresztu.

Później niczym echo nocnej wichury nastąpił sztorm pytań.

Bodil Melling siedziała na podium, bo zamierzała wziąć na siebie pytania o bardziej ogólnym charakterze. A także, jak wcześniej poinstruowała Katrine, ewentualne pytania dotyczące Harry'ego Hole.

„Prawdę mówiąc, uważam, że najlepiej będzie, jeśli w ogóle nie wspomnisz o Holem", oświadczyła szefowa. Nie należało też wspominać o nowym alibi Røeda – o tym, że w chwili gdy popełniano dwa zabójstwa, przebywał w klubie dla mężczyzn – ponieważ sposób, w jaki uzyskano tę informację, budził poważne wątpliwości.

Pierwsze pytania dotyczyły znalezienia głów. Katrine odpowiadała zwyczajowymi sformułowaniami, że nie mogą albo nie chcą komentować.

– Czy to oznacza, że również na miejscu zbrodni nie odkryliście żadnych innych śladów kryminalistycznych?

– Mówiłam już, że tego nie możemy komentować – odparła Katrine. – Sądzę jednak, że śmiało możemy stwierdzić, iż Kolsås nie jest miejscem zbrodni.

Niektórzy z bardziej doświadczonych reporterów kryminalnych zaśmiali się pod nosem.

Po kilku kolejnych pytaniach o charakterze bardziej technicznym padło wreszcie pierwsze trudne pytanie:

– Czy policja czuje się co najmniej niezręcznie, biorąc pod uwagę, że musi zwolnić Markusa Røeda już cztery dni po jego tymczasowym aresztowaniu?

Katrine spojrzała na Bodil Melling, która skinieniem głowy dała jej znać, że bierze odpowiedź na siebie.

– Policja prowadzi śledztwo w tej sprawie tak jak w każdej innej, z wykorzystaniem takich narzędzi, jakie ma do dyspozycji – zaczęła Melling. – Jednym z tych narzędzi jest tymczasowe aresztowanie osób, które znajdą się w kręgu podejrzanych na podstawie śladów technicznych bądź taktycznych. Tymczasowe aresztowanie służy zminimalizowaniu ryzyka ucieczki lub zatarcia dowodów. Nie oznacza, że policja jest przekonana, iż ujęła winnego, lub że popełniła błąd, jeśli dalsze śledztwo wykazuje, że tymczasowe aresztowanie nie jest już konieczne. Będąc w posiadaniu takich informacji, jakie mieliśmy w niedzielę, postąpilibyśmy tak samo po raz drugi. Więc nie, nie czujemy się niezręcznie.

– Ale to nie śledztwo doprowadziło do takiego rozwoju sytuacji, tylko Terry Våge.

– Otwarcie linii telefonicznych, na które ludzie mogą zgłaszać nam istotne informacje, to również element śledztwa. Spora część pracy polega na przesiewaniu tych informacji, a fakt, że telefon Vågego potraktowaliśmy poważnie, jest przykładem właściwej oceny sytuacji z naszej strony.

– Czy to oznacza, że trudno było podjąć decyzję, na ile poważnie należy potraktować zgłoszenie Vågego?

– Bez komentarza – ucięła Melling, ale Katrine dostrzegła na jej twarzy cień uśmiechu.

Pytania padały teraz ze wszystkich stron, Melling odpowiadała spokojnie i pewnie. Katrine zaczęła się zastanawiać, czy nie pomyliła się co do tej kobiety. Może Bodil była jednak kimś więcej niż zwyczajną karierowiczką.

Katrine miała trochę czasu na przyjrzenie się obecnym w sali. Zobaczyła, że Harry wyjmuje telefon, patrzy na niego i wychodzi.

Kiedy Melling skończyła mówić, a Kedzierski dopuścił do głosu następnego dziennikarza z kolejki, Katrine poczuła w kieszeni wibrowanie komórki. Również następne pytanie było skierowane do Melling. Katrine ujrzała, że Harry wraca, łapie jej spojrzenie i pokazuje na swój telefon. Zrozumiała i pod stołem wyjęła z kieszeni własny aparat. SMS był od Harry’ego.

W IMS mają DNA i 80% zgodności.

Katrine przeczytała SMS-a jeszcze raz. Osiemdziesięcioprocentowa zgodność nie oznaczała, że profil DNA pasował w osiemdziesięciu procentach, gdyż obejmowałoby to całą ludzkość i wszystkie zwierzęta aż po ślimaki. Osiemdziesięcioprocentowa zgodność w tym wypadku oznaczała osiemdziesiąt procent szansy na to, że dotarli do właściwej osoby. Poczuła dramatyczną zmianę rytmu serca. Tamten dziennikarz miał rację, mówiąc, że wokół drzewa na Kolsås nie znaleźli żadnych śladów, więc to tym bardziej fantastyczne. Co prawda osiemdziesiąt procent to nie sto, ale... osiemdziesiąt. Ponieważ była dopiero dwunasta, nie zdążyli jeszcze opracować pełnego profilu DNA, więc wraz z upływem dnia ta wartość mogła wzrosnąć. Czy mogła również spaść? Prawdę mówiąc, Katrine nie przyswoiła sobie całej wiedzy, gdy Alexandra tłumaczyła im bardziej skomplikowane kwestie związane z analizą DNA. W każdym razie Katrine miała ochotę po prostu zerwać się i wybiec z sali, a nie siedzieć tu i karmić te sępy. Zwłaszcza teraz, kiedy wreszcie mieli jakiś ślad, nazwisko osoby, której DNA znajdowało się w bazie, a więc prawdopodobnie kogoś już wcześniej karanego, a przynajmniej zatrzymanego, kogoś...

Nagle coś jej przyszło do głowy.

Byle nie Røed! Dobry Boże, oby to nie był znów Røed! Nie wytrzyma ponownie tego kręcenia się w kółko. Zamknęła oczy i naraz uświadomiła sobie, że wokół niej zapadła cisza.

– Bratt? – To był głos Kedzierskiego.

Katrine otworzyła oczy, przeprosiła i zwróciła się do dziennikarza z prośbą o powtórzenie pytania.

– Konferencja prasowa się skończyła – powiedział Johan Krohn. – Zobacz, co pisze „VG”.

Podał Markusowi Røedowi telefon.

Siedzieli na tylnym siedzeniu SUV-a, jadącego z aresztu do mieszkania na Oslobukta. Z Budynku Policji wypuszczono ich podziemnym tunelem, dzięki czemu uniknęli tłumu dziennikarzy kłębiącego się przy wyjściu. Krohn wynajął samochód i ludzi z Guardian, spółki ochroniarskiej, z której usług Røed korzystał

już wcześniej. Doradził im to Harry Hole, a jego uzasadnienie było proste: w pewnym momencie w tym samym pomieszczeniu przebywało sześć osób wraz z kilkoma kreskami zielonej kokainy. Spośród nich trzy zostały zabite przez – jak wskazywało na to coraz więcej – szalonego seryjnego mordercę. Prawdopodobieństwo tego, że któraś z trzech pozostających przy życiu osób będzie następna w kolejce, nie było może stuprocentowe, ale dostatecznie wysokie, aby zdrowy rozsądek kazał na jakiś czas odizolować się w zabezpieczonym przed włamaniami mieszkaniu i wynająć ochronę. Røed po chwili namysłu zgodził się na to. Krohn podejrzewał, że dwa karki z Guardiana siedzące z przodu inspirowały się Secret Service w wyborze zarówno ubrań oraz okularów przeciwsłonecznych, jak i reżimu treningowego. Nie był pewien, czy ich czarne garnitury z sieciowego Dressmanna wydają się takie obcisłe z powodu masy mięśniowej, czy kamizelek kuloodpornych. Był jednak pewien, że Røed jest w dobrych rękach.

– Ha! – wykrzyknął Markus. – Posłuchaj...

Krohn oczywiście czytał już komentarz Mony Daa, lecz nie miał nic przeciwko wysłuchaniu go jeszcze raz.

– Melling twierdzi, że zwolnienie z aresztu Markusa Røeda nie jest niezręczne, i ma co do tego rację. Niezręczne było jego aresztowanie. Tak jak kilka lat temu Wydział do spraw Przestępstw Ekonomicznych zniszczył swoje dobre imię, rozpaczliwie polując na znanych przedsiębiorców i kapitalistów, aby zrobić sobie z nich piórko do kapelusza, tak teraz wydział Melling wpadł w identyczną pułapkę. Markusa Røeda można lubić albo nie i można zaklinać się na równość wobec prawa, lecz nie jest sprawiedliwe surowsze traktowanie królewicza niż żebraka. Czas, jaki policja zmarnowała, polując na jelenia szlachetnego, powinien być wykorzystany na pościg za – jak wskazują wszystkie znaki na niebie i ziemi – zaburzonym psychicznie seryjnym mordercą.

Røed spojrzał na adwokata.

– Myślisz, że ten jeleń to złośliwość...?

– Nie. – Johan Krohn się uśmiechnął. – Co będziesz teraz robił?

– No właśnie, co mam robić? – spytał Røed, oddając adwokatowi telefon. – A co zwykle robią zwolnieni z aresztu? Oczywiście muszą to oblać.

– Nie zalecałbym – powiedział Krohn. – Zwrócone są na ciebie oczy całego narodu, a Helene... – Pokręcił głową.

– Chcesz powiedzieć, że jej zwłoki jeszcze nie ostygły?

– Mniej więcej. Poza tym chciałbym, żeby ruch wokół ciebie był jak najmniejszy.

– To znaczy?

– To znaczy, żebyś siedział w mieszkaniu tylko ze swoimi dwoma nowymi kolegami. Przynajmniej na razie. Z mieszkania też możesz pracować.

– W porządku – zgodził się Røed. – Ale potrzebuję czegoś... na rozweselenie, jeśli rozumiesz.

– Rozumiem – westchnął Krohn. – Czy to nie może poczekać?

Røed się roześmiał i położył Krohnowi rękę na ramieniu.

– Biedny mały Johan. Ty nie masz złych nawyków, ale też i nie miałeś za dużo przyjemności. Obiecuję, że nie będę ryzykował. Prawdę mówiąc, mam ochotę zachować tę piękną wyjątkową... – Narysował w powietrzu koło wokół swojej głowy.

– Dobrze – mruknął Johan Krohn i wyjrzał przez okno na przypominający wykres słupkowy, lecz mimo to zaprojektowany z lekkością ciąg budynków nazywany Barcode, który wprowadził Oslo w obecne stulecie. Wyparł myśl, która pojawiła się na moment. Że nie pozostawałby długo w żałobie, gdyby to Markusowi Røedowi obcięto głowę.

– Zamknijcie za sobą, proszę – powiedziała Bodil Melling, obchodząc swoje biurko.

Katrine pchnęła drzwi, kiedy weszła za Harrym, po czym usiadła przy stole, przy którym siedział już Sung-min.

– Co mamy? – spytała Melling, zajmując swoje miejsce.

Spojrzenie skierowała na Katrine, ale ona kiwnęła głową w stronę Harry’ego, który ciągle jeszcze obsuwał się na krześle.

– No cóż – zaczął Harry i urwał, dopóki nie zajął ulubionej półleżącej pozycji.

Katrine dostrzegła zniecierpliwienie na twarzy szefowej.

– Zadzwonili do mnie z Instytutu Medycyny Sądowej – dokończył Harry.

– Dlaczego do ciebie? – przerwała mu Melling. – Jeśli mieli coś do przekazania, to powinni skontaktować się z kierującymi śledztwem.

– Możliwe. W każdym razie...

– Nie, najpierw chcę to wyjaśnić. Dlaczego nie skontaktowali się z kierującymi śledztwem?

Harry się skrzywił, ziewnął i wyjrzał przez okno, jakby pytanie go nie dotyczyło.

– Może nie było to właściwe formalnie – odparła Katrine – ale skontaktowali się z osobą, która w praktyce kierowała tym śledztwem w znaczeniu bycia jego frontmanem.

Oczy obu kobiet się spotkały.

Katrine zdawała sobie sprawę, że jej słowa, a zwłaszcza sposób, w jaki je wypowiedziała, mogą zostać potraktowane jako wyzywające. Może taki właśnie miała zamiar. Co z tego? To nie była pora na uprawianie biurowej polityki i konkurs o to, kto dalej nasika. Melling chyba też to zrozumiała. W każdym razie nieznacznie przytaknęła Katrine gestem.

– Masz rację, Bratt – powiedziała. – Mów dalej, Hole.

Harry kiwnął głową w stronę okna, jakby prowadził milczącą rozmowę z kimś za szybą, i w końcu się do nich odwrócił.

– Mhm. W instytucie znaleźli fragment naskórka między zębami Bertine Bertilsen. Według techników sekcyjnych tkwił na tyle luźno, że zniknąłby, gdyby dziewczyna wypłukała usta lub umyła zęby. Rozsądne jest więc przyjąć, że znalazł się tam tuż przed jej śmiercią. Na przykład w wyniku ugryzienia zabójcy. Jest już wstępny profil, dla którego najprawdopodobniej mamy trafienie w bazie danych.

– Przestępca?

– Nie był skazany, ale tak.

– Jak wysokie jest to prawdopodobieństwo?

– Na tyle wysokie, że powinien zostać zatrzymany – wyjaśnił Harry.

– Ty tak uważasz. Ale my nie możemy sobie pozwolić na jeszcze jedno zatrzymanie, które prasa...

– To człowiek, o którego nam chodzi. – Harry powiedział to bardzo cicho, ale słowa jakby echem odbiły się od ścian.

Melling przeniosła wzrok na Katrine, która potwierdziła ruchem głowy.

– A ty, Larsen?

– Ostatnia wiadomość z Instytutu Medycyny Sądowej to dziewięćdziesiąt dwa procent prawdopodobieństwa – odparł Sung-min. – To on.

– A więc dobrze. – Melling złożyła ręce. – Wobec tego ruszajcie.

Wstali.

Po drodze szefowa jeszcze zatrzymała Katrine.

– Podoba ci się ten gabinet?

Katrine spojrzała na nią niepewnie.

– Tak, masz tu ładnie.

Melling pogładziła oparcie jednego z krzeseł przy stole konferencyjnym.

– Pytam, ponieważ dostałam sygnał, że być może zostanę przeniesiona do innego, i ten tutaj będzie wolny. – W jej uśmiechu było dużo ciepła, o które Katrine jej nie podejrzewała. – Ale dłużej cię nie zatrzymuję.

39

Czwartek. Kapusta ozdobna

Harry wszedł na cmentarz. Kwiaciarka na Grønlandsleiret poradziła, żeby posadził na grobie kapustę ozdobną. Roślina wyglądała jak piękny kwiat, a jej kolory miały nabierać intensywności w miarę obniżania się temperatury jesienią.

Podniósł gałąź, która najwidoczniej złamała się podczas nocnej wichury i upadła częściowo na nagrobek. Położył ją obok drzewa, wrócił, przykucnął i gołymi rękami wkopał doniczkę z kapustą w ziemię.

– Znaleźliśmy go – powiedział. – Pomyślałem, że chcesz wiedzieć. Bo liczę się z tym, że nas obserwujesz.

Spojrzał w błękitne niebo, wyglądało jak wyprasowane.

– Miałem rację, że chodzi o człowieka znajdującego się na obrzeżach tej sprawy. Widzieliśmy go, ale nie zauważyliśmy. We wszystkim innym się myliłem. Jak wiesz, zawsze szukam motywu. Wydaje mi się, że to właśnie motyw zaprowadzi nas na właściwą drogę. I oczywiście motyw zawsze istnieje. Ale nie zawsze jaśnieje w sposób tak oczywisty, że możemy go traktować jako gwiazdę przewodnią, prawda? Zwłaszcza gdy skrywa się w mroku szaleństwa tak głęboko, jak w tym wypadku. Wtedy rezygnuję z „dlaczego”, a skupiam się na „jak”. Niech raczej potem Ståle i jego koledzy zajmą się tym chorym „dlaczego”. – Odchrząknął. – Mam przerwać okolicznościowe wywody i skupić się na „jak”? No dobra.

Była trzecia po południu, kiedy Øystein Eikeland wszedł na Jernbanetorget, tam gdzie półtora tygodnia wcześniej spotkał się z Harrym. Miał wrażenie, że od tamtej chwili upłynęły wieki. Minął rzeźbę tygrysa i zobaczył Ala, zgiętego wpół, opierającego się ręką o ścianę budynku starego dworca. Podszedł do niego.

– Co jest, Al?

– Nażarłem się jakiegoś gówna – odparł tamten. Zwymiotował jeszcze raz i wyprostował się. Wytarł usta rękawem parki. – Poza tym w porządku. A co u ciebie? Long time...

– Miałem inne zajęcia. – Øystein spojrzał na kałużę wymiocin. – Pamiętasz, jak pytałem cię o tę imprezę u Markusa Røeda? Mówiłem, że chciałbym wiedzieć, kim był ten drugi koleś, który sprzedawał tam kokę.

– Rozdawał za darmo. A o co chodzi?

– Powinienem był właściwie ci powiedzieć, że pytam, bo pracuję dla prywatnego detektywa.

– Tak? – Al wbił niebieskie oczy w Øysteina. – Dla tego policjanta, który tu był? Harry'ego Hole?

– Wiesz, kto to jest?

– Przecież czytam gazety!

– Naprawdę? Nie sądziłem.

– Nie za często, ale odkąd opowiedziałeś mi o tych dwóch dziewczynach z imprezy, to śledzę tę sprawę.

– Tak?

Øystein rozejrzał się po placu, który prezentował się zupełnie zwyczajnie. Ta sama klientela. Turyści wyglądali jak turyści, studenci jak studenci, kupujący jak kupujący. W tym miejscu powinien przystopować. Naprawdę powinien. A raczej powinien stąd teraz odejść. Dlaczego zawsze musi przesadzić? Dlaczego nie może trzymać się umiarkowania nakazywanego przez Keitha? Przecież jego zadanie polegało wyłącznie na wskazaniu Ala w tłumie i odwróceniu na chwilę jego uwagi. Ale nie, musiał...

– A może zrobiłeś coś więcej oprócz śledzenia tej sprawy?

– Co? – Oczy Ala wydawały się rosnąć. Białka widać już było dookoła całych tęczówek.

– Poznał te dziewczyny na imprezie. A może już wcześniej zaopatrywał je w kokainę – mówił Harry do nagrobka. – Pewnie mu się spodobały. A może ich nienawidził, kto wie? Może on też im się spodobał. To przystojny chłopak. Podobno obdarzony niezwykłą charyzmą. Øystein nazywa to charyzmą samotności.

Więc może tym je zwabił. Albo kokainą. Dziś rano podczas nalotu na jego mieszkanie policja nie zastała go w domu. Øystein twierdzi, że on ma stałe godziny pracy na Jernbanetorget. Najwyraźniej jest singlem, i to takim, który ściele łóżko. Mózgów nie znaleźli. Pewnie się ich pozbył. Ale znaleźli mnóstwo innych ciekawych rzeczy. Rozmaite noże. Twardą pornografię. Samochód, który teraz sprawdzają. Duże zdjęcie Charlesa Mansona nad łóżkiem. I snuff bullet ze złota z inicjałami BB, który, jak sądzę, jakiś znajomy Bertine zidentyfikuje jako jej własność. W środku była zielona kokaina. Spodobało ci się? No to słuchaj dalej. Pod łóżkiem leżało osiem kilo białej kokainy, która technikom wydawała się dość czysta. Wystarczy ją lekko z czymś zmieszać i możemy mówić o towarze wartości ponad dziesięciu milionów koron. Facet nie ma na koncie żadnych wyroków, ale był dwa razy zatrzymany. Raz w sprawie gwałtu zbiorowego, chociaż nawet go tam wtedy nie było; w ten sposób jego DNA trafiło do bazy danych. Nie zdążyliśmy jeszcze przegrzebać jego dzieciństwa, ale chyba za bardzo się nie pomylę, jeśli stwierdzę, że było raczej marne. No to już wiesz. – Spojrzał na zegarek. – Myślę, że właśnie w tej chwili go zatrzymują. Mówi się o nim, że to gość na pograniczu paranoi, a ze względu na tę jego kolekcję noży i na to, że przebywa w miejscu, gdzie roi się od ludzi, postanowiono wykorzystać Øysteina, który ma odwrócić jego uwagę. Moim zdaniem wplątywanie amatorów to głupi pomysł, ale podobno takie było życzenie góry.

– O co ci, kurwa, chodzi? – spytał Al.

– O nic – odparł Øystein, wpatrując się w dłonie tamtego, zakopane głęboko w kieszeniach parki.

Przyszło mu do głowy, że sam może znajdować się w niebezpieczeństwie. Dlaczego więc stoi tu teraz i przeciąga tę sytuację? Co Al ma w kieszeniach? Jednocześnie uświadomił sobie, co mu się w tym podoba. Że wreszcie, zupełnie wyjątkowo, jest w samym centrum wydarzeń; że akurat w tej chwili w policyjnym radiu wrzeszczą: „Dlaczego on ciągle tam stoi?!”, „Ma nerwy ze stali!”, „Cholera, facet jest naprawdę cool!”.

Øystein dostrzegł dwie tańczące czerwone kropeczki, które pojawiły się na parce Ala na wysokości piersi.

Jego czas w światłach reflektorów dobiegł końca.

– Możliwie udanego dnia, Al.

Øystein odwrócił się do niego plecami i ruszył w stronę przystanków.

Ulicą przejechał przed nim czerwony autobus i Øystein w niewyraźnym odbiciu w szybach zobaczył, że trzy osoby na placu ruszają, w tym samym momencie sięgając pod ubranie.

Usłyszał krzyk Ala i zdążył jeszcze zauważyć, jak powalają go na ziemię: dwóch z pistoletami skierowanymi w jego plecy, trzeci z kajdankami, którymi skuł mu ręce. Autobus przejechał i Øystein miał przed sobą widok na całą Karl Johans gate aż do zamku. Patrzył, jak ludzie nadchodzą w jego stronę i jak się oddalają. Przez sekundę pomyślał o wszystkich tych, których w życiu spotkał i porzucił.

Harry podniósł się, prostując zesztywniałe kolana, i spojrzał na kwiat w odcieniach różu. Na kapustę. Przesunął wzrok na wyryte w kamieniu nazwisko. Bjørn Holm.

– No to już wiesz, Bjørn. A ja wiem, gdzie leżysz. Może któregoś dnia wrócę. A tak w ogóle to w Jealousy też za tobą tęsknią.

Odwrócił się i skierował do bramy, którą wszedł.

Wyjął telefon i znów wybrał numer Lucille.

Teraz także nie było odpowiedzi.

Mikael Bellman stał przy oknie, kiedy Vivian podała mu krótki raport z udanego zatrzymania na Jernbanetorget.

– Dziękuję – powiedział, jak zwykle zwracając wzrok w tę stronę miasta, gdzie coś się działo. – Chyba powinienem się wypowiedzieć. Wydać komunikat prasowy, w którym pochwalę niestrudzoną walkę policji, wysokie morale i profesjonalne podejście do trudnych spraw. Przygotujesz projekt?

– Oczywiście – odparła.

Wychwycił entuzjazm w jej głosie – pierwszy raz powierzał jej napisanie czegoś od samego początku. A jednak wyczuł jakieś wahanie.

– O co chodzi, Vivian?

– Nie martwi pana, że może to zostać odebrane jako zbyt pospieszne wydawanie wyroku?

– Nie.

– Nie?

Bellman odwrócił się do niej. Jaka ona jest śliczna! I bystra, ale przy tym taka młoda. Czyżby zaczął woleć starsze? Raczej mądre niż inteligentne?

– Napisz to w formie ogólnej pochwały policji w całym kraju – polecił. – Minister sprawiedliwości nie może komentować pojedynczych spraw. A ci, którzy zechcą to powiązać z wyjaśnieniem tej konkretnej, niech sobie wiążą.

– Ale przecież o tych zabójstwach mówią wszyscy, więc większość ludzi będzie miała takie skojarzenie.

– Mam nadzieję. – Bellman się uśmiechnął.

– I to będzie zrozumiane jako... – Spojrzała na niego niepewnie.

– Wiesz, dlaczego premierzy wysyłają telegramy gratulacyjne, kiedy ktoś zdobędzie złoto w zimowych igrzyskach olimpijskich? Dlatego że o takich telegramach piszą gazety, więc premier może przez chwilę pławić się w blasku złota i przypomnieć ludziom, kto zapewnił odpowiednie warunki do zdobycia tylu złotych medali przez tak mały naród. Nasz komunikat musi być poprawny, ale jednocześnie pokazywać, że odbieram na tych samych falach co zwykli ludzie. Zapuszkowaliśmy seryjnego mordercę handlującego narkotykami, a to jeszcze lepsze niż jakiś bogacz. Zdobyliśmy złoto, rozumiesz?

Kiwnęła głową.

– Chyba tak.

40

Czwartek. Brak lęku

Terry Våge podniósł krzesło – tylko na wysokość bioder, wyżej nie dał rady – i rzucił nim o ścianę.

– Kurwa, kurwa, kurwa!

Odnalezienie właścicieli samochodów, które przejechały obok centrum handlowego Kolsås, było proste. Wystarczyło wejść na stronę „NRREJ” w internecie i wstukać numer rejestracyjny; po uiszczeniu pewnej opłaty uzyskiwało się nazwisko i adres. Kosztowało go to ponad dwa tysiące koron i dwie godziny pracy, wreszcie jednak miał pełną listę pięćdziesięciu dwóch nazwisk z numerami telefonów. I właśnie chciał zacząć do nich dzwonić. Ale teraz na stronie internetowej „VG” przeczytał, że faceta złapali. Zatrzymali go na Jernbanetorget!

Krzesło nawet się nie przewróciło, tylko przetoczyło do niego z powrotem po krzywej podłodze, jakby kazało mu usiąść i spokojnie przemyśleć sprawę.

Oparł głowę na dłoniach i spróbował iść za radą krzesła.

Planował sensację wszech czasów. Coś, co przewyższy osiągnięcie, jakim było sfotografowanie głów na Kolsås. Zamierzał osobiście odnaleźć zabójcę i – to właśnie miało być genialnym posunięciem – zażądać od niego na wyłączność długiego wywiadu na temat morderstw i człowieka, który za nimi stał, w zamian za pełną ochronę źródła. Wyjaśniłby facetowi, że ochrona źródeł jest zacementowana prawnie i gwarantuje im obu, iż nie będą ścigani przez policję ani inne władze. Nie powiedziałby jednak, że prawo do ochrony źródeł – podobnie jak obowiązek dochowania tajemnicy, którym objęte są pewne zawody – sięga tylko do granicy, jaką jest zagrożenie życia, a już na pewno jej nie przekracza. Dlatego oczywiście zaraz po opublikowaniu wywiadu Våge poinformowałby policję, gdzie szukać zabójcy. Był dziennikarzem i nikt nie mógł wykorzystać przeciwko niemu tego, że

wykonuje swoją pracę. Przynajmniej dopóki to on, Terry Våge, odnalazłby mordercę.

No ale ktoś go uprzedził.

Kurwa!

Przejrzał internetowe wydania innych gazet. Żadna nie miała zdjęcia tego faceta, nie podawała też nazwiska. Jak zwykle, gdy zatrzymany nie był osobą znaną, jak na przykład Markus Røed, etyka dziennikarska nakazywała niepublikowanie danych osobowych. Ach, ta pieprzona skandynawska układność, ochrona łotrów, człowiek nabierał od tego ochoty na emigrację do Stanów albo innych miejsc, gdzie prasa miała trochę swobody. No cóż. Nawet gdyby poznał to nazwisko, co z tego? Nie mógłby zrobić nic innego, niż odhaczyć je na swojej liście i wysmagać się batem za to, że nie zadzwonił wcześniej.

Våge westchnął ciężko. Będzie w złym humorze już przez cały weekend. A to się odbije na Dagnii. Trudno, będzie musiała wytrzymać. Przecież zafundował jej w połowie bilet na samolot.

O osiemnastej wszyscy z Grupy Aunego byli już na miejscu w sali sześćset osiemnaście.

Øystein przyniósł butelkę szampana i plastikowe kubki.

– Dostałem w komendzie – wyjaśnił. – W ramach podziękowań. Wydaje mi się, że sami trochę tego wytrąbili. W życiu nie widziałem tylu uśmiechniętych gliniarzy.

Otworzył szampana i rozlał do kubków, które Truls rozniósł wszystkim, łącznie z Jibranem Sethim. Wznieśli toast.

– Czy nie możemy kontynuować tych spotkań? – spytał Øystein. – Nie musimy rozwiązywać żadnych spraw. Możemy się kłócić o... Na przykład o to, kto jest najbardziej niedocenianym perkusistą na świecie. Prawidłowa odpowiedź: Ringo Starr. Najbardziej przeceniany jest Keith Moon z The Who. A najlepszy oczywiście John Bonham z Led Zeppelin.

– To by były bardzo krótkie spotkania – stwierdził Truls i wszyscy się roześmiali, również sam Truls, kiedy zrozumiał, że naprawdę powiedział coś zabawnego.

– No dobrze – odezwał się Aune z łóżka, kiedy śmiech już ucichł. – Chyba pora na jakieś podsumowanie.

– Jasne. – Øystein odchylił się na krześle.

Truls tylko kiwnął głową.

Wszyscy trzej z wyczekiwaniem patrzyli na Harry’ego.

– Mhm – mruknął i obrócił w palcach kubek, z którego jeszcze się nie napił. – Na razie nie znamy wszystkich szczegółów i pozostaje kilka pytań. Ale połączymy te punkty, które mamy, i zobaczymy, czy ułoży nam się z tego jakiś obrazek. Okej?

– Słusznie prawisz! – Øystein kilka razy tupnął z aplauzem.

– Mamy zabójcę kierującego się motywem, którego nie znamy albo nie rozumiemy – podjął Harry. – Liczę, że przesłuchania coś nam powiedzą na ten temat. Ale dość jasne dla mnie jest, że wszystko zaczęło się podczas tej imprezy u Røeda. Jak pamiętacie, uważałem, że powinniśmy iść śladem handlarza kokainą, ale muszę przyznać, że skupiłem się na niewłaściwym handlarzu. Łatwo przyjąć, że winny jest facet w maseczce, ciemnych okularach i czapce. Podsumujmy, co o nim wiemy, zanim przyjrzymy się zabójcy. A wiemy, że ten gość był amatorem, który przyniósł próbki zielonej kokainy pochodzącej z niedawno zatrzymanej partii. Ponieważ wygląda na początkującego, nazwijmy go Zielonym. Zgaduję, że to osoba znajdująca się na jakimś przystanku przed przekazaniem narkotyku do analizy. Czyli któryś z celników albo ktoś mający dostęp do policyjnego magazynu rzeczy zatrzymanych. Zielony rozumie, że pod względem jakości to najlepszy narkotyk wszech czasów, i dostrzega możliwość zrobienia błyskawicznego interesu życia. Po wykradzeniu odpowiedniej ilości z partii musi sprzedać wszystko podczas jednej operacji, do tego tylko jednej osobie, takiej, która lubi narkotyki wysokiej jakości i jest w stanie zapłacić za całość.

– Markusowi Røedowi – podsunął Øystein.

– Owszem. I właśnie dlatego Zielony tak nalega, żeby Røed spróbował tego towaru. To on jest jego celem.

– A wszystko zwalono na mnie – wtrącił Truls.

– Ale zapomnijmy teraz o Zielonym – kontynuował Harry. – Kiedy Markus kicha na stół i wszystko temu biedakowi psuje, to Al dostarcza mu kokainę. Dziewczynom pewnie też, chociaż one już wcześniej wciągnęły trochę tej zielonej. Al podoba się dziewczynom. One podobają się jemu. Dlatego zwabia je do lasu, na

spacer. I w tym momencie dochodzimy do czegoś, co jest dla mnie wielką tajemnicą. Jak on to zrobił? W jaki sposób nakłonił Susanne, żeby dobrowolnie przejechała przez całe miasto i spotkała się z nim w położonym na odludziu miejscu? Kusząc ją średniej jakości kokainą? Raczej nie. Jak namówił Bertine, żeby dobrowolnie spotkała się z nim w lesie zaraz po tym, jak w podobnych okolicznościach zaginęła dziewczyna, o której Bertine na pewno słyszała? No i jak, na miłość boską, po tych dwóch zabójstwach udało mu się przekonać Helene Røed, żeby dobrowolnie wyszła z nim podczas przerwy w Romeo i Julii?

– A wiemy, że tak było? – spytał Aune.

– Tak – włączył się Truls. – Policja sprawdziła w kasie biletowej i dowiedziała się, które miejsca zarezerwowano dla Røeda i kto siedział obok Helene. Ludzie z sąsiednich miejsc powiedzieli, że nie wróciła po przerwie. Szatniarka też zapamiętała kobietę, która przyszła po płaszcz, i czekającego na nią mężczyznę, odwróconego tyłem. Utkwiło jej to w pamięci, ponieważ były to jedyne osoby, które wyszły z teatru w przerwie akurat tej sztuki.

– Rozmawiałem z Helene Røed – przypomniał Harry. – To była bystra kobieta, umiejąca się o siebie zatroszczyć. Dlatego nie mieści mi się w głowie, że dobrowolnie wyszłaby z przedstawienia w teatrze z handlarzem narkotyków, którego nie zna. Zwłaszcza po tym wszystkim, co się stało.

– Cały czas powtarzasz „dobrowolnie” – zauważył Aune.

– No tak – przyznał Harry. – Bo one... powinny się bać.

– Tak?

– Śmiertelnie. – Harry nie siedział już w swojej zwykłej półleżącej pozycji, tylko na brzegu krzesła, wychylony w przód. – Przypomina mi się mysz, którą raz zobaczyłem, kiedy się obudziłem w Los Angeles. Po prostu podeszła do kota. Który oczywiście ją zabił. A kilka dni temu widziałem taką samą sytuację tu, w Oslo, na jednym z podwórzy. Nie wiem, co było nie tak z tymi gryzoniami, może były pod wpływem narkotyków albo straciły instynkt, wrodzony lęk.

– Fear is good – wymądrzył się Øystein. – Przynajmniej trochę. Lęk przed obcym ma negatywny wydźwięk i oczywiście odpowiada za wiele skurwysyństw. Ale żyjemy w świecie „jedz albo zostaniesz zjedzony” i jeśli się nie boisz wystarczająco czegoś, czego nie znasz, to prędzej czy później czeka cię marny los. A co ty na to, Ståle?

– Pewnie – zgodził się Aune. – Kiedy zmysły doświadczają czegoś, co rozpoznają jako zagrożenie, ciało migdałowate w mózgu powinno wydzielać neuroprzekaźniki, takie jak glutaminian, żeby wzbudzić w nas strach. To taki czujnik dymu, w który wyposażyła nas ewolucja, a bez niego...

– ...spłoniemy – dokończył Harry. – Więc co jest nie tak z tymi ofiarami zabójstw? I z myszami?

Wszyscy czterej popatrzyli na siebie w milczeniu.

– Toksoplazmoza.

Odwrócili się do piątego.

– Myszy mają toksoplazmozę – powiedział Jibran.

– A co to jest? – spytał Harry.

– To choroba wywołana przez pierwotniaka, pasożyta, który sprawia, że odpowiedź lękowa zostaje zablokowana, a na jej miejsce pojawia się popęd płciowy. Mysz podchodzi do kota, ponieważ czuje do niego pociąg seksualny.

– Żartujesz – zdumiał się Øystein.

Jibran się uśmiechnął.

– Nie. Ten pasożyt nazywa się Toxoplasma gondii i jest jednym z najpowszechniejszych na świecie...

– Chwileczkę! – przerwał mu Harry. – Czy żyje tylko w myszach?

– Nie. Może żyć w każdym zwierzęciu ciepłokrwistym. Ale w swoim cyklu życiowym musi przejść przez zwierzęta, które padają łupem kotów, ponieważ pasożyt musi się dostać do jelit ostatecznego żywiciela, ażeby tam się rozmnażać. I musi to być zwierzę kotowate.

– Więc ten pasożyt w zasadzie może żyć w ludziach?

– Nie tylko w zasadzie. W pewnych rejonach świata zakażenie tym pierwotniakiem jest powszechne.

– I wtedy ci ludzie czują pociąg seksualny do... kotów?

Jibran się roześmiał.

– O tym akurat nie słyszałem. Może nasz psycholog wie coś na ten temat?

– Dobrze znam tego pasożyta, więc powinienem był to skojarzyć – stwierdził Aune. – Pierwotniak atakuje mózg i oczy. Są badania, które dowodzą, że zakażone nim osoby, które wcześniej nie wykazywały żadnych problemów psychicznych,

zaczynają objawiać nienormalne zachowania. Nie żeby zadawały się z kotami, ale stają się skłonne do przemocy, przede wszystkim wobec samych siebie. Istnieje wiele przypadków samobójstw, do których, jak się uważa, doprowadził pasożyt. Czytałem, że osoby zakażone tym pierwotniakiem mają obniżoną zdolność reakcji, a zatem prawdopodobieństwo, iż spowodują wypadek samochodowy, jest wśród nich trzy–cztery razy wyższe. W pewnym interesującym studium dowodzi się, że studenci z toksoplazmozą mają większe szanse zostać biznesmenami niż inni. Uzasadnia się to brakiem lęku przed niepowodzeniem.

– Brakiem lęku? – powtórzył Harry.

– Tak.

– Ale nie pociągiem seksualnym?

– Co masz na myśli?

– To, że te kobiety nie tylko dobrowolnie poszły ze swoim zabójcą, przejechały przez pół miasta albo zrezygnowały z przedstawienia, które im się podobało. Na ciałach nie znaleziono oznak przemocy. A ślady w lesie mogą wskazywać na to, że szły z zabójcą objęte. Jak para narzeczonych czy kochanków.

– Zainfekowane myszy wabi zapach kociego moczu – wyjaśnił Jibran. – Wyobraź sobie, że pasożyt żywi się mózgiem i oczami myszy, ale jednocześnie wie, że musi wrócić do kota, bo może się rozmnażać tylko w środowisku kocich jelit. Tak manipuluje mózgiem myszy, aby zapach kota pociągał ją seksualnie. W ten sposób mysz dobrowolnie pomaga pasożytowi w przedostaniu się do jelit kota.

– O w mordę! – jęknął Truls.

– Tak, to rzeczywiście dość okropne – przyznał Jibran. – Ale właśnie w taki sposób działa pasożyt.

– Mhm. Czy to możliwe, żeby zabójca zrobił z siebie kota dla tych kobiet po zainfekowaniu ich pasożytem?

Jibran wzruszył ramionami.

– Absolutnie możliwe, że to jakiś zmutowany pasożyt lub że ktoś hoduje taką odmianę Toxoplasma gondii, która potrzebuje jako żywiciela ostatecznego człowieka, jego jelit. Chodzi mi o to, że w czasach, w których nawet student biologii może manipulować genami na poziomie komórkowym... O to jednak musiałbyś spytać parazytologa czy mikrobiologa.

– Dzięki, ale najpierw posłuchamy, co ma do powiedzenia Al. – Harry spojrzał na zegarek. – Katrine mówiła, że będą go przesłuchiwać, jak tylko skończy rozmowę z adwokatem, którego mu wyznaczono.

***

W areszcie rzadko ktoś miał odwagę spytać Grotha, szefa zmiany strażników, o przyczynę jego chronicznie złego humoru i wybuchowego temperamentu. Tych, którzy o to pytali, już nie było. Były natomiast hemoroidy. Przebywały w areszcie równie długo, jak Groth – od dwudziestu trzech lat. Grothowi właśnie przerwano układanie na komputerze dobrze zapowiadającego się pasjansa, więc z bólem obrócił się na krześle i spojrzał na identyfikator, który mężczyzna położył przed nim na kontuarze. Człowiek ten przedstawił się jako obrońca zatrzymanego wcześniej tego dnia na Jernbanetorget. Groth nie lubił adwokatów w drogich garniturach, a jeszcze mniej takich, którzy snobowali się w drugą stronę, nosząc kaszkiety jak jacyś robotnicy portowi.

– Beckstrøm, chcesz mieć ochronę w celi? – spytał Groth.

– Nie, dziękuję – odparł adwokat. – I proszę, żeby nikt nie podsłuchiwał pod drzwiami.

– Ale on zabił trzy...

– Jest podejrzany o zabójstwo.

Groth wzruszył ramionami i wcisnął guzik otwierający śluzę.

– Strażnik w środku cię przeszuka i wpuści do celi.

– Dziękuję.

Adwokat zabrał identyfikator i odszedł.

– Dureń! – rzucił Groth. Nie chciało mu się nawet oderwać oczu od komputera, żeby sprawdzić, czy adwokat to usłyszał.

Cztery minuty później jasne się stało, że pasjans i tak nie wyjdzie.

Groth zaklął, słysząc, jak ktoś chrząka, i zobaczył mężczyznę w maseczce, czekającego przy śluzie.

Przez moment się zdziwił, ale zaraz rozpoznał kaszkiet i kurtkę bomberkę.

– Rozmowa była chyba z tych krótszych – zauważył.

– Osadzony ma bóle i cały czas tylko jęczy. Musicie ściągnąć lekarza, a ja wrócę później.

– Lekarz dopiero co tu był i niczego nie stwierdził. Facet dostał środki przeciwbólowe, więc niedługo powinien przestać jęczeć.

– On jęczy tak, jakby miał zaraz umrzeć. – Adwokat ruszył do wyjścia.

Groth patrzył za nim. Coś tu było nie tak, ale nie potrafił tego określić. Wcisnął przycisk interkomu.

– Svein, jak wygląda sprawa z numerem czternaście? Ciągle jęczy?

– Jęczał, jak wpuszczałem adwokata. Ale kiedy poszedłem go wypuścić, to przestał.

– Zaglądałeś do niego?

– Nie, a powinienem?

Groth się zawahał. Miał zasadę wynikającą z doświadczenia: pozwalać więźniom jęczeć, płakać i wrzeszczeć bez poświęcania im zbytniej uwagi. Odbierano im wszystko, czym mogli się uszkodzić, a kiedy się biegało na każde ich najmniejsze westchnienie, prędko się uczyli, że w ten sposób skupiają na sobie zainteresowanie jak płaczące niemowlę. We wciąż stojącym przed nim pudle leżały rzeczy, które osadzony numer czternaście miał przy sobie, kiedy go przywieźli. Groth odruchowo zajrzał teraz do środka, żeby sprawdzić, czy coś może dać mu odpowiedź. Torebki z kokainą i pieniądze zabrano już do magazynu rzeczy zatrzymanych, więc zobaczył jedynie klucze do domu, kluczyki samochodowe i zmięty bilet z napisem Romeo i Julia. Żadnych pudełeczek z lekami, recept czy czegoś innego, co mogłoby cokolwiek wyjaśnić. Poruszył się na krześle, poczuł ukłucie bólu, kiedy nacisnął jeden z hemoroidów, i cicho zaklął.

– Co mówisz? – spytał Svein.

– Tak – powiedział Groth ze złością. – Zajrzyj do tego drania.

Aune i Øystein siedzieli przy stoliku w prawie pustym bufecie Szpitala Radowego. Truls poszedł do toalety, a Harry stał na tarasie przed bufetem z telefonem przy uchu i papierosem w kąciku ust.

– Ty jesteś doktorem od takich rzeczy. Powiedz, co go dręczy. – Øystein skinieniem głowy wskazał Harry’ego.

– Dręczy?

– Popędza. Przecież on nigdy nie przestaje pracować. Nawet teraz, kiedy facet jest już złapany, a jemu nie płacą.

– A, o to ci chodzi – odparł Aune. – Pewnie szuka jakiegoś porządku. Odpowiedzi. Taka potrzeba często staje się silniejsza, kiedy wszystko inne w życiu jest jednym wielkim chaosem i wydaje się bezsensowne.

– Okej.

– Okej? Nie wydajesz się przekonany. A ty jak sądzisz, co jest przyczyną?

– Ja? Hm. To samo, co odpowiedział Bob Dylan, gdy go spytano, dlaczego dalej jeździ na tournée, chociaż już został miliarderem, a głos kompletnie mu siadł. It’s what I do.

Harry oparł się o balustradę, zaciskając lewą dłoń na telefonie i zaciągając się dymem z tego jednego papierosa, którego pozwolił sobie zabrać z paczki cameli Alexandry. Może zasadę umiarkowania dałoby się zastosować również do palenia? Kiedy czekał na połączenie, dostrzegł w dole, na oszczędnie oświetlonym parkingu, jakąś osobę. Mężczyznę z twarzą zwróconą w jego stronę. Z tej odległości trudno było dojrzeć, ale ten człowiek miał na szyi coś lśniąco białego. Świeżo wyprany kołnierzyk. Kołnierz ortopedyczny. Albo koloratkę. Harry starał się odsunąć od siebie myśl o mężczyźnie w camaro. Tamten już dostał swoje pieniądze, więc o co mogło teraz chodzić? Przyszło mu na myśl coś innego. To, co odpowiedział na pytanie Alexandry, czy sądzi, że zabił tamtego człowieka, którego uderzył w krtań. „Gdyby umarł, przypuszczam, że jego kumple nie pozwoliliby mi przeżyć”. Ale dopiero później. Już po tym, jak dzięki niemu dostali swoje pieniądze.

– Helge, słucham.

Głos wyrwał Harry’ego z zamyślenia.

– Cześć, Helge, tu Harry Hole. Dostałem twój numer od Alexandry. Domyślała się, że siedzisz w instytucie i pracujesz nad swoim doktoratem.

– Zgadza się – odparł Helge. – A tak w ogóle to gratuluję aresztowania.

– Mhm. Chciałem cię prosić o przysługę.

– No to mów.

– Jest taki pasożyt, który nazywa się Toxoplasma gondii.

– No tak.

– Słyszałeś o nim?

– Jest bardzo powszechny, a ja jestem bioinżynierem.

– Okej. Wobec tego chciałem cię o coś spytać. Mógłbyś sprawdzić, czy ofiary nie zostały zakażone tym pasożytem? Albo jego zmutowanym wariantem?

– Rozumiem. Chętnie bym to zrobił, ale ten pierwotniak koncentruje się w mózgu, a mózgów nie mamy.

– Owszem, ale słyszałem, że jest też w oczach. A morderca zostawił jedno oko Susanne Andersen.

– Rzeczywiście, w oczach też jest, ale już za późno. Ciało Susanne oddano rodzinie, dzisiaj był pogrzeb.

– Sprawdzałem to. Dzisiaj odbyły się tylko uroczystości pogrzebowe, a zwłoki są w krematorium. Tam jest kolejka, zostaną skremowane dopiero jutro. Dostałem ustną zgodę sądu przez telefon, więc mogę teraz pojechać i przywieźć ci to oko. Pasuje?

Technik zaśmiał się z niedowierzaniem.

– No dobrze, ale jak masz zamiar je wydobyć?

– Rzeczywiście, nie pomyślałem o tym. Jakieś propozycje?

Harry czekał. Wreszcie usłyszał westchnienie Helgego.

– Chyba będzie można to uznać za element sekcji, czyli raczej powinienem przyjechać i sam to zrobić.

– Naród będzie ci za to wdzięczny – powiedział Harry. – Widzimy się za pół godziny.

Katrine maszerowała przez areszt najszybciej, jak mogła. Sung-min spieszył za nią.

– Otwieraj, Groth! – krzyknęła, a szef dyżuru zrobił, co poleciła, nawet się nie krzywiąc. Wyjątkowo wyglądał bardziej na zszokowanego niż rozzłoszczonego, ale to była marna pociecha.

Katrine i Sung-min przecisnęli się przez śluzę i maszerowali dalej. Inny strażnik przytrzymał przed nimi drzwi prowadzące do korytarzy, przy których znajdowały się cele.

Drzwi do tej z numerem czternaście były otwarte. Katrine już w korytarzu poczuła odór wymiocin.

Stanęła w drzwiach. Spojrzała ponad ramionami dwóch członków zespołu medycznego i zobaczyła twarz osoby leżącej na podłodze. A raczej nie twarz, tylko zakrwawioną płaszczyznę. Przednią część głowy, w której jedynie białe odłamki kości nosowej nie były krwawą miazgą. Jak... – Katrine nie wiedziała, skąd jej się wzięło to porównanie – jak Krwawy Księżyc.

Przeniosła wzrok w miejsce na ścianie, w które ten człowiek najwyraźniej uderzył głową. Musiał to zrobić całkiem niedawno, bo po ścianie ciągle spływała gęstniejąca krew.

– Komisarz Bratt – przedstawiła się. – Właśnie dostaliśmy wiadomość. Czy on...?

Lekarz spojrzał na nią.

– Tak. Nie żyje.

Zamknęła oczy i zaklęła w duchu.

– Czy da się coś powiedzieć o przyczynie śmierci?

Lekarz zachichotał ponuro i z rezygnacją pokręcił głową, jakby pytanie było idiotyczne. Katrine poczuła wzbierającą wściekłość. Dostrzegła na jego kurtce symbol Lekarzy bez Granic; z pewnością był jednym z tych medyków, którzy spędzili kilka miesięcy w jakiejś strefie wojennej i już do końca życia będą zgrywać cynicznych twardzieli.

– Pytałam... – zaczęła.

– Słuchaj, panienko – przerwał jej ostrym głosem. – Jak widzisz, nie da się nawet stwierdzić, kto to jest.

– Zamknij się i daj mi dokończyć pytanie – syknęła. – Potem możesz otworzyć gębę. Czyli jak to się stało?

Lekarz bez Granic zaśmiał się do niej, ale zobaczyła, że żyła na jego szyi się rozszerza, a twarz nabiera koloru.

– Może i jesteś komisarzem, ale ja jestem lekarzem i...

– I właśnie stwierdziłeś zgon aresztowanego. Więc twoja robota tutaj jest już skończona. Resztą zajmą się ci od medycyny sądowej. Masz wybór: odpowiedzieć mi tutaj albo zamknięty w którejś z sąsiednich cel. Więc jak?

Usłyszała ciche chrząknięcie stojącego obok Sung-mina. Ale puściła mimo uszu ten dyskretny znak ostrzegający, że posuwa się za daleko. Niech to wszystko jasna cholera! Zabawa i tak skończona. Już widziała tytuły gazet: Podejrzany o zabójstwo umiera w policyjnym areszcie. Najpoważniejsza sprawa, jaką kiedykolwiek prowadziła, być może nigdy nie zostanie w pełni wyjaśniona, bo sprawca nic już nie powie. Najbliżsi ofiar nigdy się nie dowiedzą, co się właściwie stało, a ten nadęty doktorek będzie tu teraz udawał, że jest cool?

Zrobiła wdech. Wydech. I znów wdech. Sung-min oczywiście miał rację. To znów dawna Katrine Bratt wydobyła się na powierzchnię i unosiła się na wodzie. Chociaż obecna Katrine miała nadzieję, że tamta została pogrzebana na dobre.

– Przepraszam – mruknął lekarz, podnosząc na nią wzrok. – Głupio się zachowałem. Ale wygląda na to, że on długo cierpiał i nic z tym nie zrobiono. A w takich wypadkach reaguję emocjonalnie i obciążam winą was. Przepraszam.

– W porządku – powiedziała Katrine. – Sama miałam przeprosić. Możesz określić przyczynę zgonu?

Pokręcił głową.

– To mogło być to – wskazał krwawą plamę na białej ścianie – ale jeszcze nie widziałem, żeby ktoś odebrał sobie życie, waląc głową w mur. Więc może patolog powinien sprawdzić również to. – Pokazał na żółtozieloną kałużę wymiocin na podłodze. – Słyszałem, że miał bóle.

Katrine pokiwała głową.

– Jakieś inne ewentualności?

– No cóż. – Lekarz wstał. – Że ktoś go zabił.

41

Czwartek. Zdolność reakcji

Była siódma wieczorem, w Instytucie Medycyny Sądowej świeciło się tylko w laboratorium. Harry najpierw wpatrywał się w skalpel w dłoni Helgego, a potem w gałkę oczną leżącą na szklanej płytce.

– Naprawdę trzeba? – spytał.

– Owszem, muszę dostać się do środka. – Helge zrobił nacięcie.

– Trudno – stwierdził Harry. – Uroczystości pogrzebowe już się zakończyły, chyba nikt z rodziny nie będzie jej więcej oglądał.

– Niestety, mają przyjść jutro. – Technik włożył odcięty kawałeczek pod mikroskop. – Ale facet z zakładu pogrzebowego już jej wsadził jedno szklane oko, więc teraz dołoży drugie. No proszę.

– Widzisz coś?

– Tak, są pierwotniaki Toxoplasma. A przynajmniej coś podobnego. Zobacz...

Harry się nachylił i spojrzał w mikroskop. Czy coś sobie wmawiał, czy też poczuł ledwie uchwytny zapach piżma?

Spytał o to Helgego.

– To może pochodzić z oka – wyjaśnił technik. – Jeśli tak, to znaczy, że masz znakomicie rozwinięty zmysł węchu.

– Mhm. Mam parosmię, nie czuję zapachu zwłok. Ale może dzięki temu inne rzeczy wyczuwam lepiej. Trochę tak jak ze ślepotą i słuchem.

– Tak sądzisz?

– Nie. Sądzę natomiast, że zabójca mógł wykorzystać pasożyta, żeby wyeliminować u Susanne strach i wzbudzić w niej pociąg seksualny do siebie.

– Ooo! Że zrobił z siebie żywiciela ostatecznego, to chcesz powiedzieć?

– Owszem. Ale dlaczego „ooo”?

– Po prostu to jest dość bliskie dziedziny, w której ja się męczę ze swoim doktoratem. Teoretycznie to całkiem możliwe, ale jeśli mu się to udało, możemy mówić o Nagrodzie Odile Bain. To, że tak powiem, Nobel w dziedzinie parazytologii.

– Mhm. Myślę, że zamiast nagrody dostanie dożywocie.

– No tak, oczywiście, przepraszam.

– Jeszcze jedno – powiedział Harry. – Myszy przyciąga zapach kota. To znaczy wszystko jedno jakiego kota. Dlaczego więc tych kobiet nie pociągali mężczyźni w ogólności, tylko akurat ten jeden?

– Trudno stwierdzić – odparł Helge. – Kluczem jest przecież zapach, ku któremu pasożyty mogą kierować zainfekowanego osobnika. Może on miał przy sobie coś, czego zapach te kobiety wyczuwały? Może wysmarował tym ciało?

– A jaki to zapach?

– No cóż. Najprostsza odpowiedź to zapach z układu pokarmowego, w którym pasożyty, jak wiedzą, mogą się rozmnażać.

– Masz na myśli odchody?

– Nie, odchody służą do rozprzestrzeniania pasożyta. Ale do zwabienia zakażonych osobników można by użyć soku jelitowego i enzymów z jelita cienkiego. Albo enzymów trawiennych wydzielanych przez trzustkę i żółci.

– Chcesz powiedzieć, że on rozprzestrzenia pasożyta przez swoje odchody?

– Jeżeli stworzył własnego pasożyta, to najprawdopodobniej jest jedynym możliwym i kompatybilnym żywicielem, sam więc musi dbać o to, aby cykl życiowy trwał i aby pasożyty nie wyginęły.

– A w jaki sposób to robi?

– Tak jak kot. Na przykład stara się o to, żeby woda, którą piją jego ofiary, była zainfekowana jego odchodami.

– Albo kokaina, którą wciągają – mruknął Harry.

– Tak, lub jedzenie czy drink. Mija pewien czas, zanim pasożyt dotrze do mózgu ofiary i go zmanipuluje.

– Jak długi?

– Jeśli mam zgadywać, porównując z cyklem u myszy, powiedziałbym, że dwa dni. Może trzy albo cztery. Rzecz w tym, że u ludzi system odpornościowy z reguły

niszczy pasożyta. A to się dzieje po paru tygodniach albo po miesiącu. Więc on nie ma za dużo czasu, jeżeli chce utrzymać cykl życiowy.

– Czyli zanim zabije, musi odczekać parę dni, ale nie za długo?

– Tak. No i musi zjeść ofiarę.

– Całą?

– Nie, wystarczą te części, w których koncentrują się pasożyty gotowe do rozmnażania. To znaczy mózg... – Helge gwałtownie urwał i popatrzył na Harry'ego tak, jakby dopiero teraz coś zaczęło do niego docierać. Przełknął ślinę. – ...albo oczy.

– Ostatnie pytanie – powiedział Harry nagle zachrypniętym głosem.

Helge tylko kiwnął głową.

– Dlaczego pasożyty nie przejmują władzy również nad mózgiem żywiciela ostatecznego?

– Ależ przejmują!

– Tak? I co z nim robią?

Technik wzruszył ramionami.

– W dużej mierze to samo. Nie czuje strachu. A ponieważ otrzymuje stałe dokładki, jak w tym wypadku, to system odpornościowy nie jest w stanie pozbyć się pasożytów. Dlatego ryzykuje na przykład obniżony poziom reakcji. I schizofrenię.

– Schizofrenię?

– Owszem, nowsze badania na to wskazują. Chyba że... utrzymuje w ryzach ilość pasożytów we własnym organizmie.

– W jaki sposób?

– Nie mam pojęcia.

– Może środkiem przeciwpasożytniczym? Na przykład Hillman Pets?

Helge w zamyśleniu zapatrzył się przed siebie.

– Nie znam tej marki. Ale w teorii właściwe dawkowanie środka przeciwpasożytniczego powinno stworzyć pewną równowagę.

– Czyli ilość pasożytów, jaką masz w sobie, jest ważna?

– O tak. Jeżeli podasz komuś dużą dawkę, z wysokim stężeniem Toxoplasma gondii, to pasożyty zablokują mózg. W kilka minut doprowadzą do paraliżu. A w ciągu godziny ten ktoś umrze.

– Ale nie umrze po wciągnięciu kreski zainfekowanej kokainy?

– Może nie w ciągu godziny, lecz dostatecznie wysokie stężenie może zabić w ciągu doby albo dwóch. Przepraszam... – Helge wyjął dzwoniący telefon. – Tak? W porządku. – Rozłączył się. – Przykro mi, ale będę teraz zajęty. Wiozą z aresztu zwłoki, które muszę zbadać.

– Okej. – Harry zapiął marynarkę. – Dzięki za pomoc. Sam trafię do wyjścia. Przyjemnych snów.

Helge uśmiechnął się niepewnie.

Harry już wyszedł za drzwi laboratorium, kiedy naraz zawrócił.

– Co ty powiedziałeś? Czyje zwłoki przywiozą?

– Nie wiem dokładnie. Tego, którego aresztowano dziś na Jernbanetorget.

– Niech to szlag! – zaklął Harry cicho i lekko uderzył pięścią w futrynę drzwi.

– Coś nie tak?

– To on.

– On?

– Żywiciel ostateczny.

Sung-min Larsen stał za kontuarem w areszcie i zaglądał do pudła z rzeczami denata. Z kluczami do domu nie było pośpiechu, ponieważ policja już się tam włamała i przeszukała mieszkanie, ale technik kryminalistyczny jechał teraz po kluczyki do samochodu, który zlokalizowano na parkingu podziemnym w pobliżu Jernbanetorget. Sung-min odwrócił bilet do teatru. Czyżby denat był na tym samym przedstawieniu co Helene? Nie, na bilecie widniała wcześniejsza data. Ale może wybrał się do Narodowego na rekonesans, żeby zaplanować uprowadzenie i zabójstwo Helene Røed?

Zadzwonił telefon.

– Larsen.

– Jesteśmy teraz u Beckstrøma, ale zastaliśmy tylko żonę. Sądziła, że mąż jest w pracy.

Sung-min słuchał zdziwiony. U Beckstrøma w pracy też nikt nie wiedział, gdzie się podział adwokat. A Beckstrøm był kluczowym świadkiem, ponieważ jako ostatni widział osadzonego żywego. Trzeba się było spieszyć. Co prawda media na razie nie powiązały aresztowania na Jernbanetorget z czymś szczególnym, bo przecież często zdarzało się, że policja zatrzymywała handlarzy narkotykami. Ale już wkrótce, najdalej za kilka godzin, jakiś dziennikarz zdoła wywęszyć, że w areszcie doszło do zgonu, a wtedy wszyscy wstąpią na wojenną ścieżkę.

– Groth – odezwał się Sung-min do dyżurnego, który stał oparty o kontuar. – Jakie wrażenie sprawiał Beckstrøm, kiedy wychodził?

– Inne – odparł Groth ze złością.

– To znaczy?

Strażnik wzruszył ramionami.

– Założył maseczkę, może o to chodzi. Albo się zdenerwował, jak zobaczył, że osadzony jest taki chory. Miał trochę szaleństwa w oczach. Zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy przyszedł. Może to wrażliwy typ, skąd mogę wiedzieć?

– Być może. – Larsen znów spojrzał na bilet do teatru, szukając w mózgu przyczyny tego, że w jego głowie nagle rozdzwonił się sygnał alarmowy.

Dochodziła dziewiąta wieczorem, kiedy Johan Krohn wstukał numer mieszkania i spojrzał w kamerę umieszczoną nad wejściem. Parę sekund później usłyszał głęboki głos niebędący głosem Markusa Røeda:

– Kto tam?

– Johan Krohn. Adwokat, który jechał dzisiaj z wami samochodem.

– Zgadza się. Proszę.

Krohn dotarł windą na górę, do mieszkania wpuścił go jeden z karków. Røed sprawiał wrażenie poirytowanego, niespokojnie krążył po pokoju raz w jedną, raz w drugą stronę, jak tamte stare parszywe lwy, które Krohn jako dziecko oglądał w ogrodzie zoologicznym w Kopenhadze. Na białej rozpiętej koszuli widać było pod pachami plamy potu.

– Przywożę dobre wieści – oznajmił Krohn, a kiedy jego klient się rozpromienił, uściślił: – Wieści, nie proszek.

Widząc wściekłość rozpalającą się na twarzy Røeda, spróbował czym prędzej ją ugasić i dodał:

– Schwytano przypuszczalnego zabójcę.

– Naprawdę? – Røed zamrugał z niedowierzaniem, a potem się roześmiał. – Kto to taki?

– Nazywa się Kevin Selmer. – Krohn widział, że to nazwisko nic Røedowi nie mówi. – Harry powiedział, że to jeden z twoich dostawców kokainy.

Adwokat spodziewał się raczej, że jego klient zaprotestuje przeciwko twierdzeniu, iż ma kogoś, kto mu dostarcza kokainę, ale Røed jakby bardziej starał się przypomnieć sobie nazwisko.

– Był tutaj, na tej imprezie – dorzucił Krohn.

– A, ten. Nie wiem, jak się nazywa. Nigdy nie chciał mi powiedzieć. Kazał mi do siebie mówić „K.”. Sądziłem, że to K jak... Chyba się domyślasz?

– Owszem.

– To ten K. je zabił? Niepojęte. Musi być szaleńcem.

– Chyba możemy tak założyć.

Røed zapatrzył się na taras. Przy drzwiach na schody przeciwpożarowe stał jakiś sąsiad i palił papierosa.

– Powinienem kupić jego mieszkanie. I te dwa inne też – stwierdził Røed. – Nie znoszę tego, że tam sterczą i wyglądają tak, jakby byli właścicielami... – Nie dokończył zdania. – No ale to znaczy, że przynajmniej mogę wyjść z tego więzienia.

– Rzeczywiście.

– Świetnie. Nawet wiem już, dokąd się wybiorę. – Røed ruszył do sypialni.

Krohn poszedł za nim.

– Tylko nie zabalować, Markus.

– Dlaczego? – Røed minął duże małżeńskie łóżko i otworzył jedną z wbudowanych w ścianę szaf.

– Ponieważ twoja żona została zamordowana zaledwie kilka dni temu. Ludzie będą się oburzać.

– Mylisz się – powiedział Røed, przeglądając garnitury. – Zrozumieją, że chcę uczcić schwytanie jej zabójcy. O, tego dawno nie nosiłem. – Wyciągnął granatową

dwurzędową marynarkę ze złotymi guzikami i przymierzył. Sprawdził kieszenie i wyjął z jednej coś, co rzucił na łóżko. – Ojej, aż tak dawno? – Roześmiał się.

Krohn zobaczył, że to czarna karnawałowa maska przedstawiająca motyla.

Røed zapiął marynarkę, patrząc w lustro oprawione w złote ramy.

– Johan, na pewno nie chcesz się ze mną wybrać na oblewanie?

– Na pewno.

– Wobec tego może zabiorę swoich ochroniarzy. Na jak długo ich opłaciliśmy?

– Mają zakaz picia w pracy.

– No to rzeczywiście byliby nudnym towarzystwem. – Przeszedł do salonu i ze śmiechem w głosie zawołał: – Słyszeliście, chłopaki? Macie wolne!

Krohn i Røed razem zjechali na dół windą.

– Zadzwoń do Holego – polecił Røed. – On też się lubi napić. Powiedz, że wybieram się na tournée po barach na Dronning Eufemias gate, w kierunku od wschodu na zachód. I że stawiam. Przy okazji osobiście mu pogratuluję.

Krohn pokiwał głową, znów zadając sobie powracające stale pytanie. Gdyby wiedział, że jako adwokat będzie musiał tak dużą część życia spędzać z ludźmi, których tak bardzo nie lubi, to czy jeszcze raz wybrałby ten zawód?

– Creatures.

– Hi. Is it Ben?

– Yeah, who is this?

– Harry. The tall, blonde...

– Hi, Harry, long time. What’s up?

Harry spojrzał ze wzgórza Ekeberg na miasto leżące w dole niczym odwrócone gwiaździste niebo.

– Chodzi o Lucille. Jestem w Norwegii i nie mogę jej złapać przez telefon. Widziałeś ją?

– Nie. Od jakiegoś miesiąca.

– Mhm. Jak wiesz, ona mieszka sama i obawiam się, że coś jej się mogło stać.

– Naprawdę?

– Gdybym ci podał adres przy Doheny Drive, mógłbyś do niej zajrzeć w moim imieniu? A jeśli jej tam nie ma, może powinieneś zawiadomić policję?

Zapadła cisza.

– Okej, Harry, notuję.

Kiedy się rozłączyli, Harry wrócił do mercedesa, który stał zaparkowany na tyłach starych poniemieckich bunkrów. Znów usiadł na masce obok Øysteina, zapalił papierosa i wrócili do rozmowy w tym samym miejscu, w którym ją przerwali. Z otwartych drzwi samochodu płynęła muzyka. Rozmawiali o kolegach, o tym, co się z nimi stało, o dziewczynach, które ich nie chciały, o marzeniach, które nie tyle się rozwiały, co wyblakły, wyciszyły się jak nie do końca wymyślona piosenka albo długi żart bez puenty. O życiu, które wybrali lub które wybrało ich. Co było jednym i tym samym, ponieważ – jak powiedział Øystein – można grać tylko tymi kartami, które się ma w ręce.

– Ciepło – stwierdził Øystein, kiedy przez chwilę pomilczeli.

– Stare silniki grzeją najlepiej. – Harry poklepał maskę.

– Mnie chodzi o pogodę. Myślałem, że to już koniec takich dni, ale ciepło wróciło. A jutro ma go zaćmić krew. – Øystein wskazał na blady księżyc w pełni.

Zadzwoniła komórka Harry’ego. Odebrał.

– Proszę mówić.

– A więc to prawda – odezwał się Sung-min. – Ty naprawdę tak odbierasz?

– Widziałem, że to ty, i po prostu próbuję sprostać legendzie – odparował Harry. – Co się dzieje?

– Jestem w Instytucie Medycyny Sądowej. I szczerze mówiąc, właśnie nie wiem, co się dzieje.

– Nie wiesz? Prasa już się na was rzuciła w związku ze śmiercią zatrzymanego?

– Jeszcze nie. Trochę się wstrzymujemy z podaniem tego do publicznej wiadomości. Dopóki nie zostanie zidentyfikowany.

– Masz na myśli to, czy on naprawdę nazywa się Kevin Selmer? Øystein mówił o nim Al.

– Nie. Czy mężczyzna, którego znaleźliśmy martwego w celi numer czternaście, to ten sam, którego tam umieściliśmy.

Harry mocniej przycisnął telefon do ucha.

– Co ty gadasz?

– Jego obrońca zniknął. Był w celi sam z Kevinem Selmerem. Pięć minut po przyjściu opuścił celę. Jeżeli to był on. Człowiek, który stamtąd wyszedł, nosił maseczkę i ubranie adwokata, ale szefowi zmiany strażników wydał się jakiś inny.

– Myślisz, że Selmer...

– Ja już nie wiem, co myślę – przyznał Sung-min. – Ale tak, możliwe, że Selmer uciekł z aresztu. Że zabił Beckstrøma, zmaltretował mu twarz, zamienił się z nim na ubrania i po prostu stamtąd wyszedł. Że zwłoki, które tu mamy, to Beckstrøm, nie Al. To znaczy Selmer. Twarz ma zupełnie nierozpoznawalną, a nie możemy dotrzeć do żadnych krewnych czy innych osób, które by znały Kevina Selmera od strony intymnej i mogły go zidentyfikować. A na dodatek Beckstrøma nigdzie nie można znaleźć.

– Mhm. Mnie to brzmi trochę zbyt nieprawdopodobnie. Znam Daga Beckstrøma. Na pewno poszedł zalać robaka. Słyszałeś o Sędzi Dagu[5]?

– Chyba nie.

– Beckstrøm słynie ze swojej wrażliwości. Jeśli jakaś sprawa go wzburzy, to idzie się napić i wtedy staje się Sędzią Dagiem. Wymierza wyroki małym i dużym. Czasami przez kilka dni. Teraz też z pewnością tak jest.

– Miejmy nadzieję. Wkrótce się dowiemy. Żona Beckstrøma już tu jedzie. Chciałem cię tylko uprzedzić.

– Okej, dzięki.

Harry się rozłączył. W milczeniu słuchali Rufusa Wainwrighta śpiewającego Hallelujah.

– Chyba nie doceniłem Leonarda Cohena – zauważył w końcu Øystein. – A przeceniłem Boba Dylana.

– O to nietrudno. Gaś tego peta, musimy spadać.

– A co się dzieje? – Øystein już zeskoczył z maski.

– Jeśli Sung-min ma rację, to Markus Røed może być w śmiertelnym niebezpieczeństwie. – Harry wcisnął się na siedzenie pasażera. – Krohn dzwonił, kiedy poszedłeś w krzaki się wysikać. Røed wybrał się na rundę po barach i chciał, żebym mu towarzyszył. Odmówiłem, ale może jednak powinniśmy spróbować go odszukać. Dronning Eufemias gate.

Øystein przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Mógłbyś powiedzieć step on it, Harry? – Przygazował. – Bardzo cię proszę.

– Step on it – powiedział Harry.

Markus Røed rozstawił nogi, żeby się nie zachwiać, i zajrzał do szklanki, która stała przed nim na stoliku.

Zawierała alkohol, tego był pewien. Nie był natomiast pewien, czym jest wszystko inne, ale kolory ładnie się układały. I w szklance, i w barze. Chociaż nazwy tego baru nie znał. Inni goście byli młodsi i rzucali mu ukradkowe – a niektórzy wcale nieukradkowe – spojrzenia. Pewnie wiedzieli, kim jest. Nie, raczej wiedzieli, jak się nazywa. Widzieli jego zdjęcia w gazetach, zwłaszcza ostatnio. I pewnie wyrobili sobie o nim jakąś opinię. Błędem było wybranie na rundę po barach akurat tej ulicy. Wystarczy posmakować tej napuszonej pretensjonalnej nazwy, którą nadano, próbując stworzyć w Oslo nową aleję. Ulica Królowej Eufemii. Fuj! Taka ciotowata. Cholerna pedalska ulica! Powinien iść do jakiegoś starego lokalu. Do takiego, w których ludzie dziękują i się przepychają, kiedy ktoś, kto ma pieniądze, wstaje i ogłasza, że stawia następną kolejkę. W dwóch poprzednich barach, do których zajrzał, tylko się na niego gapili, jakby rozsunął pośladki i pokazał im różowe jak kawior wnętrze. W jednym lokalu barman kazał mu nawet usiąść, jakby w ogóle nie zależało im na obrotach. Za rok zbankrutują, jeszcze się o tym przekonają. Bo przeżywają tylko starzy wyjadacze, ci, którzy wiedzą, jak grać. A on, Markus Røed, wiedział.

Górna połowa jego ciała nagle się pochyliła, czarna grzywka opadła ku szklance. Wyprostował się w ostatniej chwili. Powinien uważać na grzywkę. Przecież to prawdziwe włosy, których nie trzeba farbować co drugi pieprzony tydzień, to by nie wchodziło w grę.

Chwycił szklankę. Musiał się czegoś przytrzymać. Opróżnił ją. Może powinien trochę przyhamować. Idąc tutaj, między pierwszym a drugim barem, przechodził przez ulicę – to znaczy, przez aleję – kiedy usłyszał przenikliwe ostre dzwonienie tramwaju. Zareagował dziwnie wolno. Jakby całe ciało miał zanurzone w błocie. A ten drink, którego wypił w pierwszym barze, musiał być mocny, bo nie tylko obniżył jego zdolność reakcji, lecz również pozbawił go wszelkiego strachu. Kiedy tramwaj minął go tak blisko, że poczuł pęd powietrza na plecach, puls ledwie mu

przyspieszył. I to teraz, kiedy chciał znowu pożyć. Jakże odległa wydawała się tamta chwila, gdy w areszcie poprosił Krohna o pożyczenie krawata. Nie tylko po to, żeby wyglądać przyzwoicie – zwyczajnie chciał się powiesić. Ale Krohn, ten idiota, powiedział, że nie wolno mu nic dawać.

Røed rozejrzał się po lokalu. To wszystko byli idioci. Tego nauczył go ojciec. Wbił mu to do głowy: wszyscy oprócz tych, którzy noszą nazwisko Røed, to idioci. Są jak pusta bramka, za każdym razem wystarczy wtoczyć do niej piłkę. Ale trzeba to robić. Nie użalać się nad nimi, nie myśleć o tym, że ma się już wystarczająco dużo, tylko dalej przeć naprzód. Mnożyć majątek. Zwiększać przewagę. Brać to, co samo się prosi o branie, i jeszcze trochę. Do diabła, może i nie zdobył najlepszego wykształcenia w rodzinie, ale w przeciwieństwie do innych zawsze postępował tak, jak nakazywał ojciec. I czy nie miał prawa od czasu do czasu się zabawić? Nie miał prawa wciągnąć paru kresek, pogłaskać umięśnionych chłopięcych pośladków? A nawet jeśli chłopcy byli poniżej tego idiotycznego wieku przyzwolenia, to co z tego? W innych krajach i kulturach przymykano na to oczy. Rozumiano, że chłopcom nic złego się od tego nie dzieje, że dorastają i idą dalej swoją drogą. Stają się dobrymi, porządnymi obywatelami. Nie drag queen i pedałami. Przecież to nie jest zakaźne, poznanie za młodu smaku fiuta dorosłego mężczyzny niczym nie grozi, wtedy można jeszcze ocaleć. Często widział, jak ojciec bije, ale tylko raz, jak traci panowanie nad sobą. Markus chodził wtedy do trzeciej klasy, a ojciec wszedł do pokoju syna, gdy bawili się w łóżku z chłopcem z sąsiedztwa w mamusię i tatusia. Do diabła, jak on nienawidził tego człowieka. Do diabła, jak strasznie się go bał. I do diabła, jak bardzo go kochał. Wystarczyło jedno jedyne słowo uznania z ust Ottona Røeda, a Markus czuł się niepokonanym władcą świata.

– A więc tutaj siedzisz, Røed?

Markus podniósł głowę. Mężczyzna, który stał przed jego stolikiem, miał na głowie kaszkiet i maseczkę. Było w nim coś znajomego. W głosie też. Ale Markus był zbyt pijany, wszystko mu się rozmywało.

– Masz dla mnie trochę koki? – spytał odruchowo i w tej samej chwili zaczął się zastanawiać, skąd mu się wzięło to pytanie. Pewnie to tylko głód kokainowy.

– Nie dostaniesz koki – oświadczył mężczyzna, zajmując miejsce przy stoliku. – Nie powinieneś też siedzieć w barze i pić.

– Nie powinienem?

– Nie. Powinieneś siedzieć w domu i opłakiwać swoją wspaniałą żonę. A także Susanne i Bertine. Teraz jeszcze jeden człowiek nie żyje, a ty siedzisz tutaj i chcesz się zabawiać. Przeklęty, niezdatny do niczego bydlak!

Røed cały się skurczył. Nie z powodu tej wzmianki o dziewczynach – ubodło go określenie „niezdatny do niczego”. Echo dzieciństwa i człowieka, który stał nad nim, pieniąc się ze złości.

– Kim jesteś? – wymamrotał Røed.

– Nie widzisz? Przychodzę prosto z aresztu. Jernbanetorget. Coś kojarzysz?

– A powinienem?

– Tak. – Mężczyzna zdjął maseczkę. – Teraz mnie poznajesz?

– Jesteś podobny do mojego ojca – wybełkotał Markus. Miał mglistą świadomość, że powinien się bać, ale się nie bał.

– Śmierć! – zawołał mężczyzna.

Może to ta ospałość i brak lęku sprawiły, że Markus nie uniósł ręki w obronnym geście, gdy ujrzał, jak tamten człowiek podnosi swoją. A może zadziałał automatyzm, wyuczone zachowanie chłopca, który wiedział, że ojciec ma prawo bić. Mężczyzna trzymał coś w dłoni. Czy to był... młotek?

Harry wszedł do baru, który – jeżeli czerwone neonowe litery składały się na jego nazwę – nazywał się po prostu Bar. Był to już trzeci lokal, w którym szukał, niemal identyczny z dwoma poprzednimi. Lśniący, prawdopodobnie urządzony bardzo stylowo i z pewnością drogi. Harry omiótł wnętrze wzrokiem i natychmiast dostrzegł siedzącego przy stoliku Røeda. Przed nim, odwrócony tyłem do Harry’ego, siedział mężczyzna w kaszkiecie. W uniesionej ręce coś trzymał. Harry zorientował się, co to jest, i natychmiast zrozumiał, co nastąpi. I że zjawił się za późno, by temu zapobiec.

Sung-min i Helge stali przy kobiecie wpatrującej się w zwłoki. Miała z pewnością sześćdziesiąt kilka lat, hipisowskie włosy, ubranie i makijaż. Sung-min przypuszczał, że to jedna z kobiet pojawiających się na festiwalach muzycznych, na których występują dawni akustyczni idole z lat siedemdziesiątych. Płakała, już kiedy wpuszczali ją do instytutu. Helge musiał jej dać papierowy ręcznik, żeby wytarła łzy i rozmazany tusz. Teraz, kiedy technik zmył z denata całą zakrzepłą

krew, Sung-min zobaczył, że twarz zmarłego jest mniej uszkodzona, niż przypuszczał.

– Proszę się nie spieszyć, pani Beckstrøm – powiedział Helge. – Jeśli pani sobie życzy, może pani zostać sama.

– Nie trzeba – odparła. – Nie mam najmniejszych wątpliwości.

Gwar głosów w barze natychmiast umilkł i goście odwrócili się w stronę, z której dobiegł dźwięk. Huk był tak głośny, że zabrzmiał niczym wystrzał z pistoletu. Zszokowani ludzie wpatrywali się w stojącego mężczyznę w kaszkiecie, niektórzy zauważyli nawet, że po drugiej stronie stolika siedzi baron nieruchomości – mąż kobiety, którą znaleziono martwą na Snarøya. W ciszy głos mężczyzny w kaszkiecie, unoszącego rękę z narzędziem, zabrzmiał czysto i donośnie:

– Powiedziałem „śmierć”! Markusie Røed, skazuję cię na śmierć!

I znów rozległ się huk.

Goście zobaczyli, że teraz do tamtego stolika zbliża się szybkim krokiem wysoki mężczyzna w garniturze. A kiedy człowiek w kaszkiecie po raz trzeci podniósł rękę, ten wysoki wyrwał mu młotek.

– To nie on – wyszlochała pani Beckstrøm. – Dzięki Bogu, to nie jest Dag. Ale nie wiem, gdzie mąż się podziewa. Za każdym razem, kiedy tak przepada, umieram z nerwów.

– Już dobrze, dobrze. – Sung-min próbował uspokoić kobietę, zastanawiając się, czy położyć jej rękę na ramieniu. – Na pewno go znajdziemy. Nam też ulżyło, że to nie pani mąż. Przykro mi, że musiała pani przez to przejść, ale chcieliśmy mieć pewność.

W milczeniu kiwnęła głową.

– Wystarczy, Sędzio Dagu!

Harry pchnął Beckstrøma z powrotem na krzesło, a młotek sędziowski schował do własnej kieszeni.

Obaj pijani mężczyźni, Røed i Beckstrøm, patrzyli na siebie baranim wzrokiem, jakby właśnie się ocknęli i nie mogli zrozumieć, co się stało. W szklanym blacie

stolika pojawiła się długa rysa.

Harry usiadł.

– Beckstrøm, wiem, że masz za sobą długi dzień, ale powinieneś jak najszybciej skontaktować się z żoną. Pojechała do Instytutu Medycyny Sądowej, żeby zobaczyć, czy ciało Kevina Selmera to nie twoje zwłoki.

Adwokat wpatrywał się w Harry’ego.

– Nie widziałeś go – szepnął. – Nie mógł wytrzymać tego bólu. Mówił, że rozsadza mu brzuch i głowę, lekarz dał mu tylko lekki środek przeciwbólowy. A kiedy to nie zadziałało i nikt nie przychodził mu pomóc, to uderzył głową o ścianę, żeby stracić przytomność. Straszliwie cierpiał.

– Tego nie wiemy – powiedział Harry.

– Owszem, wiemy. – Beckstrøm miał teraz łzy w oczach. – Wiemy, bo widzieliśmy to już nie raz, nie dwa. Natomiast tacy jak ten tutaj – wycelował drżący palec w Røeda, który siedział z brodą zwieszoną na piersi – olewają wszystko i wszystkich. Chcą się tylko wzbogacić, a po drodze depczą i wykorzystują ludzi, którzy są od nich słabsi. Którzy nie urodzili się w czepku jak oni. Ale przyjdzie dzień, kiedy słońce zmieni się w ciemność, dzień wielki i straszny.

– Dzień sądu, Sędzio Dagu?

Beckstrøm popatrzył na Harry’ego z wściekłością. Ale wyglądał tak, jakby musiał bardzo się starać, żeby utrzymać głowę prosto.

– Sorry. – Harry poklepał go po ramieniu. – Pomówimy o tym kiedy indziej. A teraz powinieneś zadzwonić do żony.

Dag Beckstrøm otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz zaraz je zamknął. Kiwnął głową, wyjął telefon, wstał i wyszedł.

– Świetnie sobie z tym poradziłeś, Harry – wybełkotał Røed. Z trudem trafił w stół łokciami, kiedy chciał się na nich oprzeć. – Mogę ci postawić drinka?

– Nie, dziękuję.

– Nie? Przecież już rozwiązałeś wszystkie zagadki w tej sprawie. Albo prawie wszystkie... – Røed dał znać kelnerowi, że chce kolejnego drinka, ale ten go zignorował.

– Co masz na myśli, mówiąc „prawie wszystkie”?

– Co mam na myśli? – Røed się zaśmiał. – No właśnie.

– Mów.

– Bo co? – Wysunął czubek języka, uśmiechnął się. Teraz jego głos zmienił się w ochrypły szept. – Znów będziesz mnie dusił?

– Nie – powiedział Harry.

– Nie?

– Mogę cię poddusić w nagrodę, jeśli to powiesz.

Røed znowu się roześmiał.

– Nareszcie mężczyzna, który mnie rozumie. Chodziło mi tylko o to, że teraz, kiedy sprawa jest już wyjaśniona, muszę się przyznać do pewnego drobiazgu. Skłamałem, mówiąc, że uprawiałem seks z Susanne tego samego dnia, kiedy została zabita. W ogóle się z nią nie spotkałem.

– Naprawdę?

– Tak. Powiedziałem tak tylko po to, żeby policja miała jakieś logiczne wyjaśnienie, skąd moja ślina wzięła się na jej ciele. Oni chcieli takie wyznanie usłyszeć, a mnie mogło ono zaoszczędzić mnóstwa kłopotów. Chyba po prostu poszedłem po linii najmniejszego oporu.

– Mhm.

– Czy to może zostać między nami?

– Po co? Przecież sprawa jest już wyjaśniona, a ty chyba nie chcesz, żeby się o tobie mówiło, że posuwałeś inną kobietę za plecami żony.

– E tam. – Røed się uśmiechnął. – To nic nie szkodzi. Są inne plotki, na które trzeba uważać.

– Jakie?

Obracał w dłoni pustą szklankę.

– Wiesz, Harry, kiedy umarł mój ojciec, byłem zdruzgotany, a jednocześnie czułem ulgę. Potrafisz to zrozumieć? Wiesz, jaka to ulga pozbyć się człowieka, którego za skarby świata nie chcesz zawieść? Bo masz świadomość, że prędzej czy później musi nadejść dzień, w którym go zawiedziesz. Kiedy będzie musiał się przekonać, kim naprawdę jesteś. I masz nadzieję, że uratuje cię gong jak powalonego boksera. Właśnie tak się stało ze mną.

– Bałeś się go?

– Tak – przyznał Røed. – Bałem. Ale jednocześnie go kochałem. A przede wszystkim – przyłożył pustą szklankę do czoła – chciałem być kochany przez niego. Wiesz, z radością pozwoliłbym mu się zabić, gdybym tylko wiedział, że mnie kocha.

42

Piątek

Terry’emu Våge opadały powieki. Źle spał. A poza tym był w złym humorze. Tak czy owak, nikt nie lubi konferencji prasowych, które zaczynają się o dziewiątej rano. A może się mylił, bo pozostali dziennikarze w dużej sali konferencyjnej komendy wyglądali na irytująco pełnych energii. Nawet Mona Daa – miejsca obok niej były już zajęte, kiedy przyszedł – wyglądała na w pełni obudzoną i skoncentrowaną. Na próżno usiłował nawiązać z nią kontakt wzrokowy. Również inni nie poświęcili mu uwagi, gdy wszedł do sali. Nie spodziewał się wprawdzie owacji na stojąco, ale można chyba liczyć na odrobinę szacunku, kiedy poszło się w środku nocy do lasu, ryzykując spotkanie z seryjnym zabójcą. I kiedy się wróciło żywym ze zdjęciami, które zostały już sprzedane na cały świat. Na razie ciągle jeszcze był jak Adam w raju. A jeśli chciał w nim pozostać, to powinien był wygrać, zdobyć ten wywiad na wyłączność. Niestety, tę sensację wszech czasów odebrano mu w ostatniej chwili. A więc tak, miał dzisiaj większe niż tamci powody do złości. Na dodatek wczoraj wieczorem zadzwoniła Dagnija i oświadczyła, że jednak nie może przyjechać na weekend. Kiedy mu o tym powiedziała, nie był wcale przekonany, że faktycznie nie może. Oczywiście tym bardziej zaczął naciskać na to, by przyjechała, i usiłował ją przekonywać, co zakończyło się kłótnią.

– Kevin Selmer – odezwała się Katrine Bratt z podium. – Zdecydowaliśmy się podać nazwisko do publicznej wiadomości, ponieważ podejrzany nie żyje, ponieważ sprawa dotyczy bardzo poważnego przestępstwa i ponieważ chcemy oficjalnie uwolnić od podejrzeń inne osoby, które znalazły się w centrum zainteresowania policji.

Terry Våge patrzył, jak inni dziennikarze notują pilnie. Kevin Selmer. Przeszukiwał własny mózg. Listę właścicieli samochodów miał w domu na komputerze, lecz tak na szybko nie potrafił skojarzyć tego nazwiska. No ale jego

pamięć nie była już taka jak dawniej, kiedy umiał wyliczyć członków wszystkich ważnych zespołów oraz tytuły i lata wydania płyt od roku 1960 do... hm... 2000?

– Oddaję teraz głos Helgemu Forfangowi z Instytutu Medycyny Sądowej – oznajmił rzecznik prasowy Kedzierski.

Terry Våge się zdziwił. Co go zdziwiło? Pewnie to, że obecność patologów na konferencji prasowej była rzeczą niezwykłą. Z reguły jedynie streszczano ich raporty. Zdziwiło go także to, o czym mówił Forfang. Że co najmniej jedna z ofiar została zainfekowana przez zabójcę zmutowanym bądź zmodyfikowanym pasożytem. Oraz że sam zabójca również był zainfekowany.

– Wczorajsza sekcja Kevina Selmera wykazała wysokie stężenie pasożytniczego pierwotniaka Toxoplasma gondii w jego organizmie. Było ono na tyle wysokie, iż można ze stosunkowo dużą pewnością stwierdzić, że to pasożyt stanowił przyczynę zgonu, a nie samookaleczenie. Pozostanie to w sferze spekulacji, można jednak przypuszczać, że Kevin Selmer był żywicielem ostatecznym pasożyta i przez pewien czas zdołał kontrolować jego populację, może za pomocą środka przeciwpasożytniczego, ale tutaj pewności nie mamy.

Kiedy umożliwiono zadawanie pytań, Terry Våge wstał i wyszedł. Dowiedział się tego, co musiał wiedzieć. Już się nie dziwił. Pozostawało tylko wrócić do domu i uzyskać potwierdzenie.

Sung-min przeszedł przez kantynę na taras. Zawsze zazdrościł pracownikom Budynku Policji tego widoku ze szczytu szklanego pałacu. Zwłaszcza w taki dzień jak ten, kiedy Oslo pławiło się w blasku słońca i nagle wróciła przyjemna temperatura. Podszedł do Katrine i Harry’ego, którzy stali przy balustradzie, każde ze swoim papierosem.

– Nie wiedziałem, że palisz. – Uśmiechnął się do Katrine.

– Nie, nie. – Odpowiedziała uśmiechem. – Wyłudziłam tego jednego od Harry’ego, żeby uczcić rozwiązanie sprawy.

– Masz zły wpływ na ludzi, Harry.

– Wiem. – Harry podsunął mu paczkę cameli.

Sung-min się zawahał.

– Czemu nie? – zdecydował w końcu i wziął papierosa, którego Harry mu przypalił.

– A ty jak zamierzasz uczcić to zwycięstwo? – spytała Katrine.

– Uczcić jak uczcić – odparł Sung-min. – Jestem umówiony na kolację. A ty?

– Ja też. Arne kazał mi przyjechać do restauracji Frognerseteren. To ma być niespodzianka.

– Restauracja położona wysoko, na skraju lasu, z pięknym widokiem. Zapowiada się bardzo romantycznie.

– Na pewno. – Katrine z fascynacją przyglądała się dymowi, który wydmuchiwała przez nos. – Tylko że niezbyt lubię niespodzianki. A ty, Harry? Miałeś jakieś plany, żeby to uczcić?

– Miałem. Alexandra zaprosiła mnie na dach Instytutu Medycyny Sądowej. Ona i Helge planują wypić tam butelkę wina i stamtąd podziwiać zaćmienie Księżyca.

– Ach, Krwawy Księżyc – przypomniał sobie Sung-min. – Wieczorem ma być dobra widoczność.

– Ale? – Katrine znów zwróciła się do Harry’ego.

– Ale zobaczymy – odparł. – Mam złe wieści. Dzwoniła żona Stålego. Pogorszyło mu się i chciał, żebym przyszedł. Pewnie zostanę u niego tak długo, jak będzie miał siłę.

– Ech.

– No właśnie. – Harry mocno zaciągnął się dymem.

Przez chwilę stali w milczeniu.

– Widzieliście, jak nas dzisiaj pochwalił minister sprawiedliwości we własnej osobie? – spytała Katrine jadowitym tonem.

Pokiwali głowami.

– Aha, jeszcze tylko jedna rzecz, zanim pójdę – powiedział Harry. – Røed przyznał mi się wczoraj, że wcale nie był z Susanne tamtego dnia, kiedy została zabita. A ja mu wierzę.

– Ja też – potwierdził Sung-min, który z papierosem w ręku nagle przesadnie wygiął nadgarstek, czego zwykle unikał.

– Dlaczego? – zainteresowała się Katrine.

– Ponieważ on ewidentnie woli mężczyzn od kobiet – wyjaśnił Sung-min. – Obstawiam, że jego małżeńskie pożycie intymne z Helene polegało wyłącznie na wypełnianiu obowiązków.

– Mhm. Czyli wierzymy mu. Wobec tego w jaki sposób ślina Røeda znalazła się na piersi Susanne?

– Rzeczywiście – przyznała Katrine. – Sama trochę się zdziwiłam, kiedy Røed wystąpił z tą historią o uprawianiu seksu wcześniej tego dnia i twierdził, że ślina miała się tam wtedy pojawić.

– Bo?

– Jak wam się wydaje, co zamierzam zrobić przed dzisiejszym spotkaniem z Arnem? I dotyczy to wszystkich moich randek, bez względu na to, czy zapowiada się seks, czy nie.

– Weźmiesz prysznic – stwierdził Sung-min.

– Otóż to. Zdziwiło mnie, że Susanne się nie wykąpała, zanim wsiadła do kolejki na Skullerud. W każdym razie jeśli wcześniej uprawiała seks.

– Wobec tego ponawiam pytanie – powiedział Harry. – Skąd wzięła się ta ślina?

– Hm... Seks już po śmierci? – podsunął Sung-min.

– Teoretycznie to możliwe – odparł Harry. – Ale mało prawdopodobne. Pomyślcie o tym, jak starannie i ze wszystkimi szczegółami zaplanowano te trzy zabójstwa. Wydaje mi się, że morderca umieścił ślinę Røeda na piersi Susanne, żeby skierować uwagę policji w niewłaściwą stronę.

– Niewykluczone – zgodził się Sung-min.

– Ja to kupuję – oświadczyła Katrine.

– Ale oczywiście nigdy nie uzyskamy odpowiedzi – zauważył Harry.

– Racja, wszystkich odpowiedzi nie dostaniemy nigdy – potwierdziła Katrine.

Jeszcze przez chwilę postali z zamkniętymi oczami w słońcu, jakby wiedzieli, że to ostatni ciepły dzień, jaki może im dać ten rok.

Jonathan spytał ją tuż przed zamknięciem. Stał przy klatkach z królikami, a pytanie padło jakby od niechcenia. Czy Thanh ma jakieś plany na wieczór?

Gdyby wyczuła jakiekolwiek niecne zamiary, oczywiście odparłaby, że tak, ale ponieważ niczego takiego nie wychwyciła, odpowiedziała – zgodnie z prawdą – że żadnych planów nie ma.

– Świetnie. Wobec tego chciałbym, żebyś wybrała się ze mną w jedno miejsce.

– Miejsce?

– Coś ci tam pokażę. Ale to tajemnica, więc nikomu o tym nie mów. Dobrze?

– No...

– Zabiorę cię z domu.

Thanh poczuła nadciągającą panikę. Nie chciała jechać w żadne miejsce. A już na pewno nie z Jonathanem. Co prawda chyba przestał się złościć o ten spacer z policjantem i jego psem. Wczoraj przyniósł jej nawet wielki kubek kawy, czego wcześniej nie robił. Ale Thanh wciąż trochę się go bała. Tak trudno było go rozszyfrować, a uważała się za całkiem niezłą w ocenianiu ludzi.

Teraz jednak sama pozwoliła zapędzić się w kozi róg. Oczywiście mogła powiedzieć, że zapomniała, że jest już z kimś umówiona, ale Jonathan jej nie uwierzy, poza tym w ogóle nie potrafiła kłamać. No i mimo wszystko był jej szefem, a ona potrzebowała tej pracy. Nie za każdą cenę, rzecz jasna, ale za pewną cenę owszem. Przełknęła nerwowo ślinę.

– Co chcesz mi pokazać?

– Coś, co ci się spodoba – odparł.

Czyżby był urażony, ponieważ nie zgodziła się od razu?

– A co takiego?

– To ma być niespodzianka. Może być o dziewiątej?

Musiała podjąć decyzję. Popatrzyła na Jonathana. Spojrzała na tego dziwnego, zamkniętego w sobie mężczyznę, którego się bała. Poszukała jego spojrzenia, jakby ono mogło dać jej odpowiedź. I wówczas dostrzegła coś, czego nie widziała nigdy wcześniej. To nie było nic wielkiego, jedynie próba uśmiechu, który jakby mu się wymknął, jakby za tą swoją twardą fasadą jej szef się denerwował. Czyżby się bał, że odmówi? Może dlatego naraz poczuła, że wcale aż tak bardzo się go nie boi.

– Dobrze – powiedziała. – O dziewiątej.

On nagle jakby odzyskał kontrolę nad sobą. I się uśmiechnął. Tak, uśmiechnął się. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek wcześniej widziała u niego taki uśmiech. Taki ładny uśmiech.

Ale kiedy jechała kolejką do domu, znów opadły ją wątpliwości. Nie była pewna, czy mądrze postąpiła, zgadzając się na to. I jedna rzecz trochę ją dziwiła. Chociaż może nie aż tak bardzo. Powiedział, że po nią przyjedzie, choć nie spytał, gdzie mieszka. A ona nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek mu o tym mówiła.

43

Piątek. Alibi

Sung-min wyszedł spod prysznica i zobaczył, że dzwoni telefon, który się ładował.

– Dzień dobry, panie Larsen. Mówi Mona Daa z „VG”.

– Dobry wieczór.

– Aha, pan uważa, że jest już wieczór? Przepraszam, jeśli zakończył pan już na dzisiaj dzień pracy, ale chciałam uzyskać parę komentarzy od osób, które były zaangażowane w to śledztwo. O tym, jak się pracowało i jakie to uczucie ostatecznie rozwiązać sprawę. Rozumiem, że to musi być wielka ulga i triumf, zarówno dla pana, jak i dla KRIPOS, bo przecież KRIPOS uczestniczyła w śledztwie od samego początku, kiedy Susanne Andersen zaginęła trzydziestego sierpnia.

– Uważam panią za dobrą dziennikarkę od spraw kryminalnych, dlatego odpowiem krótko na pani pytania.

– Bardzo dziękuję. Pierwsze jest takie...

– Na te, które pani już zadała. Tak, jest już wieczór, a mój dzień pracy dobiegł końca. Nie, nie udzielę pani żadnych komentarzy. Żeby je uzyskać, musi pani zadzwonić do Katrine Bratt, która kierowała śledztwem. Albo do mojego szefa Olego Wintera. I nie, KRIPOS nie uczestniczyła w śledztwie od samego początku, kiedy zgłoszono zaginięcie Susanne Andersen, dnia... hm...

– Trzydziestego sierpnia – dokończyła Mona Daa.

– Dziękuję. Wtedy jeszcze nie byliśmy w to zaangażowani. To nastąpiło dopiero po zaginięciu drugiej kobiety, kiedy stało się jasne, że mamy do czynienia z zabójstwem.

– Jeszcze raz przepraszam, panie Larsen. Zdaję sobie sprawę, że naciskam, ale na tym polega moja praca. Czy mogę uzyskać chociaż jeden krótki komentarz, coś najzupełniej ogólnego, i wykorzystać pańskie zdjęcie?

Sung-min Larsen westchnął. Domyślał się, o co jej chodzi: o różnorodność. O zdjęcie osoby z policji, niebędącej etnicznym Norwegiem-mężczyzną-hetero-w wieku ponad pięćdziesięciu lat. Przynajmniej trzy z tych punktów dało się zakreślić. Sung-min absolutnie nie był przeciwny różnorodności w mediach, ale wiedział też, że jeśli zgodzi się uchylić te drzwi, to nagle znajdzie się na kanapie w telewizyjnym studiu i będzie musiał opowiadać słynnemu prowadzącemu, jak to jest być gejem w policji. Oczywiście ktoś powinien to zrobić. Ale nie on.

Odmówił. Mona Daa powiedziała, że rozumie, i jeszcze raz przeprosiła. Miła kobieta.

Kiedy się rozłączyli, Sung-min nadal spoglądał przed siebie. Przeszedł go dreszcz. Owszem, był nagi, ale nie dlatego. To znów rozdzwonił się sygnał alarmowy w jego głowie, ten sam, który odezwał się w areszcie. Dzwonił głośno. Tego dzwonka nie uruchomiły słowa Grotha o tym, że Beckstrøm wydawał się jakiś odmieniony, kiedy stamtąd wychodził. Chodziło o coś innego. O coś zupełnie – i konkretnie – innego.

Terry Våge siedział wpatrzony w ekran komputera. Jeszcze raz sprawdzał nazwiska.

To oczywiście mógł być przypadek. Kiedy przychodziło co do czego, Oslo okazywało się małym miastem. Ostatnie godziny poświęcił na podejmowanie decyzji. Co powinien zrobić? Zgłosić się na policję czy jednak zrealizować pierwotny plan? Zastanawiał się nawet, czy nie zadzwonić do Mony Daa i nie wtajemniczyć jej w swój zamysł, a jeśli, jak podejrzewał, mieli jackpot, nie opublikować artykułu w największej gazecie w kraju. Ich wspólna przygoda. Czy to nie byłoby coś? Ale nie, Mona zawsze chciała być w porządku. Uparłaby się przy telefonie na policję, co do tego miał w zasadzie pewność. Gapił się w swoją komórkę, w którą już wstukał numer. Wystarczyło wcisnąć właściwą ikonkę. Przedyskutował to ze sobą do końca, a decydujący argument okazał się następujący: to mógł być przypadek. Terry nie miał absolutnie żadnych dowodów, które mógłby przedstawić policji, zatem chyba wolno mu dalej grzebać w tej sprawie na własną rękę? Na co więc czekał? Czyżby się bał? Zaśmiał się cicho. Cholera, oczywiście, że się bał. Mocno przycisnął palcem ikonkę słuchawki.

W trakcie łączenia słyszał swój ciężki oddech. Przez chwilę chyba nawet miał nadzieję, że nikt nie odbierze, a nawet jeśli, że to nie będzie on.

– Tak?

Rozczarowanie i ulga. Głównie jednak rozczarowanie. To nie był on. To nie ten głos słyszał w telefonie dwa razy wcześniej. Terry Våge wziął głęboki oddech. Już wcześniej postanowił, że bez względu na wszystko i tak zrealizuje swój plan, żeby rozwiać wszelkie wątpliwości.

– Mówi Terry Våge. – Udało mu się zapanować nad drżeniem głosu. – Rozmawialiśmy już wcześniej. Ale zanim się rozłączysz, wiedz, że nie skontaktowałem się z policją. Na razie. I nie zrobię tego, jeśli zgodzisz się ze mną porozmawiać.

Na drugim końcu linii zapadła całkowita cisza. Co to oznaczało? Że człowiek, który odebrał telefon, usiłował rozstrzygnąć, czy dzwoni do niego wariat, czy może jakiś kumpel próbuje mu zrobić kiepski żart? Wreszcie, cicho i powoli, padła odpowiedź, wypowiedziana zupełnie innym głosem:

– Jak się tego dowiedziałeś, Våge?

To był on. To był ten głęboki, szorstki głos, którym tamten się posługiwał, kiedy dzwonił do Vågego z ukrytego numeru. Prawdopodobnie z niezarejestrowanego telefonu.

Dziennikarz zadygotał. Nie bardzo wiedział, na ile z radości, a na ile z czystego przerażenia. Z trudem przełknął ślinę.

– Wczoraj wieczorem widziałem cię przejeżdżającego obok centrum handlowego Kolsås. Przejechałeś dwadzieścia sześć minut po tym, jak odszedłem z miejsca, w którym zawiesiłeś głowy. Mam wszystkie godziny na zdjęciach.

Długa chwila ciszy.

– Czego chcesz, Våge?

Terry Våge znów głęboko odetchnął.

– Chcę poznać twoją historię. Całą historię. Nie tylko to, co dotyczy zabójstw. Chcę prawdziwego obrazu człowieka, który za tym stoi. To, co się wydarzyło, dotyka bardzo wielu ludzi, nie tylko tych, którzy znali ofiary. A oni muszą zrozumieć, cały kraj musi zrozumieć. Mam nadzieję, że wiesz, że nie chcę cię przedstawić jako potwora.

– Dlaczego?

– Ponieważ potwory nie istnieją.

– Czyżby?

Våge znów przełknął ślinę.

– Oczywiście obiecuję, że pozostaniesz anonimowy.

Krótki śmiech.

– Dlaczego miałbym w to wierzyć?

– Ponieważ – powiedział Våge, ale urwał, żeby odzyskać panowanie nad głosem, i zaczął od nowa: – Ponieważ jestem wyklętym dziennikarzem. Ponieważ siedzę na bezludnej wyspie, a ty jesteś moją ostatnią deską ratunku. Ponieważ nie mam nic do stracenia.

Kolejna pauza.

– A jeśli nie udzielę ci żadnego wywiadu?

– To mój następny telefon będzie na policję.

Våge czekał.

– Dobrze. Spotkajmy się w Weissie, na tyłach Muzeum Muncha.

– Wiem, gdzie to jest.

– Punktualnie o szóstej.

– Dzisiaj? – Spojrzał na zegarek. – To już za czterdzieści pięć minut.

– Jeśli przyjdziesz za wcześnie albo za późno, wyjdę.

– W porządku, w porządku. Widzimy się o szóstej.

Rozłączył się. Trzy razy głęboko odetchnął z drżeniem. W końcu porwał go śmiech. Dziennikarz oparł czoło o klawiaturę, dłonią waląc w blat biurka. Idźcie do cholery! Idźcie do cholery, wszyscy co do jednego!

Harry i Øystein siedzieli po obu stronach łóżka, kiedy drzwi się uchyliły i do środka wśliznął się Truls.

– Co z nim? – spytał szeptem, wziął sobie krzesło i spojrzał na Stålego, który leżał blady, z zamkniętymi oczami.

– Możesz spytać mnie – odezwał się Aune ostro i otworzył oczy. – Czuję się średnio. Poprosiłem Harry’ego, żeby przyszedł, ale czy wy dwaj nie macie lepszych zajęć w piątkowy wieczór?

Truls i Øystein spojrzeli na siebie.

– Nie – oświadczył Øystein.

Aune z rezygnacją pokręcił głową.

– O czym mówiłeś, Eikeland?

– No... – zaczął Øystein. – Miałem kurs taksówką z Oslo do Trondheim. Pięćset kilometrów. A ten gość cały czas puszczał płytę z Careless Whisper na fletnię Pana. I w samym środku gór Dovre wybuchłem. Wyjąłem płytę z odtwarzacza, opuściłem szybę...

Zadzwonił telefon Harry'ego. Spodziewał się, że to Alexandra, która chce zapytać, czy Harry zdąży na zaćmienie Księżyca o dwudziestej drugiej trzydzieści pięć, ale zobaczył, że to Sung-min. Po cichu wyszedł na korytarz.

– Tak, Sung-min?

– Nie. Powiedz „proszę mówić".

– Proszę mówić.

– Dobrze, będę mówił, bo to się nie zgadza.

– Co się nie zgadza?

– Kevin Selmer. On ma alibi.

– Tak?

– Byłem w areszcie i tam leżało to alibi. Bilet Selmera na Romeo i Julię. Gdybym miał chociaż trochę skuteczniej działający mózg, zrozumiałbym to już wtedy. To znaczy mój mózg próbował mi dać o tym znać, ale ja go nie słuchałem. Zorientowałem się dopiero, kiedy Mona Daa podała mi datę przez telefon.

Sung-min zawiesił głos.

– Tego dnia, kiedy zgłoszono zaginięcie Susanne Andersen – podjął po chwili – Kevin Selmer był na Romeo i Julii w Teatrze Narodowym. Prześledziłem drogę tego biletu. To jeden z biletów sponsorskich, które przesłano Markusowi Røedowi, taki sam miała Helene.

– Owszem, mówiła mi nawet, że rozdała ich sporo na imprezie. Selmer pewnie też dostał od niej bilet. Uznałem, że właśnie wtedy się dowiedział, kiedy Helene wybiera się do teatru, bo jej bilet wisiał na drzwiach lodówki.

– No tak, ale to nie on. Jeśli to ten sam człowiek, który zabił Susanne Andersen. Bo teatr odnalazł osoby, które siedziały tamtego wieczoru obok Selmera. I te osoby potwierdzają, że sąsiednie miejsce zajmował mężczyzna odpowiadający jego

rysopisowi. Zapamiętały go, bo cały czas siedział w parce. I nie zniknął podczas przerwy.

Harry był zaskoczony. Ale najbardziej zaskoczony tym, że nie jest zaskoczony bardziej.

– Wracamy na start – stwierdził. – To tamten drugi. Zielony.

– Słucham?

– Zabójca to ten amator z zieloną koką. To jednak on. Niech to diabli.

– Mówisz tak... jakbyś był pewien.

– Jestem pewien. Ale na twoim miejscu nie ufałbym kolesiowi, który pomylił się tyle razy co ja. Muszę zadzwonić do Katrine. I do Krohna.

Rozłączyli się.

Katrine właśnie kładła Gerta spać, kiedy odebrała telefon, więc Harry tylko w krótkich słowach powiadomił ją o nowej sytuacji. Później zadzwonił do Krohna i wyjaśnił, że wszystko wskazuje na to, iż sprawa jednak nie jest rozwiązana.

– Zamknij Røeda w areszcie domowym. Nie wiem, co ten gość planuje, ale zrobił nas całkowicie w balona, więc musimy przedsięwziąć wszelkie środki bezpieczeństwa.

– Dzwonię do Guardiana – oświadczył Krohn. – Dziękuję.

44

Piątek. Wywiad

Prim spojrzał na zegarek.

Za minutę szósta.

Zajął miejsce przy jednym ze stolików przy oknie w Weissie. Miał stąd widok na stojące przed nim dwie świeżo nalane półlitrowe szklanki piwa, na Muzeum Muncha oświetlone niskim słońcem i na budynek, gdzie odbyła się tamta urządzana na tarasie na dachu impreza, na którą wszedł z ulicy.

Za pół minuty szósta.

Powiódł wzrokiem dookoła. Goście wyglądali na takich radosnych. Stali albo siedzieli w grupkach, uśmiechali się, rozmawiali, poklepywali się po ramionach. Przyjaciele. Przyjemnie to wyglądało. Przyjemnie było mieć kogoś. Przyjemnie będzie kogoś mieć. Ją. Będą chodzić na piwo, a Jej przyjaciele zostaną jego przyjaciółmi.

Wszedł mężczyzna w kapeluszu typu pork pie. Terry Våge. Zatrzymał się i rozejrzał, podczas gdy drzwi za nim się zasunęły. W pierwszej chwili nie zauważył dyskretnego skinienia ręką Prima. Pewnie wzrok musiał mu się przyzwyczaić do półmroku panującego w lokalu. Zaraz jednak lekko kiwnął głową i skierował się do stolika Prima. Wyglądał blado i był zdyszany.

– Ty jesteś...

– Tak. Siadaj, Våge.

– Dziękuję. – Dziennikarz zdjął kapelusz. Czoło błyszczało mu od potu. Ruchem głowy wskazał na piwo stojące po jego stronie stolika. – To dla mnie?

– Zamierzałem wyjść, kiedy tylko piana opadnie poniżej brzegu szklanki.

Våge zachichotał w odpowiedzi. Napili się. Odstawili szklanki i wierzchem dłoni wytarli pianę z warg niemal zsynchronizowanym gestem.

– Wreszcie siedzimy razem – powiedział Våge. – I pijemy jak dwaj starzy przyjaciele.

Prim rozumiał, co dziennikarz usiłuje zrobić. Przełamać lody. Zyskać zaufanie. Jak najszybciej zdobyć jego sympatię.

– Tak jak oni? – Pokazał na hałaśliwych ludzi przy barze.

– Nie, ci to szczury biurowe. Piątkowe piwo jest dla nich punktem kulminacyjnym tygodnia, zanim wrócą do domu, do swojego śmiertelnie nudnego życia rodzinnego. No wiesz, zjeść tacos z dzieciakami, położyć je spać i popatrzeć w telewizor razem z tą samą kobietą, dopóki znudzą się na tyle, żeby zasnąć. A rano znów wstać, znów słuchać marudzenia dzieci i wybrać się z nimi na plac zabaw. Przypuszczam, że twoje życie wygląda inaczej.

Rzeczywiście, pomyślał Prim. Ale może właśnie takim życiem chciałbym żyć. Z Nią.

Våge wiedział, że nie będzie miał okazji za dużo wypić, kiedy już wyjmie notatnik, więc wziął jeszcze jeden duży łyk. Dżizas, ależ on potrzebował tego piwa!

– A co ty wiesz o moim życiu, Våge?

Dziennikarz spojrzał na tamtego, próbował go rozszyfrować. Czy to opór? Czy popełnił głupstwo, odzywając się z taką bezpośredniością na samym początku? Tego rodzaju wywiad zazwyczaj bywa bardzo delikatnym tańcem. Chciał przecież, żeby rozmówcy czuli się bezpiecznie, postrzegali go jako wyrozumiałego przyjaciela, otwierali się i mówili takie rzeczy, jakich w innej sytuacji by nie powiedzieli. A konkretnie rzeczy, których później będą żałować. Czasami jednak bywał zbyt pazerny, nachalny i łatwy do przejrzenia.

– Wiem trochę – odparł. – Wprost trudno uwierzyć, co można znaleźć w internecie, kiedy umie się szukać.

Zorientował się, że głos tamtego brzmi inaczej niż przez telefon. I że on czymś pachnie. Czymś, co przywodziło na myśl letnie wakacje w dzieciństwie. Stodoła wuja, zapach przepoconych końskich uprzęży. Våge poczuł lekkie ukłucie w żołądku. To pewnie ten stary wrzód. Zdarzało się, że się odzywał po okresach złych nawyków i stresu. Albo kiedy pił za szybko, tak jak teraz. Odsunął szklankę i położył notatnik na stole.

– Opowiedz, jak to się zaczęło.

Prim nie bardzo wiedział, od jak dawna już mówił, gdy wreszcie wyjawił, że wuj był również jego biologicznym ojcem, lecz że tę prawdę poznał dopiero, kiedy matka spłonęła w pożarze.

– Chów wsobny w pierwszym pokoleniu nie musi być wcale aż tak fatalny w skutkach, przeciwnie, może przynieść znakomite rezultaty. To w przeciągającym się chowie wsobnym defekty rodzinne się uwidaczniają. Zauważyłem, że pewne specjalne cechy mamy z wujem Fredrikiem wspólne. Drobiazgi, takie jak pocieranie środkowym palcem kącika ust podczas zamyślenia. A także rzeczy istotniejsze, takie jak to, że obaj mieliśmy wysokie IQ. Ale dopiero kiedy zacząłem się zagłębiać w życie zwierząt i ich hodowlę, dostrzegłem związek i wysłałem próbki DNA pobrane od nas obu. Myśli o zemście nawiedzały mnie już wcześniej. Chciałem poniżyć swojego ojczyma, tak jak on poniżył mnie. Pośrednio odebrał też życie mojej matce. Teraz zrozumiałem, że zrobili to we dwóch, wuj Fredric również porzucił ją i mnie w potrzebie. Podarowałem mu więc na Gwiazdkę bombonierkę. Wuj Fredric uwielbia czekoladki. Wstrzyknąłem do nich podgatunek Angiostrongylus cantonensis, szczurzego nicienia płucnego, który lubuje się szczególnie w ludzkich mózgach i którego można znaleźć jedynie w śluzie ślimaków z Mount Kaputar. Rezultatem jest powolna bolesna śmierć po pogłębiającej się demencji. Ale widzę, że cię nudzę. Przejdźmy więc do meritum. Poświęciłem lata na wyhodowanie własnego wariantu Toxoplasma gondii, a kiedy był gotowy, mój plan zaczął nabierać kształtu. Pierwszym i największym problemem było zbliżenie się do Markusa Røeda, żeby zarazić go pasożytem. Bogaci ludzie są o wiele mniej dostępni, znacznie trudniej się do nich przedostać. Jako dziennikarz na pewno o tym wiesz. Jest tak na przykład, gdy chcesz poprosić jakąś gwiazdę rocka o parę słów, prawda? Rozwiązanie pojawiło się mniej lub bardziej przypadkowo. Nie wychodzę często na miasto, ale dowiedziałem się, że na tarasie domu, w którym mieszka Røed, ma być zorganizowana impreza. Czyli tam, na górze. – Prim pokazał przez okno. – A jednocześnie w pracy wpadła mi w ręce partia zielonej kokainy, z której, jak się zorientowałem, mogłem trochę skubnąć. Znasz to określenie? No więc domieszałem do niej nieco swoich ulubionych Toxoplasma gondii. Nie za dużo, tylko tyle, żebym miał pewność, że osiągnę pożądany efekt, kiedy Røed wchłonie narkotyk. Zamierzałem odczekać kilka dni po imprezie i znów do niego przyjść. To by wystarczyło, żeby zwęszył mnie,

żywiciela ostatecznego, i nie był w stanie mnie odrzucić. Przeciwnie, zrobiłby wszystko, o co bym go poprosił, bo w głowie miałby tylko jedną jedyną myśl: wyruchać mnie. Może nie miałem już tego chłopięcego tyłeczka, którego tak pragnął, ale nikt, kto ma te pasożyty w mózgu, nie jest w stanie oprzeć się żywicielowi ostatecznemu.

Wokół łóżka w sali sześćset osiemnaście znów zebrała się Grupa Aunego.

Harry wyjaśnił, jak sprawa wygląda w nowym świetle.

– Ale to się przecież, do jasnej cholery, nie zgadza! – krzyknął Øystein. – Bertine miała w zębach kawałek naskórka Selmera. Skąd miałby się tam wziąć?

– Może bzykała się z nim wcześniej tego dnia, kiedy zaginęła – podsunął Truls.

Harry pokręcił głową.

– Zielony go tam umieścił. Tak samo jak umieścił ślinę Røeda na piersi Susanne.

– W jaki sposób? – spytał Truls.

– Nie wiem. Ale tak musiało być. Zrobił to, żeby nas wywieść w pole. I zadziałało.

– Niezła teoria. – Øystein się skrzywił. – Ale kto umieszcza ślady DNA? Kto, u diabła, bawi się w coś takiego?

– Mhm. – Harry popatrzył na Øysteina zamyślony.

– Niestety na tej imprezie nie wszystko poszło zgodnie z planem. – Prim westchnął. – Kiedy szykowałem kreski na stole w salonie, ten drugi handlarz, Kevin Selmer, jak przeczytałem później w gazecie, powiedział, że nigdy wcześniej nie próbował zielonej kokainy, tylko o niej słyszał. Oczy mu się zaświeciły, a kiedy kreski już były usypane, podskoczył, żeby wciągnąć pierwszą. Złapałem go za ramię i odciągnąłem, musiałem mieć pewność, że wystarczy dla Røeda. Podrapałem go... – Spojrzał na swoją rękę. – Pod paznokciami zostały mi krew i naskórek. Później po powrocie do domu wydłubałem to i schowałem do słoiczka. Nigdy nie wiadomo, co się może przydać. W każdym razie problemy na imprezie dalej się mnożyły. Røed się uparł, że najpierw muszą wciągnąć po kresce jego dwie młode przyjaciółki. Nie ryzykowałem protestu, a te dziewczyny były przynajmniej na tyle dobrze wychowane, żeby wciągnąć dwie cieńsze kreski z przygotowanych trzech. Kiedy przyszła kolej Røeda, wparowała Helene, jego żona, i zaczęła krzyczeć.

Może przez to tak się zestresował, że kichnął i zdmuchnął całą kokainę. Nastąpił kryzys, bo nie miałem przy sobie więcej. Dlatego pobiegłem do kuchni, znalazłem ścierkę i starłem resztki kokainy ze stolika i z podłogi. Pokazałem tę ścierkę Røedowi i zaproponowałem, że mogę mu z tego usypać kreskę, ale on powiedział, że jest w niej tyle śliny i smarków, że woli kokainę od K., to znaczy od Kevina. Kevin był na mnie wściekły, więc obiecałem, że dam mu spróbować innym razem. Ucieszył się i wyjaśnił, że chociaż sam właściwie nie bierze, to jednak każdy od czasu do czasu ma ochotę coś przetestować. Nie chciał wyjawić, jak się nazywa ani gdzie mieszka. Ale mówił, że zastanę go na Jernbanetorget w zwykłych godzinach pracy, jeśli będę chciał wymienić trochę swojej kokainy na jego. Mówiłem „aha” i „dobra”, ale akurat wtedy myślałem, że nigdy więcej się nie zobaczymy. W każdym razie ta impreza była jedną wielką katastrofą. Podszedłem do blatu kuchennego, żeby wypłukać i odłożyć ścierkę, i wtedy zobaczyłem coś na drzwiach lodówki. Bilet na przedstawienie Romea i Julii. Taki sam jak te, które żona Røeda rozdawała na tarasie. Schowałem swój do kieszeni, nie miałem zamiaru iść, i widziałem, że Kevin też dostał bilet. Ale właśnie wtedy mój mózg zaczął pracować nad planem B. A mój mózg pracuje szybko, Våge. To niewiarygodne, ile ruchów do przodu mózg jest w stanie przewidzieć, gdy znajdzie się pod presją. A mój, tak jak mówiłem, był i szybki, i pod presją. Nie wiem, jak długo tam stałem, raczej nie dłużej niż minutę, może dwie. W końcu schowałem ścierkę do kieszeni i podszedłem do tamtych dziewczyn. Obie były mi przychylne po tej porcji kokainy, którą ode mnie dostały, i wyciągnąłem od nich tyle informacji, ile tylko zdołałem. Nie osobistych, ale takich, które mogły mi powiedzieć, gdzie znajdę te dziewczyny. Susanne zastanawiała się, dlaczego ciągle noszę maseczkę, Bertine chciała więcej kokainy. Ale pojawili się inni mężczyźni, którymi obydwie były ewidentnie bardziej zainteresowane niż mną. Wróciłem jednak do domu jako szczęśliwy człowiek. Wiedziałem przecież, że już za kilka dni pasożyty przemieszczą się do ich mózgów, a kiedy dziewczyny poczują mój zapach, będą krzyczeć z radości jak nastolatki na koncercie boysbandu. – Prim się roześmiał i podniósł szklankę w stronę Vågego.

– Czyli pytanie brzmi – powiedział Harry – gdzie zaczynamy szukać tego Zielonego.

Truls zaburczał coś pod nosem.

– Tak, Truls?

Wydał z siebie jeszcze kilka dźwięków, zanim wreszcie zdołał się odezwać:

– Jeżeli on zdobył zieloną kokainę, to musimy sprawdzić tych, którzy mieli do czynienia z tą partią, zanim została przekazana do analizy. To znaczy ludzi z lotniska i z magazynu rzeczy zatrzymanych. Aha, i nas, którzy wieźliśmy ją z Gardermoen do komendy. Ale też tych, którzy przetransportowali tę kokę z magazynu do Wydziału Techniki Kryminalistycznej.

– No dobra – zgodził się Øystein. – Tylko przecież nie ma pewności, że to jedyna partia zielonej kokainy, jaka trafiła do kraju.

– Truls ma rację – zdecydował Harry. – Szukamy najpierw tam, gdzie najjaśniej.

– Tak jak podejrzewałem, nie nadarzyła mi się żadna nowa okazja zbliżenia się do Røeda – ciągnął Prim. – Domieszałem do kokainy wszystkie pasożyty, jakie miałem. A z tymi w moim własnym ciele rozprawiły się układ immunologiczny i lekkie przedawkowanie środka przeciwpasożytniczego. Więc żeby zarazić Røeda, musiałem zdobyć pasożyty od dziewczyn, zanim ich system odpornościowy je pokona. Innymi słowy, należało zjeść nieco mózgu i oczu dziewczyn. Wybór padł na Susanne. Wiedziałem, gdzie trenuje. Ponieważ ludzie nie mają tak rozwiniętego zmysłu węchu jak myszy, musiałem odrobinę wzmocnić swoją atrakcyjność. Nasmarowałem się więc sokami jelitowymi wydestylowanymi z moich własnych odchodów.

Uśmiechnął się szeroko i podniósł głowę. Våge nie odwzajemnił uśmiechu, wpatrywał się tylko w niego z miną wyrażającą niedowierzanie.

– Czekałem na nią przed siłownią i byłem ogromnie spięty. Wypróbowałem pasożyta na zwierzętach, które zwykle unikają ludzi, takich jak lisy i sarny. I zacząłem je przyciągać, szczególnie lisy. Ale nie mogłem mieć pewności, czy to zadziała na ludzi. Susanne wyszła z siłowni, a ja od razu poczułem, że ma na mnie ochotę. Umówiłem się z nią na parkingu koło dróg leśnych w Skullerud. Kiedy nie przyszła o umówionej godzinie, zacząłem się zastanawiać, czy nie popełniłem jakiegoś błędu. Czy może poszła po rozum do głowy, kiedy przestała czuć w nozdrzach zapach wnętrza moich jelit? Ale w końcu się pojawiła. A mnie radość wypełniła serce, możesz mi wierzyć.

Prim wypił łyk ze szklanki, jakby się na coś szykował.

– Weszliśmy do lasu objęci i kiedy oddaliliśmy się od ścieżek, uprawialiśmy seks. Potem poderżnąłem jej gardło. – Poczuł, że jest bliski płaczu, musiał odchrząknąć. – Rozumiem, że oczekiwałbyś w tym miejscu więcej szczegółów, ale chyba sporo takich elementów musiałem wyprzeć. W każdym razie miałem ze sobą słoiczek ze śliną Røeda, którą rozsmarowałem jej na piersi. Ubrałem ją do połowy, żeby deszcz przypadkiem nie spłukał śliny, zanim ciało odnajdzie policja. Wtedy ta ślina wydawała mi się dobrym pomysłem, ale okazało się, że wszystko tylko skomplikowała. – Pociągnął łyk piwa. – Jeśli chodzi o Bertine, było dość podobnie. Spotkałem się z nią przed knajpą, do której, jak powiedziała, często przychodziła. I umówiłem się z nią na Grefsenkollen. Przyjechała autem, a kiedy poprosiłem, żeby zostawiła telefon i wybrała się ze mną szukać przygód moim samochodem, zgodziła się bez wahania. Kierowała nią wyłącznie żądza. Miała ze sobą coś, co nazywała snuff bullet, coś w rodzaju minimłynka do pieprzu, z którego wdycha się kokainę. Namówiła mnie, żebym i ja trochę wciągnął. Powiedziałem, że chcę wziąć ją od tyłu, i założyłem jej na szyję skórzany pasek. Chyba myślała, że to jakaś erotyczna zabawa, i pozwoliła mi na to. Uduszenie jej zajęło mi nieco więcej czasu, niż sądziłem. Ale w końcu przestała oddychać.

Prim westchnął ciężko i pokręcił głową. Otarł łzę.

– Muszę podkreślić, że byłem bardzo staranny w usuwaniu swoich śladów, które mogłaby znaleźć policja. Dlatego zabrałem też ten snuff bullet – DNA z mojego nosa mogło jakoś przedostać się do środka. Nie wiedziałem wtedy, że ta rzecz przyda mi się później. Poza tym przekonałem się już, że jeśli chce się zabrać ze sobą mózg i oczy ofiary, to o wiele mądrzej jest wziąć całą głowę.

Wyprostował nogi pod stolikiem. Miał wrażenie, jakby mu drętwiały.

– W następnych tygodniach zjadałem po kawałeczku mózgu i oczu. Musiałem podtrzymywać rozmnażanie irytująco krótko żyjących pasożytów w oczekiwaniu, aż zbliżę się do Røeda na odległość strzału. Wielokrotnie przesiadywałem przy tym właśnie stoliku, zastanawiając się, czy mam zadzwonić do jego drzwi, powiedzieć, kim jestem, i poprosić o rozmowę. Ale jego stale nie było w domu. Widziałem tylko Helene, jak wchodziła i wychodziła. Może on mieszkał gdzie indziej, nie zdołałem się jednak dowiedzieć gdzie. W tym czasie zjadłem oba mózgi, pasożyty zginęły. Potrzebna mi więc była nowa mysz: Helene Røed. Uznałem, że odbierając ją Markusowi Røedowi, sprawię mu ból – przynajmniej do pewnego stopnia. A wiedziałem o dwóch miejscach, w których mogłem się do niej zbliżyć. W Teatrze

Narodowym, w dniu wypisanym na bilecie na drzwiach lodówki. I w knajpie, która nazywa się U Danielle. Susanne powiedziała mi, że właśnie tam poznała Markusa Røeda, i dodała, że nie rozumie, dlaczego Helene Røed ciągle chodzi na te poniedziałkowe lunche; przecież ona już złowiła swoją grubą rybę. Wybrałem się tam w poniedziałek. I rzeczywiście, Helene Røed się pojawiła. Zamówiłem taki sam drink jak ten, który piła w trakcie imprezy na dachu: Dirty Martini. I dolałem odpowiednią porcję soku z Toxoplasma gondii. Potem przywołałem kelnera, dałem mu dwieście koron i poprosiłem, żeby zaniósł drinka do jej stolika. Wyjaśniłem, że ma wskazać innego fundującego, że to taki żart między znajomymi. Zostałem tam, dopóki nie zobaczyłem, że Helene pije, potem wyszedłem. Darmowy bilet na Romea i Julię wykorzystałem na planowanie. Dowiedziałem się, kiedy jest przerwa oraz że bilet jest potrzebny tylko do wejścia na widownię, a podczas antraktu każdy może się dostać do teatru i wmieszać w publiczność. Następnie zrobiłem to, w czym już, jak uważałem, mam wprawę. Poszedłem tam, przekonałem ją, żeby ze mną poszła i... – Prim skrzywił się i machnął nogą. Nie wiedział, czy trafił w stół, czy w łydkę Vågego. – Następnego dnia ją znaleziono, a Røed został aresztowany. Wtedy zrozumiałem, że strzeliłem sobie w stopę. Doprowadziłem do tego, że go wsadzili, bo chciałem, żeby cierpiał. Ale okazało się, że może siedzieć miesiącami. Musiałem więc to jakoś rozwiązać. Na szczęście mam to... – Postukał się palcem w czoło. – Użyłem mózgu i znalazłem innego winnego, który mógł zająć miejsce Røeda. Handlarza kokainą. Kevina. Miał taką wielką ochotę spróbować zielonej kokainy. Nadawał się idealnie.

45

Piątek. Zadośćuczynienie

Prim, obracając w palcach szklankę, spojrzał na świętującą piątek grupę pracowników biurowych.

– Miałem wąski paseczek naskórka w słoiczku. Naskórka z przedramienia Kevina Selmera. Nie był jedyną osobą, której próbki tkanek posiadałem; zbierałem je i od czasu do czasu wykorzystywałem w swoim projekcie wyhodowania idealnego pasożyta. Zwykłą wykałaczką wepchnąłem skrawek tego naskórka między zęby w odciętej głowie Bertine. No a już ty zadbałeś o to, żeby dowód trafił w ręce policji. Ale liczyłem się też z tym, że prędzej czy później odkryją, że zwłoki były zainfekowane pasożytem Toxoplasma gondii. A jeśli ktoś zrozumie związek, zacznie się pościg za żywicielem ostatecznym. Czy mogłem doprowadzić do tego, by Kevin uchodził zarówno za zabójcę, jak i za głównego żywiciela? Przepraszam, jeśli to zabrzmi odrobinę zarozumiale, ale rozwiązanie było równie proste, jak genialne. Przygotowałem stuprocentowo śmiertelną mieszankę zielonej kokainy i moich pasożytów. Załadowałem ją do snuff bullet Bertine i poszedłem na Jernbanetorget do Kevina, żeby dokonać handlu zamiennego, który mu obiecałem na imprezie. Był zachwycony. Zwłaszcza że przy okazji dostał też snuff bullet. Mogę sobie tylko wyobrażać bóle brzucha, jakie czuł przed śmiercią. Przypuszczam, że ja sam usiłowałbym się doprowadzić do utraty przytomności.

Prim dopił piwo.

– To był długi monolog, więc dość o mnie, Terry. A jak to wygląda u ciebie? – Wychylił się nad stołem. – Ale tak naprawdę. Czujesz się... sparaliżowany? Bo to się dzieje bardzo szybko, kiedy się pije piwo zawierające tak wysokie stężenie Toxoplasma gondii. Jeszcze wyższe niż u Kevina. Po kilku minutach nie jesteś w stanie ruszyć nawet palcem. Ani wydać z siebie żadnego odgłosu. Ale widzę, że ciągle oddychasz. Oddech i serce przestają działać na końcu. No i mózg. Dlatego

wiem, że mnie słyszysz. Wezmę teraz od ciebie klucze do domu i zabiorę stamtąd komputer. Wrzucę go razem z twoim telefonem do fiordu.

Prim wyjrzał przez szybę. Światło dzienne znikało.

– Zobacz, w mieszkaniu mojego ojczyma się świeci. Został teraz sam. Myślisz, że miałby ochotę na wizytę?

Było trochę po wpół do siódmej wieczorem, kiedy Markus Røed usłyszał dzwonek do drzwi.

– Spodziewa się pan gościa? – zapytał jeden z dwóch ochroniarzy.

Røed pokręcił głową. Ochroniarz wyszedł z salonu do przedpokoju, gdzie był domofon.

Røed skorzystał z okazji, że starszy z nich opuścił salon.

– Gdzie chciałbyś pracować, jak już skończysz z ochroną?

Młody chłopak spojrzał na niego. Miał długie rzęsy i łagodne piwne oczy. Niepotrzebnie rozrośnięte mięśnie kompensowała twarz o naiwnych dziecinnych rysach. Przy odrobinie dobrej woli i wyobraźni mógłby uchodzić za pięć–sześć lat młodszego.

– Nie wiem – odparł, wodząc wzrokiem po salonie.

Pewnie uczyli ich tego na kursach: nie wdawać się w niepotrzebne rozmowy z klientem i stale sprawdzać otoczenie, nawet gdy siedzieli zamknięci w przytulnym domowym gniazdku.

– Wiesz, mógłbyś pracować dla mnie.

Chłopak przez chwilę patrzył na Røeda, który w oczach tamtego dostrzegł coś przypominającego pogardę. Obrzydzenie. Młody, nie odpowiadając, znów zaczął skanować pokój. Røed zaklął w duchu. Przeklęty szczeniak! Nie rozumie, co mu się proponuje?

– Ten ktoś mówi, że pana zna! – zawołał ochroniarz z przedpokoju.

– Krohn? – odkrzyknął Røed.

– Nie.

Zmarszczył czoło. Nie znał nikogo, kto mógłby ot, tak po prostu zadzwonić do niego do drzwi.

Wyszedł do przedpokoju, gdzie ochroniarz stał na szeroko rozstawionych nogach, wskazując na monitor. Było tam widać młodego człowieka spoglądającego w kamerę nad drzwiami wejściowymi na ulicy. Røed pokręcił głową.

– Powiem mu, żeby sobie poszedł – oświadczył ochroniarz.

Røed wpatrywał się w ekran. Czy już kiedyś nie widział tego chłopaka? Nie tak dawno temu? I czy nie kojarzyło mu się z nim coś z odległej przeszłości, coś, co od siebie odrzucił, uznając tę twarz za kolejną pozbawioną znaczenia? Ale teraz, kiedy tam stał, to jednak...

– Chwileczkę! – Wyciągnął rękę.

Ochroniarz podał mu słuchawkę domofonu.

– Wracaj do pokoju – polecił Røed.

Mężczyzna chwilę się zawahał, ale w końcu usłuchał.

– Kim jesteś i czego chcesz? – odezwał się Røed do słuchawki. Zabrzmiało to bardziej odpychająco, niż zamierzał.

– Cześć, tato. Jestem twoim pasierbem. Chciałem tylko z tobą porozmawiać.

Røedowi zaparło dech w piersiach. Nie miał najmniejszych wątpliwości. Chłopczyk z tylu snów, lęk z tylu koszmarów, że zostanie odkryty. Nie, to nie był chłopczyk, ale to był on. Po tych wszystkich latach. Porozmawiać? Źle się to zapowiadało.

– Jestem trochę zajęty – oznajmił Røed. – Powinieneś był mnie uprzedzić.

– Wiem – powiedział mężczyzna do kamery. – Nie miałem zamiaru się z tobą kontaktować, ale dziś podjąłem taką decyzję. Bo widzisz, jutro wybieram się w dłuższą podróż i nie wiem, czy wrócę. Nie chcę wyjeżdżać, zostawiając tu niezałatwione sprawy. Przyszła pora na wybaczenie, tato. Muszę cię zobaczyć ostatni raz, twarzą w twarz, żeby to z siebie wyrzucić. Wydaje mi się, że to będzie dobre i dla ciebie, i dla mnie. To nie zajmie dużo czasu. A obaj będziemy żałować, jeśli tego nie zrobimy. Jestem pewien.

Røed słuchał. Tego głębokiego głosu nigdy wcześniej nie słyszał, ani wtedy, ani później. Z ostatniego okresu w domu na Gaustad pamiętał chłopaka, który dopiero zaczynał przechodzić mutację. Oczywiście przelatywało mu przez głowę, że któregoś dnia ten chłopak może się pojawić i narobić mu kłopotów. Ale byłoby wówczas słowo przeciwko słowu, a jedyna osoba, która mogłaby potwierdzić, że doszło do tak zwanego molestowania, zginęła w pożarze. Chociaż gdyby sprawa

wyszła na jaw, jego dobre imię by ucierpiało. Zbrukałoby fasadę, jak pogardliwie nazywali to ludzie w tym kraju. Ponieważ w Norwegii takie pojęcia jak honor rodziny zostały zdewaluowane przez tę przeklętą socjaldemokrację – teraz rodziną dla większości było państwo. A ci mali ludzie ponosili odpowiedzialność wyłącznie przed takimi samymi jak oni, przed pozbawioną tradycji socjaldemokratyczną szarą masą. Inaczej rzecz się przedstawiała, gdy się nosiło nazwisko Røed. Ale tej prawdy przeciętny obywatel tego kraju nigdy nie zrozumie. Nie pojmie, iż od kogoś z jego pozycją spodziewano się, że raczej odbierze sobie życie, aniżeli unurza w błocie rodowe nazwisko. Co więc miał robić? Musiał podjąć decyzję. Jego pasierb się objawił. Røed wolną ręką otarł czoło. I ku swemu zdumieniu stwierdził, że się nie boi. Trochę tak jak z tym tramwajem, który o mało go nie przejechał. Dlaczego nie przeraził się bardziej, kiedy to, czego tak śmiertelnie się bał, wreszcie się stało? Co szkodzi trochę porozmawiać? Jeśli pasierb ma wobec niego złe zamiary, to rozmowa chyba już w niczym nie pogorszy sytuacji. A w najlepszym razie może chodzić o wybaczenie. Zapomnijmy o wszystkim, dziękuję i do widzenia. Może dzięki temu zacznie nawet lepiej sypiać? Musi jedynie się pilnować, żeby nic nie powiedzieć: pośrednio lub bezpośrednio nie przyznać się do czegoś, co mogłoby zostać wykorzystane przeciwko niemu.

– Mam dziesięć minut – zapowiedział Røed i wcisnął guzik otwierający bramę. – Wjedź windą na samą górę.

Odłożył słuchawkę. Czy chłopakowi mogło przyjść do głowy, żeby nagrywać tę rozmowę?

Wrócił do ochroniarzy.

– Przeszukujecie gości?

– Zawsze.

– To dobrze. Sprawdźcie, czy nie ma gdzieś przyklejonego mikrofonu, i zabierzcie mu telefon. Oddacie dopiero przy wyjściu.

Prim siedział w miękkim fotelu w salonie telewizyjnym i patrzył na Markusa Røeda. Ochroniarze stali tuż za uchylonymi drzwiami.

Ich obecność trochę go zaskoczyła, ale to wcale nie musiało mieć zbyt wielkiego znaczenia. Ważne było, że mogli rozmawiać na osobności.

To wszystko oczywiście dałoby się załatwić prościej. Gdyby chciał fizycznie zaatakować lub zabić Markusa Røeda, nie byłoby to trudne – przecież goryli wynajął dopiero teraz, a w mieście takim jak Oslo mieszkańcy są tak naiwnie ufni, że nikt nie przypuszcza, iż gość napotkany na ulicy może mieć pod kurtką broń. Jakby takie rzeczy się nie zdarzały. Markusa Røeda też nie to miało spotkać. To by nie wystarczyło. Owszem, łatwiej byłoby go zastrzelić, lecz jeśli zemsta, którą zaplanował dla ojczyma, miała mu przynieść chociaż ułamek tej radości, jaką sobie wyobrażał, warto było się napracować. Prim bowiem skomponował całą symfonię zemsty i zbliżała się już kulminacja.

– Przykro mi z powodu tego, co spotkało twoją matkę – powiedział Markus Røed. Dostatecznie głośno, żeby Prim usłyszał go wyraźnie, a zarazem na tyle cicho, aby słowa nie dotarły do ochroniarzy w przedpokoju.

Prim widział, że potężny mężczyzna siedzący w fotelu czuje się nieswojo. Jego palce bawiły się obiciem podłokietników, nozdrza wibrowały. Pewna oznaka tego, że wdycha zapach soków jelitowych. Rozszerzone źrenice powiedziały Primowi, że sygnał wywołany tym zapachem dotarł już do mózgu, w którym spragnione rozmnażania się pasożyty od kilku dni były na swoim miejscu. W wyniku naprawdę sprytnej sztuczki, jak sam to oceniał. Pierwotny plan zainfekowania ojczyma podczas imprezy na dachu się nie powiódł, Prim musiał więc improwizować i ułożyć inny plan. Udało się. Zaraził Markusa Røeda na oczach ich wszystkich: adwokatów, policjantów, samego Harry’ego Hole. Markus Røed spojrzał na zegarek i kichnął.

– Nie chcę cię stresować, ale tak jak mówiłem, mam mało czasu, więc powinniśmy się streszczać. Do którego kraju zamierzasz wyje...

– Mam na ciebie ochotę – oświadczył Prim.

Ojczym drgnął tak mocno, że zatrząsł mu się drugi podbródek.

– Słucham?

– Fantazjowałem o tobie przez te wszystkie lata. Nie ma wątpliwości, że to było molestowanie, ale... No cóż, chyba to polubiłem. I mam ochotę spróbować jeszcze raz.

Prim patrzył Markusowi Røedowi prosto w oczy. Widział w nich, jak zakażony przez pasożyta mózg pracuje, wyciągając błędne wnioski: „Wiedziałem!

Chłopakowi się to podobało! Płakał, żeby udawać co innego. Nie zrobiłem nic złego, przeciwnie, nauczyłem go lubić to, co sam lubię!”.

– I uważam, że powinniśmy to zrobić w możliwie taki sam sposób.

– Taki sam? – powtórzył Markus Røed. Głos miał już ochrypły z podniecenia.

Właśnie to jest paradoksalne w toksoplazmozie, że popęd seksualny – będący w gruncie rzeczy pragnieniem rozmnożenia się – tłumi lęk przed śmiercią. Każe nie zauważać zagrożeń. Przyprawia zainfekowanego osobnika o to cudowne beznadziejne widzenie tunelowe. Dostrzeganie wyłącznie tunelu, który prowadzi wprost do paszczy kota.

– W domu – wyjaśnił Prim. – On ciągle stoi. Ale musisz przyjść sam. Wymknąć się swoim ochroniarzom.

– Chcesz powiedzieć... – Markus z wysiłkiem przełknął ślinę. – Teraz?

– Oczywiście. Przecież widzę, że masz – Prim pochylił się i położył Røedowi dłoń na kroczu – ochotę.

Żuchwa Røeda poruszała się w górę i w dół w niekontrolowany sposób.

Prim wstał.

– Pamiętasz, gdzie to jest?

Markus Røed tylko kiwnął głową.

– I przyjdziesz sam?

Kolejne kiwnięcie.

Prim wiedział, że nie musi pouczać Røeda, że ma nikomu nie mówić, dokąd idzie ani z kim zamierza się spotkać. Toksoplazmoza podnieca i odbiera lęk, ale nie robi z człowieka durnia. Nie na tyle, by postąpił tak, aby mogłoby mu to przeszkodzić w osiągnięciu jedynego celu, jaki ma w głowie.

– Daję ci trzydzieści minut – powiedział Prim.

Benny, starszy z ochroniarzy, pracował w tej branży od piętnastu lat.

Kiedy otworzył drzwi, zobaczył, że gość założył maseczkę. Benny obserwował, jak młodszy kolega przeszukuje przybysza. Oprócz pęku kluczy facet nie miał przy sobie nic, czego dałoby się użyć jako broni. Nie miał też portfela ani żadnego dokumentu. Przedstawił się jako Karl Arnesen i chociaż nazwisko zabrzmiało jak naprędce zmyślone, to jednak Røed, słysząc je, krótko skinął głową. Gościowi

odebrano telefon zgodnie z poleceniem Røeda, a Benny uparł się, żeby drzwi do salonu z telewizorem pozostały lekko uchylone.

Minęły zaledwie cztery minuty – przynajmniej taką ich liczbę Benny miał podać później podczas przesłuchania na policji – gdy młody „Arnesen” wyszedł z salonu, dostał z powrotem swoją komórkę i opuścił mieszkanie. Røed zawołał, że chce mieć spokój, i zamknął drzwi. Minęło jeszcze pięć minut, zanim Benny zapukał, aby przekazać, że Johan Krohn chce rozmawiać z Røedem. Nie doczekawszy się odpowiedzi, Benny otworzył drzwi, zastał salon pusty, a wyjście na taras otwarte na oścież. Jego spojrzenie padło na drzwi na wewnętrzne schody przeciwpożarowe prowadzące na ulicę. Nie było w tym nic tajemniczego – w ciągu ostatniej godziny klient trzy razy dawał do zrozumienia, że świetnie zapłaci, jeśli Benny lub jego kolega zechcieliby skoczyć na Torggata czy Jernbanetorget i załatwić mu trochę kokainy.

46

Piątek. Krwawy Księżyc

Markus wysiadł z taksówki przy bramie.

Kiedy do niej wsiadał na postoju w Oslobukta, taksówkarz natychmiast spytał go, czy ma pieniądze. Pytanie było w pełni uzasadnione, zważywszy na to, że Markus był w samej koszuli bez marynarki, a w dodatku w kapciach. Ale miał przy sobie kartę kredytową, nosił ją zawsze, bez niej czuł się zwyczajnie jak nagi.

Gdy otwierał furtkę, zaskrzypiały zawiasy. Ruszył wysypaną żwirem alejką, wspiął się na pagórek i przeżył szok na widok w połowie spalonego domu. Nie był tu od czasów, gdy porzucił Molle i chłopca o tym idiotycznym przezwisku Prim. Czytał o pożarze w gazetach. Poszedł nawet na pogrzeb, ale nie wiedział, że dom został aż tak zniszczony. Miał jedynie nadzieję, że kulisy zachowały się choć na tyle, by dało się odegrać sztukę w wiarygodny sposób. Zrekonstruować to, co robili i kim dla siebie byli wtedy. Chociaż kto wie, kim on był dla chłopca.

Ruszywszy w dół w stronę domu, zobaczył, że w drzwiach wejściowych pojawiła się jakaś postać. To był on. Pożądanie, jakie Røed odczuł, kiedy siedział w salonie naprzeciwko tego chłopaka, kompletnie przejęło nad nim władzę. Mało brakowało, a całkiem straciłby kontrolę i rzucił się na niego. Ale w życiu zrobił już coś takiego o jeden raz za dużo i ledwie zdołał się z tego wyplątać. Teraz pożądanie pozostawało pod kontrolą, przynajmniej do tego stopnia, by mógł myśleć racjonalnie. Tak w każdym razie uważał. Mimo wszystko żądza zmagazynowana po tylu latach wspomnień o Primie była tak silna, że już nic nie mogło go powstrzymać.

Podszedł do młodego mężczyzny, który z uśmiechem wyciągnął rękę na powitanie. Røed dopiero w tej chwili uświadomił sobie, że dwie duże jak u gryzonia jedynki zniknęły, a chłopak ma rząd równych ładnych zębów. Dla zachowania iluzji wolałby tamte zęby z jego dzieciństwa, ale gdy tamten do niego podszedł i wprowadził za rękę do domu, całkiem o tym zapomniał.

I znów przeżył szok. Przedpokój, salon – wszystko było czarne i wypalone. Ścianki działowe spłonęły doszczętnie, przez co przestrzeń się powiększyła. Mężczyzna – chłopiec – zaprowadził go tam, gdzie kiedyś znajdował się jego pokój na parterze. Z przyjemnym dreszczykiem emocji Røed zorientował się, że nie potrzebuje światła. Chodził tędy od schodów na piętro do chłopięcego pokoju po ciemku tyle razy, że trafiłby tam na ślepo.

– Rozbierz się i połóż tutaj – polecił chłopak, przyświecając sobie telefonem.

Røed zapatrzył się w brudny materac i spalony szkielet metalowego łóżka.

Zrobił tak, jak tamten mu kazał. Przewiesił ubranie przez wezgłowie.

– Wszystko – powiedział chłopak.

Røed ściągnął slipy. Dostał erekcji już w momencie, kiedy chłopak chwycił go za rękę. Røeda podniecało dominowanie, a nie bycie zdominowanym, w każdym razie tak było do tej pory. Teraz jednak czerpał przyjemność ze słuchania władczego głosu, z chłodu, od którego przeniknął go dreszcz, z upokarzającej sytuacji, w której to on był nagi, a chłopiec w pełni ubrany. Materac cuchnął moczem, pod plecami był mokry i zimny.

– Załóżmy to.

Røed poczuł, że jego ręce się unoszą i coś zaciska się na nadgarstkach. Spojrzał w górę. W świetle komórki zobaczył, że chłopak mocuje mu ręce do szczytu łóżka skórzanymi rzemieniami. Przywiązał mu też nogi. Markus był teraz zdany na łaskę chłopca, tak jak dawniej chłopiec był zdany na jego łaskę.

– Chodź – szepnął.

– Potrzeba nam więcej światła – stwierdził chłopak i z kieszeni koszuli przewieszonej przez łóżko wyjął komórkę Røeda. – Jaki jest kod?

– Tęczów... – Røed nie dokończył, bo chłopak już przysunął telefon do jego twarzy.

– Dziękuję.

Oślepiony dwoma źródłami światła Markus nie widział, co robi chłopak, dopóki nie zobaczył zarysu jego sylwetki między dwoma rozświetlonymi telefonami. Domyślił się, że musiały zostać zamontowane na dwóch statywach na wysokości głowy. Chłopiec wyrósł. Stał się mężczyzną. Ale wciąż był dostatecznie młody, by Røed go pragnął. Najwyraźniej. Erekcji nie dało się nic zarzucić, a drżenie głosu wynikało w równym stopniu z podniecenia, co z zimna, kiedy szeptał:

– Chodź! Chodź do mnie, chłopcze!

– Najpierw powiedz, co mam z tobą robić.

Markus Røed zwilżył zaschnięte wargi i zaczął mówić.

– Jeszcze raz – polecił chłopak, opuścił spodnie i dłonią objął własny, wciąż zwisający członek. – Tym razem nie używaj mojego imienia.

Røed się zdziwił, no ale dobrze. W Tuesdays wielu było takich, których podniecała anonimowość. Którzy woleli sztywny penis wyłowiony światłem z mroku zamiast całej osoby. Na szczęście. Powtórzył swoją listę życzeń bez wymieniania imienia.

– Powiedz jeszcze, co ze mną robiłeś, kiedy byłem chłopcem. – Mężczyzna między światłami teraz się onanizował.

– Raczej podejdź do mnie, wyszepczę ci to do ucha.

– Mów.

Røed przełknął ślinę. A więc chłopak chciał, żeby właśnie tak się to odbyło. Bezpośrednio, ostro, ostrym tonem i w ostrym świetle. W porządku. Røed musiał tylko przestawić własny odbiornik, żeby nadawać na tej samej częstotliwości. Boże, był gotów zrobić wszystko, byle go mieć. Początkowo trochę się gubił, mówił ogródkami, ale wreszcie odnalazł właściwy ton. Opowiadał. Wprost. Ze szczegółami. I dostroił częstotliwość. Podniecały go własne słowa, wyczarowywane przez nie obrazy ze wspomnień. Opowiedział, jak było. Używał słów takich jak „gwałt”, ponieważ tak było naprawdę, a poza tym to zwiększało podniecenie, zarówno jego własne, jak i chłopaka. Tamten w każdym razie jakby jęknął, ale nie było go już widać. Cofnął się parę kroków w mrok za światłami.

Røed opowiadał o wszystkim aż do końca, kiedy wycierał penis o kołdrę chłopca i skradając się, po cichu wracał na piętro.

– Dzięki – rozległ się zdecydowany głos. Jedno źródło światła zgasło, a chłopiec ukazał się w tym drugim. Podciągnął już spodnie z powrotem i był kompletnie ubrany. W ręku trzymał telefon Røeda i coś w niego wstukiwał.

– Co... co ty robisz? – jęknął Røed.

– Rozsyłam ostatnie nagranie do wszystkich twoich kontaktów.

– Ty... ty to nagrałeś?

– Na twój telefon. Chcesz zobaczyć? – Chłopak podsunął Røedowi aparat.

Markus ujrzał na ekranie samego siebie – tłustawego faceta dobrze po sześćdziesiątce, bladego, prawie białego w ostrym świetle, leżącego z pełną erekcją na brudnym materacu, członek lekko przechylony w prawo. Tym razem bez żadnej maski, bez niczego, co mogłoby ukryć jego tożsamość. I głos. Lekko chropowaty z podniecenia, lecz jednocześnie wyraźnie chcący, aby do słuchacza dotarło każde słowo. Zorientował się, że filmik został nagrany tak, aby nie było widać, że ręce i nogi ma przywiązane do słupków łóżka.

– Wyślę to razem z krótką wiadomością, którą już przygotowałem – powiedział chłopak. – Posłuchaj: Cześć, świecie! Ostatnio dużo myślałem i doszedłem do wniosku, że nie mogę dłużej żyć z tym, co zrobiłem. Dlatego postanawiam spłonąć w domu, w którym spłonęła Molle. Żegnaj!. I co o tym myślisz? Może to nie poezja, ale przekaz jest jasny i konkretny, prawda? Wysyłam to do wszystkich na twojej liście kontaktów, ale z opóźnieniem, dostaną wiadomość zaraz po północy.

Røed otworzył usta, żeby coś powiedzieć, nie zdążył jednak wydusić nawet słowa, bo coś wepchnięto mu między wargi.

– Wkrótce wszyscy twoi znajomi będą wiedzieć, co z ciebie za perwersyjna świnia. – Prim kawałkiem taśmy zakleił Røedowi usta, do których wcześniej wepchnął pozostawioną przez Bułgara wełnianą skarpetę. – A za parę dni dowie się o tym reszta świata. Co ty na to?

Nie było odpowiedzi. Tylko para szeroko otwartych oczu i łzy spływające po okrągłych policzkach.

– Już dobrze, dobrze – powiedział Prim. – Pozwól, że trochę cię pocieszę, ojcze. Nie zamierzam zrealizować swojego pierwotnego planu polegającego na wyoutowaniu cię tak jak teraz, a następnie odebraniu sobie życia i zostawieniu cię, abyś żył z publicznym upokorzeniem. Bo ja mimo wszystko chcę żyć dalej. Widzisz, znalazłem kobietę, którą kocham. Dziś wieczorem zamierzam się jej oświadczyć. Spójrz, co dla niej kupiłem.

Wyjął z kieszeni bordowe wykładane aksamitem pudełeczko i otworzył. Malutki brylant w pierścionku zalśnił w świetle komórki na statywie.

– Postanowiłem, że jednak będę żył długo i szczęśliwie. Wobec tego moja tożsamość nie może zostać ujawniona. A to oznacza, że ci, którzy cokolwiek wiedzą, muszą umrzeć zamiast mnie. Ty musisz umrzeć, ojcze. Rozumiem, jak

ciężko jest umierać, w dodatku ze świadomością tak zbrukanego własnego nazwiska. Mama mi mówiła, że takie rzeczy są dla ciebie bardzo ważne. No ale przynajmniej nie będziesz musiał żyć w upokorzeniu. To chyba lepiej, prawda?

Starł łzę z policzka Røeda i oblizał palec. W literaturze pisano o gorzkich łzach, ale czy wszystkie łzy w zasadzie nie smakują tak samo?

– Zła wiadomość jest taka, że mam zamiar zabijać cię powoli, by zrekompensować sobie to, że unikniesz upokorzenia. Dobra natomiast, że to nie będzie aż tak bardzo powoli, bo już niedługo jestem umówiony z moją ukochaną.

Prim spojrzał na zegarek.

– Ojej, muszę wrócić do domu, żeby się wykąpać i przebrać, więc musimy zaczynać.

Obiema rękami mocno chwycił materac. Dwoma czy trzema silnymi szarpnięciami wyciągnął go spod Røeda. Metalowe sprężyny zajęczały, przyjmując bezpośrednio na siebie ciężar ciała ojczyma. Prim podszedł do sczerniałej ściany, podniósł prymus, który stał obok kanistra. Umieścił go na podłodze pod łóżkiem, tuż pod głową ojczyma, odkręcił gaz i podpalił.

– Nie wiem, czy sobie przypominasz, ale to najlepsza metoda tortur z tej książki o Komanczach, którą dostałem od ciebie na urodziny. Czaszka to rondel, a twój mózg już wkrótce zacznie wrzeć. Na pocieszenie dodam, że pasożyty zginą przed tobą.

Markus Røed zaczął się rzucać. Kilka sprężyn przebiło mu skórę i krople krwi zaczęły skapywać na pokrytą popiołem podłogę. Z pleców spływał mu pot. Prim widział, jak na szyi i czole Markusa rysują się żyły, kiedy próbował krzyczeć, mając usta zatkane wełnianą skarpetą.

Prim patrzył na ojczyma. Czekał. Przełknął ślinę. Bo w nim samym, w środku, nic się nie działo. To znaczy, owszem, działo się, ale nie to, co miało się dziać. Brał pod uwagę, że zemsta nie będzie smakowała aż tak słodko, jak w jego fantazjach, ale do tego stopnia? Że będzie miała smak gorzkich łez ojczyma? Czuł raczej szok niż rozczarowanie. Żal mu było człowieka, który przed nim leżał. Człowieka, który zniszczył jego dzieciństwo i odpowiadał za samobójstwo jego matki. Nie chciał takich uczuć! Czy to była Jej wina, bo to Ona wniosła miłość w jego życie? W Biblii napisano, że ze wszystkiego największa jest Miłość. Czy to prawda? Czy Miłość jest większa od Zemsty?

Prim zaczął płakać, nie zdołał nad sobą zapanować. Podszedł do spalonych schodów, znalazł starą ciężką łopatę do połowy zakopaną w popiele. Chwycił ją i podszedł do łóżka. Nie taki był plan. W planie było powolne cierpienie, a nie miłosierdzie! Uniósł łopatę, zobaczył desperację w oczach Markusa Røeda, gwałtownie poruszającego głową, aby uniknąć uderzenia, jakby wolał pożyć jeszcze kilka minut w torturach, niż szybko umrzeć.

Prim wycelował. Potem opuścił łopatę. Raz. Drugi. Trzeci. Wytarł krew, która trafiła go w oko. Znów się nachylił, słuchając oddechu. Wyprostował się i jeszcze raz uniósł narzędzie.

Potem odetchnął. Spojrzał na zegarek. Teraz pozostawało jedynie usunąć ślady. Miał nadzieję, że ciosy zadane łopatą nie pozostawiły śladów na samej czaszce i nie zasieją wątpliwości co do samobójstwa. Resztę wkrótce usuną płomienie. Rozwiązał rzemienne więzy i schował je do kieszeni. Skasował początek i koniec filmu w telefonie Røeda, tak aby nikt nie nabrał podejrzeń, że w nagraniu uczestniczyła jeszcze jakaś osoba; aby wyglądało, że to sam Markus je przygotował przed wysłaniem. Potem zaznaczył całą listę kontaktów Røeda, określił czas na 00.30 i wcisnął Wyślij. Myślał o wszystkich przerażonych i niedowierzających twarzach oświetlonych blaskiem ekranu. Kiedy wycierał odciski palców przed schowaniem telefonu do koszuli Røeda, zobaczył osiem nieodebranych połączeń. Trzy od Johana Krohna.

Oblał zwłoki benzyną. Poczekał, aż wsiąknie, i powtórzył procedurę trzykrotnie, dopóki nie nabrał pewności, że ciało jest dostatecznie dobrze zamarynowane. Potem oblał benzyną te belki i ściany, które jeszcze się trzymały i zawierały łatwopalny materiał. Następnie zrobił rundę, podpalając. Pamiętał o pozostawieniu zapalniczki przy łóżku, aby wyglądało, że ojczym zrobił to sam. Wreszcie wyszedł z tych szczątków swojego rodzinnego domu, stanął na ścieżce i zwrócił twarz ku niebu.

To, co brzydkie, minęło. Na niebie wzeszedł księżyc. Był piękny. A wkrótce miał być jeszcze piękniejszy. Zaćmiony. Zakryty krwią. Róża z nieba dla jego ukochanej. Powie jej o tym. Użyje właśnie tych słów.

47

Piątek. Koziołeczek

– Koziołeczku czarny mój, szuka cię pastuszek twój.

Katrine zaśpiewała ostatnie tony prawie bezdźwięcznie, próbując po oddechu Gerta zorientować się, czy synek zasnął. Tak, oddychał głęboko i równo. Podciągnęła jego kołdrę nieco wyżej i już chciała odejść.

– Dzie jes wujek Hallik?

Spojrzała w szeroko otwarte niebieskie oczy. Jak Bjørn mógł nie widzieć, że to oczy Harry'ego? A może widział. Może wiedział od samego początku, już na oddziale położniczym.

– Wujek Harry jest w szpitalu u chorego przyjaciela. Ale babcia jest tutaj.

– A ty dzie idzies?

– W takie jedno miejsce, które się nazywa Frognerseteren. To jest w lesie, wysoko nad nami. Może kiedyś pójdziemy tam razem.

– Z wujkiem Hallikiem?

Uśmiechnęła się, czując jednocześnie ukłucie w sercu.

– Może z wujkiem Hallikiem – potwierdziła. Miała nadzieję, że nie kłamie.

– Są tam niedźwiedzie?

Pokręciła głową.

– Nie, nie ma niedźwiedzi.

Gert zamknął oczy i sekundę później już spał. Katrine jeszcze przez chwilę mu się przyglądała, jakby nie mogła się od niego oderwać. W końcu spojrzała na zegarek. Wpół do dziewiątej. Powinna już wychodzić. Pocałowała Gerta w czoło i wyszła. Z salonu dobiegało podzwanianie drutów dziergającej teściowej. Zajrzała tam.

– Zasnął – szepnęła. – Już idę.

Teściowa z uśmiechem pokiwała głową.

– Katrine?

Zatrzymała się.

– Tak?

– Czy możesz mi coś obiecać?

– A co?

– Że będziesz się dobrze bawić.

Katrine popatrzyła jej w oczy. I zrozumiała, co tamta próbowała jej powiedzieć. Że jej syn nie żyje już długo, a życie musi toczyć się dalej. Że ona, Katrine, musi dalej żyć. Poczuła ściskanie w gardle.

– Dziękuję, mamo.

Pierwszy raz nazwała teściową po prostu mamą i zobaczyła, że w oczach starszej kobiety stanęły łzy.

Katrine szła szybkim krokiem w stronę stacji kolejki przy Teatrze Narodowym. Nie wystroiła się za bardzo – Arne polecił jej włożyć ciepłą kurtkę i wygodne buty. Czy to oznaczało, że będą jeść w zewnętrznej części restauracji, przy lampach grzewczych, z widokiem dookoła i z niebem jako sufitem? Spojrzała na księżyc.

Zawibrował telefon.

To znów był Harry.

– Dzwonił Johan Krohn – poinformował. – Mówię ci tylko, żebyś wiedziała. Markus Røed uciekł swoim ochroniarzom.

– To mnie akurat nie szokuje – stwierdziła. – Przecież to narkoman.

– Firma ochroniarska wysłała ludzi na Jernbanetorget. Nikt go tam nie widział. A on jeszcze nie wrócił i nie odbiera telefonu. Oczywiście mógł się wybrać gdzie indziej, żeby kupić dragi, a potem jeszcze gdzieś, żeby uczcić uwolnienie. Chciałem tylko, żebyś o tym wiedziała.

– Dzięki. Sądziłam, że wreszcie będę miała wieczór, podczas którego nie poświęcę Markusowi Røedowi ani jednej myśli, tylko skupię się na ludziach, których lubię. A jak się miewa Ståle?

– Zaskakująco dobrze jak na człowieka, który ma wkrótce umrzeć.

– Tak?

– Uważa, że w ten sposób kostucha go wita. Chce go skłonić do dobrowolnego przekroczenia progu królestwa śmierci.

Katrine musiała się uśmiechnąć.

– Jakbym słyszała Stålego. A jak się czują jego żona i córka?

– Nie tracą odwagi. Nie nadziei, tylko odwagi.

– Okej. Pozdrów go ode mnie.

– Pozdrowię. Gert śpi?

– Tak. Moim zdaniem trochę za często o tobie wspomina.

– Mhm. Nowy wujek, którego się nie znało, zawsze jest interesujący. Baw się dobrze na tej kolacji. A tak w ogóle to jest dość późno, nawet jak na kolację.

– Musiało tak być. W Wydziale Techniki Kryminalistycznej nie dają sobie rady ze wszystkimi sprawami. Sung-min też wybierał się na kolację ze swoim chłopakiem. Czy on wie, że...

– Tak, dzwoniłem i mówiłem mu o Røedzie.

– Dzięki.

Rozłączyli się i Katrine zeszła pod ziemię.

Harry spojrzał na telefon, na który ktoś próbował się dodzwonić w czasie jego rozmowy z Katrine. Numer Bena. Oddzwonił.

– Good morning, Harry. Me and a friend went down to Doheny. No Lucille there, I’m afraid. I called the police. They may wanna talk to you.

– I see. Give them my number.

– I did.

– OK. Thank you.

Zakończyli połączenie. Harry zamknął oczy i zaklął w duchu. Czy powinien sam skontaktować się z amerykańską policją? Nie. Jeśli te chłopaki ze skorpionami ciągle przetrzymują Lucille, istnieje ryzyko, że wtedy ją zabiją. Mógł jedynie czekać. Akurat w tej chwili musiał więc wyrzucić z głowy myśli o Lucille, bo niestety został wyposażony w mózg mężczyzny, który potrafi się skupić tylko na jednej rzeczy naraz, a czasami nawet i na tym nie. A w tej chwili najważniejsze było powstrzymanie zabójcy.

Kiedy wrócił do sali sześćset osiemnaście, zobaczył, że Jibran wstał i razem z Øysteinem i Trulsem siedzi przy łóżku Aunego. Na środku kołdry leżała komórka.

– Hole akurat przyszedł – powiedział Aune do telefonu, zanim zwrócił się do Harry'ego: – Jibran uważa, że jeśli zabójca wyhodował nowego pasożyta, to musiał w taki czy inny sposób prowadzić badania naukowe w dziedzinie mikrobiologii.

– Helge z Instytutu Medycyny Sądowej też jest tego zdania – zauważył Harry.

– A tą dziedziną zajmuje się niewiele osób – ciągnął Aune. – Mamy połączenie z profesorem Løkenem, który kieruje badaniami na Wydziale Mikrobiologii Szpitala Uniwersyteckiego w Oslo. Mówi, że wie tylko o jednej osobie, która prowadziła badania nad zmutowanymi pierwotniakami Toxoplasma gondii. Panie profesorze, jak brzmiało to nazwisko?

– Steiner – zatrzeszczał głos z kołdry. – Fredric Steiner. Parazytolog. Posunął się znacznie w hodowli wariantu, który mógłby wykorzystywać człowieka jako żywiciela ostatecznego. Był co prawda jakiś jego krewny, który próbował kontynuować te badania, ale stracił wsparcie finansowe i miejsce do prowadzenia prac u nas.

– Czy może pan powiedzieć dlaczego? – spytał Aune.

– Z tego, co pamiętam, wspominano o nieetycznych metodach badawczych.

– To znaczy?

– Nie wiem, ale jak sądzę, w tym wypadku mogło chodzić o eksperymenty na żywych ludziach.

– Panie profesorze, mówi Harry Hole. Chce pan powiedzieć, że on ich zarażał?

– Nigdy niczego nie udowodniono, ale owszem, krążyły takie plotki.

– Jak się nazywa ta osoba?

– Nie pamiętam, to było już dawno. A stało się tylko tyle, że projekt został wstrzymany. Ale takie rzeczy dzieją się nieustannie, nie musi się z tym wiązać nic złego. Może chodzić na przykład o projekty, które nie wykazują dostatecznego postępu. W trakcie naszej rozmowy próbowałem wyszukać jakiegoś Steinera na dawnych listach personelu naukowego nie tylko w naszym szpitalu, lecz w całej Skandynawii. Niestety, znajduję tylko Fredrica. Jeśli to ważne, mogę spróbować porozmawiać z kimś, kto w tym czasie zajmował się parazytologią.

– Byłoby to dla nas bardzo cenne – powiedział Harry. – Jak daleko posunęły się badania tego krewnego?

– Niezbyt daleko. Inaczej bym o tym usłyszał.

– Czy jest czas na pytanie zadane przez idiotę? – włączył się Øystein.

– Z reguły takie pytania są najlepsze – stwierdził Løken. – Proszę pytać.

– Dlaczego, u licha, chcieliście finansować badania polegające na wyhodowaniu czy wyuczeniu pasożytów wykorzystujących ludzi jako żywicieli? Czy to nie jest po prostu działanie destrukcyjne?

– A co ja powiedziałem o najlepszych pytaniach? – Løken się roześmiał. – Ludzie często aż podskakują na krzesłach, kiedy padnie słowo „pasożyt”. To całkiem zrozumiałe, zważywszy, że wiele pasożytów jest niebezpiecznych i niszczących dla żywicieli. Sporo z nich odgrywa jednak rolę pożyteczną dla żywiciela w sensie medycznym, ponieważ w interesie pasożytów leży utrzymanie żywiciela przy życiu jak najdłużej i w jak najlepszym zdrowiu. Jeżeli spełniają taką funkcję dla zwierząt będących ich żywicielami, to mogą ją spełniać również dla człowieka. Chociaż Steiner był jednym z niewielu naukowców w Skandynawii prowadzących badania nad wyhodowaniem pożytecznych pasożytów, to na arenie międzynarodowej poważne prace w tej dziedzinie trwają już od wielu lat. Któryś z tych badaczy dostanie Nagrodę Nobla, to jedynie kwestia czasu.

– Albo da nam znakomitą broń biologiczną? – spytał Øystein.

– Wydawało mi się, że przedstawił się pan jako idiota – odparł Løken. – Owszem, to prawda.

– No dobrze, ratowaniem świata zajmiemy się kiedy indziej – podsumował Harry. – Akurat w tej chwili interesuje nas uratowanie życia następnej osoby z listy zabójcy. Wiemy, że jest piątkowy wieczór, ale pytał pan, czy to ważne...

– Teraz rozumiem, że jest ważne. Czytałem o panu w gazetach, Hole. Wykonam zaraz parę telefonów i odezwę się do was.

Rozłączyli się. Popatrzyli na siebie.

– Chcecie coś zjeść? – spytał Aune.

Wszyscy czterej pokręcili głowami.

– Dawno już nie jedliście – zauważył. – To zapach odbiera wam apetyt?

– Jaki zapach? – zdziwił się Øystein.

– Zapach moich jelit. Nic na to nie poradzę.

– Doktorze Aune – powiedział Øystein, poklepując Stålego po ręce leżącej na kołdrze. – Jeśli coś tu czuć, to ode mnie.

Aune się uśmiechnął. Trudno stwierdzić, czy łzy w jego oczach były wywołane przez ból, czy wzruszenie. Harry patrzył na przyjaciela, myśli kotłowały mu się w głowie jak szalone. A raczej jakby on tłukł się po własnej głowie w poszukiwaniu jakiejś myśli. Jakby wiedział coś, z czego nie zdawał sobie sprawy, i musiał to odszukać. A jedyną rzeczą, jaką wiedział i z jakiej zdawał sobie sprawę, było to, że trzeba się spieszyć.

– Jibran – zaczął powoli.

W jego tonie było chyba coś, co kazało innym natychmiast obrócić głowy, jakby chciał powiedzieć coś ważnego.

– Jak pachną soki jelitowe?

– Soki jelitowe? Nie mam pojęcia. Sądząc po oddechu osób, które cierpią na kwaśne odbicia, może trochę jak zgniłe jaja?

– Mhm. A nie jak piżmo?

Jibran pokręcił głową.

– Z tego, co wiem, u ludzi nie.

– Co masz na myśli, mówiąc, że nie u ludzi?

– Otwierałem żołądki kotom i tam zapach piżma był dość wyraźny. To się bierze z gruczołów okołoodbytowych. Różne zwierzęta wykorzystują piżmo do zaznaczania swojego terytorium lub do przyciągania partnerów w okresie rui. Według starej muzułmańskiej tradycji piżmo jest zapachem raju. Albo śmierci. Zależy, jak się na to spojrzy.

Harry wpatrywał się w niego wielkimi oczami. Ale w głowie rozbrzmiewał mu głos Lucille: „Wydaje nam się, że autor myśli w tej samej kolejności, co pisze. Nic dziwnego, bo jako ludzie jesteśmy przecież nastawieni, że to, co się dzieje, jest konsekwencją tego, co wydarzyło się wcześniej, a nie odwrotnie”.

Skubnięcie narkotyków, podejrzenie oszustwa, ujawnienie, że do partii kokainy coś domieszano. Taką kolejność zdarzeń automatycznie zaakceptowali. Ale ktoś – autor – zmienił kolejność. Harry zrozumiał teraz, że zostali oszukani, a on być może wywęszył, i to dosłownie, autora.

– Truls, możesz wyjść ze mną na chwilę?

Pozostali patrzyli zdumieni, jak Harry i Truls wychodzą na korytarz.

Po zamknięciu drzwi Harry powiedział z powagą:

– Truls, wiem, mówiłeś, że to nie ty skubnąłeś tę kokainę. Wiem też, że masz wszystkie powody świata, żeby o tym kłamać. Pieprzę to, co zrobiłeś, i wydaje mi się, że mi ufasz. Dlatego pytam cię jeszcze raz: czy to zrobiłeś albo czy zrobił to ktoś, o kim wiesz? Zastanów się przez pięć sekund, zanim odpowiesz.

Truls spuścił głowę i wysunął czoło jak rozjuszony byk. Ale milczał. Pięć razy głęboko odetchnął. Otworzył usta. Zamknął, jakby na coś wpadł. W końcu przemówił.

– Wiesz, dlaczego Bellman nie rozpieprzył tej naszej grupy?

Harry pokręcił głową.

– Bo poszedłem do niego do domu i powiedziałem, że jeśli to zrobi, to doniosę o pewnym dilerze narkotyków z klubu motocyklowego na Alnabru, którego Bellman zabił, a którego ciało pomogłem ukryć. Zabetonowałem je w tarasie tego jego nowego domu na Høyenhall. Wystarczy je stamtąd wydobyć, jeśli mi nie wierzysz.

Harry długo mu się przyglądał.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

Truls prychnął, ciągle czerwony jak burak.

– Dlatego że to powinno być dla ciebie dowodem mojego zaufania, no nie? Dałem ci teraz amunicję, żebyś mógł mnie zapuszkować na lata. Czemu miałbym się przyznać do czegoś takiego, zamiast do skubnięcia ociupinki kokainy, za co poszedłbym siedzieć najwyżej rok czy dwa?

Harry pokiwał głową.

– Rozumiem.

– To dobrze.

Potarł kark.

– A co z tamtymi dwoma, którzy razem z tobą odbierali tę partię?

– Niemożliwe – zaprzeczył Truls. – To ja niosłem kokainę przez całą drogę z cła na lotnisku do samochodu i z samochodu do magazynu rzeczy zatrzymanych.

– No dobrze. Mówiłem, że to chyba któryś z celników albo ktoś w magazynie. Jak myślisz?

– Nie wiem.

– Okej, ale jak myślisz?

Truls wzruszył ramionami.

– Znam ludzi, którzy dotykali tej partii, i uważam, że oni wszyscy są czyści. Wydaje mi się, że popieprzyli coś z wagą.

– A ja uważam, że masz rację. Bo jest jeszcze trzecia możliwość, której ja, idiota, nie wziąłem pod uwagę. Wracaj do nich, zaraz przyjdę.

Spróbował dodzwonić się do Katrine, ale bezskutecznie.

– I co? – spytał Øystein, kiedy Harry wrócił i znów usiadł przy łóżku Aunego. – Czego my trzej nie mogliśmy usłyszeć po tym wszystkim, co razem przeżyliśmy?

Jibran się uśmiechnął.

– Oszukała nas kolejność wydarzeń – stwierdził Harry.

– O czym ty mówisz?

– Zanim partia kokainy dotarła do Wydziału Techniki Kryminalistycznej, nikt z niej niczego nie skubnął. Tak jak powiedział Truls, po prostu niedokładnie ją zważyli, stąd wzięła się nieduża różnica. Do skubnięcia doszło później. Zrobiła to osoba z Wydziału Techniki Kryminalistycznej, która przeprowadzała analizę tej kokainy.

Patrzyli na niego z niedowierzaniem.

– Niech każdy z was to sobie przemyśli. Pracujesz w Wydziale Techniki Kryminalistycznej i przekazują ci partię prawie czystej kokainy, a w magazynie rzeczy zatrzymanych podejrzewają, że ktoś coś do niej domieszał i przywłaszczył sobie różnicę wagi. Widzisz, że wcale tak nie jest. Że narkotyk jest najzupełniej czysty i nikt w tej partii nie grzebał. Ale ponieważ podejrzewają już o to innych, dostrzegasz swoją szansę. Zabierasz trochę czystej kokainy, dorzucasz odrobinę lewamizolu i odsyłasz partię z konkluzją potwierdzającą, że ktoś rzeczywiście domieszał coś do narkotyków przed tym, jak dotarły do Wydziału Techniki Kryminalistycznej.

– Pięęęknie! – zaśpiewał Øystein szybkim wibrato. – Jeśli masz rację, to on jest cholernie sprytny. Naprawdę.

– Albo ona – zauważył Aune.

– On – orzekł Harry.

– Skąd wiesz? – spytał Øystein. – Wśród techników nie ma kobiet?

– Owszem, są. Ale przypominasz sobie tego gościa, który podszedł do nas w Jealousy i powiedział, że ubiegał się o przyjęcie do szkoły policyjnej, jednak zrezygnował, bo chciał studiować coś innego?

– Ten chłopak Katrine Bratt?

– Tak. Wtedy się nad tym nie zastanawiałem, ale mówił, że studia umożliwiły mu prowadzenie dalszych badań, a dzisiaj Katrine się wyrwało, że kolacja, na którą się wybierają do Frognerseteren, jest tak późno, bo w Wydziale Techniki Kryminalistycznej mają tyle roboty. Czyli to nie ona ma tyle roboty, tylko on. Truls, słyszałeś o jakimś Arnem w tym wydziale?

Truls pokręcił głową.

– Ale tam jest mnóstwo nowych osób. A ja nie łażę i... – Zakołysał głową, jakby szukał odpowiedniego słowa.

– ...nie zawierasz nowych przyjaźni – podsunął Øystein.

Truls posłał mu ostrzegawcze spojrzenie, ale w końcu przytaknął.

– Rozumiem, że to może być któryś z pracowników tego wydziału – powiedział Aune. – Ale skąd taka pewność? Dlaczego właśnie ten chłopak Katrine? Myślisz o Kemperze?

– Również – odparł Harry.

– Halo! – przerwał im Øystein. – O kim wy gadacie?

– O Edmundzie Kemperze – wyjaśnił Aune. – Seryjnym mordercy z lat siedemdziesiątych, który pielęgnował kontakty z policjantami. To typowe dla wielu seryjnych zabójców. Zarówno przed zabójstwami, jak i później próbują nawiązać kontakt z policjantami, którzy przypuszczalnie będą prowadzić śledztwo w ich sprawach. Kemper, zdaje się, też chciał zdobyć wykształcenie policyjne.

– Takie są te paralele – powiedział Harry. – Ale przede wszystkim ten ostry zapach. Piżmo. Jak mokra albo rozgrzana skóra. Helene Røed mówiła, że czuła go podczas imprezy. Ja go czułem w sali sekcyjnej, kiedy leżała tam Helene Røed. Czułem go, kiedy rozcinaliśmy oko Susanne Andersen. I w barze Jealousy tamtego wieczoru, gdy poznaliśmy tego całego Arnego.

– Ja niczego nie wywąchałem – stwierdził Øystein.

– Ale ten zapach tam był – upierał się Harry.

Aune uniósł brew.

– Wyczułeś ten zapach wśród stu innych pocących się mężczyzn?

– To cholernie specyficzny zapach.

– Może złapałeś toksoplazmozę? – Øystein udał zatroskanie. – Podnieciłeś się?

Truls zaniósł się swoim chrumkającym śmiechem.

A Harry nagle przeżył bolesne déjà vu. Bjørn Holm też tak starannie posprzątał po zabiciu Rakel.

– To również tłumaczy, dlaczego nie znaleźliśmy żadnych śladów w miejscach, gdzie doszło do zabójstw, ani na ciałach. Sprzątał profesjonalista.

– Jasne – przyznał Truls. – Gdybyśmy znaleźli jego DNA...

– Profile DNA wszystkich, którzy pracują w miejscach zbrodni i mają styczność ze zwłokami, są w bazie danych – podchwycił Harry. – Żebyśmy mogli sprawdzić, czy włosa nie zostawił na przykład jakiś nieostrożny technik.

– Jeśli to miałby być ten Arne – zauważył Ståle – to wyszedł dzisiaj z Katrine. Do Frognerseteren.

– Restauracji położonej praktycznie w lesie – dodał Øystein.

– Wiem o tym i dlatego próbowałem się do niej dodzwonić – powiedział Harry. – Nie odbiera. Ståle, jak bardzo powinniśmy się martwić?

Aune wzruszył ramionami.

– Z tego, co rozumiem, on i Katrine spotykają się już od pewnego czasu. Gdyby miał zamiar ją zabić, prawdopodobnie już by to zrobił. Musiałoby się stać coś, co by zmieniło jego nastawienie do niej.

– Na przykład?

– Najgroźniej byłoby, gdyby go upokorzyła swoim zachowaniem. Na przykład gdyby go odrzuciła.

48

Piątek. Las

W bloku na Hovseter Thanh wyglądała przez okno na trzecim piętrze. W ręku trzymała telefon. Była za minutę dziewiąta wieczorem. Thanh patrzyła na samochód zaparkowany tuż przed wejściem do bloku. Stał tam już od blisko pięciu minut. Samochód Jonathana. Drgnęła przestraszona, kiedy telefon zaczął dzwonić. Cyfry na ekranie pokazały, że jest punkt dwudziesta pierwsza, co do sekundy.

Pomyślała o wszystkich wymówkach, które wymyśliła i odrzuciła w ciągu ostatniej godziny. Wcisnęła Odbierz.

– Tak?

– Stoję pod blokiem.

– Okej, już idę – powiedziała i wrzuciła komórkę do torebki. – Wychodzę! – zawołała z przedpokoju.

– Tam biêt – odparła z pokoju matka.

Thanh zatrzasnęła za sobą drzwi i zjechała windą na dół. Nie dlatego, że nie miała siły iść po schodach – na ogół z nich korzystała – ale istniała teoretyczna możliwość, że winda się zatrzyma, utknie między piętrami, trzeba będzie wzywać straż pożarną, a wszystkie spotkania odwołać.

Winda jednak się nie zatrzymała. Thanh wyszła na ulicę. Wieczór był dziwnie ciepły jak na tak późny wrzesień, zwłaszcza przy pogodnym niebie.

Jonathan nachylił się nad siedzeniem pasażera i otworzył jej drzwi. Wsiadła.

– Cześć.

– Cześć, Thanh.

Auto ruszyło. Uświadomiła sobie, że wymówił jej imię, czego nie robił nigdy w sklepie.

Gdy wyjechali na główną drogę, skręcił na zachód.

– Co chcesz mi pokazać? – spytała.

– Coś pięknego. Coś pięknego dla ciebie.

– Dla mnie?

Uśmiechnął się.

– I dla mnie też.

– Nie możesz powiedzieć, co to jest?

Pokręcił głową.

Thanh obserwowała go z boku. Wydawał się jakiś odmieniony. Owszem, użył jej imienia, ale też nigdy nie słyszała z jego ust słowa „piękne”. Zanim wsiadła do samochodu, była zestresowana, wręcz się bała, lecz coś – może jego sposób mówienia – ją uspokoiło.

A teraz się uśmiechał, jakby wyczuł, że na niego zerka. Może on tak się zachowuje, nie będąc w pracy, pomyślała. Przypomniała sobie jednak, że jest jego pracownicą, a on jej szefem, czyli w pewnym sensie nadal są w pracy. A może nie?

Hovseter leżało po zachodniej stronie miasta, więc w ciągu kilku minut minęli Røa, pole golfowe na Bogstad i wjechali w dolinę Sørkedalen, wzdłuż której ciągnęły się przepastne, gęste świerkowe lasy.

– Wiesz, że widziano tu niedźwiedzie? – spytał.

– Niedźwiedzie? – powtórzyła z wyraźnym przerażeniem w głosie.

On się z niej nie śmiał, tylko się uśmiechnął. Miał ładny uśmiech, wcześniej nie zwróciła na to uwagi. A może zresztą zwróciła, tylko nie zatrzymała się na tej myśli? Przecież w sklepie uśmiechał się bardzo rzadko, można było zapomnieć, jak ten uśmiech wygląda. Jakby bał się odsłonić coś, czego nie chciał pokazać. No ale teraz chciał coś pokazać Thanh. Coś „pięknego”.

Zadzwonił jej telefon, a ona znów drgnęła przestraszona.

Spojrzała na wyświetlacz, odrzuciła połączenie i schowała komórkę z powrotem do torebki.

– Możesz odebrać, jeśli chcesz – powiedział.

– Nie odbieram, jeśli nie wiem, kto dzwoni – wyjaśniła Thanh, co było kłamstwem, bo rozpoznała numer tego policjanta, Sung-mina. Ale oczywiście nie mogła w tej chwili z nim rozmawiać, nie ryzykując, że Jonathan znów się rozzłości.

Włączył kierunkowskaz i zwolnił. Thanh nie dostrzegła żadnego zjazdu, ale nagle się pojawił. Serce zabiło jej mocniej, kiedy pod kołami zachrzęścił żwir na

wąskiej dróżce. Reflektory dawały jedyne światło, które padało na ścianę czarnego lasu.

– Gdzie... – zaczęła, ale urwała z obawy, że on usłyszy drżenie w jej głosie.

– Nie bój się, Thanh. Chcę ci tylko sprawić przyjemność.

A więc ją przejrzał. Chce jej sprawić przyjemność? Nie była pewna, czy lubi takie dziwne rzeczy.

Zatrzymał samochód, wyłączył stacyjkę i światła. Nagle otoczył ich nieprzenikniony mrok.

– Już – powiedział. – Tu wysiadamy.

Odetchnęła głębiej. Musiał chyba zadziałać ten spokój w jego głosie, niemal hipnotyzujący, bo teraz już się nie bała, czuła tylko napięcie. „Pokazać jej coś". „Coś pięknego". Nie wiedziała dlaczego, ale naraz wydało jej się, że to wcale nie takie dziwne, że to coś, na co czekała, na co liczyła. Że lęk, który odczuwała przez cały dzisiejszy dzień, musiał przypominać ten, jaki panna młoda czuje w dniu ślubu. Wysiadła, zaciągnęła się świeżym wieczornym powietrzem i zapachem świerkowego igliwia. I nagle znów pojawiła się panika. Ponieważ Jonathan wyraźnie ją uprzedził, że ma absolutnie nikomu o tym nie mówić, to rzeczywiście nic nie powiedziała. Ależ jest głupia. Teraz nikt nie wie, dokąd pojechała. Ścisnęło ją w gardle. W którym momencie powinna powiedzieć „stop"? Oznajmić, że chce wracać do domu? Gdyby zrobiła to teraz, on by się tylko rozgniewał i być może... być może co?

– Torebkę możesz zostawić – rzucił, otwierając tylne drzwi.

– Wolałabym wziąć ze sobą telefon.

– Jak chcesz, ale schowaj go raczej do kieszeni tego, bo może być zimno. – Podał jej ciepłą kurtkę.

Włożyła ją. Kurtka czymś pachniała. Przypuszczalnie Jonathanem. I ogniskiem. W każdym razie tak, jakby niedawno znajdowała się w pobliżu otwartego ognia.

Jonathan założył czołówkę i zanim ją zapalił, odwrócił się, by nie oślepić Thanh.

– Idź za mną.

Zrobił krok przez płytki rów wprost do lasu, a Thanh nie miała innego wyjścia, jak skoczyć za nim. Weszli w las. Nawet jeśli była tam ścieżka, Thanh i tak jej nie dostrzegała. Teren się wznosił, Jonathan od czasu do czasu przystawał i odchylał gałęzie, żeby łatwiej jej było przejść. Wyszli na dużą otwartą polanę, skąpaną

w świetle księżyca, a Thanh wykorzystała okazję, żeby sięgnąć po komórkę. Serce zamarło jej w piersi. Trudno było mówić o słabym zasięgu. W ogóle go nie było.

Kiedy podniosła głowę, uświadomiła sobie, że światło ekranu telefonicznego zaburzyło jej wzrok. Przed sobą widziała jedynie czarną ścianę.

– Tutaj.

Ruszyła w stronę jego głosu. Dostrzegła Jonathana stojącego na linii drzew i wyciągającego do niej rękę. Ujęła ją bez namysłu, jego dłoń była ciepła i sucha. Coraz bardziej zagłębiali się w las. Czy powinna mu się wyrwać i uciec? Ale dokąd? Nie miała pojęcia, gdzie jest droga, gdzie jest miasto, a w lesie i tak by ją dogonił. Stawianie oporu zapewne tylko przyspieszyłoby plany, jakie miał wobec niej. Ściskało ją w gardle od płaczu, lecz jednocześnie się buntowała. Nie była bezradną, naiwną dziewczynką. Jakiś fragment mózgu musiał jej mówić, że to, co robi, jest w porządku. Po co więc karmić strach paranoicznymi myślami? Już niedługo dowie się, o co mu chodzi. I to będzie jak przebudzenie z jednego z tych koszmarów, kiedy człowiek przytomnieje i orientuje się, że przez cały czas leżał niezagrożony w łóżku. Jonathan chciał pokazać jej coś pięknego, i tyle. Zamiast więc puścić jego rękę, która mimo wszystko dawała jej dziwne poczucie bezpieczeństwa, jeszcze mocniej zacisnęła na niej palce.

Drgnęła wystraszona, kiedy Jonathan się zatrzymał.

– Jesteśmy na miejscu – szepnął. – Połóż się tutaj.

Spojrzała na oświetlony punkt na ziemi. Było to coś w rodzaju legowiska ze świerkowych gałęzi. On jakby wyczuł jej wahanie – chcąc pokazać, że to bezpieczne, sam się położył i dał jej znak, że ma pójść w jego ślady.

Odetchnęła głęboko. Zastanawiała się, jak sformułować sprzeciw. Zwilżyła wargi. Zobaczyła, że Jonathan przycisnął palec do ust i patrzył na nią tym swoim nowym chłopięcym wesołym spojrzeniem. Przypominało jej oczy młodszego brata, kiedy razem robili coś, na co rodzice nie pozwalali. Radosne sprzysiężenie. Nie wiedziała, czy na pewno o to chodzi, ale nagle już leżała obok Jonathana. Dostrzegła tuż obok resztki niedużego ogniska, jakby ktoś bywał tu już wielokrotnie wcześniej, chociaż był to środek lasu i niezbyt sensowne miejsce na obozowanie. Mogła stąd widzieć niebo i księżyc między koronami drzew. Co Jonathan mógł chcieć jej tu pokazać?

Poczuła jego oddech tuż przy uchu.

– Musisz być całkiem cicho, Thanh. Możesz się położyć na brzuchu?

Jego głos, jego zapach, tak, to był ten człowiek, o którego obecności w Jonathanie zawsze wiedziała. Nareszcie wyłonił się na światło dzienne. A raczej w mrok.

Zrobiła, jak jej polecił. Nie bała się. A kiedy ujrzała jego dłoń tuż przy swojej twarzy, pomyślała tylko, że to się stanie teraz.

Sung-min podniósł kieliszek w stronę Chrisa. Po telefonie Harry'ego zdecydował, że ostatecznie zakończy tydzień pracy, dzwoniąc do Thanh, żeby zamówić opiekę nad psem i sprawdzić, czy przy okazji nie powiedziałaby czegoś na temat swojego szefa. Nie odebrała. Trudno. Starannie prześwietlił tego Jonathana i nie znalazł żadnych powiązań kryminalnych, ani dawniej, ani teraz. Postanowił zapomnieć o wszelkich podejrzeniach. To była mimo wszystko jego stała metoda: trzymać się surowych i wypróbowanych zasad śledztwa. Powinien już się nauczyć, że przesadne wsłuchiwanie się w tak zwaną intuicję jest kuszące jedynie dlatego, że to takie proste. Nauczył się też, że jeśli chce się przeżyć, będąc śledczym zajmującym się sprawami zabójstw, to trzeba umieć odłożyć pracę na bok, kiedy się ma wolne. A żeby to się udało, na ogół należy skupić się na czymś innym. Teraz więc skupiał się na Chrisie. Na nich. Na tej kolacji i wieczorze, który mieli spędzić razem. Na początku, kiedy przyszedł, atmosfera była dość napięta, ciągle odzywało się echo ostatniej kłótni. Ale już zaczęło się to poprawiać. Będzie miła kolacja, a później dobry seks na zgodę.

Gdy więc poczuł wibrowanie telefonu i zobaczył, że to znów Harry, a Chris spojrzał na niego, unosząc brew, jakby chciał powiedzieć, że stawką jest ten seks, Sung-min zdecydował, że nie odbierze. Niemożliwe, żeby to nie mogło zaczekać. A jednak kiedy nakazał prawemu palcowi wskazującemu, żeby wcisnął Odrzuć, palec go nie posłuchał. Sung-min westchnął ciężko i zrobił przepraszającą minę.

– Jeśli nie odbiorę, będą wydzwaniać przez cały wieczór. Obiecuję, że to nie potrwa dłużej niż dwadzieścia sekund.

Nie czekając na odpowiedź, odsunął krzesło i wybiegł do kuchni, by pokazać Chrisowi, że traktuje te dwadzieścia sekund dosłownie.

– Musisz się streszczać, Harry!

– Okej. Czy w Wydziale Techniki Kryminalistycznej pracuje ktoś, kto ma na imię Arne?

– Arne? Nie przypominam sobie. A nazwisko?

– Nie znam. Mógłbyś się dowiedzieć, kto u nich przeprowadzał analizę tej zatrzymanej partii zielonej kokainy?

– W porządku, zajmę się tym jutro rano.

– Chodziło mi o to, żebyś zrobił to teraz.

– Teraz? Wieczorem?

– Teraz, w ciągu piętnastu minut.

Sung-min odczekał chwilę, żeby dać Harry'emu czas na zrozumienie niestosowności takiej prośby w piątkowy wieczór, w dodatku skierowanej do osoby będącej w zasadzie jego przełożonym. Kiedy jednak nie doczekał się ani sprostowania, ani przeprosin, chrząknął.

– Harry, chętnie bym ci pomógł, ale mam pewne prywatne sprawy, które mają priorytet, a prawda nie ucieknie w ciągu dwunastu godzin. Mój wykładowca w Wyższej Szkole Policyjnej chyba właśnie ciebie cytował, kiedy mówił, że śledztwo w sprawie seryjnych zabójstw to nie sprint, tylko maraton. Że trzeba umieć rozłożyć siły na bieg. No, moje dwadzieścia sekund już minęło. Zadzwonię do ciebie rano.

– Mhm.

Sung-min chciał odsunąć telefon od ucha, ale ręka znów odmówiła.

– Katrine jest teraz z tym Arnem – powiedział Harry.

Chris liczył sekundy. Zirytowało go, że minęło ich już ponad trzydzieści, kiedy Sung-min znów usiadł naprzeciwko niego. A jeszcze bardziej to, że Sung-min nie popatrzył mu w oczy. W każdym razie zrobił to dopiero po tym, jak wypił wielki łyk czerwonego wina, którego nazwę Chris już zapomniał. Wyczuł niepokój Sung-mina, sprawiający, że on sam zawsze czuł się – i to w najlepszym razie – numerem dwa.

– Będziesz dziś pracował, tak?

– Nie, nie, spokojnie, Chris. Spędzimy razem miły wieczór. Weź kieliszek i usiądź na kanapie, a ja puszczę to nagranie Trzeciej symfonii Brahmsa, które

przyniosłem.

Chris spojrzał podejrzliwie na partnera, ale zgodził się przejść do salonu. To Sung-min namówił go na kupienie gramofonu na winyle. Kiedy Sung-min nastawiał płytę, on sam usiadł na kanapie.

– Zamknij oczy – polecił Sung-min.

Chris usłuchał, a po chwili pokój zalała muzyka. Czekał, aż poczuje, jak kanapa ugina się w miejscu, które zostawił dla Sung-mina, ale tak się nie stało. Otworzył oczy.

– Hej, Sung, gdzie jesteś?

Odpowiedź przyszła z kuchni.

– Tylko parę szybkich telefonów. Wsłuchaj się zwłaszcza w wiolonczele!

49

Piątek. Pierścionek

Restauracja Frognerseteren była położona wysoko ponad Oslo, między willami elegantszego mieszczaństwa a ich terenami spacerowymi. Ci, którzy wybierali się do restauracji, przychodzili ubrani w garnitury i suknie, ci w kawiarni, mieszczącej się ściana w ścianę – byli w strojach turystycznych. Dojście z końcowej stacji kolejki trwało sześć minut. Katrine bez trudu dostrzegła Arnego, który siedział sam na zewnątrz przy jednym z dużych, solidnych drewnianych stołów. On też wstał i rozłożył ręce. Uśmiechnął się, jego dobre smutne oczy pod kaszkietem rozbłysły, a ona dość niepewnie pozwoliła się porwać w te zapraszające objęcia.

– Nie będzie za zimno? – spytała, kiedy już usiedli. – Nie wystawili lamp grzewczych. A w środku są chyba wolne stoliki.

– Tak, ale w środku nie zobaczymy Krwawego Księżyca.

– Rozumiem. – Zadrżała. W mieście było za ciepło jak na tę porę roku, ale tu, wysoko, temperatura okazała się znacznie niższa. Katrine spojrzała na biały księżyc. Był zupełnie okrągły, ale poza tym wyglądał całkiem zwyczajnie. – Kiedy wypłynie ta krew?

– To nie będzie krew. – Roześmiał się.

Już od pewnego czasu irytowało ją, że Arne tak dosłownie bierze każde jej słowo, jakby uważał ją za dziecko. A chyba wyjątkowo irytowało ją to dzisiaj, przy tylu stresujących myślach i nieprzepartym poczuciu, że powinna być w pracy, ponieważ czas nie miał wolnego i działał przeciwko nim.

– Do zaćmienia dochodzi, ponieważ Ziemia znajduje się w jednej linii pomiędzy Słońcem a Księżycem i Księżyc wchodzi w rzucany przez nią cień. Księżyc powinien zatem stać się czarny. No ale kierunek światła się zmienia, kiedy trafia na coś o innej gęstości. Pamiętasz to chyba z fizyki, Katrine?

– Chodziłam do klasy humanistycznej.

– No dobrze. Kiedy światło Słońca dociera do ziemskiej atmosfery, światło czerwone załamuje się i pada na Księżyc.

– Aha – powiedziała Katrine z ironiczną przesadą. – A więc to nie krew, tylko światło.

Arne uśmiechnął się zadowolony i skinął głową.

– Ludzie zawsze wpatrywali się w niebo i zawsze się dziwili. I my dalej to robimy, chociaż znamy już tak wiele odpowiedzi. Chyba dlatego, że w ogromie kosmosu znajdujemy pewną pociechę. Z perspektywy wszechświata my z naszym krótkim życiem wydajemy się tacy mali i nic nieznaczący. Tak samo małe są wtedy nasze problemy. Jesteśmy tu przez chwilę i znikamy, więc po co marnować ten niedługi czas, jaki jest nam dany, na przyziemne zmartwienia? Powinniśmy wykorzystywać go najlepiej, jak potrafimy. Dlatego chciałbym cię prosić, żebyś wyłączyła głowę, wyłączyła telefon, wyłączyła cały ten świat. Żebyśmy dzisiejszej nocy mogli razem przeżywać dwie najwspanialsze rzeczy: wszechświat... – nakrył jej dłoń swoją – i miłość.

Słowa trafiły Katrine do serca. Oczywiście, że tak, pod tym względem była dość prosto skonstruowana. Jednocześnie wiedziała, że prawdopodobnie trafiłyby jeszcze mocniej, gdyby wypowiedział je ktoś inny. Nie wiedziała też, czy podoba jej się to wyłączanie telefonu, zostawiła przecież w domu dziecko. A poza tym była odpowiedzialna za śledztwo w sprawie zabójstwa, które mogło się okazać wcale niezakończone, chociaż zaledwie kilka godzin wcześniej tak im się wydawało.

Ale zrobiła, jak prosił, wyłączyła telefon. Od tego czasu minęła już godzina, podczas której jedli i pili, a ona myślała wyłącznie o jednym: by wymknąć się do toalety i włączyć telefon, sprawdzić, czy nikt nie dzwonił albo nie przysłał SMS-a. Oczywiście mogła powiedzieć wprost, że tak jak planety Arnego nie przestają się obracać, tak rzeczywistość w Oslo nie robi sobie przerwy. Jakby dla podkreślenia tej myśli usłyszała w oddali cichy śpiew syreny wozu strażackiego, dobiegający gdzieś z głębi kotła miasta. Nie chciała jednak psuć Arnemu tego wieczoru. Nie mógł przecież wiedzieć, że to już ostatni wieczór, jaki z nią spędza. Owszem, wszystko to, co mówił, było słodkie, ale było tego trochę za dużo. Za dużo Paula Coelha, jak podsumowałby to Harry.

– Idziemy? – spytał Arne, kiedy już zapłacił.

– Dokąd?

– Znam tu, na górze, jedno miejsce, gdzie jest mniej światła i lepiej zobaczymy Krwawy Księżyc.

– Na górze? Gdzie?

– Nad jeziorem, nad Tryvann. To tylko kilka minut piechotą. Chodź, zaćmienie zacznie się za... – Spojrzał na zegarek. – Za osiemnaście minut.

– No dobrze, chodźmy. – Wstała.

Arne zarzucił na ramiona niewielki plecak. Kiedy spytała, co w nim ma, zamrugał chytrze i podał jej rękę. Ruszyli w stronę Tryvann. Na szczycie góry tuż nad jeziorem widać było ponadstumetrowy maszt radiowo-telewizyjny. Przestano z niego nadawać już wiele lat temu, ale wieża pozostała niczym rozbrojony strażnik u bram Oslo. Po drodze minęły ich dwa samochody i wyprzedził ich jakiś biegacz, ale kiedy skręcili na ścieżkę otaczającą jezioro, nie było już żywej duszy.

– To jest dobre miejsce – oświadczył Arne, wskazując przewrócony pień.

Usiedli. Na wyglądającej jak wyasfaltowana powierzchni wody księżyc narysował przez środek żółtą smugę. Arne objął Katrine ramieniem.

– Opowiedz mi o Harrym.

– O Harrym? – powtórzyła zaskoczona Katrine. – Dlaczego?

– Kochaliście się?

Roześmiała się albo zakasłała, sama nie wiedziała, co robi.

– Co, na miłość boską, skłania cię, żebyś tak myślał?

– Przecież widzę.

– O czym ty mówisz?

– Kiedy zobaczyłem Harry’ego w tym barze, natychmiast mnie uderzyło, że jest kopią Gerta. A raczej odwrotnie. – Arne się roześmiał. – Nie miej takiej przerażonej miny, Katrine. Bądź spokojna, nie zdradzę twojej tajemnicy.

– Skąd wiesz, jak wygląda Gert?

– Pokazywałaś mi zdjęcia. Chyba nie zapomniałaś?

Nie odpowiedziała. Wsłuchiwała się w odgłos syren dochodzący z miasta. Gdzieś się paliło, a ona nie powinna tu teraz być. Po prostu. Ale jak mu to wytłumaczyć? Czy miała posłużyć się frazesem, że to nie z nim, tylko z nią coś jest nie w porządku? Przecież to była prawda, bo oprócz Gerta zdołała popsuć wszystko, co dobre w jej życiu. Wiedziała, że człowiek, który siedział teraz obok

niej, ją kocha, i bardzo chciała móc kochać jego. Katrine bowiem tęskniła nie tylko za tym, by być kochaną, lecz również, żeby kogoś kochać. Ale akurat nie tego, który próbował przyciągnąć ją bliżej do siebie. Który miał smutne oczy i tyle wiedział. Już otworzyła usta, żeby to powiedzieć, jednak nie zdecydowała jeszcze, jak to sformułować; wiedziała tylko, że musi to z siebie wyrzucić. Lecz on ją uprzedził.

– Nie jestem nawet pewien, czy chcę wiedzieć, co cię łączyło z Harrym. Znaczenie ma tylko to, że ty i ja jesteśmy teraz razem. I że się kochamy. – Chwycił jej dłoń, podniósł do ust i pocałował. – Chcę, żebyś wiedziała, że w moim życiu jest więcej niż dość miejsca dla ciebie i Gerta. Ale obawiam się, że nie dla Harry'ego Hole. Czy to będzie za dużo, jeśli poproszę, żebyście nie utrzymywali kontaktu? – Teraz ściskał jej rękę w obu swoich. – Co ty na to, kochana? Zgadzasz się?

Katrine z namysłem powoli skinęła głową.

– Masz rację... – powiedziała.

Arne rozpromienił się, uśmiechnął szeroko i otworzył plecak, zanim dokończyła zdanie:

– ...to będzie za dużo.

Jego uśmiech jakby zwiądł po bokach, ale na środku zdołał się utrzymać.

Katrine natychmiast pożałowała, bo Arne wyglądał teraz jak zbity pies. Zobaczyła, że butelka, którą wyjmował z plecaka, to Montrachet, białe wino, jej ulubione, jak sobie wmówił. Okej, może to nie jest mężczyzna na całe życie, ale mógł być mężczyzną chociaż na ten jeden wieczór. Przynajmniej tyle mogła mu dać. Przynajmniej tyle mogła dać sobie. Jedną noc. A podsumowania dokona jutro.

Arne znów sięgnął do plecaka.

– Wziąłem ze sobą jeszcze to...

– Gregersen, słucham.

– Mówi Sung-min Larsen z KRIPOS. Przepraszam, że telefonuję do ciebie do domu w piątkowy wieczór, ale próbowałem dzwonić pod wszystkie bezpośrednie numery do wydziału i nikt nie odbierał.

– No tak, bo mamy weekend. Ale w porządku, mów, Larsen.

– Chodzi mi o analizę tej partii kokainy zatrzymanej na Gardermoen. Tej, która wpakowała przewożących ją funkcjonariuszy w kłopoty.

– Wiem, o co ci chodzi.

– A wiesz, kto u was przeprowadził jej analizę?

– Owszem, wiem.

– Tak?

– Nikt.

– Słucham?

– Nikt.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Mówisz, że tej partii nie zbadano?

Prim patrzył na Nią. Na Kobietę. Na swoją wybrankę. Czy dobrze usłyszał? Czy powiedziała, że nie chce pierścionka z brylantem?

Najpierw tylko czterema palcami dotknęła ust, potem zerknęła na pudełeczko, które Jej podsunął, i zawołała:

– Nie mogę tego przyjąć!

Taka spontaniczna, granicząca z paniką odpowiedź to oczywiście nic dziwnego, kiedy się kogoś zaskoczy, pomyślał Prim. Kiedy ktoś ci wręcza symbol reszty twojego życia, reprezentujący coś zbyt dużego, aby to upchnąć w jednym zdaniu.

Pozwolił Jej więc na złapanie oddechu, po czym powtórzył słowa, które, jak zdecydował, będą towarzyszyły wręczeniu:

– Przyjmij ten pierścionek. Przyjmij mnie. Przyjmij nas. Kocham cię.

Ale Ona znów pokręciła głową.

– Bardzo ci dziękuję, mój drogi, ale to byłoby niewłaściwe.

Niewłaściwe? A co mogło być bardziej właściwego?

Wyjaśnił Jej, że długo oszczędzał i czekał aż do tej chwili, bo uważał, że właśnie tak będzie właściwie. Co więcej, tak jest idealnie, nawet ciała niebieskie na czarnym aksamicie nad ich głowami świadczyły o tym, że to wyjątkowa okazja.

– To idealny pierścionek – powiedziała. – Ale nie dla mnie. – Przechyliła głowę i posłała mu smutne spojrzenie, które miało świadczyć o tym, jak bardzo Jej przykro. Jak bardzo Jej go żal.

A więc jednak dobrze usłyszał.

Prim poczuł szum. Nie delikatny powiew wiatru w koronach drzew, jaki sobie wyobrażał, tylko szum taki jak z telewizora, który nie chce już łapać żadnych kanałów, który jest sam, bez żadnego kontaktu, bez celu i bez sensu. Szum się wzmagał, ucisk w głowie rósł, już stawał się nieznośny. On sam musiał zniknąć, przestać istnieć. Ale nie mógł. Nie mógł po prostu się wyzerować. Zniknąć musiała zatem Ona. To Ona musiała przestać istnieć. A raczej – przyszło mu to do głowy w tym momencie – zniknąć musiał tamten, ten drugi. Przyczyna. Ten, który Ją zatruł. Zaślepił. Namieszał Jej w głowie. Ten, przez którego nie potrafiła odróżnić prawdziwej miłości jego, Prima, od manipulacji tamtego drugiego pasożyta. To on, ten policjant, był Jej Toxoplasma.

– Skoro to nie jest dla ciebie – Prim zamknął pudełeczko z pierścionkiem – dostaniesz to.

Zaćmienie nad ich głowami już się rozpoczęło. Noc niczym żarłoczny kanibal zaczęła z lewej strony nagryzać łupinę Księżyca. Ale tu, gdzie siedzieli we dwoje, wciąż jeszcze dość było księżycowego światła, dość, aby mógł zobaczyć, jak Jej źrenice rozszerzają się na widok wyjętego noża.

– Co... – wydusiła z siebie. Jej głos zabrzmiał sucho, musiała przełknąć ślinę, żeby dokończyć: – ...co to jest?

– A jak ci się wydaje? – spytał.

Po Jej oczach poznał, że o tym pomyślała. Widział, że wargi formułują słowa, które nie chcą się wydostać. Sam więc je wypowiedział:

– Narzędzie zbrodni.

Miała taką minę, jakby chciała coś powiedzieć, ale błyskawicznie poderwał się na nogi i stanął za Nią. Odciągnął Jej głowę do tyłu i przyłożył ostrze noża do gardła.

– To narzędzie zbrodni, które otworzyło tętnice Susanne Andersen i Helene Røed. I otworzy twoją. Jeśli nie zrobisz tego, co ci każę.

Jeszcze mocniej odchylił Jej głowę, aby móc spojrzeć Jej w oczy.

Tak jak widzieli teraz nawzajem swoje twarze, odwrócone, tak właśnie chyba postrzegali też swoje światy. Może to nigdy by się nie udało. Może nawet o tym wiedział. Może dlatego mimo wszystko zaplanował alternatywne rozwiązanie, na

wypadek gdyby nie zaakceptowała pierścionka. Spodziewał się niedowierzania z Jej strony. Ale Ona wyglądała tak, jakby wierzyła w każde jego słowo.

Dobrze.

– Co... co mam zrobić?

– Zadzwonisz do tego swojego policjanta z zaproszeniem, którego nie będzie mógł odrzucić.

50

Piątek. Nieodebrane połączenia

Kierownik sali podniósł słuchawkę dzwoniącego telefonu stacjonarnego.

– Restauracja Frognerseteren.

– Mówi Harry Hole. Próbuję skontaktować się z komisarz Katrine Bratt, która miała u was być dziś wieczorem.

Kierownik się zdziwił. Po pierwsze, telefon najwyraźniej był przełączony na tryb głośnomówiący, a po drugie, nazwisko tego człowieka brzmiało znajomo.

– Patrzę teraz na listę gości, panie Hole. Ale nie widzę żadnego stolika zamówionego na to nazwisko.

– Przypuszczalnie stolik zamówił jej towarzysz. Ma na imię Arne, nazwiska nie znam.

– Nie widzę żadnego Arnego, ale mam sporo nazwisk bez imion.

– Okej. Blondyn. Możliwe, że w kaszkiecie. Ona ma ciemne włosy i wymawia bergeńskie gardłowe r.

– Aha, no tak. Jedli na zewnątrz. To był mój stolik.

– Jedli?

– Owszem, raczej już wyszli.

– Mhm. Nie słyszał pan przypadkiem niczego, co nasunęłoby panu jakiś pomysł, dokąd mogli pójść?

Kierownik sali się zawahał.

– Nie wiem, czy...

– To ważne. Chodzi o śledztwo w sprawie tych zabitych kobiet.

Kierownik zrozumiał wreszcie, skąd zna to nazwisko.

– Towarzysz tej pani przyszedł wcześnie i spytał, czy mógłby pożyczyć dwa kieliszki do wina. Miał ze sobą butelkę Remoissenet Chassagne-Montrachet

i powiedział, że po kolacji zamierza się jej oświadczyć nad Tryvann, więc dałem mu te kieliszki. Rozumie pan, to był rocznik dwa tysiące osiemnaście.

– Dziękuję.

Harry wyciągnął rękę i zakończył rozmowę, naciskając ikonkę w telefonie leżącym na kołdrze Aunego.

– Musimy natychmiast jechać nad Tryvann. Truls, porozmawiasz z centralą alarmową, żeby wysłali tam patrol? Na pełnych syrenach.

– Spróbuję. – Truls wyjął własną komórkę.

– Gotowy, Øystein?

– Oby Mercedes miał nas w swojej opiece.

– Powodzenia! – rzucił Aune.

Wszyscy trzej już wychodzili, kiedy Harry nagle wyjął swój telefon, spojrzał na wyświetlacz i gwałtownie się zatrzymał z jedną nogą za progiem. Zamykające się drzwi wytrąciły mu aparat z ręki. Nachylił się i podniósł go z podłogi.

– Co się dzieje? – zawołał Øystein z korytarza.

Harry nabrał powietrza.

– Ktoś dzwoni z telefonu Katrine. – Zorientował się, że odruchowo przyjął, że to nie ona dzwoni.

– Nie odbierzesz? – spytał Aune z łóżka.

Harry spojrzał na niego z ponurą miną. Wcisnął Odbierz i przyłożył komórkę do ucha.

***

– Jesteś pewien? – spytał szef zespołu wyjazdowego Briseid.

Starszy strażak kiwnął głową.

Briseid westchnął. Rzucił jeszcze okiem na płonącą willę, przed którą jego załoga rozwijała węże. Popatrzył na księżyc. Dziwnie dziś wyglądał, jakby coś z nim było nie tak. Briseid westchnął jeszcze raz, przesunął kask nieco bardziej na tył głowy i ruszył w stronę samotnego radiowozu. Samochód był z policyjnego Wydziału Ruchu Drogowego i Morskiego, przyjechał na miejsce trochę później niż wozy strażackie.

Od momentu, gdy o godzinie dwudziestej pięćdziesiąt centrala otrzymała zgłoszenie o pożarze w willi na Gaustad, do chwili, gdy Briseid z kolegami dotarli na miejsce, minęło dziesięć minut i trzydzieści pięć sekund. Nie byłoby katastrofy, gdyby dojazd zajął im parę minut więcej, ponieważ zniszczony we wcześniejszym pożarze dom od lat stał pusty, były więc raczej niewielkie szanse na zagrożenie ludzkiego życia. Nie było też niebezpieczeństwa rozprzestrzenienia się pożaru na okoliczne wille. Rozwydrzona młodzież czasami podpalała takie pustostany, ale sprawdzaniem, czy ogień został podłożony, zajmą się później, na razie trzeba go ugasić. Pod tym względem niemal przypominało to ćwiczenia. Problemem było to, że dom stał tuż przy autostradzie Ring 3, a gęsty czarny dym walił wprost na nią – stąd obecność drogówki. Na szczęście ruch na zatłoczonej zwykle w piątkowe wieczory drodze wyjazdowej już się uspokoił, ale Briseid z pagórka, na którym stał, widział jednak światła samochodów – tych niespowitych dymem – stojących na autostradzie. Według policjantów utworzył się korek w obie strony od skrzyżowania Smestad aż do Ullevål. Briseid uprzedził policjantkę, że minie trochę czasu, zanim opanują pożar, a przynajmniej zanim dym przestanie się wydobywać, więc niestety ludzie nie tak prędko dotrą tam, dokąd chcą dotrzeć. Przynajmniej policja pozamykała wjazdy na autostradę, więc unieruchomionych aut nie przybywało.

Briseid podszedł do radiowozu. Policjantka opuściła szybę.

– Chyba jednak powinna pani wezwać kolegów – powiedział.

– Tak?

– Widzi go pani? – Briseid wskazał na starszego strażaka stojącego przy jednym z wozów. – Nazywamy go Wąchacz. Jest w stanie odróżnić ten zapach od wszystkiego innego, co się pali. Wąchacz nigdy się nie myli.

– Ten zapach?

– Ten zapach.

– Czyli?

Czy ona jest głupia? Briseid chrząknął.

– Jest zapach grilla. I jest zapach grillowania.

Po jej minie poznał, że wreszcie zrozumiała.

Sięgnęła po mikrofon policyjnego radia.

– O co znów chodzi?

– O co chodzi? – rozległ się na drugim końcu lekko zaskoczony głos Harry’ego.

– Tak! Co się dzieje? Właśnie włączyłam telefon i mam od ciebie siedem nieodebranych połączeń!

– Gdzie jesteś i co robisz?

– Dlaczego pytasz? Coś się stało?

– Po prostu odpowiedz.

Katrine westchnęła.

– Idę na stację Frognerseteren. Mam zamiar pojechać stąd prosto do domu i wlać w siebie kilka mocnych drinków.

– A Arne? Jest z tobą?

– Nie. – Szła w dół tą samą drogą, którą przyszli, tylko znacznie szybciej. Księżyc na niebie był stopniowo pożerany. Może właśnie ten widok sprawił, że postanowiła zrezygnować z zadawania powolnych mąk i wbić Arnemu nóż prosto w serce. – Nie, już go ze mną nie ma.

– Czyli nie ma go tam, gdzie teraz jesteś?

– Jedno i drugie, Harry.

– Co się stało?

– Co się stało? Krótka wersja jest taka, że Arne żyje w zupełnie innym, na pewno lepszym świecie niż ja. Wie wszystko o cząstkach składowych wszechświata, a mimo to patrzy na świat przez różowe okulary, w których rzeczy widzi się takimi, jakimi chce się je zobaczyć, a nie takimi, jakie naprawdę są. Mój i twój świat, Harry, to brzydsze miejsce. Ale prawdziwe. Pod tym względem powinniśmy zazdrościć wszystkim ludziom takim jak Arne. Myślałam, że dam radę wytrzymać z nim dziś wieczorem, ale jestem złym człowiekiem. Pękłam i musiałam mu powiedzieć dokładnie, jak jest, że nie zniosę go ani sekundy dłużej.

– To znaczy... zerwałaś?

– Zerwałam.

– Gdzie on teraz jest?

– Kiedy odchodziłam, siedział nad Tryvann i płakał nad butelką Montrachet i kryształowymi kieliszkami. Ale dość już o facetach. Dlaczego dzwonisz?

– Ponieważ przypuszczam, że tę kokainę skradziono w Wydziale Techniki Kryminalistycznej. I że zrobił to Arne.

– Arne?

– Wysyłamy patrol, żeby go zatrzymał.

– Harry, całkiem ci odbiło? Arne nie pracuje w Wydziale Techniki Kryminalistycznej!

Harry na chwilę zaniemówił.

– Gdzie...

– Arne Sæten jest naukowcem, wykłada fizykę i astronomię na uniwersytecie.

Usłyszała wypowiedziane szeptem „kurwa” i krzyk:

– Truls, odwołuj ten patrol!

Zaraz do niej wrócił.

– Sorry, Katrine, wygląda na to, że minął mi termin przydatności.

– Tak?

– Już trzeci raz w tej cholernej sprawie idę na całość i nie trafiam. Nadaję się na śmietnik.

Katrine się roześmiała.

– Jesteś po prostu tak samo przepracowany jak my wszyscy. Wyłącz głowę i spróbuj trochę odpocząć. Miałeś chyba oglądać zaćmienie Księżyca razem z Alexandrą Sturdzą i Helgem Forfangiem? Ciągle jeszcze zdążysz. Widzę, że Księżyc jest przesłonięty dopiero w połowie.

– Mhm, okej. To na razie.

Harry się rozłączył, pochylił na krześle i podparł głowę rękami.

– Niech to szlag.

– Nie bądź dla siebie zbyt surowy, Harry – powiedział Aune.

Milczenie.

– Harry? – zaczął ostrożnie Aune.

Harry uniósł głowę.

– Nie potrafię odpuścić – oświadczył szorstko. – Wiem, że mam rację. Że prawie mam rację. Rozumowanie mi się zgadza, gdzieś tylko jest jeden malutki błąd.

Muszę go znaleźć.

To się stanie teraz, pomyślała Thanh, kiedy zobaczyła jego rękę zbliżającą się do jej twarzy.

Ale tego, co się ma stać, nie potrafiła sobie wyobrazić. Tylko że to będzie coś niebezpiecznego, podniecająco niebezpiecznego. Coś, czego powinna się bać, czego się wcześniej bała, ale teraz już nie. Bo to nie było aż tak niebezpieczne. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Mówił jej to całym sobą.

Jego ręka znieruchomiała. Jakby nagle zamarzła w powietrzu, ułożona w kształt pistoletu. A Thanh zdała sobie sprawę, że on wcale nie chciał jej dotknąć, tylko coś jej pokazać. Obróciła głowę w stronę wskazaną przez jego palec, musiała lekko unieść się na łokciach, żeby wyjrzeć ponad wzniesienie. Mimowolnie wzięła głębszy oddech. I go wstrzymała.

Bo tam, w blasku księżyca, na leśnej polanie przy końcu opadającego zbocza pagórka zobaczyła cztery, nie, pięć lisów. Czworo szczeniąt zajętych bezgłośną zabawą i dorosłego, który je pilnował. Jedno ze szczeniąt było nieco większe od pozostałych i właśnie na nim Thanh zatrzymała wzrok.

– Czy to... – szepnęła.

– Tak – odszepnął Jonathan. – To Nhi.

– Skąd wiesz, że nazywałam go Nhi?

– Obserwowałem cię. Mówiłaś do niego po imieniu, kiedy się z nim bawiłaś i kiedy go karmiłaś. Rozmawiałaś z nim więcej niż ze mną.

Nawet po ciemku wyczuła, że się uśmiechnął.

– Ale jak to się stało? – spytała szeptem, wskazując na liski.

Jonathan westchnął.

– Jestem idiotą, bo przyjmuję zakazane przez prawo zwierzęta. Tak jak od tego, który miał dwa ślimaki z Mount Kaputar i namówił mnie, żebym zaopiekował się jednym. Uważał, że są większe szanse na przeżycie przynajmniej jednego, jeśli będą żyły w dwóch różnych miejscach. Powinienem był odmówić. Gdyby ten policjant to odkrył, zamknęliby mi sklep. A odkąd spuściłem ślimaka w kiblu, nie mogłem spać. Ale z Nhi miałem przynajmniej czas do namysłu. Wiedziałem, że na dłuższą metę nie zdołamy go ukrywać, a wtedy władze sanitarne go uśmiercą. Zawiozłem go do weterynarza. Okazało się, że jest zdrowy. A potem podrzuciłem

go tej lisiej rodzinie, wiedziałem, że to jej teren. Nie było pewne, czy przyjmą Nhi, a wiem, jak bardzo pokochałaś tego szczeniaka. Dlatego nie chciałem ci nic mówić, dopóki kilka razy nie sprawdziłem i nie nabrałem pewności, że wszystko jest w porządku.

– Nie chciałeś mi o tym mówić, bo się bałeś, że będzie mi przykro?

Zorientowała się, że Jonathan się zakłopotał.

– Myślałem tylko, że bolesne jest mieć nadzieję, a jeszcze bardziej bolesne, kiedy to, o czym człowiek myśli i marzy, się nie spełni.

Bo sam sporo o tym wiesz, dodała w duchu Thanh. Postanowiła któregoś dnia wyciągnąć z niego coś więcej.

Ale akurat w tej chwili nie wiedziała, czy to z powodu ciemności, oszałamiającej radości i ulgi, księżyca, czy też po prostu dlatego, że była taka śpiąca, nagle zapragnęła go objąć.

– Dla ciebie to już chyba późna pora – stwierdził Jonathan. – Możemy tu wrócić innego dnia.

– Dobrze – odszepnęła. – Bardzo chętnie.

Gdy stamtąd odchodzili, musiała się spieszyć, żeby dotrzymać mu kroku. Jonathan chyba wcale nie szedł szybko, ale krok miał nawykły do chodzenia po lesie, do poruszania się po nierównym terenie. Kiedy przechodzili przez polanę zalaną księżycowym światłem, obserwowała jego plecy. Również jego gesty, cała postawa były zupełnie inne niż w sklepie, w mieście. Biły z nich spokój i radość. Naturalność. Jakby właśnie tutaj było jego miejsce. Może tę radość powodowała również świadomość, że sprawił jej przyjemność. Podejrzewała, że tak może być. Oczywiście próbował to ukryć, ale go przejrzała. Thanh już nigdy więcej nie pozwoli się zwieść jego ponurej minie.

Musiała podbiec. Może Jonathanowi wydawało się, że ona już po godzinie spędzonej w lesie poczuje się tu jak u siebie. W każdym razie najwyraźniej nie uważał za konieczne prowadzenia jej za rękę.

Wydała z siebie lekki okrzyk, udając, że się potyka. Jonathan natychmiast stanął, a ją oślepiło światło czołówki.

– O, przepraszam... Wszystko w porządku?

– Tak, tak – zapewniła i wyciągnęła rękę.

Ujął ją.

Poszli dalej.

Thanh zadawała sobie pytanie, czy jest zakochana. A jeśli tak, to od jak dawna. A jeżeli rzeczywiście tak było, to na ile trudne będzie, żeby mu to uświadomić.

51

Piątek. Prim

– Powinieneś czuć większą ulgę, Harry – powiedział Aune. – O co teraz chodzi?

Øystein i Truls właśnie opuścili salę sześćset osiemnaście i ruszyli przodem.

Harry spojrzał na umierającego przyjaciela.

– O pewną starszą panią w Los Angeles. Wpadła w tarapaty, a ja próbowałem... No cóż, jakoś to załatwić.

– To dlatego wróciłeś do domu?

– Tak.

– Domyśliłem się, że chodzi o coś innego niż praca dla Markusa Røeda.

– Mhm. Opowiem ci następnym razem. Wydaje mi się, że będzie sporo ciekawostek dla psychologa.

Aune roześmiał się i uścisnął mu rękę.

– Następnym razem, Harry.

Harry był zupełnie nieprzygotowany na łzy, które nagle zaczęły mu się cisnąć do oczu. Odwzajemnił uścisk Stålego. Nie odezwał się, bo wiedział, że głos mu się załamie. Zapiął marynarkę i szybko wyszedł na korytarz.

Øystein i Truls, którzy stali przy drzwiach windy pięć metrów dalej, odwrócili się do niego.

Zadzwonił telefon Harry’ego. Co powie, jeśli to policja z Los Angeles? Wyjął komórkę i spojrzał na wyświetlacz. Dzwoniła Alexandra. No tak, oczywiście powinien był ją uprzedzić, że nie zdąży na zaćmienie. Chwilę wstrzymywał się z odebraniem, próbując podjąć decyzję, czy ma siłę tam iść. Akurat w tej chwili drink w samotności, i to niejeden, w barze w The Thief kusił o wiele bardziej. Ale nie. Zaćmienie Księżyca na dachu Instytutu Medycyny Sądowej. Świetnie. W momencie gdy odbierał, na ekranie pojawił się SMS. Od Sung-mina Larsena.

– Cześć – odezwał się i jednocześnie zaczął czytać wiadomość.

– Cześć, Harry.

– To ty, Alexandro?

– Tak.

– Twój głos... – Harry dalej czytał SMS-a. – Brzmi jakoś inaczej.

Kokaina nie została poddana analizie w Wydziale Techniki Kryminalistycznej. Ponieważ nie mieli mocy przerobowych, przekazali ją do Instytutu Medycyny Sądowej. Tam zajął się nią niejaki Helge Forfang, który również podpisał i opatrzył datą wynik badania.

Harry miał wrażenie, że serce całkiem mu zamarło. Przed oczami zamigotało. Pojawiły się oderwane kawałeczki, które zderzały się ze sobą i w ciągu zaskakujących paru sekund złożyły się w całość. Alexandra, która podczas oprowadzania go po instytucie napomknęła, że kiedy w Wydziale Techniki Kryminalistycznej nie mają odpowiednich mocy przerobowych, przysyłają materiał do zbadania do nich. I Helge, który powiedział Harry'emu wprost, że pasożyt Toxoplasma gondii to jego dziedzina. Alexandra, która opowiadała, że zaprosiła Helgego na tamtą imprezę na tarasie, bo to spotkanie z rodzaju tych, na które ludzie po prostu wpadają. Technik sekcyjny, który z łatwością mógł umieścić materiał DNA na ciałach Susanne i Bertine, aby skierować podejrzenia ku konkretnym osobom, w dodatku mógł to zrobić w sali sekcyjnej już po przywiezieniu zwłok. Ale przede wszystkim zapach piżma w sali sekcyjnej, gdy Helge właśnie stamtąd wyszedł. Harry sądził, że ten zapach unosi się ze zwłok. Ten sam zapach wyczuł, kiedy nachylił się do Helgego akurat w chwili, gdy tamten naciął oko Susanne Andersen, a on, idiota, uznał, że zapach pochodzi z oka.

Kolejne kawałeczki. I wszystkie do siebie pasowały, tworzyły mozaikę. Duży, wyraźny i ostry obraz. I jak zawsze, gdy wpadały na swoje oczywiste miejsca, Harry zadawał sobie pytanie, jak mógł nie dostrzec tego wcześniej.

Znów rozległ się głos Alexandry. Tak wystraszony, że prawie go nie rozpoznał.

– Harry, możesz tu przyjść?

Brzmiał błagalnie. Zbyt błagalnie. Zupełnie inaczej niż głos tej Alexandry Sturdzy, którą znał.

– To znaczy gdzie? – spytał Harry, żeby zyskać na czasie.

– Przecież wiesz. Na dach...

– Instytutu Medycyny Sądowej, tak? – Harry skinął na Øysteina i Trulsa, znów cofając się do sali sześćset osiemnaście. – Jesteś sama?

– Prawie.

– Prawie?

– Mówiłam ci, że będziemy tu z Helgem.

– Mhm. – Harry wziął głęboki oddech i ściszył głos niemal do szeptu. – Alexandro? – Osunął się na krzesło przy łóżku Aunego, kiedy Truls z Øysteinem bezszelestnie weszli do sali.

– Tak, Harry?

– Posłuchaj mnie uważnie. Nie reaguj, odpowiadaj tylko „tak” albo „nie”. Czy możesz stamtąd wyjść, nie budząc żadnych podejrzeń? Powiedzieć, że musisz iść do toalety albo coś przynieść?

Nie było odpowiedzi. Harry lekko odsunął komórkę od ucha, aby trzej pozostali z Grupy Aunego mogli nachylić się do samsunga.

– Alexandro – szepnął Harry.

– Tak? – odparła niemal bezdźwięcznie.

– Helge jest mordercą. Musisz uciekać. Wyjść z budynku albo gdzieś się zamknąć, dopóki nie przyjedziemy, okej?

Rozległy się trzaski. A potem odezwał się inny głos, męski:

– Nie, Harry, nie okej.

Głos był znajomy, a jednocześnie obcy. Jakby inna wersja znajomej osoby.

Harry nabrał powietrza.

– Helge – powiedział. – Helge Forfang.

– Tak – potwierdził głos. Był nie tylko głębszy, niż Harry zapamiętał, ale też bardziej rozluźniony, pewny siebie. Jak u kogoś, kto już wygrał. – Ale możesz do mnie mówić Prim. Tak mnie nazywali wszyscy, których nienawidziłem.

– Jak chcesz, Prim. Co się dzieje?

– To bardzo stosowne pytanie, Harry. Dzieje się to, że właśnie trzymam nóż przyłożony do gardła Alexandry i zastanawiam się, co nam obojgu przyniesie przyszłość. A może raczej trojgu. Bo ty też jesteś tego częścią. Rozumiem, że zostałem odkryty, stoję na straconej pozycji, jak to się mówi w szachach. Długo

miałem nadzieję, że tego uniknę, ale nawet gdybym był pewien, że tak się to skończy, nie postąpiłbym inaczej. Jestem w zasadzie dumny z tego, co udało mi się osiągnąć. Myślę, że nawet mój wuj poczuje dumę, kiedy o tym przeczyta. Oczywiście przez ten krótki czas, na jaki jego zakażony pasożytem mózg będzie w stanie to zapamiętać.

– Prim...

– Nie, Harry, żadną miarą nie zamierzam unikać kary za to, co zrobiłem. Właściwie planowałem odebrać sobie życie, kiedy będzie już po wszystkim, ale wydarzyły się różne rzeczy. Takie, dzięki którym nabrałem chęci, by żyć dalej. Dlatego jestem zainteresowany negocjacjami w kwestii uzyskania jak najłagodniejszej kary. Ale żeby zająć odpowiednią pozycję negocjacyjną, trzeba mieć jakąś kartę przetargową. A ja mam zakładniczkę, którą mogę oszczędzić lub nie. Jestem pewien, że rozumiesz.

– Twoim najlepszym posunięciem w celu uzyskania łagodniejszej kary będzie wypuszczenie Alexandry i natychmiastowe oddanie się w ręce policji.

– Chcesz powiedzieć, że tak by było najlepiej dla ciebie. Chciałbyś, żebym się usunął, zostawiając ci wolną drogę.

– Wolną drogę do czego, Prim?

– Nie udawaj głupiego! Do Alexandry. Zainfekowałeś ją, wzbudziłeś w niej pożądanie do siebie. Przekonałeś ją, że masz jej coś do zaoferowania. Na przykład prawdziwą miłość. No cóż, teraz masz szansę pokazać, jak bardzo ta miłość jest szczera. Co powiesz na wymianę? Na to, że zajmiesz jej miejsce?

– A ty ją uwolnisz?

– Oczywiście. Żaden z nas nie chce, żeby Alexandrze coś się stało.

– Okej, wobec tego mam propozycję, jak to zrobić.

Śmiech Helgego miał wyższy ton niż jego głos.

– Nice try, Harry. Ale zrobimy to raczej według mojego planu.

– Jaki to plan?

– Przyjedziesz tu samochodem z jeszcze jedną osobą. Zaparkujecie na środku placu przed naszym budynkiem, tak żebym mógł widzieć, jak we dwóch i tylko we dwóch wysiadacie z samochodu i wchodzicie do budynku, do którego wpuszczę was stąd. Już wtedy masz mieć ręce skute kajdankami na plecach, rozumiesz?

– Tak.

– Wjedziecie windą na samą górę, podejdziecie do drzwi na dach, uchylicie je i powiadomicie, że jesteście. Jeśli wtargniecie na dach bez uprzedzenia, podetnę Alexandrze gardło. To chyba też rozumiesz, prawda?

Harry przełknął ślinę.

– Owszem.

– Kiedy powiem, że można wejść, tyłem, nie patrząc na mnie, wejdziecie przez drzwi na dach.

– Tyłem?

– Właśnie tak się robi w więzieniach o zaostrzonym rygorze, prawda?

– Prawda.

– Wobec tego rozumiesz. Ty będziesz szedł pierwszy. Zrobisz osiem kroków do tyłu. Potem się zatrzymasz i uklękniesz. Ten, kto będzie ci towarzyszył, zrobi tyłem cztery kroki i też uklęknie. Jeśli to nie zostanie wykonane dokładnie...

– Rozumiem. Osiem kroków i cztery kroki, tyłem.

– Świetnie, bystry jesteś. W czasie kiedy Alexandra będzie szła do drzwi, przełożę nóż na twoje gardło. Twój pomocnik zaprowadzi ją do samochodu i odjadą.

– A potem?

– Potem mogą się rozpocząć negocjacje.

Na chwilę zapadła cisza.

– Wiem, co sobie myślisz, Harry. Po co zamieniać dobrego zakładnika na gorszego? Dlaczego zwalniać młodą niewinną kobietę? I policja, i politycy wiedzą, że taka osoba wzbudzi wśród ludzi znacznie większe emocje niż jakiś podstarzały śledczy.

– No cóż...

– Odpowiedź jest dość prosta. Ja ją kocham, Harry. A żeby była skłonna czekać, aż odzyskam wolność, muszę jej pokazać swoją prawdziwą miłość. Sądzę, że ława przysięgłych również potraktuje to jako okoliczność łagodzącą.

– Tego jestem pewien – powiedział Harry. – To co, widzimy się za godzinę od teraz?

Z telefonu znów dobiegł jasny śmiech.

– Nice try again, Harry. Nie sądzisz chyba, że przed wymianą dam ci dość czasu na ściągnięcie oddziału specjalnego i połowy policjantów z całego miasta?

– Okej, ale jesteśmy dość daleko. Ile czasu mamy na dostanie się do was?

– Myślę, że kłamiesz. Nie wydaje mi się, żebyś był bardzo daleko. Czy stamtąd, gdzie jesteś, widać Księżyc?

Øystein podszedł do okna. Kiwnął głową.

– Tak – odparł Harry.

– No to widzisz, że zaćmienie już się zaczęło. Kiedy Księżyc zostanie całkiem zasłonięty, poderżnę gardło Alexandrze. Masz więc czas liczony w minutach.

– Ale...

– Jeśli astronomowie dobrze to obliczyli, to od tej chwili masz... zaraz, zaraz... dwadzieścia dwie minuty. I jeszcze jedno. Mam oczy i uszy w wielu miejscach, więc jeśli zobaczę lub usłyszę, że policja czy ktoś inny został zaalarmowany, Alexandra umrze, zanim się zjawisz. A teraz się pospiesz.

– Ale... – Harry urwał i podniósł telefon, żeby pokazać reszcie, że połączenie zostało przerwane.

Spojrzał na zegarek. Helge Forfang dał im dość czasu. Autostradą Ring 3 dotarcie do Instytutu Medycyny Sądowej w Szpitalu Centralnym nie zajmie im więcej niż pięć–sześć minut.

– Zrozumieliście?

– Sporo – odparł Aune.

– Nazywa się Helge Forfang, pracuje w Instytucie Medycyny Sądowej i trzyma na dachu koleżankę z pracy jako zakładniczkę. Chce ją wymienić na mnie. Mamy dwadzieścia minut. Nie możemy się skontaktować z policją, bo jeśli to zrobimy, są duże szanse, że on to odkryje. Jedziemy tam teraz, ale oprócz mnie tylko jeden.

– No to ja – oświadczył Truls zdecydowanie.

– Nie – zaoponował równie zdecydowanie Aune.

Popatrzyli na niego.

– Słyszałeś go, Harry! On cię zabije. Dlatego chce, żebyś tam przyszedł. Kocha ją, a ciebie nienawidzi. Nie będzie negocjował. Może ma zaburzony kontakt z rzeczywistością, ale równie dobrze jak ty i ja wie, że nie ma nic takiego jak złagodzenie kary za wymianę zakładnika.

– Możliwe – przyznał Harry. – Ale nawet ty, Ståle, nie możesz mieć pewności co do stopnia jego zaburzeń. On może uważać, że tak jest.

– To mało prawdopodobne. Chcesz ryzykować życie?

Harry wzruszył ramionami.

– Czas płynie, panowie. Tak, uważam, że wyjdziemy na plus, zamieniając podstarzałego byłego śledczego na młody talent naukowy. To prosta matematyka.

– No właśnie – powiedział Aune. – Prosta matematyka.

– Świetnie, że się ze sobą zgadzamy. Truls, jedziemy?

– Jest pewien problem – odezwał się Øystein spod okna, gwałtownie przy tym stukając w telefon. – Widzę, że tu, na drodze, ruch kompletnie zamarł. Bardzo niezwykłe jak na taki późny wieczór. A teraz piszą w internecie, że zamknęli Ring trzy z powodu dymu z jakiegoś płonącego domu. To znaczy, że mniejsze ulice są zatkane, a jako taksówkarz mogę was zapewnić, że nie dotrzecie do Szpitala Centralnego w dwadzieścia minut. W trzydzieści też nie.

Wszyscy łącznie z Jibranem tylko na siebie patrzyli.

– Aha. – Harry spojrzał na zegarek. – Truls, nadużyłbyś swoich uprawnień policyjnych, których nie masz?

– Bardzo chętnie.

– Świetnie. Wobec tego lecimy na izbę przyjęć i konfiskujemy karetkę. Na światłach i na sygnale, co ty na to?

– Brzmi nieźle.

– Stop! – krzyknął Aune, pięścią uderzając w nocną szafkę z taką siłą, że przewrócił się stojący na niej plastikowy kubek i woda wylała się na podłogę. – Nie słyszycie, co mówię?!

52

Piątek. Syreny

Prim słyszał odgłos syreny wznoszący się i opadający w stale ciemniejącym wieczorze. Wkrótce cały Księżyc zostanie zjedzony, a niebo rozjaśni tylko żółty odblask świateł miasta. To nie była syrena policyjna ani też sygnały wozów strażackich, które słyszał wcześniej tego wieczoru. To była karetka. Oczywiście mogła to być karetka wioząca kogoś do szpitala, ale coś mu mówiło, że to nadciąga Harry Hole. Prim już wcześniej włączył policyjne radio, które miał w plecaku. Jasne, że Hole mógł poinformować kolegów w taki sposób, by nie znalazło się to w eterze, Prim nie był przecież pierwszym przestępcą, który miał dostęp do częstotliwości policyjnych. Ale coś w rozluźnionej atmosferze komunikacji radiowej powiedziało mu, że raczej niewielu funkcjonariuszy z miasta wie, co się dzieje. Najbardziej dramatycznym wydarzeniem tego wieczoru wydawało się znalezienie zwęglonych zwłok w willi na Gaustad, która spłonęła.

Ustawił swoje krzesło tuż za Alexandrą, tak by oboje mieli widok na metalowe drzwi, w których wkrótce miał się pojawić policjant ze swoim towarzyszem. Zastanawiał się, czy nie zażądać, żeby przyszedł tylko Harry, nie wykluczał jednak, że Alexandrę trzeba będzie zabierać stąd siłą. Od czasu do czasu wiatr przynosił zapach dymu z Gaustad, położonego zaledwie pół kilometra stąd. Prim nie chciał go wdychać. Nie chciał mieć więcej Markusa Røeda w sobie. Skończył z nienawiścią. Teraz pozostawała jedynie miłość. Wprawdzie Jej pierwszą reakcją było odrzucenie go, ale może nic w tym dziwnego. Zadziałał tak nagle, że oczywiście był to dla Niej szok, a automatyczną reakcją na szok jest przecież ucieczka. W dodatku uważała, że są tylko przyjaciółmi! Może naprawdę miała go za geja? Może uznał to błędnie za rodzaj flirtu, za wymówkę pozwalającą Jej wychodzić z nim na miasto i na imprezy bez żadnych kryjących się za tym myśli? Częściowo grał w tę grę razem z Nią, sądząc, że może Ona potrzebuje tej wymówki. A nawet przyznał się, że uprawiał seks z mężczyzną, nie wyjaśniając, że miał na myśli bycie molestowanym przez ojczyma. Tak przyjemnie spędzało się

z Nią czas, tak miło było im razem! Myśl o tym, że Ją kocha, musiała dojrzeć, to oczywiste. Za wcześnie wręczył Jej ten pierścionek. Ale po to, by miłość między nimi mogła wyrosnąć, należało pozbyć się tego, który przesłania Jej słońce.

Prim dotknął strzykawki schowanej w wewnętrznej kieszeni. Po rozmowie z Harrym pokazał ją Alexandrze i wszystko wytłumaczył. Być może miała zbyt małą wiedzę z mikrobiologii na to, żeby być idealną słuchaczką, ale przy swoim wykształceniu i tak ponadprzeciętnie się do tego nadawała. Wiedziała dostatecznie dużo, by zrozumieć, jaki przełom w dziedzinie parazytologii stanowiło wyhodowanie pasożytów działających dziesięć razy szybciej niż te stare, powolne. Nie doczekał się jednak spodziewanych okrzyków zachwytu, kiedy powiedział Jej, że jego pierwotniaki Toxoplasma gondii przeniknęły do mózgu Terry'ego Våge w czasie krótszym niż godzina. Pewnie nie mogła skoncentrować się na jego rewelacjach, bo za bardzo się bała. Prawdopodobnie sądziła, że Jej życie jest zagrożone. I rzeczywiście miałaby rację, gdyby Harry Hole nie był tak przewidywalny. Ale Hole zrobi dokładnie to, co on, Prim, mu poleci. Bo Hole był ze starej szkoły: kobiety i dzieci mają pierwszeństwo. Dzięki temu Prim zrealizuje swój plan. Nareszcie przepełniała go radość. Uczucie, którego zabrakło, gdy zaczął gotować głowę ojczyma. Owszem, bitwa była przegrana – Alexandra odmówiła przyjęcia pierścionka, a Harry Hole go odkrył. Ale wojna ciągle trwała. A on zamierzał ją wygrać. Przede wszystkim musi na dobre pozbyć się rywala. Właśnie w taki sposób to działa w świecie zwierząt, a koniec końców ludzie też są zwierzętami. Dlatego oczywiście będzie musiał iść do więzienia, ale stamtąd nauczy Ją go kochać. Ona go pokocha, bo po jego zwycięstwie nad Harrym zrozumie, że to on, a nie policjant, jest Jej samcem. To takie proste. Nie banalne, lecz proste. Nieskomplikowane. Tylko kwestia czasu.

Spojrzał na Księżyc. Niezasłonięta pozostała jedynie malutka łupina. Ale syreny się zbliżały. Były już bardzo niedaleko.

– Słyszysz, że on już jedzie, żeby cię uratować? – Prim przesunął palcem po kurtce Alexandry. – Cieszysz się z tego? Że ktoś kocha cię tak bardzo, że jest skłonny dla ciebie umrzeć? No to wiedz, że ja cię kocham bardziej. Zaplanowałem swoją śmierć, ale zdecydowałem, że będę żyć dla ciebie. A uważam, że to większa ofiara.

Syrena nagle się urwała. Prim wstał i zrobił dwa kroki do krawędzi dachu.

Żółte snopy świateł omiotły pusty parking w dole.

To była karetka. Bocznymi drzwiami z tyłu wysiadły dwie osoby. Po czarnym garniturze rozpoznał Holego. Ten drugi miał na sobie coś jasnoniebieskiego, co wyglądało na strój szpitalny. Czyżby Hole przywiózł ze sobą pielęgniarza albo pacjenta? Hole odwrócił się plecami do dachu, a Prim, chociaż z góry nie mógł dostrzec kajdanek, zauważył jednak błysk metalu w świetle latarni. Ramię w ramię wolno podeszli do drzwi wejściowych, znajdujących się w linii prostej pod Primem.

Wypuścił z ręki paczkę cameli Alexandry. Obserwował, jak spada wzdłuż fasady i z miękkim klaśnięciem ląduje przed tamtymi. Szarpnęli się wystraszeni, ale nie podnieśli głów. Mężczyzna w szpitalnym stroju podniósł paczkę i ją otworzył. Wyjął z niej identyfikator Prima i kartkę z zapisanym kodem do wejścia oraz z informacją, na które piętro mają wjechać windą i że do drzwi na dach trzeba wejść schodami na prawo.

Prim wrócił na swoje miejsce za plecami Alexandry, oboje byli zwróceni twarzami w stronę drzwi znajdujących się przed nimi w odległości dziesięciu metrów.

Sprawdził, co czuje. Czy bał się tego, co miało wkrótce nastąpić? Nie. Przecież zabił już trzy kobiety i trzech mężczyzn. Ale był spięty. Po raz pierwszy miał przystąpić do fizycznego ataku na kogoś, kto nie został wcześniej zaprogramowany, zredukowany do przewidywalnego robota, którym kierowały pasożyty. Chociaż wszyscy w zasadzie zarazili się sami. Helene Røed i Terry Våge wchłonęli pasożyty z alkoholem, Susanne i Bertine wciągnęły je przez nos na imprezie, a diler kokainy ze snuff bullet Bertine. Prim wpadł na ten pomysł tamtego dnia, kiedy przyszła partia zielonej kokainy. To znaczy już dawniej dotarło do niego, że Markus Røed nie może żyć bez kokainy, i zastanawiał się, czy to dobry sposób na umieszczenie pasożytów w jego organizmie. Ale dopiero kiedy przyszła tamta partia, a w dodatku Alexandra parę dni wcześniej mówiła o imprezie na tarasie u Røeda, zrozumiał, jaka okazja się nadarza. Oczywiście nie zakładał, że trzy inne osoby wezmą tę kokainę i będą musiały rozstać się z życiem, nim wreszcie zarazi ojczyma swoim wariantem Toxoplasma gondii. W jego przypadku domieszał pasożytów do tego, co najzdrowsze, najbardziej naturalne i najbardziej niezbędne człowiekowi do życia: do wody. Na samą myśl o tym się uśmiechał. Sam zadzwonił do Røeda i polecił mu natychmiast przyjść do instytutu, żeby zidentyfikował zwłoki żony. I przygotował wodę, która już czekała na Røeda.

Pamiętał nawet dosłownie, co powiedział, żeby skłonić ojczyma do wypicia jej przed wejściem do sali sekcyjnej: „Z doświadczenia wiem, że w takich wypadkach lepiej mieć nawodniony organizm”.

Księżyc został już prawie całkiem pochłonięty i ściemniło się jeszcze bardziej, gdy Prim usłyszał powolne, a raczej bardzo powolne kroki na schodach.

Ostatni raz sprawdził, czy strzykawka w wewnętrznej kieszeni jest gotowa do użycia.

Zazgrzytały zawiasy metalowych drzwi, które ledwie się uchyliły. Dobiegł zza nich ochrypły głos:

– To my.

Głos Harry’ego Hole.

Z ust Alexandry wyrwał się zduszony szloch. Prim poczuł narastającą wściekłość, nachylił się i szepnął jej prosto do ucha:

– Nie ruszaj się! Siedź nieruchomo, ukochana. Chcę, żebyś żyła, ale jeśli mnie nie posłuchasz, zmusisz mnie do tego, żebym cię zabił.

Wstał z krzesła. Chrząknął.

– Pamiętacie instrukcje? – Z zadowoleniem usłyszał, że jego głos brzmi donośnie i czysto.

– Tak.

– No to wychodźcie. Powoli.

Drzwi się otworzyły.

W chwili gdy postać w garniturze przekroczyła tyłem wysoki próg, Prim zdał sobie sprawę, że nastąpiło całkowite zaćmienie. Odruchowo spojrzał na Księżyc wiszący tuż nad nadbudówką. Tarcza nie była czarna, przybrała czarodziejską czerwoną barwę. Księżyc wyglądał jak blada wycieńczona meduza, posiadająca dość światła tylko dla siebie i żadnej nadwyżki dla ludzi w dole.

Postać w drzwiach przeszła tyłem pierwsze z umówionych ośmiu kroków w stronę Alexandry i Prima. Wolno szurała nogami, jakby miała łańcuchy na nogach, pomyślał Prim, jak idący na szafot skazaniec, który usiłuje o kilka sekund przedłużyć swoje żałosne życie. Widział rezygnację i poczucie klęski w tym przygarbionym teraz ciele. Tamtego wieczoru, kiedy Prim śledził Harry’ego Hole i Alexandrę, gdy wybrali się na kolację, i widział, jak objęci niczym para

zakochanych idą przez park Zamkowy, Hole wyglądał na wysokiego i silnego. Tak samo było tamtego wieczoru, kiedy szpiegował ich w barze Jealousy. A teraz Hole jakby skurczył się do swoich właściwych rozmiarów. Prim był pewien, że Alexandra dostrzega to samo co on: że garnitur, który leżał jak ulany na człowieku, za jakiego uważała Harry'ego Hole, przestał na niego pasować.

Cztery kroki przed Holem szedł tyłem ten drugi, z rękami założonymi za głową. Czy ostatni promień księżycowego światła w czymś się odbił? Czyżby mężczyzna w szpitalnym stroju trzymał w ręku broń? Nie, nic tam nie miał, najwyżej obrączkę na palcu.

Hole się zatrzymał. Ręce skute kajdankami na plecach najwyraźniej ogromnie utrudniły mu uklęknięcie. Ten człowiek już zachowywał się jak trup. Prim odczekał, aż uklęknie także ten drugi, ten w szpitalnym stroju.

Potem podszedł do Holego i uniósł prawą rękę, w której trzymał strzykawkę. Wycelował w bladą, prawie białą obwisłą skórę na karku, widoczną nad kołnierzykiem koszuli.

Za sekundę będzie po wszystkim.

– Nie! – krzyknęła Alexandra za jego plecami.

Prim się zamachnął. Hole nie zdążył zareagować, kiedy igła przebiła kark i weszła w ciało. Drgnął, ale się nie odwrócił. Prim kciukiem nacisnął tłoczek strzykawki. Wiedział, że sprawa jest już załatwiona. Że pasożyty ruszyły. Zapewnił im najkrótszą drogę do mózgu. I że to może pójść jeszcze szybciej niż u Vågego. Zauważył, że mężczyzna z przodu, ten w szpitalnym stroju, odwraca się w półmroku. Znów coś błysnęło na jego dłoni. I teraz Prim to zobaczył. To nie obrączka, lecz palec. Palec z metalu.

Mężczyzna obrócił się już całkowicie. Wstał. Kiedy wysiadali z karetki, kąt widzenia nie pozwolił Primowi dostrzec, że ten mężczyzna jest wysoki, wyższy niż tamten w garniturze, a gdy szli tyłem, obaj byli przygarbieni. Ale teraz Prim uświadomił sobie, że to jest właśnie on. Że człowiek w szpitalnym ubraniu to Harry Hole. Zobaczył też jego twarz, jasne oczy nad rozciągniętymi niby w uśmiechu ustami.

Prim zareagował najszybciej, jak umiał. Był przygotowany na to, że w taki czy inny sposób będą chcieli go oszukać. Wszyscy tego chcieli, odkąd był mały. To się

właśnie tak zaczęło i tak się miało skończyć. Postanowił jednak, że coś ze sobą zabierze. Coś, czego nie odda policjantowi. Ją.

Kiedy obracał się do Alexandry, już miał wyciągnięty nóż. Ona też wstała. Uniósł nóż do ciosu. Próbował pochwycić jej spojrzenie, powiedzieć jej, że umrze. Wezbrała w nim wściekłość. Bo jej spojrzenie było skierowane ponad jego ramieniem. Na tego cholernego policjanta. Było tak jak z Susanne Andersen na tej imprezie na dachu. One zawsze wypatrywały kogoś lepszego. No dobrze, niech więc Hole zobaczy, jak ta dziwka umiera.

Harry napotkał wzrok Alexandry. Widziała, oboje widzieli, że on jest za daleko, by zdołał ją uratować. Zdążył jedynie nakreślić prędko palcem wskazującym kółko na szyi i mieć nadzieję, że ona pamięta. Zobaczył, że cofnęła bark.

Powinno być za mało czasu. Było za mało czasu, tak miał później myśleć. Chyba że pasożyt zredukował zdolność reakcji również u swojego ostatecznego żywiciela. Ciało Helgego zasłoniło mu widok na cios, Harry nie mógł więc zobaczyć, czy uderzając, ułożyła dłoń w kształt dłuta.

Ale musiała tak zrobić.

I musiała trafić.

A instynkty Helgego Forfanga musiały wygrać. Nie chciały już Alexandry, nie chciały zemsty, tylko powietrza. Helge wypuścił z rąk nóż i strzykawkę, osunął się na kolana.

– Uciekaj! – wrzasnął Harry. – Wyjdź stąd!

Alexandra bez słowa wyminęła go biegiem, otworzyła metalowe drzwi i zniknęła.

Harry podszedł do klęczącego mężczyzny w garniturze, patrząc przy tym na plecy Helgego Forfanga, który przyłożył obie dłonie do gardła. Wydawał z siebie syk jak przedziurawiona opona. Ale naraz obrócił się gwałtownie na betonie i kiedy upadł na plecy, wpatrzony w Harry’ego, znów trzymał w ręku strzykawkę, wskazując na niego igłą. Otworzył usta, najwyraźniej po to, żeby coś powiedzieć, lecz wciąż wydobywał się z nich jedynie syk.

Harry, nie spuszczając z niego oczu, położył dłoń na ramieniu mężczyzny w garniturze, który klęczał z pochyloną głową.

– Jak się czujesz, Ståle?

– No cóż – odszepnął Aune ledwie słyszalnym głosem. – Dziewczyna uratowana?

– Uratowana.

– No to czuję się dobrze.

Nagle Harry zobaczył coś w oczach Helgego i to rozpoznał. To samo widział w oczach Bjørna tamtego ostatniego wieczoru, kiedy Harry od niego odchodził, kiedy wszyscy już od niego odeszli, a następnego dnia rano znaleziono go w aucie, w którym eksplodował jego mózg. Później Harry trochę zbyt wiele razy widział to w lustrze, kiedy myśl o Rakel i Bjørnie też kazała mu zastanawiać się nad podobną decyzją.

Strzykawka w rękach Helgego nie była już skierowana w Harry'ego, tylko w niego samego. Harry widział, jak zbliża się do twarzy Forfanga. Jak zasłania jedno oko, podczas gdy drugie nie odrywało się od Harry'ego. Skrawek księżycowej tarczy znów zaczął świecić i Helge lekko opuścił strzykawkę, aby Harry mógł widzieć, że igła zmierza ku gałce ocznej – najkrótszej drodze do mózgu. Harry zobaczył, że oko ugina się jak ugotowane na miękko jajko, zanim igła je przebiła, po czym wraca do pierwotnej formy. Patrzył, jak Prim z pozbawioną wyrazu twarzą wbija strzykawkę głębiej. Harry nie wiedział, ile nerwów jest w oku i tuż za nim, zapewne nie było to aż tak bolesne, jak wyglądało. Nie takie trudne. Wręcz proste. Proste dla człowieka, który nazywał się Prim. Proste dla najbliższych jego ofiar, proste dla Alexandry, proste dla organów ścigania i dla zawsze żądnej zemsty opinii publicznej. Każdy dostałby swoją część. W dodatku bez poczucia winy, z którym po egzekucjach zostają nawet ludzie w kraju, gdzie jest kara śmierci.

Tak, to by było proste.

Za proste.

Widząc, jak kciuk Helgego zgina się na tłoku strzykawki, Harry skoczył w przód. Upadł na kolana i wsunął pięść w dłoń tamtego. Helge nacisnął, ale ręka Harry'ego uniemożliwiła mu wciśnięcie tłoczka. Kciuk zatrzymał się na nieustępliwym metalowym palcu z szarego tytanu.

– Pozwól! – jęknął Prim.

– Nie – powiedział Harry. – Zostaniesz z nami.

– Ale ja tu nie chcę być!

– Wiem. Właśnie dlatego.

Nie puszczał. Gdzieś z oddali dobiegła znajoma muzyka. Syreny policyjne.

53

Piątek. Fool

Alexandra i Harry zaglądali przez szybę do sali sekcyjnej, w której Aune leżał na stole, a obok niego siedziała Ingrid. Dom Aunego znajdował się w odległości zaledwie pięciu minut jazdy, więc Ingrid przyjechała natychmiast.

Helgego Forfanga zabrała już policja. Wkrótce mieli się zjawić technicy. Harry zadzwonił na dyżur kryminalny i zgłosił zabójstwo, nie mówiąc, że ofiara jeszcze nie umarła.

Nagle Aune roześmiał się, kaszląc, i podniósł głos, mogli więc usłyszeć jego słowa przez głośnik:

– Tak, tak, pamiętam to, kochanie. Ale nie sądziłem, że mogłabyś się zainteresować takim gościem jak ja. Mogę to już dostać?

Alexandra podeszła o krok i wyłączyła dźwięk.

Tylko patrzyli na tych dwoje. Harry był przy tym, jak przyszła Ingrid. Mąż sam wyjaśnił jej, że pasożyty, które mu zaaplikowano, najprawdopodobniej zadziałają bardzo szybko, a on chciałby wyjść zwycięsko z tego wyścigu. Kiedy Aune powiedział, że Harry zaofiarował się, że to zrobi, Ingrid zdecydowanie pokręciła głową. Wskazała jedną z wystających żył na szyi męża i spojrzała na Harry’ego, a ten skinął głową, dał jej strzykawkę z morfiną, którą dostał od Alexandry, i wyszedł z sali.

Teraz patrzyli, jak Ingrid ociera oczy, po czym podnosi strzykawkę.

Harry i Alexandra wyszli na parking zapalić razem z Øysteinem.

Dwie godziny później – po przesłuchaniu i rozmowie z psychologiem kryzysowym w Budynku Policji – Øystein i Harry zawieźli Alexandrę do domu.

– Jeśli nie masz zamiaru zrujnować się na The Thief, możesz przez jakiś czas pomieszkać u mnie – zaproponowała.

– Dzięki – powiedział Harry. – Pomyślę.

Była północ. Harry siedział w hotelowym barze, wpatrzony w szklankę z whisky, i dokonywał podsumowania. Bo przyszła pora na obrachunki. Liczenie tych, których stracił, i tych, których zawiódł. I tych bez twarzy, których może – ale tylko może – uratował. Ale w tych wyliczeniach ciągle brakowało jednej osoby.

Jakby w odpowiedzi na jego myśli zadzwonił telefon.

Spojrzał na numer. To był Ben.

Z nagłą pewnością Harry wiedział, że właśnie teraz się o tym dowie. Może dlatego zawahał się, odbierając.

– Ben?

– Hi, Harry. She has been found.

– OK. – Harry głęboko odetchnął. Potem jednym łykiem opróżnił szklankę. – Where?

– Here.

– Here?

– She is sitting right in front of me.

– You mean... at Creatures?

– Yeah. She and a whisky sour. They took her phone, that’s why you couldn’t find her. And she moved back to Laurel Canyon when she got out of Mexico. Here she is...

Harry usłyszał hałasy i śmiech. A potem głos Lucille:

– Harry?

– Lucille. – Tylko tyle był w stanie powiedzieć.

– Don’t go soft on me, Harry. I’ve been thinking about what my first words to you would be. And what I came up with, is this...

Usłyszał, że Lucille nabiera powietrza, a potem z mieszanką śmiechu i płaczu, uruchamiając nasączone whisky struny głosowe, mówi:

– You saved my life, you fool.

54

Czwartek

Dzień pogrzebu Stålego Aune był zimny i wietrzny. Wiatr rozwiewał włosy żałobnikom. W pewnym momencie wydarzyła się dziwna rzecz: z pozornie bezchmurnego nieba sypnęło gradem. Harry rano zgolił brodę, a wychudzona twarz, która spojrzała na niego w lustrze, pochodziła z ewidentnie szczęśliwszych czasów. Może to mogło jakoś pomóc. Prawdopodobnie nie.

Kiedy wszedł na mównicę, aby powiedzieć kilka słów, o co poprosiły go Ingrid i Aurora, zobaczył, że kościół jest wypełniony po brzegi.

W pierwszych dwóch rzędach siedziała rodzina. W następnym – bliscy przyjaciele, większości z nich Harry nigdy nie widział. W jeszcze następnym Mikael Bellman. Minister sprawiedliwości był oczywiście zadowolony z wyjaśnienia sprawy i zamknięcia Helgego Forfanga za kratami, ale starał się nie wychylać przez cały ten tydzień, kiedy gazety pławiły się w coraz to nowych szczegółach w miarę ujawniania ich przez policję. Takich jak przedstawiony przez Helgego Forfanga opis zabójstwa ojczyma. Mona Daa i „VG” co prawda dali dobry przykład, nie publikując nagrania nagiego Markusa Røeda przyznającego się do molestowania pasierba, poprzestali tylko na zreferowaniu treści. Ale ci, którzy chcieli, oczywiście znaleźli filmik w sieci.

Harry dostrzegł, że Katrine siedzi obok Sung-mina i Bodil Melling. Ciągle była zmęczona, bo nawet po zakończeniu śledztwa mieli mnóstwo rzeczy do zrobienia i sporo jeszcze pozostawało. Ale naturalnie bardzo jej ulżyło, kiedy sprawca został ujęty i przyznał się do popełnionych czynów. Podczas przesłuchań Helge Forfang wyjawił wszystko, co chcieli wiedzieć, a większość tego zgadzała się z przypuszczeniami Harry’ego. Motyw – zemsta na ojczymie – również był oczywisty.

Harry przyjechał do kościoła mercedesem razem z Øysteinem, Trulsem i Olegiem, który przyleciał aż z Finnmarku. Trulsa przywrócono do pracy

w komendzie, bo nie był już podejrzany o kradzież narkotyków. Uczcił to, sprawiając sobie na pogrzeb garnitur, podejrzanie podobny do garnituru Harry'ego. Øystein ze swej strony twierdził, że skończył z handlem koką i wraca do pracy kierowcy. Najpierw myślał o karetce.

– Cholera, trudno o tym zapomnieć, kiedy człowiek już raz włączył syrenę i patrzył, jak samochody się rozstępują niczym jakieś pieprzone Morze Czerwone przed Mojżeszem. Czy może to było jezioro Genezaret? Nie pamiętam. W każdym razie porzuciłem ten pomysł.

– Podobno żeby zostać kierowcą karetki, trzeba zrobić cholernie dużo kursów – zauważył Truls.

– Nie o to chodzi – odparł Øystein. – Ale w tych wozach są dragi, co nie? A ja nie mogę za bardzo się do tego zbliżać, nie jestem Keith. Dlatego zgadałem się z jednym właścicielem taksówki z Holmlia, będę jeździł u niego w ciągu dnia.

Harry'emu tak trzęsły się ręce, że kartki, które w nich trzymał, głośno szeleściły. Nie pił dzisiaj, przeciwnie. Wylał to, co zostało w butelce Jima Beama, do umywalki w hotelowym pokoju. Zamierzał być trzeźwy już do końca życia. Taki miał projekt, zawsze ten sam. W sobotę wybierał się z Gertem na Nesodden. Starał się teraz myśleć właśnie o tym. Ręce przestały mu się trząść. Odchrząknął.

– Ståle Aune – powiedział, bo zdecydował, że zacznie od jego pełnego imienia i nazwiska – stał się bohaterem, ku jakiemu nigdy nie aspirował. Okazja i jego własna odwaga dały mu taką szansę pod koniec życia. Oczywiście gdyby tu był, protestowałby przed nazywaniem go bohaterem. Ale go tu nie ma. Tak sądzę. Protest i tak nie zostałby przyjęty. Kiedy pojawiła się sytuacja z zakładniczką, o czym wszyscy czytaliście w gazetach, to on się przebił. „Nie słyszycie, co mówię?!", zawołał ze swojego łóżka. „To prosta matematyka". Ståle Aune twierdziłby, że to czysta logika, a nie odwaga, kazała mu włożyć moje ubranie, zająć moje miejsce i przyjąć na siebie mój wyrok śmierci. Plan był taki, że miałem odejść stamtąd z zakładniczką, zanim stanie się jasne, że zamieniliśmy się rolami, ewentualnie że będę interweniował, jeśli Ståle zostanie odkryty. To nie był mój plan, tylko jego. Ståle poprosił nas o tę przysługę. O to, by mógł zamienić swoje ostatnie dni w bólu na odejście, które rzeczywiście miałoby jakiś sens. To był dobry argument. Ale najlepsze było to, że faktycznie istniało większe prawdopodobieństwo uratowania zakładniczki, gdyby Forfang skupił się na nim, a ja mógłbym wkroczyć, jeśliby wydarzyło się coś nieprzewidzianego. Ståle – jak

większość poświęcających się bohaterów – pozostawia po sobie ludzi w poczuciu winy. Przede wszystkim mnie, szefa tej grupy, dla którego tam, na dachu, przewidziana była pozycja Uriasza. Tak, jestem winny skrócenia życia Stålego Aune. Czy tego żałuję? Nie. Bo Ståle miał rację, to rzeczywiście prosta matematyka. I sądzę, że umarł jako człowiek szczęśliwy. Szczęśliwy, ponieważ należał do tej części ludzkości, która największą satysfakcję czerpie z tego, że może przyczynić się do uczynienia tego świata miejscem bardziej znośnym dla innych.

***

Po pogrzebie były kanapki, kawa i piwo U Schrødera, stypa zgodnie z życzeniem Stålego. W środku było tak pełno, że kiedy przyszli, zostały już tylko miejsca stojące. Harry i jego towarzysze stanęli w głębi przy drzwiach do toalet.

– Czyli Forfang był mścicielem uprzątającym wszystko, co stanęło mu na drodze – powiedział Øystein. – Ale gazety mimo wszystko piszą, że to seryjny morderca, a on nim przecież nie był, prawda, Harry?

– Mhm. Nie w klasycznym rozumieniu. Takich spotyka się bardzo rzadko. – Harry wypił łyk kawy.

– Z iloma się zetknąłeś? – spytał Oleg.

– Nie wiem.

– Nie wiesz? – burknął Truls.

– Kiedy złapałem drugiego seryjnego zabójcę, zaczęły przychodzić do mnie anonimowe listy. Od ludzi, którzy rzucali mi wyzwanie. Mówili, że zabili albo że zabiją. I że nie uda mi się ich złapać. Przypuszczam, że większość miała uciechę z samego pisania tych listów. Ale nie wiem, czy któraś z tych osób kogoś nie zabiła. Większość spraw zabójstw jest wyjaśniana, ale może tamci naprawdę byli dobrzy. Może udało im się upozorować zabójstwo na naturalną śmierć albo wypadek.

– Więc mogli wygrać z tobą? To chcesz powiedzieć?

Harry pokiwał głową.

– No.

Z toalety wyszedł jakiś starszy mężczyzna, bez wątpienia trochę już wstawiony.

– Przyjaciele czy pacjenci? – spytał.

Harry się uśmiechnął.

– Jedno i drugie. Plus jeszcze to, że on uratował mi życie – dodał cicho. – Uniósł filiżankę z kawą. – Za Stålego!

Trzej pozostali podnieśli szklanki.

– Zastanawiałem się nad jednym – odezwał się Truls. – Nad tym przysłowiem, o którym mówiłeś, Harry. O tym, że jak uratujesz komuś życie, to już do śmierci jesteś za niego odpowiedzialny.

– To prawda – powiedział Harry.

– Sprawdziłem. To nie jest żadne przysłowie. Wymyślili to w Kung Fu, żeby brzmiało jak stara chińska mądrość. Wiesz, w tym serialu z lat siedemdziesiątych.

– Tym z Davidem Carradine'em? – spytał Øystein.

– Tak – odparł Truls. – Straszne gówno.

– Ale fajne – stwierdził Øystein. – Powinieneś go zobaczyć. – Szturchnął w bok Olega.

– Naprawdę?

– Nie – zaprotestował Harry. – Nie naprawdę.

– Okej – podsumował Øystein. – Ale skoro David Carradine powiedział coś o odpowiedzialności za tych, których się ocaliło, to, do diabła, coś musi w tym być! Ludzie, to przecież David Carradine!

Truls podrapał się po wystającym podbródku.

– No dobra.

Podeszła do nich Katrine.

– Przepraszam, że przychodzę dopiero teraz, ale musiałam obejrzeć jedno miejsce zabójstwa – oznajmiła. – Wygląda na to, że wszyscy tu są. Nawet pastor.

– Pastor? – Harry uniósł brew.

– A to nie pastor? – zdziwiła się Katrine. – W każdym razie minęłam się w drzwiach z mężczyzną w koloratce.

– Co to za miejsce zabójstwa? – zainteresował się Oleg.

– Mieszkanie na Frogner. Zwłoki pocięte na kawałeczki. Sąsiedzi słyszeli warkot silnika. Tapeta w salonie wygląda jak pomalowana sprejem. Słuchaj, Harry, mogę

zamienić z tobą dwa słowa na osobności?

Podeszli do stolika przy oknie, tego, który kiedyś był stałym miejscem Harry'ego.

– Dobrze, że Alexandra wróciła do pracy – powiedziała Katrine.

– Na szczęście to twarda dziewczyna.

– Słyszałam, że zaprosiłeś ją na Romea i Julię.

– Tak, dostałem dwa bilety od Helene Røed. Podobno świetne przedstawienie.

– To miło. Alexandra jest w porządku. Poprosiłam ją o jeszcze jedną przysługę.

– Tak?

– Sprawdzała profil DNA tej śliny, którą znaleźliśmy na piersi Susanne, w bazie danych znanych sprawców. Niczego tam nie znaleźliśmy. No ale później ustaliliśmy, że to ślina Markusa Røeda.

– I co?

– Tej śliny nie porównywano nigdy z bazą nieznanych sprawców. Czyli z DNA z nierozwiązanych spraw. Po tym nagraniu, na którym Markus Røed przyznaje się do molestowania małoletniego, poprosiłam, żeby sprawdziła również tę bazę. I wiesz, co wyszło?

– Mhm. Mogę się domyślać.

– No to próbuj.

– Gwałt na czternastolatku w poprzedniej wersji Villi Dante. Jak nazwaliście tę sprawę?

– Sprawa Motyla. – Katrine wyglądała na wręcz niezadowoloną. – Skąd wiedziałeś...

– Krohn tłumaczył, że Røed nie da policji swojego DNA, ponieważ byłoby to przyznanie się do istnienia podstawy do podejrzeń. Ale domyślałem się, że Røed może mieć inny powód. Wiedział, że macie jego spermę ze sprawy tego gwałtu.

– Dobry jesteś – orzekła Katrine.

Harry pokręcił głową.

– Gdybym był dobry, to już dawno rozwiązałbym tę sprawę. Cały czas się myliłem.

– To twoje zdanie. W każdym razie są inni, którzy uważają, że jesteś dobry.

– Aha.

– Bo jest jeszcze jedna rzecz, o której chciałam z tobą porozmawiać. Mamy wakat w Wydziale Zabójstw. I wszyscy chcemy, żebyś ubiegał się o przyjęcie.

– Wszyscy?

– Bodil Melling i ja.

– Czyli wy dwie, a powiedziałaś „wszyscy”.

– Mikael Bellman wspomniał, że to może być dobry pomysł. Mogliby utworzyć specjalne stanowisko, bardziej niezależne. Mógłbyś zacząć od tego zabójstwa na Frogner.

– Jacyś podejrzani?

– Podobno denat od lat toczył z bratem spór o spadek. Brat jest teraz przesłuchiwany, ale chyba ma alibi.

Uważnie obserwowała twarz Harry’ego. Błękitne oczy, w które się wpatrywała, miękkie usta, które kiedyś całowała, ostre rysy, zakrzywioną bliznę biegnącą od kącika ust w stronę ucha. Próbowała rozszyfrować to spojrzenie, zmianę wyrazu twarzy, sposób, w jaki cofnął barki, niczym wielki ptak, który zamierza odlecieć. Katrine uważała się za znawczynię ludzi; sądziła, że w niektórych mężczyznach – tak jak w Bjørnie – umie czytać jak w otwartej książce. Ale Harry był i pozostał dla niej tajemnicą. Podejrzewała, że również dla siebie.

– Przekaż moje pozdrowienia i podziękuj. Ale nie.

– Dlaczego?

Uśmiechnął się krzywo.

– W trakcie tej sprawy zrozumiałem, że nadaję się tylko do jednej rzeczy, a mianowicie do łapania seryjnych morderców. Tych prawdziwych. Statystycznie w ciągu całego życia mija się seryjnego mordercę na ulicy zaledwie siedem razy. Ja już swoje wykorzystałem. Więcej ich nie będzie.

Na plakietce młodego ekspedienta widniało imię Andrew, a stojący przed nim klient chwilę wcześniej wypowiedział to imię w sposób świadczący o długim pobycie w Stanach.

– Aha, nowy łańcuch do piły motorowej – powiedział Andrew. – Zaraz załatwimy.

– A przy okazji – dodał mężczyzna – potrzebuję dwóch rolek mocnej taśmy klejącej. I kilka metrów solidnej cienkiej linki. I jeszcze rolkę worków na śmieci. Znajdziesz to dla mnie, Andrew?

Sprzedawca z jakiegoś powodu zadrżał. Może z powodu bezbarwnych tęczówek tego człowieka. Albo miękkiego, zbyt przymilnego głosu z resztkami dialektu z południa kraju. A może ze względu na fakt, że mężczyzna położył mu rękę na ramieniu. Albo po prostu dlatego, że Andrew – tak jak niektórzy boją się klaunów – zawsze bał się duchownych.

PRZYPISY

[1] Polski tytuł to Dziewczyna gangstera (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Hallik (norw.) – sutener, alfons.

[3] Norweskie słowo drapsmann („zabójca”) jest złożone z dwóch członów: drap („zabójstwo”) i mann („mężczyzna”). W celu przeciwdziałania seksizmowi językowemu w Norwegii dąży się do wyeliminowania z języka wyrazów zawierających człon mann.

[4] Legendarna punkrockowa grupa z Oslo, założona w 1988 roku, znana również jako Turbonegro.

[5] Nieprzetłumaczalna gra słów: dommer – „sędzia”, dag – „dzień”, ale również imię męskie; Dommer Dag – „Sędzia Dag”, dommedag – „dzień Sądu Ostatecznego”.



KRWAWY KSIĘŻYC

Życie Harry'ego Hole się rozpadło. W akcie rozpaczy ekspolicjant leci do Los Angeles, by tam zapić się na śmierć. Nieubłaganie stacza się na dno, przesiadując w barze. Tutaj poznaje podstarzałą aktorkę Lucille. Kobieta jest zadłużona na niemal milion dolarów, co może mieć śmiertelne konsekwencje. Harry wyrywa się z alkoholowego ciągu, żeby ratować nową znajomą z rąk kartelu narkotykowego.

W tym czasie w Oslo zostają zamordowane dwie dziewczyny. Główny podejrzany – potentat na rynku nieruchomości – wynajmuje Harry'ego, by udowodnił jego niewinność. Jeśli w ciągu dziesięciu dni uda się doprowadzić do wykrycia zabójcy, detektyw zdobędzie pieniądze, którymi spłaci dług Lucille. Hole tworzy zespół złożony z taksówkarza handlującego narkotykami, skorumpowanego policjanta i chorego na raka psychologa. Zegar tyka bezlitośnie, Harry popełnia błędy, morderca bawi się ze wszystkimi w kotka i myszkę. A nad Oslo niebawem wzejdzie Krwawy Księżyc…

Trudno wymyślić kryminał na nowo, ale Nesbø dokonał niemożliwego! Zagadka morderstwa musi zostać rozwiązana w rekordowo krótkim czasie, a czytelnik ani przez sekundę się nie nudzi.

ROMSDALS BUDSTIKKE

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE
www.publicat.pl
ISBN 978-83-271-6361-5
EAN 9788327163615
U.WD.KRW032.1.01.01

Patronat medialny
lubimyczytać.pl
POCISK